



# ODYSEJA NOWOJORSKA

KRISTOPHER JANSMA

Pean na cześć Nowego Jorku,  
pyszego młodzieńczego optymizmu  
i siły przyjaźni.

**ODYSEJA**

**NOWOJORSKA**

**KRISTOPHER JANSMA**

Przełożyła Joanna Golik-Skiatał

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2017

# Spis treści

[Okładka](#)

Strona tytułowa

[Strona redakcyjna](#)

# I

[Dlaczego przybyliśmy do miasta](#)

[Żyjąc życiem innych](#)

[Pięć na milion](#)

[Bezuszna i rybnie oczy](#)

[Życzeniowy marzec](#)

[Shelter Island](#)

[Jacob na ziemi jałowej](#)

[Rozczarowania](#)

## II

Dlaczego wyjechaliśmy z miasta

Zugzwang, oddział trzeci, 2010

William na moście

Ślub Sary Sherman i George'a Murphy'ego

To miasto, które jest

Podziękowania



## Przypisy końcowe

Tytuł oryginału  
WHY WE CAME TO THE CITY

Redakcja: Piotr Królak  
Projekt okładki: Magdalena Kuc  
Zdjęcie na okładce: © Andrew C Mace/ Getty Images  
Korekta: Maciej Korbański  
Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © 2016 by Kristopher Jansma  
All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.  
This edition published by arrangement with Viking, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017  
Copyright © for the Polish translation by Joanna Golik-Skiła, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark). Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-435-3

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
www.czarnaowca.pl

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.



*Wszakże prośby Zeusa wielkiego są plemię:  
Ułomne, słabą nogą wędrują przez ziemię,  
Z czołem zmarszczką pokrytym, ze spuszczonego okiem.  
Idą ciągle za Winą: ona silnym krokiem  
Poprzedza je i szkody między ludźmi sieje;  
Prósb ręką na jej rany słodki balsam leje.*

Homer, *Iliada*  
tłum. Franciszek Ksawery Dmochowski

*Jeżeli coś może się nie udać – nie uda się na pewno.*

Pierwsze prawo Murphy'ego

## Dlaczego przybyliśmy do miasta

Przybyliśmy do miasta, albowiem chcieliśmy żyć bezładnie, zaspokajać wyłącznie najbardziej nierealne z naszych pragnień, przekonać się, czy potrafimy przyswoić sobie to, czego mogą nas nauczyć niepowodzenia, abyśmy żyjąc, nie odkryli, że nigdy nie umarliśmy. Pragnęliśmy żyć pełnią życia i wysysać z niego esencję, przepracowani i sprowadzeni do naszego ostatniego żartu. A gdy nasi szefowie okazywali się podli, cóż, wówczas nad wódką z żurawiną i burbonem ujawnialiśmy światu ich całą prawdziwą nikczemność. A gdy nasi kompani do picia okazywali się szlachetni, o świcie, krocząc chwiejnie po bruku Starego Miasta, wracaliśmy do domu, by wziąć gorący prysznic, włożyć czyste koszule i walczyć dalej, aż znów zapadnie zmierzch. Gdyż, jak nam się wydawało, większość społeczeństwa niejako pochopnie wyciągnęła wnioski, że głównym celem człowieka na tym świecie jest chwalić i wielbić Pana, że już piątek, i modlić się, by Netflix nigdy ich nie zawiódł.

Prowadziliśmy więc szaleńcze życie kolibrów, a w kadrach mówiono nam, że choć cenią nasze zaangażowanie i liczą się z naszą opinią, przez kolejny rok nie dostaniemy podwyżki. Jak komary walczyliśmy z członkami kierownictwa – którzy nie umieli korzystać z internetu, którym byliśmy potrzebni jedynie, by założyć im konta na Facebooku do szpiegowania ich dzieci albo zsynchronizować ich iPhone'y z Outlookiem bądź też wytłumaczyć, jak działa

Twitter, a co ważniejsze, do czego w ogóle służy – choć tego nawet my nie wiedzieliśmy. „Wynocha na emeryturę!”, mieliśmy ochotę krzyknąć. „Zejdźcie nam z drogi z tymi waszymi wielkimi kciukami, sklerozą i tęsknotą za rokiem 1976!”. Nienawidziliśmy ich; chcieliśmy, by nas kochali. Pragnęliśmy być tacy jak oni i nigdy, przenigdy nie chcieliśmy się nimi stać.

Zawiłość, zawiłość, zawiłość! Tak, niech nasze ludzkie sprawy komplikują się i nie mają końca; niech salda naszych kont bankowych będą przekroczone, a nasze premie zmniejszone. Pozwólmy, by fundusze socjalne, na które odprowadzaliśmy składki, zbankrutowały. Byliśmy bankrutami, odkąd opuściliśmy rodzinny dom; sami się zabezpieczymy. Emerytura była życiem pośmiertnym, w które nie wierzyliśmy, a którego spodziewaliśmy się wczoraj. Zamiast trzech posiłków dziennie na śniadanie piliśmy kawę, a w porze lunchu żywiliśmy się pustką sal konferencyjnych. Planowaliśmy pójść na kolację i kupić sobie gumowe pad thai, mocno pikantne vindaloo z kurczaka i pudełka bentō w jednej z tych tandetnych, ciemnych restauracji balansujących na granicy bankructwa. Ci, którzy mieli trochę za dużo, płacili za tych, którym trochę brakowało, a my obiecywaliśmy się im odwdzięczyć zaproszeniem na kawę. Niektórym od lata byliśmy winni pieniądze za bilet do kina; oni o tym nie zapomnieli. Zawiłość, zawiłość, zawiłość.

Zawiłość, zawiłość, zawiłość. Na święta obdarowywaliśmy się roślinkami w doniczkach ozdobionych brzydkim dekupażem i szalikami, które sami zrobiliśmy na drutach, albo spinkami do mankietów zakupionymi ze zniżką dla pracownika. Gotowaliśmy według przepisów znalezionych w internecie, a i tak nasze suflety opadały, zapiekane sery brie się przypalały, a lody bazyliowe zamarzały na kość. Dzwoniliśmy do mamy po przepis na nasze ulubione danie, ale nigdy nie wychodziło nam tak jak jej. Tęskniliśmy za naszymi rodzinami; smuciliśmy się, będąc ich pozbawieni.

Dlaczego nie mamy żyć w takim pośpiechu i marnować życia? Umrzemy

z głodu, zanim zacniemy go odczuwać. Rozszyfrujemy hasło do wi-fi naszych sąsiadów i nigdy nie włączymy klimatyzacji. Ślubowaliśmy się zakochać: miłością wielką, namiętą, uczuciem, które w gardle ściska. W metrze i na ławce w parku, na schodach przeciwpożarowych i na zapleczu przewracaliśmy kartki książek, które postanowiliśmy doczytać do końca. Czas wolny był towarem deficytowym.

Gdybyśmy mieli więcej czasu, więcej pieniędzy, więcej cierpliwości; gdyby seks był bardziej udany, kawa smaczniejsza, buty nie przemakały, a parasole nie wywracały się na drugą stronę przy najmniejszym podmuchu wiatru. Pójdziemy na głupie układy. Dostaniemy awans albo wychodząc, podpalimy budynek. Stracimy zmysły.

Nie mogliśmy uwolnić się od śledzenia wiadomości. Co dziesięć sekund odświeżaliśmy nasze przeglądarki i gapiliśmy się na nagłówki. Czytaliśmy nudne blogi przyjaciół przyjaciół naszych przyjaciół, którzy założyli farmę organiczną nad rzeką Wachito. Tam marynowali i zaprawiali w słoikach dary natury. I wkrótce zaczęliśmy się martwić, że może i na nas przyszedł czas i my też powinniśmy wyjechać z miasta. Wyjechać! Do Urugwaju, Maroka albo Connecticut? Na Wielkie Równiny, w góry albo nad zatokę San Francisco? Zwlekaliśmy jednak z tą decyzją. A po miesiącach bądź latach tamci przyjaciele przyjaciół porzucali farmę, by zacząć naukę do egzaminu na studia prawnicze. Uważaliśmy, że to z jednej strony kiepsko, a z drugiej cudownie.

Tęskniliśmy za dostawaniem listów. Zastanawialiśmy się nawet, po co trzymamy jeszcze te małe kluczyki na naszych gęstych od innych kluczy breloczkach. Czasem wysyłaliśmy coś do siebie z biura. Czasem odręcznie pisaliśmy długie listy do dawnych ukochanych, ale ich nie wysyłaliśmy. Nie znaleźliśmy ich nowego adresu. Żadnych adresów nie znaleźliśmy. Pamiętaliśmy tylko skrzyżowania ulic i drzwi. Który guzik nacisnąć i czy dzwonek działa, czy nie. Wiedzieliśmy, na które piętro wejść i w którą stronę korytarza skręcić.

Czasem tęskniliśmy za tymi, którzy nie przyjechali do tego miasta razem z nami, i za tymi, którzy wyjechali do innych miast. Czasem składaliśmy im wizytę, a czasem oni odwiedzali nas. To były najlepsze chwile, gdyż byliśmy wszyscy w domu, ale nie wszyscy byli u siebie. To były najgorsze chwile, bo chcieliśmy, aby wszyscy przeprowadzili się tu czy tam, ale nikt nigdy tego nie zrobił – wszyscy tylko wyjeżdżali. Wkrótce zostaliśmy całkiem sami.

Niebawem znieawidziliśmy to nasze wiecznie kurczące się życie. Sypianie z nieznanymi i picie kawy z ludźmi, których znaliśmy, znaliśmy, tylko nie mogliśmy sobie przypomnieć skąd. Żyjąc na kartonach, nie mieliśmy miejsca, by się rozpakować. Wkrótce nadaliśmy imiona gołębiom, które przesiadywały na naszym parapecie; martwiliśmy się, że wyglądają marniej niż przed tygodniem.

Słyszeliśmy wrzaski w mieszkaniu pod nami i jak skrzypi łóżko w tym piętro wyżej. Wszędzie widzieliśmy ludzi z psami i zastanawialiśmy się, jak oni dają radę. Pracują z domu? A może nie pracują? Skończyli dobre szkoły? Mieli znajomości? My nie mieliśmy żadnych znajomości. Nasi rodzice dali nam jedynie nazwisko; dzwonili do nas z pracy w jakimś odległym bezbarwnym kompleksie biurowców na przedmieściach, by powiedzieć, że w każdej chwili możemy wrócić do domu, i to nas zawsze przerażało.

Ale potem nadchodził ten wieczór, zakradał się niepostrzeżenie, gdy zajęci pracą tkwiliśmy w swych ciemnych biurach, jak zagubione na morzu łodzie podwodne, żeglujące po ciemnej stratosferze cementowych wieżowców. Dzwoniliśmy do siebie, by dać znać, że zdarzyło się coś dobrego, ktoś nam powiedział komplement, ktoś docenił naszą pomoc, odnieśliśmy jakiś mały sukces. Nie oddalibyśmy tych wieczorów za nic w świecie. W takie wieczory jak ten przypominaliśmy sobie, dlaczego przybyliśmy do tego miasta. Bo jeśli naprawdę żyliśmy, chcieliśmy usłyszeć nasz łamiący się głos i poczuć drzenie kończyn. I nawet jeśli mieszkaliśmy w trumnach, nasze biurka były kamieniem

nagrobny, a nasze marzenia zakaźną chorobą – jeśli wszyscy powoli umieraliśmy – to przynajmniej przez całe to okropieństwo przechodziliśmy razem.



## Żyjąc życiem innych

Irene Richmond uwijała się w wąskim holu, pomagając gościom zdjąć płaszcze pokryte płatkami śniegu, który sypał obficie od rana i zdołał cienką warstwą pokryć hotelowy balkon. Odwieszala okrycia, które warte były więcej niż jej miesięczna pensja i same w sobie stanowiły dzieło sztuki. Kaptury wykończone futrem z lisa rodem z Finlandii. Pikowany płaszcz z bawełnianej satyny wypełniony gęsim puchem w koncentryczne kręgi à la Tadasky. Długa kamizelka z króliczego futerka. Wełna z jagniąt mongolskich. Sam dotyk tych tkanin przyprawiał Irene o dreszcz, ale nie było jej dane nacieszyć się nim dłużej niż krótką chwilę.

Bo gdy ledwo któryś z gości zwrócił jej uwagę, by nie zagiąć kołnierza albo nie pognieść rąbka płaszcza, w drzwiach pojawiała się już inna, bardziej prominentna osoba.

W krótkich chwilach oddechu sprawdzała w telefonie, czy nie ma wiadomości od George'a albo Sary. Nic. Żadnych wieści od nich ani od Jacoba. Przeglądając się w korytarzowym lustrze, poprawiała wsuwki podtrzymujące jej blond włosy. Z aprobatą spojrzała na swą szyję oświetloną złotym blaskiem lampy. Stanowiła eleganckie przedłużenie odsłoniętego ramienia. Irene miała nadzieję, że nie wygląda zbyt wyzywająco. Abeba kazała ładnie się ubrać, lecz Irene wyczuła sugestię, by nie wyglądać ładniej niż goście. Juliette dodała, że mają wyglądać modnie, co w interpretacji Irene

znaczyło młodo, dziarsko i ekscentrycznie.

Stąd błękitne legginsy, szydełkowa sukienka, naszyjnik z pawich piór i pleciony pasek.

Irene miała nadzieję, że wygląda profesjonalnie i jednocześnie wpisuje się w wizerunek artystki. W końcu każdy zawód ma swój uniform.

Poprawiła makijaż. Cień do powiek sprawiał, że jej niebieskie źrenice wydawały się teraz o ton ciemniejsze, niemal czarne. Potarła plamkę poniżej lewego oka, która pojawiła się tam już miesiąc wcześniej, ale dopiero niedawno zaczęła ją boleć. Na dźwięk kolejnego dzwonka poderwała się, by odwiesić bolerko ze wzorkiem à la żyrafa, własność kolejnej artystki tudzież dziedziczki fortuny, chwiejnym krokiem stąpającej na czarnych jak noc szpilkach.

Organizowane przez K Gallery w drugi piątek grudnia coroczne przyjęcie świąteczne w hotelu Waldorf Astoria zawsze robiło wrażenie. Irene i jej przyjaciele cały rok czekali na ten wieczór. Owszem, w ciągu roku bywali na różnego rodzaju imprezach i choć życie w Nowym Jorku pozwalało czasem otrzeć się o blichtr, z tą imprezą nic nie mogło się równać. Na oficjalnej liście gości było siedemdziesiąt osiem osób, a przyjęcie organizował znany szef kuchni Marc Herradura. Wśród zaproszonych były gwiazdy filmowe z prawdziwego zdarzenia.

W zeszłym roku widzieli tego gościa z serialu *Biuro*, a rok wcześniej była tu sama Cyndi Lauper! To było to drugie oblicze Nowego Jorku: niby w zasięgu ręki, a jednocześnie niedostępne. Tego jednak wieczoru oni też mogli stać się jego częścią.

Pomimo pierwszego ataku zimy, szalejącej na zewnątrz śnieżycy i wstrzymanego ruchu na lotniskach JFK i LaGuardia (tylko port lotniczy Newark wciąż dawał radę) frekwencja dopisywała, niemal wszyscy goście się stawili. Przez cały dzień właścicielki galerii Juliette i Abeba przeganiały Irene

z jednego końca Manhattanu na drugi. W Chelsea wcisnęły ją do pokrytego śniegiem samochodu razem ze szkieletem pawiana z kutego żelaza (za jedyne trzysta tysięcy dolarów), którego głowa niebezpiecznie wystawała z okna pojazdu. W za dużych śniegowcach Abeby Irene przemierzała wytworne lobby jednego z hoteli na Lexington Avenue, taszcząc spleśniałego batata w pojemniku z żółto-zielonego polipropylenu (wart co najmniej pół miliona dolarów).

Jeszcze pięć lat temu, kiedy zaczynała pracę w galerii, już samo obcowanie z tak kosztownymi dziełami sztuki przyprawiało Irene o dreszcze. Teraz zaś zastanawiała się, czy nie kazać kierowcy pojechać na most Waszyngtona i stamtąd zrzucić do rzeki to wielkie zdjęcie genitaliów Trishy Birch (warte równy milion dolarów). Albo kazać mu jechać przed siebie, gdzieś za miasto. Z pieniędzy za sprzedaż tej fotografii Irene mogłaby malować dzień i noc przez następnych dwadzieścia lat. Albo otworzyć własną galerię tudzież założyć fundację dla młodych artystów. Mogłaby im pomóc uniknąć osiemnastogodzinnego dnia pracy, ciągłych napadów złości, wtrącania do rozmów nazwisk znanych osób, próżności, obcowania z ludźmi udręczonymi i pozbawionymi talentu. Tylko że poza Nowym Jorkiem, będąc w posiadaniu zdjęć Trishy Birch, zostałaby aresztowana raczej za brak przyzwoitości niż za kradzież. „Może powinnam uciec do Los Angeles”, pomyślała. „Albo do Londynu. A może na Marsa, albo jeszcze lepiej na Neptuna”.

Juliette i Abeba nie były złymi szefowymi, ale rzucała się u nich w oczy ta wybredność, która cechuje przeciętnej klasy artystów. Miały nosa do marketingu i potrafiły coś wylansować w niezwykle krótkim czasie. Ale im bardziej ich galeria liczyła się w Chelsea, tym większe ilości campari Juliette i Abeba wlewały w siebie i zaczynały gadać, że sprzedadzą to wszystko w cholerę i przeniosą się na Markizy jak Gauguin.

Pierwsza reguła mieszkania w tym mieście, jakiej Irene się nauczyła,

brzmiała: gdy tylko tu przybędziesz, musisz zacząć grozić, że stąd wyjedziesz. Ona sama, teoretycznie, odkładała pieniądze na wyjazd do Francji, z którego, jak w głębi duszy sobie wyobrażała, nigdy już nie wróci. Jednak na jej koncie oszczędnościowym wciąż było to samo trzysta pięćdziesiąt dolarów, które wypłacała i znów wpłacała; w międzyczasie koszty podróży wzrosły, kurs wymiany stał się mniej korzystny, a praca w galerii pochłaniała coraz więcej czasu.

Mimo to, jak to mówią, wiodła jakieś życie, i to wcale nie najgorsze. Nawet jeśli musiała zdecydować, która z kup psa rasy teacup yorkie powinna znaleźć się obok diamentów na naszyjniku przygotowywanym na wystawę w parku Bryant. Albo skatalogować ścinki paznokci z palców u nóg Percy'ego Brysona, które zbierał siedemnaście lat.

Praca ta dawała jej pewne wymierne korzyści i na tyle pieniędzy, by zapłacić za ciasną kawalerkę na Wschodniej Czwartej Ulicy, gdzie mogła nocą malować, nikomu przy tym nie wadząc. No i nie cierpiała głodu.

Może nie stać ją było na wycieczki do Francji, ale jej pensja starczała jeszcze na jedną czy dwie sukienki w stylu vintage, na bilety do kina, na kilka kolejek w barze i smoothie z zieloną herbatą.

Drryń! No, wreszcie przyszli: George Murphy i Sara Sherman.

George z szerokim uśmiechem i w czarnym prążkowanym garniturze. Czyżby nowy?

Nowy. Sara kupiła mu go w zeszłym tygodniu w Macy's na wyprzedaży przedświątecznej, żeby miał co włożyć na rozmowę o pracę, gdy już obroni doktorat. Irene pocałowała go w policzek i przyjrzała się uważnie jego miedzianym włosom – nadawały się do podcięcia. Jak zwykle nie mogła się powstrzymać i lekko je poczochnęła.

– Jesteśmy! – oznajmił George.

Przemknął wzrokiem po pokoju ponad ramieniem Irene, a potem utkwiał swe

chabrowe oczy w jej twarzy. Kiedy mówił do niej, albo do kogokolwiek innego, zawsze patrzył głęboko w oczy. Jego trzy ulubione słowa to „Czy wiedzieliście, że”, po których zniżał głos i opowiadał coś niezwykłego o jakiejś odległej galaktyce, którą badał w obserwatorium astronomicznym North Shore, jakby Andromeda B była restauracją, do której warto się kiedyś wybrać. Wydawało się, że nie pragnie niczego więcej jak tylko być dla innych przydatnym. Od ręki potrafił wyjaśnić mechanizm działania windy i skąd się bierze grad albo iskra elektryczna między palcami a brzegiem sukienki. Dobrze wychowany chłopak z katolickiej rodziny z miasta Columbus – w mieście, w którym nikt cię nie słucha, George Murphy zawsze słuchał uważnie i za to był lubiany.

– Tutaj nikt nigdy nie zjawia się punktualnie – powiedziała Irene. – Daj mi swój płaszcz.

Ale George sam go odwiesił. Sara nadstawiła policzek do pocałunku Irene.

– Jakiś poważny wypadek na autostradzie LIE – wyjaśniła.

Irene powiedziała jej, że wygląda zjawiskowo, a Sara odparła, że chyba zwariowała; przyjechała prosto z siłowni i z pewnością cuchnie, co oczywiście było nieprawdą. Miała na sobie fioletową sukienkę delikatnie zdobioną cekinami. Kruczoczarne włosy Sary i jej wąska szczęka od zawsze sprawiały, że Irene korciło, żeby wyjąć swe węgle i naszkicować te ciemne eleganckie linie. I co z tego, że formalnie rzecz biorąc, Sara nie była częścią artystycznej śmietanki zebranej w tym miejscu – po godzinie połowa zgromadzonych pomyślałaby, że to ona właśnie organizuje to przyjęcie. Będzie krążyć między gośćmi, gładko przechodząc od jednej rozmowy do drugiej, czasami zabierając za sobą jedną czy dwie osoby, aż nikt już nie będzie dla siebie obcy. Trzy słowa „Czy wiedzieliście, że” należały też do ulubionych słów Sary. Z tą różnicą, że po nich nie następował żaden fakt naukowy, lecz nazwisko jakiejś osoby. Zawsze okazywało się, że kojarzy kogoś z kręgu

twoich znajomych: dziewczynę, która jechała z tobą w limuzynie podczas wieczoru studniówkowego, twojego opiekuna z obozu wakacyjnego, baristę z kawiarni, do której często zaglądasz, gościa, którego poznałeś w barze w Chiang Mai, chłopca, z którym w trzeciej klasie szłaś za rękę podczas wycieczki do Muzeum Historii Naturalnej. Niektórzy nigdy nie zapominają twarzy; Sara nigdy nie zapomniała kontaktów.

George bawił się swoim cienkim dzianinowym krawatem przed lustrem w holu.

– Zderzyło się sześć aut. Od pięciu lat codziennie jeżdżę tą trasą i jeszcze nigdy nie widziałem takiego straszego karambolu.

Irene patrzyła, jak złota kanciasta rama lustra zamienia się w portret George'a: *Mężczyzna z przekrzywionym krawatem*. Chętnie zerwałaby teraz obraz Claude'a Lozarette'a ze ściany obok, stopiła pigmenty z płótna i użyła ich do namalowania George'a w tej właśnie chwili, tu na powierzchni szkła – a czemu nie? – ale chwila minęła. Krawat był zawiązany; odbicie w lustrze zniknęło.

– Wybacz. Musiałem się przebrać w toalecie w Starbucksie, w której śmierdziało zdechłymi prosiętami ziemnymi i... – Tu Sara mu przerwała.

– O, à propos, to dla ciebie. – Ze swej przepastnej torby wygrzebała zatłuszczoną papierową torebkę. Irene odwinęła papier i wyjęła przygniecioną waniliową babeczkę, posypaną kolorową posypką. – Kazali nam coś kupić, dasz wiarę?

Rzeczywiście, Irene w to nie uwierzyła. Po pierwsze, Sara była straszną kłamczuchą, a po drugie wszyscy wiedzą, że akurat w Starbucksie można skorzystać z toalety bez konieczności kupowania czegokolwiek; to w zasadzie mogła być druga zasada związana z mieszkaniem w tym mieście.

George puścił oko do Irene, gdy ta pomagała Sarze zdjąć płaszcz.

– Ktoś się martwił, że niczego dziś nie jadłaś – szepnął.

Sara udawała, że zaprzecza, lecz Irene znów dała jej całusa.

– A jadłaś? – spytała Sara, lecz zanim dostała odpowiedź, dotknęła bladej plamki pod okiem Irene.

Irene gwałtownie odsunęła głowę w bok.

– Zjadłam trochę winogron.

Pożałowała już, że powiedziała Sarze o tomografii komputerowej, którą zrobili jej w zeszłym tygodniu. Teraz będzie się zamartwiać i w końcu zapyta, co powiedział lekarz na wczorajszej wizycie kontrolnej.

– Jacob już jest? – spytał George, w zamyśleniu próbując odebrać płaszcz od Sary, by go powiesić.

Irene chwyciła okrycie.

– Jeszcze nie. Ale on zawsze się spóźnia.

– Ale to my przyszliśmy późno.

– On jest zawsze jeszcze później.

Potem, gdy Irene poszła zamknąć drzwi, zobaczyła, że ktoś nadchodzi – młody Koreańczyk nieśmiało badał wzrokiem ścianę. Wystarczyły dwie sekundy, aby zorientować się, że tu nie pasuje. Z daleka wydał jej się znajomy. Ubrany w szary garnitur od Armaniego, w jednej ręce trzymał butelkę szampana Bollinger Blanc.

„Kto przynosi szampana na przyjęcie z cateringiem?”, zastanawiała się Irene, próbując sobie przypomnieć, w której galerii pracuje ten człowiek. Nie zaskoczył ją zbytnio fakt, że Sara mocno go uścisnęła.

– William Cho? Co ty tutaj robisz? Irene, poznałaś Williama? Studiował historię sztuki. Był na roku z McClellanem. Ty też byłaś w tej grupie.

Irene bez wahania uścisnęła jego dłoń w mokrej rękawiczce. Był bardzo szczupły i miał kości policzkowe, które z pewnością zapamiętałaby, gdyby tak wyglądał w college’u. „Rzadko kto ma takie kości policzkowe”, powiedziała do siebie. „Albo takie czarne jak smoła oczy”. Podobała jej się jego

dziewczęca górna warga, którą nerwowo przygryzał za każdym razem, gdy na nią spojrzał. Zwykle nieśmiałość nie robiła na niej wrażenia, ale ten gość miał w sobie coś, co sprawiało, że się rumieniła.

Sara zwróciła się do George'a:

– Pamiętasz Williama.

Uścisnęli sobie uprzejmie dłonie.

– Pewnie! William Cho, prawda? Poznaliśmy się na tym redakcyjnym przyjęciu z Lisą Schmidt. Sara przejęła po niej stanowisko redaktora, gdy Lisa wyjechała na Madagaskar z tym gościem od Rhodesa... jak on się nazywał, kochanie?

Sara oczywiście wiedziała (Henry Fordham junior). Pamiętała też, że tamta dziewczyna nazywała się Lisa Schlick. Twarz Williama zdradzała, że nie znał ani jego, ani jej.

– Chwila! Zanim się zagadamy – wtrącił George – pozwólcie, że przyniosę wam coś do picia.

Było jasne, że Irene musi poczekać, aż wszyscy goście przybędą, Sara jednak poprosiła o cokolwiek z dodatkiem likieru St. Germain. I wtedy właśnie William wyskoczył z butelką szampana, którą dotychczas ścisnął w dłoniach jak piłkę futbolową.

George z wdzięcznością wziął ją do rąk.

– Cholera, niezły towar, William.

– Ukradłem – niespodziewanie wyznał William.

– Że niby gwizdnąłeś? – spytał George. – Nie mów, że komuś to gwizdnąłeś.

Sara roześmiała się.

– „Gwizdnąłeś?”. A ty co, jesteś gangsterem z lat trzydziestych?

George puścił do niej oko, a William zaczął wyjaśniać:

– Tak. To znaczy nie. Nie obrabowałem sklepu monopolowego ani nic



z tych rzeczy. Po prostu wziąłem go spod wieszaka w biurze mojego szefa, bo stał tam od zeszyłych świąt.

Obracając w rękach butelkę, George odkleił z jej dna błyszczącą naklejkę z napisem: „Lenny’emu. Od rodziny Berg-Geldorf”.

– Cóż, dziękujemy państwu Berg-Geldorf! Sprawdzę, czy da się to gdzieś schłodzić.

Poklepał Williama po plecach, po czym – gdy Irene i Sara skupiły swoją uwagę na Williamie – wślizgnął się do głównej sali, udając, że dobrze się bawi.

Tak naprawdę jednak denerwował się jak nigdy. Myślami był gdzie indziej. Zwykle przyjęcie świąteczne w galerii zapewniało doskonały pretekst do tego, by raz do roku wystroić się i poczuć częścią tego miasta. Tym razem jednak nie był w nastroju. Rozglądał się po sali, posyłając uśmiechy do wszystkich i do nikogo konkretnie, czując, jak bardzo daje się zauważyć, że pochodzi ze Środkowego Zachodu, jak wyraźnie ci artyści dostrzegają senne pola kukurydziane w jego karnacji.

Nie żeby dorastał na farmie. Fairfield Beach znajdowała się dziesięć mil od miasta Columbus. Jego rodzice byli członkami jachtklubu. Dziś jednak nie w głowie mu były regaty. Liczył, że kilka drinków pozwoli mu ukoić nerwy. Choć wypadek zdarzył się na pasie w kierunku wschodnim, wszyscy jadący w jego stronę gapili się na ten karambol, jakby od tego zależało ich życie. Jakby nigdy wcześniej nie widzieli wypadku. O, patrzcie! Migające światła! Fascynujące!

Podnosząc wzrok, zorientował się, że barman bacznie mu się przygląda.

– Ma pan wiaderko z lodem, w którym mógłbym to schłodzić?

Lekko siwiejący mężczyzna zmarszczył brwi.

– To nie nocny klub. Nie zajmuję się butelkami.

Biedaczek wyglądał na bardzo zmęczonego. George uśmiechnął się i wyjął

dwadzieścia dolarów z portfela – wszystko, co tam miał – po czym wsunął je do słoika na napiwki. To zadziało, ale nie do końca. Barman wziął od niego butelkę, wstawił ją do wazy na poncz i ze złością zaczął napełniać ją lodem, urażony sugestią, że niby można go kupić, choć tak właśnie było.

George bawił się guzikiem od nowej marynarki. Rozpięta powiewała za nim jak peleryna, gdy szedł zbyt szybko. Z zapiętą wyglądał na sztywnego, prawie tak jak ten William. George nie przypominał sobie, żeby widział go w college’u. W ogóle gościa nie kojarzył. Był cichy, uprzejmy i wytwornie ubrany, co oznaczało, że Jacob go znienawidzi. Na samą myśl o tym, jak Jacob może go potraktować, George’a oblał zimny pot. A tak w ogóle to gdzie jest Jacob?

Jak to jest, że w ich towarzystwie to właśnie on zawsze przychodzi najpóźniej? Mógłby pojawić się w tej chwili, obrazić Williama, dziewczyny by się zdenerwowały, a wtedy George wkroczyłby do akcji, załagodził całą sytuację i spokojnie rozeszliby się do domu.

Kiedy barman z kwaśną miną skończył nakładać lód, George zamówił z ozdobnie drukowanego menu coś o nazwie Śmierć na Pustyni. Zawierało obrzydliwie dużo lukrecji. Pomyślał, żeby poprosić o coś innego – w końcu drinki były darmowe – nie chciał jednak okazać słabości. Wypił szybko i udawał, że pochłonał go wiszący obok obraz mężczyzny zjadającego własne trzewia. Jeśli w tej sali znajdował się jakiś prawdziwy artysta, to niewątpliwie była nim Irene. Przez lata miał okazję zobaczyć niesamowicie piękne rzeczy, które wyszły spod jej palców. Z niezwykłą łatwością kontrolowała grubość kreski, dobierała kolor farb oraz proporcje światła i cienia. Chodząc po muzeach, George był często pewien, że kątem oka dostrzegł gdzieś jeden z jej obrazów.

– Jeszcze jeden? – burknął barman.

– Śmierć na Pustyni – powiedział George. – Dosyć cyniczna nazwa.

– Taki wiersz. Wszystkie drinki mają nazwy od wierszy – wyjaśnił i wskazał palcem na logo firmy na serwetkach: „Stowarzyszenie Umarłych Poetów – obsługa przyjęć”.

– Uroczo – odparł George. – Czyli żadnych żyjących poetów? Nie mogli podać coś Billy’ego Collinsa w wysokiej szklance?

– Jałowa Ziemia jest całkiem dobra – zaproponował barman. – Na bazie herbaty i burbona.

I po chwili George trzymał w ręku mętnego burego drinka, który nie smakował ani jak herbata, ani jak burbon. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miał smaku, co George’owi akurat nie przeszkadzało, dopóki alkohol spełniał swoją funkcję, to znaczy sprawiał, że impreza stawała się coraz mniej wyrazista. Potem wypił jeszcze drink o nazwie Sara a Faerie Queene, z likierem St. Germain i borówkami, i znów zaczął rozglądać się po pokoju. Wreszcie zobaczył, że coś jest nie tak. W zeszłym roku przyszło więcej ubranych elegancko ludzi. O wiele więcej. Prawdę mówiąc, nie zobaczył nikogo w garniturze z wyjątkiem Williama. Czyżby garnitury nagle wyszły z mody? Naliczył całkiem sporo facetów z pirackimi wąsami. Dwóch, nie, trzech gości z bokobrodami. Co za sens wyróżniać się w ten sam sposób co wszyscy inni? Nic dziwnego, że ich głupia sztuka była tak głupia – prowokacyjna, lecz niegroźna. Nożyce w pozłacanej ramie.

Odwrócił się i jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Sary. Gawędziła z Williamem przy drzwiach balkonowych. Rzuciła George’owi krótki uśmiezek, który go kompletnie rozbroił. Czy któryś z obecnych tu gości umiałby to namalować? To uczucie, którego doświadczasz, gdy męczysz się na jakiejś gównianej imprezie i nagle kobieta, której masz zamiar się oświadczyć, uśmiecha się do ciebie. Prawą ręką George poklepał kieszeń na lewej piersi. Wyczuł znajdujące się tam małe pudełko, w którym tkwił pierścionek z diamentem należący do jego prababki ze strony ojca. Dziś podaruje go Sarze.

– Wszyscy mówią, że Gaussman będzie następnym Rosenquistem – usłyszał za plecami słodki, delikatny głos Irene. Rozmawiała z jakąś bardzo wysoką kobietą, wskazując na podłużny obraz przedstawiający różne jaskrawe loga witryn internetowych. Ten się George’owi spodobał, przynajmniej był kolorowy.

– Nie znoszę Rosenquista – odparła bardzo wysoka kobieta.

Irene zrobiła minę za plecami kobiety i powiedziała: – No tak, oczywiście. Dlatego właśnie...

I wtedy oboje usłyszeli znajomy gromki śmiech. To był Jacob, wreszcie, gawędzący ze starszą kobietą w etoli z lisa. – Sama pani zdjęła z niego skórę? Fachowa robota.

– George! – powiedziała śpiewnym głosem Irene, mijając go. – To kuratorka muzeum Morrison!

Nie miał pojęcia, co to oznacza, ale to było bez znaczenia. Miał za zadanie gasić pożary, które wywoływał Jacob. Wciąż trzymając w ręce drinka dla Sary, George zaczął przeciskać się między gośćmi. Gdy pojawił się już na miejscu zdarzenia, Jacob uważnie badał futrzany szal: – Niemal nie widać, gdzie go dopadły psy myśliwskie.

– Gdzieś ty się podziewał, Jake? – spytał George, patrząc przepaszająco na starszą panią kurator, która skorzystała z okazji i wymknęła się do pokoju obok.

Powąchawszy drinka Sary, Jacob wziął łyka.

– Ech, tu i tam, Georgie Porgie. Musiałem dłużej zostać w zakładzie. – Jake cmoknął językiem. – Trzeba było spacyfikować gościa, któremu się wydawało, że jest cholernym ninja.

Jacob Blaumann pracował jako sanitariusz w Anchorage House, prywatnym ośrodku resocjalizacyjnym w Westchester. Nosił krótką czarną brodę, która – gdyby zdecydował się ją zgolić – odrosłaby w przerwie na reklamę.

Oczywiście Jacob nie oglądał telewizji, nie miał nawet telewizora, a jedynym powodem – o ile George’owi wiadomo – dla którego zapuścił brodę, były bezceremonialne uwagi chłopaka, w którym Jacob zadurzył się na drugim roku, że z brodą wygląda „mniej pyzato”.

Dzień w dzień Jacob nosił tę samą brązową tweedową marynarkę, odkąd znalazł ją w Goodwill, a Irene powiedziała, że wygląda w niej barczyście. Od razu zapamiętywał sobie takie rzeczy, to prawda, ale co z tego?

Ta jego pewność siebie potrafiła zdziałać cuda. George niejednokrotnie był świadkiem, jak ulegali jej najróżniejsi mężczyźni w barach, na dworcach, w supermarketach i bibliotekach. Kiedyś Jacob pisał wiersze, ale teraz był tylko poetą. Specjalizował się w jakimś konkretnym gatunku epiki, która słabo się sprzedawała w czasach krótkich wiadomości tekstowych. „Przynajmniej moje wiersze nie mieszczą się na jednym listku papieru toaletowego”, lubił mówić. Teraz zajmował się gromadką psychicznie chorych pacjentów, których od czasu do czasu trzeba było spacyfikować, dać im zastrzyk i założyć kaftan bezpieczeństwa. Znalazł tę pracę, możecie wierzyć lub nie, w internetowym serwisie ogłoszeń drobnych. Okazało się, że jego wielkie gabaryty i fakultet z psychologii na coś się przydały.

– George – zagadnął, obejmując ramieniem starego przyjaciela – chciałbym kiedyś zapolować na lisy. Co ty na to?

– Och, co najmniej raz przed śmiercią – westchnął George tęsknie.

– Zorganizujmy takie polowanko na Madison Avenue. Załatw jakieś psy myśliwskie. Z długimi uszami i wyostrzonym węchem. Ty i ja za nimi na koniach. Jeden z nas będzie dawał sygnały na trąbce. Wiesz przecież, że grałem na trąbce w naszej miejskiej filharmonii. – Jacob przyłożył do ust zwiniętą dłoń. – Tru tu tu tuuuu! Tru tu tuu!

Niemal wszyscy goście w pokoju patrzyli teraz w ich stronę. George’a niezmiennie bawiło lekceważące zachowanie byłego kolegi

z pokoju, gdyż sam nie potrafiłby zdobyć się na taką bezczelność. Jacob wręcz przeciwnie: jeśli kiedykolwiek zdarzyło mu się być uprzejmym (a Sara uparcie twierdziła, że nie zdarzyło się to jeszcze nigdy), wkrótce zagłuszał to jakimś wrzaskiem. George lubił myśleć, że w ten sposób się uzupełniają.

– Banda ciekawskich! – zadrwił Jacob, wcale nie ścisząc głosu.

George wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– À propos, utknąłem dziś w korku za karambolem, zderzyło się sześć aut...

– Czekał no. Gdzie jest bar w tej spelunie?

– Tam. Spodoba ci się. Wszystkie drinki są nazwane od tytułów wierszy.

Twarz Jacoba rozjaśniła się jak tysiącwatowa żarówka. – I jak tu nie kochać tego miasta?

Irene posłała im pełne dezaprobaty spojrzenie z drugiego końca sali, po czym nonszalancko potarła lewe oko grzbietem prawej ręki, oddając się pogaduszkom z kolejnym darczyńcą. Czując wzrok George'a na sobie, pokazała mu język i wybałuszonymi oczyma spojrzała na zzieleniałego batata w plastikowej obudowie, którego umieszczono z tej strony baru.

George pogłaskał się po brzuchu, udając, że jest głodny. W milczeniu wskazała spleśniałe warzywo, a on podrapał się w brodę, jakby rozważał, czy nie skorzystać z jej propozycji. Udał, że wyjmuje książeczkę czekową i wypisuje na niej bardzo dużo zer.

– Noż kurwa, dajcie spokój! – wrzasnął Jacob. – Mają drinka o nazwie Jałowa Ziemia! A powinno być Ziemia Jałowa. Tak brzmi ten tytuł. Wszyscy go mylą. Poza tym to dzieło jest wyjątkowo przereklamowane – ciągnął – nie może się równać, na przykład, z *The Bridge* Harta Crane'a. Tym poematem powinien być nazwany jakiś drink. Wspomniana jest tam cieśnina East River... – Mógłby tak bez końca, lecz coś odwróciło jego uwagę. – Ej, powiedz mi, skąd ja mogę znać tego młodego Koreańczyka?

George zamówił jeszcze dwie Jałowe Ziemie i pięć kieliszków szampana,

który przyniósł William. Teraz, gdy wszyscy znaleźli się już na miejscu, można było zacząć imprezę.

William Cho wciąż nie mógł się nadziwić. Przebywał właśnie w apartamencie na ostatnim piętrze jednego z najbardziej luksusowych hoteli na Manhattanie, w towarzystwie artystów i mecenasów. O jego uszy obijały się różne akcenty. Tuż obok niego przemknęła właśnie jakaś Iranka z sowimi piórami wpiętymi we włosy. Balkon zasypywał śnieg, a za nim płatki spadały sto pięter w dół na ulice miasta.

Jakiś Somalijczyk stojący przy oknie gestykulował z ożywieniem, a platynowa bransoletka jego zegarka błyszczała w świetle reflektorów. Diamenty okalały szyję białej dziewczyny stojącej w kolejce do łazienki, która mogła mieć co najwyżej dwadzieścia lat. Wraz z jakimś brazylijskim chłopcem, który prawdopodobnie był jej rówieśnikiem, przyglądali się uważnie krętej szklanej rzeźbie, która przypominała Williamowi zamarznąłą falę pływową. Oto tkwił między nimi wszystkimi, czując się dziwnie bogaty przez samą obecność w ich gronie, zwłaszcza że stał tam i rozmawiał z samą Sarą Sherman – czy raczej wysłuchiwał jej w milczeniu. Nie łudził się, że Sara go pamięta.

Na studiach tamta czwórka wszędzie jeździła razem. Podczas gdy każda inna grupka przyjaciół z uczelni doświadczała pewnych ruchów sejsmicznych i okazjonalnych fuzji, oni byli nierozłączni. Ludzie nazywali ich Rodziną Murphych. William szczególną sympatią darzył Irene, piękność o dużych oczach, która ciągle spóźniała się na zajęcia z historii sztuki. Po kampusie krążyła plotka, że tak naprawdę nie jest studentką, lecz miejscową, która mimo to została wybrana na skarbnika Ballroom Dance Society i wystawiła kilka swoich obrazów w galerii Digital Media – nie płacąc ani centa za czesne. William nie zawracał sobie głowy zastanawianiem się, dlaczego wszystkie drzwi się przed nią otwierały. Przesiadywała w bibliotece, uczęszczała na

wykłady, noce spędzała w akademiku, zawsze zjawiając się tam, gdzie się jej nie spodziewano. Była dobrym duchem, nieodłączną częścią tej uczelni.

Przez cztery lata studiów William nigdy nie zamienił słowa ani z nią, ani z żadnym z jej znajomych. A teraz wszyscy znaleźli się na tym samym przyjęciu. To oczywiście nie był zbieg okoliczności.

William mieszkał w Murray Hill, a pracował w Joyce, Bennett and Salzman, firmie inwestycyjnej mającej wielu bogatych partnerów i jeszcze bogatszych klientów. Spędził tam trzy nieprzyjemne lata. Jeszcze zanim Lehman Brothers i Merrill Lynch zasiali wszechobecną panikę, William martwił się, że go wyleją. Podobnie jak w college'u, w dorosłym życiu wszystko opierało się na znajomościach. Wymówienia poszły w ruch i kierownictwo zaczęło zwalniania od ludzi, którzy mało ich obchodzili – albo których nawet nie pamiętali. William miał świadomość, że się nie wyróżnia. Ani w firmie JB&S, ani nigdzie indziej. Zawsze unikał wielkiej imprezy świątecznej, weekendowych spędów w domu Bennetta w East Hampton. Nie świętował również udanej fuzji z Fontainebleau, uczczonej rejsem wokół wyspy jachtem Salzmanna, do której doszło w dużej mierze dzięki analizom przeprowadzonym właśnie przez niego. Każdy z tych wieczorów spędził jak wszyscy: w domu, oglądając stare filmy. I dzisiaj pewnie też siedziałby przed telewizorem, gdyby dwa tygodnie wcześniej nie spotkał w galerii Irene.

Pan Joyce wysłał Williama do miasta, aby odebrał ogromną dekorację ścienną przedstawiającą wytrybowane kurczaki, którą jego żona zamówiła u malarza o nazwisku Xeer Sool, wtedy najwyraźniej bardzo modnego. I tam właśnie spotkał Irene Richmond! W potłuszczonych ogrodniczkach, piękna jak zawsze, usiłowała pomóc wściekłemu austriackiemu rzeźbiarzowi ustawić łopatki wentylatora dokładnie pod kątem trzydziestu dziewięciu stopni. Nie podniosła nawet wzroku, ale William wiedział, że nawet gdyby go zobaczyła, i tak by go nie rozpoznała. Na uczelni był przezroczysty. Nie przyciągał uwagi.



Jak cienka beżowa tapeta, która imituje farbę. Nieważne. Nie mógł zapomnieć o Irene. Prawdę mówiąc, nawet mu się śniła. Te sny były zawsze biało-czarne, jakby grała w jednym z tych starych filmów, które tak lubił oglądać.

Kilka dni później wśród listów do pana Joyce'a zobaczył zaproszenie na przyjęcie gwiazdkowe w K Gallery. Wiedział, że pani Joyce wraz z mężem będą w tym czasie w górach i nie dadzą rady z niego skorzystać. Więc ukradł je tak jak tę butelkę szampana. Indeks Dow Jones leciał w dół. I tak pewnie go zwolnią. Mimo to przez tydzień bił się z myślami, czy pójść na przyjęcie w zastępstwie pani Joyce – jedynie po to, aby znów móc zobaczyć Irene. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby z nią zamienić słowo ani że będzie stała w odległości kilku metrów od niego, uśmiechając się w jego kierunku.

Irene przede wszystkim cieszyła się, że Sara ma fajnego kompana do rozmowy, gdyż ona sama musiała z zawodowego obowiązku podtrzymywać towarzyskie pogawędki, a George'a i Jacoba trudno było od siebie oderwać. Wiedziała, że istnieje szansa, że Sara będzie chciała Williama zaadoptować. Nieustannie opiekowała się zabłąkanymi – w końcu kiedyś była jedną z nich. Irene oczywiście zdawała sobie sprawę, że William wciąż na nią zerka. Spoglądał na nią, a potem szybko uciekał wzrokiem, jakby była słońcem i patrząc za długo w jej kierunku, mógł uszkodzić sobie siatkówkę. Poczekala, aż znów zacznie się na nią gapić, i uniosła w górę lampkę szampana.

William odwrócił głowę tak szybko, że chyba zerwał sobie więzadło, czy co tam ma się w szyi. Co ona sobie pomyśli o tym, że tak ciągle łypie na nią okiem? O! Ale teraz jej usta układają się w bezgłośnie „dziękuję”. Tylko, do licha, za co? Aha. Za szampana. No to w porządku.

Sara wyjaśniała, że George został astronomem, tak jak zawsze planował. To znaczy naukowcem. A dokładnie: asystentem biorącym udział w badaniach. No ale w dość szanowanym obserwatorium, i z pewnością jest na dobrej

drodze, by zostać samodzielnym wykładowcą, kiedy ukończy swą pracę badawczą. Kiwała w stronę George'a i Jacoba tak nachalnie, że w końcu poddali się i przyszli.

– Jacob też był na klasycznej. Musieliście chodzić na te same zajęcia! – Sara nie dawała za wygraną. – Ten wydział miał wielkość znaczka pocztowego. Tam wykładało tylko czterech profesorów: Douglas, Jones, Khan, no i ten alkoholik. Wilfrey!

– Po co zapamiętałaś kadrę z wydziału sztuki klasycznej z roku 2003? – spytał Jacob.

Sara postukała się w prawą skroń.

– Twardy dysk.

Jacob spojrzał na Williama.

– No cóż, ja z kolei mam pamięć dziurawą jak ser szwajcarski. Bez urazy, ale przysięgam, że cię nie kojarzę.

Sara wiedziała, że kłamie. Oczywiście, że Jacob pamiętał Williama, a jego udawanie, że jest inaczej, musiało coś znaczyć. Po co to robił? Gdy chciał, a niemal zawsze chciał, Jacob potrafił być niezłym draniem. Ostatnimi laty próbowała wprowadzić kilkoro nowych przyjaciół do ich grona, ale żadna z tych osób nie utrzymała się w nim długo.

Teraz jednak miało być inaczej. William rumienił się za każdym razem, gdy spojrzał na Irene. Pasowali do siebie idealnie. A na pewno William był bliżej ideału niż ci okropni ludzie, z którymi Irene ostatnio łądownała w łóżku. Sara w myślach prześledziła jej podboje z 2008 roku: Connie – zgorzkniała rozwódka; Sasha – były łyżwiarz figurowy z „lekką” skłonnością do koki; „Kowboj” Lenny, który okazał się członkiem jakiejś sekty; no i Anne, szefowa kuchni z Lower East Side, której podłość przewyższała utarg w jej restauracji.

Jednak teraz w spojrzeniu Irene skierowanym na Williama dało się wyczuć pewną łagodność.

– Żałuję, że nie zostałem na wydziale klasycznym – wyznał William. – Ostatecznie wylądowałem na Yale na studiach MBA.

– Mówisz tak, jakbyś się poślizgnął i wpadł tam przez przypadek – powiedział Jacob.

Sara dała mu pstryczka w ucho. – Nie zwracaj uwagi na Jacoba. On nienawidzi każdego, kto studiował w Yale.

– Dlaczego? Poszedł... przepraszam, poszedłeś na Harvard?

– Nie – odparła cierpko Sara. – Do Yale go nie przyjęli, a jego ego ucierpiało i do dziś nie może dojść do siebie. Pomyślałbyś, że sam Harold Bloom przyszedł i udusił jego szczeniaczka.

Jacob ostentacyjnie ignorował ich oboje. Razem z George'em szeptali do siebie coś o tym i tamtym, jednak nie tak cicho, jak im się wydawało. William stał samotnie, udając, że patrzy na padający za oknem śnieg, i próbował nie dać po sobie poznać, że podsłuchuje ich rozmowę – choć stali tuż obok niego i odkąd Sara gdzieś poszła, nawet nie próbowali mówić cicho.

– Tutaj? – spytał Jacob. – Przy wszystkich? Jesteś beznadziejny.

– Dziś jest nasza rocznica – tłumaczył się George, tak entuzjastycznie, że aż nienaturalnie.

– To żenujące, że wy nadal obchodzicie te swoje rocznice. Osiem lat od pierwszego macanka. Osiem miesięcy od pierwszej wspólnej podróży! Pięć lat i sześć miesięcy od waszego pierwszego razu! Jesteście w gimnazjum, czy co? To obrzydliwe.

– Możesz się uciszyć?

Jacob wzruszył ramionami.

– Może i mogę.

– Chciałaby, żebym to zrobił tutaj – podjął znów temat George – w towarzystwie najbliższych przyjaciół.

Jacob prychnął: – A co zrobisz, gdy powie „nie”?

– Nie powie.

– Zapomniałem, że potrafisz przewidywać przyszłość. Musisz kiedyś spojrzeć na mój portfel inwestycyjny.

– Nie masz żadnych inwestycji. Ledwo dorobiłeś się własnej kanapy.

– Połowę kasy z bar micwy zainwestowałem w akcje Nintendo i nie obrażaj naszej niebieskiej wersalki! Kupiliśmy ją razem, pamiętasz? Bzykałem się na niej częściej niż...

William uznał, że to być może nie jest odpowiedni moment, aby zaproponować Jacobowi, że spojrzy na jego portfolio, i poinformować, że firma, w którą zainwestował, radzi sobie lepiej, niż oczekiwano, chociaż od października indeks Dow spadł o jakieś pięć tysięcy punktów. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że porozmawia z Jacobem o poezji – na studiach pisał pracę z *Iliady* – ale Jacob nie wykazywał żadnego zainteresowania pogawędką z nim, więc William uznał, że najlepiej będzie, jak sobie po prostu pójdzie. Podszedł do kelnera niosącego tacę z klopsikami z kaczki w sosie bulgogi. Wziął jednego i zjadł. Wykałaczkę, która pozostała mu w ręku, potraktował jako doskonały pretekst, by udać się do kuchni, gdzie dostrzegł szepczące do siebie Irene i Sarę. Nie zauważyły go, gdy wyrzucał wykałaczkę i zaczął rozglądać się za serwetką, w którą mógłby wytrzeć ręce.

– Więc co powiedziała na wizycie kontrolnej? – pytała Sara.

– Nie wiem! Zbadała to i tyle. – Irene dołała sobie szampana z przyniesionej przez Williama butelki, którą wzięła od barmana i chowała za gigantyczną figurką Estelle Danziger przedstawiającą dziadka do orzechów nieskromnie prezentującego swe genitalia.

Sara nadstawiła swój kieliszek.

– Mam nadzieję, że tym razem zrobiła coś więcej niż tylko zdjęcia.

– Ona, nie wiem, chyba wbiła w to igłę.

– No to wbiła czy nie?

– Pobrała wycinek czy coś takiego. Nie patrzyłam.

– Skarbie, jesteś po prostu beznadziejna.

Irene wyglądała na zdruzgotaną i złożyła głowę na ramieniu Sary. Sara powiedziała jej, że wszystko będzie dobrze.

William żałował, że nie jest w temacie, ale nie miał szansy dowiedzieć się więcej, gdyż Jacob już przecierał szlak prowadzący do dziewczyn, a tuż za nim kroczył George. William udał, że właśnie szedł w ich stronę.

Jacob był w trakcie wygłaszania swojej tyrady.

– Jestem ogólnie przeciwny samej instytucji małżeństwa! I strasznie mnie wkurza, że chcą zalegalizować związki jednopłciowe. Brak konieczności zawierania ślubu dawał nam jedyną przewagę nad wami. No i jeszcze to, że w razie czego możemy wymigać się od wojska... Przysięgam, za chwilę wymyślę, jak mogę zająć w ciążę.

Sara rzuciła George'owi pełne zdziwienia spojrzenie, a George tylko wzruszył ramionami.

William uznał, że to będzie najlepszy moment, by się ulotnić, więc poklepał Sarę po ramieniu i udając ziewnięcie, powiedział: – Będę leciał. – Sięgnął do kieszeni po wizytówkę, ale coś go powstrzymało: niezwykle gładka i miękka dłoń Irene.

– Nie wygłupiaj się! – powiedziała. – Jeszcze nie zamieniłeś ze mną nawet jednego słowa.

Williama kompletnie zatkało.

– Cześć – wydusił ledwo z siebie.

– Sara, pójdziesz ze mną na balkon? – przerwał im George.

Sara jednak była zbyt zajęta rozmową.

– Jacob, wiedziałeś, że William pisał pracę z *Iliady*?

William skinął potwierdzająco głową.

– Moim promotorem był profesor Douglas. Zajmowaliśmy się paradoksem

fatum i boskości... Chodzi mi o to, że potężnych bogów Olimpu do pewnego stopnia ograniczały trzy Mojry, które górowały nad nimi i działały niezależnie od nich...

– Tak, tak – przerwał mu Jacob. – Które tłumaczenie jest twoim zdaniem najlepsze?

– Lattimore’a.

Jacob zakasłał.

– Lattimore’a? Daj spokój! Nawet Fagles czy Lombardo zrobili lepszy przekład. Chryste, nie wierzę, że przyjęli cię do Yale z wersją Lattimore’a.

Irene odezwała się złośliwie: – Ej, nie krytykuj mojego Lattimore’a. A tak na marginesie, słyszałam, że Fagles i Lambada odwalili totalną fuszerkę. Jechali na spidzie, tłumaczyli po nocach. Niejednej dziewczynie złamali serce.

– Cicho bądź. – Jacob dał jej kuksańca w bok.

– Ej. – Irene zrobiła kapryśną minę. – Jak długo już tu jesteśmy? Może byś się ze mną wreszcie przywitał?

Jacob skłonił się.

– Witaj, pani.

William poczuł, że się czerwieni. Nie znał nikogo, kto tak szybko przechodziłby w rozmowie od uszczypliwości do czułości. Widać, że mieli za sobą lata praktyki.

Próbował sprowadzić rozmowę na temat, w którym czuł się pewnie.

– Wersja Faglesa jest całkiem ładna...

– Ładna? Ładna? My tu mówimy o Homerze. Ładna to może być kartka urodzinowa! Ładna? Mój Boże!

Gdy Jacob rozpoczął swą słynną tyradę o nadużywaniu przez społeczeństwo niektórych przymiotników, które w zasadzie nie niosą za sobą żadnego znaczenia, George poprosił o wybaczenie i udał się do toalety. Nikt nie zauważył, że się ulotnił. Przed wejściem stała spora kolejka, więc dla

zabicia czasu pochłonał kolejną pozbawioną smaku Jałową Ziemię. Alkohol sprawiał, że impreza stawała się mniej wyraźna, ale miał też niestety negatywny skutek uboczny – potęgował nerwowe myśli. George stwierdził, że przemyje twarz zimną wodą i może to go orzeźwi. Wreszcie dostał się do środka. Wewnątrz panował względny spokój. Zrobił trzy głębokie oddechy.

Cała łazienka wyłożona była białym marmurem i miała imponujące sklepienie w stylu greckim. Było to jedyne pomieszczenie w całym apartamencie pozbawione elementów sztuki współczesnej i gdy mył ręce i ochlapwał twarz zimną wodą, docenił tę odświeżającą, przyjemną hotelową sztukę – białe klify górujące nad wybrzeżem Krety, okrągły brązowy półmisek pokryty patyną, rzeźbę cherubina nad wanną.

Nareszcie był sam. Przybrał naturalny wyraz twarzy, rozluźnił się i spojrzał sobie głęboko w oczy. Miał rozczochrane włosy, a marynarka wydała mu się przyciasna w barkach. Nie przywyknął do uczucia nerwowości i skrepowania. Wszystko szło dobrze do tego głupiego wypadku – dziś jednak nie chciał o tym myśleć, nie w ten wyjątkowy wieczór. Delikatnie wyjął pierścionek zaręczynowy z kieszeni i położył go na oświetlonym blacie. Wcześniej nie mógł tego zrozumieć. Dlaczego akurat diamenty? – zastanawiał się zawsze. To takie sztywne. Jednak teraz, gdy patrzył na ten pierścionek, wyobrażając sobie, jak wręcza go Sarze, pojął, że wszystko inne byłoby nietrwałe i niegodne jej palca.

To, co mówił Jacobowi, było prawdą. Nie przyjmował do wiadomości, że Sara mogłaby nie zgodzić się za niego wyjść. To było już od dawna przesądzone. Miał tylko nadzieję, że będzie to godne zwieńczenie ich dziesięcioletniego związku.

Trącił pierścionek koniuszkiem palca. Będzie pasował? Pewnej nocy, gdy już spała, zmierzył obwód jej palca kawałkiem sznurka. A co, jeśli zrobił to źle? Pierścionek wydawał mu się za wąski. Znów go trącił. Zobaczył, że

umywalka miała wielki otwór odpływowy, i ciarki przeszły mu po plecach. Wcześniej tego nie zauważył. Nie strąć go do zlewu. Nie upuść go. Podnieś go ostrożnie... Chryste! Zagiął palec w łuk przypominający sufit nad jego głową. Mimo że był bardzo ostrożny, pierścionek odrobinę się zsunął. Myślał, że głowa mu eksploduje. Głowa albo serce. Ale udało mu się go podnieść i nie upuścić.

Mimo to jakiś przekorny chochlik w jego głowie kazał mu to sobie wyobrazić: ze spoconych palców wymyka się pierścionek; on próbuje go chwycić, ale nie udaje mu się. Słyszy przeraźliwy odgłos obrączki odbijającej się o porcelanę. Patrzy do umywalki i znów słyszy brzdęk upuszczonego przedmiotu. Sięga, żeby go złapać, ale jeszcze pogarsza sprawę. Pierścionek odbija się od jego błędzącej po omacku ręki jak komar i znika. Nie ma go. Wpadł do środka. Przepadł na zawsze.

Ścisnął obrączkę mocno w dłoni, czując ukłucie diamentu. Przez głowę przemknęła mu myśl, żeby pomodlić się o łaskę ufności, ale ktoś już szarpał za klamkę. Boże, żeby już było po wszystkim i żeby mógł się jutro obudzić i znów poczuć się dobrze. Delikatnie włożył pierścionek z powrotem do pudełka, a pudełko z powrotem do kieszeni. Zachciało mu się wymiotować, ale znów usłyszał, że ktoś próbuje wejść. Ludzie czekali na swoją kolejkę.

Impreza rozkręcała się powoli i ostatecznie się nie rozkręciła. Cztery czy pięć osób próbowało tańczyć do czeskiej muzyki ludowej, którą ktoś puścił z iPod'a. Była z tego kupa śmiechu, ale więcej tańców już nie było. Ktoś o mały włos rozwalił zderzak chevroleta, ktoś inny spił się do utraty przytomności i zaległ w sąsiedniej sypialni, ktoś mówił, że już kończy się jedzenie, a jeszcze ktoś zasugerował, że skoro barmani będą tu tylko do drugiej, to może lepiej wziąć taksówkę i dokończyć imprezę w tym nowym klubie na Allen Street, no i chwilę później apartament opustoszał.

Irene ledwie to dostrzegła. Po kilku drinkach goście woleli sami włożyć na



siebie płaszcze, a Abeba wyszła, obejmując nabywcę budynku Goldman Sachs. Minutę później Juliette wybiegła za nią, wpychając Irene kopertę do ręki. Żadna z nich już nie wróciła. Po czym nagle, bez ostrzeżenia, impreza dobiegła końca. Irene dostała SMS-a od Abeby o treści: „W drogę do Jersey, wielki dzięki z pomoc”. Wyjęła z koperty czeki i napiwki i wręczyła je ludziom od katering. Barmani zostawili kilka w połowie pełnych butelek, co było miłe z ich strony. Teraz zostali już tylko oni.

Taka sytuacja zdarzyła się po raz pierwszy, odkąd zaczęli bywać na tych przyjęciach, więc podekscytowali się nią jak małe dzieci, którym rodzice pozwolili nie iść do łóżka, a sami poszli spać.

– Zamierzam zbezcześcić niektóre z tych tak zwanych dzieł sztuki – ryknął Jacob.

– Nie możesz ich zbezcześcić, bo one już są odrażające – krzyknęła Sara.

– Wypierdolę stąd tego spleśniałego batata! – oznajmił Jacob. Jednak zielonej plastikowej skrzynki nie dało się otworzyć, więc zamiast tego zaczął udawać, że robi fellatio wykutemu w żelazie pawianowi.

– A ty jaką sztukę uprawiasz? – nieśmiało spytał William Irene.

– Absolutnie nie taką jak ta – odparła Irene ze śmiechem.

– Na balkon! – krzyknął Jacob, w jednej ręce dzierząc nową butelkę szampana, a drugą rozsuwając drzwi balkonowe. Do środka wpadło mroźne powietrze, a płatki śniegu tańczyły nad ich głowami, zanim unicestwiła je temperatura w pokoju.

– Obsługa hotelowa nie pozwoliła nam z niego korzystać! – krzyknęła Irene.

– No to powinni byli go zamknąć!

– Widzisz przecież, że pada śnieg. Wręcz sypie – powiedział George, wychodząc mimo to za Jacobem. Ciemne szczyty wieżowców kołysały się jak wielkie drzewa na wietrze. Zabrało mu chwilę, zanim zorientował się, że to on się chwieje, a nie one.

William zdjął kurtkę i podał Irene, gdy wyszli na balkon. Przyjęła ją z wdzięcznością i chwiejąc się na obcasach, przytrzymała się jego ramienia.

– Prawdziwy dżentelmen! – powiedziała Sara, pokazując George’owi język. Już prawie zdjął marynarkę, ale przypomniał sobie, co schował do kieszeni, i znów zaczął ją wkładać, co wyraźnie sprawiało mu problem.

– Ale ze mnie ciapa! – zaśmiał się.

– Ojoj... – Sara zawsze miała lekki ubaw, gdy George za dużo wypił, jakby był dzieckiem, które zjadło za dużo waty cukrowej na festynie.

– Tam. Jest. Jacuzzi – rzekł Jacob, gapiąc się w przeciwległy róg balkonu, jakby właśnie zobaczył w nim Całun Turyński.

– Tam jest jacuzzi. Jacuzzi.

– Woda jest pewnie lodowata! – krzyknęła Sara.

Jacob pośliznął się, biegnąc w kierunku ogromnej plastikowej wanny przykrytej grubym wiekiem. Przycisnął dłonie do pokrywy i z zadowoleniem uniósł w górę oczy.

– Ciepła! – wrzasnął. – Jest ciepła!

– Co z tego, skoro nikt z nas nie ma stroju do kąpieli! – krzyknął George.

– Przecież widziałeś mnie nago tysiąc razy – odparł Jacob, po czym ściągnął z siebie sweter i zaczął rozpinać guziki od koszuli.

– Ale William cię nie widział! Jacob, wkładaj te ciuchy w tej chwili! – krzyknęła Irene.

Było jednak za późno: George już mu pomagał podnieść pokrywę jacuzzi. W podobnych sytuacjach ta dwójka zachowywała się jak członkowie jednego bractwa. Irene bała się, że Juliette i Abeba mogą wrócić albo że któryś z gości zapomniał telefonu czy torebki i pojawi się tu lada chwila – była już jednak zmęczona zamartwianiem się. O pracę i o wizytę u lekarza. Zaczęła rozwiązywać sukienkę. Chłodne powietrze działało kojąco na jej obolałe mięśnie, a zmęczone stopy prosiły się, żeby wyzwolić je z butów.

– Irene! – wrzasnęła Sara.

– Daj spokój, Mamuśka – powiedziała Irene, zwracając Williamowi jego płaszcz.

– William! Wybacz... zwykle nie jesteśmy tak lekkomyślni.

Policzki płonęły mu mimo mrozu.

– Chyba już pójdę.

– Do zobaczenia! – krzyknął Jacob, pokazując wszystkim swój tyłek, zanim zanurzył go w wodzie.

– William, proszę, zostań! – błagała Sara. – Będzie mi głupio, jeśli wyjdiesz.

Naprawdę? Gdyby przyszło im się spotkać za dwadzieścia lat, pamiętałyby jeszcze, co zaszło? „Ten wieczór w jacuzzi, w hotelu Waldorf, kiedy wszyscy się spiliśmy, a ty wyszedłeś?”. William był pewien, że zapamięta i że on też będzie pamiętał, i miał już dość wspomniania tych wszystkich sytuacji, gdy wyszedł, zanim wszystkim urwał się film. W dodatku Irene wreszcie zdjęła sukienkę. Chciał na nią spojrzeć, ale nie śmiał. Zamiast tego popatrzył na migające na czerwono światelka na dachu budynku. Wiele lat temu ojciec powiedział mu, że są tam po to, żeby samoloty nie uderzały w wieżowce.

George, rozebrany do pasa, wtargnął do środka, zostawiając marynarkę w bezpiecznym miejscu na kanapie.

– Żyć nie umierać – usłyszał okrzyk Jacoba.

– Przynieś szlafroki – krzyknęła Sara. – Albo chociaż jakieś ręczniki.

George wygrzebał z szafy dwa frotowe szlafroki i wziął z łazienki parę ręczników.

Kiedy wrócił na balkon, zastał trójkę swoich przyjaciół – i Williama – w wannie buzującej od bąbelków. Bielizna dziewczyn prześwitywała, ale od ramion w dół zanurzone były w wodzie. William wciąż wlepił wzrok w stratosferę.

– Właż do środka, dzieciuchu! Nie będziemy patrzeć – wrzasnął Jacob do George’a.

George rozpiął koszulę, dziewczęta gwizdały i wrzeszczały, dopóki nie zdjął spodni, a Jacob zaczął nucić klasyczną melodię do striptizu: „Da da da DA... Da da da DA...”.

– Żadnych drobnych banknotów! – zażartował George. – Tylko pięcio- i dziesięciodolarówki albo wracam do środka. – Strzelił gumką swych niebieskich bokserów z Supermanem, a Sara i Irene zapiszczały, po czym wszedł do wanny z gorącą wodą i zanurzył w niej głowę na dźwięk strzelającego korka od szampana.

Po wynurzeniu się i wzięciu wielkiego łyka z butelki George zwrócił się do Williama: – Po tym, co dzisiaj zaszło, albo zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi, albo więcej się do nas nie odezwiesz.

– Noc z Rodziną Murphych – zażartował William.

– O Boże! Pamiętacie? Tak na nas mówiono! – wykrzyknęła Sara. George zaczął rozmawiać z nim o wspólnych znajomych ze szkoły i tych, którzy też studiowali na Yale. Zachowywali się tak, jakby od zawsze byli przyjaciółmi.

Yale. Wbrew pozorom Jacob powoli zaczynał się denerwować. William zapewne sądzi, że oni takie rzeczy robią co weekend, a tak naprawdę to był pierwszy raz, kiedy w czwórkę zdobyli się na podobne szaleństwo. Powinien się teraz cieszyć – jak by nie było, zawsze namawiał ich właśnie na coś takiego. Był ich wiecznym dostarczycielem rozrywek. Satyrem grającym na fletni; bogiem wina; anarchicznym duchem, którego tak potrzebowali. Wiele lat temu to właśnie on nalegał, by wzięli grzybki i rozładowali istniejące między nimi napięcie podczas jakiejś orgii. Śmiali się z niego, ale on mówił serio. On miał ochotę na George’a, a George pragnął Irene. Irene z kolei kochała się w Sarze i w George’u zresztą chyba też, więc dlaczego nie? Każdy kochał się w każdym – tylko nie w nim.

I gdy tak siedzieli sobie w gorącej kąpeli na ostatnim piętrze jednego z najbardziej ekskluzywnych hoteli na Manhattanie, zaczął czuć się coraz mniej jak dzieciak sam w domu pod nieobecność rodziców, a coraz bardziej jakby wszyscy byli dorośli. Całe to potężne napięcie seksualne wyparowało. Siedzieli tam sobie czysto platonicznie jak rodzeństwo w jednej wannie.

A teraz George chce się oświadczyć? Oczywiście Jacob wiedział, że to prędzej czy później się wydarzy. Od lat zapowiadało się, że ten dzień, ten nieubłagany koniec nadejdzie. Koniec z piciem szampana w bąbelkowej kąpeli o trzeciej nad ranem i z żartami o polowaniu na lisy. Koniec z ich wieloletnim zwyczajem odkrywania miasta z pozycji przybyszów na nieznanym lądzie. Są tutaj i lada moment połowa z nich znajdzie się w związku małżeńskim – beznadziejnie monogamicznym. Po co oni to robią? Od teraz będą jedynie kolejną kiepską, aseksualną parą, a on zostanie sam z Irene.

George znów ekscytował się swoją przygodą na autostradzie, a Irene opowiadała Williamowi i innym, jak spędziła dzień – jak jeździła po mieście, wożąc różne dzieła sztuki. William z kolei mówił, jak bardzo mu się niektóre z nich podobały – i że w Yale chodził na dodatkowe zajęcia „Sztuka po Warholu”.

Jacob wybuchnął niekontrolowanym śmiechem.

– Sztuka? – krzyczał, spluwając. – To gówno nie jest sztuką. Tak to jest, gdy ludzie, którzy sztuki nienawidzą, zabierają się do tworzenia własnej.

Irene przytaknęła. William poczuł się ośmielony.

– Co dziś, w czasach komercjalizacji, można uznać za sztukę, skoro drinki, które cały dzisiejszy wieczór popijaliśmy, nazwano od wierszy i poetów, żeby na nich zarobić?

Jacob prychnął: – *Ziemia jałowa* będzie, kurwa, *Ziemią jałową* bez względu na to, czy ktoś przekreśli jej tytuł w nazwie drinka. Chrzanić to. Czy poprzestawiasz wyrazy w tytule, czy nie, nie umniejszysz wartości tego dzieła.

– Racja! – zawołała Sara.

William wstał.

– Cóż, ten spleśniały batat w przezroczystym pudełku każe ci zadać sobie pytanie: „Co tak naprawdę jest sztuką?”. Na to pytanie nigdy nie będziemy w stanie odpowiedzieć.

– Ależ znamy odpowiedź. Zaraz ci ją podam – powiedział Jacob.

– Ale... – zaczęła Irene.

– Dość! Żadnych ale! – wrzeszczał i żeby zademonstrować, o co mu chodzi, wynurzył z wody swój wielki biały tyłek<sup>1</sup>.

Rozległy się wrzaski i jęki, gdy Jacob wyszedł z wanny na mokrą podłogę.

– Prawdziwa sztuka zaciera wrażenie sztuczności. *Straż nocna* nie rzuca się na ciebie i nie mówi: „Hej! Jestem tylko warstwą farby!” Nie. Sprawia, że zapominasz, że w ogóle ktoś ją musiał stworzyć. Sprawia, że patrząc na nią, cały drżysz. Jeśli ktoś się trzęsie na widok zapudełkowanego batata, to dlatego, że się śmieje albo wymiotuje.

Nikt nie dyskutował z tym, co Jacob miał do powiedzenia w tej kwestii, ale on był tak nakręcony, że nie mógł przestać.

– Sztuka sprawia, że czujesz coś, czego nigdy wcześniej nie czułeś. Odczuwasz bowiem to, co odczuwał ten ktoś, kto ją tworzył, a jeszcze lepiej ta, która tworzyła. To wnikanie w czyjeś życie. Sprawia, że kochasz tak, jak kochał ten ktoś, i nienawidzisz tak, że toczysz tę samą żółć i jad. Jedynie dzięki sztuce możemy wzbić się ponad naszą żalną mierność i kruchość i nie tylko poczuć z kimś więź, ale stać się kimś innym. Albo więc sztuka powoduje w tobie tę metamorfozę, albo to nie jest sztuka, tylko jakaś pieprzona telewizja.

Po tych słowach Jacob wstał i przyjmując triumfalną pozę, ukazał się wszystkim taki, jakim go Pan Bóg stworzył.

Płatki śniegu wirowały wokół jego głowy, gdy przyłożył zwiniętą dłoń do

ust i krzyknął: „TUUU DUUU! TUUU DUUU!”. Zasalutował George’owi, wyszedł z jacuzzi, wkroczył do mieszkania i padł twarzą w dół na kanapę.

– William – rzekła Irene – chodź, pomożesz mi go nakryć ręcznikiem, zanim zejdzie na zapalenie płuc albo coś podobnego.

William patrzył w inną stronę, dopóki Irene nie włożyła szlafroka, po czym też wyszedł z wanny. Razem weszli do środka i już do rana George i Sara ich nie zobaczyli.

Wreszcie sami. George przesunął się w stronę Sary i przytulił ją plecami do siebie. Oparła głowę o jego twarde ramię i siedzieli tak przez chwilę, nic nie mówiąc. Niebo nad nimi miało różowoszary kolor i jak zawsze w Nowym Jorku nie można było dostrzec na nim ani jednej gwiazdy. Wpatrywali się w okna biurowców na Lexington. Daleko w dole słychać było klaksony taksówek, alarmy samochodowe i odgłos aut pędzących trasą M102, łączącą Harlem z East Village. To były dźwięki ich wielkiego miasta, które nigdy nie śpi. Znajome odgłosy, trzaski i skrzypnięcia ich domu.

George miał nadzieję, że wygląda na spokojnego, chociaż pluł sobie w brodę, że nie miał teraz pod ręką pierścionka. Nie bardzo wiedział, gdzie miałby go ukryć, ale ten moment wydawał mu się idealny na oświadczyzny. Czekał właśnie na chwilę taką jak ta. Jak teraz wejść do środka i szybko wrócić? Może powie, że musi do łazienki? To popsułoby nastrój.

Ogarniało go poczucie słuszności, jakby po raz pierwszy to, co robi, zgadzało się z tym, co czuje – a mimo to miał problem. Jeśli wstanie, cały nastrój szlag trafi. A gdy tak siedzieli, milczenie niekomfortowo się przeciągało i zaczął się martwić, że trwa już zbyt długo, więc zastanawiał się, co tu powiedzieć – jednak jedyne, o czym myślał, to ten wypadek, który zobaczył, gdy wracał z Long Island. Nie chciał o tym myśleć, ale jednocześnie nie mógł przestać. Poczł mrowienie w ustach. Musiał coś powiedzieć, a to, co chciał powiedzieć, też z pewnością popsuje atmosferę.

– Widziałem dziś trupa. – Boże, jaka ulga móc powiedzieć to na głos.

Sara wydała z siebie stłumiony okrzyk przerażenia i gwałtownie odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

– W pracy?

George potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Na LIE. W tym wypadku, o którym ci mówiłem, zginął jakiś facet.

Stał w korku, myśląc o Sarze i o tym, co jej powie dziś na przyjęciu. Patrzył, jak zaczyna sypać śnieg, i co kilka minut sprawdzał, czy ma pierścioneł w kieszeni. No i wreszcie dotarł do końca zwiężenia. Wcześniej, siedząc w aucie rozwściczony przez ciekawskich gapiów przed sobą, planował, że we właściwej chwili od razu przyspieszy i pomknie przed siebie. Nie miał zamiaru patrzeć. Chciał sobie udowodnić, że sam jest ponad to bezmyślne wlepienie wzroku.

Jednak spojrział. Najpierw jego oczom ukazało się zielone isuzu z wielką dziurą w przedniej szybie. Zdumiał go rozmiar tej wyrwy i wtedy zauważył, że wewnątrz auta nikogo nie ma. „No tak”, pomyślał, „już go stamtąd wydostali. Pewnie stoi teraz przy karetce, wypełniając formularz z ubezpieczalni”. Ale potem przez głowę przeszła mu inna myśl. „A co, jeśli wyleciał przez szybę, głową do przodu, i siła uderzenia sprawiła, że stracił przytomność, a może nawet zginął na miejscu? Co, jeśli wyleciał przez szybę (George wyobrażał to sobie jak fragment beznadziejnej opery mydlanej puszczony w zwolnionym tempie) i wylądował na chodniku pogruchotany...”. I wtedy właśnie je zobaczył. Zwłoki. Nie w swojej wyobraźni, imitującej film marnej jakości, ale prawdziwe, leżące tam na chodniku. Dokładnie w miejscu, które wyliczył ten okropny kalkulator w jego głowie, biorąc pod uwagę masę ciała dorosłego człowieka, opór, jaki stawiała przednia szyba, pęd z sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę nagle spadający do zera i skutkujący wyrzuceniem go w powietrze oraz siłę grawitacji, tę cholerną wielkość stałą, która ściągnęła go na chodnik.



Właśnie w to miejsce. Dokładnie tam znajdował się ten mężczyzna, a jednocześnie wcale go tam nie było.

Dzięki Bogu twarz ofiary zwrócona była w przeciwną stronę; nogi leżały podkurczone, głowa zgięta w stronę chodnika. Można by pomyśleć, że facet tylko się modli.

To wszystko trwało może jakieś trzy, cztery sekundy. Chwilę później trąbienie zniecierpliwionych kierowców kazało George'owi wrócić do rzeczywistości, dodał więc gazu i odjechał. Jednak w tamtym krótkim przebiegu poczuł siłę uderzenia o szybę całym sobą. Poczuł, jak jego kolana uderzają o chodnik, a jego twarz mocno wali o ziemię. Przez cały wieczór próbował otrząsnąć się z tego uczucia i dopiero teraz, gdy wspomniał o nim Sarze, zaczynał powoli odczuwać ulgę. Grzbietem ręki delikatnie pogłaskał ją po szyi. Chwilę potem zauważył, że ma spuszczone wzrok. Długie, ciemne kosmyki otulały jej twarz.

George dostrzegł, że płacze.

– Co się dzieje?

– Nic.

– Chodzi o ten wypadek?

Sara pokiwała przecząco głową.

Ogarnęła go panika.

– Czy Jacob coś ci powiedział?

– Irene znowu była u lekarza – rzekła, szlochając.

– To pewnie nic takiego. Irene jest młoda, jest weganką. Właściwie Irene to Wonder Woman. Nie martw się – uspokajał ją łagodnie George.

Wiedział jednak, że Sara nie przestanie się martwić. Prawdę mówiąc, uwielbiał w niej tę troskliwość, bo to ona w ich związku dodawała mu pewności siebie. To był chyba najlepszy aspekt miłości. Lepszy niż seks czy to, że nie budzisz się sam, czy to, że w trakcie gotowania nie musisz dzielić

składników na pół. Dzięki Sarze był odważniejszy, a ona dzięki niemu – spokojniejsza. Uzupełniali się. Wszystko to dzięki miłości. Żałował, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Kilka razy trącił Sarę delikatnie nosem, aż podniosła głowę i zamknęła oczy, by go pocałować. Śnieg prószył coraz mocniej. Sennym wzrokiem patrzyli na białe płatki wolniutko opadające na ulice i znikające we mgle unoszącej się nad kościołem St. Bartholomew's i całą środkową częścią Manhattanu. Padał na Greenwich Village i Bronx, na obie ciemne rzeki i całe Long Island. Gromadził się sporymi warstwami na stalowych poręczach, betonowych pasach rozdzielczych i na drogach miasta biegnących w różnych kierunkach.

George rozumiał, że nadeszła ta chwila. Teraz albo nigdy, to był ten moment i lepszego już nie będzie. Kochał tę kobietę i wiedział, że nigdy nie przestanie jej kochać. Czuł jej bijące mocno serce. Jakimś cudem Sara zawsze wiedziała, co zamierza jej powiedzieć.

# Pięć na milion

## 1

Gdy we wtorek George Murphy przyszedł do biura, zastał wiadomość, że jego gwiazda wkrótce się zapadnie. W przenośni, ale też dosłownie – 237 Lyrae V, załączek rodzącej się gwiazdy w Mgławicy Pierścień, nad którą George od czterech lat prowadził badania, niespodziewanie zaczął ulegać zapadaniu grawitacyjnemu. Przynajmniej tak wynikało z informacji na kartce zostawionej dziś rano na biurku przez Allena Linga, kolegę, z którym dzielił boks na wydziale astrofizyki na uniwersytecie w Brookhaven. Na samej górze arkusza kalkulacyjnego, którego kolumny i wiersze – ku wielkiemu zmartwieniu George’a – rzeczywiście wskazywały na wahania temperatury i gęstości charakterystyczne dla początku zjawiska zapadania się materii, Allen nabazgrał: „Ona wybuchnie!”.

Nie podnosząc wzroku znad kartki, George powiedział: – Praca z tobą to czysta przyjemność.

Allen, który akurat rozmawiał przez telefon z kimś z Europejskiej Agencji Kosmicznej, na chwilę przestał trajkotać po hiszpańsku i pokazał mu środkowy palec, po czym obrócił się na krześle w stronę komputera, na którym z marnym skutkiem grał w Snooda.

George poczuł, jak wszystko wymyka mu się z rąk. Całe dwie godziny jazdy po oblodzonych drogach LIE zastanawiał się, jak ma powiedzieć

współpracownikom, że wreszcie poprosił Sarę o rękę. Doktor Cokonis od dawna po ojcowsku pytał go, kiedy wreszcie zamierza „uczynić z Sary uczciwą kobietę”, czy jak ujął to Allen, „wrzucić jej jakieś cacuszko na palec”. Teraz jednak ta oto sprawa będzie zaprzętać jego głowę przez cały dzień – ba, może nawet przez miesiąc. W swym doktoracie i pracy habilitacyjnej George skupiał się na tak zwanych jądrach przedgwiazdowych, czyli, najprościej mówiąc, ogromnych skupiskach gazów kosmicznych, które czasami zapadają się, tworząc protogwiazdy. Allen od roku przepowiadał, że właśnie taki los spotka 237 Lyrae V, chociaż modele pieczołowicie opracowywane przez George’a sugerowały, że wcale tak nie będzie.

W duchu George postrzegał siebie jako Darwina w dziedzinie astronomii, tworząc algorytmy, które hipotetycznie można by wykorzystać w celu jeszcze dokładniejszej prognozy, jak za kilka tysięcy lat będzie się prezentował gwiazdny krajobraz. W wyniku wczesnych badań udało mu się zidentyfikować kilkadziesiąt takich zalążków, które wkrótce miały stać się gwiazdami – jednak, co było dosyć zniechęcające, z żadnego jeszcze gwiazda nie powstała.

Z jego obliczeń wynikało, że jest jeszcze kilka wysoce stabilnych zalążków rodzących się gwiazd – jak obiekt 237 Lyrae V w Mgławicy Pierścień – które według statystyk raczej nigdy nie będą w stanie osiągnąć statusu gwiazdy typu T Tauri, wokół której krążą planety, planetoidy i tym podobne. Na tych właśnie prognozach opierał się cały projekt, ale jeśli Allen miał rację, cała teoria weźmie w łeb.

Potwierdzenie informacji otrzymanych od Allena zajęło George’owi pół godziny. Przez kolejną godzinę podstawiał dane do algorytmów w komputerze, co dawało mu inne dane, które też należało sprawdzić. Żadna z tych liczb nie pozostawiała nadziei. George po prostu nie chciał, żeby to była prawda, a gdy minęła kolejna godzina, poczuł nieodpartą chęć zadzwonienia do Sary. Wybierając numer, spodziewał się poczuć ulgę, wyzaliwszy się Sarze na temat

tego niepokojącego obrotu spraw – jednak kiedy usłyszał sygnał po drugiej stronie, zawahał się. Nie chciał, żeby Allen usłyszał w jego głosie, jak bardzo jest podłamany. Jeśli powie Sarze, będzie się martwiła i zepsuje jej cały dzień. Tak się cieszyła, że opowie wszystkim w redakcji o ich zaręczynach...

– No cześć – usłyszał w słuchawce jej głos.

– Hej – powiedział George głosem pewnym i radosnym, niezdradzającym jego prawdziwego nastroju.

W tle słyhać było gwar Bistro 19, jednego z miejsc, gdzie chadzali całą grupą. Sara urwała się wcześniej z pracy, żeby zjeść lunch z Irene, chcąc odwrócić jej uwagę od myśli o ewentualnym telefonie z wynikami biopsji. Irene mówiła, że będą wiedzieć coś więcej „pod koniec przyszłego tygodnia”, co zdaniem George’a oznaczało, że zadzwonią w czwartek albo w piątek. Gdyby coś było nie tak, powiedzieliby „Od razu damy pani znać”. Wiedział jednak, że Sarze na tym zależy, nawet jeśli Irene niekoniecznie. Zależy jej, żeby być taką przyjaciółką, która nalega na wspólny lunch nawet wtedy, kiedy telefon od lekarza jest mało prawdopodobny.

George odchrząknął.

– Słuchaj, przez weekend wynikła pewna sprawa w biurze i będę musiał dziś dłużej zostać, żeby to wyprostować.

W jej głosie dało się słyszeć rozczarowanie:

– Ale Irene ma dla nas bilety na *Śmierć Eurydyki* na dziś wieczór.

– Rozumiem, ale chodzi o to, że w jednej z najważniejszych protogwiazd w moich badaniach zachodzą jakieś niespodziewane zmiany.

– Kotku, zmiany w tej twojej gwiazdzie będą zachodzić też jutro. Nie powstrzymasz ich przecież.

George już chciał zaprzeczyć, ale uświadomił sobie, że Sara ma rację – jeśli ta protogwiazda naprawdę się zapada, to znaczy, że w rzeczywistości już się zapadła, jakieś dwa tysiące lat temu, bo informacje, jakie w tej chwili

zbierają, pędziły do nich w przestrzeni kosmicznej z prędkością światła od dwóch tysiącleci, więc cokolwiek się działo, tak czy siak już było po wszystkim... Nie zmieniało to jednak faktu, że jego praca badawcza, tu i teraz, może okazać się zupełną stratą czasu. Cztery lata jego życia to dla istnienia 237 Lyrae V chwila krótka jak mrugnięcie oka, dla niego zaś kupa czasu, szczególnie że to początek jego kariery.

Sara przerwała dłuższe milczenie: – Dobrze, dowiem się, czy William może pójść za ciebie.

– Nie bądź zła.

– Nie jestem zła.

– To dobrze. I spróbuj się dowiedzieć, co zaszło między nim i Irene w piątek na imprezie.

– Nie mogę go o to spytać. – Po chwili milczenia dodała: – Myślałam, że Irene o to spytam, jeżeli w ogóle przyjdzie.

– W końcu jesteś dziennikarką. Spróbuj trochę podrażnić!

– Jestem redaktorem. Redaguję to, co inni napisali. Jeśli tak to można ująć.

– Przecież żartuję – powiedział, po czym westchnął głęboko. – Wszyscy tu są podekscytowani tą nowiną – skłamał George, ścisząc głos, żeby Allen go nie usłyszał.

Sara zareagowała radośnie.

– U mnie też! Już tworzę listę gości. Powinieneś zebrać adresy od tych osób z wydziału, które planujesz zaprosić.

– Zaprosimy wszystkich oprócz Allena – powiedział George, tym razem głośniej. I znów zobaczył jego środkowy palec.

– Powodzenia z tą twoją gwiazdą. Po spektaklu szykuje się kolejne afterparty. Dołączysz do nas później?

Westchnął głęboko.

– Prześlesz mi adres SMS-em?

– Impreza jest na Greenpoincie.

Długie westchnienie, wydanie drugie.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Rozłączył się. Nie wiedział, co dalej robić. Zamknął oczy. Jak to się mogło stać? Musiał sobie przypominać, że Allen nie byłby w stanie spowodować zapadnięcia się gigantycznego obłoku molekularnego wypełnionego gazem, sto razy większego od Układu Słonecznego. To jednak nie powstrzymało go przed uczuciem niechęci do swego kolegi z pokoju, który w makiawelistycznym stylu wspinał się po szczeblach kariery naukowej, podważając wyniki badań swych kolegów z działu.

Trzydzieści lat temu George zamarzył sobie, że będzie jednym z odkrywców tych wszystkich nieskończonych, wciąż nieodkrytych rzeczy we wszechświecie, będzie zajmował się teoriami, które należy poskładać w całość, i dopatrywał się śmiałych związków między nimi. Zamiast tego na każdym kroku spotykał ludzi takich jak Allen – naukowców, którzy nie wpatrywali się w kosmos, nie zastanawiali się, co tam jest, bo jeździli na konferencje i czytali streszczenia prac badawczych, doszukując się w nich błędów, nad którymi mogliby się wyżłosiwić, lub rzekomych odkryć, którym można by zadać kłam. George teoretycznie wiedział, że świat – wszechświat – potrzebuje takich wąpiących Allenów do weryfikowania idei marzycieli. Wolałby jednak, żeby nie mieli przy tym aż takiej radochy.

George postanowił zadzwonić do Jacoba, na którego współczucie w tej kwestii zwykle mógł liczyć, ale jego telefon nie odpowiadał. Gdy akurat przebywał w ośrodku, zwykle nie mógł odebrać.

– Kabum! – krzyknął Allen za plecami George’a.

– Jesteś w podstawówce czy co? – spytał George, nie odwracając się w jego stronę.

– Żałuję, ale nie. Dobra, właśnie gadałem z chłopakami z Madrytu. Udostępnią nam dziś na chwilę teleskop Messiera, żebyśmy mogli pobrać resztę danych.

– Nam? Nie miałeś dziś pracować z Phoenix 13?

– Daj spokój, ten główniany teleskop nie dostarczy nam odczytu, jakiego potrzebujemy.

– Jeszcze raz spytam: kogo masz na myśli, mówiąc „my”?

– Ciebie i mnie, agencie specjalny! – krzyknął Allen. – Mówię ci, bracie, to jest megaciekawa sprawa!

– To jest klęska, Allen. – George wskazał palcem na półkę pełną identycznych czarnych segregatorów. Różniły się jedynie intensywnością czerni plastikowych okładek: te z lewej strony, założone na początku badań, były bardziej wyblakłe. – Cztery lata poświęciłem tej sprawie. Obiekt 237 Lyrae V miał być obiektem stabilnym.

– I to właśnie czyni go tak interesującym, agencie. Ta gwiazda miała być jedną z najbardziej stabilnych w Mgławicy Pierścień, tak? Z tego, co dotychczas udało ci się zbadać, wiemy, że 237 mogłaby się zapaść, tylko jeśli w pobliżu znajdowałaby się supernowa. Ale tam nie ma żadnej supernowej. Więc cytując wielkich naukowców, którzy byli tu przed nami, musimy zadać sobie jedno pytanie: o co tu, kurwa, chodzi?

– Allen...

– Chodzi mi o to, George, że jeszcze nie jest za późno, by wykorzystać ten artykuł, który piszę.

– Który ty piszesz?

– Dobra, dobra, ten, który my piszemy. Obejrzymy kolaps w czasie rzeczywistym, G-man. To zjawisko rzadkie jak cholera. Mówimy tu o „celu przypadkowym”. Stary, mówimy tu o tym, że ja i ty będziemy, kurwa, mogli użyć teleskopu Hubble’a – powiedział Allen i zaraz wstał. – Słuchaj, jestem



umówiony na lunch z Cokonisem. Wprowadzę go w temat. Przemysł sprawę. Jeśli to jest to, o czym myślę, już powinienes zacząć ubiegać się o grant – powiedział, w podskokach wychodząc z boksu.

– A tak przy okazji to... żenię się... – rzucił George, lecz Allen nie zdążył już usłyszeć jego słów. Zapadła długa cisza, a potem stopniowo zaczęły dochodzić do niego dźwięki stukania w klawisze komputerów, skrzypienia krzeseł w innych boksach. Odgłos odkładanych na widełki słuchawek telefonów, szum świetlówek, szuranie gumowych podeszew na wykładzinie.

Allen miał rację. I George o tym wiedział. Jego przewidywania okazały się błędne, co jednak nie zmieniało faktu, że wybuch 237 Lyrae V może być dla nich czymś wielkim. Czy naprawdę tego nie chciał?

George podjechał krzesłem do komputera Allena, gdzie ten zostawił otwarty interface dla teleskopu Phoenix-13. Wstrzymując przesył danych, które Allen pobierał, George mechanicznie wstukał skomplikowany układ współrzędnych. Rektascensja: 18h 53m 35.079s. Deklinacja: +33° 01' 45.03. Nastąpiła długa przerwa, podczas której teleskop w Arizonie, oddalony o dwa i pół tysiąca mil od Nowego Jorku, ustawiał swe mechaniczne oko na kompletnie inną część wszechświata. Wciąż zdumiewała go moc tych kilku stuknięć w klawiaturę i wciąż na jakiś czas odwracała jego uwagę od żmudnych, przyziemnych obowiązków, z którymi wiązała się jego praca – dziś rano, na przykład, musiał przejrzeć dziesięć nadesłanych przez Cokonisa w ciągu dwóch godzin maili dotyczących następnej rundy grantów, publikacji kolejnego artykułu i wystąpienia na konferencji w Wichita.

Na ekranie zaczynał pojawiać się obraz. Mgławica Pierścień, znana również pod nazwą Messier 57 lub NGC 6720. Mgławica planetarna w gwiazdozbiornie Lutni, wielki czerwony ognisty pierścień wokół tęczy w kolorze błękitnozielonych wód oceanu. Na smutnym małym ekranie monitora George nie potrafił dostrzec szczegółów, ale wiedział, że ona

tam jest i żarzy się jak węgielek w podczerwieni... i że w pewnym sensie jest takim dogorywającym węgielkiem, pozostałością gwiazdy, której wyczerpał się wodór, która odrzuciła swoje zewnętrzne warstwy i stała się czerwonym olbrzymem. Ustawił teleskop na maksymalne zbliżenie i znalazł swój mały obiekt wewnątrz mgławicy. Miał zaledwie sto tysięcy lat. W warunkach kosmicznych był niemowlęciem, nieemitującym światła, a jedynie ciepło i gaz. George wiedział jednak, że tam jest.

Pierwszy raz zobaczył Mgławicę Pierścień na zajęciach z rozszerzonej fizyki. Wykładowca, pan Pix, wyświetlił kolorowe przezrocza, wyjaśniając: „Co jakiś czas czerwony olbrzym może stać się mgławicą, jak widoczna tutaj M 57, która zawiera nieznaną liczbę mgławic, i w ten oto sposób jedna dogorywająca gwiazda staje się w pewnym sensie kolebką nowych gwiazd”.

George był w szoku. Dotychczas miał fioła na punkcie Wielkiego Chłodu, entropii i czarnych dziur, i nawet nie pomyślał o tym, że przecież we wszechświecie ciągle pojawiają się nowe gwiazdy. Wbrew wszelkim danym teraz okazało się, że prawdopodobnie 237 zostanie jedną z nich. Jednak, jak przypomniawsza mu Sara, jej los był przesądzony. Cokolwiek się z nią działo, już dawno się wydarzyło. To słabe światło, które widział, przestało być emitowane przez tę gwiazdę dwa tysiące lat temu. Wszystko skończyło się już dawno temu, w czasach Platona i Babilonu, kiedy pierwsi astronomowie zwrócili swe oczy w kierunku czarnej otchłani znajdującej się nad ich głowami i postanowili dokładniej przyjrzeć się tym białym świecącym duchom.

Jego mała biała kropka była tylko jedną z czterystu miliardów, ale George'a to nie obchodziło. Należała do niego i mówił do niej szeptem, siedząc w swoim boksie: „Nie waż mi się teraz umierać”.

„Cały George. Poprosi cię o rękę o trzeciej nad ranem, kiedy nie możesz wszystkich obdzwonić”, pomyślała Sara, czekając na Irene, która spóźniała się już dwadzieścia pięć minut. Może jednak zadzwonili do niej i postanowiła zniknąć na jakiś czas. Była mistrzem zapadania się pod ziemię. Dniami i tygodniami potrafiła nie dawać znaku życia, bo albo pracowała nad jakimś nowym obrazem, albo miała jakieś osobiste problemy. Była nieznośnie skrytą, zamkniętą w sobie dziewczyną. Unikając wzroku krążącego wokół niej niecierpliwie kelnera, Sara udawała, że rozmawia przez telefon, gdy tak naprawdę odtwarzała w głowie wydarzenia z ostatniego weekendu.

Przez pierwsze dwie minuty po tym, jak George się oświadczył, w kółko powtarzała tylko „O mój Boże”, aż wreszcie przypomniał jej, że w zasadzie nie powiedziała jeszcze, czy zgadza się za niego wyjść, więc przez kolejne dwie minuty powtarzała słowo „Tak”. Jednak po tych czterech minutach chciała jedynie wtargnąć do pokoju, w którym Irene zniknęła z Williamem, no i może jeszcze zadzwonić do rodziców w Gloucester, i jeszcze powiadomić siostrę w Vancouver, i Sue, najlepszą koleżankę od podstawówki, i dziadków w Sacramento, i tych z Austin... ale tu i tam też było już po północy.

– Zadzwonimy do twojej kuzynki z Londynu! – krzyknęła Sara, wyskoczyła z gorącej kąpieli, zatrzymując się tylko na moment, żeby owinać się ręcznikiem, po czym zaczęła biegać w poszukiwaniu telefonu.

– Tam jest dopiero ósma rano – powiedział George.

– Zadzwon do niej, zadzwon, prooooooszę cię! – piszczała ze szczęścia Sara.

Gdy George zlokalizował wreszcie swoją komórkę, Sara wciąż wydawała z siebie te niekontrolowane piskliwe dźwięki.

– Nie mam jej aktualnego numeru – stwierdził George, przejrzawszy listę kontaktów.

Sara wyrwała mu z ręki telefon i zaczęła przeglądać nazwiska, szukając

osób, do których mogłaby zadzwonić.

– Aktualizujesz czasem tę listę? Wciąż masz numer twojego opiekuna roku ze studiów. – Po czym klasnęła w rękę. – Jacob! Powiedzmy Jacobowi!

Zanim George się zorientował, była już z powrotem w pokoju hotelowym. Tam znaleźli Jacoba okrytego jedynie poduszkami.

– Obudź go! – nalegała Sara. – Jest twoim przyjacielem.

– Znasz go w zasadzie tak długo jak ja!

– Ale ty go pierwszy poznałeś – nie ustępowała Sara. – Więc formalnie rzecz biorąc, jest twoim przyjacielem.

George zastanowił się chwilę.

– Czy to oznacza, że Irene też ja mam powiedzieć?

– Nie bądź śmieszny. Ona jest dziewczyną. To całkiem co innego.

– Co innego? A w której opinii?

– Kulturalnych ludzi z wyższych sfer – stwierdziła Sara. – Mówi się „w czyjej opinii”.

George spojrział z powątpiewaniem na swego nagiego, chrapiącego przyjaciela i bardzo niechętnie dźgnął go w ramię. Sara musiała mu to przyznać – Jacob nie wyglądał ani na kogoś kulturalnego, ani na człowieka z wyższych sfer, gdy tak leżał, chrapał i zmieniał pozycję, eksponując przy tym wielki bład pośladek. Sara westchnęła i rubaszenie klepnęła Jacoba w tył głowy. Gdy wreszcie jedna z jego zapuchniętych powiek podniosła się, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– George ma ci coś do powiedzenia.

Przekrwiona gałka oczna Jacoba obróciła się w oczodole w kierunku George’a, który, jękając się, rzekł:

– My... eee... jesteśmy po słowie!

Po krótkiej chwili milczenia, gdzieś spod poduszki, którą był nakryty, dobiegł ich pomruk Jacoba:

– A konkretnie po jakim?

– Pobieramy się, ty matole! – krzyknęła radośnie Sara, podskakując na kanapie obok niego.

Jacob prychnął, zamknął oczy i spytał: – Czy to oznacza, że Sara w końcu przestanie być purytańską suką i wprowadzi się do ciebie?

– Naturalnie – rzekł George w tym samym momencie, gdy Sara spytała:

– Do George’a?

Przerwali na chwilę, a każde z nich było pewne, że to drugie żartuje.

– Kto z kim się wprowadza? – spytał George.

– Do kogo – natychmiast poprawili go Jacob i Sara.

Ta sprawa nie została jeszcze wyjaśniona. I nie tylko Jacob ją poruszył. Jej rodzice niemal natychmiast zadali to samo pytanie, jego zresztą też. Jak George mógł pomyśleć, że ona się do niego wprowadzi. Tam było ciasno nawet dla jednej osoby. Zgoda, mieszkanie znajdowało się na Riverside, w pięknym przedwojennym budynku, rzut beretem od parku i sklepu Zabar’s. No i oczywiście było szalenie tanie i dlatego George wciąż tkwił w tej więziennej celi, z jednym smutnym oknem, które było zbyt wąskie, by zamontować w nim klimatyzator. I ludzie nigdy jej nie wierzyli, gdy to mówiła, ale tak, prysznic zamontowano w kuchni! Toaleta zaś znajdowała się w osobnym pomieszczeniu wielkości garderoby i brakowało w niej umywalki. Najgorsze jednak było to, że jego łóżko składało się i chowało w ścianie. Tak George Murphy, jej przyszły mąż, spał na półkotapczanie <sup>2</sup>.

Mieszkanie Sary po drugiej stronie Manhattanu, na York Avenue, było bez porównania lepsze. Pokoje przechodnie nie bardzo nadawały się na mieszkanie z Karen, była koleżanką z pracy, której chłopak, Troy, ostatnio bywał u niej co noc i spędzał z nią niemal każdy weekend. Jednak dla niej i George’a byłoby idealne, gdyby tylko Karen dała się przekonać, że najwyższa pora przeprowadzić się do Westchester, gdzie oboje z Troyem teraz

pracowali.

Kelner krążył już teraz wokół Sary jak rekin, próbując sprawić, by zwolniła stolik. Był nowy i nie wiedział, że ona przychodzi tu od zawsze. Co rusz upewniał się, czy nie chciałaby poczekać przy barze, dopóki kolega nie przyjdzie. Kiedy się zbliżał, Sara udawała, że dzwonią do niej z biura w ważnej sprawie, myślała jednak o spektaklu *Śmierć Eurydyki*. Jacyś znajomi Irene, pozujący na artystów, występują w nim i dali jej te cztery bilety. Teraz Irene powiadomiła ją, że nie ma czasu, George się nie wyrobi, Jacob, wykończony wczorajszą imprezą, powiedział, że gdyby chciał, toby się zebrał i przyszedł, ale mu się nie chce. Bezczelny typ. A William właśnie odpisał, że z przyjemnością przyjdzie, i Sara nie mogła się go już doczekać. Miała nadzieję, że wprowadzi trochę uprzejmości do ich grona.

Sarę wyrwał z zadumy kelner, który znów nad nią zawisnął. Chrząknęła i zamówiła kolejną kawę, choć już po tamtych dwóch była roztrzęsiona. Dziwnie było tak siedzieć tu samej.

Jakoś tak wyszło, że odkąd przyjechali do Nowego Jorku, w tym właśnie lokalu spotykali się na brunch, na lunch i tu przesiadywali do późnej nocy. Ostatni raz widzieli się tu w zeszłym tygodniu – jednak nie w komplecie. Jacob nie mógł przyjść. No i pojawił się problem – jak zawsze, gdy któregoś z nich brakowało. Za każdym razem, gdy jechali gdzieś wszyscy – urządzić piknik w parku Battery, zobaczyć nową wystawę kostiumów z epoki edwardiańskiej w Metropolitan Museum of Art, przetestować jakąś nową restaurację – nikt nie mówił o nikim złego słowa. Jeśli już takowe padało (najczęściej z ust Jacoba), było odbierane jako przejaw czystej życzliwości... Gdy jednak kogoś brakowało, niemal natychmiast stawał się przedmiotem spekulacji, krytyki i podejrzeń. Jakby nieobecność jednej osoby pozostawiała lukę w zwartej strukturze ich grupy, a pozostali nie mogli powstrzymać się od pociągania za strzępiące się wokół niej nitki, próbując dociec: „Coś tu musi

być. Jak to się stało?”.

Właśnie w zeszłym tygodniu byli tu, w Bistro 19, bez Jacoba, który miał randkę z jakimś nowym chłopakiem. „Czy on się potajemnie nie spotyka ze swoim szefem?” – dociekała Irene, choć ich związek od samego początku nie był utrzymywany w sekrecie i wszyscy dobrze o tym wiedzieli. I wtedy George zaczął nazywać tego nowego kochasia „Siddharthą”, bo Jacob wspomniał, że wie o takim ascetycznym życiu, bynajmniej nie z powodów religijnych, ale dlatego, że ma chyba jakiś rodzaj natręctwa i nie znosi bałaganu i – co najgorsze – czy oni są gotowi na coś poważniejszego? Poznali się w kawiarni, kiedy Jacob zobaczył, jak tamten kończy czytać egzemplarz *Prochów Anieli*, wstaje, wyciera stolik, czyści filiżankę, po czym wrzuca książkę do kosza na śmieci.

Irene nie mogła w to uwierzyć. George chciał jedynie wiedzieć, czy Jacob widział już mieszkanie Siddharthy i czy rzeczywiście było, no wiecie, nieskazitelnie czyste? Sara nie mogła się powstrzymać i spytała, czy Siddhartha widział już mieszkanie Jacoba, i wtedy Irene i George’a замуrowało. Żadne z nich, ani razu przez tych sześć lat, nie miało okazji zobaczyć, jak mieszka Jacob.

Wynajmował mieszkanie gdzieś we wschodnim Harleemie, i o ile się orientowali, nigdy tam nie przebywał. Spał u aktualnego bądź u byłego chłopaka, albo siedział w Stamford, u swojego szefa, i dojeżdżał do pracy pociągiem, jakby nie było w tym nic dziwnego. Ale to było dziwne. Po pierwsze, żadnemu z nich nie chciał powiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się jego lokum. Jak podejrzewała Sara, było tak dlatego, że przeliczył się, sądząc, że będzie pasował do tej dzielnicy. Przekonał się, że – tak jak mu po tysiącokrotnie powtarzała – nie jest tam bezpiecznie, do czego oczywiście nie chciał się przyznać, i wciąż przedłużał umowę najmu, by udowodnić, że jest inaczej.

Sprawdziła ponownie telefon. Wciąż żadnej wiadomości od Irene. Wysłała SMS-a do Jacoba z pytaniem, czy miał z nią jakiś kontakt. Do Irene puściła znak zapytania. George'owi posłała uśmiechniętą buźkę, przyznając sama przed sobą, tu i teraz, że naturalnie wprowadzi się do niego, i to z miejsca – zamieszka w tym małym jak toaleta czy szafa mieszkaniu. Zamieszkałyby z nim i w lodówce, w tym bucie z dziecięcej rymowanki, w tipi, w igloo albo w twierdzy zbudowanej z poduszek. Niech inni sobie w to wątpią. Niech przyszłość będzie niepewna. W tym ośmiomilionowym mieście oni zawsze będą razem, we dwoje, i koniec kropka. I właśnie wtedy, gdy już miała wstać i wracać do biura, Irene wpadła zdyszana do restauracji, unosząc w górę ręce w przeproszającym geście.

### 3

Jacob leżał w łóżku z wierszem w ustach. W jego gardle tkwił suchy, papierowy czop. Toksyczny smak atramentu szczypał go w język. Włożył dwa palce do ust i próbował go wyjąć, ale jego przełyk kurczył się, próbując pochłonąć wiersz w całości. Już prawie uchwycił palcami papkowaty zwitek, gdy poczuł, jak jego przełyk zaczyna puchnąć i całość zostaje połknięta niczym Jonasz przez wieloryba. Jacob ciągnął za brzeg papieru, krztusząc się, ale ten rwał się, a między jego palcami zostawały same skrawki. Koszmar kończył się tak, że Jacob zaczynał dyszeć, znów połykając wiersz! Co noc, kurwa, to samo! Na koniec zapuchniętymi oczami spoglądał na podarty świstek papieru, który udało mu się oderwać. A na nim pierwsza linijka wiersza, napisana tak niechlujnie, że nie był w stanie jej rozczytać.

I wtedy się budzi i wraz ze snem znika też ten kawałek papieru. Zabrało mu chwilę, zanim upewnił się, że tak naprawdę się nie krztusi. Wciąż jednak czuł gulę w gardle. Kiedy wreszcie odzyskał oddech, zaczął się zastanawiać, gdzie jest. Chyba w mieszkaniu Pete'a, pomyślał, widząc go chrapiącego po prawej



stronie materaca. „We wtorki i piątki pracuje. To znaczy, że znów jestem w Morningside Heights”.

Poruszając się delikatnie na łóżku, żeby nie zbudzić śpiącego Pete’a, Jacob sięgnął po swoje majtki leżące na podłodze, tuż obok egzemplarza *Śniadania u Tiffany’ego*, które Pete ciągle kończył czytać. Przecież ta książka miała jakieś sto stron. Wysłizgnął się z łóżka i przemknął do łazienki, zabierając swe niebieskie dżinsy, ciemnoniebieską sportową koszulę i brązową tweedową marynarkę, którą miał na sobie poprzedniego wieczoru. Wyjrzał przez okno na białe światło wczesnego popołudnia. Przypomniał sobie, że ma nocną zmianę w ośrodku.

Zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie słowa wiersza ze swojego snu. Były gdzieś tam z tyłu głowy, wciąż jeszcze rozlegały się w zakamarkach jego pamięci. Pod wpływem impulsu chwycił za komórkę i wysłał wiadomość do doktora Boujedry. „Oliver, kiepsko się czuję. Nie dam rady przyjść dziś wieczorem”. Tego typu wiadomość wysyłał co najmniej raz w tygodniu. Jedną z korzyści, jakie płynęły z romansu ze swoim szefem, było to, że mógł sobie pozwolić na bumelki, gdy czuł nagły przyływ weny – albo gdy czuł, że nie da rady spędzić ośmiu godzin w obecności nastolatków na odwyku mających zwidy i myśli samobójcze.

Wróciwszy do pokoju Pete’a, Jacob podniósł Capote’a z podłogi. Była to jedyna książka w mieszkaniu. Właściwie jedyna rzecz w tym mieszkaniu, nie licząc jednego garnka, jednej patelni, jednego talerza, filiżanki, widelca, jednej tandetnej lampy z muszelek, materaca, na którym sypiał, jednego zestawu pościeli – w kolorze nieba z puszystymi chmurkami – żółtego ręcznika i kartonowego pudełka, w którym trzymał trzy zestawy ciuchów. Jeden elegancki, jeden na co dzień i jeden na czas, gdy dwa pozostałe są w praniu. Pete miał też lodówkę i piecyk, ale te były na wyposażeniu lokalu i oba zawsze stały puste. Jego mieszkanie było doprawdy duże jak na kawalerkę na

Manhattanie, a Pete dobrze zarabiał, pracując w Eco-Finance Apps, iPod Banking albo czymś w tym rodzaju. Jacob nie dopatrył się tam niczego, co wskazywałoby, że Pete należy do jakiejś sekty czy grupy skupiającej wyznawców ascezy.

„Ale z ciebie dziwak”, pomyślał Jacob, całując śpiącego Pete’a w policzek na pożegnanie, po czym wymknął się przez gładkie, białe drzwi, które zatrzasnęły się za nim. Szedł pospiesznym krokiem przez chłodny Broadway i wbiegł po oblodzonych stopniach stromego podejścia na stację przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy akurat w chwili, gdy pociąg numer jeden wjeżdżał na nadziemny peron. Nie miał czasu, by nacieszyć się widokiem, gdyż wskoczył do środka tuż przed zamknięciem drzwi. Morningside Heights rozwierało się przed nim, a on usiłował poczuć ogrom tej wyspy, olbrzymi ciężar stali pod jego stopami. Pragnął poczuć w łydkach i przedramionach wibracje tego zawilego nieładu.

Miał pierwszy wers – miał go – pierwszy wers tej epopei. Był jak ryba, której jeszcze nie złowił, ale która już skubała przynętę na błyszczącym haczyku zwisającym z jego rdzenia kręgowego. Wciągał żyłkę i znów zarzucał wędkę, daleko w głąb tego białego miasta: dosłownej duszy tysiąca poetów, którzy przybyli tu przed nim; łowiska dwóch tysięcy innych, którzy wstawali wcześniej, czytali więcej, pracowali ciężiej i oddychali bardziej głęboko niż on. Nie mógłby na przykład złapać takiego Langstona? Albo Allena czy Franka? Nawet nie marzył o tym, że mógłby złowić Walta lub Harta – któregoś z tych dwóch śliskich srebrnych jesiotrów, długich na ponad pięć metrów i ważących razem z tonę. Strzegących swojej słonej ikry, tego skromnego kawioru. Walt, ogromny matuzalem, z wąsami zanurzonymi w mętym dnie oceanu. I Hart, gibki, sprężysty lewiatan, z płetwami, które stanowią jego główny napęd. Jacob mrugnął dwukrotnie, gdy ziemia za oknami po obu stronach pociągu zaczęła się podnosić i chwilę później już znajdował się pod

jej powierzchnią. Choć w pociągu numer jeden było spokojnie, jak zwykle w porze wczesnego popołudnia, na Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy Jacob przesiadł się w ekspresową linię numer dwa, mając nadzieję jeszcze szybciej dotrzeć na południe na Czternastą Ulicę, gdzie znajdowała się kawiarnia, w której chciał usiąść i napisać ten wiersz. To było jedyne miejsce, w którym mógł oddychać na tyle swobodnie, by go z siebie wydobyć. Wyzwanie, jak zawsze, polegało na tym, by tam dotrzeć, zanim umknie mu z przetartej sieci ta trzepocąca się niesforna myśl.

Jacob przeniósł się myślami do czasów szkoły średniej, gdzie podczas jednej z lekcji biologii, trzydzieści sześć kilo lżejszy i ledwo w połowie tak owłosiony, zobaczył artykuł w magazynie „National Geographic”, w którym członek afrykańskiego plemienia wyjmował z nogi martwego pasożyta. Uśmiechał się do obiektywu swymi oślepiająco białymi zębami, ukazując zaatakowaną przez pasożyta kończynę. Jego czarne jak onyks ciało pokryte było jakimś białawym pudrem, z wyjątkiem kółka wielkości ćwierćdolarówki, które utrzymywał w czystości. Z maleńkiej, ropiejącej rany wychodził pasożytniczy robak grubości nitki spaghetti, według opisu mający ponad metr długości, który tkwił sobie zwinięty w kłębek w ciele tego człowieka. Jedynym sposobem na wydobycie go stamtąd było nawinięcie jego wystawionego ogonka na patyczek. Potem należało go dalej nawijać na patyk, ćwierć obrotu dziennie, i w ten sposób powoli wyjmować go z rany. Gdyby próbować usunąć go szybciej, zaniepokojony robak oderwałby swój schwyty ogon i cały proces należałoby rozpocząć od początku. W przerwach między kolejnymi „nawinięciami” patyczek i spoczywającą na nim ofiarę trzeba było zabezpieczyć taśmą, żeby mężczyzna mógł dalej funkcjonować – biegać, polować i żyć.

Zdegustowany, czternastoletni wtedy Jacob długo nie potrafił wyprzeć z umysłu tego zdjęcia, a co gorsza samej historii. Dziesięć lat później ta scena

wróciła do niego, prześladowając go niemal każdego dnia. Bo na tym właśnie polega pisanie wierszy: na stopniowym, delikatnym wydobywaniu z siebie kolejnych wersów, gdy każdy wymuszony pośpiech może doprowadzić do tego, że trzeba będzie zacząć od początku.

Nie zawsze tak było, pomyślał Jacob, wyskakując z pociągu nr 2. Spiesznym krokiem przemierzał długi, biały korytarz, mijając wejścia prowadzące do linii 1, 2 i 3 oraz do L-ki, która jedzie na Brooklyn. W szkole tworzył bez mrugnięcia okiem. Wszędzie. Na serwetkach, na marginesach książek. Na brzegach szkolnych ławek. Na ściankach działowych w łazienkach. Na tablicach w pustych salach lekcyjnych. Pisał z taką łatwością, że bez wahania dzielił się z innymi swoją twórczością, swoimi czterowierszami i sonetami. Wyobrażał sobie, że pewnego dnia zostaną znalezione przez młodsze wersje jego samego i posłużą im za inspirację, by kontynuować tradycję partyzanckiej poezji w Szkole Podstawowej imienia Mojżesza Majmonidesa.

W college'u pisał tylko po czwartej rano, w porze, którą tak dobrze znał. Czekał, aż wszyscy pójną spać – aż opadną wszystkie emocje. Kiedy jego przyjaciele zmęczeni padali na kanapy, na krawężniki bądź na sprężynowe materace cudzych łóżek, Jacob wdrapywał się na najbliższe solidne drzewo. Nie miało znaczenia, jak bardzo był pijany czy upalony. Lubił dotyk kory pod swoimi palcami i to, jak gałęzie smagały jego nieogolone policzki. Wyobrażał sobie wtedy, że w ten sposób dociera do najbardziej pierwotnej wersji samego siebie – paleo-Jacoba, który wciąż poluje z dzidą i roznieca ogień za pomocą krzemienia. Prawdziwa przyczyna była jednak inna – Jacob odkrył, że obawa przed upadkiem na ziemię nie pozwalała mu zasnąć. Nieraz przyjaciele, zbudziwszy się, zastawali go chrapiącego, trzymającego w objęciach korzenie starego dębu w North Quad, skąd zszedł na wpół przytomny, ale z gotowym wierszem schowanym bezpiecznie w kieszeni

tweedowej marynarki.

W tym mieście, gdzie brakowało drzew, na które mógłby się wspiąć, gdy nocował u któregoś ze swoich chłopaków, wstawał wcześniej i pisał na schodach pożarowych. I właśnie w ten sposób, już po czwartej nad ranem, powstała jego wielka epopeja, *W oku gównianego cyklonu*, co tak naprawdę stało się początkiem wszystkich jego kłopotów.

Gdy teraz o tym myślał, z perspektywy czasu nie mógł uwierzyć, że w ogóle podjął próbę napisania czegoś takiego. Tysiąc dziewięćset trzydzieści dwa wersy (na cześć roku, w którym umarła Prawdziwa Literatura wraz z odejściem Harta Crane'a, który popełnił samobójstwo, kończąc swój żywot w Zatoce Meksykańskiej) podzielone na trzydzieści trzy części (tyle ile lat Walt Whitman pracował nad *Źdźbłami trawy*). „Boże”, pomyślał Jacob, „ależ był z ciebie pretensjonalny dupek”. Mimo to tęsknił za pewnością siebie, która mu to wszystko umożliwiła. Tęsknił za tym szaleństwem, które nie pozwalało mu przestać, dopóki nie skończył, i sprawiło, że zapomniał o tym, że trzeba zapłacić rachunki, w ciągu dnia coś zjeść, a w nocy pójść spać. Pisanie zajęło mu dwa tygodnie i wydawało mu się, że od tamtej pory nie był już sobą.

Wiersz ukazał się tuż po samobójstwie jego wujka Milesa, który pochodził z St. Louis i w wieku czterdziestu pięciu lat potrafił naprawić każde urządzenie i każdy pojazd. To z nim Jacob, jako chłopiec, po raz pierwszy pojechał na ryby nad rzekę Missouri. Miles był też pierwszym homoseksualnym mężczyzną, jakiego Jacob poznał. Reszta rodziny Blaumannów uważała Milesa po prostu za szczęśliwego kawalera. Tylko Jacob, mając osiem lat, poznał prawdę, gdy zobaczył, jak wuj obejmuje cień innego mężczyzny za hangarem na łodzie. To była ich tajemnica i Jacob jej dotrzymał, nawet po tym, jak Miles połknął garść tabletek na tylnym siedzeniu dodge'a darta zaparkowanego nad rzeką.

Jego poemat, *W oku gównianego cyklonu*, dotyczył innego wielkiego idola

z czasów dzieciństwa, jedyne go superbohatera, w którego wierzył: Michaela Jordana. W wierszu Michael Jordan wieszka się na tablicy do kosza na jednym z boisk szkolnych na Brooklynie. Wiersz sięga tu i ówdzie do wątków z trudnego życia tej ikony sportu, krążąc nad legendą, ale nigdy nie wprost. Głównym bohaterem wiersza nie był wcale wspinały zawodnik z numerem 23. „Przebłąsk geniuszu” Jacoba (według redakcji Roebing Press) kazał mu rozpocząć swój wiersz tuż po tym, jak z boiska zniknęli paparazzi i policja zabrała ciało.

W bezmyślnym pośpiechu zostawili tam wielką kupę, no cóż, gówna, które wydalila z siebie Dwudziestkatrójka, wieszając się na koszu. W niedzielny ranek pojawia się bezimienny dozorca, któremu kazano usunąć ekskrementy. Trzydzieści trzy części i tysiąc dziewięćset trzydzieści dwa wersy tej epopei w większości koncentrują się na szczegółowym opisie życia tej osoby, usiłującej na różne sposoby zmyć z asfaltu fekalia słynnego koszykarza. Ostatecznie decyduje się on na użycie węża i splukanie wszystkiego do kratki ściekowej umieszczonej obok boiska, gdzie gówno zaczyna wirować spiralnym ruchem pod wpływem działania siły Coriolisa, tworząc istny cyklon gówna – centralny obraz wiersza.

Komisja przyznająca Nagrodę Marianiego szczególnie doceniła „wprawne posługiwanie się aluzjami do popkultury” (obawiając się pozwania do sądu, w odniesieniach do Jordana Jacob posługiwał się wyłącznie wyrażeniem „Dwudziestkatrójka”) oraz „szczery wgląd we współczesny dyskurs rasistowski” (Jacob do dziś nie wiedział, co to dokładnie znaczy). Wśród innych dowodów uznania, którymi obsypano wiersz, znalazły się słowa, że jest „nieprzyzwoicie obsceniczny” i że „od czasów Bukowskiego nie było tak męskiego poety” – nietrafione opinie, od których Jacobowi zbierało się na wymioty. Cztery lata później te pochwały splatały się w jedną grubą pętlę, którą zarzucił sobie na szyję.

Czytanie *Gównianego cyklonu* przyprawiało go teraz o mdłości. Przez te dwa tygodnie, gdy przelewał słowa wiersza na papier, wzbierała w nim wściekłość. Wtedy uważał swe dzieło za szczere, przepelnione czystym gniewem. Jak lustro, w którym odbijają się obrzydliwości tego świata. Jednak wraz z upływem czasu zdał sobie sprawę, że za tymi błyskotliwymi odniesieniami i odważnymi zniewagami pobrzmiwało tylko jedno monotonne echo – to samo, które słyszał w głowie przez cały tydzień po tym, co spotkało wujka Milesa. Pod powierzchnią krył się tylko jeden dźwięk. A brzmiał on tak: „Pierdol się, pierdol się, pierdol się, pierdol się, pierdol się, pierdol się”. No i tyle.

Jacob próbował otrząsnąć się z tych myśli, gdy ludzie zaczęli tłumnie wypełniać pociąg na przystanku przy Union Square. Wagon był zatłoczony i zaczął go drażnić ten tłum ludzi jadących w stronę Brooklynu. Zrobiło mu się gorąco, niedobrze, ogarnęły go dreszcze. Poczł, jak przynęta próbuje się wyzwolić z haczyka, więc zacisnął oczy w nadziei, że przetrwa ten moment słabości. Był już tak blisko. Jeszcze dwa przystanki i będzie wolny. Wreszcie coś złowi.

– Drodzy państwo – usłyszał drżący głos za sobą.

Nie teraz, błagał Jacob, nie otwierając zaciśniętych oczu. Człł już jednak zapach niemytej skóry. Człł gorący oddech na swoim uchu.

– Mili państwo, przepraszam, że przeszkadzam – ciągnął głos. – Potrzebuję pieniędzy na coś do jedzenia. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale jestem strasznie głodny.

Nie było to zwyczajne beznamiętne mamrotanie, do którego Jacob i większość mieszkańców miasta przywykli i które nauczyli się ignorować. Nie był to monotony głos, który słyszał już milion razy, na chodnikach, rogach ulic i w wagonach metra, tak jak tu. Głos tego człowieka brzmiał naprawdę okropnie. Mówił tak, jakby już nie żył.

– Mili państwo, potrzebuję waszej pomocy. Nie wiem, co mam robić. Przysięgam na Boga, słuchajcie, strasznie się boję. Naprawdę nie wiem już, co mam robić.

Jacob wychwycił nutkę rozpaczony w głosie tego mężczyzny. On nie mówił: „Nie wiem, co mam zrobić, żeby przeżyć”, ale: „Nie wiem, co dalej ze mną będzie i co zaraz zrobię”. To nie było desperackie pragnienie życia; to był lęk przed świadomością, jakie wyjście z tej sytuacji mu pozostało. To nie było błaganie osoby, która chce dożyć jutra. To były ostatnie drżące słowa człowieka, który skoczy z najbliższego mostu, jeśli nie dostanie dolara. Ale portfel Jacoba był pusty. Nie miał nawet ćwierćdolarówki. Ostatnie dziesięć dolców wydał na butelkę taniego wina, którego ani on, ani Pete nawet nie tknęli i które jego chłopak zeszłej nocy wylał do ścieków, a butelkę wrzucił do zsypu. Jacob wzdrygnął się. Gdyby miał przy sobie jedynie banknot studolarowy, dałby go temu facetowi, żeby tylko się zamknął.

– Proszę – błagał mężczyzna. – Przysięgam na Boga, że nie wiem, co zrobię.

Drzwi otworzyły się na przystanku przy Trzeciej Alei, a Jacob poderwał się do wyjścia – to nie była jego stacja, ale nie dbał o to w tej chwili. Przeszedłby cały stan, żeby tylko się stąd wyrwać. Kiedy był już na peronie, usłyszał dźwięk zamykanych za nim drzwi i na jedną krótką chwilę odwrócił się, by spojrzeć na tego mężczyznę. Jego ciemna skóra pokryta była jakimś dziwnym białym brudem. Jacob spojrzał mu w oczy. Przynęta zerwała się z haczyka. Pociąg odjechał, zostawiając Jacoba na stacji. Kula stojąca mu w gardle nagle spłynęła do brzucha i był pewien, że już jej stamtąd nie wydostanie.

Zadzwonili do niej ze szpitala tuż po lunchu. I Bogu dzięki, bo Irene wiedziała,



że żadna siła nie powstrzymałaby Sary przed pójściem z nią na wizytę, gdyby o niej wiedziała. Galeria była zamknięta przez dwa tygodnie aż do świąt, więc Irene włóczyła się po Greenwich Village, błędząc Bleecker Street i Christopher Street, Szóstą i Siódmą Aleją, pod pretekstem zakupów przedświątecznych. Miała już ładne skórzane buty dla Sary, ale nie powie jej, że kupiła je w sex shopie Pleasure Chest. W ulubionym sklepie ze starociami, Mel's Secondhand Shop, wygrzebała dla George'a termos z twarzą Einsteina i cytatem głoszącym, że rzeczywistość jest tylko iluzją. Będzie mógł w drodze do obserwatorium popijać z niego ciepłą kawę. Pomyślała o Williamie, kiedy zobaczyła szal podobny do tego, jaki Bob Dylan miał na okładce płyty *Blonde on Blonde*, w którym – jej zdaniem – byłoby mu dobrze. Jeżeli w ogóle będzie jej dane przekonać się, czy mu w nim dobrze.

Podczas lunchu Sara ciągle gadała o Williamie, o przeznaczeniu i o tym, że ich spotkanie po tak długim czasie świadczyło o jego działaniu. O zrządzeniu losu. Irene powiedziała, że sama woli decydować o swoim losie, ale w duchu cieszyła się, że w tym przypadku los, za sprawą Sary, z pewnością znów sprawi, że ich drogi się spotkają. Kupiła więc ten szal i poprosiła, by go zapakowano. Z bijącym mocniej sercem przeszła na tył sklepu, gdzie leżało pełno starych książek i gdzie w ręce wpadł jej ilustrowany zbiór włoskich bajek dla Jacoba. Poznali się właśnie na zajęciach z tego języka, na które ona chodziła fakultatywnie, a na których on sobie ewidentnie nie radził.

Zaraz potem wstąpiła do sklepu zoologicznego na końcu ulicy i właśnie wtedy zadzwoniła do niej asystentka doktor Atoosy Zarrani ze szpitala Mount Sinai, by powiedzieć, że przyszły wyniki, a lekarka może spotkać się z nią dziś po południu i je omówić.

– Chyba że jest pani zajęta? Jest pani teraz w zoo? W taki ziąb?

– Ależ nie – odparła Irene. – Jestem w sklepie zoologicznym. Zastanawiam się, czy nie kupić sobie jakiegoś ptaszka.

Kobieta rozśmiała się.

– Z ptakami jest dużo roboty. Mam w domu dwie kakadu żółtoczube.

– I co? Fajne są?

– Nie dla początkujących.

– Chodzi o to, że mam w domu taką piękną klatkę dla ptaków – wyznała Irene. – Była w mieszkaniu, gdy się do niego wprowadziłam. Chyba zostawił ją poprzedni najemca. Tak czy owak, trzymam w niej biżuterię i inne drobiazgi, ale czasami myślę sobie, no nie wiem, że mogłabym sprawić sobie jakieś zwierzątko.

– W takim razie proszę się zastanowić – rzekła kobieta. – I jeśli potrzebuje pani czasu, z pewnością znajdzie się jakiś wolny termin jutro.

Irene odebrała to jako dobry znak. No bo przecież gdyby było z nią coś nie tak, kazaliby jej przyjść do szpitala natychmiast. W dodatku ta kobieta nie namawiała jej do zakupu ptaszka, gdyby wiedziała, że Irene umiera. To byłoby nieodpowiedzialne. Nie ma więc czym się martwić.

I tak oto Irene kilka godzin później znalazła się w szpitalu Mount Sinai, w małym pomieszczeniu z gołymi ścianami i stołem przymocowanym do podłogi. U jej stóp stały torby z zakupami. Dopilnowała jednak, by ta z fioletową sylwetką dominy trzaskającej biczem była odwrócona nadrukiem do ściany. Dla zabicia czasu przeglądała książkę z włoskimi baśniami, z radością myśląc o tym, jaki gatunek ptaka mogłaby sobie sprawić. Nagle kątem oka dostrzegła wysoką Irankę w kitlu wchodzącą do pokoju.

– Richmond? Irene?

Uścisnęły sobie dłonie, po czym lekarka zajęła miejsce za stołem i zaczęła przeglądać wyniki badań, które ze sobą przyniosła. Irene rozpoznała szarpany, nieczytelny podpis doktora Von Hattera z laboratorium Park Avenue, gdzie wykonano jej biopsję. Irene zauważyła czytelną adnotację pod spodem: dr Atoosa Zarrani. Nie. Czas. Na. Żarty.

– Przyszła pani sama?– spytała lekarka, rozglądając się wokół, jakby sprawdzała, czy ktoś się gdzieś nie ukrył.

Irene też się rozejrzała, jakby sama nie była pewna, po czym wzruszyła ramionami. Dlaczego ta kobieta nie przejdzie od razu do rzeczy? Zrobiło jej się niedobrze. To nie wróżyło najlepiej.

– Zwykle pacjenci przyprowadzają przyjaciela albo kogoś z rodziny.

Irene skinęła głową, jakby potraktowała te słowa jako dobrą radę na przyszłość. Spojrzała głębiej w wielkie czarne oczy lekarki, szukając w nich jakiejś wskazówki, czegoś, o czym ona wie, a nie wie Irene.

Doktor Zarrani uśmiechnęła się, a potem zaśmiała pod nosem.

– Dziś rano kobieta przyszła ze swoim odźwiernym, małym Węgrem, w kapeluszu i z czerwonymi naramiennikami na marynarce.

Irene uśmiechnęła się odprężona, a doktor Zarrani chrząknęła i powiedziała:

– Ma pani raka, pani Richmond.

Irene spokojnie spuściła wzrok. Podniosła rękę i zaczęła poprawiać rękaw koszuli. Pierwszą myślą, jaka przeszła jej przez głowę, było to, że nie powinna jednak kupować sobie żadnego ptaka.

Wreszcie odezwała się:

– No to dupa.

Doktor Zarrani mówiła dalej spokojnym tonem:

– Biopsja wykazała, że ta grudka pod pani okiem to złośliwy kostniakomięsak, który jest najczęściej spotykaną formą pierwotnego nowotworu kości. Guzy te występują zazwyczaj w obrębie kości ramiennej, jednak mogą pojawić się też w udzie i czaszce. Będziemy musieli zrobić dokładniejszy skan, żeby sprawdzić, czy to jedyny guz, ale ten jest na tyle mały, że naszym zdaniem raczej nie doszło jeszcze do przerzutów. Oczywiście będziemy musieli wykonać dalsze badania, żeby mieć całkowitą pewność.

Najprawdopodobniej zlecimy tomografię komputerową i prześwietlenie kości, pewnie też rezonans magnetyczny głowy i szyi.

Irene poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie.

– Skąd to się we mnie wzięło? – spytała, po czym przewróciła oczami i dodała: – Przepraszam, to chyba głupie pytanie.

Doktor Zarrani potrząsnęła przecząco głową. Kosmyk czarnych włosów wpadł jej do oczu, więc szybko go odgarnęła.

– Wcale nie. Wiemy, skąd się biorą niektóre nowotwory, choć w tym przypadku ma pani rację, nie jesteśmy pewni przyczyny. Przeprowadzono wiele badań. Nie wiemy, czy ma on podłoże genetyczne. Możliwe, że znaczenie ma wpływ środowiska. Braliśmy również pod uwagę poziom fluoru w wodzie pitnej, dietę, barwniki, środki konserwujące, zbyt dużą ilość czerwonego mięsa w diecie, promieniowanie, pestycydy, BPA w tworzywach sztucznych, słodziki, niektóre typy wirusów, wpływ linii wysokiego napięcia, korzystanie z telefonów komórkowych...

– I nic?

– Nic, co ostatecznie potwierdziłoby nasze przypuszczenia.

Irene przeniosła wzrok na gołą ścianę. Chciała w nią wejść i zniknąć.

– Szanse na przeżycie w przypadku kostniakomięsaka są stosunkowo wysokie. Wynoszą sześćdziesiąt osiem procent.

– Sześćdziesiąt osiem procent wcale nie brzmi optymistycznie.

– Sześćdziesiąt osiem procent to niezły poziom szans. A pani jest w pewnym sensie szczęściarą, gdyż jest pani jeszcze młoda.

Irene westchnęła głęboko i przeniosła swój wzrok na podłogę. Na niej też niczego nie było.

– Widzi pani, mnie się wydaje, że mam ogromnego pecha.

Doktor Zarrani uśmiechnęła się lekko.

– Sześćdziesiąt osiem procent to wynik uogólniony, obejmujący wszystkie

przypadki. Włącznie z małymi dziećmi, których układ odpornościowy nie jest na tyle silny, żeby móc udźwignąć terapię. Mięsak kościopochodny często dotyka dzieci i też nie wiemy dlaczego. Z drugiej strony chorują też osoby starsze, które również są za słabe, by móc poddać się leczeniu. Chodzi mi o to, że ponieważ jest pani młoda i poza tym zdrowa, to jeśli zaczniemy od razu działać, ma pani bardzo duże szanse na wyleczenie.

Irene poczuła, że ciężar, którego wcześniej nie zauważyła, nagle spadł jej z serca, choć w żołądku ścisnęło ją coraz mocniej.

Pochyliła się do przodu, jakby uczestniczyła w spotkaniu zarządu – ręce zgięte w łokciach, palce dłoni złączone.

– Więc co robimy, pani doktor?

– Zespół specjalistów zajmie się pani przypadkiem.

– Och, ale ja chciałabym, żeby to pani się mną zajęła – powiedziała Irene, uśmiechając się krzywo. Czy doprawdy flirtowała z kobietą, która mówiła jej, że być może umiera? Irene, która przywykła do tego, że wielu spraw nie rozumie, teraz była zupełnie oszołomiona.

Doktor Zarrani chyba chciała coś powiedzieć, ale zawahała się, po czym wyjaśniła: – Będę kierowała tym zespołem, ale będzie pani potrzebowała też chirurga plastycznego, chemioterapeuty, radiologa...

– Naświetlanie? – zdziwiła się Irene, dotykając oka.

– To pomaga w zwalczeniu nowotworu. W tym wypadku naświetlanie będzie delikatne, gdyż z powodu położenia guza w pobliżu oka istnieje prawdopodobieństwo trwałego uszkodzenia wzroku.

Irene wpatrywała się beznamiętnie w stół, przygotowując się na łzy, które nie chciały płynąć.

– Nie. Nie da rady – powiedziała wreszcie. – Jestem malarką. To znaczy od niedawna właściwie rzeźbiarką. Nieważne. Chodzi o to, że potrzebuję obojga OCZU.

– Rozumiem – powiedziała łagodnie doktor Zarrani. – Tak jak mówiłam, zajmie się tym specjalista.

– Naświetlanie w ogóle nie wchodzi w grę – rzekła Irene, choć spojrzenie doktor Zarrani wyraźnie sugerowało, że to kwestia niepodlegająca negocjacji. – O kurwa – westchnęła wreszcie, odchylając się do tyłu i patrząc na pusty sufit. Po chwili znów spojrzała w oczy lekarce. – Co mówią statystyki?

– Tak jak powiedziałam, około sześćdziesięciu ośmiu procent...

– Nie, przepraszam – przerwała jej Irene, kiwając głową. – Chodziło mi o to, jakie są szanse, że ja... to znaczy dlaczego akurat ja? Czy to jest jakiś wyjątkowo rzadki przypadek? Ilu ludzi na to choruje?

Doktor Zarrani przytaknęła.

– Niezwykle rzadki, szczególnie dla kogoś w pani wieku. Jak już wspomniałam, najczęściej leczymy bardzo młodych pacjentów albo osoby w starszym wieku. To, no cóż, rzadko spotyka zdrowych dwudziestolatków.

Irene zaśmiała się.

– Czyli mogę uważać się za szczęściarę?

– Można by na to spojrzeć w ten sposób.

– Nie sądzę – powiedziała Irene. – Moja mama zawsze mówiła, że takich osób jak ja jest jedna na milion.

Doktor Zarrani uśmiechnęła się.

– Na ten nowotwór zapada około pięciu osób na milion.

– Pani tak z głowy te liczby podaje?

– Jestem bardzo dobra w tym, co robię. Dlatego jestem pewna, że przejdziemy przez to razem.

Irene przytaknęła, znów przyglądając się uważnie gołym ścianom.

– Wie pani, powinniście zawiesić na tych ścianach jakieś obrazy. W innych pomieszczeniach tego szpitala wiszą jakieś mało oryginalne reprodukcje *Lilii*

wodnych i tym podobne obrazki. Wie pani co? Tego rodzaju rzeczy wtapiają się w tło. Ale jeśli naprawdę masz potrzebę popatrzeć na sztukę, kiedy na przykład dowiedziałaś się, że istnieje trzydzieści dwa procent szansy na to, że umrzesz, to niech przynajmniej na ścianie wisi jakaś kopia Moneta, żeby odwrócić twoją uwagę.

– Może mogłaby coś pani dla nas namalować albo wyrzeźbić dla nas coś – powiedziała doktor Zarrani.

Irene uśmiechnęła się.

– Jeśli jesteście w stanie mnie wyleczyć, nie niszcząc mi wzroku, zamaluję wam cały szpital.

Doktor Zarrani podała Irene rękę przez stół, na którym leżała wciąż otwarta teczka z wynikami badań.

– Zaczniemy za tydzień. To może potrwać kilka godzin. I bardzo proszę następnym razem kogoś ze sobą przyprowadzić – zasugerowała doktor Zarrani.

Irene pokręciła głową.

– Nie mam bliskich relacji z rodziną – wyjaśniła. – Właściwie to opuściłam rodzinny dom w wieku szesnastu lat i od tamtej pory z nimi nie rozmawiałam. Ale proszę się nie martwić. Sama dam sobie radę.

Doktor Zarrani powoli pokręciła głową, a Irene nie mogła nie dostrzec jej zdecydowanego sprzeciwu.

– Przykro mi, pani Richmond, ale widywałam tu komandosów, którzy nie dawali sobie rady. Będzie pani musiała znaleźć kogoś do pomocy. Kogoś, kto będzie panią musiał przywozić na terapię, a potem zabierać do domu. Będzie pani cały czas niedobrze. Ktoś będzie musiał dopilnować, żeby pani coś jadła, bo nie będzie pani miała apetytu. Będzie trzeba odbierać recepty, wypełniać druki ubezpieczenia. Ktoś będzie musiał zmieniać pani opatrunki. Naogląda się człowiek tych filmów obyczajowych, w których te małe słodkie dzieciaczki i piękne kobiety zawsze zachowują stoicki spokój, są odważne i dostojne. Od

czasu do czasu sobie rzygną, wyjdzie im z głowy trochę włosów i odrobinę zeschupleją... ale to nic. To tylko początek. Niech mnie pani teraz uważnie posłucha. Idzie pani na wojnę ze swoim własnym ciałem. To chyba najlepiej wyjaśnia, o co mi chodzi.

Irene poczuła, jak każda jej tkanka, zdrowa czy chora, kurczy się ze strachu. Co, do cholery, mogła wiedzieć o pójściu na wojnę? W przenośni i dosłownie.

Przytaknęła ku zadowoleniu lekarki.

– Jeśli nie ma pani przyjaciół godnych zaufania, możemy zorganizować...

Irene prędko jej przerwała:

– Nie, nie o to chodzi. Wie pani, moi przyjaciele to wspaniali ludzie...

Sara z pewnością dałaby sobie wydlubać oboje oczu, żeby ocalić jedno oko Irene. Jacob i George ponieśliby ją na chemioterapię i z powrotem na własnych plecach, gdyby ich tylko o to poprosiła.

Doktor Zarrani chyba miała tego świadomość.

– Pani Richmond, nie uchroni ich pani przed tym, przykro mi.

I wtedy dopiero Irene się rozplakała.

Zawstydzona, spuściła wzrok i spojrzała na książkę z baśniami, która wciąż leżała na jej kolanach otwarta na tej samej stronie, którą Irene czytała, gdy lekarka weszła do pokoju.

Widniała na niej piękna srebrzysta ilustracja przedstawiająca ogromną chmurę wiszącą nad spokojnym szarym morzem. Na krótką chwilę zapomniała, gdzie się znajduje i czego właśnie się dowiedziała. W tej baśni Wiatr Północny rozmawiał z Lśniącą Rybą, której brak było odwagi.

*La speranza è l'ultima a morire*, rzekł Wiatr Północny. W przeciwieństwie do Jacoba jej samej dobrze szło na zajęciach z włoskiego. Właściwie to według prowadzącej, pani Marzocco, była jedną z najlepszych uczestniczek kursu, choć nie doczekała się za to żadnego uznania ani na tych, ani na innych zajęciach.



Wiatr mówił Rybie, że nadzieja umiera ostatnia.

## 5

William, już drugi raz w ciągu czterech dni, znalazł się na przyjęciu, na którym nikogo nie znał. Najpierw tamten apartament w hotelu Waldorf, a teraz pełna aktorów suterena na Greenpoincie.

Sufit znajdował się pięć centymetrów nad jego głową. Kilka osób musiało się garbić. Po spektaklu, zanim William się zorientował, o co chodzi, Sara szybko zapędziła ich do pociągu numer siedem, a potem na pociąg linii G. William nie lubił wracać do Flushing, gdzie dorastał. To było jak powrót na stały ląd po miesiącach przebywania na morzu. Budynki były za niskie, ulice zbyt spokojne. Wszędzie podjazdy i ogrodzenia! Szli za grupą znajomych członków obsady, mijając polskie restauracje, fabrykę ołówków i dziwną wieżę ciśnień, przypominającą te, które można spotkać w Kansas w okolicach autostrady – aż dotarli do małej sutereny z drzwiami jak dla hobbita. Aktorzy jeden za drugim wchodzili do środka, a teraz siedzieli w kółku na podłodze, popijając ciepłe wino z plastikowych kubków i co rusz wychodząc na zewnątrz, żeby zapalić trawkę.

– Zacząłem ostatnio przesłuchiwać całą moją kolekcję płyt hip-hopowych – zagadał ktoś do Williama. – Grandmaster Flash dostarcza zupełnie innych wrażeń, gdy słucha się go na winylu. – Nieznajomy miał na sobie sztruksową marynarkę i sącył piwo z kieliszka do brandy, który, jak podejrzewał William, przyniósł z domu (reszta używała jednorazowych plastikowych kubków marnej jakości). Śmierdział trawką i cmokał ustami, jakby zamiast piwa pił trociny.

– Przepraszam – odparł William grzecznie. – My się chyba nie znamy.

Czerwone oczy chłopaka zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Wziąłem cię za kogoś innego. – Po czym wycofał się pospiesznie i uciekł

na drugi koniec pokoju, zanim William zdążył powiedzieć, że kiedyś miał w domu płytę Run-DMC.

George i gburowaty Jacob też z nikiem nie gadali, ale przynajmniej mieli siebie. Siedzieli przy półkach z książkami gospodarza i wyglądali na kompletnie wykończonych, a rozmawiali ze sobą, jakby nie widzieli się całe tygodnie, jakby każdy z nich stoczył jakąś okropną bitwę. Opowiadali sobie o intrygach biurowych, braku weny, badaniach naukowych i bezdomnych żebrakach, krzywiąc się przy tym na każdy łyk ciepłego puszkowanego piwa PBR. Co jakiś czas któryś z nich zdejmował z półki jakąś książkę w twardej okładce i ściągał z niej obwolotę, po czym zamieniał ją z obwolotą innego tomu na półce. Żaden z nich tego nie komentował. William chciał przeprosić i stamtąd wyjść, ale oni byli zbyt pochłonięci rozmową o wierszach i planetach, żeby na niego spojrzeć. Mógłby opuścić suterенę i nawet by tego nie zauważyli, jednak wciąż miał nadzieję, że Irene się pojawi.

Trzy noce wcześniej, na przyjęciu w towarzystwie Sary i jej przyjaciół, przespali się ze sobą. To było dla niego niezwykle. Nie samo pójście do łóżka z kimś, kogo poznał kilka godzin wcześniej, ale przespanie się z kimś takim jak Irene. Jeszcze w trakcie tego, co między nimi zaszło, wiedział, że nigdy tego nie zapomni i nie będzie mógł się nadziwić, że to naprawdę się zdarzyło. A wszystko poszło dobrze – przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Ale rankiem już miał wrażenie, że być może okazało się to... nie, że to on okazał się pomyłką. Nie jakimś błędem czy chwilą słabości, gdyż żadne z nich aż tak się nie upiło. Ale zwyczajnym nieporozumieniem, tak jakby seks był grą w głuchy telefon.

Następnego ranka wszyscy byli podekscytowani zaręczynami Sary, a Irene wyszła tuż po śniadaniu, nie dając mu ani pożegnalnego buziaka, ani numeru telefonu. Teraz, jak się domyślał, ma się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało. Jakby nie pamiętał każdej mikrosekundy tamtego wieczoru, jakby nie

przewijał w kółko w głowie tych chwil jak filmu na 35-milimetrowych szpulach. Wstyd się przyznać, ale oglądał go dziś po południu podczas spotkania z partnerami i w trakcie niedzielnej rozmowy telefonicznej z biurem w Londynie, i gdy wracał piechotą do domu, mijając tysiące ludzi na chodniku. Oni nie byli w stanie go zobaczyć, przypominał sobie – nawet gdyby puszczono go na ekranie tak wielkim jak Empire State Building i tak szerokim jak park Battery. Wyświetlał się tylko w jego głowie i w głowie innej osoby, która wciąż pozostawała duchem.

Cały weekend był przygnębiony i bał się oddzwonić do Sary.

Wziął duży łyk ciepłego wina, pragnąc, żeby ten czerwony plastikowy pojemnik wchłonał go całego. Rozejrzał się wokół i zastanowił, czy ktokolwiek zauważyłby, gdyby teraz nagle zniknął. Czuł się trochę tak, jakby wciąż oglądał przedstawienie. Nadal siedział w teatrze, w charakterze widza, zupełnie jakby kilka godzin temu kurtyna opadła, nastąpiły ukłony, wiwaty, członkowie orkiestry i ludzie na balkonie poszli do domu... ale dla aktorów spektakl wciąż trwał, oni nadal w nim grali.

– Jak było na spektaklu? – spytał George. Dopiero po chwili William zorientował się, że to pytanie do niego.

– Fajnie – skłamał, myśląc, że niegrzecznie byłoby powiedzieć coś innego, przebywając w tak małym pomieszczeniu w towarzystwie ludzi, którzy tę sztukę wyprodukowali. Z pewnością się napracowali, tworząc coś z niczego, czyż to nie zasługiwało na uznanie?

George i Jacob wpatrywali się w niego, wyraźnie oczekując jakiegoś rozwinięcia. Ale Williamowi nie przychodziło do głowy nic pozytywnego. Pokiwał się chwilę, zaczął wpatrywać się w sufit, z którego zwisała goła żarówka. Lecz gdy znów skierował wzrok na chłopaków, ci wciąż czekali, aż coś powie. A William – zirytowany tym całym przyjęciem, kilkudniowym czekaniem na telefon od Irene, tanim winem – wreszcie stracił cierpliwość.

– To było okropne. Naprawdę okropne. Potworne wręcz – wyznał szeptem. George i Jacob wyraźnie wyglądali na zachwyconych i ani odrobinę zaskoczonych. Opisując w szczegółach miernotę spektaklu, William starał się mówić cicho, lecz wkrótce zorientował się, że zupełnie niepotrzebnie. Aktorzy zachowywali się tak głośno, że nie słyszeliby go, nawet gdyby mówił przez megafon.

– Wszystkie dialogi były w rymowanych dwuwierszach. Nie bardzo wiem dlaczego. Albo po co w ogóle był ten taniec w rzędach. Gość, który grał Hadesa, wykrzykiwał wszystkie swoje kwestie. I, no cóż, Eurydyka nie umiała śpiewać, więc nie wiem, dlaczego akurat tej aktorce powierzono główną rolę...

George i Jacob spojrzeli na wspomnianą dziewczynę – przeraźliwie chudą gospodynię tegoż przyjęcia, z biustem tak ogromnym, że każdy jej ruch wydawał się skomplikowaną ekwilibrystką.

Jacob zdobył się na cierpki komentarz: – Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Można jej wszystkie żebra policzyć, i to przez kurtkę – zgodził się z nim George.

William zaczął opisywać punkt kulminacyjny przedstawienia: moment, gdy aktor grający Orfeusza poślizgnął się i zderzył z Cerberem, którego trzy głowy zrobione z masy papierowej wyleciały za kulisy.

George zaczął opowiadać im obu o swojej gwiazdzie, która zapadła się dwa tysiące lat świetlnych temu, ale rozproszył go widok chudej aktorki, obracającej blachę pełną zapiekaneek w swym małym piekarniku. George poszedł sprawdzić, czy są gotowe, i wtedy Jacob zaczął mówić mu – Williamowi! – o bezdomnym mężczyźnie, którego widział w metrze tamtego dnia, i jak mu teraz było głupio, że tak się wtedy zdenerwował. Williamowi zdawało się, że coś byczy na krześle obok. Spojrzał na siedzenie i zobaczył

uśmiechniętą twarz Irene na leżącej na nim komórcie.

– O, odbierzesz? – powiedział Jacob szybko. – To telefon George’a. Irene pewnie znów zgubiła się, wychodząc z metra.

William podniósł telefon, łapiąc się na tym, że wcale nie chce odbierać, bo gdy to zrobi, jej uśmiechnięta twarz zniknie z wyświetlacza. I będzie musiał wymyślić, co ma powiedzieć do dziewczyny, która w zeszłym tygodniu zasnęła wtulona w jego ciało, a obudziła się jako nieznajoma.

Nacisnął zielony przycisk i odebrał.

– Słucham? To telefon George’a Murphy’ego. Mówi William Cho.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Potem słychać było jakieś zakłócenia. I wreszcie:

– William?

– Irene? Słyszysz mnie?

Znowu coś przerywało. Potem usłyszał jakiś dziwny dźwięk, którego nie był w stanie zidentyfikować.

– William? – powtórzyła. William pomyślał, że Jacob ma chyba rację. Jej głos wskazywał na to, że jest zagubiona, a nawet przerażona.

– Halo? Irene? – powiedział głośniej. Akorzy robili tyle hałasu, do tego jeszcze to strzelanie rur z gorącą wodą nad ich głowami... jak ten chudzielec może tu spać?

Jacob pokazał na ulicę.

– Tu nigdy nie ma zasięgu. Musisz wyjść na zewnątrz.

William pospiesznie udał się w kierunku małych drzwi dla hobbitów i wymknął się na chodnik, gdzie panowała cisza i spokój.

– William?... Czy... są tam?

William przyspieszył kroku, minął rzędy kubłów na śmieci i stare gazety ciasno spakowane w gotową do wywiezienia makulaturę. Zwolnił trochę, znalazł się między samochodami zaparkowanymi równiutko w rzędach. Tak

bardzo chciał usłyszeć jej głos. Zwalczył w sobie nagłe pragnienie powiedzenia jej szalonych rzeczy: że tęsknił za nią cały weekend; że nie prał koszuli, którą miał na sobie tamtego wieczoru, bo wciąż pachniała nią. Chciał jej zdradzić, że jest pewien tego, że ją kocha, choć znał ją zaledwie osiem godzin, z czego pięć przespał.

Wbiegł szybko na ciemną ulicę, nawet nie patrząc na lewo czy prawo – gdyby akurat przejeżdżała tamtędy jakaś ciężarówka, zorientowałby się dopiero, gdyby go potrąciła.

Wreszcie dobrze ją słyszał. Wreszcie wiedział, co to za dziwne dźwięki po drugiej stronie. Głośny, desperacki szloch, bardziej żałosny niż w jakiejkolwiek musicalowej piosence.

– Irene, gdzie jesteś? Co się stało? – Pobiegnął na róg ulicy, żeby móc się zorientować, w którym miejscu tego ogromnego miasta się znajduje. Chciał, żeby wszystko wokół zniknęło. Chciał, by każda dzielnica, każdy kwartał i każda ulica zapadły się pod ziemię.

– William, ja... jestem w kawiarni naprzeciwko szpitala Mount Sinai.

William nie przestawał biec. Rozejrzał się, jakby się spodziewał, że budynek, o którym mówiła, będzie gdzieś w pobliżu. A potem przypomniał sobie, że przecież jest na Brooklynie, a szpital znajduje się we wschodniej części Manhattanu.

– Wszystko w porządku? Miałaś wypadek? Poczekaj, złapię taksówkę...

Płacz w słuchawce ucichł. Irene odchrząknęła.

– William, mam raka. Mam... kostniako... już zapomniałam, jak się nazywa. To rak kości. Ta grudka pod moim okiem... to się przydarza tylko pięciu osobom na milion.

Wiedział, że powinien zawrócić – pójść na przyjęcie i powiedzieć jej przyjaciołom. Tego prawdopodobnie oczekiwała. W końcu znali ją od lat. On nie znał jej prawie wcale.

– Wszystko będzie dobrze! – krzyknął do telefonu. Nawet nie swojego. Wiedział, że powinien wrócić na imprezę i powiedzieć George’owi. Jednak wciąż biegł ulicą. Czuł, że dopóki słyszy głos Irene w słuchawce, nic jej nie grozi. Minął wieżę ciśnień, fabrykę ołówków i polskie restauracje. Zatrzymał się dopiero nad brzegiem rzeki, przy ciemnym drewnianym moło, pod którym płynęła czarna jak Styks East River.

– Nie mów nikomu – powiedziała.

Zorientował się, że Irene wciąż szłocha.

– Nawet nie wiem, dlaczego zadzwoniłam. Nie mów nic Sarze ani George’owi, ani Jacobowi, nikomu, dobrze?

– Nie powiem – obiecał. – Cicho! – Nie powiedział „ciiii”, tylko po prostu „cicho”.

Zabrało mu chwilę, zanim się zorientował, że Irene śmieje się cichutko.

– Co cię tak rozbawiło? – wydyszał.

– Nic. Nieważne.

Nie rozumiał. Próbował nabrać powietrza, ale każdy wdech palił jak kwas, każdy wydech był jak kłębiasta chmura wypływająca z jego ust.

– Gdzie jesteś? – spytała Irene trochę pewniejszym głosem.

Spojrzał na linie dachów rysujące się na tle ciemnego nieba. Setki tysięcy metrów kwadratowych szkła i stali wtapiały się w tę czern jak wielka nekropolia, a ona gdzieś tam była.

– William? Wiesz co, to głupie. Pójdę jednak do domu.

– Nie, nie słyszę cię za dobrze – powiedział, zawrócił i zaczął biec w kierunku imprezy. – Nie rozłączaj się.

Znów słyszał w słuchawce oddech Irene. Spojrzał przez ramię na rzekę i majestatyczne miasto wznoszące się nad jej brzegiem. Przyciskając telefon do ucha, przebiegł jeszcze z trzy przecznice, zanim zorientował się, że stracił zasięg.

## Bezusznna i rybne oczy

Z pocztku bycie chorym na raka wydawało się głównie kwestią wypełniania dokumentów.

Irene próbowała zachować spokój i cierpliwość, gdy podstarzałe panie w rejestracji szpitala Mount Sinai spoglądały z rozdrażnieniem na wypełnione przez nią formularze, bez słów podając jej czyste blankiety do ponownego uzupełnienia. Irene zastanawiała się, czy biorą udział w międzyoddziałowym konkursie na Najbrzydszy Świąteczny Sweter, a może te ich Rudolffy, Mikołaje i Precle zostały wydziergane przez ich koty. Tłumaczyła sobie, żeby nie okazywać braku uprzejmości. Ci ludzie przecież próbowali jej pomóc.

Z ozdobioną nazwą koncertu farmaceutycznego podkładką do pisania na kolanach Irene starała się nosić głowę wysoko, uważając jednak na lametę zwisającą ze sztucznych choinek i na świecące bałwanki wiszące na druczianych gałązkach. Radosna atmosfera świąt Bożego Narodzenia na dobre ogarnęła szpital Mount Sinai. Gdziekolwiek Irene by spojrzała, wszędzie pełno było kolczastych wieńców, wiszących girland i błyszczących dekoracji. W każdej windzie znajdowały się świąteczne skarpety. Zabawkowe pociągi przejeżdżały przez zaspy sztucznego śniegu. Elegancko opakowane prezenty z za dużymi kokardami stały ułożone równiutko w rogach korytarzy, pełniąc jedynie funkcję dekoracji. Irene przypadkowo kopnęła jeden z nich i cały stos pustych pudełek runął na podłogę. Na początku te dekoracje wydały jej się



śmieszne, potem przygnębiające, teraz jednak, spędziwszy cały poranek na wypełnianiu formularzy, zaczynała się do nich przekonywać. Kimże ona jest, by oceniać, co może przynieść odrobinę radości i uśmiechu pacjentom, którym przyszło spędzać Boże Narodzenie w szpitalu? Jak by nie było, wkrótce miała stać się jednym z nich.

Ostatecznie Irene wylądowała na szóstym piętrze, na Oddziale Nowotworów Głowy i Szyi. Choć nomenklatura wydawała jej się prawidłowa, biorąc pod uwagę położenie jej guza, uznała tabliczkę na drzwiach poczekalni za irytującą i absurdalną. „Mam nowotwór czaszki”, pomyślała sobie. „Mam raka głowy. Wszystko tu, od szyi w górę, jest do niczego. Wpiszę się na listę przeszczepów. Wetknę sobie głowę jakiejś miłej spokojnej nauczycielki z Ann Arbor i sprawa załatwiona”.

Irene zawsze uważała, że wyrozumiałość to miecz obosieczny. Udawanie, że nie wzrusza nas to, co w rzeczywistości nas niepokoi, działa uspokajająco na nas i tych wokół nas. Zapragnęła więc wyglądać jak bezduszny zły porucznik, dyrygujący udreńczonym szpitalnym personelem, który stukając w klawiatury komputerów, ustalał godzinę i miejsce dwóch pierwszych chemioterapii. I to jej się nawet udało, ale potem ujrzała odbicie swojej twarzy w okularach jednej ze starszych recepcjonistek. Uderzyło ją, jaka jest spięta i rozmazana – dokładnie tak się czuła.

Kobieta kiwała siwą głową, cmokając językiem ukrytym za ustami pomalowanymi szminką w kolorze fuksji.

– O jejku – to była ulubiona fraza pań odbierających telefony – zaraz zadzwonię po kogoś, żeby się tym zajął.

Irene miała problem z pytaniami w kwestionariuszu. W wielu przypadkach nie wiedziała, co ma napisać.

Reakcje alergiczne na leki – znak zapytania. Nazwisko poprzedniego lekarza pierwszego kontaktu – nie pamiętała. Poprzednie pobyty w szpitalu,

proszę uporządkować chronologicznie i podać przyczyny: „1. Wycięcie migdałków, rok 1992 albo 1991? 2. Upadłam i uderzyłam głową w mosiężną figurkę dalmatyńczyka. Miałam pięć albo sześć lat? Nie stwierdzono wstrząśnienia mózgu. 3. Potworne bóle brzucha, okazały się nietolerancją na laktozę, która minęła jak ręką odjął. Nie bardzo pamiętam kiedy”. Szczepienia ochronne: „Prawdopodobnie wszystkie te, które standardowo robi się dzieciom? Od 1998 roku już nic”. Choroby przechodzone przez ojca: „Łysienie typu męskiego, trądzik różowaty, krótkowzroczność???”. Choroby przechodzone przez matkę: „???”.

– Mam pierwotny nowotwór kości. – Próbowала przyzwyczać się do tego, jak brzmią te słowa w jej ustach. Palcem wskazała małe zgrubienie pod lewym okiem. – Mam złośliwego mięsaka kości. Gdyby nie to, w ogóle nie wiedziałabym, że go mam. Trzeba się dobrze przyjrzeć, by go zobaczyć.

Dzień ciągnął się jak flaki z olejem, gdyż procedura posuwała się do przodu małymi kroczkami. Zanim zapadł zmrok, Irene zwiedziła chyba wszystkie piętra szpitala, wszędzie natykając się na migocące płatki śniegu.

Gdy w końcu już ustalono, że następnego ranka może rozpocząć dwudniową chemioterapię, Irene, idąc ciemną ulicą, wstąpiła do piekarni MetroStop, gdzie rozplakała się nad talerzem zupy z pieczonej kukurydzy. Nikt z obsługi nie uznał tego za dziwne.

Spojrzała na plamy rozmazanego tuszu do rzes, które pozostawiła na skraju papierowej serwetki. Myślała, że to nastąpi później. Nie widziała jeszcze nawet igły ani skalpela czy kroplówki! Zadrzeć na widok średniowiecznych narzędzi wydawało się zrozumiałe; ale że wystarczą zadrukowane kartki papieru? O ósmej rano powinna się zgłosić na dwunaste piętro na chemię, która będzie podawana dożylnie. Wszystko ma potrwać kilka godzin.

Irene czekała, aż plamy po tuszu trochę zaschną. Potem ostrożnie oderwała poplamiony kawałek papieru i włożyła go do torebki, nie bardzo jeszcze

wiedząc, jak i czy w ogóle go wykorzysta do nowego dzieła, które właśnie konstruuje późnymi nocami w swoim mieszkaniu.

Palce zanurzone w torebce sięgnęły po telefon, chociaż im tego zakazała. Przypomniała im, że przecież wszyscy wyjechali na święta. Mimo to kciuk nacisnął ikonkę z listą kontaktów. Sara pojechała na święta do rodziców George'a w Ohio. Jacob był w Tampie, czy jak to nazywał, w „krajnie zniedołężniałych” – z matką i ojcem świętował ostatnie dni Chanuki. Nie chciała nikomu psuć świątecznego czasu, więc żadne z nich nie wiedziało jeszcze o diagnozie.

Jedyną osobą, która wiedziała, był William Cho. Irene przyglądała się jego zdjęciu, pobranemu automatycznie przez jej telefon. Skąd? Nie miała pojęcia. Ubrany w czarny garnitur i krawat, William wyglądał na zaskoczonego, stojąc na tle błękitnego logo Sears. Chciałaby móc zmienić tę fotografię; zakłopotany mężczyzna w niczym nie przypominał tego delikatnego i ciekawego chłopaka, z którym kilka dni temu spędziła noc. Im dłużej patrzyła na tego nie-William, tym większą miała ochotę spotkać się z tym prawdziwym.

Kupiła mu ten dylanowski szal, ale wciąż trzymała go w domu. Nie rozmawiali ze sobą od ostatniego razu, gdy siedziała w tej samej kawiarni, tuż po usłyszeniu diagnozy.

Pewnie wciąż jest w mieście; jego rodzice mieszkają w Queens. Co chwila naciskała przycisk z gwiazdką, żeby ekran się nie zaciemnił i nie zniknęło zdjęcie Williama.

Wypożyczalnia filmów 867 Video była bliska bankructwa, a spojrzenie właściciela zdradzało, że William jest jedynym powodem, dla którego jeszcze jej nie zamknął. Może William utrzymywał ją przy życiu w szerszym tego słowa znaczeniu, gdyż jego współpracownicy kupowali filmy na DVD – nie, teraz w formacie Blu-ray – z dostawą do domu, bądź, jeszcze lepiej, streamowali je z telewizji.

– Masz czas, żeby chodzić do wypożyczalni? – pytali go w pracy, widząc płyty leżące na jego biurku i czekające na zwrot. – To jeszcze ich nie pozamykali?

– Kupiłem ją za czterdzieści dziewięć centów! Nie miała ani jednej rysy! Gówniarze ze sklepu Blockbuster na Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy nie wiedzieli nawet, kto to był Cary Grant. Powiedziałem im: „To amerykańskie bożyszcze, kretyni! Ten wasz Bin Diesel albo Channing Tater czy Catrina Gomez mogliby mu buty czyścić!”.

Spodiewając się telefonu od matki, William odebrał, nie spojrzawszy na wyświetlacz.

– *Annyeonghaseyo, eomeoni.*

– William? To ty?

Na dźwięk głosu Irene zachwiał się i chwycił stojaka z klasyką kina.

– William – powtórzyła pogodnym głosem. – Przepraszam, że cię niepokoję. Pewnie jesteś teraz zajęty. Dzwonię, bo pomyślałam, że mógłbyś wyświadczyć mi przysługę.

– Nie – odparł szybko. – To znaczy nie, wcale mi nie przeszkadzasz. Jak się czujesz?

– Czuję się dobrze. Bez zmian. Chodzi o budynek, w którym mieszkam. Niemal w środku nocy przyszedł do nas dozorca i powiedział, że musimy się ewakuować z powodu jakiejś plagi insektów. Jakieś muchy, chrząszcze czy coś w tym rodzaju. Dobrze, że to nie pluskwy. Tak czy owak, wybiegłam z domu jak jakaś idiotka, niczego ze sobą nie zabierając, i teraz boję się tam wrócić. Wszyscy wyjechali, a ja nie mam gdzie spać. Mam nadzieję, że zgodzisz się mnie przenocować. Na kanapie albo gdziekolwiek, nie jestem wybredna. Nie chciałabym, żebyś mnie źle zrozumiał...

Źle zrozumiał? – chciał spytać William. Jak niby miałby to zrozumieć? Że znów się ze sobą prześpią? Czy może chodziło jej o to, że są jedynie

dwojgiem ludzi, którzy nigdy nie powinni byli pójść ze sobą do łóżka? Nic na to nie powiedział, na co ona w duchu liczyła.

– Wiem, że sprawy zaszły... to znaczy nie wiem, gdzie zaszły. Przepraszam, że tak plotę bez sensu. Wiem, że to głupie.

– Nie – przerwał jej William. Nagle poczuł, że chce, aby nie przestawała; niczego bardziej nie pragnął, tylko słuchać tej jej paplaniny. Jednak teraz ona milczała, ewidentnie czekając, aż William coś powie.

Spanikowany, gapił się na Cary'ego Granta z okładki trzymanej w ręku płyty DVD z filmem *Podejrzenie*. „Każdy ich pocałunek – głosił opis – to dreszczyk miłości... Groźba morderstwa!”. Nisko osadzone brwi Cary'ego Granta świadczyły o łagodności, którą William tak pragnąłby w sobie mieć.

– Dobrze – powiedział, imitując głos Granta. – Dam portierowi znać, że przyjdiesz.

– William, jesteś kochany – westchnęła.

– Nie ma o czym mówić – rzekł, biorąc do ręki płytę.

Irene westchnęła zadowolona i rozłączyła się. William wysłał jej adres w wiadomości, a potem szybko podszedł do Arturo z płytą w ręku, mając nadzieję, że jeśli się pospieszy, zobaczy choć początek, zanim Irene zadzwoni do drzwi.

– Jeden z najlepszych filmów Hitchcocka – powiedział Arturo, z uwielbieniem patrząc na Joan Fontaine w czerwonej sukience z głębokim dekoltem. – Z wyjątkiem zakończenia, które RKO kazał mu zmienić...

William ledwo go słuchał. Zapłacił i wyszedł ze sklepu. Przez chwilę pomyślał, że może kupi szampana Bollinger Blanc, który tak jej ostatnio smakował, albo bukiet róż, które wstawi do wazonu – tyle tylko, że chyba nie ma żadnego wazonu w domu, a ponadto Cary Grant z pewnością nie tak by się zachował. Cary Grant nigdy nie zdobyłby się na taką arogancję. Powiedziała, że nie chce, by sobie coś pomyślał. Cokolwiek miała na myśli, pewnie

chodziło jej o to, że powinien się wyluzować. Być wyluzowany jak Cary Grant.

William wyszedł z wypożyczalni z zaciśniętą szczęką. To uczucie nie opuszczało go przez dwie trzecie drogi aż do momentu, gdy potknął się na zamarzniętej kałuży i wylądował wśród gałęzi jednej z choinek wystawionych na sprzedaż.

Irene od razu ruszyła w stronę domu Williama. Wpierw chciała wstąpić do siebie po szalik dla niego, ale wolała nie tracić czasu i ryzykować, że jeszcze się rozmyśli. William przywitał ją w drzwiach, powiedział, że właśnie ogląda jakiś stary film. Gdy spytał ją, jak się czuje, przerwała mu, mówiąc, że nie chce o tym rozmawiać. Rzuciła, że uwielbia stare kino, i zaczęła nalegać, by dokończyli go razem. Nie chciałyby mu przeszkadzać, skoro okazał się tak hojny. Jednak po godzinie siedzenia na kanapie i oglądania, jak Grant i Fontaine ze sobą flirtują, Irene trudno się było skupić.

Mieszkanie Williama przygnębiało ją. Coraz bardziej jej się wydawało, że ogląda film, będąc na planie jakiejś innej produkcji. To miejsce nie tylko raziło doborem kolorów (rdzawa czerwień z kolorem morskim i skóra o barwie mahoni), ale też akcentami jak z wystawy sklepu meblowego, które miały czynić je przytulnym. Na ścianie nad kredensem wisiał ogromny kompas z brązu, otoczony czarno-białymi, oprawionymi w ramki zdjęciami, które przedstawiały: apsydę średniowiecznej katedry, rzymskie atrium i dwuspadowy dach domu letniskowego. Była pewna, że to nie są zdjęcia z wakacji, lecz rodzaj czarno-białych „artystycznych” fotografii, które można nabyć w sklepie IKEA w promocji „dwanaście w cenie dziesięciu”. Całe szczęście, nie miał w domu żadnych dekoracji świątecznych, chociaż wolałyby jakieś drzewko niż ten bezsensowny koszyk z ładnie ułożonymi gałązkami, który stał w kącie pokoju. Coś takiego widywała w czasopiśmie. Nikt rzeczywisty takich rzeczy nie posiadał. Coraz mocniej się przekonywała, że

siedzi w kompletnie sfabrykowanym salonie kompletnie sfabrykowanej osoby.

Irene przeprosiła i na chwilę wyszła do łazienki. William zatrzymał film. Po drodze w holu szukała dowodów jakiejś osobowości, zdjęć przyjaciół czy jakichś kiczowatych pamiątek, jednak nic takiego nie znalazła. Rodzina Williama pochodziła z Korei, a w mieszkaniu nie było nawet jednego dzieła sztuki z jakimikolwiek motywami orientalnymi. Wiedziała, że studiował sztukę klasyczną, ale jedynym greckim przedmiotem, jaki dostrzegła, była mała urna, w której zamiast prochów leżały zasuszone płatki kwiatów, które już dawno utraciły swą woń. Jaki szanujący się absolwent takiego kierunku trzyma w domu potpourri? W łazience było lustro, którego ramę celowo obdarto z farby, a pod nim niewielki podajnik do mydła ozdobiony mozaiką malutkich płytek, jakby jakiś rzemieślnik tysiąc lat temu przykleił je starannie na dozownik z pompką firmy Crate & Barrel. Wracając do salonu, sprawdziła biblioteczkę, aby upewnić się, że grzbiety książek były zagięte. Poczowała ulgę. Jednak nie do końca był Wielkim Gatsbyem.

Do tego jeszcze mówił jak postać z filmu.

– Czy pozwolisz, że doleję ci wina? – spytał, gdy wróciła. Gdy już to zrobił, spojrzał na nią, jakby sam był zaskoczony tym, co pomyślał, i rzekł: – Podaj mi pilota z łaski swojej. Trochę słabo słyhać, prawda?

– Pachniesz żywicą – powiedziała Irene, spełniając jego prośbę.

– A, tak. Idąc ulicą, wpadłem na sprzedawcę choinek. Miły gość, choć trochę krzyczał, gdy uciekłem.

– Udajesz Brytyjczyka? – spytała.

To chyba go ruszyło, bo jego policzki zarumieniły się tak jak wtedy.

– Nie celowo, nie. Pozwolisz, że uznam to za komplement.

– Naprawdę? – spytała Irene z westchnieniem. Tego William już nie usłyszał, bo wcześniej podgłośnił dźwięk.

Gdy film się skończył, Irene poczuła zmęczenie, ale jednocześnie zbyt duży

dyskomfort, by móc zasnąć. Nie chciała zostać w tym sztucznym salonie. Nie chciała też iść do łóżka ze sztucznym Williamem.

– Chyba już pójdę – rzekła wreszcie.

William posmutniał.

– No cóż, dobrze. Poczekaj, wezwę taksówkę.

– William, na mieście jest pełno taksówek. Są taksówki, chodniki, jest metro. Wszystko bym dała, by móc znaleźć się teraz w metrze.

– Przykro mi, że film ci się nie podobał – powiedział chłodno.

– Film był fajny – odparła.

– Jesteś zła. – Zmarszczył czoło.

– Nie, wcale nie – zaprzeczyła Irene, wstając i szykując się do wyjścia. Nie wiedziała, jakiego rodzaju perswazji użyć, żeby się wyluzował, wiedziała jednak, że teraz ma na to 68 procent mniej czasu niż kilka tygodni temu. Głupio zrobiła, że w ogóle tu przysłała.

– Dokąd pójdziesz? – spytał, gdy wkładała buty.

– Posłuchaj, William...

– Rozumiem, że chcesz wyjść. Ale mówiłaś, że dziś nie możesz zostać w swoim mieszkaniu, a wiem, że Sara i reszta są poza miastem. Martwiłem się, czy... masz dokąd pójść?

Irene ze złością narzuciła na ramiona płaszcz.

– Nie musisz się mną opiekować, wiesz? Jest wiele miejsc, gdzie mogłabym pójść.

Zawsze tak było. Faceci – szczególnie tak mili jak William – zawsze usiłowali ją przekonać, że potrzebuje ich opieki i troski. Tylko frajerzy i popaprańcy zostawiali ją samą sobie.

Przypomniała sobie, że przecież William nie wie o niej wszystkiego. Spała już w o wiele gorszych miejscach niż zapluskwiony pokój. W jej mieszkaniu wprawdzie nie było robactwa, ale o tym William też nie wiedział.



Jej lewa ręka zaplątała się w rękawie. Po pobieraniu krwi nie mogła jej zgiąć w łokciu, co sprawiło, że jeszcze bardziej się zezłościła.

– Wszędzie mam przyjaciół! Poważnie. Mogłabym teraz pójść na Penn Station, wsiąść w jakikolwiek pociąg i gdziekolwiek bym wysiadła, byłoby okej.

William stał, kiwając głową i kołysząc się lekko na piętach. Irene w płaszczu zatrzymała się w drzwiach. Czy naprawdę miał zamiar gapić się w podłogę i nic nie mówić?

– No co? – spytała wreszcie Irene.

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Co co?

– Co robisz? – sprecyzowała.

Przestał się kołysać.

– Przepraszam. Zamyśliłem się. Przepraszam.

– O czym tak myślałeś?

– O tym filmie. O tym, jak się kończy – westchnął. – Pierwotnie Hitchcock chciał, żeby Fontaine napisała list do matki, przyznając, że wie, iż Grant jest zabójcą, ale tak bardzo go kocha, że gotowa jest dla niego umrzeć. Po czym wypiłaby truciznę i film kończyłby się tak, że Grant wysyła list. Jednak producenci ze studia chcieli, żeby film skończył się oddaniem zabójcy w ręce sprawiedliwości, zmuszono więc Hitchcocka, by zmienił scenariusz na taki, w którym to Grant próbuje targnąć się na swoje życie.

Irene nie mogła uwierzyć, że William wciąż gada o filmie. Mniejsza z tym.

– To byłoby absurdalne – powiedziała.

– Racja. Trzeba przyznać, że ktoś tak opanowany i pewny siebie nie brałby pod uwagę samobójstwa...

– Nie, nie to jest absurdalne – przerwała mu Irene. – Jest aroganckim dupkiem. A targnięcie się na swoje życie w takich okolicznościach byłoby

zwieńczeniem tej jego arogancji.

Na te słowa William znów się zaczerwienił.

– Chodziło mi o to, że absurdem byłoby pomyśleć, że on naprawdę mógłby ją zabić. – William robił się coraz bardziej czerwony.

Irene podeszła bliżej.

– W tej pierwszej scenie, zaraz po tym, gdy przyszłam, spacerują sobie razem, jest bardzo romantycznie, a potem on nazywa ją małym pyszczkiem i ona się złości. Żaden szanujący się morderca nie nazwałby kobiety małym pyszczkiem. Hitchcock musiał mieć tego świadomość.

Nagle szpital Mount Sinai wydał jej się czymś bardzo odległym. Irene spojrzała Williamowi głęboko w oczy i powiedziała:

– Myślę więc, że powinieneś się pospieszyć i szybko nadać mi jakieś przydomko, bym miała pewność, że nie jesteś mordercą.

William roześmiał się.

– Nie mogę. Jesteś... zbyt piękna na to, żeby sobie z siebie żartować.

Cofnęła się trochę. Nienawidziła tego słowa. Piękna. To słowo nic nie znaczyło i było zwodnicze. A jeśli wyjęliby jej oko? Gdyby zaczęły jej garściami wypadać włosy? Gdyby mięśnie twarzy jej zwiotczały? Czy wciąż nazywałby ją piękną?

– Gdybyś mnie przycisnęła, to powiedziałbym, że twoja twarz jest odrobinę...

– Jaka? – chciała wiedzieć Irene. – No mów. Nie obrażę się.

– Właściwie to chodzi o twoje uszy. Są takie malutkie. Tak jakby chciały się z powrotem schować w twojej głowie.

– Wcale nie są małe – krzyknęła i poderwała się, by poszukać lustra.

– Właśnie że są. W zasadzie to ty w ogóle nie masz uszu.

– Nie mam uszu? – wrzasnęła do swego odbicia w lustrze oprawionym w nijaką czarną ramę. Nie patrzyła jednak na swe uszy, tylko na niego,

stojącego za nią z nieśmiałym uśmiechem na twarzy. Odwróciła się, a on ją złapał i razem opadli na kanapę.

– Nie przejmuj się – powiedział, odgarniając jej włosy, jakby chciał się jej dokładniej przyjrzeć. – Do twarzy ci tak. Bezuszna.

– Odszczekaj to! – wrzasnęła.

Delikatnie odgarnął jej włosy i pocałował w jedno z rzekomo nieistniejących uszu.

– O, tutaj są! – wykrzyknął.

– Nareszcie jesteś – powiedziała.

Irene spała, leżąc na Williamie, tam, na skórzanej mahoniowej kanapie, a on nie śmiał się poruszyć w obawie, że ją obudzi. Opowiedziała mu o dniu spędzonym w szpitalu i o pierwszym zabiegu, który miał się zacząć już za parę godzin. Zanim przysnęła, popełnił błąd, pytając ją, czy nie ma rodziny, do której mogłaby pojechać na święta, albo kogoś bliskiego, kto mógłby zawieźć ją do szpitala.

– Opuściłam rodzinny dom w wieku szesnastu lat – wyjaśniła. – Nie będę ci tłumaczyć, dlaczego to zrobiłam. Po prostu to nigdy nie było moje miejsce. Czasami ludzie przychodzą na świat w niewłaściwej rodzinie. Podobnie jak dusze czasem zaplączą się w złym ciele. Ja mam bardzo starą duszę. Wydaje mi się, że moja dusza powinna należeć do kogoś, kto ma już sto dziewięćdziesiąt pięć lat.

William nie do końca wiedział, czy Irene żartuje, ale w ciemnościach pokoju wyobrażał ją sobie leżącą na nim, całą pomarszczoną, z włosami białymi jak światło księżyca.

– Nie tak jak ty – ciągnęła. – Ty masz bardzo młodą duszę. Chłopcę. Nie gniewaj się... bo widzisz, chodzi mi o to... nie ma się o co obrażać. Twoje ciało jest jak najbardziej męskie. Ale wewnątrz jesteś chłopcem. Weźmy na przykład to, jak zdjęłeś ze mnie ubranie. Zaskakująco powoli. To właśnie

najbardziej w tobie lubię. Twoja dusza jest tak chłopięca, że aż dziewczęca.

Nie zareagował zbyt dobrze na ten komentarz, czego teraz pożałował, leżąc, odtwarzając w głowie całą tę sytuację i patrząc na śpiącą Irene.

– I co z tego? – dodała. – Lubię zniewieściałe dusze. I dziewczęce ciała, jeśli mam być szczerą. Prawdę mówiąc, powinieneś czuć się wyróżniony, gdyż nie spałam z wieloma chłopcami. Miałam o wiele więcej dziewcząt niż chłopców.

William nie zdołał ukryć swojego zdumienia tym, co usłyszał, ani reakcji dolnej części swego ciała na myśl o Irene w łóżku z inną dziewczyną.

– Widzisz? – droczyła się z nim. – Masz w sobie chłopca.

Potem znów ją zapytał o jej prawdziwą rodzinę i dlaczego ją opuściła, ale Irene albo udawała, że zasypia, albo rzeczywiście już drzemała.

– Zostawiłam ich, bo nie byli moją rodziną – wymamrotała. – Myślałam, że Alisaa jest moją rodziną, ale powiedziała, że ciągle ją zostawiam. – Po tych słowach zasnęła.

William nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Co to za imię „Alisaa”?

Powiedziała Alissa czy Alicia? Czyżby się przesłyszał?

Siedział więc tak, nie chcąc się poruszyć, dopóki słońce nie wzeszło nad Queens.

Irene obudziła się o siódmej, nie do końca świadoma tego, że została jej tylko godzina na dotarcie do szpitala, gdzie miała się poddać pierwszemu zabiegowi. Przyśnił jej się najdziwniejszy w życiu sen – doktor Zarrani mówiła, że to się czasami zdarza pacjentom chorującym na raka. Sny przypominające odlot po wzięciu kwasu. Surrealne wizje, które nie zawsze kończyły się w momencie przebudzenia. Lekarka nazywała je „snami uzdrawiającymi”, ale nie wyjaśniła, na czym tak naprawdę polegała ich lecznicza moc. Irene nie bardzo miała czas, żeby się nad tym teraz zastanawiać. Biegała nerwowo po mieszkaniu. Kiedy William spytał, skąd ten

pośpiech, powiedziała mu, że musi przygotować się na pierwszą infuzję.

– Po prostu włóż to, co miałś na sobie wczoraj – powiedział.

– Chyba sobie żartujesz. – Pomyślała, że chyba będzie musiała cofnąć to, że nazwała go dziewczęcym, ale to z kolei mogłoby mu schlebić, a poza tym gdy otworzyła jego szafę (wykonaną z prawdziwego, ale sztucznie pościeranego drewna), odkryła, że pełno w niej było rzeczy, które bez problemu mogła włożyć. Znalazła dzinsy, których William nie nosił pewnie od college’u. Były trochę przedarte na kolanach, ale całkiem dobrze na niej leżały, gdy podwinęła nogawki i jako paska użyła żółtego krawata. Wybrała różową frakową koszulę, której rękawy podwinęła do łokci, ścisnęła ją z tyłu gumką i włożyła do spodni.

– Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że mieszkasz z jakąś dziewczyną – powiedziała, odpinając srebrzysty sznurek od rolety i wieszając go sobie na szyi jak korale.

– Jedziemy do szpitala, Bezusna. Jakie znaczenie ma to, jak wyglądasz? – jęknął William. Zauważyła, że ma zapuchnięte od niewyspania oczy.

– To mój pierwszy dzień i muszę zrobić dobre wrażenie! Masz coś do makijażu?

– A niby skąd miałbym mieć? Chodźmy! Wyglądasz pięknie!

– Co ci powiedziałam na temat tego słowa? – zbeształa go. – Naprawdę nic nie masz? Kto w dzisiejszych czasach nie ma w domu korektora? Albo jakiejś szminki, pozostawionej przez byłą dziewczynę? – Przyglądała mu się z zaciekawieniem, zdejmując z półki biały kapelusz typu panama. – Wiem, że miałeś dziewczyny. Nie mów mi, że kupiłeś go dla siebie.

William włożył go jej na głowę.

– To prezent od mojej matki.

Irene zdjęła kapelusz i przyjrzała mu się uważnie.

– Jest świetny. Chciałabym poznać tę kobietę.

– Jeśli się pospieszysz i zdążysz na wizytę, poznasz ją jeszcze dziś wieczorem.

Zrobiła wielkie oczy. Nie sądziła, że weźmie jej słowa na poważnie, ale nagle strasznie zapragnęła spotkać się z panią Cho – jeśli ktoś może pomóc jej się dowiedzieć, jaki naprawdę jest William, gdy nie skrywa się za tym salonem meblowym, to właśnie ona.

– Spotykamy się dziś całą rodziną na kolacji wigilijnej. Będziesz zachwycona. To moje małe osobiste piekielko.

Irene przyklasnęła przejęta.

– Jeśli będziesz się ociągać i przegapimy wizytę, to na kolację nie zdążymy.  
– William zaczął robić się coraz bardziej stanowczy, ale Irene była już jedną nogą za drzwiami.

Dotarli do szpitala na ostatnią chwilę – tym razem, mając przy sobie Williama, Irene bardziej przychylnie spojrzała na świąteczne dekoracje. Po wypełnieniu kilku dodatkowych dokumentów spotkali się z doktor Zarrani, która oprowadziła ich po oddziale chemioterapii, jakby to było mieszkanie, którego kupnem byli zainteresowani.

– Żadnych elfów ani renifera! – zauważyła Irene.

– To pomieszczenie zostało zaprojektowane w oparciu o japońską ideę ogrodu zen – wyjaśniła. – Każdego ranka, idąc do rejestracji, mijasz rzeźbę z wodospadem.

Pokój oświetlały wielkie mosiężne latarnie, a w poczekalni pod ścianą stała piaskownica z kamykami i grabkami, które dwójka dzieci usilnie próbowała zniszczyć. Stoły, na których leżały czasopisma i katalogi, zrobione były z gładzonego kamienia, a przycięte drzewka bonsai miały oddzielić poczekalnię i wprowadzić trochę spokoju.

Doktor Zarrani stała niewzruszona.

– Wiem, że to brzmi głupio, ale badania wykazały, że w tych warunkach

pacjenci szybciej wracają do zdrowia.

William stanął jak wryty.

– Że niby dzięki jakiejś starożytnej magii shintō?

Lekarka zaprowadziła ich z powrotem do miejsca z kroplówkami.

– Chodzi o to, że pacjent jest bardziej zrelaksowany i chętniej stawia czoło ciężkiej pracy, jaka go czeka.

– Estetyka jest istotna, William – warknęła Irene. – Dlatego właśnie chciałam ładnie wyglądać.

– Wygląda pani bardzo ładnie – powiedziała doktor Zarrani, a William uniósł ręce w przeproszającym geście. – Teraz proszę usiąść tu obok tej niebieskiej... pagody, czy jak to się nazywa. Zaraz przyjdą pielęgniarki i podadzą pani doksorubicynę i cisplatynę. Potrwa to kilka godzin, więc mam nadzieję, że wzięła pani ze sobą jakąś dobrą książkę.

Irene spojrzała podejrzliwie na leżące obok egzemplarze „Vogue’a” i „Cosmopolitan”. Te same czytała wczoraj w poczekalni na dole.

– Mogę pójść do księgarni i coś ci przynieść – zaproponował William.

– No cóż... – odparła Irene, z szelmowskim uśmiechem wyjmując z torebki okazały tom. – Dziś rano zdjęłam to z twojej półki. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

William, owszem, był lekko zaskoczony, widząc swój egzemplarz *Iliady* w tłumaczeniu Latimore’a, o którym tak niepochlebnie wyrażał się Jacob. Miał świadomość, że pewnie są tam jakieś notatki i podkreślenia z okresu studiów, ale wzruszył ramionami, nie wiedząc, jak przypuszczała Irene, że to właśnie te podkreślenia i notatki najbardziej ją interesowały.

– Czy mogę tu z nią poczekać? – spytał William.

– Osiem godzin? Nie wygłupiaj się. Idź kupić mamie coś na święta. No i prześpij się. Wiem, że nie spałeś całą noc.

William zamierzał poczekać, aż zaczną, ale Irene nie chciała o tym słyszeć.

– Albo ty, albo ja – powiedziała, więc William poszedł.

Doktor Zarrani weszła, żeby podłączyć kroplówkę.

– Doksorubicyna zaburza strukturę helisy, co uniemożliwia jej rozwinięcie konieczne do replikacji, a cisplatyna wiąże sąsiadujące nici DNA, co uruchamia proces autodestrukcji wewnątrz komórek.

Irene poczuła powoli ogarniający jej ciało spokój, gdy znalazła się pod opieką lekarki, która przemyła jej rękę w zgięciu wacikiem zanurzonym w jakimś żółtym środku antyseptycznym. Irene myślała, że będą wstrzykiwać jej coś do twarzy, a nie do ręki.

– Skąd lek wie, że ma pójść stąd aż do oka?

– Niestety nie wie – odrzekła doktor Zarrani. – Zwykle najpierw operujemy, jednak chcąc uchronić twoje oko, zaczniemy od chemii, mając nadzieję, że pod jej wpływem guz odrobinę się zmniejszy. Lek przedostaje się do krwiobiegu i dociera wszędzie. Niszczy guza, ale też wszystko po drodze.

Irene wyprostowała się na krześle. A więc nie uderzenie chirurgiczne, tylko taktyka spalonej ziemi, pomyślała. I wtedy przypomniała sobie sen z minionej nocy. Wlokła się godzinami przez jałową pustynię. Wreszcie napotkała po drodze wielki czarny liść i skryła się w jego cieniu. Gdy już poczuła się tam bezpiecznie, nagle zaczęło dziać się z nią coś dziwnego. Zaczęła płuć, bez opamiętania, wyrzucając z siebie nieprawdopodobne ilości śliny, i poczuła suchość, jakiej nigdy dotąd nie zaznała. Zwijiała się i skręcała, usiłując powstrzymać to niekontrolowane ślinienie. Kiedy pomyślała, że za chwilę wyschnie jak mumia w grobowcu, zauważyła, że to, co z siebie wyrzuciła, nie było śliną, lecz jedwabiem. A miotając się i skręcając, mimowolnie, a może właśnie instynktownie, utkała z tych jedwabnych nici wielki, błyszczący kokon, na którego ścianach błyszczały krople zimnej rosy. Już miała w nim się schować i zasnąć na tysiąc lat, gdy nagle obudziła się na Williamie.

– Teraz troszkę zakłuje – ostrzegła ją lekarka.



Irene poczuła dotkliwe uszczypięcie, a potem coś obcego w ręce. To coś będzie w niej przez kilka godzin i będzie to czuła jeszcze długo potem.

William znalazł już prezenty dla wszystkich członków rodziny z wyjątkiem matki. Zatrzymał się więc przy sklepie Armii Zbawienia kilka przecznic od szpitala, gdzie dojrzał ogromny wazon w ohydnie różowym kolorze, pokryty złotymi chryzantemami i przeceniony na pięć dolarów. Prezent sam w sobie nie był tak istotny jak to, ile za niego zapłacił. Wszystko, co dla niej kupował w sklepach detalicznych, zaraz potem zwracała, narzekając, ile pieniędzy na to wydał. Zawsze twierdziła, że widziała dokładnie ten sam przedmiot za jedną dziesiątą ceny na jakimś kościelnym kiermaszu.

Jeszcze jako młody chłopiec, będąc z klasą na wystawie sztuki wschodniej w Muzeum Guggenheima, znalazł w tamtejszym sklepie z upominkami przecenione piękne jedwabne kimono. Żeby móc je kupić, sprzedał Mi-cha Yu swoją kolekcję komiksów z Aqualadem. Gdy jednak nadszedł świąteczny poranek i mama otworzyła pudełko z prezentem, spytała: „Co to jest?”. „Kimono”, odpowiedział, a ona rzuciła mu miażdżące spojrzenie, mówiąc: „Kimona są japońskie. My jesteśmy Koreańczykami”. Zaciągnęła go na Upper East Side i kazała mu je zwrócić, ale ponieważ wystawa sztuki wschodniej została zastąpiona obrazami Moneta, w sklepie nie mieli już kimon na stanie. Matka, wściekła, wepchnęła je głęboko do szafy w pokoju gościnnym, gdzie leżało do dziś.

William, z wazą pod pachą, szedł Trzecią Aleją, przecznica za przecznica, brodząc w śniegu – gdzieniegdzie chodników jeszcze nie odśnieżono. Zmarznięty, szedł przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd zmierza, choć jego stopy wydawały się mieć jakiś plan. Za witrynami sklepów panował spokój; drogi opustoszały. Pomyślał, że nieczęsto zdarza się mieć to miasto tylko dla siebie. Zanim się zorientował, dokąd prowadzą go jego własne nogi, znalazł się bliżej Czwartej Ulicy niż szpitala. Wiedział, że powinien zawrócić

i pójść w jego kierunku. Było coś dziwnego w tym, że zabrała z jego półki *Iliadę*. Jakby ta książka tak naprawdę należała do niej. Nie zastanawiając się długo, wyjął klucze z jej torebki. gdy lekarka akurat tłumaczyła jej, na czym polega chemioterapia. Pomyślał, że zrobi jej niespodziankę – wpadnie do jej mieszkania, mimo dezynsekcji, i dzielnie przyniesie jej torbę ciuchów, które będzie mogła włożyć na wieczór. Przecież nie pójdzie na kolację wigilijną w jego starych dzinsach i naszyjniku ze sznurka do rolet. Idąc Aleją A w kierunku jej domu, wyobrażał sobie, że będzie tym pomysłem zachwycona.

Zanim jednak tam dotarł, wiedział, że się oszukuje. Irene z pewnością nie spodoba się to, co właśnie zamierzał zrobić, jednak miał w głowie tyle pytań na jej temat, które nie dawały mu spokoju. Skąd pochodzi Irene i dlaczego stamtąd uciekła? Nie mógł odpędzić od siebie myśli, że może była molestowana, albo jeszcze gorzej – choć przecież zapewniała go, że nie o to chodziło. Kim była „Alisaa”? Czy w ogóle dobrze usłyszał jej imię? Czy była jedną z tych dziewcząt, z którymi ponoć sypiała?

Irene mieszkała w niszczącej kamienicy z elewacją z piaskowca, przed którą stały związane łańcuchami kubły pełne śmieci. Okna na parterze zabito deskami, a deski oklejone były wyblakłymi plakatami reklamującymi koncerty. Otworzył drzwi i wszedł na górę po krętych schodach; im wyżej wchodził, tym poręcze stawały się bardziej zakrzywione. Czyż nie mówiła, że cały budynek jest odkażany? Na drzwiach wejściowych nie było żadnej informacji, a z mieszkań dobiegały odgłosy ludzi. Wszedł na piąte piętro, spodziewając się znaleźć na drzwiach naklejkę Ministerstwa Zdrowia albo taśmę ostrzegawczą na klamce, ale nie zastał nic nadzwyczajnego. Wciąż trzymając pod pachą wazę, powoli przekręcił klucz w zamku i wszedł do mieszkania Irene.

Rozejrzawszy się, William dostrzegł niedbale porzucane koce i ubrania

treningowe piętrzące się na podłodze i przerzucone przez drzwi od łazienki. Mieszkanie było zapuszczone, począwszy od zlewu pełnego brudnych naczyń, a skończywszy na łuszczącej się farbie na suficie. Minął skrawki niedzielnego wydania „Observera” i kilka kartonowych pudeł pełnych drobiazgów z pchłego targu: błyszczących kulek do gry, porzewiałych gałek do drzwi, kłębka drutu, starych liter ruchomej czcionki, zabawnych zegarków, podpórek do książek w kształcie komiksowych bohaterów, kilkunastu wciąż nieodpakowanych lalek Barbie, lustrzanych ramek, pucharów zdobytych w rozgrywkach piłki nożnej i mnóstwa jedwabnych kwiatków. Już miał zadać sobie pytanie, po co, do cholery, jej to wszystko, gdy spojrzał na drugi koniec pokoju.

Pod oknem znajdowało się o wiele mniej rupieci. To chyba było miejsce do pracy. Na niskim stoliku leżały otwarte szkicowniki, których kartki pokryte były kreskami w niebieskim kolorze. Na ścianach pochłapanych farbą wisiało kilkanaście obrazów przedstawiających różne miasta i pejzaże, uporządkowanych od najmniejszego do największego. Dzikie skaliste tereny i prerie. Wygięte w łuk mosty i moczary o zmierzchu. Pustynia Albuquerque w Nowym Meksyku i oblodzony płaskowyż Alaski. Na przeciwległej ścianie wisiało kilka niedokończonych kolaży i kompozycji wykonanych z różnych drobiazgów. Szklane kulki do gry pomalowane jak oczy i wciśnięte w kit, cyfry i skrawki map połączone włóchatymi kawałkami przędzy, nad tłem utworzonym z martwych motyli i ogromnych ciem trupich główek. To wszystko mieściło się na ciężkiej podkładce ze sklejki. William pomyślał, że całość wygląda jak tablica korkowa wytwornego seryjnego mordercy.

William obejrzał kilka sukienek leżących na podłodze, ale nie potrafił stwierdzić, czy któraś z nich jest czysta. Postanowił zapamiętać rozmiar z metki, stwierdzając, że jeśli kupi jej jakiś nowy ciuch, nie będzie musiał przyznawać się do tego, że włamał się do jej mieszkania. Czy nie trzeba było

wszystkiego uprzątnąć przed dezynsekcją? Czy nie pachniałoby tu dziwnie kilkanaście godzin po odkażaniu? Im dłużej o tym myślał, tym większą miał pewność, że żadnej dezynsekcji nie było. Ale dlaczego go okłamała? Jeśli chciała do niego wpaść, nie musiała przecież wymyślać żadnego powodu. Dobrze o tym wiedziała.

Wtedy właśnie zauważył związane białą wstążką pudełko, na którym widniała karteczka z napisem „Dla Williama”. Podniósł je i delikatnie nim potrząsnął, ale nic w środku nie zagrzecotało. Co tam mogło być? Powinien był kupić coś dla niej? Chętnie zajrzyłby do środka, ale wtedy już na pewno wiedziałaby, że włamał się do jej mieszkania, więc odłożył prezent na miejsce.

Jego wzrok spoczął na mosiężnej klatce dla ptaków stojącej przy oknie, pełnej pudełek z biżuterią. Podszedł do klatki i zaczął szukać jakichś drzwiczek. Zaintrygowany, próbował włożyć do środka rękę, ale odległość między szczelkami była taka mała, że ledwie można było wsunąć palec i wyłowić ze środka jakiś kolczyk czy naszyjnik.

– Jak, do licha, włożyłaś tam te wszystkie pudełka? – spytał pusty pokój.

Wtem, gdy już miał się wycofać, zauważył oprawioną w miękką czarną skórę książeczkę, wciśniętą pomiędzy dwie szkatułki. Próbował ją chwycić, ale jakkolwiek ją przechylał czy obracał, nijak nie chciała przejść przez szczelki. Pomimo panującego w mieszkaniu chłodu, pocił się, stojąc na palcach i próbując dostrzec, co jest w środku. Jeśli tam zajrzy... mógłby znaleźć to, czego się spodziewał... tak, nazwiska i adresy! Książka adresowa! Może gdzieś tam widnieje imię „Alissa” czy „Alicia” albo „Alisaa”.

– Skąd jesteś, do cholery? – spytał, próbując wertować kartki przez szczelki. – Kim jesteś?

I wtedy książeczkę wyślizgnęła mu się z palców i na dno klatki wypadło z niej kilka czarno-białych zdjęć. Były tam też skasowane bilety kolejowe.

William zgarnął je wszystkie w stos. Zdjęcia z dzieciństwa? Stare fotografie szkolne? Irene, bezusznna licealistka z wystającymi zębami, jeszcze przed ucieczką z domu? William musiał mocno wykrzywiać kark, żeby dobrze im się przyjrzeć, a wsparłszy się o parapet, mógł nawet wyciągnąć się kilka centymetrów dalej i dokładnie zobaczyć – nagie ciało Irene.

Zaskoczony, wypuścił z rąk fotografie, a te znowu się rozsypały. Niektóre wypadły poza klatkę i kompletnie się pomieszały. Wyjął rękę z klatki i schylił się, by pozbierać serię pikantnych fotek. Przedstawiały eteryczne ciało Irene oświetlone na tle ciemnego tła, w pozycjach dość naturalnych i raczej niepornograficznych. Na jednej z fotografii miała odsłonięte piersi, ale zdjęcie w tym miejscu było niewyraźne – ostrość ustawiona była na usta i czubek nosa, a wzrok Irene skupiony na popiele drżącym na końcu papierosa. Na innym leżała na boku w czarnej toni prześcieradeł, jakby ta ton miała ją zaraz pochłonać. Na trzecim Irene była zwrócona plecami do aparatu, ze wzrokiem utkwionym w okno, jakby planowała ucieczkę. William dostrzegł w kadrze dłoń autora zdjęć, najwyraźniej kobiecą, która wydawała się zachęcać Irene do tego, by się odwróciła. Obrócił fotografię i zobaczył tekst. Charakter pisma nie należał do Irene:

*Tu es toujours sur le point de me quitter. Alisanne*

Alisanne! O to chodziło. To o niej mówiła Irene tuż przed zaśnięciem. Przez chwilę bawił się telefonem, wpisując słowa do wyszukiwarki Google. Trochę potrwało, zanim znalazł zasięg. Podeszedł bliżej okna i wtedy na ekranie pojawiły się wyniki wyszukiwania.

– Jesteś, jakby zaraz miało cię nie być – powiedział na głos, ale nikt go nie słyszał.

William miał dosyć. Starannie ułożył zdjęcia w stos i wepchnął je na tył książeczki z adresami, którą włożył z powrotem do klatki, między szkatułki. To za wiele, powtarzał sobie, wychodząc z mieszkania. Za wiele. Stanowczo za

wiele. Zatrząskując za sobą drzwi, mozolnie zszedł po wałących się schodach i wkroczył na ośnieżone chodniki Czwartej Ulicy. Doszedł aż do Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy i znów się rozmyślił. Przy Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy zobaczył na wystawie zapinaną wysoko pod szyję czerwoną suknię. Kupił ją i poprosił, by zapakowano ją na prezent.

Irene pomyślała, że nigdy nie czuła się tak szczęśliwa jak teraz, gdy szła ulicami przedmieścia Flushing w kierunku domu państwa Cho, z Williamem, którego dłoń spoczywała na jej niedawno zabandażowanym ramieniu. William był pewnie podenerwowany, bo byli już spóźnieni. Nie przeszkadzało jej nawet to, że spytał ją „Jak się czujesz?” pięciokrotnie i „Wszystko w porządku?” sześć razy, odkąd wyszli ze szpitala. Odpowiadała zgodnie z prawdą: czuła się wyjątkowo.

Przez te osiem godzin, gdy siedziała na oddziale chemioterapii, zrobiła pięć wstępnych szkiców nowych rzeźb, przeczytała sześć rozdziałów *Iliady* (wraz z poruszającymi notatkami Williama), i – *the pièce de résistance!* – odkryła pewną stronę dwunastą w katalogu Pottery Barn na jesień 2007.

– *J'accuse!* – zawołała, gdy przyszedł ją odebrać pod koniec dnia. Wetknęła mu pod nos otwarty katalog.

– Jak się czujesz? – spytał, odsuwając go od swojej zatroskanej twarzy.

– Czuję się – powiedziała i biorąc głęboki oddech, dokończyła: – niesamowicie.

William wyglądał na zdezorientowanego i przez chwilę przyglądał się zdjęciu w katalogu.

– Nie bardzo rozumiem.

– To twoje mieszkanie, William! Co, wzięłeś telefon, wybrałeś numer infolinii i powiedziałeś: poproszę stronę dwunastą?

Znów się zarumienił.

– Nie do końca. Ja...

– William! – krzyknęła, chwytając się obiema rękami za głowę. Pozostali pacjenci w sali gapili się na nich, zachwyceni, że po kilku godzinach nudy trafia im się takie przedstawienie. – William, jesteś człowiekiem! Masz jakąś osobowość. Osobowość, którą mogą, nie, którą muszą wyrażać przedmioty, jakie cię otaczają!

Uniosła jego egzemplarz *Iliady* niczym topór.

– Posłuchaj no, panie Cho! „Jeśli bogowie naprawdę znają nasz los i wciąż próbują się wtrącać i wytaczają przeciwko nam wojny, to jest w tym jakiś cel, że wybieramy jedną z wielu dróg prowadzących nas na ten koniec. Człowiek musi mieć wolną wolę, bo w przeciwnym razie bogowie w ogóle nie zaprzętałyby sobie nami głowy?”.

– No i co? – spytał. – To tylko nic nieznaczące notatki.

– A właśnie że coś znaczą – zawołała radośnie Irene. – Świadczą o tym, że nie jesteś stroną dwunastą, Williamie Cho!

Ten jej zwycięski okrzyk wciąż pobrzmiwał w jego uszach, gdy kroczył obok Irene po śliskich chodnikach. Irene miała na sobie tę nową czerwoną sukienkę, którą kupił jej w prezencie świątecznym. Jakoś udało mu się wybrać coś, co nie tylko było w jej guście, ale też w jej rozmiarze. Ona zastanawiała się, czy poprzedniej nocy William przebiegle sprawdził rozmiar na jej ciuchach, gdy ją rozbierał, już wtedy planując tę przyjemną niespodziankę. Gdy tak szarpał się z prezentami pod pachą, pospiesznie próbując ostrzec ją przed swymi rodzicami, poczuła, że William to jej własny czarny koń – że pomoże mu się wydostać na świat, tak jak zrobiła to ze sobą.

– Mój ojciec jest cichym i spokojnym człowiekiem. Przeważnie milczy, więc nie obraż się, jeśli nie powie ani słowa. A moja matka jest... dziwna. Pracuje tutaj, we wspólnocie, jako ktoś w rodzaju uzdrowiciela. Bynajmniej nie lekarza. To u nas rodzinne: gdy jeszcze mieszkała w Korei, jej matka była *mudang*... kimś w rodzaju znachora czy szamanki. Więc ogólnie rzecz

ujmując, jest kopnięta. No wiesz. Twierdzi, że umie rozmawiać z duchami i bogami, a ludzie jej za to płacą, traktując ją jako medium...

– William. Każdy ma wariatów w rodzinie. Więc wyluzuj.

– No tak, ale chodzi mi o to, że nie każdy gada ze zmarłymi. W zasadzie jest coś jeszcze – szepnął, stojąc kilka centymetrów od niej. – Moi rodzice nie będą zadowoleni, jeśli pomyślą, że ze sobą chodzimy. A to dlatego, że nie jesteś Koreanką. Nie żebyśmy byli parą, ale powinniśmy zadbać o to, żeby tak nie pomyśleli.

Irene wiedziała, że to, co powiedział, powinno ją zasmucić, ale w ogóle jej to nie zmartwiło. Spojrzała na niego z psotnym uśmiechem.

– Wiesz, wykorzystuję cię ze względu na twoje ciało.

William znowu oblał się rumieńcem. Wepchnęła go na schody jego własnego domu i sama zadzwoniła do drzwi. Chwilę później powitała ich wysoka kobieta, która zmierzyła ją wzrokiem jeszcze zza siatki przeciw owadom.

– Wchodźcie. Szybko! – powiedziała. – Zaraz będzie burza!

– Na zewnątrz jest pięknie! – rzekł William, gdy wzięła z jego rąk prezenty i zagoniła ich do środka. Irene zdążyła jeszcze spojrzeć na niebo, delikatnie różowe od świateł miasta. Ani jednej ciemnej chmury.

Zdjęli płaszcze i położyli je na starej pralko-suszarce, na której leżał już stos innych okryć. Irene uściśnęła zaobrączkowaną rękę pani Cho. Kiedy kobieta zwróciła się do swego syna w twardym koreańskim języku, Irene z zachwytem zauważyła, że pani Cho ma we włosach więcej tych małych obrączek, błyszczących jak grzbiet szlachetnego łososa skaczącego w górę rzeki.

– Mamo, to jest Irene – powiedział William.

Pani Cho spojrzała na nią.

– Cieszymy się, że udało ci się przyjść. Dobrze, że William ma jakąś



przyjaciółkę.

William zaczerwienił się.

– Ma pani piękną fryzurę – powiedziała Irene do pani Cho.

Ta zaróżowiła się delikatniej niż jej syn i schowała dłonie Irene w swoich, potrząsając nimi lekko. Już miała coś powiedzieć, gdy nagle cofnęła się, a w jej oczach pojawiły się ciekawość i troska.

– Coś ci dolega? – spytała.

Irene zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Nigdy nie czułam się lepiej, pani Cho. Naprawdę.

Ale gospodyni stała tam z zaciśniętymi ustami, przyglądając się z uwagą Irene, jakby była jakimś cienkim pęknięciem w ścianie, które może się powiększyć. William wysyczał coś do niej po koreańsku, co absolutnie zignorowała, więc zasyczał ponownie i wtedy ostro odburknęła, nie odrywając przy tym oczu od jego towarzyszki. To sprawiło, że Irene poczuła się, jakby znowu była w szpitalu, w kabinie, skanowana przez rezonans magnetyczny. Przez krótką chwilę poczuła zawroty głowy, jakby kafle pod jej stopami wygięły się dwa centymetry ku górze. Po chwili jednak to uczucie zupełnie minęło.

Pani Cho wyciągnęła jedną zaobrączkowaną rękę w kierunku Irene, jakby chciała ją poklepać po ramieniu, ale jej kciuk powędrował wyżej, machnęła nim dokładnie pod jej lewym okiem. Ręka Irene podskoczyła nerwowo i odsunęła dłoń pani Cho. Zakłopotana, Irene udawała, że skubie podwiniętą rzęsę. William warknął na swoją matkę, a ta w końcu się wycofała.

– Mam nadzieję, że nie spóźniliśmy się na kolację. Pachnie niesamowicie.

Było coś w spojrzeniu pani Cho, co sprawiało, że Irene wciąż czuła się nieswojo.

– Właśnie siadaliśmy do stołu! – powiedziała i z wdziękiem zaprowadziła ich do pokoju obok.

Irene starała się zrelaksować, podziwiając portret wiszący w pokoju dziennym, przedstawiający młodego Williama i jego brata, odzianych w jakiś uroczysty strój. Jednak im bardziej się zagłębiała w ten dom, tym trudniej jej było odzyskać regularny oddech. Podążając za błyszczącymi obrączkami we włosach pani Cho, Irene miała dziwne wrażenie, że schodzi w dół, jakby pokój był lekko nachylony, a oni starali się utrzymać w pionie. Zatrzymali się przed otwartymi podwójnymi drzwiami, przez które Irene ujrzała wielką biblioteczkę pełną książek i otoczoną prezentami choinkę w drugim końcu pokoju. Pani Cho weszła do środka, by położyć prezenty przyniesione przez Williama, rozmawiając z nim już o wiele bardziej przyjaznym tonem w tym ich śpiewnym języku. Irene na chwilę zamknęła oczy, próbując przebić się przez dziwne, intensywne zapachy dochodzące z jadalni i zachłysnąć się aromatem choinki. Jednak do jej nozdrzy docierał jedynie zapach suchych trocin.

W jadalni zastali resztę rodziny, a Irene została szybko przedstawiona panu Cho (który wydobył z siebie przyjazne chrząknięcie, ale poza tym nic więcej nie powiedział) oraz starszemu bratu Williama, Charlesowi, siedzącemu obok swojej żony, Kyung-Soon, oraz córek, Charlotte i Emily. Dziewczynki zaszczębiotały do siebie, gdy Irene wskazano miejsce tuż obok nich. Emily spoglądała na nią, ale od razu spuszczała wzrok na swoją kolorowaną, gdy ich oczy się spotkały. Natomiast Charlotte w ogóle nie odrywała od niej wzroku. Irene uścisnęła każdemu rękę na powitanie i po chwili zapanował radosny nastrój, gdyż William wraz z bratem zaczęli nadrabiać zaległości i opowiadali, co u nich nowego.

Na stole było kolorowo od różnych dziwacznych potraw. Irene zamawiała już wcześniej dania kuchni koreańskiej – kimchi i bibimbap z waflami ryżowymi – ale żadnego z obecnych tutaj nigdy wcześniej nie widziała. Kruche brązowe kawałki grillowanej wieprzowiny, ogórki nadziewane czymś w szkarłatnym kolorze i talerz z gąbczastą kałamarnicą panierowaną

w sezamie. Na samym środku stołu leżał ogromny lucjan, którego czerwone łuski od długiego grillowania zmieniły kolor na brązowy. Z głową wciąż nieodciętą i otwartym pyskiem wpatrywał się w Irene, gdy ta próbowała się rozluźnić.

Zazwyczaj Irene lubiła próbować nowych potraw i choć wszystko pachniało smakowicie i zarazem tajemniczo, im dłużej siedziała przy stole, tym większy czuła w sobie niepokój. Zanim zdążyła się do kogokolwiek odezwać, pan Cho odwrócił się i zaczął mówić coś do obrazu z Chrystusem na krzyżu, wiszącym na ścianie tuż nad jego krzesłem. Irene nie bardzo wiedziała, co się dzieje, dopóki nie zauważyła, że wszyscy spuścili głowy, a Emily swą małą rączką nieśmiało dała jej znak pod stołem, że powinna zrobić to samo. Pan Cho chrapliwym głosem zaczął odmawiać modlitwę. Irene zamknęła oczy, usiłując wzbudzić w sobie uczucie wdzięczności – za potrawy, za towarzystwo, nawet za sukienkę, ale te myśli nijak nie chciały do niej przyjść. Modlitwa zawsze ją krępowała. Modląc się, zawsze czuła się jak kłamca.

Kiedy pan Cho skończył, wszyscy znów zaczęli trajkotać po koreańsku. Irene nie potrafiła wyczuć, jaki jest ton tej rozmowy, nie mówiąc już o znaczeniu wypowiedzianych przez nich słów. Poczowała lekkie, a potem silniejsze zawroty głowy. Jeszcze kilka minut temu czuła się taka szczęśliwa; próbowała odszukać w sobie ten nastrój, ale nie potrafiła. Czuła pieczenie w dole łokciowym, gdzie wcześniej tkwiła kroplówka. Na skórze pozostał zarys plastrów, przytrzymujących wenflon. Zaczęła skubać lepkie resztki taśmy. Grudka pod okiem bolała – czyżby cisplatyna i doksorubicyna już zaczęły wiązać się z najcieńszymi włóknami jej ciała? Z pewnością dotarły już wszędzie, od stóp po cebulki jej włosów. Pielęgniarki ostrzegały ją przed zawrotami głowy, poczuciem rozdrażnienia i nudnościami. Gdy wreszcie przedstawiono ją Charlesowi i Kyung-Soon, zdobyła się na udawaną radość.

– Charles jest moim starszym bratem, no i oczywiście jest lekarzem, więc

rodzice lubią go bardziej niż mnie – wyjaśnił William.

– Zgadza się – powiedziała pani Cho, udając lekceważący ton.

Charles próbował ratować niezręczną sytuację:

– Ale to William dostał się na Yale.

– Ale to ty studiowałeś medycynę! – pisnęła Kyung-Soon, podając Irene misę z zupą w kolorze fuksji, pełną małży, krewetek i kawałków tofu w kształcie małych rybek.

– W Rochester – zaśmiał się Charles. – Irene, gdybyś kiedyś chciała zobaczyć, jak wygląda ktoś, kto czuje się nieswojo, poszukaj Koreańczyka w Rochester.

Irene grzecznie zamieszała zupę, patrząc, jak rybki wirują w gęstej cieczy.

– Kiedyś mieszkałam w pobliżu Rochester. Na farmie niedaleko New Hope, kojarzysz?

– New Hope! Rany boskie, coś ty tam robiła?

Tutaj posypał się grad słów w języku koreańskim. Irene domyśliła się, że pani Cho zbesztala swego starszego syna za to, że wezwał imię swego Pana nadaremno. Pan Cho nic nie powiedział, lecz stanowczym gestem wskazał na obraz z Jezusem. Charles uniósł dłonie, broniąc się przed salwą dziwnych słów, wystrzeliwanych w niego jak kule.

– Rany Julek! – poprawił się Charles wytwornym falsetem. – Co robiłaś na farmie w New Hope?

– Pracowałam. – Irene uśmiechnęła się pomimo bladej, lecz oślepiającej aureoli, która zaczęła tworzyć się wokół żyrandola nad stołem.

– William mówił, że jesteś artystką? – zaszcebiotała Kyung-Soon.

– Irene to pewnego rodzaju specjalista od wszystkiego – wyjaśnił William.

– Specjalistka – poprawiła go bratowa i znów jak z karabinu maszynowego wystrzelono serię słów w języku koreańskim.

Irene nie rozumiała tego, co mówią, ale było to bez znaczenia, bo bracia

droczyć się w każdym języku tak samo. Pani Cho otworzyła usta i zaczęła grozić synom widelcem, dając im do zrozumienia, że mają się zachowywać porządniej.

– O co chodzi? – wyszeptowała Irene do Emily, bazgrzącej coś kredkami.

– Tata mówi, że jesteś dziewczyną wujka Williama – odpowiedziała szeptem Charlotte.

Irene przyłożyła rękę do ust, udając zakłopotaną: – O nie!

Emily zaczęła chichotać, nadal jednak nie potrafiła spojrzeć Irene prosto w twarz. Mikołaj w jej książeczce do kolorowania miał niebieski kombinezon i złotą czapkę. Reszta rodziny wciąż się sprzeczała, a Irene ze wszystkich sił starała się zachować spokój. Na zewnątrz wiatr przybierał na sile i dziewczynki z radością przyglądały się, jak za oknem znów zaczyna przószyć śnieg – najpierw kilka płatków, a potem kurtyna śniegu.

– Byłyście grzeczne? Napisałyście list do Świętego Mikołaja?

Charlotte natychmiast zaczęła wymieniać listę rzeczy, o które poprosiła Świętego Harabeoji w zamian za jej nienaganne zachowanie: kilka lalek konkretnego rodzaju i marki, lakier do paznokci, taki jaki posiada mama, duży dziewczęcy rower, narty, słońca (jakiej wielkości – nie sprecyzowała) oraz sukienkę, taką jaką miała w szkole Jill. Lista prezentów wydawała się nie mieć końca, a Irene, udając, że jest nią bardzo zainteresowana, jadła zupę i zerknęła na Emily, która delikatnie kolorowała obrazki. Nuciała coś cichutko do kredek, wyjmując je z pudełka, i rysowała liliowe drzewka i duszki nad sennym, zaśnieżonym Betlejem.

– Mogę? – spytała Irene, wyjmując z pudełka czerwoną kredkę.

Emily spojrzała na nią uważnie, wlepiając w nią swe wielkie, przenikliwe oczy, które odziedziczyła po babci. Po czym pozwoliła jej pokolorować małą stajenkę na skraju miasteczka. Gdy podniosła wzrok i zobaczyła, że William jej się przygląda, znów zaczęło jej się kręcić w głowie.

– Wszystko w porządku? – spytał, nie do końca bezgłośnie poruszając ustami.

Gestem dała mu znać, że tak, choć miała poczucie, jakby pokój przechylił się o kilka stopni w prawo, a potem znów wrócił na miejsce.

– Zamawiam policzek! – krzyknął Charles.

Irene zorientowała się, że pan Cho zaczyna kroić olbrzymiego czerwonego lucjana, podając kolejne porcje swoim synom.

– Policzki są najsmaczniejsze! Irene jest naszym gościem i to ona powinna dostać jeden – zaprotestował William.

– To twoja dziewczyna, więc oddaj jej swój.

Znów zaczęli sprzeczać się po koreańsku, a Irene grzecznie podziękowała za delikatne mięso z policzka, które pan Cho nałożył na jej talerz.

Dopiero wtedy zauważyła, że pani Cho pochyla się nad pokrojoną rybą i przesuwa zaobrączkowane palce nad ościstym mięsem, nucąc przy tym jakąś pieśń.

– Co ona robi? – spytała po cichu Emily.

– To wiedźma – wyszeptała dziewczynka. Były to pierwsze słowa, które wypowiedziała na głos tego wieczoru.

Irene już miała powiedzieć, że to nieładnie tak mówić o swojej babci, kiedy pani Cho przejechała czubkiem noża po oskrobanej z łusek rybiej głowie i wydając z siebie zduszony okrzyk, włożyła palec w małą dziurkę za okiem, wyjmując je.

Irene na moment straciła równowagę, ale to wystarczyło, by zrobiło jej się słabo. Poczwała, jak żołądek podchodzi jej do gardła, jak statek wyrzucony w górę przez falę żółci. Różowe szkliste rybie oko potoczyło się kilka centymetrów jak kulka do gry, zostawiając po sobie półprzejrzysty ślad. Irene mocno zacisnęła usta. Poczwała, jak coś w jej wnętrznościach się podnosi, walcząc z grawitacją i podchodząc do przełyku. Chwyciła serwetkę

i przyłożyła ją do ust.

– O fuuuuuuuuuuj! – wrzasnęła Charlotte.

Irene udało się nie zwymiotować na stół. Część żołądkowej treści złapała w serwetkę, a resztę z trudem zdławiła. William krzyczał na matkę, która nie przestawała śpiewać i zabierała się za następne oko. Charles i Kyung-Soon wrzeszczeli na Charlotte. Nawet pan Cho mówił coś szczekliwym głosem, najprawdopodobniej do wyrozumiałego Chrystusa na ścianie. Irene poczuła, jak mała rączka Emily łapie ją za nadgarstek, nie w akcie paniki, ale by dodać jej otuchy. Patrzyła na Irene, jakby ta była jej lalką, którą chce zabrać w bezpieczne miejsce do innego pokoju. Jednak Irene nie potrafiła oderwać wzroku od ryby oraz noża, którym pani Cho podważała drugie oko. Jego czubek znów wśliznął się w szczelinę między gałką oczną a rybią czaszką i hop, drugie oko wyskoczyło na zewnątrz. Zapadła cisza.

Pani Cho ze spokojem zgarnęła oboje oczu z obrusa i położyła je na małym białym talerzyku. Spojrzała na Irene i uprzejmie podała go jej. Irene wzięła głęboki wdech, czując się odrobinę lepiej i nie odrywając oczu od spodka z dwoma galaretowatymi pasażerami.

– Zjedz je – zachęciła ją mile gospodyni. Po czym, jakby zaskoczona faktem, że Irene nie rozumie, dodała: – Po nich przestanie cię boleć oko.

Irene zakryła płamkę pod okiem i z przerażeniem spojrzała na Williama. William, oniemiały, machnął ręką do matki, by położyła talerz na stole.

– Fuj. OHYDA! – palnęła Charlotte. – To najbardziej obrzydliwa rzecz, jaką widziałam.

– Są uznawane za wyjątkowy przysmak – powiedział Charles, próbując rozluźnić atmosferę.

Irene wiedziała, że jest gościem w cudzym domu, ale tego już było za wiele. Dlaczego w ogóle marnowała czas i energię na to, żeby zachowywać się miło i z wdzięcznością? Była wykończona. Czuła mokre plamy na

sukience, od wymiocin, które przeciekły przez serwetkę. Teraz będzie musiała jechać do domu upaprana. Czym sobie na to zasłużyła? Na to niby-lekarstwo? Co tak złego zrobiła, że w ogóle zachorowała? I to jej ma być teraz przykro? Nie. Powinna być teraz sama, w swoim mieszkaniu bez choinki i kominka, bez prezentów i rodziny. Była przepełniona trucizną. Chciała przejść kwarantannę, zostać zesłana na Syberię i położona na krze lodowej. Za długo już była w tym mieście. Zapomniała o tym, że przecież ciągle ma uciekać. No i doczekała się. Śmierć ją dopadała i teraz gapi się na nią z porcelanowego talerzyka, tymi dwoma różanymi oczyma.

Irene sięgnęła po talerz i wzięła do rąk rybnie oczy. Trzymała je w otwartej dłoni jak kości do gry. Po czym wrzuciła je do ust i nadgryzła galaretowate kulki. Prysnęła z nich jakaś obrzydliwa rybna ciecz, która przyłgnęła jej do języka. Charlotte ponownie wrzasnęła, a William patrzył na to wszystko z przerażeniem.

Przez moment Irene pomyślała, że znów zwymiotuje, ale coś w spojrzeniu pani Cho spowodowało, że jej żołądek się uspokoił. W tym momencie poczuła, jak drobna rączka Emily głaszcze ją po brzuchu. Jakby chciała powiedzieć: już dobrze, dobrze. Lepiej już?

Na zewnątrz szalała taka burza śnieżna, że nikt nie odważył się wracać do domu. William zaścielił dla Irene kanapę w gabinecie. Poczekali, aż dziewczynki zostawią dla Świętego Harabeoji miseczkę makaronu w sosie z czarnej fasoli, a potem, gdy już zasnęły, Charles pomógł Williamowi rozpalić ogień w kominku. William od kolacji z jakieś pięćset razy powtórzył słowo „przepraszam”. Irene znów zachowywała się normalnie, czyli znów udawała, że wszystko jest „w porządku! w absolutnym porządku!”, ale William wiedział swoje. Dostrzegał panikę w jej oczach jeszcze długo po tym, jak matka przyniosła jej jakieś stare ubrania, w które mogła się przebrać.

– Szkoda, że nie możesz tu ze mną dziś spać – powiedziała Irene z kapryśną



miną. Ale William czuł, że kłamie. Miała w oczach to chytre spojrzenie; coś było nie tak, ale nie bardzo wiedział co. Miała taki głos jak wtedy, gdy po raz pierwszy do niego zadzwoniła. Jak Joan Fontaine w tym filmie.

– Będziemy musieli pojechać do szpitala wcześniej rano, jeszcze zanim dziewczynki wstaną, by otworzyć prezenty. Więc dam ci coś teraz – rzekł William, biorąc prostokątny jedwabny zwitek ze stosu ubrań, które mama przygotowała dla Irene. – Wesołych świąt.

– Och, William – jęknęła, dotykając materiału. Rozwiązała wstążkę i jej oczom ukazało się piękne jedwabne kimono w motyle, drzewa i wijące się rzeczki.

– Jest... nieco stare – tłumaczył się. – Ale zapewniam cię, że nigdy nie było noszone.

Irene zaczęła cicho szlochać, a William nie bardzo wiedział dlaczego. Przybliżył się do niej, by ją pocieszyć, ale ona cofnęła się, jakby mogła go czymś zarazić.

– Strasznie mi głupio – wyjaśniła. – Kupiłam coś dla ciebie, ale zostawiłam w mieszkaniu.

Irene zarzuciła kimono na szeroką pizzamę, którą dała jej pani Cho. William był oszołomiony tym, jak pięknie na niej leżało. W jej oczach widział łzy.

– Przepraszam – powiedziała, ostrożnie całując go w czoło, jakby bała się, że po pocałunku zostanie na nim jakiś ślad.

– Za co? – spytał William. I choć w kółko go okłamywała i choć wciąż nie chciała wyjawić mu prawdy, której się domagał, powiedział: – Przecież nie zrobiłaś nic złego.

– Potrzebuję czasu – powiedziała beztrosko, jakby żartowała.

Zostawił ją i poszedł spać na górę. Rano już jej nie było. Jedynym śladem, jaki po niej pozostał, było kilka kropel wody na podłodze przy drzwiach wejściowych, po stopniałym śniegu, który wpadł do środka, gdy wychodziła.

William pojechał metrem do jej mieszkania, ale główne wejście było zamknięte, a gdy zadzwonił domofonem, nikt nie odpowiadał. Wślizgnął się za kimś do środka, wszedł na górę i przystawił ucho do drzwi. Były zimne jak lód, a z wnętrza nie dobiegały żadne dźwięki. Zadzwonił do szpitala, mając nadzieję, że pielęgniarki powiedzą mu, że jeszcze nie przyszła na zabieg. Doktor Zarrani oddzwoniła zmartwiona, by przekazać Williamowi, że Irene nie zjawiała się po drugą dawkę leku i że będą musieli zaczynać od początku. Spytała go, czy wie, dokąd mogła pójść. Czy mogła zatrzymać się u kogoś innego? William powiedział, że nie wie i że tak naprawdę nie zna jej zbyt dobrze. Nie wiedział, skąd pochodzi. Może pojechała do Sary na północ? A potem przypomniał sobie o fotografii i tym, co było na niej napisane. Wskoczył do taksówki i kazał się zawieźć na Penn Station.

W świąteczny poranek dworzec był pusty. Otwarty terminal spowijała cisza jak gęsta mgła. Większość sklepów i restauracji była zamknięta, kraty spuszczone i zamknięte na kłódkę. Girlandy zwisały ciężko nad wejściem, jakby wiedziały, że jutro rano ktoś je zdejmie i wyrzuci do śmieci. William znalazł Irene na ławce, nadal w poplamionej czerwonej sukience. Siedziała przy wielkiej tablicy z rozkładem jazdy pociągów, czytając *Iliadę*, którą odebrała Williamowi.

Podniosła wzrok znad książki, widząc, że nadchodzi.

– Nie możesz zostawić mnie w spokoju?

– Doktor Zarrani powiedziała, że masz być w szpitalu do południa, bo jak nie, to trzeba będzie zacząć terapię od nowa.

Irene pokręciła głową i zatrasnęła książkę.

– Zadzwonię do niej.

– I co jej niby powiesz?

– Że wyjeżdżam na co najmniej miesiąc, może dłużej. Przykro mi, William, oboje wiemy, że i tak by się nam nie udało. Ja po prostu taka już jestem. Nie

potrafię tego wytłumaczyć. Ja...

William spojrział na swój telefon i odczytał słowa, które dzień wcześniej sobie przetłumaczył.

– *Tu es toujours sur le point de me quitter.*

Irene zmarszczyła brwi, a William usiadł obok niej. Wiedział, że nie wymówił tych słów poprawnie.

– Pojechałem do twojego mieszkania, żeby przywieźć ci jakąś sukienkę. Nie było żadnej dezynsekcji. Widziałem prezent, który dla mnie kupiłaś...

– To szalik – powiedziała czule.

– Widziałem też te sprośne zdjęcia z twojej klatki na ptaki. Wiem, co ta dziewczyna ci napisała.

Irene nie wyglądała na kogoś, kto byłby zły, że naruszono jego prywatność. Wydawała się po prostu zmęczona.

– Widzisz? Nie tylko ciebie zostawiłam, William.

– Wcale tak tego nie odebrałem.

Spojrzała mu w oczy.

– Nie?

– Nie – odrzekł, a potem pocałował ją w czoło i poklepał książkę, jakby się z nią żegnał. – Nie sądziłem, że w ogóle coś dla ciebie znaczę, panno Bezuszna.

Nie miał zamiaru być okrutny, tylko szczery. Nie było w niej żadnej tajemnicy, którą znałby tylko on. Wszystko, co o niej wiedział, wszystkie informacje na jej temat zostały skradzione.

Irene patrzyła, jak William odchodzi, a potem jeszcze przez kilka minut przyglądała się, jak jeden po drugim odjeżdżają pociągi. Pierwszy kierował się do San Francisco, ale ona nie bardzo chciała tam jechać. Nie chciała też jechać do Bostonu, St. Louis, Raleigh ani do Chicago. Była już w tych miejscach i w każdym z nich mieszkał jakiś William. Irene czytała dalej

o Ajaksie, Hektorze i Priamie. O wojownikach, którzy w jednym refrenie szykowali się do bitwy, by w drugim już polec i popaść w zapomnienie. A to wszystko dla jakiejś „pięknej” kobiety, na której tak naprawdę żadnemu z nich nie zależało. Irene wertowała lekturę wte i wewte. Mężczyźni umierali jeden za drugim. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały.

Irene przeskoczyła do strony, na której William zamieścił notatkę. Czy był jakiś Bóg albo bogowie, którzy znali jej przeznaczenie? Gapiała się w pustą przestrzeń nad tablicą odjazdów. Bakersfield. Albuquerque. Pittsburgh. Burlington. Dwa tuziny torów do końca. Dwadzieścia cztery miejsca, w których można umrzeć. „Człowiek musi mieć wolną wolę – napisał William – bo inaczej bogowie w ogóle nie zaprzętałiby sobie nim głowy?”.

Wyprostowała się i zamknęła książkę. Oparła rękę na biodrze. Z tyłu języka wciąż czuła delikatny rybi posmak. Wstała i poszła wzdłuż torów do tunelu, a potem wsiadła do metra. Pojechała do szpitala. Przeprosiła doktor Zarrani, tłumacząc, że w pociągu nr 5 zdarzył się wypadek i że na godzinę utknęła w metrze. Lekarka powiedziała, że coś tam przeorganizuje i że nie straciły aż tak dużo czasu. Zanim pielęgniarki podpięły ją do kroplówki, Irene przebrała się w kimono. Luźne rękawy opadły miękko na rękę, w której tkwił wenflon, a ona poczuła się cudownie wolna i malowała rybie oczy. Tylko rybie oczy. Zimne, z martwymi, utkwionymi w nią czarnymi źrenicami.

Kiedy dawka się skończyła, Irene pojechała metrem do domu. Było jej tak gorąco, że rozpięła płaszcz, spod którego wystawało kimono. Ludzie gapili się na nią, ale miała to gdzieś. To był Nowy Jork i w każdym przejeżdżającym samochodzie byli więksi dziwacy niż ona. Ta myśl dodała jej otuchy.

Wreszcie dotarła tam, gdzie było jej miejsce. Gdy poczuła się już bezpieczna w mieszkaniu, włączyła grzejnik. W kimonie była luźna nitka, która łaskotała ją cały dzień. Pociągnęła ją i w jej ręku znalazło się jeszcze więcej jedwabnej nici. Ciągnęła i ciągnęła przez kilka minut, aż spruła mankiet,

a potem pół rękawa, a w końcu cały rękaw. Pozwoliła, by nić opadała na podłogę, oplatając jej stopy.

Dzwonił William. Nie odebrała. Zadzwoiła Sara. Nie odebrała.

Za tydzień Sara wróci i wtedy będzie musiała jej o wszystkim opowiedzieć, ale nie teraz. Ciągnęła za nitkę, aż spruła kołnierz, górę, dół i drugi rękaw kimona.

Wkrótce góra jedwabnej nici sięgała aż po jej nagą talię. Spruła rzeki i drzewa i karpia, który pływał w kółko. W końcu rozpruła ostatni ścieg. Poczła się bezpiecznie i ciepło, zagłębiając się w jedwabne gniazdo. Nie jadła nic od rybich oczu, ale wcale nie czuła głodu. Zamknęła oczy, otulając się jedwabiem. Pragnęła jedynie odpocząć w tym olbrzymim kokonie, przesiedzieć w nim dnie, a nawet tygodnie, a potem wyjść – wolna od toksyn, guzów i chandr, ale ze skrzydłami, pomyślała, a potem zasnęła.

## Życzeniowy marzec

Sara miała wrażenie, że dni są takie same, jeden nie różni się od drugiego i każdy jest do siebie podobny. Irene powiedziała jej o wynikach biopsji zaraz po Nowym Roku, tuż po ich powrocie do miasta, a teraz był już marzec. Co się stało z minionymi tygodniami, było zagadką, którą powinni rozwikłać naukowcy tacy jak George, ktoś z laboratorium fizyki teoretycznej. Sara podejrzewała, że zmiany zaszły w samej strukturze czasu. Zawsze tak było w marcu. Sara nawet nie musiała patrzeć na szary poranek za maleńkim oknem mieszkania George'a, by wiedzieć, że on tam jest, ponury i posępny marzec.

Każdego ranka budziła się, gdy jej przyszły mąż próbował ostrożnie, nie budząc jej, wygramolić się z łóżka. Marzyła wtedy, by ten jego półkotapczan zatrzasnął się razem z nią jak muchołówka. Leżąc z przymkniętymi powiekami, oddychając miarowo i spokojnie, by George myślał, że wciąż drzemie, słyszała, jak chodzi po tej małej klitce między toaletą schowaną w szafie a prysznicem w kuchni.

Dźwięk sączącej się do dzbanka kawy mieszał się z odgłosem wody lejącej się z prysznicza. Zerknęła na niego, gdy wychodził z kabiny i mokry biegał po mieszkanku w ręczniku, jednocześnie nalewając sobie napój, sprawdzając pogodę i (co drugi dzień) podlewając jedyną w tym domu roślinkę. Wiedział, że musi wyjść z domu przed siódmą, bo inaczej dostanie mandat za parkowanie. Więc im bardziej wskazówka minutowa zbliżała się do tej

godziny, tym bardziej wpadał w popłoch. Miał już cztery mandaty, które próbował anulować, plus jeden za przekroczenie prędkości na LIE, drugi, który dostał na Riverside Drive, i trzeci za jazdę pod prąd na jednokierunkowej ulicy w Tribeca, do którego jeszcze się nie przyznał, tylko schował pod notatnik.

Leżąc w łóżku, wyobrażała sobie, że życie byłoby o wiele prostsze, gdyby ludzie się jej słuchali. Gdyby jej współlokatorka Karen, kierując się rozsądkiem, wyprowadziła się wreszcie z ich mieszkania, nie patrząc na to, czyje nazwisko widnieje na umowie najmu. Gdyby Irene nie czekała zawsze do ostatniej chwili, by wysłać jej wiadomość, że potrzebuje kogoś, kto by ją zabrał albo odebrał ze szpitala. Gdyby Jacob przeczytał tę książkę, którą kupiła mu z okazji Chanuki. Gdyby Irene wreszcie powiedziała Jacobowi o tym, że ma raka, zamiast czekać na „odpowiedni moment”, który jakoś nigdy nie nadchodził. Gdyby George znalazł jakieś atrakcyjne, kameralne miejsce na ich ślub, żeby wreszcie mogła wysłać powiadomienia o planowanej uroczystości, które już kupiła i zaadresowała. Gdyby William znów założył sobie konto na Facebooku, bo mimo tego, że była na niego wściekła za to, że zostawił jej przyjaciółkę na dworcu, była również pewna, że on i Irene stworzą kiedyś świetną parę, gdy tylko ona wydobrzeje.

Sara ocknęła się, gdy George, gotowy do wyjścia, pocałował ją w policzek na do widzenia.

– Hej. Kiedy się zobaczymy? – wyszeptał jej do ucha.

Otworzyła oczy. Była już prawie siódma. Jak to możliwe?

– Spotykam się dziś z Irene. Idziemy razem w porze lunchu obejrzeć to mieszkanie w Morningside Heights, a wieczorem chciałabym się wybrać do parku Battery, obejrzeć lokal na przyjęcie. Ale najpierw muszę zredagować artykuł o najpopularniejszych miejscach na wiosenny długi weekend. Sheldon rzucił pracę w zeszłym tygodniu, więc dostałam po nim tę robotę.

– Dostałaś też te sześć artykułów po Meegan, kiedy ona odeszła.

Sara nie czuła się na siłach, by teraz o tym dyskutować.

– No to dokończę je w kawiarni przed zamknięciem.

George przytaknął skinieniem głowy.

– Allen załatwił nam czas na satelicie Gerbera dziś wieczorem i chce przejrzeć materiały na konferencję w przyszłym tygodniu. A jeszcze w międzyczasie muszę wygospodarować dziesięć minut na rozmowę z tym gościem z Uniwersytetu Cornella. Ktoś tam przebywa akurat na urlopie i może nie wróci do pracy. Nie wiedzą jeszcze, kiedy to się ostatecznie okaże.

– Chcesz przenieść się z powrotem do Ithaki?

– Nie chcę się nigdzie przeprowadzać. Po prostu chcę mieć pracę.

– Okej. W takim razie zostaniemy już na zawsze w tej szafie.

– Lubię tę szafę. Jak na szafę jest całkiem niezła.

Sara uniosła brwi.

– Tak? A niby dlaczego?

– Wiesz, sprawdzałem i jest to jedyna taka szafa w mieście z tobą na wyposażeniu.

Roześmiała się, wyobrażając sobie George'a, który wpada do mieszkań, otwiera szafy, obraca się na pięcie i wychodzi.

– Ucieknijmy razem – powiedziała nagle Sara.

Teraz George się roześmiał.

– Chcesz uciec?

– Chcę pojechać do Francji.

– Aha, coś jeszcze?

– Daj spokój. Ja mówię serio. Od zawsze o tym gadaliśmy! Ty, ja, Irene, Jacob. Na pierwszym roku znaleźliśmy berety w sklepie Armii Zbawienia i obiecaliśmy sobie, że pewnego dnia tam pojedziemy. Pamiętasz? Oglądaliśmy te wszystkie filmy Godarda. – George jęknął na samo



wspomnienie. – Już jedną trzecią życia odkładamy ten plan na później. Więc uważam, że naprawdę powinniśmy rozważyć ten wyjazd, póki wciąż mamy... póki jeszcze możemy to zrobić razem.

George nerwowo spojrział na zegarek.

– W porządku, ale tylko jeśli masz w zanadru kilka tysięcy dolarów, o których nie miałem pojęcia.

Właśnie że miała. I George doskonale o tym wiedział, tylko zawsze udawał, że nie pamięta. Zanim jej dziadek, C.F. Sherman, do końca stracił zmysły, jego księgowi pozakładali konta dla niej i jej sióstr. Były to głównie fundusze powiernicze, ale nigdy tak o nich nie mówiła, bo wtedy uznawano ją za snobistyczną i rozpuszczoną pannę. Na studiach nie musiała zarabiać, a mimo to co semestr pracowała na pół etatu, latem robiła staż, sama płaciła za książki i obiady. Fakt, że tak naprawdę nie musiała tego robić, od czasu do czasu powodował między nimi spięcia. Zwłaszcza kiedy Jacob panikował, że nie spłaci pożyczki, albo gdy Irene u nich waletowała i opróżniała ich spiżarnię, bo jej ostatni kochaś wykopał ją z mieszkania.

Sara woląca udawać, że te pieniądze nie istnieją, i żyć od wypłaty do wypłaty jak wszyscy inni. Matka wciąż jej powtarzała, żeby wynajęła maklera, zatrudniła konsultanta ślubnego, firmę sprzątającą i krawcową. Ale Sara uparcie odmawiała płacenia komuś za coś, co mogła zrobić sama. Jeśli inni potrafili to zrobić, to ona też. I to nawet dwa razy lepiej. W międzyczasie cieszyła się już na ten czas, gdy ich ciężka praca zacznie przynosić korzyści, gdy zaczną odcinać kupony, George znajdzie gdzieś etat, Jacob dostanie stypendium Fulbrighta, a Irene będzie sprzedawała swoje dzieła za tysiące dolarów i wreszcie będą mogli razem podróżować z gromadką ich przyszłych dzieci.

Sara pogłaskała George'a po policzku.

– Pospiesz się, bo dostaniesz mandat.

Jęknął i powiedział: – Do zobaczenia na krańcu czasu.

– Do zobaczenia na krańcu czasu – odrzekła, dając mu kolejnego całusa na pożegnanie. Kiedy wreszcie zamknęły się za nim drzwi, Sara wygramoliła się z pościeli, złożyła łóżko, poprawiła fryzurę, umyła zęby i włożyła ubrania, które starannie przygotowała poprzedniego wieczoru.

Sara dowiedziała się o tym, że Irene ma raka, gdy siedziała w taksówce między drzwiami a kokonem wielkości człowieka, zrobionym z opalizującego jedwabiu. Przyjechała na Czwartą Ulicę, żeby pomóc Irene wynieść jej najnowsze dzieło z mieszkania i przetransportować je do K Gallery, gdzie miało leżeć na zapleczu, dopóki Irene nie wymyśli, co z nim dalej zrobić. Jechali Szóstą Aleją, gdy Sara zauważyła, że to niezwykle okazała praca jak na Irene.

– Wiem – westchnęła. – Jeszcze trochę i można by ją uznać za instalację.

Sara zachwycała się kokonem, który robił oszałamiające wrażenie i wydawał się mokry ze względu na błyszczącą fakturę jedwabiu, która mieniła się w bladym świetle styczniowego dnia.

– Co takiego się wydarzyło? – spytała Sara.

– O co ci chodzi? – odpowiedziała Irene.

– Pytam, co cię napadło, że postanowiłaś zrobić to cudo?

Sara zrozumiała teraz (wiedząc to, co już w marcu wiedziała), że Irene chciała jej opowiedzieć historię kimona pani Cho, ale nie mogła tego zrobić, nie wyjaśniewszy uprzednio, że spędziła Wigilię w domu państwa Cho. Wtedy musiałaby jej powiedzieć, że miała lekką załamkę i zadzwoniła do Williama z piekarni MetroStop koło szpitala, co z kolei wywołałoby pytanie o to, co w ogóle robiła w szpitalu. Irene prześledziła tę długą niewidzialną nić zdarzeń i dotarła do miejsca, od którego powinna była zacząć.

– Cóż, okazało się, że wyniki biopsji są pozytywne.

Sara zignorowała ten błąd logiczny i mocno przytuliła Irene. Była na to

przygotowana od grudnia, jeszcze przed imprezą świąteczną.

– Będzie dobrze. Pokonamy to cholerstwo. Niczym się nie przejmuj. – Wyjęła z torebki telefon i zaczęła szukać jakichś kontaktów. – Luther mówił mi, że ma jakieś znajomości w Sloan Kettering i że zna też kogoś w Montefiore. Powinniśmy od razu umówić się na wizytę, żeby zasięgnąć dodatkowej opinii. A nasza redaktorka z działu „Zdrowie”, doktor Sammy, obiecała, że w każdej chwili może nam doradzić w sprawie metod leczenia.

Jednak Irene to wszystko zirytowało.

– Właściwie to ja już rozpoczęłam leczenie – powiedziała. – Kilka tygodni temu wzięłam pierwszą chemię.

– Kilka tygodni temu?

– Zajęło mi to trzy dni po kilka godzin. Teraz mam krótką przerwę przed kolejną serią. Nie było tak źle. Czuję się całkiem dobrze, a i lekarze są bardzo optymistyczni. Nie chciałam nikomu psuć świąt. Wiem, głupio wyszło.

– Głupio? Irene, to jest poważna sprawa.

– Myślisz, że nie wiem?

– Kto jeszcze wie? Czy Jacob wie?

– Nie – westchnęła Irene. – Wie tylko William.

– Ale ty go prawie nie znasz!

– Był tu na miejscu, a ja się chyba przestraszyłam – powiedziała Irene zwyczajnym tonem. – Nieważne. Zostawił mnie na Penn Station. Pewnie czeka na telefon ode mnie, ale...

– Powiedziałaś mu, że masz raka, a on co?

Minęło dobre dwadzieścia minut, zanim taksówka zawiozła ich na miejsce, akurat tyle, by Irene zdążyła opowiedzieć jej całą historię. Wsiadły i Sara pomogła Irene zatańczyć kokon do magazynu. I choć wszystko wydawało się okej, Sara nie mogła przestać o tym myśleć. Zawsze mówiły sobie wszystko. Czemu Irene nie zwierzyła jej się od razu? Dobijało ją to, że ostatecznie,

gdyby Irene wyzdrowiała, o wszystkim wiedzieliby tylko oni dwoje.

Sara chciała jedynie zaopiekować się Irene: wozić ją do lekarza i z powrotem, gotować dla niej domowy rosół, siedzieć z nią na kanapie i oglądać *¡Vámonos, Muchachos!*, czekać, aż zaśnie, żeby zdjąć włosy z poduszek. Ale Irene nie chciała jej na to pozwolić. Uparła się, żeby zachowywać się, jakby nic się nie wydarzyło.

Idiotyczne było choćby to, że Sara niezmiennie musiała rano wstawać i punktualnie stawiać się w redakcji „New York Journal”, gdzie spędzała sporą część dnia w szarej kabinie upstrzonej rzędami karteczek samoprzylepnych i wycinkami z gazet. Podczas gdy jej przyjaciółka chorowała na raka. Ot tak, po prostu. „Halo?”, miała ochotę powiedzieć do swojego suchościeralnego terminarza. „Kurczę, żarty sobie robisz?”. Pełno na nim było informacji oznaczonych różnymi kolorami: spotkania na czerwono, terminy oddania projektów na zielono, spotkania redakcyjne na niebiesko, spotkania towarzyskie na fioletowo, dni wolne na żółto, a harmonogram stażystów na brązowo.

Chociaż Irene stanowczo chciała pozostać pod opieką doktor Zarrani w szpitalu Mount Sinai, Sara i tak poszła przedstawić sytuację swojemu szefowi, Lutherowi Hallesowi, dyrektorowi do spraw wydawniczych. Podał jej kilka numerów telefonów – a raczej kazał je sobie znaleźć na liście kontaktów – dodając, że oczywiście w każdej sprawie może się na niego powołać.

– Mogłabyś o niej napisać jakiś tekst – powiedział, bawiąc się swoim piórem marki Mont Blanc. Szybko sprawdziła w myślach, czy nie powinna zamówić dla niego atramentu. – A nawet cykl artykułów, wiesz? Młodzi, niezniszczalni ludzie cierpiący na nowotwór. To fascynujący temat.

Sara zawahała się.

– Nie jestem pewna, czy moja przyjaciółka na to pójdzie.

Luther wstał i zaczął chodzić po pokoju. A chodził dziwnie, z głową wysuniętą do przodu, która kiwała się wte i wewte, jak gdyby naciągając szyję i ciągnąc za sobą resztę jego niskiej, pełnej rezerwy sylwetki.

– Powiedz jej, że to ważne. Może stać się dla innych źródłem cennych informacji.

Nie była pewna, czy to akurat znajdowało się na liście aktualnych priorytetów Irene.

– Czekaj, a czy ona ma ubezpieczenie zdrowotne?

Sara pokiwała twierdząco głową. Irene była zatrudniona przez Juliette i Abebę.

– Pracuje w tej galerii w Chelsea.

Luther się skrzywił. No tak, historia sprzedałaby się lepiej, gdyby Irene nie była ubezpieczona. Sara już widziała te nagłówki o tabunach młodych ludzi, którzy pracując na pół etatu, mieszkali kątem u rodziców i korzystali z ich ubezpieczenia. Nie było dla nich pracy – wszyscy jej znajomi z roku byli na bezrobociu, czekając, aż kryzys finansowy minie. Ci nad nimi nie mogli przejść na emeryturę ani awansować, więc ona, podobnie jak inni młodzi ludzie, utknęła w asystenckim czyścicu. Co i tak było lepsze niż powrót do domu i życia na garnuszku rodziców.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Możliwe, że będę potrzebowała trzech tygodni wolnego – powiedziała Sara, zdobywając się na bardzo poważny ton. Szeł wiedział, że ma zaległy urlop, i bał się, że kiedyś będzie chciała go wykorzystać. – Ponieważ Irene wreszcie czuje się lepiej, zabieram ją do Francji.

Luther nie odpowiedział, i tak naprawdę nie musiał, gdyż jego wzrok mówił, że nic z tego nie będzie. Domyślała się, że już prędzej zgodziłby się zmienić nazwę gazety na „The Daily Sara”, niż dać jej kilka tygodni wolnego. Nieoficjalnie to ona była tą osobą w redakcji, która domykała każdy nowy

numer gazety. Kiedy ktoś zrezygnował albo został zwolniony (co zdarzało się co drugi tydzień), porzucone przez niego projekty zwykle spadały na nią i to ona musiała je dokończyć. W międzyczasie reprezentowała gazetę w Inicjatywie Dziennikarstwa Szkolnego i była członkiem komisji decydującej o interfejsie ich serwisu internetowego. Kiedy Luther był w podróży, to Sara rezerwowała mu hotele, stoliki w restauracjach, samochody i bilety na samolot oraz szukała kogoś, kto mógłby pójść za niego na mecz Knicksów, jeśli on akurat nie mógł. Rozmawiała z panią Sigrid Halles (byłą wicemiss Norwegii) co najmniej trzy razy dziennie, by dowiadywać się na bieżąco, co porabiają ich dzieci Laetitia i Laurence.

Miał świadomość, że to za dużo obowiązków jak na jedną osobę. Dał jej nawet pięcioprocentową podwyżkę zeszłego lata, kiedy poskarżyła się na nawał roboty. Dał jej też nowy tytuł szefowej programu mentorskiego, co znaczyło, że ma do dyspozycji dwóch stażystów. W praktyce oznaczało to, że otrzymała jeszcze więcej obowiązków, gdyż obaj nie mieli o niczym pojęcia. Byli zaledwie sześć lat młodszy od niej, ale nie rokowali żadnych nadziei. Bóg raczy wiedzieć, co by się stało z redakcją, gdyby zostawiła ich tu samych na trzy tygodnie. Luther usiadł i popchnął w jej kierunku stertę dokumentów, które wreszcie po tygodniu zwłoki podpisał.

– A może pojechalibyście wszyscy do mojego domu na plaży? Na Shelter Island jest pięknie o tej porze roku. Cudownie wręcz.

– W marcu?

– Oczywiście. Może za zimno na pływanie, ale są tam wspaniałe winnice, no i będziecie mieli miasteczko tylko dla siebie. Tam jest tak dziewiczo, mówię ci. Można się zrelaksować. Jeżdżę tam czasami w weekend, żeby się wyłączyć, pomyśleć. Obcować z naturą. Posłuchać fal uderzających o brzeg i patrzeć w niebo. Dogadaj się z Sigrid. Jej siostrzeńcy zajmują dom do początku kwietnia, ale potem możecie tam pojechać na kilka dni. Będzie super.

Długi weekend na Long Island! Na mój koszt.

Sara podziękowała, udając wdzięczną, by sprawić mu przyjemność, i obiecała, że rozważy tę propozycję. Na samą myśl, że miałyby się zatrzymać w domu swojego szefa – nawet tym letniskowym – czuła się dziwnie.

Podczas przerwy na lunch Sara poszła obejrzyć mieszkanie w Morningside Heights. Odkąd tu przyjechali sześć lat temu, czynsze szły w górę szybciej niż ich marne pensje. Złapała się na tym, że cieszy ją ostatnie poważne załamanie na rynku nieruchomości (choć wiedziała, że to okropne, że tak myśli), ponieważ po raz pierwszy, odkąd się tu pojawili, opłaty się nie zwiększały. Ale też nie malały. Od czasu do czasu udawało im się z George'em znaleźć coś na ich kieszeń, ale zanim zdążyli wypełnić wniosek, komuś udawało się już sprzątnąć im ofertę sprzed nosa. To było zresztą bez znaczenia, gdyż i tak wcześniej zaczęli tchórzyć.

Ponieważ w tygodniu George nie mógł opuścić obserwatorium w porze lunchu, Sara czasami zabierała ze sobą Irene i razem chodziły oglądać mieszkania. Najczęściej umawiały się przed albo tuż po wizycie Irene w szpitalu. Gdy Sara pytała, jak się sprawy mają, Irene mówiła tylko: „Wszystko dobrze”, albo: „Nie wiedzą jeszcze, czy terapia działa”. Wszystko miało się wyjaśnić dopiero w kwietniu, kiedy skończy ostatnią serię chemii i znowu zrobią jej prześwietlenie. Tego dnia, gdy spotkały się przy schodach katedry św. Jana i uściskały się na powitanie, Sara miała wrażenie, że Irene lekko zadrżała od uścisku pod swą czerwoną dwurzędową kurtką. Była blada, ale nie bardziej niż wszyscy; cóż, od kilku tygodni brakowało słońca.

– Rozmawiałaś już z Jacobem? – spytała Sara, gdy mijały pełen rzeźb ogród, zbliżając się do rogu Sto Dziesiątej Ulicy i Amsterdam Avenue.

– Widziałam się z nim wczoraj. Przez godzinę męczył mnie opowieściami o swym głupim szefie. Mają taką zasadę, że w pracy ze sobą nie rozmawiają, tyle tylko, że Jacob zawsze musi pomachać Oliverowi, mijając jego gabinet,

bo tak robią wszyscy i byłoby podejrzane, gdyby Jacob go ignorował. Jednak Jacob twierdzi, że wolałby z nikim się nie witać, nawet z Oliverem...

Sarze nie o to chodziło, ale obok przejeżdżał akurat autobus wycieczkowy, wiozący na górnym piętrze grupkę starszych Europejczyków odzianych w darmowe poncza, na wypadek gdyby szare chmury na niebie postanowiły jednak zesłać na nich deszcz. Autobus stał na czerwonym świetle, a turyści robili zdjęcia katedry. Po chwili zapaliło się zielone światło i autobus odjechał w kierunku Uniwersytetu Columbia i teatru Apollo.

– To tutaj! – krzyknęła Irene.

Na drzwiach budynku widniała kartka, na której ktoś odręcznie napisał: „Otwarte”. Drzwi były nawet uchylone, a w szparę wciśnięto gazetki sklepowe. Sara zmarszczyła brwi; w holu było mało światła, na skrzynkach na listy widniało graffiti, a schody, po których wchodziły, przypominały labirynt schodów z grafik M.C. Eschera. Na pierwszym piętrze zapukały do mieszkania i czekały. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna w podeszłym wieku z umalowanymi rzęsami, różem na policzkach i w blond peruce upiętej w wysoki kok przypominający ul. Miał na sobie bladobłękitny jedwabny szlafrok Ralphi Laurena związany paskiem na tyle luźno, że jego płeć biologiczna nie podlegała dyskusji.

– O! – Sara cofnęła się, niemal strącając Irene ze skrzypiących schodów.

– Tak? – spytał, jakby w jego wyglądzie nie było nic dziwnego, i zaczął przyglądać się im z zaciekawieniem, mierząc je wzrokiem od stóp do głów.

– Przyszliśmy zobaczyć mieszkanie – rzekła Sara, spoglądając to na perukę, to na rozchylony dół szlafroka, to na futrynę.

– Zapraszam do środka – powiedział. – Wiecie, że to kawalerka, prawda?

Gdy Irene objęła Sarę w pół ramieniem, ta zacisnęła wargi, żeby powstrzymać wybuch śmiechu.

– Nam wystarczy tylko jedno łóżko.



Mężczyzna zaśmiał się, a tubalność tego śmiechu zdradzała jego męskie cechy bardziej niż przypudrowane jabłko Adama.

– Przyjdziemy innym razem – rzekła Sara, próbując wydostać się spod objęcia Irene.

– Daj spokój – zaprotestowała Irene, odgarniając kosmyk kruczoczarnych włosów z czoła Sary. – Z pewnością pani...

– Daphne.

– Z pewnością pani Daphne nie ma czasu, żeby nas teraz oprowadzać.

Ale Irene już krążyła między szafkami i kuchnią, ciesząc się tym, że Sara cały czas jest blisko niej.

– O, ta tapeta nie spodobałaby się twojej matce. Jest cudowna! – powiedziała Irene, przesuwaną dłoń po aksamitnych kwiecistych wzorach na jednej ze ścian salonu.

– To oryginał – wyjaśnił Daphne. – Z lat sześćdziesiątych.

– Tak długo tu pani mieszka? – spytała Sara.

– O nie, moja droga! – krzyknął gospodarz. – Sprawiasz, że czuję się staro.

Irene pociągnęła Sarę za sobą w kierunku sypialni, gdzie stała wiekowa szafa, a w niej kolekcja pięknych sukien. Wzrok Sary spoczął jednak na toalecie pełnej akcesoriów do ciężkiego makijażu. Daphne wpadł do pokoju za nimi i przysiadł na niskim łóżku, które nienaturalnie zafalowało, gdy się na nim umościł. Irene się roześmiała.

– Tu jest łóżko wodne! Sara, chodź, wypróbuj.

Sara ledwo powstrzymała się od śmiechu, gdy Irene wskoczyła na łóżko, ale zaraz potem coś ją tknęło. Jak to możliwe, że Irene ma raka i tak się przy tym wygłupia? Właśnie rozkładała się wygodnie na łóżku wodnym i sugestywnie unosiła brwi, patrząc na Sarę. Daphne klasnął w ręce.

– Za dodatkowe trzy stówki dorzucam to łóżko. Bez obaw, jest bardzo solidne!

Ta oferta sprawiła, że Irene przestała nad sobą panować. Zaczęła chichotać i nie potrafiła się uspokoić, co sprawiło, że Sara też wybuchnęła śmiechem, więc przeprosiły właściciela i wybiegły z mieszkania, o mały włos nie spadłszy ze schodów. Przestały biec, dopiero gdy znalazły się z powrotem w parku. Przez chwilę czuły, jak gdyby wszystko było jak dawniej.

– Myślałam, że cię zabiję! – krzyknęła Sara, gdy stanęły i Irene oparła się o niski murek.

– On... o mały włos nie zaciągnął nas obu do łóżka! – powiedziała Irene, niemal płacząc ze śmiechu. Potem przechyliła się przez mur i z wymiotowała. To, co zwróciła, wyglądem i zapachem przypominało grejpfruta, którego zjadła na śniadanie. Sara pobiegła do pobliskiego food trucka z kebabem po serwetki. Gdy wróciła, Irene przemywała twarz garścią śniegu, który zdrapała z murku. Stały tak przez chwilę, czekając, aż uspokoi im się oddech. Gdy w końcu Irene podniosła się i objęła ramieniem Sarę, powiedziała:

– Warto było przyjść. Naprawdę.

Czasami Sara dzwoniła do George'a niemal bezwiednie, w popołudnia takie jak te, gdy szła przez Times Square, wracając do pracy po późnym lunchu. Nagle zorientowała się, że ma przy uchu telefon, a gdy George odebrał, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Co tam, słonko? – Usłyszała jego wesoły głos po drugiej stronie słuchawki. W tle rozlegały się odgłosy gry komputerowej, w którą grał Allen, rozwalając obcych strzałami z bazooki. – Mógłbyś to ściszyć? – powiedział George.

– Postanowiłam, że zabierzemy Irene do Francji.

George się roześmiał.

– Postanowiłaś również obrabować bank, bo...

– Nie – odrzekła Sara. – Zapłacę za to. Po pracy zadzwonię do mamy i powiem jej, że zamierzam skorzystać z pieniędzy dziadka.

Tak je nazywała przy George'u, a nawet w duchu, choć już wcale nie należały do dziadka. W rzeczywistości nie były już jego, odkąd Sara skończyła piętnaście lat, a jego stan ulegał stopniowemu pogorszeniu. Powoli zaczął mieć problemy z formułowaniem składnych zdań, potem przestał chodzić, a na końcu nie potrafił już podnieść łyżki do ust. Matka Sary dostosowała domek w ogrodzie dla niego i jego pielęgniarki, skąd nocą czasami słychać było jego wycie i pojękiwanie. Zarówno rodzice, jak i jej siostry nigdy o tym nie rozmawiali. Ani wtedy, ani teraz. Któregoś dnia, wróciwszy do domu ze szkoły, znalazła na lodówce karteczkę, że w sobotę odbędzie się pogrzeb dziadka. Próbowwała opowiedzieć o wszystkim George'owi, ale on tego nie rozumiał. No bo skąd? Tylko ona wiedziała z pierwszej ręki, jak to jest, gdy ciało człowieka powoli się rozpada. Tylko ona wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Choroba miała gdzieś pieniądze, uczciwość i plany na jutro.

George mruzczał do telefonu.

– Myślisz, że Irene na to pójdzie?

– Są gorsze rzeczy, które można zrobić drugiemu człowiekowi niż zafundowanie wycieczki do Francji.

Zaśmiał się i nie ciągnął już dalej tego wątku.

– Słuchaj, a może wzięlibyśmy ślub w New York Public Library?

– Nie ma już wolnych terminów. – Sara zatrzymała się pod niebieskim szyldem *Late Show with David Letterman*, jedną przecznicę od jej biura.

– Do kiedy?

– Do końca świata.

– A co powiesz na Disney World? – spytał George.

– Nie proponuj takich rzeczy, jeśli nie mówisz poważnie.

– Nie mówię poważnie.

– Bo nie żartuje się z dziewczyną na temat ślubu w zamku Kopciuszka, proszę pana.

- Nie mówiłem serio! Tylko żartowałem! – krzyczał George.
- Możesz wybrać sobie dowolną postać z bajki, która udzieli nam ślubu.

George zastanowił się przez chwilę.

- W takim razie niech będzie Quasimodo.
- Chyba sobie żartujesz.
- Ale przy Quasimodzie dobrze bym wyglądał.

– Zawsze dobrze wyglądasz – powiedziała Sara, pochylając się nad słuchawką, jakby chciała go przez nią pocałować. Zapach pizzy z restauracji Angelo's wypełnił jej nozdrza. Tuż obok przemknęła zamiatarka, zgarniając resztki sałatek porzucone przez popołudniowych turystów; występy zaczną się dopiero za kilka godzin, ale na chodnikach pełno było już licealistów, grup kościelnych i seniorów, przywiezionych autobusami z New Jersey. Trzymali się siebie kurczowo, oszołomieni, bojąc się oddalić choćby na kilka kroków. Każdy spoglądał na telefon lub zegarek. Ile zostało czasu do kolacji? Nie spóźnijmy się. Jak długo jedzie się tą linią? Ile to przecznic stąd? Zostańmy tutaj i pogapmy się na billboard American Eagle. Kocham Nowy Jork.

- Muszę lecieć – rzekł George. – Mam Cokonisa na drugiej linii.
- Do zobaczenia na krańcu czasu – powiedziała.

Wróciwszy do biura, zabijała czas, szukając w internecie „przyczyn kostniakomęsaka”. Nic konkretnego nie znalazła, nawet na trzydziestej ósmej stronie wyników wyszukiwania. Zdumiało ją to, na jak wiele sposobów można wyrazić słowo „nieznany”. Konkretna przyczyna nie jest znana. Mało wiemy na temat etiologii tej choroby. Powody zachorowań wciąż nie zostały ustalone. Naukowcy nie odkryli jeszcze dokładnych przyczyn choroby. Podłoże choroby nie zostało jeszcze rozpoznane. Przyczyny choroby nie zostały jak dotąd określone. W pewnym momencie znalazła taką informację: „Choć przyczyny są wciąż niejasne, lekarze uważają, że ten rodzaj nowotworu ma swoje podłoże w błędzie genetycznym”. Już myślała, że znalazła jakiś trop, ale szukając pod

hasłem „błąd genetyczny”, znowu trafiła na słowo „nieznane”. „Przyczyny nie są znane”. Itd., itp.

Wstała i poszła do kuchni, by zaparzyć sobie kawę w ekspresie. Gdy maszyna bulgotała, wypluwając z siebie brunatny napój, Sara wzięła do ręki żółtą torebkę z cukrem bez kalorii i zaczęła stukać w nią palcem. Wyobraziła sobie, że za trzydzieści lat otwiera gazetę i widzi nagłówek: przyczyna raka ostatecznie ustalona. A wszyscy na to: „Cholera, więc to jednak była ryboflawina! Jak mogliśmy się nie domyślać?”. Rozdarła saszetkę ze słodzikiem, wsypała jej zawartość do kawy i wyrzuciła papieraek do kosza. Wróciwszy do biurka, zastała przy nim jedną ze stażystek, która przyznała się, że zepsuła kserokopiarkę, bo zapomniała wyjąć zszywki z trzystronicowej notatki służbowej. To byli ci wygrani, którzy dostali szansę, podczas gdy inni w ich wieku siedzieli w domu. Ci, których nie można było wyłąć, bo ich rodzice byli zbyt wysoko postawieni. Naprawa kserokopiarki zajmie jej teraz tę godzinę, która pozostała do końca zmiany, tak jak wczoraj po południu, gdy inna stażystka zapomniała, że P występuje w alfabecie i trzeba było poświęcić dodatkową godzinę na ponowne segregowanie dokumentów. Czym była jedna dodatkowa godzina? Czym było kolejne popołudnie? Sara chciała zmarnować tyle, ile się da, byleby przetrwać ten okropny miesiąc.

O siódmej Sara przebrała się w niebieską sukienkę bez ramiączek, przerobioną z sukni druhny, którą miała na sobie zeszłego lata na weselu, i poszła spotkać się z Jacobem. Umówili się, że sprawdzą, czy ta ekskluzywna restauracja w parku Battery serwująca owoce morza nadaje się na przyjęcie weselne. Organizatorzy nie byli w stanie znaleźć dla nich żadnego terminu w weekend, ale przekonali uczestników wesela Marcuso – Geber, aby pozwolili im przyjść tego wieczora i zobaczyć salę w trakcie przyjęcia. W normalnych okolicznościach Sara uprzedziłaby Jacoba, że wkradną się tam tylko na chwilę, nie zwracając nikomu głowy, i szybko się wymkną, ale

przytłoczona całym marcem miała nadzieję, że Jacob wyciągnie ją na parkiet, wda się w kłótnię z kuzynami Marcuso albo przynajmniej zwędzi dla niej kawałek weselnego tortu, który mógłby jej wynagrodzić wszystkie trudy.

Idąc Broadwayem, mijając ponownie kolejkę przed budynkiem, gdzie mieści się studio Lettermana i jeszcze raz wdychając zapachy dobiegające z pizzerii Angelo's, Sara wygrzebała z torebki telefon i już zamierzała zadzwonić do matki, gdy zobaczyła, że ma jedną nieodsłuchaną wiadomość z „Domu”. Tysiące razy próbowała wpoić rodzicom i siostram, że od ósmej do osiemnastej pracuje, to znaczy, że jest w pracy, i dlatego właśnie nie może prowadzić prywatnych rozmów przez telefon, a oni i tak zawsze w tym czasie dzwonili i jeszcze byli zaskoczeni, że nie odbiera, i obrażali się na nią, że ich ignoruje. Taki właśnie był ton głosu jej matki, gdy odsłuchiwała od niej wiadomość.

„Sara, kotku, naprawdę musimy znać datę waszego ślubu. Chcemy w czerwcu przyszłego roku pojechać do Irlandii na trzy tygodnie, więc powinniśmy już rezerwować bilety, ale nie możemy, bo nie wiemy, czy nie musimy być w tym czasie w Nowym Jorku. A tak w ogóle to zawsze możecie się pobrać w Bostonie. Zamierzacie wynająć jakieś pokoje? Hotele w Nowym Jorku są takie drogie. Naprawdę musielibyśmy już coś zabukować, szczególnie jeśli myślicie o wrześniu, bo wtedy zjeżdżają się studenci i...”.

Sara nacisnęła przycisk z napisem „Usuń” tak mocno, że miała wrażenie, iż szybka na ekranie pęka pod naciskiem jej palców, choć George wiele razy tłumaczył jej, że to niemożliwe. Miałyby się martwić organizowaniem wesela? W ogóle się tym nie przejmowała. Potrzebowała jedynie miejsca, które spokojnie pomieści dwustu przyjaciół i rodzinę, pięcioosobowy zespół, unitariańskiego pastora, cztery bemały i trzypiętrowy tort z kremem waniliowym – a i tak nic się nie układało.

Chodzili z George'em od jednego lokalu do drugiego. Byli na dachu hotelu

NoHo, a potem w starej hucie żelaza The Smithy, której wewnątrz urządzono w średniowiecznym stylu. Byli w eleganckiej sali Russian Dance Hall, podejrzanym Klubie 99 i ogrodzie botanicznym na Bronxie. George nie zgodził się na przyjęcie w restauracji Guillermo's on the Water w Hoboken („Nie będę się żenił w New Jersey”) ani na ogromną salę balową we Flushing, mieszczącą się w jednym z budynków, w których niegdyś odbywały się wystawy światowe („Serio? Twoja matka pozwoli ci wziąć ślub w Queens?”). Pojawił się też pomysł, by wynająć pomieszczenie w Lower East Side Tenement Museum i zrobić imprezę w stylu dickensowskim. Sprawdzali również, co trzeba zrobić, by wstąpić do zakonu różokrzyżowców, bo Sarze spodobały się wnętrza Grand Lodge, ale okazało się, że jest on jedynie dostępny dla członków masonerii. W ciągu jednego weekendu obejrzeliby restaurację Central Park Boathouse, kościół zaadaptowany na siedzibę stowarzyszenia artystów, budynek Morgan Library oraz Wydział Studiów Azji Południowej na Uniwersytecie Nowojorskim. Podobnie jak przy szukaniu mieszkania, przytłaczało ją, na jak wiele sposobów może wyglądać ich przyszłość, a każdy wariant wydawał się tak odległy, jak odległy wydawał jej się teraz kwiecień.

Czekając na Jacoba, który miał przyjechać autobusem, Sara włączyła się po okolicy. Choć oprócz sukienki miała na sobie jeszcze ciepły płaszcz, było jej przeraźliwie zimno. Dreptała wte i wewte po parku Bowling Green i przy wjeździe do tunelu Battery. Czuła, że ciąży jej makijaż, a włosy ma zbyt ciasno upięte. Siłą woli zmuszała się do tego, by przestać wyciągać szyję co kilka sekund. Próbowwała nie wypatrywać Jacoba i nie sprawdzać co chwila wiadomości w telefonie, ale po prostu skupić się na tu i teraz. Zachować w nozdrzach zapach świeżego chleba, dochodzący z zamkniętej o tej porze pobliskiej francuskiej piekarni Au Bon Pain, i zapamiętać zieleń rozpościerającego się przed nią trawnika. Utrwalić w pamięci dotyk gęsiej

skórki na rękach, wyczuwany pod palcami rąk, którymi rozcierała ramiona, by się rozgrzać. Zapamiętać kąt, pod jakim pada cień zamkniętej już, spowitej ciemnością kładki, do której schody ktoś odgrodził łańcuchem. Nie zapomnieć dźwięku tego łańcucha, kołyszącego się pod podmuchem przejeżdżającego obok czarnego samochodu. Tu jest zbyt cicho, pomyślała Sara. Czowała chłód i wilgoć dochodzące od znajdującej się przecznicę dalej rzeki Hudson. Budynki wydawały się zbyt nowe, choć była to najstarsza część miasta.

Wreszcie dostrzegła Jacoba idącego ulicą w czarnym cylindrze i fraku, które Bóg wie skąd pożyczył. Miał na sobie skórzane lakierki, a w ręce laskę z białą końcówką. Wyglądał jak pulchny Fred Astaire.

– Boże, wyglądasz niesamowicie! – wykrzyknęła na powitanie.

– Wiem! – odpowiedział. – To znaczy ty również! – dodał. Przytulił ją i poczuł, że cała drży. – Dlaczego nie poczekałaś na mnie w jakimś lokalu?

Podniosła ramiona, jakby chciała powiedzieć, że sama nie wie czemu, ale Jacob pomyślał, że wskazuje na drugą stronę ulicy, gdzie za wysokim ogrodzeniem kryło się miejsce budowy, którego pilnowały wysokie na sto pięter żurawie.

– No tak. Dasz wiarę? Minęło osiem lat, a tam nadal jest, kurwa, dziura w ziemi?

Sara z początku nie zrozumiała, o czym Jacob mówi. Dopiero po chwili dotarło do niej, że tam, gdzie od dwudziestu minut stoi, próbując żyć chwilą, żyć świadomie, uważnie obserwować, co dzieje się dookoła, dokładnie na wprost po drugiej stronie ulicy znajduje się Ground Zero, z czego zupełnie nie zdawała sobie sprawy. Zawstydzona tym faktem oparła głowę na ramieniu Jacoba. Ledwo znała to miasto z czasów, zanim runęły wieże – była tu tylko raz na wycieczce z klasą w Muzeum Historii Naturalnej i raz z rodziną na musicalu *Koty*. To zdarzyło się w trzecim tygodniu roku akademickiego, gdy była na trzecim roku studiów – dwa lata minęły spokojnie, a trzeci zamienił się



w całodobową relację z szarego pyłu i osłupienia. Rodzice wydzwaniali do niej, informując na bieżąco, że ojcu tej i tamtej koleżanki nic się nie stało, a ojca tego i tego nadal szukają. Telewizja CNN pokazywała szlochających strażaków i wściekłych facetów w garniturach. Telewizja FOX prezentowała szok, niedowierzanie, trwogę, a potem twarde, poważnych chłopców w mundurach pustynnych. Przez kilka lat wydawało się, że postęp można mierzyć tym, jak wiernie uda się odbudować ten cudowny świat, ale stopniowo zaczęto godzić się z faktem, że nigdy nie zostanie on odbudowany – że to miejsce pozostanie dziurą w krajobrazie.

Poszli trochę dalej w kierunku balustrady i spojrzeli na rzekę Hudson. Cienki srebrny sierp księżyca wisiał nad Jersey City, a Sara zmrużyła oczy, żeby zobaczyć, którą godzinę pokazuje zegar Colgate, przypominający niedopałek papierosa leżący u stóp wielkiego drapacza chmur.

– Co się z wami ostatnio dzieje? – spytał. – Za każdym razem, gdy się spotykam z tobą lub Irene, zachowujecie się, jakbyście na zmianę miały okres. Dajcie nam choć na chwilę spokój.

Sara zamilkła, gotowa powiedzieć Jacobowi, o co chodzi, a potem wyjaśnić wszystko Irene.

– Jestem w nastroju życzeniowym – powiedziała wreszcie.

– W jakim nastroju?

– Przestań, jesteś przecież poetą. Tryb życzeniowy zakłada, że wszystko jest możliwe i niewykluczone. Hipotetyczne. Mam po prostu życzeniowy miesiąc.

– Życzeniowy marzec – przytaknął Jacob.

Sara spuściła wzrok. Pod jej stopami w siedmiocentymetrowych szpilkach był zimny biały beton Manhattanu. Dwa centymetry dalej, po drugiej stronie balustrady, płynęła zimna, rwąca rzeka. Tu było miasto, a tam nie. Choć ciągle się zmieniało, w każdej chwili miało określone granice. Swój początek i swój

koniec. Miało przecież swoje ramy. A gdzieś w tym mieście było mieszkanie dla nich – mieszkanie dla niej i dla George’a. Było też miejsce, gdzie złożą przysięgę małżeńską, pokroją tort i zatańczą do jednej z piosenek Bon Jovi. I Irene w pewnym momencie powie o wszystkim Jacobowi, tak jak w którymś momencie w DNA Irene pojawił się błąd, a dokładnie w tej chwili chemioterapia ten błąd naprawia, albo wręcz przeciwnie – rak w dalszym ciągu się rozwija. Czas pokaże – to jedno jest pewne. Tak jak pewne jest jego upływanie. Marzec nie może przecież trwać wiecznie.

– Chodźmy – rzekł Jacob – wbijamy się na to wesele. Po drodze wyjaśnię ci, dlaczego tak naprawdę nie chcesz wychodzić za mąż.

Sara roześmiała się, choć wiedziała, że po części Jacob mówi serio.

– Po pierwsze... nie możesz uziemić takiego gościa jak George. On ma niezaspokojony apetyt. Pod tą skorupą nudziarza i kujona czai się dusza rockandrollowca. On jest jak... wiesz, jaki on jest? On jest jak Meat Loaf. Tak, właśnie, tam w tej skorupie siedzi dwustukilogramowe, spocone zwierzę, które dla miłości zrobiłoby wszystko.

Sara śmiała się tak mocno, że brakowało jej tchu.

– Dziękuję – powiedziała, dając Jacobowi całusa w policzek.

– Całujmy się – powiedział Jacob. – Kocham się w tobie. Nie wychodź za niego.

– Przykro mi. Miałeś swoją szansę, ale jej nie wykorzystałeś – westchnęła Sara.

– Mogę chociaż spać u was na strychu, kiedy już zdiadziejecie i będziecie mieli miliard dzieci? Może zamelinuję się u was nad garażem.

– Zapomnij – powiedziała Sara. – Nie zgodzę się na to, żebyś tłukł się po domu w środku nocy, a potem przyprowadzał na śniadanie swoją nową zdobycz. Co powiedziałyby na to moje liczne pociechy?

Rozmawiali tak godzinami. Ostatecznie poszli na to wesele, gdzie pili

koktajle na bazie szampana, dopóki nie odprowadził ich do drzwi brat panny młodej z włosami zaczesanymi na pomadę, Mikey, który próbował wyciągnąć od Sary jej numer telefonu, choć Jacob próbował kopnąć go w pizszel.

Jacob obiecał, naprawdę przyrzekł jej, że pojedzie z nimi na kwietniowy długi weekend na Long Island do domu Luthera. Już sama myśl o tym napawała Sarę szczęściem. Wróciła do domu i położyła się do łóżka obok śpiącego już głęboko George'a.

## Shelter Island

George lubił wyzwania i rozwiązywanie zadań. Umiał obliczyć pierwiastek kwadratowy metodą babilońską. Potrafił usunąć papier, który zakleszczył się w firmowej drukarce. Ustalił liczbę gwiazd podobnych do Słońca w najjaśniejszej gromadzie galaktyk na podstawie wskaźnika ich jasności. Zaplanował więc także najszybszą trasę z miejsca, gdzie zaparkował na Riverside między Siedemdziesiątą Drugą a Siedemdziesiątą Trzecią Ulicą, do księgarni Borders koło dworca Grand Central, skąd miał odebrać Jacoba (czy – jak on to ujął – „uprowadzić”), a potem na Wschodnią Czwartą Ulicę, na którą udadzą się po Irene. Następnie wrócą do tunelu Queens Midtown i wjadą na Long Island Expressway, bo w sobotę rano nie ma tam dużego ruchu. Po drodze będzie mały objazd spowodowany wypadkiem w okolicach Hauppauge, ale potem już prosto, aż zjazd numer 70 doprowadzi ich na Sunrise Highway. Następnie pojedą trasą 51 aż do North Fork, gdzie promem dostaną się na Shelter Island. Tam szef Sary, Luther, zabiera latem swoją rodzinę. Będą mieli jego dom do dyspozycji na cały weekend zupełnie za darmo.

Trzeba umieć cieszyć się z małych rzeczy. Dobre wino, starzy przyjaciele, dom na plaży za darmo. Będzie jak za starych dobrych czasów, gdy mieszkali w akademiku. Przegadają całą noc, zagrają w kalambury, w remika, a potem wejdą na dach i będą liczyć gwiazdy.

George'owi doskwierał lekki ból głowy, prawdopodobnie od whisky

wypitej o pierwszej w nocy dla uczczenia dobrej nowiny, która przyszła mailem od członka komisji AAS w Belgii. Wraz z Allenem dostali zaproszenie na czerwcową konferencję w Pasadenie, gdzie będą mówić o ich odkryciach w obrębie Mgławicy Pierścieni. Było o nich głośno. Przynajmniej w kręgach fizyków. Wraz z Allenem zbierali dziennie terabajty nowych danych dotyczących kolapsu gwiazdy 237 Lyrae V.

Wziął duży łyk kawy ze swojego termosu z wizerunkiem Einsteina. Po dwóch godzinach napój wciąż był ciepły. Jak dobrze wreszcie wyjechać z miasta. Zostawić za sobą tych kilka minionych miesięcy. Sara pół nocy nie spała, pakując i rozpakowując walizki, a teraz spała na siedzeniu obok. W lusterku wstecznym widział, jak Irene wysyła SMS-y, a Jacob drzemie. George cieszył się, że wreszcie mogą skupić się na tym, co przed nimi. Jacob zarezerwował degustację win w którejś z winnic polecanych przez Olivera, a Sara zrobiła rozeznanie wśród najlepszych lokali serwujących owoce morza. Najważniejsze było to, że Irene od czwartej chemii pod koniec marca czuła się z każdym dniem coraz lepiej. Gdy George odbierał ją ze szpitala po ostatniej wlewce, doktor Zarrani wydawała się dobrej myśli.

– Widać, że grudka pod okiem się zmniejsza, ale powstrzymałabym się od przedwczesnej interpretacji – powiedziała doktor Zarrani. – Czasami guzek się kurczy z powodu utraty płynów, ale to niekoniecznie musi oznaczać obumieranie komórek rakowych. Proszę do mnie natychmiast zadzwonić, jeśli Irene poczuje obrzmienie pod pachami albo ból w okolicach szczęki, gdyż to może wskazywać na przedostanie się komórek nowotworowych do układu limfatycznego.

Jak, do cholery, szczęka i pachy Irene mogą być ze sobą połączone? George żałował, że nie uważał bardziej na zajęciach z rozszerzonej biologii.

– Oczywiście należy zwracać uwagę na jakiegokolwiek zmiany – podkreśliła doktor Zarrani, kierując te słowa bezpośrednio do Irene. – W razie czego

proszę dzwonić o dowolnej porze. Jesteśmy umówione na przyszły tydzień. Zrobimy aktualne badanie obrazowe i będziemy wiedzieć, na czym stoimy.

Razem z Irene postanowili uczcić tę dobrą wiadomość, jedząc na chodniku lody Cherry Garcia i popijając je guinnessem, a na koniec zagrali w jedną rundkę Big Buck Hunter w McIntosh's Bar na rogu. Gdy tego dnia wrócił do domu, George zrobił coś, co nie zdarzyło mu się od czasu studiów. Począł, aż Sara zaśmie, po czym wstał i zaczął się modlić. O to, by Irene wkrótce znów mogła być sobą, co w rezultacie sprawiłoby, że Sara znów zacznie być sobą i wreszcie on sam stanie się z powrotem sobą. Minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz się modlił, i czuł się z tym niezręcznie, ale chyba jego słowa zostały wysłuchane, bo przecież są tu teraz razem, zgodnie z planem, w samochodzie, zmierzając na drugi koniec Long Island, gdzie na horyzoncie będzie widać już tylko ocean.

Do zakwaterowania w domu Luthera mieli jeszcze godzinę, bo siostrzeńcy Sigrid opuścili go dopiero dziś rano i teraz na miejscu pracowała jeszcze firma sprzątająca. George postanowił więc, że najpierw zatrzymają się w restauracji Blue Anchor, gdzie uroczyście rozpoczną weekendowy wypad, jedząc surowe ostrygi i pijąc Krwawą Mary przyrządzoną ze świeżo wyciśniętych soczystych pomidorów z rodowodem, z własnej szklarni. Usadowili się przy długim barze z widokiem na zatokę i wciąż jeszcze wschodzące słońce. Byli tam niemal sami.

– Fajnie, co nie? – spytał George, podnosząc muszlę z ostrygi w ramach toastu i czekając, aż reszta zrobi to samo. – Zdrowie!

Sara z wymuszonym uśmiechem siorbnęła, wciągając do ust oślizgłą, słonawą zawartość muszelki. Wyraźnie coś ją trapiło. Jacob beknął, odłożył swoją muszelkę i rzekł:

– Pychota. A teraz może ktoś mi wreszcie powie, co my tutaj robimy? W kwietniu?

Sara omal się nie zakrztusiła.

– Przepraszam, to ten chrzan.

Starala się nie patrzeć na Irene, która obiecała jej, że podczas tego weekendu powie wreszcie Jacobowi, co jest grane. George wolał nie odpowiadać.

– Czy zawsze musi być jakiś powód? – spytała Irene.

– Uznajmy to za wiosenny długi weekend – dodał George.

– Jasne – powiedział Jacob. – Przecież tyle razy wyjeżdżaliśmy wiosną na weekend. Pamiętacie wypad do Cancún? Kiedy wypilem body shota z ciała Marka McGratha? Nie? Nie pamiętacie. Ja też nie.

George wiedział, że Jacob będzie tak długo drażył, aż wreszcie ktoś się wygada. Jedyna nadzieja w tym, żeby odwrócić jego uwagę.

– Nie odwracaj się, ale mam wrażenie, że gość od ostryg gapi się na ciebie.

Wszyscy delikatnie odwrócili głowy – z wyjątkiem Jacoba, który prawie wstał z miejsca, zapuszczając żurawia w stronę kuchni. Rzeczywiście stał tam przysadzisty facet z brodą, który zerkał w ich stronę, bo prawdę mówiąc, nikogo oprócz nich w tym lokalu nie było. Na jego umięśnionych rękach wiły się wielkie tatuowane macki, ciągnące się od białych szelek jego fartucha aż do gładkich białych rękawiczek, okrywających dłonie, które zręcznie operowały ostrzem noża między zamkniętymi muszlami. Jacob mruknął lekceważąco.

– Myślałem, że już znacie mój typ.

– Rusza się i na drzewo nie ucieka – podsunął George.

– Jest uroczy – poprawiła go Irene. – I gapi się prosto na ciebie. – Okręciła się na stołku, a poranne słońce rozświetliło jej policzki, tak że George mógł dostrzec czerwonawą grudkę pod okiem. Czy tylko mu się wydawało, czy Jacob też się jej przyglądał? Bo Sara zdecydowanie tak.

– Podejdę i zagadam do niego – zaproponował George. Często pomagał

Jacobowi podczas podrywu, najczęściej gdy przyjaciel wcale tego nie chciał. Przy jednoczesnym dopingu ze strony Irene i protestach Jacoba George ześlizgnął się z krzesła i pewnym krokiem zmierzał na drugi koniec baru. Teraz, gdy udało mu się już zażegnać ponury nastrój, miał nadzieję przejść do etapu drugiego i rozpocząć historię, która zapadnie im głęboko w pamięć i którą będą wspominać w ten weekend i jeszcze długo potem. Właśnie zaczęli drugą kolejkę Krwawych Mary, a on czuł się bardzo dobrze jak na czas po tak długiej podróży. Drugi drink zawsze przyćmiewał jego smutki, powodował przyjemne rezonowanie języczka na końcu podniebienia i delikatne pieczenie w nozdrzach. Spowijał wszystko delikatną mgłą. Wzmacniał tembr głosu Irene, gdy okazywała swą uciechę na widok George'a, który z uśmiechem zagadnął gościa od ostryg.

– Przepraszam, skąd pochodzą te ostrygi? Są wyśmienite.

– Łowimy je tutaj, prosto z promu „Shelter Island”. Świeższych nie znajdziecie.

Wziął jedną do ręki i pokazał George'owi. Była wielkości otwartej dłoni, ciemna, kamienna i wciąż żywa. Mężczyzna wsunął nóż w cienką szparkę i obrócił go stanowczym ruchem w prawo i w lewo, aż muszle się rozwarły. Usunął piasek z mięsa i położył ostrygę w perłowej muszli na srebrnym półmisku wyłożonym skruszonym lodem.

George odwrócił się i wskazał na Jacoba.

– Mój przyjaciel zastanawiał się... Mijaliśmy te wszystkie winnice po drodze. Ale nie chcemy pić tego, co zwykle serwują turystom, rozumie pan? Czym się tu raczą miejscowi?

Patrzył, jak gość przez moment zerka na Jacoba i po raz pierwszy nóż wymyka mu się z rąk, godząc w rękawicę. Mała czerwona plamka pojawiła się tuż obok innych ciemniejszych zaschniętych kleksów – pozostałości po uprzednich „potknięciach”. Ponownie zanurzył ostrze w muszli i jednym



szybkim ruchem wyrzucił ją w powietrze. Drugą ręką błyskawicznie złapał ostrygę do pustej szklanki. Powtórzył tę sztuczkę, po czym każdą z ostryg połał kieliszkiem wódki. Następnie na obie położył trochę sosu krewetkowego i skropił sokiem z cytryny.

– To dla mnie? – spytał George.

– Pytał pan, co się tutaj pije. Poza tym pana przyjaciel wygląda mi na zazdrośnika.

George mrugnął do niego i stuknęli się szklankami. Facet się nie mylił: ledwo przełknęli swoje szoty, George usłyszał, jak Jacob woła z drugiego końca baru: „Kiedy ty i twój nowy przyjaciel skończycie, zamów nam, proszę, następną kolejkę, okej?”.

Mężczyzna spojrzał na Jacoba i zabrał się do otwierania kolejnej ostrygi.

– Powiedz swojemu kumplowi, żeby otworzył usta.

– Z tym akurat nigdy nie miał problemu – odparł George i zawołał: – Hej, Jacob, otwórz gębę!

Jacob obrócił się na stołku i rozdziawił usta. Nie tracąc z nim kontaktu wzrokowego, mężczyzna poluzował szarą maź i włożył nóż pod spód. Następnie płynnym ruchem znów podrzucił ostrygę. Tym razem jednak powędrowała szerokim łukiem na drugi koniec restauracji, jakieś cztery i pół metra dalej. Jacob lekko przechylił się do tyłu, Irene krzyknęła w obawie, że zaraz się wywróci, i chwilę później pocisk wylądował w jego ustach i został połknięty w całości. Dziewczyny wznosiły okrzyki, gdy Jacob wstał i uśmiechając się szeroko, podszedł do baru.

– Zainteresowałeś mnie – powiedział.

Jacob bez pośpiechu flirtował z „królem ostryg”, próbując wyciągnąć od niego numer telefonu, a Irene postanowiła pójść okrężną drogą wzdłuż doków, twierdząc, że musi nazbierać muszli i mewich piór, które, jak sądziła, przydadzą się jej podczas tworzenia jakiegoś przyszłego dzieła. George

zauważył, że kiedy tylko wyszła, wyjęła telefon i zaczęła szukać sygnału. Ale postanowił się tym nie przejmować, skoro wszyscy byli zadowoleni. Sara wzięła go na bok, gdy byli już przy samochodzie.

– Czy widziałeś, żeby Irene brała dziś rano neulastę?

George nie widział, ale powiedział: – Na pewno. Przecież czuje się dobrze.

– Powinam jej była przypomnieć przed wyjazdem.

– Na pewno o tym pamiętała.

– Po prostu mam złe przeczucia. Nawet nie wiemy, gdzie jest najbliższy szpital.

– Wszystko będzie dobrze. Doktor Zarrani powiedziała, że taki wyjazd nawet dobrze jej zrobi.

– Powiedziała też, że powinni byli wyciąć Irene tego guza.

– Nie, powiedziała, że najlepiej byłoby się go pozbyć, ale być może nie będzie to konieczne, a zważywszy na to, że mogłoby to trwale uszkodzić jej wzrok, lepiej nie podejmować takich kroków, póki nie wiemy, czy chemia zadziałała.

– Wiem, wiem. Po prostu się martwię.

– Będzie dobrze. Badanie obrazowe niczego nie wykáže, zobaczysz.

– Nie mów tak!

– Co? Myślisz, że zapeszę? Tej grudki pod jej okiem już prawie nie ma.

– Ale mówiłeś, że według lekarki to jeszcze o niczym nie świadczy! Chciałabym, żebyś podchodził do tego poważnie.

– Jestem poważny – westchnął George. Próbował przyciągnąć ją do siebie i przytulić, ale stała mocno na ziemi, z przymrużonymi oczami.

– Musiałeś tyle wypić?

– Myślałem, że przyjechaliśmy się tu zabawić, na miłość boską.

Sara skrzyżowała ramiona, co źle wróżyło.

– Jadłeś dziś jedynie ostrygi, wypiliśmy dwie Krwawe Mary i jeszcze szota przy barze. Może ktoś inny siądzie za kierownicą?

– Nic mi nie jest – powiedział, starając się, by jego głos brzmiał nonszalancko. – Nie zamartwiaj się tak, dobrze?

– Mówię tylko, że Jacob ma większą masę niż ty. Ma mocniejszą głowę.

– Może wypić tyle, co zakonnica. On na co dzień w ogóle nie tyka alkoholu. Pije tylko, gdy spotyka się z nami.

Zbyt późno się zorientował, że mówiąc o tym Sarze, strzela gola do własnej bramki. On wypijał przynajmniej dwa drinki co wieczór, bez względu na to, czy gdzieś wychodzili, czy siedzieli w domu. Już chciał wszystko odkręcić, wytłumaczyć, co dokładnie miał na myśli, kiedy usłyszał kroki Jacoba i Irene idących po żwirze.

– Do kogo ona tak ciągle pisze? – spytał George. – Przecież wszyscy jesteśmy tutaj.

– Nie pytaj – odparła Sara.

– Coś się stało? – zawołał Jacob.

– Nie, skąd – głośno odparł George, otwierając samochód. – Jedźmy już.

Przystań, z której odpływał prom na Shelter Island, była tuż za rogiem. George wjechał samochodem na dziób pięknego, obrosłego skorupiakami statku, który przez cały dzień kursował w tę i z powrotem, przewożąc na wyspę najwyższej klasy mercedesy i lexusy. Gdy odpływał, George patrzył na miejsce, z którego pochodziły zjedzone przez nich ostrygi, czując, jak teraz przewracają mu się w żołądku, i marząc, by to nieprzyjemne uczucie minęło. Na szczęście rejs nie trwał zbyt długo, a dom Luthera był oddalony od przystani niecały kilometr.

Już z daleka dostrzegało się, że dom jest ogromny. Trzypiętrowy, pokryty popielatym drewnem z białymi wykończeniami. Obok dwa garaże i basen w kształcie nerki. Dopiero gdy podeszli bliżej, zauważyli, że woda jest zielona od porosłych na niej alg. Trawę w niektórych miejscach wypaliło

słońce, w innych domagała się skoszenia. Wszędzie walały się zgniecione srebrno-niebieskie puszki po piwie Michelob Ultra oraz niedopite butelki z etykietą browaru Dos Equis. Kartony, w których napoje te prawdopodobnie przywieziono, także leżały na podwórku, podobnie zresztą jak setka czerwonych jednorazowych kubków, zużyte maszynki do golenia, w połowie puste butelki po szamponach i odżywkach Herbal Essences, kilka napoczętych puszek rozpuszczalnika do farb i stos podniszczonych magazynów „Redbook” z poprzedniej epoki. Brudny hamak zwisał bezwładnie z bezlistnego drzewa, a słupek, niegdyś podtrzymujący drugi jego koniec, z jakiegoś powodu leżał na dachu garażu.

– Przegapiliśmy jakiś huragan czy coś w tym rodzaju? – spytała Irene. Jacob zagwizdał. – Czyżby w więzieniu Abu Ghraib nie było już miejsca?

Sara stała jak wryta z rękami na policzkach i z opadłą szczęką, powtarzając jedynie:

– Siostrzeńcy. Siostrzeńcy.

George, ostrożnie krocząc między kawałkami potłuczonego szkła i niedopałkami papierosów, powoli zmierzał w kierunku lekko uchylonych drzwi. Naiwnością byłoby myśleć, że wewnątrz będzie czysto i schludnie. No i nie było. Gdzie wzrokiem sięgnąć, poniewierały się puste opakowania, uschnięte rośliny, których doniczki posłużyły za popielniczkę, potłuszczone pudełka po pizzy, stopione plastikowe widelce i łyżki. Na kuchennym blacie, ledwo się na nim mieszcząc, tłoczyły się butelki po alkoholu – pękate, wysokie, zielone i brązowe. Półlitrowe flaszki po wódce z plastikowymi korkami. Litrowe opakowania po napojach gazowanych dodawanych do drinków; wiaderka z brudną wodą, która pewnie kiedyś była lodem. Rozkładany stolik do gry w karty leżał w częściach na podłodze, naznaczony kreskami zaschniętego białego proszku. Krzesła leżały powywracane, potłuczone żarówki wystawały z oprawek, a z otwartych pudełek cuchnęło

spleśniałą chińszczyzną. Ekipa sprzątająca albo jeszcze nie dotarła, albo byli tu, zobaczyli to wszystko i zrobili w tył zwrot.

– To miejsce wygląda tak, jakby przez miesiąc urzędowali tu Hunter S. Thompson, markiz de Sade i Amy Winehouse! – powiedział Jacob z niejakim podziwem. Irene sięgnęła ręką do sterty prześcieradeł i wyjęła biustonosz okryty srebrnymi cekinami, tak wielki, że siadając, zmieściłaby się w jednej z jego misek.

– O rety. Wygląda na to, że siostrzeńcy znaleźli sobie w mieście towarzystwo.

Jacob przedarł się przez bałagan, by przyjrzeć się mu z bliska, po drodze następując na rondo słomkowego kapelusza.

– Mam nadzieję, że stringów do kompletu tu nie ma.

Sara była wyjątkowo zirytowana.

– Luther raczy pomyśleć, że to wszystko nasza sprawka! Cholera jasna! Będziemy musieli to gównu posprzątać.

Jacob kopnął otwartą puszkę SpaghettiOs, a ta potoczyła się na drugi koniec pokoju.

– A może podpalimy dom i powiemy, że piorun w niego uderzył?

Sara ponownie rozejrzała się dokoła.

– Czemu zawsze wszystko musi potoczyć się fatalnie?

Fatalnie? Jacob od razu począł tłumaczyć im, że określenie fatalny pochodzi od greckiego słowa fatum, które oznacza zły los, a w mitologii rzymskiej było personifikacją przeznaczenia. Wkrótce doszli do wniosku, że najpierw udadzą się na degustację win, a potem wezmą się za ten cały bałagan. Chwilę później byli już na promie. Sara starała się ukryć swój gniew za okrągłymi szklami okularów słonecznych w stylu retro. Jacob wisiał za oknem jak wierny pies gończy. Irene kopała go w tył siedzenia, grzebiąc w torbie pełnej nazbieranych przez siebie muszli. George szukał stacji radiowej, która wszystkim by

odpowiadała, co z zasady było niemożliwe, gdyż Jacobowi nie podobało się nic. Ostatecznie więc, żeby zrobić mu na złość, ustawili radio na kanał z muzyką country, której nikt nie lubił.

Wypad wreszcie na dobre się rozpoczął. W winnicy Raphael posmakowali różnych win, aż wreszcie wspólnie opróżnili butelkę First Label Merlot z tyłu na werandzie. W tym czasie Jacob rozmawiał z kelnerem o skydivingu, co skończyło się zdobyciem kolejnego numeru telefonu. Następnie pojechali do Bedell Cellars, gdzie Sara niby mimochodem wspomniała, że są z George'em na etapie szukania lokalu na przyjęcie weselne, dzięki czemu dostali dwadzieścia dolarów zniżki na butelkę blanc de blancs. Nie poprzestając na tym, udali się do winnicy Shinn Estates, po czym postanowili jeszcze zahaczyć o plantację Paumanok, ale było już popołudnie i zmęczeni, nie pamiętali już, co pili, a jedynie fakt, że było tego dużo. Z każdą kolejną degustacyjną wizytą George czuł, że jest mu coraz bardziej błogo i przyjemnie, że wszystko jest w najlepszym porządku, z wyjątkiem zachowania Jacoba, który wciąż próbował z powrotem wpędzić go w zły nastrój. W którymś momencie zgodnie stwierdzili, że przyszała pora na lunch, więc wzięli chleb, trochę sera i wędlin i urządzili sobie piknik na polanie przed winnicą.

Sara wybrała dla każdego sery z przeszklonego kredensu. Wręczając jeden z kawałków George'owi, wyjaśniła klucz, według którego dokonała selekcji.

– Dla ciebie triple crème brie. Dla mnie ser alpejski: orzechowy, ale twardy.

Dla Jacoba wybrała ser z najbardziej pretensjonalnym opisem: ser romano w kolorze woskowiny, o „suchej, granitowej konsystencji”, którego „słoność tłumi delikatne nutki karmelowego posmaku”. I wreszcie dla Irene ser bleu d'Auvergne – ostry i aksamitnie miękki, poprzecinany oszałamiająco pięknymi żyłkami niebieskiej pleśni. George'owi aż żal się zrobiło, że za chwilę te rarytasy zostaną przez nich wchłonięte. Wiedział też jednocześnie, że nic nie

sprawia większej radości Sarze niż widok jej przyjaciół wylegających się na ogromnym piknikowym kocu w szkocką kratę – który dostała od matki i specjalnie na tę okazję spakowała. Wyjęła aparat, aby uwiecznić tę scenkę. Najpierw zrobiła zdjęcie serów, potem całej ich gromadki, a na końcu sfotografowała plantacje winorośli w tle. Było cudownie.

Tylko Jacobowi jak zwykle coś nie pasowało.

– Spójrzcie na te stare maszyny i to całe gównno, które tam powystawiali. Jakby chcieli, żeby to miejsce wydawało się bardziej realne? Jakby chcieli przez to powiedzieć: „Tą maszyną uprawiamy pole, a tej oto prasy używamy do wyciskania soku z winogron. Wprawdzie butelki produkujemy w fabryce w Meksyku za dziesięć centów od sztuki, a korki robimy z plastiku... ale nawiązujemy do tego dziedzictwa”. A niech to szlag!

George spojrział na Sarę. Znow wyglądała na poirytowaną. Poczuł, jak robi mu się gorąco na skroniach – wino powoli zaczynało mu uderzać do głowy – więc rzucił Jacobowi spojrzenie dające mu jasno do zrozumienia, że ma przestać. Przyciągnął do siebie Sarę, chcąc ją pocałować i tym samym zamknąć usta swojemu gderającemu przyjacielowi, lecz ona uwolniła się z jego uścisku i zdołał ją tylko lekko cmoknąć w wargi.

– Ha, jeszcze je polakierowali, żeby zachować ten rdzawy fornir! Zastanawiam się, na jakie przedmioty ludzie będą się gapić za sto lat, zachwycając się ich oryginalnością i autentycznością. „Och, spójrz na ten mały telefon komórkowy! Spójrzcie na ten śmieszny samochód hybrydowy! Jacy ludzie musieli być wtedy pracownicy i dobrodusznicy!”.

– Jezu, czy ty musisz być takim snobem? – wrzasnął George. Jego słowa zabrzmiały trochę bardziej złośliwie, niż tego chciał.

– A ty musisz być takim sztywniakiem? – Jacob nie pozostał mu dłużny.

George już miał mu odpowiedzieć, ale Sara wzięła go za rękę i powiedziała:

– Chodź, przejdziemy się.

– Myśli, że jak dostał jedną nagrodę za poezję, to ma prawo się wymądrzać.

– Mam prawo się wymądrzać – warknął Jacob. – Większość ludzi nie umie liczyć w pamięci, a co dopiero pisać wierszy.

Normalnie w podobnej sytuacji George wycofałby się na tym etapie rozmowy, wiedząc, że w żaden sposób nie zmusi Jacoba, by przeprosił czy odwołał swoje słowa. Taki już był. Ale dziś pękała mu głowa i wiedział, że jest skazany na towarzystwo tego marudy i do tego czeka go sprzątanie cudzego domu.

– Wiesz, że na łożu śmierci nie dostaje się medalu za to, że się miało rację. Umiera się w samotności, bo wszyscy, których kochałeś, zniechęcili cię za to ciągle wywyższanie się.

Jacob podniósł ręce na znak pokoju. George nie pamiętał, kiedy ostatni raz jego przyjaciel poddał się w tego rodzaju konfrontacji. Irene wstała, wyjęła z kieszeni telefon i zaczęła szukać zasięgu. George już miał zapytać Irene, do kogo tak ciągle esemesuje, ale Sara, skończywszy swoją porcję sera, wyjęła kluczyki z jego marynarki i bez słowa podeszła do samochodu od strony kierowcy. Dwa razy mocno nacisnęła na klakson, tym samym dając reszcie znać, że czas już ruszać w drogę.

Ostatnim miejscem, w którym się zatrzymali, była winiarnia Lenz Winery. Już z zewnątrz ładnie się prezentowała – szerokie pasy pnącej się w górę brązowej winorośli i budynek, do którego wnętrza prowadziły ogromne dębowe drzwi, uchylone, kuszące, by otworzyć je szerzej. Wewnątrz było kilka osób, siedzących przy długim barze z tyłu sali, co rusz przemierzających się, by spróbować różnego rodzaju musztard, gęstych sosów i octów rozstawionych wzdłuż ściany do degustacji. George kupił pięć win do spróbowania i wkrótce białobrody mężczyzna do każdego z kieliszków nalał



odrobinę czegoś w kolorze słońca. On i Irene wzięli do ust łyk tego złotego płynu, przez chwilę rozprowadzając go w ustach.

– Powinniśmy poczuć imbir i morele – przeczytała Sara.

– Bzdura – rzekł Jacob, wypijając zawartość kieliszka jednym haustem.

– Tak tutaj piszą – powiedziała Irene, wskazując na kartę w rękach Sary.

– Wymyślają to wszystko, by efektowniej brzmiało – prychnął Jacob. –

Wino to wino.

– Według mnie nie przypomina żadnego z win chardonnay, jakie dotąd próbowałam – powiedziała Sara, pochylając się nad barem, by ściągnąć na siebie uwagę mężczyzny. – Chcę go zapytać, jak je uzyskują.

– Aha, i na pewno powie ci prawdę – zakpił z niej Jacob, po czym odszedł, aby podziwiać porozwieszane nieopodal salami.

– To jest cudowne – rzekła Irene, czytając kartę. – „Ma smak wiechliny z nutką miodu i białej kukurydzy”. Cóż, nie znam się, ale mi smakuje.

George wziął łyk i był gotowy przyznać jej rację. Już miał zasugerować, by kupili butelkę tego właśnie wina, gdy zauważył, że Sara podaje mu srebrną spluwaczkę.

– Jest pyszne! – westchnęła Irene.

– Kupmy więc butelkę tego wina – rzekł George, biorąc kolejny łyk i ostentacyjnie przełykając.

– Przecież to dopiero drugie wino, jakiego tutaj spróbowaliśmy! – zaprotestowała Sara. – Spróbujmy innych i wtedy zdecydujemy, które nam najbardziej smakuje.

– Ale Irene najbardziej odpowiada właśnie to – rzekł George.

– Taaak, to jest wyśmienite – przyznała Irene.

– Ale następne może ci zasmakować jeszcze bardziej.

I właśnie w tej chwili Sara wreszcie zwróciła na siebie uwagę mężczyzny za kontuarem.

– Dlaczego to wino smakuje inaczej? Chardonnay mi zwykle nie odpowiada.

– Bo przywykła pani do kalifornijskiego chardonnay – odparł mężczyzna, uśmiechając się z wyższością. – Tutaj jest o wiele chłodniej, więc mogę zbierać owoce przez kilka tygodni. W ten sposób powstają różne smaki, które można mieszać ze sobą na wiele sposobów, tworząc w ten sposób wina bardziej złożone. W Kalifornii jest cieplej, przez co nie ma czasu na to, by owoce mogły stopniowo dojrzewać. W rezultacie smak tamtejszego wina jest prosty, charakteryzuje się jedną nutą, u nas zaś trunek jest bardziej złożony, wyrafinowany.

– Jak prawdziwy nowojorczyk! – zażartował George, akurat gdy Jacob wrócił do stołu.

Mężczyzna za kontuarem schylił się i sięgnął po butelkę dla George'a.

– Słyszę, że pan żartuje, ale jest w tym trochę prawdy. Ludzie są częścią wina. A wino częścią ludzi.

– „Wieczny życia krąg...” – zaczął śpiewać Jacob, ale przestał, bo Irene nastąpiła mu na nogę.

Mężczyzna ciągnął dalej.

– My nazywamy to *terroir*.

– Brzmi efektownie – powiedziała Sara.

– *Terroir* to gleba, na której uprawia się winorośl. To pogoda. Tutaj jesteśmy z trzech stron otoczeni wodą, co też rzutuje na nasze wina. U nas jest mniej słońca niż w Kalifornii, ale za to klimat zmienia się przez cały rok. I my też jesteśmy częścią *terroir*, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Powiedzmy, że stoję sobie na polu w Nowej Zelandii i błoto, które mam na butach od zeszłorocznej wizyty w Nadrenii, staje się częścią przyszłorocznych zbiorów. Ubiegłego lata mieliśmy tu wesele, na którym grała wielka orkiestra dęta. Wibracje wywołane jej muzyką unosiły się w powietrzu, by ostatecznie wejść w glebę

i winorośl. Ta muzyka jest teraz w winogronach. Wszystko się ze sobą łączy i wszystko wywiera trwały wpływ, choćby było tu jedynie przez chwilę.

George poczuł, jak Sara mocniej ściska jego dłoń, gdy sommelier kończył swoją przemowę. Nawet Jacob milczał, gdy ponownie wzniesli toast. On sam nie odezwał się ani słowem do samego końca, po czym podszedł do kelnera i poprosił o cztery butelki wina chardonnay na bazie „wiechliny, bredni i skrzydeł wróżki”.

Słońce powoli zachodziło i nie było na to rady. Po raz trzeci tego dnia wjechali na pokład promu „Shelter Island”, by przedostać się na drugą stronę. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, gdy wysiedli z samochodu i ich oczom ukazał się ten cały bałagan, który w błędnym świetle dnia wydał im się jeszcze większy. Sara znalazła w składziku jakieś wiadra i szczotki i wysłała George’a oraz Jacoba do piwnicy, żeby zorientowali się, czy nie ma tam jakichś worków na śmieci. W milczeniu zeszli po starych schodach, oświetlając sobie drogę w ciemności telefonem George’a. Macając ściany, szukali włącznika.

– Tu chyba jest włącznik łańcuszkowy – dobiegł go głos Jacoba zza pleców. George podszedł bliżej ze świecącym prostokątem w ręce.

– Przepraszam za tanto – powiedział. – Chyba za dużo wypilem.

Jacob burknął coś pod nosem, co zdaniem George’a oznaczało, że przyjmuje przeprosiny, co najmniej do wiadomości. George mógł przyznać, że przekroczył granicę, ale jednocześnie twierdził, że nie dawał innym powodów do zmartwienia. W ich odczuciu zapewne było inaczej. A to dlatego, że żadne z nich nigdy nie widziało naprawdę pijanej osoby. George znał mnóstwo takich typów. Nałogowi alkoholicy w jego rodzinnym mieście w Ohio, przy barze w lokalu, którego właścicielem był jego dziadek, a w którym on po szkole spędzał po kilka godzin dziennie. Ci bezkształtni mężczyźni. Twardzi, ale bezradni, osuwający się na barowych stołkach. On przecież taki nie był.

– To nic takiego – tłumaczył. – To nie tak, że ciągle muszę być na rauszu. Po prostu żeby poczuć się lepiej, już wcześniej muszę poprawić sobie humor, rozumiesz?

Te słowa zawisły na moment w piwnicznych ciemnościach. Jacob pociągnął za łańcuch i w piwnicy zapaliło się światło. Przed nimi stały rzędy półek, z których zerkały na nich kolorowe noski równiutko ułożonych butelek. Musiały ich być setki. Wszystko pokryte cienką warstwą kurzu. Wyjąwszy naraz dwie butelki, Jacob pisnął z radości, a odgłos, jaki z siebie wydał, odbił się od wysokiego rzeźbionego kamiennego sufitu.

– Cabernet franc, rocznik 1991. Grand cru, rocznik 1961. Bordeaux, rocznik 1984. Cuvée, rocznik 1944... Jasny gwint, ta butelka jest starsza od mojego ojca.

George westchnął głęboko, gładząc delikatnie sylwetkę butelki. Wyobrażał sobie, co znajdowało się w powietrzu, w glebie i w winorośli w 1944 roku. Podczas wojny światowej jakiś rolnik zerwał winogrona, porąbał dębowe drzewa, wysuszył i wypalił drewno, po czym zespoił listwy metalowymi obręczami. Choć na zewnątrz panowały strach i zgroza, on ukrył w tej butelce boską słodycz. Ktoś zakorkował butelkę i odstawił wraz z modlitwą, wiedząc, że nigdy nie wypije jej zawartości. Przeznaczył ją dla synów i wnuków. Czekala na przyszłe lata, na kogoś innego. George żałował, że nie na niego właśnie. Niechętnie odłożył wino na miejsce.

Kiedy spojrzał z powrotem na Jacoba, zobaczył, że ten idzie w jego kierunku.

– Dobra. Wystarczy tego wszystkiego. Powiesz mi wreszcie, co, do cholery, jest nie tak z Irene? – George zamarł.

– O co ci chodzi?

– Ciągle pisze do tej swojej byłej, tej wariatki, Alisanne. Spojrzałem na jej telefon.

– Poważnie?

– Tak. O tym, że muszą pogadać, że nie ma czasu do stracenia i tego rodzaju bzdety.

– Cholera – zaklął George.

– Tamta, dzięki Bogu, nie odpisuje. Ale coś ewidentnie jest na rzeczy. Przez ostatnie miesiące wszyscy troje byliście jakby na innej planecie. O co więc chodzi? Czy William coś jej zrobił?

– Nie, nie – odparł George. – Nie mogę... nie wolno mi nic mówić.

– Przestań dramatyzować. To już za wiele. Nawet jak na Irene. Zachowujesz się, jakby miała umrzeć.

George poczuł, jakby nagle serce mu stanęło. I takie musiał sprawiać wrażenie, gdyż Jacob gapił się na niego przez minutę, aż nagle sam zamarł i w zdumieniu szeroko rozdziawił usta. Bez słowa obrócił się na pięcie i poszedł na górę. George podążył za nim i dogonił go akurat w momencie, gdy Jacob, pokazując palcem na dziewczyny zdrapujące zeschnięte jajka z płyty kuchennej, krzyczał:

– ...kurwa, mi nie powiedziałyście? – Na chwilę wszyscy znieruchomieli. Potem Irene rzuciła gąbką o podłogę i wybiegła przez rozsuwane szklane drzwi na werandę. Biegła najszybciej, jak mogła, przez połąć trawy o piaskowym kolorze i ostrych żdźbłach, dzielącą ich od spowitej mgłą zatoki.

Jacob pobiegł za Irene, co rusz potykając się i osuwając na nierównym terenie. George już miał ruszyć za nimi, ale Sara chwyciła go za nadgarstek.

– Dajmy im minutkę.

– Przysięgam, że nic mu nie powiedziałem – rzekł George bez przekonania.

– To już nie ma znaczenia. – Sara wyglądała, jakby kamień spadł jej z serca, i nagle George zdał sobie sprawę, że, tak!, właśnie rozwiązał problem. Prawda wreszcie wyszła na jaw i Irene mogła całą winę zrzucić na niego. Która, jak zawsze, zostanie mu potem wybaczona.

Przez kilka minut sprząтали w milczeniu. Następnie poszli ścieżką w kierunku plaży i znaleźli Irene w objęciach Jacoba, siedzących w pustym długim rowie porośłym z obu stron trawą wydmową. Morska piana uderzała o czarne skały, rozpryskując się w powietrzu, by po chwili znów zniknąć w morskiej otchłani.

– To jest po prostu niesprawiedliwe – usłyszał głos Jacoba, gdy byli już blisko.

– Tego nie można rozpatrywać w kategoriach sprawiedliwości czy niesprawiedliwości – powiedziała łagodnie Irene.

– Czemu mi nie powiedziałaś? – spytał.

– Nie chciałam, żebyś miał z tego powodu chandrę.

– Ja nie mieszkam chandr.

George patrzył na fale uderzające o brzeg. Każdy przypływ słonej wody draży skałę. Za sto lat linia brzegowa będzie znajdować się nieco bliżej miejsca, w którym teraz stoją. Sto lat temu była odrobinę dalej. Przed dwustu laty – jeszcze bardziej. Za kilkaset lat przesunie się w głąb lądu tak wyraźnie, że dom może się zawalić. Dwieście pięćdziesiąt milionów lat temu kontynenty były ze sobą połączone. Może za kolejne ćwierć miliarda lat znów się ze sobą zespola.

George i Sara usadowili się obok przyjaciół. Irene uśmiechnęła się do niego, na co on westchnął głęboko. Czasami warto wziąć na siebie winę. Teraz napięcie już spadnie. Wreszcie będą mogli się w ten weekend zabawić. Spędzą kilka godzin na sprzątanii, aż dom będzie lśnił jak nowy. On rzuci jakiś żart o kombinezonie ochronnym, oni znajdą więcej kawałków bielizny dla puszystych, a Irene zacznie przeglądać śmieci, szukając czegoś, co przyda jej się do tworzenia rzeźb i będzie uzupełnieniem nazbieranych wcześniej na plaży muszli. Jacob zadzwoni po tego gościa od ostryg i przegadają całą noc, tak jak za dawnych czasów.

– Jeśli mi się nie uda... – zaczęła Irene.

– Nie mów tak – natychmiast przerwała jej Sara.

– Naprawdę, Irene. Wyglądasz dużo lepiej... – dodał George, ale przerwał, gdyż Irene zaczęła kręcić głową.

Żołądek podszedł mu do gardła, gdy Irene powoli podciągnęła lewy rękaw koszuli i ich oczom ukazał się kolejny guz. Ten miał wielkość piłeczki golfowej. Nie wiedział, jak ma zareagować, ale Sara pospieszyła mu z pomocą.

– Czy miałaś go już przed wyjazdem? Kurwa, na miłość boską, Irene...

George wiedział, że przypuszczenia Sary są trafne. Irene wiedziała o guzie. Może nawet była wszystkiego świadoma już wtedy, gdy siedzieli w gabinecie doktor Zarrani. Ukryła to przed nimi, żeby nie zepsuć im wycieczki. Chciał pobiec do oceanu i tak długo uderzać w fale, aż się uspokoją. Spojrzał w górę na rozpościerające się nad nim szare niebo. Z jakiej przyczyny... z jakiego powodu to przydarzyło się Irene? W jaki plan wpisywała się jej choroba? I jeśli tam gdzieś był Ktoś, kto znał odpowiedź na te pytania, to niech się, kurwa, pierdoli, razem z tym Jego planem.

– Usiłuję powiedzieć, że jeśli mi się nie uda – powtórzyła Irene – to chciałabym, żeby tak właśnie wyglądało niebo. Jest absolutnie fantastycznie.

George pragnął w to wierzyć, ale nie potrafił. Sara była blada jak śmierć.

– Samej nie byłoby mi tak fajnie – ciągnęła dalej Irene. – Myślę, że ty i George szybko byście do mnie dołączyli.

Objęła ramieniem Sarę, a Sara oparła głowę na jej ramieniu – tym zdrowym. Irene pocałowała Sarę w czoło i wyciągnęła dłoń w kierunku George'a.

– Jacob, no cóż. Myślę, że odwiedzilibyśmy cię od czasu do czasu.

Jacob się roześmiał.

– Żydzi nie wierzą w piekło. Zresztą w kwestii nieba też nie mamy jasnego

stanowiska.

– Dobrze, że jesteś beznadziejnym Żydem – uśmiechnęła się Irene.

Siedzieli tak przez chwilę w milczeniu. George głaskał palcami wydmową trawę. Nagle w jego głowie zaświtał kolejny pomysł.

– Pierdolić to – powiedział nagle. – Zaraz wracam.

Wstał i potykając się, pobiegł w kierunku domu. Przeszedł przez kuchenny bałagan, minął stolik pełen lepkich niedopitych butelek po wódce i otworzył drzwi do piwnicy. Zeskakując co trzy stopnie po chwiejnych schodach, zbiegł na dół i chwilę później już trzymał w dłoni zieloną butelkę, którą wcześniej znalazł Jacob. Przesunął opuszkami palców po roczniku wina. Tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty. Czuł chłód szkła w dłoni, gdy wchodził z powrotem po schodach i wracał do swych przyjaciół.

– A to co? – spytała natychmiast Sara. – Czy to należy do Luthera?

– Tak – odparł George. – Albo do jego ojca. A może nawet do jego dziadka.

– Więc je ukradniemy? – spytała Irene.

– Nie – uśmiechnął się szeroko George. – Zrobili to jego norwescy siostrzeńcy.

Jacob roześmiał się szczerze, spoglądając na przyjaciela z aprobatą, po czym wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął podwazyć korek. Usunął go w kilku kawałkach. Sara nie zaprotestowała, gdy Jacob pociągnął z butelki spory łyk i westchnął:

– To dopiero jest *terroir*.

George przyłożył butelkę do ust i przechylił ją. Boże. To była najcudowniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek skosztował. Smak rozkwitał w jego ustach, wędrując po poszczególnych kubkach smakowych. Choć zabrzmiało to niedorzecznie, miał wrażenie, że słyszy ten smak. To wino smakowało jak requiem, którego wysłuchał jako chłopiec w bazylice



Najświętszego Serca Pana Jezusa. Znajomy jego ojca, ksiądz z Notre Dame, zmarł i udali się w pięciogodzinną podróż do South Bend, by wziąć udział w nabożeństwie pogrzebowym. Boże, wciąż to czuł. Na początek kilka nut stopniowo rozwijających się w sekwencję aż do ofiarowania, a potem komunია – wszystkie smaki naraz, aż miało się wrażenie, że jest ich za dużo. Potem przyjemny słodki odwrót. A następnie, już na samym końcu, nowe doznanie – posmak głęboko zapadający w pamięć. Jakby wciąż siedział w tej bazylice, w uszach nadal mając dźwięki requiem, i to uczucie pewności, że przyjaciel jego ojca był dobrym człowiekiem i tam, gdzie teraz się znajduje, jest mu o wiele lepiej. Na suficie anioły z rozpostartymi skrzydłami, nad ich głowami złote aureole. Niektóre siedzące na chmurach w jasnym świetle, inne unoszące się nieważko na tle ciemnej nocy. Pod nimi ciemne morze, tak ciemne jak przepływające nad nimi chmury.

Podawali sobie butelkę, dopóki nic w niej nie zostało. Po dłuższej chwili znów wsiedli do samochodu. Irene zgodziła się w drodze powrotnej zadzwonić na numer alarmowy doktor Zarrani. Umówią się na wizytę, żeby jak najszybciej zbadać ten nowy guz. Dom zostawią w takim samym stanie, w jakim go zastali, minus jedna bardzo pusta butelka bardzo drogiego wina, którą teraz trzymał pod pachą wchodzący do auta Jacob. Sara jeszcze raz odwróciła się, zanim odjechali.

– Nigdy nas tu nie było – oznajmiła.

George jechał wolno w kierunku miasta tonącą w mroku autostradą. Dziewczyny przez chwilę szeptały coś do siebie, a Jacob gapił się przez okno. Wnet wszyscy pasażerowie zasnęli spokojnym snem. George jechał dalej. Dotarło do niego, że to, czego teraz doświadcza, ich nie dotyczy. Tam, na granicy jawy i snu, czekał na nich smutek. Poczekaj na nich cierpliwie jeszcze kilka godzin, tak jak teraz spokojnie krążył nad George'em, wypatrując, aż minie cudownie kojące działanie wina. Za oknem jak biało-czerwone komety

padały strumienie światła. Nie wiedział czemu, ale był całkowicie spokojny. Gdy tak się czuł, łatwiej mu było wierzyć, że istnieje ku temu jakiś powód. I że istnieje również uzasadniona przyczyna braku wiedzy, co tym powodem jest.

## Jacob na ziemi jałowej

Wrócili do miasta i po trzech dniach Shelter Island wydawała się Jacobowi tak odległa jak Ziemia Ognista. Jadąc rano pociągiem do ośrodka Anchorage House, zamknął oczy i próbował przywołać widok piaszczystej plaży nad oceanem, ale jedyne, co widział, to jakieś obco brzmiące napisy w tunelach na południe od przystanku Wakefield. Usiłował sobie przypomnieć zapach morza, ale wyparł go z pamięci smród rzygowin, które musiał zetrzeć z twarzy dziesiętnastoletniego Thomasa z zaburzeniami psychotycznymi, który uważał, że jest łodzią podwodną.

– Jej Wysokość Sybil, peryskop w dół! – krzyczał. – Do zanurzenia! Do zanurzenia! – Po czym zwrócił obiad na telewizor w świetlicy.

– Zapomniałeś zamknąć luk – upomniał go Jacob, gdy szli ramię w ramię korytarzem, kierując się do gabinetu pielęgniarek. Próbował przypomnieć sobie dotyk piasku pod stopami i smak ostryg.

– Ciemno tu na dole – wyszeptał Thomas, aż wreszcie Jej Wysokość Sybil zamilkła.

Gdy wrócili do Nowego Jorku, przywitało ich suche gorące powietrze. Temperatura w okolicach pierwszego tygodnia maja, późnym popołudniem, wynosiła trzydzieści stopni. Mimo to Jacob nie rozstawał się ze swoją tweedową marynarką – miał ją na sobie, jadąc rano do ośrodka i wieczorem do mieszkania Irene.

– Jest bardzo przewiewna – powiedział jej, stojąc w drzwiach zlany potem. Spędził kilka wieczorów, pomagając Irene przewieźć niektóre z jej starszych obrazów do magazynu przy galerii i usiłując uprzątnąć jej salon poprzez sortowanie stert zgromadzonych przez nią rupieci.

– Zostaw ten worek z cebulkami tulipanów, a ten kapelusz z Oktoberfest wyrzuć. Albo nie, wiesz co? Pióro możesz zostawić. Mógłbyś oderwać płozy od tych zabawkowych sanek? Gdzieś tu powinien być śrubokręt.

Jacob nie miał nic przeciwko temu. Chciał pomóc, a do gadania z lekarzami się nie nadawał. Przez niego Irene dostawała napadów histerycznego śmiechu w najmniej odpowiednich momentach. Raz tak ją rozśmieszył, że trzeba było powtórzyć rezonans. Irene jakoś udobruchała technika i ten zgodził się wydrukować niewyraźne zamazane zdjęcie, które podarowała Jacobowi w ramach podziękowania.

Angażował się także, próbując rozluźnić George'a, ale za każdym razem, gdy Jacob czepiał się go, że snuje się milcząco z nosem spuszczonego na kwintę, George udawał mocno zaskoczonego, że ktoś w ogóle może się o niego martwić. Gapił się w artykuły w „New Yorkerze”, które Jacob wciskał mu w poczekalni, by kilka minut później znów podnieść wzrok, kompletnie zdezorientowany.

– To ten...? Przepraszam, który artykuł? Chwileczkę, muszę skorzystać z łazienki.

Jacob nigdy czegoś takiego nie widział – facet musiał chodzić sikać praktycznie co pół godziny. Chciał, żeby lekarze przebadali go pod kątem zespołu jamniczego pęcherza (ta sugestia sprawiła, że Irene trzeba było powtórzyć rezonans). George twierdził, że od świetlówek boli go głowa, ale Jacob tego nie kupował. Podczas ostatnich dwóch wizyt w szpitalu Sara już nie wytrzymała i poprosiła go, by po prostu zabrał George'a do jakiegoś baru, bo inaczej wszyscy będą mieli go dosyć.

Wiadomość o dacie operacji Irene spadła na nich niespodziewanie jak letnia burza. Sara sporo się natrudziła, by pozwolono im czekać na przyjaciółkę w sali wybudzeń, bo przepisy zezwalają na to wyłącznie członkom rodziny pacjenta. Jacob docenił jej starania, ale grzecznie odmówił. Myśl, że miałyby spędzić dziesięć sobotnich godzin na siedzeniu w sterylnym pokoju i oglądaniu powtórek *¡Vámonos, Muchachos!* na jej laptopie w oczekiwaniu na wieści od lekarzy i pielęgniarek, nie mieściła mu się w głowie. Irene powiedziała, że to rozumie. Zamiast tego wziął sobie wolne dzień wcześniej i wykupił w aptece pół zapasu gazy opatrunkowej, którą przyniósł do jej mieszkania razem z zupą Chicken & Stars, mlecznymi shake'ami Assure, purée ziemniaczanym w proszku i skrzynką gazowanego napoju imbirowego, na wypadek gdyby Irene miała mdłości.

Tamtego wieczora po kolacji Irene, wtulona w ramiona Jacoba, słuchała, jak czytał jej ulubione wiersze głosem Patricka Stewarta, co zawsze ją rozśmieszało. Patrzył, jak jej rzęsy zahaczają o grudkę pod okiem. Za kilka godzin ten guzek będzie sobie leżał na tacce ze stali nierdzewnej, a pod okiem Irene pozostanie ropień. Większość nocy spędził na czytaniu, a rano pojechał pociągiem do pracy. Irene zaś udała się do szpitala, gdzie czekali na nią Sara, George i skalpel.

Po długim dniu pracy, żeby nie myśleć o całej tej sytuacji, Jacob poszedł z Oliverem na kolację do Szechuan Garden w Stamford. Oliver nie dopytywał o stan zdrowia Irene. Miał ten dar, typowy u psychoterapeutów, którzy pozwalają pacjentom gadać o pogodzie i rosnących cenach znaczków pocztowych, czekając, aż wreszcie otworzą się przed nimi jak orzeszki, wyjawiając najgłębiej skrywane sekrety. Jacob podejrzewał, dlaczego Oliver tak go lubi – chociaż nigdy nie był skryty, uparcie nie pozwalał mu się rozgryźć.

Oliver opowiadał o swoim dzieciństwie w Indiach Wschodnich.

– Kiedy byłem chłopcem, chodziliśmy z ojcem na długie spacery po lesie figowym, i graliśmy w grę: kto poprawnie nazwie największą liczbę drzew.

Chociaż większość ludzi dawała się nabrać, że Oliver jest lekko po czterdziestce, tak naprawdę za rok kończył pięćdziesiąt lat. Nie wyglądał na swój wiek i tylko to się dla Jacoba liczyło. Miał wysokie czoło, szczeciniaste czarne włosy i brwi w tym samym kolorze. Mówiąc o swoim ojcu, zawsze przybierał ten swój głupkowaty uśmiech, co sprawiało, że wyglądał jeszcze bardziej uroczo i sprawiał wrażenie jeszcze młodszego. Jego ojciec, rodowity Algierczyk, ściągnął rodzinę do Kalkuty, kiedy dostał posadę w szpitalu, a Oliver był jeszcze małym dzieckiem. Choć spędził tam tylko kilka lat przed wyjazdem do szkoły z internatem w Anglii, wspominał tamte dobre czasy z niesłabnącym sentymentem, co wkurzało Jacoba do tego stopnia, że nawet ten jego rozbijający uśmiech na nic się zdawał.

Począł, aż Oliver skończy, a potem powiedział:

– Mój ojciec płacił mi dolara dziennie, żebym masował mu stopy po pracy. Miał straszne problemy z podbiciem i uparcie odmawiał kupienia sobie odpowiednio dopasowanych butów. W rezultacie robiły mu się odciski wielkości ćwierćdolarówek. Wciąż nie wiem od czego, bo przecież siedział całymi dniami za biurkiem, sprzedając dodatkowe ubezpieczenie na życie. Kazał mi ścierać te nagniotki pumeksem.

Uwielbiał patrzeć na Olivera, gdy ten unosił brew na wieść o czymś tak zaskakującym. Tak jakby ważył tę informację na starej wadze szalkowej.

– Musieliście być ze sobą bardzo blisko w tamtym czasie – rzekł Oliver.

– Mniej więcej tak jak król i jego błazen. Każdego dnia byłem o krok od owacji albo utraty głowy.

– A dlaczego to nie królowa masowała mu stopy? – spytał Oliver, gładząc się po brodzie.

– Królowa robiła aż nadto – odpowiedział Jacob nieco za szybko.

– Zawsze chciałeś zostać poetą? – zagadnął Oliver, zmieniając taktykę, czym zaskoczył Jacoba. Na tym polegała ich gra: zdobywasz punkt, a potem się wycofujesz.

– Nie – odpowiedział.

Oliver miał teraz dwa wyjścia: albo będzie naciskał i spyta: „No to kim w takim razie chciałeś być?”, albo brakiem odpowiedzi wywoła długie, niewygodne milczenie. Wybrał to drugie. *Cichą noc* na ich konwersacyjnym polu bitwy. Gdyby Jacob się teraz ugiął i jak pacjent na kozetce odpowiedział na pytanie, już byłoby po nim. Jacob nigdy nikomu nie wyznał, kim chciał zostać, będąc dzieckiem. Intuicja Olivera zaprowadziła go we właściwe rejony.

To nie było typowe zawstydzające młodzieńcze pragnienie zostania strażakiem albo zawodowym zapaśnikiem czy pilotem helikoptera. Nie, on marzył o czymś o wiele bardziej dziwnym. Dawno temu poprzysiął sobie, że nikomu o tym nie powie, i słowa dotrzymał. Ani matce, ani nawet Sarze czy Irene podczas ich wspólnych zakrapianych nocy. Nawet George nie znał tego sekretu, choć znał jego pin do karty bankomatowej (3825 lub litery tworzące na klawiaturze wyraz FUCK) i wiedział, że pierwszy raz doznał orgazmu, oglądając późnym wieczorem w MTV teledysk *Love in an Elevator* Aerosmith, u dziadków w Daytona Beach. George znał imiona wszystkich chłopaków, z którymi Jacob sypiał – przynajmniej tych, których on sam pamiętał. Jacob był dumny, że niczego się nie wstydzi i nie ma żadnych zahamowań, ale postanowił sobie, że tego sekretu nikomu nie wyjawia. Przysiął to Panu Bogu. I chociaż już w niego nie wierzył, na samą myśl, że miałby się komuś wygadać, oblewał się zimnym potem.

Jacob przerzucił się z herbaty na dużą lampkę czerwonego wina i nie przestając dłubać w talerzu, sięgnął po menu włożone między butelki z sosem sojowym i zaczął liczyć dostępne w nim dania. Piętnaście przystawek.

Dziewiętnaście dań specjalnych. Osiem potraw warzywnych, włącznie z „krewedkami po królewsku”, co jego zdaniem niewiele miało wspólnego z warzywami, bez względu na to, czy w nazwie była literówka, czy nie. Cztery dania z makaronem chow mein, dziewięć potraw dietetycznych i dwanaście różnych przekąsek dim sum. Pięć rodzajów omletów i sześć gatunków smażonego ryżu. Cztery rodzaje lo mein, makaron mei fun na pięć sposobów i cztery opcje dodatków. Siedem dań opatrzonych nagłówkiem „Nasze najpopularniejsze dania główne” tuż obok osobnej kategorii „Dziesięć absolutnych hitów!!!”. Dwanaście propozycji zup i dwadzieścia trzy zestawy specjalne.

– Tu można zjeść sto trzydzieści cztery różne dania – oznajmił Jacob Oliverowi, który właśnie kończył swój zestaw z wołowiną i przegrzebkami, specjalność numer dwa na liście.

– To chyba dosyć sporo – odpowiedział Oliver, delikatnie ścierając sos z ust.

– Nie chyba, tylko na pewno – stwierdził Jacob. – Tak czy siak, jest tych dań określona liczba. A mimo to ty jadasz tu każdego dnia. I wcale nie hiperbolizuję, to znaczy, nie wyolbrzymiam...

– Wiesz, Jacob, studiowałem na Oksfordzie i wiem, czym jest hiperbola. Wiem też...

Jacob wiedział, że on wie. Trudno zliczyć, ile razy jedli w Szechuan Garden, ale przy każdym posiłku tutaj kłócili się o to samo.

– Stołujesz się tu co wieczór. Nie pójdziesz wypróbować żadnej ze stu innych restauracji w Stamford. Nie jadasz też nigdy na Manhattanie, który jest oddalony o jeden przystanek...

– Gdybyś kiedyś zaprosił mnie do swojego mieszkania...

– ...i na którym są dosłownie tysiące restauracji. Ani na Brooklynie, ani w Queens, które teraz, na początku nowego stulecia, przeżywają kulinarny



renesans i gdzie kucharze z gwiazdkami Michelina przyrządzają foie gras w food truckach! Nie. Ty co wieczór musisz jadać właśnie tutaj.

– Czasami bywasz upierdliwy – rzekł Oliver tonem terapeuty i jak zawsze w takich momentach złączył koniuszki palców tak, że jego dłonie utworzyły piramidkę na wysokości jego klatki piersiowej. – Stałość jest tak samo dobrą cechą jak różnorodność. Poza tym podoba mi się tutaj. Ci ludzie są dla mnie jak rodzina. No i mam stąd blisko do domu. Ale skoro to wszystko już od dawna wiesz, może powiesz mi, o co tak naprawdę ci chodzi. Bo z pewnością nie o to?

– A niby o co? – zareagował ostro Jacob. Tak bardzo pragnął, aby Oliver wreszcie zapytał go o Irene. Żeby powiedział mu coś idiotycznego w stylu „wszystko będzie dobrze” albo „dziewczyna ma szczęście, że jest tak młoda” albo „to, że przy niej jesteś, musi dla niej wiele znaczyć”.

Zamiast tego jednak Oliver rzekł:

– Myślę, że być może czujesz się winny, że nasz związek i nasze zobowiązania przybrały ostatnio nieco wypaczony kształt.

Ależ to, kurwa, pasywny sposób wyrażania swojej agresji, pomyślał Jacob. Wywołany do tablicy, sam postanowił zrezygnować z pasywności.

– Chodzi ci o to, że gdy ty siedzisz w swoim mieszkaniu, słuchając Beethovena i oglądając Animal Planet, ja pieprzę kogoś innego?

Te słowa sprawiły, że Oliver na chwilę zbladł, zanim odzyskał ten swój doprowadzający do szału spokój.

– Jestem osobą monogamiczną – powiedział z opanowaniem Oliver. – I ty doskonale o tym wiesz.

To prawda. Jeszcze jako uczeń w szkole z internatem Oliver obdarzył uczuciem jednego chłopca, który rzekomo był hetero – z wyjątkiem sobotnich poranków, gdy przychodził do pokoju Olivera, by razem z nim błaznować. Z tego samego, niezrozumiałego powodu Oliver w wieku dwudziestu lat ożenił

się z kobietą, której nie zdradził ani razu aż do rozstania trzy lata później.

– Co więcej, zdaję sobie sprawę, że ty nie jesteś monogamistą. Wiesz też, że wcale mi to nie przeszkadza. Jesteś młody...

– Nie o tym teraz mówię. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Nie o to mi chodzi!

– No to w takim razie o co?

Jacob rwał sobie włosy z głowy.

– Chodzi mi o to, że jesteś lekarzem psychiatrą! – wrzasnął tak głośno, że siedząca obok para oderwała wzrok od ekranów swoich telefonów komórkowych. Wyobraził sobie, że rybki w akwarium schowały się za sztuczne czerwone skały.

– No i? – spytał Oliver, nawet o ton nie podnosząc swojego głosu.

– W tym roku właściciel tego lokalu kupił ci na urodziny spinkę do krawata!

– Ty za to za każdym razem zamawiasz sobie zestaw „Niebiański Feniks i potężny smok”.

– Owszem, zawsze zamawiam „Niebiańskiego Feniksa i potężnego smoka”. Dzięki, że mi na to pozwalasz.

Oliver podrapał się w czoło.

– Miałem na myśli to, że ja nigdy nie zamawiam dwa razy tego samego.

– Jak to nie! Rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dni, a w menu jest sto czterdzieści sześć opcji, co oznacza, że co najmniej dwa i pół razy w roku zamawiasz tę samą rzecz.

– A ty nigdy nie jadłeś tego samego dwa i pół razy w roku? Prawdopodobnie zamówiłeś „Niebiańskiego Feniksa i potężnego smoka” co najmniej dwadzieścia albo nawet trzydzieści razy, odkąd przychodzimy tu razem.

– Tak, ale zamówiłem też guaco-taco z San Lupe, spanakopitę z Olympic

Flame Diner i kurczaka po królewsku z Bistro 19! Tylko w tym tygodniu spróbowałem trzech różnych rodzajów mrożonego jogurtu!

Na twarzy Olivera pojawił się uśmiech, który zawsze oznaczał, że jego kochanek spodziewa się swojego bliskiego zwycięstwa.

– Bo tam też zamawiasz zawsze to samo.

– Nie bardzo rozumiem?

Ale Jacob już czuł, że zaraz straci w tej rozgrywce punkt.

– Co jest złego w tym, że ja co wieczór zamawiam różne dania w tej samej restauracji, podczas gdy ty zamawiasz to samo w kilku różnych?

Jacob otworzył usta, ale już nie zripostował. Dlaczego miałyby w tym być coś złego? Czy nie gorsze było to, że mieli do wyboru tyle restauracji, że mogliby co wieczór jeść gdzie indziej i jedno miejsce nie powtórzyłoby się przez rok? Tego ranka w pociągu Jacob czytał artykuł w „New Yorkerze” o jakimś górzystym regionie w Chinach, wielkości mniej więcej Francji, którego mieszkańcy byli niedożywieni albo raczej przymierali głodem. Co to za Bóg, co uczynił ludzi równymi, a potem stwierdził, że ma w dupie niektóre zakątki Ziemi? Co pomyśli o Jacobie ta starsza pani myjąca podłogę na zapleczu, gdy zostawi jedną trzecią dania na talerzu?

Patrzyła na niego tak jak te staruchy w stołówce Szkoły Podstawowej imienia Mojżesza Majmonidesa, kiedy zjadł tylko ciasteczka Hydrox, a reszty lunchu nawet nie tknął. A jakie wytłumaczenie mieli na to rabini? „Jesteśmy wybrańcami Boga, przez niego umiłowanymi” – ten wers wałkowali aż do trzeciej klasy, a potem dodano do niego: „Gdyż przez wieki byliśmy w niewoli, przez czterdzieści lat wędrowaliśmy po pustyni, a potem przez kilkaset lat żyliśmy wśród nieprzychylnych nam ludzi. Zawsze obcy, zawsze w roli kozłów ofiarnych. Ginęliśmy w krucjatach i Holokauście, o których nikt już dzisiaj nie pamięta”. Skoro ich przodkowie od zawsze byli robieni w chuja, to logicznie było sądzić, że obecne powodzenie rodziny Blaumannów

jest jak najbardziej w porządku. Kryła się w tych słowach również sugestia, że prawdopodobnie za chwilę ktoś wymyśli, jak znów pozbawić ich tego wszystkiego.

Tak sobie to interpretował aż do bar micwy, kiedy to zaczął uczyć się rachunkowości oraz ekonomii i jego rozumowanie przybrało świecki wymiar: „Jesteś elementem systemu wolnej gospodarki, w ramach której praca wykonywana przez twoich rodziców jest wyceniana na pewną wartość przez niewidzialną rękę rynku. Wkrótce sam staniesz się częścią tego wielkiego systemu i dzięki oszczędzaniu, inwestycjom i unikaniu kredytów ty też zasłużysz na przywileje i komfort, które innym się nie należą”.

– *Hazan et hakol* <sup>3</sup> – wyszeptał Jacob.

– Rabinem? – spytał Oliver. – To nim chciałeś zostać, będąc dzieckiem?

Jacob pokręcił przecząco głową. Jakaś jego część chciała mu odpowiedzieć. Powstrzymywał go ten bezsensowny i głupi przesąd. Przysiągł. No i co z tego? Jeśli nawet powie to tu i teraz, w Szechuan Garden, trafi go piorun? Już otworzył usta, by wreszcie wyznać prawdę Oliverowi, ale gdy tylko to zrobił, poczuł, jak w kieszeni marynarki wibruje telefon. Wyjął go i zobaczył na ekranie twarz Irene.

– Halo – powiedział, jeszcze zanim przycisnął przycisk słuchawki.

– Cześć, to ja, Sara. – W tle słychać było sygnał karetki. – Irene ma się dobrze. Dzwonię z jej telefonu, bo z mojego nie mogę tu złapać zasięgu.

– Czy operacja się udała? – spytał Jacob łagodnym tonem.

– Będziemy wiedzieć coś więcej za kilka godzin – powiedziała Sara, a Jacob wyczuł po jej głosie, że jest u kresu sił. – Ale George już zaczyna świrować. Przydałby mu się spacer, a ja muszę skończyć te artykuły do piątku.

– Chcesz, żebym zabrał go do parku, albo coś w tym rodzaju? Żeby mógł wyszaleć się jak pies na wybiegu? – Jacob uśmiechnął się, wywołując tym samym uśmiech na twarzy Olivera.

Sarze wcale nie było do śmiechu.

– Nie obchodzi mnie, co z nim zrobisz, ale jeśli zostanie tu minutę dłużej, poproszę pielęgniarki, żeby dały mu coś na uspokojenie.

– Powiedz mu, żeby za godzinę czekał na mnie w Bistro – rzekł Jacob, a Oliver poprosił o rachunek.

Wrócili piechotą do mieszkania. Pocałowali się i pogodzili. Oliver nalegał, by Jacob wziął parasol, i zamówił mu taksówkę na dworzec.

Z mostu Hell Gate Jacob widział swoje miasto, tonące w blasku świateł i nierzeczywiste jak zawsze. Szczyt Empire State Building przypominał swoim kolorem niebieską kostkę do toalet. W połowie zasłaniały go gęste chmury na czarnym jak smoła niebie, które odbijało wszystko, co znajdowało się poniżej. Światła ulic Broadwayu, rozświetlony Times Square, reklamę lampy w IKEA, żarzące się papierosy w oknach budynków osiedla Frederick Douglass. Sznur białych świateł samochodów sunących przez most Triborough aż do centrum i łańcuszek czerwonych świateł stopu aut stojących w korku.

Idąc przez dworzec Grand Central, Jacob dzierzył przed sobą jak tarczę parasol Olivera i przedzierał się przez tłum podróżnych na schodach, w holu, a potem na chodniku. Szedł skąpany w białym świetle latarni ulicznych, mijał tłumy ludzi o niewyraźnych twarzach i sylwetkach w parku Bryant i przy Rockefeller Center. Po drodze próbował sobie wyobrazić, co się teraz dzieje z Irene. Pojawiało się to w jego głowie jak wiersz: słowa, obrazy, działanie. Fenomenalne uczucie, w dawnym tego słowa znaczeniu – budziło zdziwienie, podziw i szacunek. To, co już wiadomo, i to, co mogliby zrobić.

Niespełna pięćdziesiąt przecznic stąd, w sterylnym pokoju, ubrana w luźną białą koszulę Irene leży na łóżku jak śpiąca królewna, a wokół niej jak pokorni słudzy krążą lekarze. Z tego, co zdążyła mu zrelacjonować Sara po rozmowie z doktor Zarrani, Irene podawano czysty tlen rurką biegnącą do maski zabezpieczonej plastrem. Do jej palców poprzyczepiano klipsy, a do mostka

przyssano elektrody mierzące rytm serca i ciśnienie krwi. Niżej, niczym ramiona kałamarnicy leżącej na jej piersi, ciągnęły się zwoje kabelków biegnące aż do nadgarstków. Ich zadaniem było mierzyć puls Irene i zapisywać jego wynik w postaci elektrokardiogramu – EKG – podczas gdy pulsoksymetr i kapnograf miały badać stężenie tlenu i dwutlenku węgla w jej krwi. Pierwszy guz miał zostać usunięty przez cięcie okołoooczodołowe. Tą drogą – w idealnych warunkach – można uniknąć naruszenia gałki ocznej. Jeśli to się nie uda, będą musieli usunąć jej oko, ale zdaniem lekarzy ryzyko jest bliskie zeru. Potem, gdy chirurg plastyczny rozpocznie rekonstrukcję okulistyczną, pozostali lekarze zajmą się lewą ręką Irene, skąd usuną drugiego guza – wraz ze znaczną częścią kości łokciowej, by mieć pewność, że w pełni pozbyto się nowotworu. Wyciętą kość zastąpi się przeszczepem pobranym z grzebienia biodrowego, stanowiącego górną część talerza biodrowego (Jacobowi podobała się ta nazwa) i leżącego wzdłuż górno-bocznej części miednicy.

Według Sary, która wzięła na siebie rolę tłumacza lekarskiego żargonu, optymistycznie nastraja to, że wstępne wyniki biopsji węzłów chłonnych wyszły dobrze i zdaniem lekarzy istnieje bardzo duża szansa, że naświetlanie pooperacyjne i druga seria chemioterapii trwale wyeliminują raka, który, o czym już teraz wiadomo, znalazł się niestety w fazie przerzutów. Irene przeszła ze stadium pierwszego do drugiego, co oznaczało, że guz pierwotny wysłał już swoje oddziały w poszukiwaniu nowych lądów. Przemierzył góry, by dostać się do doliny jej łokcia. Nie zdobył jednak jeszcze portów. Naczynia limfatyczne rozgałęziające się po całym jej ciele pozostały jeszcze niezdobyte. Gdyby mógł to jakoś opisać. Gdyby to były jedynie słowa na papierze, a nie fakty dotyczące czegoś, co dzieje się w ciele Irene.

W Bistro 19 Jacob znalazł George’a dokładnie tam, gdzie się go spodziewał – na stołku z polerowanego mosiądzu z prawej strony baru. Siedział wsparty ciężko o szary marmurowy blat. Dwa górne guziki jego koszuli były odpięte,

a rękawy bladoniebieskiej koszuli zrolowane do łokci. Jego włosy w kolorze chłodnego brązu zdradzały ślady nerwowego przeczesywania palcami. Teraz jego dłonie, już spokojne, złożone jak do modlitwy, obejmowały szklanę pełną whisky. Jacob pomyślał, że George wygląda jak ksiądz po służbie podczas rozmowy ze swoim niebieskim pracodawcą. A może tylko gapił się na światło tej starej lampy witrażowej od Tiffany'ego, zwisającej elegancko nad barem i zdobionej winogronami oraz kupidynkami malowanymi na ołowiowym szkle.

George uwielbiał to paskudztwo. Jego zdaniem stanowiło ono kwintesencję starego Nowego Jorku – europejskich pieniędzy, Cole'a Portera i wytrawnego stylu. „Sprawię sobie kiedyś taką do mojego gabinetu”, zwykł mówić po trzeciej czy czwartej szklance whisky, podziwiając lampę. Jacob planował, że pewnego dnia mu ją kupi. Kiedyś, kiedy już dorobią się wielkich pieniędzy.

Jacob postanowił nie zdejmować kurtki, za to ogromny parasol wetknął do stojaka przy drzwiach. George, zabsorbowany lampą, nawet nie zauważył jego wejścia.

– Wybacz mi, ojciec Murphy, bo zgrzeszyłem – westchnął Jacob, sadzając swoje cielsko na stołku.

George spojrzał na zegarek.

– Dobra, zaoszczędzimy sobie czasu, jeśli wymienisz tylko te grzechy, których nie popełniłeś.

– Jestem czysty, jeśli chodzi o obrazy ryte – rzekł Jacob po chwili namysłu.  
– Poza tym nikogo nie zabiłem i chyba nie pożądam żony bliźniego swego.

– O nie, nie, nie! – cmoknął George. – Tam jest jeszcze: „Ani sługi jego, ani dziewczki jego, ani wołu jego, ani osła jego...”.

– Och, czepiasz się szczegółów.

– Po prostu wiem, że obcujesz z wołem, to wszystko.

George wypił swoją porcję whisky i zamówił kolejną u Flo, zasadniczej

i wiekowej Francuzki, ufarbowanej na ognistoczerwony kolor, którego jej włosy nigdy w młodości nie zaznały. Nalała George'owi pełną szklankę J&B, a dla Jacoba zaczęła przygotowywać to, co zwykle – martini z dżinem i dwiema marynowanymi cebulkami.

– Wyśpiewam ci wszystkie księgi Starego Testamentu na melodię *Dziesięciu małych Indian*.

– Proszę, nie rób mi tego – powiedział Jacob, gdy George udał, że podnosi do ust niewidzialny mikrofon. – Dzięki, ale dość mam wspomnień ze szkoły żydowskiej jak na jeden wieczór.

– Ojoj. Czyżby doktor Oliver znów próbował położyć cię na kozetce? – zażartował George. – W przenośni, rzecz jasna. Nie dosłownie. To znaczy dosłownie też jest OK, ale... o! Zgadnij, kto tu jest? Spójrz tam, w rogu.

Jacob obrócił się na krześle i spojrzał w ciemny kąt restauracji, gdzie rozpoznał szczupłą sylwetkę Williama Cho w dobrze skrojonym szarym garniturze z ciemnej wełny i krawacie. Miał świeżo ostrzyżone włosy, być może na prośbę siedzącej naprzeciwko niego dziewczyny, raczącej się podobnie jak on koryfeną. Wyglądała na kilka lat młodszą od niego, również Korkankę, o błyszczących czarnych włosach opadających na odkryte ramiona. Jej wielkie czarne oczy czule wpatrywały się w Williama, który to spojrzenie odwzajemniał.

– To William, co nie?

Jacob zobaczył, jak William obrócił się lekko w swym krześle, zauważając ich siedzących przy barze, zdrętwiał na chwilę, po czym odwrócił się do nich plecami, a twarzą do swojej towarzyszki. George wyglądał na poirytowanego.

– Ma chłopak jaja, żeby przyprowadzać tu swoją dziewczynę. Wie przecież, że to miejsce Irene, to znaczy, że tu przychodzimy.

Jacob mruknął, zgadzając się z nim. Miał chłopak jaja. Zupełnie jak nie on. Przyglądał się Williamowi, który wyraźnie udawał, że uważnie słucha swojej



partnerki, podczas gdy nie do końca ukradkiem spoglądał na nich w lustrze na przeciwległej ścianie. George zaczął okręcać się na stołku i omal nie spadł.

– Więc co tam mówiłeś o Oliverze? Że znowu cię podpytywał, tak?

– Kim chciałeś zostać w przyszłości, kiedy byłeś dzieckiem? – westchnął Jacob, a George pomyślał, że to nie odpowiedź, lecz pytanie skierowane do niego.

– Zwycięzcą w konkursie jedzenia hot dogów na czas. A ty kim chciałeś być?

– Stewartem – skłamał Jacob.

– Co? Chciałeś być kelnerem w samolocie?

– Nie – odpowiedział Jacob. – Chciałem być Rodem Stewartem.

George zaczął kołysać się, nucąc *Sailing*. Jacob przecząco pokręcił głową.

– Naprawdę muszę skończyć z Oliverem.

– Zawsze ci mówiłem, że to nie jest dobry pomysł, by umawiać się z gościem, od którego zależy twoja pensja.

– A ty się żenisz z kobietą, która ma dostęp do twojego konta bankowego – przypomniał mu Jacob, gdy Flo wreszcie wróciła z jego martini. Wyjął małeńki koktajlowy patyczek z cebulek i pozwolił im opaść na stożkowane dno kieliszka.

– Facet musi mieć swoje tajemnice – ciągnął Jacob. – Jak będziesz utrzymywał swoje kochanki, skoro nie masz żadnych pieniędzy na boku?

George przez chwilę mruzczał coś pod nosem, jakby rozważał taką możliwość.

– Nic nie przeraża mnie tak bardzo jak myśl, że mógłbym mieć kochankę – powiedział wreszcie. – Ledwo nadążam za Sarą. Widziałeś kiedyś ten program o jakimś mormonie i jego żonach? Ma trzy i jedyne, co robi, to pilnuje, by się nie pozabijały. Nie, dziękuję.

– Ale nie musisz się z każdą żenić! W tym sęk. Niczego cię nie nauczyłem?

– Nauczyłeś mnie kiedyś, jak przyrządzać chili.

Sącząc swojego drinka, Jacob rozpoczął długą tyradę na temat przestarzałej koncepcji małżeństwa. Mówił o tym, jak pierwotnie był to sposób na przeniesienie tytułu własności, na to, by wymienić kozy na wielbłądy. O tym, że w dwudziestym pierwszym wieku to kobiety w szczególności powinny walczyć z tym staroświeckim sposobem myślenia, tym imperializmem serca i narządów rozrodczych.

Wcale nie czuł się jeszcze pijany. Żałował, że w pociągu wypił kawę. Ale jak inaczej postawić się na nogi, żeby móc się porządnie urżnąć? Potem George zaczął mówić o Sarze, o przygotowaniach do ślubu i Bóg wie o czym jeszcze, a Jacob gapił się we wnętrze swojego kieliszka, gdzie z samego dna patrzyły na niego dwie marynowane cebulki. Był wyczerpany, a jego żołądek wydawał się jednym wielkim niespokojnym oceanem alkoholu i kofeiny. Kości bolały go tak, że czuł, jak separują się od ciała. Jakby był szkieletem przebranym za Jacoba. Boże, nie chciał być upierdliwym Jacobem. Nie dzisiaj. Chciał być radosnym, miłym towarzyszem zabawy. Nadwornym błaznem! Czy innych też tak męczyło bycie sobą? Jak oni dają radę, skoro większość z nich to cholerni nudziarze? O czym rozmawiał William ze swoją dziewczyną? O czym w ogóle rozmawiali inni? O pogodzie? O tym, że on ma nudną pracę? O tym, że ona chciałaby kiedyś pracować w branży modowej?

George odchylił się trochę za bardzo na swoim krześle i niemal spadł.

– Zaraz wracam. Muszę do kibelka. Nie spuszczaaj naszego przyjaciela z oka. Kiedy Irene nabierze sił, chcę zdać jej pełny raport z romantycznej randki pana Cho.

Jacob westchnął i korzystając z nieobecności George'a, sprawdził, czy nie ma jakiejś wiadomości od Sary. Ale nic mu się nie wyświetliło. Zobaczył, jak William i jego partnerka udają, że kłócą się o to, kto ma zapłacić za kolację. „O mój Boże, ciekawe, kto zwycięży?”, zastanawiał się Jacob i przewrócił

oczami, widząc, że dziewczyna pozwala mu uregulować płatność. A ty, Williamie, kim chciałeś zostać, będąc dzieckiem? Tchórzliwym, zadufanym w sobie, bezdusznym dupkiem? Hipokrytą, który studiuje literaturę, zanim pójdzie na ekonomię? Kimś, kto zaciągnie do łóżka najfajniejszą dziewczynę na całym Manhattanie, a potem rzuca ją, gdy tylko okaże się, że ta jest w potrzebie? Jacob był prawie zdecydowany podejść tam i rozłożyć go wprost na talerzu pełnym obsesyjnie powybieranych ości. Pozostał jednak na swoim krześle, mażąc coś na powierzchni marmurowego blatu i kreśląc antyczne znaki na mokrym śladzie pozostałym po drinku: מיוחד לא אני. Kiedyś kazano mu to napisać w zeszycie pięćset razy.

Kim chciałeś zostać, będąc dzieckiem?

Tego właśnie dnia zrozumiał, że nigdy tym kimś nie zostanie.

Dwie kobiety zaczęły liczyć banknoty i szukać w portmonetce odpowiedniej sumy drobnych. Ojciec Jacoba robił to samo po każdym posiłku, jakby grosz więcej tu czy tam miał zdecydować o śmierci głodowej lub przeżyciu. Nigdy nie zostawiał napiwku – nawet gdy poszli do Gramercy Tavern i Jacob umoczył sobie rękaw w musztardzie, a kelner wyczyścił mu go wodą gazowaną. Nawet wtedy ojciec zostawił odliczoną sumę pieniędzy, zgodną co do cholernego grosza, i wyszedł bez słowa. Czasem matka Jacoba udawała, że zapomniała parasola albo pióra, wracała po nie i zostawiała na stoliku kilka dolarów. Kilka dolarów z marnego kieszonkowego, które ojciec przydzielał jej każdego tygodnia na zakupy i dom – nie dlatego, że nie stać go było na więcej – dużo więcej – ale dlatego, że nie miał do niej zaufania.

– Podać coś jeszcze? – spytała Flo.

– Tylko rachunek – powiedział Jacob. W ogóle nie czuł się pijany, ale George miał już chyba za dużo w czubie. Spojrzał i zobaczył, że William i jego dziewczyna już wyszli. Zerknął na rachunek i niemal go zwrócił. Jakim sposobem były na nim tylko trzy drinki? Sądząc po małych sennych oczach

George'a, Jacob przysięgłby, że ten wtrząchnął trzy, jeszcze zanim on do niego dołączył. Po uregulowaniu rachunku Jacob wstał ze stołka i udał się do męskiej toalety zobaczyć, co się stało z jego dobrym przyjacielem. Drzwiczki z napisem *Hommes* były zamknięte od wewnątrz.

– Wpadłeś do środka? – zawołał Jacob.

– Nie, nie – odpowiedział George. – Sorry. Jeszcze minutka. Piszę do Sary.

Słyszając jego głos, Jacob uznał, że George jest jeszcze bardziej pijany, niż był chwilę temu.

– Fuj, George. Tak ludzie łapią pasożyty.

Słyszał, jak George kręci się nieporadnie wewnątrz kabiny. Jacob westchnął.

– Rachunek zapłacony. Idę na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jacob wyszedł na chodnik przed restauracją. Po chwili zorientował się, że w środku zostawił parasol Olivera, i wbrew swoim zasadom wysłał wiadomość do George'a, prosząc, by wziął go, gdy będzie stamtąd wychodził. Wiatr dał, przeciskając się między ciemnymi budynkami. Tam gdzie stał, na skrzyżowaniu ulic, było zadziwiająco spokojnie. W którą stronę by spojrzeć, nie było widać żywego ducha. Jak często coś takiego zdarzało się na Manhattanie, nawet o tej porze?

Oba pasy na Pięćdziesiątej Ulicy były rozkopane, więc ruch został przeniesiony na ulicę obok. O tej porze na miejscu nie było już nikogo z ekipy budowlanej, ale droga i tak była zablokowana wielkimi beczkami oklejonymi pomarańczową i białą odblaskową taśmą. Gdzieś tam kilka młodych kobiet darło się z jakiegoś powodu, ale do uszu Jacoba docierało tylko echo tych wrzasków. Wiatr wiał ku zachodowi, niosąc ze sobą puste butelki po napojach i porozrzucane opakowania po kanapkach z Subwaya. Jakiś wymięty szalik. Jakieś przygniecione kartonowe pudło. Rój niedopałków papierosów. Patrzył, jak podmuch powietrza rozrzuca je po czarnym popękany asfalcie, kierując

śmiesi ku alei. W dali, przed dawnym budynkiem Lehman Brothers, dwóch wysokich mężczyzn w ciemnych płaszczach i z teczkami w ręku wchodziło przez drzwi obrotowe. Szklane, rzecz jasna. Wszystko teraz było ze szkła, drzwi i całe budynki też. Przezroczyste, ale barwione. Delikatne, ale nieprzeniknione. Wnioski wyciągnięte z tragedii z 1929 roku ograniczały się do tego, by nie dało się otworzyć okien. Nikt nie chciał oglądać, jak ich makler wylatuje przez okno z trzydziestego piętra. Jacob pamiętał, jak Irene kazała mu przycisnąć rękę do szklanego budynku i zobaczyć, jak wibruje, jak żyje. Tłumaczyła mu, że zbudowali je tak, by były lekko elastyczne i mogły się przychylić wte i wewte, gdy zawieje silny wiatr.

Nagle Jacob poczuł na plecach powiew chłodnego powietrza. Odwrócił głowę, spodziewając się wreszcie zobaczyć George'a, ale zamiast niego ujrzał Williama Cho.

– Jeszcze tam byłeś? – spytał Jacob. William ostrożnie skinął głową.

– Tak, wpadłem na George'a w łazience. To znaczy on wpadł na mnie. Po czym zamknął się w kabinie.

– Wkurwiony jest – powiedział chłodno Jacob. – Zerwałeś z naszą przyjaciółką, gdy była chora.

Oczekiwał, że William zacznie się tłumaczyć, ale chłopak nawet nie próbował zaprzeczać.

– A więc powiedziała wam wreszcie, że jest chora?

Na twarzy Jacoba pojawił się grymas. Wkurzało go, że dowiedział się o wszystkim ostatni, ale jeszcze bardziej wkurzało go to, że William dowiedział się pierwszy.

– I teraz pewnie mnie też znienawidzisz? – spytał William.

Jacob chrząknął.

– To nie tak. Już wcześniej cię nienawidziłem.

William nerwowo kopał w mur.

– Jak ona się czuje?

Jacob nie miał ochoty nic mu mówić.

– A gdzie twoja towarzyszka?

– Wsadziłem ją do taksówki – powiedział, wskazując kciukiem w kierunku alei.

– Wyglądało na to, że wolałaby wrócić z tobą do domu.

– To córka kobiety, którą moja matka zna z kościoła – wyjaśnił William. – Tłumaczę jej, że nie jestem nią zainteresowany, ale ich to nie obchodzi. „Sung-Lee studiowała historię sztuki na Harvardzie! A teraz pracuje w liczącej się firmie farmaceutycznej”, a ja na to „No i dobrze”. No więc mama dalej swoje: „Ale ojciec Sung-Lee jest właścicielem czterech obiektów spa w hrabstwie Passaic”. Więc ostatecznie łatwiej jest umówić się na randkę, niż wyjaśniać matce, że kocham się w dziewczynie, która nie ma rodziny, umiera na raka i nie odpowiada na moje telefony.

Jacob nie chciał się roześmiać, ale nie mógł się powstrzymać. Wtedy drzwi Bistro 19 znów się otwarły i wytoczył się z nich bardzo już pijany George, ściskający przed sobą kilkanaście parasolek. Zaskoczony spojrzał na Williama, potem na Jacoba i znów na parasole. Pośród beżowych, kwiecistych i zielonych tkwił też czarny parasol Olivera ze sklepu Harrods.

George najwyraźniej nie wiedział, jak one wszystkie znalazły się w jego rękach.

– Który to twój? – spytał.

Jacob nie wytrzymał i dostał takiej głupawki, że niemal popłakał się ze śmiechu. William, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, też zaczął chichotać, a George rechotał tak głośno, że upuścił parasolki na chodnik. Koledzy pospiesznie pomogli mu je pozbierać i dotarło do nich, że najwyższa pora stamtąd spadać, zanim ktoś się zorientuje, co George narobił.

Nagle noc wydała im się młoda i zanim się spostrzegli, już siedzieli

w taksówce z parasolkami powciskanymi w kieszenie. Wśród dźwięków klaksonów jechali w kierunku wschodniej części miasta. Kierowca wysadził ich przed Union Square, na którym jak zwykle pełno było gości na deskorolkach i przyglądających się im widzów. Kilka niskich ciemnowłosych dziewcząt w wełnianych czapkach wyszło ze sklepu Whole Foods, taszcząc pełne reklamówki jedzenia. Kilka młodych par wyszło z restauracji Craftbar, kierując się w stronę barów karaoke. Dzieciaki usiłowały sprawiać wrażenie niebezpiecznych, sącząc jamba juice i siedząc przed sklepem Best Buy. Jakiś staruszek tkwił przed wystawą sklepu z antykami, patrząc na fotel w stylu Ludwika XV wart osiem tysięcy dolarów – Jacob nie był pewien, czy to bezdomny, czy człowiek z milionem dolarów na koncie.

– Moja propozycja jest taka – powiedział William. – Zalejemy się w trupa. A ja powiem swoim szefom, że szukacie porady prawnej co do tego, gdzie ulokować swoje inwestycje. I oni za tę poradę zapłacą. Powiedz mi, George, szukasz nowych sposobów inwestowania?

– Oczywiście – wykrzyknął radośnie. – Wiesz, mam w domu w Ohio kolekcję kapsli, ale nie chciałbym wszystkich aktywów ulokować w kontraktach terminowych.

William uśmiechnął się szeroko.

– A gdybym ci powiedział, że mogę zamienić te kapsle w zwolniony z trzech podatków fundusz emerytalny? Porozmawiajmy o tym przy drinkach.

– Dobrze! – krzyknął radośnie George, jakby Willy Wonka zaprosił go właśnie do fabryki czekolady.

Jacob uniósł ręce ku niebu z księżycem w pełni.

– Wiesz, przy tak odpowiedzialnym zachowaniu trudno zrozumieć, jak udało się wam wszystkim doprowadzić amerykańską gospodarkę do ruiny.

– Pieprzyć gospodarkę – rzekł William. – Mam nadzieję, że wszyscy skończymy na skraju nędzy.

George był już jedną nogą w sklepie spożywczym. Chwilę później pojawił się z trzema puszkami red bulla, które zdaniem Jacoba smakowały jak mieszanka pasty do zębów i oleju silnikowego, ale dawały wystarczającego kopa, by znów mogli poczuć się jak na pierwszym roku studiów. Już miał powiedzieć: „Od tego gówna wszyscy nabawimy się raka”, ale zdał sobie sprawę, że to nie było śmieszne, bez względu na okoliczności.

Zaczęli od spokojnego greckiego lokalu o nazwie Smyrna, głównie dlatego, że była to najbliższa restauracja z barem przy wejściu. Chwilę później pili już drinki z metaxą i brandy, pogryzając do tego ośmiorniczki duszone w czerwonym winie – i to wszystko na rachunek Williama, a raczej jego służbowej karty kredytowej American Express. Jacob robił się coraz bardziej apatyczny, podczas gdy William i George rzeczywiście wdali się w dyskusję o podatku od dochodów kapitałowych, indywidualnych kontach emerytalnych i jeszcze o jakimś ubezpieczeniu, które pozwalało na opłacenie soczewek kontaktowych Sary za kwotę wolną od podatku. Nudy. Jacob połknął mieszankę brandy, ale poczuł się jeszcze bardziej zagubiony w brunatnej mgłę myśli, jakie miał w głowie. Oliver, Irene, rabin Kantrowitz, zapach zniszczonych i obolałych stóp jego ojca – wszystko, co chciał dziś utopić w alkoholu, zaczynało na niego napierać. Barman, hipsterski dzieciak w wieśniackiej kamizelce, z diabelsko kręconym wąsem i kędzierzawą brodą, polał im po kieliszku ouzo na koszt firmy. Wypili je do dna wszyscy naraz, po czym chórem krzyknęli *Opa!* ku radości barmana. Jacob poczuł, jak chłopiec zatrzymał na nim swój wzrok, i kiedy udał się do toalety, nie zdziwił się wcale, że minutę czy dwie później chłopak przyszedł tam za nim.

– Twoi przyjaciele nie będą za tobą tęsknić? – spytał figlarnie. Jedyna lampa w łazience dawała słabe światło na tle fioletowej tapety, ale rzucała zarazem intrygujący cień na jego twarz.

– Ci dwaj? – spytał Jacob. – Nie są moimi przyjaciółmi. Ten Azjata jest tak



naprawdę mnichem z klasztoru Shaolin. Niech cię nie zwiedzie jego garnitur.

– A ten drugi? – zachichotał barman, przymykając oczy i podchodząc tak blisko, że Jacob poczuł jego wąs na brzegu swego nosa.

– To mój ksiądz – rzekł Jacob i wziął głęboki oddech, by pozwolić nozdrzom nasycić się zapachem wody kolońskiej. Coś o delikatnym aromacie porzeczkowego dżemu przyćmiło smród toalety i wyparło z pamięci gorsze zapachy: stóp ojca i rzygowin Thomasa.

– Jesteś Żydem, tak jak przypuszczałem – powiedział, otwierając jedno oko, jakby chciał się upewnić.

– Właściwie to jestem rabinem – rzekł Jacob. – Chodzimy po barach i szukamy puenty.

Jacob poczuł jego usta na swoich. Brunatna mgła zaczęła powoli ustępować, gdy Jacob zwrócił swe oczy ku górze i zgiął go wpół. Coś w nim zaskoczyło jak czterosuwowy silnik.

– Mam na imię Jeff – wymamrotał barman.

– Miło mi cię poznać, Jeff.

– W tym miejscu ty powinieneś się przedstawić – dyszał.

– Jestem... jestem... – próbował Jacob. Usiłował wypowiedzieć swoje imię, a może nawet to zrobić; nic już nie wiedział i o nic nie dbał. Z zaciśniętymi mocno oczami czuł, jak serce zaczyna mu przyspieszać, a odgłos jego bicia miesza się z jego własnym oddechem. Dłonie Jeffa zaczęły zsuwać się po jego klatce piersiowej, schodząc coraz niżej. Czując narastające w nim podniecenie, próbował przechwycić je i zatrzymać w głowie, chcąc sobie wmówić, że nie wywołują go ręce i usta kompletnie nieznanego faceta, ale że sprawia to ktoś inny.

Pierwszy na myśl przyszedł mu prawie już zapomniany przez niego chłopiec o imieniu Isaac. To z nim pierwszy raz się całował na szkolnym basenie. Ta wizualizacja mu nie odpowiadała i wtedy, wbrew swojej woli,

pomyślał o George'u, co wydało mu się już na tyle odrażające, że ostatecznie skupił się na jednej osobie, którą znał i której postanowił nie wypierać: na Oliverze. To okropne, pomyślał, zdradzać swojego chłopaka, a potem wyobrażać sobie, że się z nim jest. Po ciele przebiegł go dreszcz, po części spowodowany dotykiem Jeffa, a po części tym, że w myślach nazwał Olivera swoim chłopakiem. A poza tym to nie była zdrada, prawda? Przecież kilka godzin temu rozmawiali o tym, że ich związek ma charakter otwarty?

Jacob zaczął sobie wyobrażać, co by było, gdyby Sara nie zadzwoniła. Gdyby George lepiej się trzymał. Nie byłby teraz tutaj, w fioletowej toalecie greckiej restauracji z hipsterskim barmanem Jeffem, tylko w domu. To znaczy w domu Olivera – w którym jak dotąd czuł się bardziej u siebie niż w swoim własnym mieszkanku. Leżeliby sobie na cudownie miękkiej skórzanej sofie, a w powietrzu unosiłby się delikatny zapach prania, które Oliver starannie porozwieszał po całym mieszkaniu. Oliver nie ufał suszarkom i wolał prać ręcznie, tak jak to robił jeszcze w szkole. Z powieszzonej na ścianie powiększonej okładki francuskiego magazynu spoglądałby na nich dżentelmen w jedwabnym cylindrze zawadiacko przechylonym na bok. Jacob próbował usłyszeć muzykę dobiegającą z gabinetu Olivera. To byłoby coś, co znał. *Ósma symfonia* – na tyle głośna, by zagłuszyć dźwięki z kanału Animal Channel, gdzie nadawano dokument o chrząszczu, który przeniósł do Ameryki Północnej holenderską chorobę wiązu. Tak naprawdę nie była to wina kornika, ale grzybów, jakie przenosił. Jacobowi podobała się nazwa tych grzybów: *Ophiostoma ulmi. Ophiostoma ulmi. Ophiostoma...*

Finał był szybki. Jacob zachwiał się, pochylił lekko i poczuł, jak wszystko nagle przestaje istnieć. Jeff odchylił głowę w bok, a Jacob poczuł chłód. *La petite mort* – za każdym razem Jacob przypominał sobie tę frazę. „Mała śmierć”. Jakie słowa mogłyby lepiej opisać ten stan?

Gdy wrócił do stolika, George i William przeszli z tematu indywidualnych

kont emerytalnych do kwestii Irene, chyba nawet nie zauważając jego chwilowej nieobecności. Jacob szybko poprosił drugiego barmana o rachunek – Jeff o kudłatych włosach jeszcze się nie pojawił – i podał go Williamowi, który go podpisał i bez słowa włożył do kieszeni paragon. W tym czasie George ze szczegółami opisywał ich wyjazd na Shelter Island, gdzie dowiedzieli się, że Irene ma drugiego guza. Przerwał tylko na chwilę, by wręczyć długi beżowy parasol stojącemu obok kudłatemu dżentelmenowi, i zanim znaleźli się z powrotem na Dwunastej Ulicy, William – pobladły z przerażenia – znał już zarys informacji o obecnych zabiegach, jakim poddawano Irene. Szli powoli chodnikiem wzdłuż Czwartej Alei, mijając księgarnię Strand i szukając baru o nazwie Queen Elizabeth's, o którym William ponoć kiedyś słyszał. Nie znalazłszy go, wylądowali w jakiejś brazylijskiej restauracji, głównie dlatego, że George znów musiał pójść się odlać. W oczekiwaniu na niego Jacob i William wypili po dwa drinki caipirinha, gawędząc sobie przy tym przyjemnie.

Potem, w zamian za szkarłatną parasolkę, kelner zdradził im, że do baru Queen Elizabeth's, można wejść nieoznakowanymi drzwiami od zaplecza hinduskiej restauracji Shantih. Tam wypili kolejnych pięć drinków – każdy z dodatkiem białej jak kurze białko piany – a co było potem? Jacob nie bardzo pamiętał. Jakiś sportowy pub. Jacyś Nowozelandczycy. George rozdający parasole jak gratisy. W którymś momencie zadzwonili do Sary. Żadnych wieści. Czy z George'em wszystko w porządku? – spytała. To zależy, co to znaczy „w porządku”. Nie żartuj sobie. Nie mogę się powstrzymać. Więc ja mam spać na krześle szpitalnym całą noc, podczas gdy wy hulacie na mieście? zaproponował, że przyśle tam George'a, ale się rozłączyła.

Jacob najwyraźniej pamiętał chwilę, w której wydawało mu się, że jego stopy przywarły smołą do chodnika, chociaż w innych momentach dryfował jak pusta barka po Greenwich Village. Kojarzył też, jak na którymś etapie

uznał, że nigdy nie czuł się bardziej szczęśliwy. Już dawno zapomniał, o co w ogóle poszło z Williamem i czemu martwił się o George'a. Wymazał z pamięci imię Oliver i zapomniał, że ma ojca. Kim była Irene, gdzie się znajdowała i co wstrzykują w jej ciało albo co z niego wycinają – tych pytań nie potrafił sobie zadać. To, co było Jacobem, rozpadało się na kawałki.

Ostatnim mglistym obrazem w jego pamięci był moment, w którym stoi na chodniku, gapiąc się w zdumieniu na zalaną ulicę. Pamiętał, że poczuł, jak przemakają mu skarpetki, a George spytał: „Ej, od kiedy tędy płynie rzeka?”. Przejeżdżające samochody obryzgiwały ich wodą.

– Pękł wodociąg na Sullivan Street! – powiedział ktoś, chyba William. George otworzył jedyną parasolkę, jaka mu została, ogromną żółtą, i próbował do niej wejść i poześlować do domu. Jacob przewrócił się na plecy i widział już jedynie szczyty budynków i bezgwiazdne niebo. Pamiętał jeszcze tylko wspierające go, zaskakująco silne ramię Williama. Wtedy już w półśnie widział George'a, jak wiosłuje i płyną z prądem w żółtej parasolce. To, co widział, nijak nie trzymało się kupy, a niejasnym obrazom towarzyszyło wycie syreny wozów strażackich.

Mieszkał w „nie do końca żydowskiej” części dzielnicy Westchester. Przynajmniej tak mówiła jego matka, kiedy ojca nie było w domu, co, dzięki Bogu, zdarzało się dosyć często. Jakoś tak pomyślnie się to wszystko układało. Jego ojciec sprzedawał dodatkowe ubezpieczenie na życie i najlepiej było schodzić mu z drogi. Matka robiła dla niego wszystko, a jego ojciec, o ile było mu wiadomo, nigdy nic dla niej nie zrobił. Ona nawet została dla niego żydówką, o czym zresztą często wspominała i dzięki czemu sam Jacob był Żydem, choć ojciec zachowywał się tak, jakby nic go to nie obchodziło. On starał się, jak mógł, być dla niej miły, chcąc jej to wszystko wynagrodzić. Matka mówiła mu, że jest wyjątkowy co najmniej raz dziennie, a czasem nawet częściej.

Każdego ranka mama wiozła go trzydzieści pięć minut drogą numer 684 do szkoły Mojżesza Majmonidesa, którą wybrał dla niego ojciec. Gdy był w trzeciej klasie, spytał, czy nie może chodzić do pobliskiej szkoły, znajdującej się na końcu ulicy, przy której mieszkali, ale mama powiedziała, że nie, bo to szkoła tylko dla katolików. Nie wiedział, co to znaczy, więc wyjaśniła mu, że katolik to taki chrześcijanin wierzący w Jezusa, który żył dawno temu i który zdaniem chrześcijan był Mesjaszem. O Mesjaszu czytał w Torze, którą mieli w szkole. Uczono ich, że Zbawiciel przyjdzie i wybawi wszystkich grzeszników i zabierze ich do nieba. No więc jedni uważali, że to Jezus powróci, a inni, tacy jak oni, nie zgadzali się z tym, wierząc, że Zbawiciel, kimkolwiek jest, jeszcze nie przyszedł. Jacob spytał wtedy, dlaczego to, czy przyszedł i odszedł albo czy dopiero przyjdzie, jest takie istotne, na co matka powiedziała mu, że to bardzo dobre pytanie.

Kiedy zaś spytał o to swojego nauczyciela, ten odesłał go do gabinetu rabina Kantrowitza. Ale rabin Kantrowitz przyznał, że to jest bardzo dobrze postawione pytanie, po czym wyjął wielką zakurzoną księgę, Talmud, i pokazał mu, gdzie przed wieloma laty inny rabin, Majmonides, którego imię widniało teraz na budynku szkoły, napisał, jak będzie wyglądał świat, kiedy Mesjasz wreszcie nadejdzie.

– „W tym czasie nie będzie głodu ani wojny, zazdrości ani rywalizacji. Bo dobro będzie w obfitości, a wszelkie przysmaki dostępne jak pył. Jedynym zajęciem na świecie będzie poznawanie B-ga”.

To zdaniem chłopca brzmiało całkiem sensownie. Spytał rabina Kantrowitza, czy to on jest Mesjaszem, a on powiedział, że nie, dodając, że Mesjasz będzie kimś bardzo, bardzo wyjątkowym. Chłopiec miał już zapytać: „Czy ja mógłbym zostać Zbawicielem?”, ale rabin odesłał go z powrotem do klasy.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że może

nim być. Był najlepszy z całej klasy w matematyce, czytaniu i historii. Statystyki drużyny Chicago Bulls znał na pamięć. Zdobył pierwszą nagrodę w konkursie na najlepszy esej o tym, jak będzie wyglądał świat w 2010 roku (podwodne wioski połączone tunelami). Miał cierpliwość do innych chłopców, choć nie umieli rozwiązywać działań na odejmowanie dużych liczb, dłubali w nosie, nie wiedzieli, jak się pisze pieprz ani co jest stolicą Francji. To jeszcze nie wszystko. Udało mu się kiedyś, kiedy akurat nikogo nie było w pobliżu, unieść łyżkę siłą umysłu. Potem, przy mamie, nie umiał już tego powtórzyć, chociaż przyznała, że wyraźnie widziała, jak łyżka wibruje. Czasami udawało się sprawić, że w radiu zagrali jego ulubioną piosenkę – wystarczyło, że tylko o niej pomyślał. Z każdym dniem dowody na to, że był kimś wyjątkowym, stawały się coraz wyraźniejsze. Nie mógł się już doczekać dnia, gdy rozwiąże wszystkie problemy ludzkości.

Jednak trudno było trwać w świadomości, że jest się Mesjaszem, i nie móc o tym nikomu powiedzieć. Jedyńm chłopcem, któremu, jak sądził, mógł wyjawić swoją sekretną tożsamość, był Isaac Schechter, który na każdej lekcji siedział w pierwszej ławce i niemal zawsze prawidłowo odpowiadał na pytania. Nie radził sobie tylko z dzieleniem pisemnym. Przez chwilę nawet chciał się z nim zaprzyjaźnić, ale ojciec nie pozwolił mu zaprosić do siebie Isaaca, gdyż twierdził, że Isaac jest „maminsynkiem”. W szkole, podczas przerwy na lunch, Isaac miał zajęcia z logopedą, więc nie mógł z nim spędzać czasu, a w laboratorium miał już swoją parę – Zekego. Wreszcie podczas pływania w ramach lekcji WF-u jego modlitwy zostały wysłuchane (jakżeby inaczej) i Isaac został mu przydzielony jako para. Bóg tak sprawił.

Przez trzy cudowne tygodnie podczas lekcji pływania grali na tej samej pozycji w meczach piłki wodnej. Przebierali się w tym samym miejscu w szatni. Zawsze porównywali swoje pomarszczone od wody palce. Kiedy Isaacowi było zimno, jego usta robiły się lekko fioletowe. Isaac nie miał nic

przeciwno pożyczaniu mu ręcznika, kiedy ktoś ochlapał wodą jego ręcznik. Jacob potajemnie sam go chlapał, żeby mogli wycierać się jednym. Nie bardzo wiedział, dlaczego to robi. Wiedział jedynie, że sama świadomość, że ręcznik dotykał skóry Isaaca, zanim dotknął jego ciała, sprawiała mu przyjemność. Nadszedł dzień ostatnich zajęć z pływania i Jacob dał Isaacowi sygnał, który sami ustalili. Oznaczał on, że kiedy nauczyciel nie widzi, mają zanurkować pod wodę. Tam dźwięk rozchodzi się szybciej niż w powietrzu, a co najważniejsze, na powierzchni nikt cię nie słyszy.

– MUSZĘ ZDRADZIĆ CI PEWIEN SEKRET! – krzyknął chłopiec. Isaac wskazał palcem do góry. Chłopcy wypłynęli na powierzchnię i wzięli bardzo głęboki oddech. Potem Jacob złożył obie ręce na ramionach Isaaca, a Isaac położył swe dłonie na jego barkach i obaj ponownie się zanurzyli. Wokół nich było niebiesko i spokojnie. Jacob pomyślał, że tak pewnie będzie wyglądać niebo. Kiedy Bóg pokryje cały świat wodą. Ciepła woda otulała go jak koc. Włosy unosiły się lekko ponad czaszką. W oddali nogi drugiego chłopca intensywnie się poruszały, powodując wiry i białe bąbelkowe tornada. Włosy Isaaca falowały wokół jego głowy jak aureola.

Trzymali się za ręce, powstrzymując się od wypłynięcia ku górze. Ciemne oczy Isaaca szukały jego wzroku i wtedy Jacob zobaczył, jak jego sine usta otwierają się, wypuszczając wielką lśniąca bańkę. I wtedy się pocałowali. Jacob nie był pewien, czy to on zaczął, czy Isaac, ale nie miał ochoty przestawać. Kręciło mu się w głowie, a otaczająca go woda zapłonęła intensywnym białym światłem i wydawało mu się, że słyszy głos Boga, słyszy, jak woła jego imię... Chwilę potem było po wszystkim. Pani Cogen, nauczycielka WF-u, wyciągnęła ich obu na powierzchnię. Była bardzo zła. Odesłała go prosto do gabinetu rabina Kantrowitza, nie pozwalając mu nawet obeschnąć czy się przebrać. Siedział tam mokry i trząsł się z zimna w starej szacie kantora, podczas gdy ona opowiadała rabinowi o tym, co zaszło.

Kiedy rabin Kantrowitz poprosił chłopca do środka, spytał go, dlaczego, u licha, chciał utopić biednego Isaaca. Chłopiec nie pojmował sensu pytania i dopiero kilka lat później zrozumiał, że zarówno rabin, jak i pani Cogen nie wiedzieli, że całował się z kolegą. Wyjaśnił, że chciał tylko powiedzieć Isaacowi coś bardzo ważnego. Tajemnicę. A rabin zażądał, by powiedział mu, o jaką tajemnicę chodzi, więc próbował mu wytłumaczyć, że nie jest jak inni chłopcy. Że jest kimś wyjątkowym. Chciał wykrzyknąć: „Jestem Mesjaszem! Zostałem zesłany, by zjednoczyć plemiona Izraela! Jestem tym, który walczy z aniołami. Jestem tym, który jest silny w Panu”. Ale to wszystko wydało mu się głupie, gdy tylko wyobraził sobie, że miałby to wypowiedzieć na głos.

Rabin zaprowadził chłopca do pustej klasy i wręczył mu czysty skoroszyt. Na pierwszej stronie u góry napisał coś starannym hebrajskim pismem: מיוחד לא אני. Wytłumaczył, że to znaczy „Nie jestem wyjątkowy”, i kazał mu przepisać te słowa linijka po linijce, kartka za kartką, aż zeszyt będzie pełny. Zabrało mu to resztę popołudnia. Inni chłopcy już dawno poszli do domu. Bolały go ręce. Miał nadzieję, że może matka wybawi go z tej opresji, ale nie przychodziła. Kiedy wreszcie skończył, pojawił się ojciec i zabrał go do domu. Nie odezwał się do niego ani słowem. Kiedy chłopiec spoglądał na swojego tatę, widział, że jest do niego bardzo podobny – trochę przysadzisty, z tymi samymi szczeciniastymi włosami, tymi samymi wielkimi dłońmi. Pomyślał o fioletowych ustach Isaaca. Ręce wciąż mu dygotały, ale to serce bolało go najmocniej. Nie jestem wyjątkowy, zdawało się wystukiwać. Nie jestem wyjątkowy. Nie jestem wyjątkowy. Te słowa tkwiły w jego ustach jak zmięty kawałek papieru. Były jak pierwszy wers bardzo długiego wiersza, którego napisanie może zająć całe życie.

Jacoba obudziło chrapanie George'a. Bardzo szybko doszedł do wniosku, że on i George leżą obok siebie na niebieskim rozkładanym tapczanie, który zakupili razem w sklepie Toronto IKEA na pierwszym roku studiów, gdy



mieszkali w szeregowce poza kampusem. Jednakże powoli docierało do Jacoba, że nie są już przecież w college'u i nie mieszkają na East Street w Ithace. Ta niebieska wersalka stała teraz w jego mieszkaniu, co oznaczało, że on też był teraz w swoim mieszkaniu, a także – że George był w jego mieszkaniu. Niedobrze. Co gorsza, Jacob powoli zaczął rejestrować odgłos mytych naczyń, co świadczyło o tym, że oprócz nich był tam jeszcze ktoś. Ktoś trzeci. William Cho.

W pierwszym odruchu Jacob chciał wyskoczyć jak oparzony z łóżka, skłąć i skopać Williama tak mocno, że wylądowałby w Queens. Jednak jego ciało nie nadawało się do takiego zrywu. W gardle miał sucho jak w Dolinie Śmierci i nawet samo formułowanie przekleństw było obciążeniem dla jego zboląłego mózgu. Pamiętał, że William był z nimi do końca wieczoru, pamiętał jego spoconą twarz w blasku migających czerwonych świateł wozów strażackich. William podtrzymywał go jedną ręką, a na drugim jego ramieniu wspierał się George. Jacob wciąż miał w uszach szum wody wylewającej się z za budynków.

– Kawy – wychrypiął Jacob, uruchamiając struny głosowe. Spróbował raz jeszcze, usiłując przebić się swym głosem przez szum lejącej się z kranu wody. – KAWY!

– Sza! – powiedział William.

Jacoba strasznie rozdrażniło to, że William, zamiast wyszeptać „Cii...”, krzykiem wezwał go do zachowania ciszy. Po chwili jednak uznał, że nie ma takiej rzeczy, która by go nie zirytowała, biorąc pod uwagę jego obecny stan. William przyniósł mu szklanekę wody.

– To nie jest kawa – zacharczał Jacob.

– Kawa jeszcze bardziej cię odwodni – rzekł William. – Powinieneś być się napić wody wczoraj, gdy próbowałem cię do tego zmusić.

Jacob powoli przypominał sobie, że siedział z tyłu taksówki, próbując

schłodzić swój spocony policzek o zimną szybę okna samochodu.

– Byłeś w tej taksówce? – spytał wreszcie, powoli stając na nogi. Powoli kroczył między zdradzieckimi stertami przedmiotów w kierunku Williama stojącego przy zlewie.

– Byłem. Był też George, którego zaraz obudzisz, jeśli dalej będziesz się tak darł. W tym mieszkaniu jest straszne echo... Nigdy jeszcze nie widziałem tak wysokiego sufitu. Tu jest więcej miejsca do latania niż do chodzenia. Jaki tu jest metraż? Powierzchnia jakieś trzy metry na cztery. I chyba z dziesięć metrów wysokości?

– Osiem i pół – poprawił go Jacob. I choć doskonale wiedział, że to zły pomysł, odchylił głowę w tył, by zobaczyć grube dębowe belki na suficie.

Od tej czynności tak zakręciło mu się w głowie, że musiał usiąść na podłodze, opierając głowę o lodówkę. Jej plastikowe drzwi były cudownie zimne i gładkie. Zamknął oczy, myśląc, że może jednak wróci do łóżka, i wtedy usłyszał płacz dziecka na zewnątrz, tak blisko, że słyszał też jego matkę usiłującą je uciszyć: „Na miłość boską, proszę, przestań wreszcie płakać!”.

– Spory tam ruch – zauważył William, wskazując na zakratowane okna znajdujące się w połowie ściany. Były umieszczone za wysoko, żeby przez nie wyjrzeć, ale można było zobaczyć cienie ludzi sunące jak duchy po mieszkaniu. Docierały do nich urywki rozmów, strzępki głosów przechodniów – stłumione i brzmiące jak zlepek słów w obcym języku. Ich cienie pełzły po ścianach do góry nogami, a gdzieś tam nad nimi dało się słyszeć uporczywe bicie dzwonów. Była niedziela.

– Mieszkasz w podziemiach kościoła – stwierdził William.

– Nie no, naprawdę? Dziękuję, panie Kapitanie Oczywisty – odparł Jacob, mrużąc szyderczo oczy.

– Kiedy tu przyszliśmy wczoraj w nocy, myślałem, że pomyliłem adres. Ale

klucz pasował do zamka bocznych drzwi. Nie mogłem w to uwierzyć. A tak w ogóle: to jest legalne?

Jacob jęknął i bezowocnie poruszył ustami. Nie chciało mu się wyjaśniać, że w pewnym sensie nieoficjalnie podnajmuje tę klitkę od księdza, brata prawosławnego Greka, z którym od czasu do czasu sypiał w college'u i który załatwił mu te klucze, gdy Jacob obwieścił, że po zakończeniu studiów przenosi się do wielkiego miasta. To, co na początku wydawało mu się darem niebios (nie musiał miesiącami przeglądać ogłoszeń i ofert agentów mieszkaniowych, z czym George i Sara, a także Irene musieli się zmagać całe pierwsze lato), wkrótce zamieniło się w piekło na ziemi. Zaczął się tam czuć jak w lochu, do którego strącano ludzi podczas hiszpańskiej inkwizycji. Jacob czasami czuł się tam jak chłopiec, który wpadł do studni i pomyślał, że skoro już tam jest, to się jakoś urządzi.

Słowo urządzić było lekkim, a właściwie dość sporym nadużyciem. Jacob przygryzł wargę i spojrzał na piętrzące się po mieszkaniu rzeczy – jego cały majątek. Niebieska rozkładana sofa, lichego regał na książki oraz biurko zrobione z kartonów na mleko i starych drzwi, które znalazł w jakiejś uliczce. To jedyne meble, jakie posiadał. Otaczały je gołe ściany, z wyjątkiem kilku karetek z zaczętymi wierszami, pospiesznie i krzywo przyklejonych nad biurkiem. Na regale stała jedyna oprawiona w ramkę fotografia przedstawiająca Jacoba we fraku w towarzystwie George'a, Sary i Irene podczas ceremonii wręczenia nagrody za *W oku gównianego cyklonu*. Rozmazany obraz badania rezonansem magnetycznym, подарowany mu przez Irene, był przyczepiony do lodówki magnesem reklamowym z restauracji Szechuan Garden.

Latem w mieszkaniu było gorąco, a zimą przeraźliwie zimno. Każdy jego krok odbijał się echem, co powodowało, że nieustannie czuł się skrępowany. Co rusz śniło mu się, że jest uwięziony na dnie wielkiego pustego basenu, po

czym budził się i stwierdzał, że po części tak właśnie jest. Mieszkanie było jednak tak tanie i osobliwe, że nie widział powodu, by się wyprowadzać. Postanowił trzymać się dwóch zasad: będzie sypiał w cudzych łóżkach tak często, jak tylko się da, i nigdy nie pozwoli, aby George i reszta kiedykolwiek zobaczyli to miejsce. Wiedział doskonale, że wtedy musiałyby im przyznać, że popełnił straszliwy błąd.

Jacob poczuł dziwne szczypanie w żołądku, inne niż dyskomfort związany z wypiciem całego barku alkoholu.

– Musimy stąd wydostać George’a – dajmy mu się wyspać.

– George nigdy tutaj nie był. Nikt tu wcześniej nie był. – Próbując wrócić na kanapę, Jacob biodrem trącił szafkę z książkami, która się zachwiała. William zakreślił wodę i potrząsnął dłońmi, by je osuszyć.

– Ściągnąłeś przy mnie spodnie podczas pierwszego spotkania, ale do swojego domu nikogo nie wpuszczasz?

Temu Jacob nie był w stanie zaprzeczyć.

– Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie mieszkam?

– Adres był na twojej starej karcie z wypożyczalni Blockbuster. Choć widzę, że nawet nie masz telewizora.

– Rzuciłem w niego pilotem podczas ceremonii Oscarów w 2004 roku.

– Nie podobał ci się *Powrót króla*?

– Moim faworytem był *Niepokonany Seabiscuit*. Słuchaj, czemu nie zabrałeś nas po prostu do siebie?

William zarumienił się lekko i mrużąc oczy, spojrzał na popękaną gipsową ścianę obok.

– Bo tylko byście się nabijali – powiedział wreszcie.

– Masz na myśli swoją stronę dwunastą? – zażartował Jacob.

William niemal upuścił filiżankę, którą mył.

– Powiedziała ci?

– Nie, powiedziała Sarze, która powiedziała George’owi, a on powiedział mi.

William wyglądał, jakby go piorun strzelił, a Jacob po raz pierwszy przeraził się tego, co za chwilę mogło nastąpić. Jednak potencjalny wybuch Williama poprzedził dobiegający z zewnątrz ogłuszający dźwięk śmieciarki uderzającej w krawężnik. Potem słyhać było głosy mężczyzn otwierających ciężkie żeliwne pokrywy kubłów, zaprojektowane tak, aby nie mogły dostać się do nich szczury. Jacob czuł ogromną wdzięczność, gdy dwa lata temu wreszcie je zamontowano. Dzięki temu nie musiał już odganiać gryzoni, aby wejść do domu. Jednak jak zawsze – istniały zalety i wady tego wyjścia. Pokrywy brzęczały tak mocno, że obudziłyby umarłego, a już na pewno mocno skacowanego astronoma.

George poruszył się nerwowo, rozglądając się w poszukiwaniu źródła hałasu.

– Gdzie...?

Jacob patrzył, jak jego stary przyjaciel popełnia ten sam błąd, zbyt szybko spojrzawszy w górę. Widział, jak krew literalnie odpływa mu z głowy. George obrócił się i zatopił twarz w miękkich poduszkach.

– ...my, do cholery, jesteście? – zdołał wreszcie dokończyć pytanie George, oskarżycielskim wzrokiem zerkając znad poduszki. Jacob westchnął i postanowił stawić czoło upokarzającej porażce. Nie jestem nikim wyjątkowym, przyznał w duchu. Choć lubił myśleć, że takie właśnie mieli o nim mniemanie. Nawet jeśli wiedział o wiele lat wcześniej niż cała reszta, że to nie była prawda.

– W mieszkaniu mojego brata – powiedział szybko William. – Przyjaciel naszego ojca prowadzi ten kościół i wynajął Charlesowi pokój niejako pod stołem.

Kiedy George podjął kolejną próbę obejrzenia sufitu, William jak gdyby

nigdy nic podszedł do regału i odwrócił zdjęcie z ceremonii wierzchem do dołu, żeby nie było go widać. Jacob stał nieruchomo, nie bardzo wiedząc, co ma dodać.

– Myślałem, że twój brat jest lekarzem – powiedział George do Williama.  
– Że ma dzieci i w ogóle.

– Niech zgadnę – rzekł William. – Irene powiedziała Sarze, która przekazała to tobie, a ty opowiedziałeś o tym Jacobowi? Tak, owszem, pracuje w szpitalu Columbia Presbyterian, więc wpada tu między dyżurami.

Jacob był nieco zdumiony – George wydawał się w to wszystko wierzyć.

– Ej! Jacob i ja mieliśmy kiedyś taką samą sofę. – Uśmiechając się głupio, George zsunął się z łóżka, przeciągnął jak kot pustynny i wydobył z siebie długie westchnienie.

– Idę się wyrzygać – oznajmił, kierując się do łazienki w skarpetkach, podkoszulku i niebieskich bokserkach w kanapki. Z łazienki dobiegł ich dźwięk deski klozetowej obijającej się o umywalkę, a potem odgłos uwolnienia treści pokarmowej z żołądka.

– Nie musiałeś tego robić – powiedział Jacob do Williama, który powrócił do zmywania reszty naczyń Jacoba. – Naprawdę. Nie musiałeś robić żadnej z tych rzeczy. Mogłeś nas zostawić tam, w West Village.

– Niby tak – przyznał William, wyraźnie czymś rozbawiony. – Ale wtedy nie byłbyś moim dłużnikiem i nie mógłbym ci kazać zabrać mnie do Irene.

William podał mu namydlony kufel od piwa. Jacob wytarł go do sucha.

– A ja myślałem, że robisz to z czystej dobroci serca.

– Do diabła, Jacob. Nie jestem żadnym Mesjaszem.

Jacob zamarł i niemal upuścił kufel na blat.

– Skąd... czy ja... hmm... czy ja coś wczoraj mówiłem?

William uśmiechnął się tajemniczo.

– Byłeś mocno pijany. Wątpię, czy to, co mówiłeś, może stanowić dowód

w sądzie.

Jacob poczuł narastający w sobie gniew, lecz gdy otworzył usta, by dać mu upust, wydobył z siebie westchnienie ulgi. Wypowiedzenie tego na głos nie było aż takie straszne, jak sobie wyobrażał. I kto by pomyślał, że spośród wszystkich ludzi zwierzy się właśnie Williamowi?

– No cóż – powiedział Jacob – to ty studiowałeś na Yale.

Spod sterty ubrań leżącej przy kanapie dochodził odgłos wibracji. Jacob zaczął grzebać w spodniach George’a i przez chwilę myślał, że w tylnej kieszeni znalazł telefon. Ale to nie był telefon, tylko cienka srebrna piersiówka z wygrawerowanym z boku napisem: „Coriolanus Crew 1967 League Champions”. Jacob mgliście przypominał sobie, że był z George’em, gdy na pierwszym roku studiów znalazł tę flaszeczkę w sklepie Armii Zbawienia. W butelce coś jeszcze zostało. Jacob odkręcił korek i poczuł zapach whisky J&B – ulubionego trunku George’a. Serce mu zamarło i wreszcie zrozumiał, dlaczego jego przyjaciel ciągle biegał do łazienki, zarówno w szpitalu, jak i w Bistro 19. Nie wiedział, czy dać mu w pysk, czy udusić gołymi rękami.

Jakiegolwiek były jego ambicje jako małego chłopca – usłyszeć głos Boga, walczyć z aniołami, zjednoczyć cały świat – teraz miał już świadomość, że stał się zbyt wielkim egoistą, malkontentem i nerwusem. Może zawsze taki był, ale po incydencie z Isaakiem wiedział już na pewno, że Jacob Blaumann nie był żadnym Mesjaszem. Nigdy nie był tak dobrym chłopcem, za jakiego się uważał. Nikt ze znajomych mu ludzi nie był na tyle dobry. Nikt nie mógł być.

Potem, pierwszego dnia studiów, wszedł do małego pokoju z łózkami piętrowymi i przywitał się z George’em Murphym, który przez następnych dziesięć lat okazał się najmiłszą i najbardziej hojną osobą, jaką Jacob kiedykolwiek poznał. I przy swoim nieustannym biadoleniu Jacob potrzebował George’a jako uosobienia całego dobra, w które dawno temu przestał wierzyć. Tyle że teraz jego zbawca zaszywał się w męskich toaletach, sącząc szkocką

i próbując znieczulić się na niesprawiedliwość tego świata.

– Chyba dzwoni twój ojciec – powiedział William, biorąc do ręki telefon Jacoba. Ten niemal się roześmiał: po co ojciec miałby do niego dzwonić? Spojrzał na zdjęcie Olivera na ekranie komórki, czując wibrowanie, aż wreszcie ekran pociemniał.

– Oddzwonię do niego później – skłamał Jacob. William już miał coś powiedzieć, ale znów usłyszeli buczenie. Tym razem był to telefon George'a leżący w bucie Williama. Na ekranie widniała urocza twarz Irene oprawiona w czarną ramkę. Jacob gestem wskazał, by William odebrał. William nacisnął wielki zielony guzik i przyłożył telefon do ucha.

– Sara? Tu William Cho. George jest akurat w łazience... Co się dzieje? Stało się coś?

Jacob poczuł, jak nagle setki głosów zlewają się w jeden szum. Jakby jego naczynia krwionośne, neurony, paznokcie u stóp i rzęsy zaczęły raptem krzyczeć wieloma językami. Na tle odgłosu spuszczonej wody w toalecie William próbował uspokoić Sarę po drugiej stronie słuchawki.

– Ciii – mówił. – Ciiiiii... ciiiiiiii...



# Rozczarowania

## Lipiec

William liczył swoje rozczarowania na palcach obu rąk. Raz: temperatura za oknem autobusu wynosiła trzydzieści sześć stopni Celsjusza, gdy dwa: wlekli się przez zatłoczone drogi Staten Island. Trzy: tak spędzał popołudnie w środku tygodnia, gdyż cztery: wreszcie wylali go z Joyce, Bennett and Salzmann. Na początku nawet się cieszył, że ma to już za sobą, ale potem – pięć – okazało się, że inne firmy akurat nie rekrutują. Sześć: jego odprawa i oszczędności zaczynały się kurczyć pożerane przez czynsz. Wiedział, że to tylko kwestia czasu, gdy będzie musiał z powrotem sprowadzić się do rodziców. Irytował go zapach przypalonego mleka – siedem – wydzielany przez kobietę siedzącą przed nimi. Poza tym wibrujący co chwilę telefon w prawej kieszeni spodni, którego nie mógł dosięgnąć i wyłączyć – osiem – przypominał mu, że on i Irene są już pół godziny spóźnieni – dziewięć – na spotkanie z jakimś gościem o imieniu Skeevo – dziesięć – od którego ostatnio kupuje trawę (pomagała jej na nudności i ogólnie poprawiała nastrój), ale który dziś zadzwonił do niej w innej sprawie, bo chce pokazać jej coś na Staten Island, przy składowisku i sortowni odpadów komunalnych Fresh Kills.

I mimo obu rąk pełnych rozczarowań William zobaczył w szybie, że uśmiecha się jak głupi, wszystkie palce jego lewej dłoni obejmują palce prawej dłoni Irene, a jego prawa dłoń delikatnie głaszcząc jej włosy.

William czuł – przynajmniej gdy Irene była przy nim – zapach lekkiej spalenizny, który zawsze zaplątywał się w jej włosy po naświetlaniu. Po miesiącu się do niego przyzwyczyił. Ile jeszcze tygodni zabiegów jej zostało? Jeden? Dwa? Czas płynął banalnie szybko. Nie tak jak w trakcie tych kilku ostatnich miesięcy, gdy pogrążył się w pracy (co, owszem, dobrze mu zrobiło) i umawiał się na randki z przedstawicielkami Towarzystwa Koreańskich Córek Koleżanek Jego Matki. Teraz zaś siedział obok Irene, czując drganie jej gardła na swoim ramieniu, gdy zachwycała się dzidziusiem na równoległym siedzeniu, z zadowoleniem żującą nogę lalki Barbie, ubranej jedynie w czarną rękawiczkę. Jego telefon znów zabrzęczał; znajdował się akurat na wysokości zewnętrznej części uda Irene. Odwróciła wzrok od dziecka, po czym wyciągając głowę do góry, spojrzała na niego i szepnęła:

– To twoja matka tak wydzwania czy po prostu cieszysz się ze spotkania ze mną?

Wyglądała cholernie zabawnie, próbując rzucić mu seksowne spojrzenie, z lewym okiem schowanym za czarną filcową przepaską. Ozdobiła ją kryształkami w kształcie czaszki, twierdząc, że to jej ironiczne nawiązanie do Damiena Hirsta. William powiedział, że bardziej przypomina pirata dzięki nim niż samemu opatrunkowi. Irene wyjaśniła, że na tym właśnie ma polegać ta ironia. William nie zrozumiał, ale nie przejmował się tym.

Nie przejmował się też o wiele bardziej istotnymi rzeczami. Nie dbał o to, że jest bezrobotny. Nie obchodziło go, że w czerwcu nie spłacił obciążenia na karcie kredytowej i teraz naliczą mu sto dolarów odsetek. Coś takiego przytrafiło mu się po raz pierwszy w życiu. Prawdę mówiąc, czuł nawet lekką ekscytację. Normalnie poczucie winy za te sto dolców dręczyłoby go jeszcze przez rok. Przejmowałby się tym, że skarpetki, które włożył dziś rano, nie tylko mają dwa różne odcienie niebieskiego, ale też inną grubość. W rezultacie prawa stopa pociła się i piekła, podczas gdy lewa czuła się okej. Rozpaczałby,

że Irene wciąż jest chora – co gorsza, może nawet bardziej niż przedtem.

W chwilach samotności obwody neuronalne w jego mózgu zawierające informacje o tych zwyczajnych troskach i lękach dominowały nad innymi i wtedy nie mógł w nocy spać. Ale kiedy obok była Irene, miało mu nawet rozczarowanie tym, że ta poważna operacja nie poszła tak dobrze, jak oczekiwano. Tamtego ranka, po całej nocy łożenia po pubach, Jacob, dotrzymując słowa, zabrał Williama do szpitala. Kiedy Sara zajmowała się wciąż niepewnie stojącym na nogach George'em, William wślizgnął się za zasłonę wiszącą wokół łóżka Irene. Wcześniej zastanawiał się nad tym, co jej powie: że przeprasza za to, że zostawił ją na dworcu; że od tamtej pory, gdy budzi się rano, to ona jest pierwszą osobą, o jakiej myśli, zanim zorientuje się, na której jest planecie; że wielokrotnie próbował się do niej dodzwonić; że w pracy obsesyjnie wpłacał datki na konto American Cancer Society; że wziął udział w charytatywnym biegu na pięć kilometrów, ale okazało się, że ma słabszą kondycję, niż myślał, i ostatnie trzy kilometry kuśtykał ze skrzywą kostką. Lecz gdy tylko ją zobaczył, wszystkie te obawy wyparowały z wnętrza jego głowy.

Wyglądała, jakby stała się wklęsła. Jej lewe oko było obwiązane grubym bandażem, a prawe wpatrywało się w telewizor zawieszony w rogu, po czym obróciło się w jego stronę. Powieka nad nim podskoczyła do góry niczym tania żaluzja. Irene chwyciła jego rękę, przyciągnęła go do siebie i przywarła ustami do jego warg. Włączył się alarm; zdjęła z palca klips mierzący jej puls i szarpnęła stojak z kroplówką, aż prawie się przewrócił. Krępa siostra, Dominikanka, przybiegła natychmiast, grożąc, że poprzypina ją pasami do łóżka. William musiał zrobić dwa okrążenia po oddziale ratunkowym. Kiedy wypuścili Irene do domu, pojechali prosto do jego mieszkania – chociaż nie, wstąpili po drodze do niej, żeby zabrać trochę ciuchów i szal, który kupiła mu na Boże Narodzenie i który wciąż leżał zapakowany na blacie. Potem wrócili

do niego, gdzie od tamtej pory nocowała już zawsze.

Tydzień później sprzedała łóżko przez internet i pozbyła się wszystkich innych niepotrzebnych rzeczy, by zyskać więcej miejsca do pracy w swoim mieszkaniu na Wschodniej Czwartej Ulicy. Pracowała tam codziennie, ale nie chciała pokazać Williamowi ani nikomu innemu, co tam tworzy. Nawet o tym nie mówiła – wracała tylko do Williama, żeby się przespać, i znów tam jechała. Wspominała tylko ogólnie o planach pracy nad czymś większym, czymś, co obmyślali razem ze Skeevo. Nawet teraz, gdy szli za innymi pasażerami, aby przesiąść się na następny S62. Spojrzała w dół i powiedziała:

– Nie musisz trzymać mnie za rękę.

Jednak nie zabrała jej.

– Ale ja lubię trzymać cię za rękę. „Chcę trzymać cię za rękę i...” – jął śpiewać William. Irene zaczęła piszczeć, usiłując jednocześnie drugą ręką zakryć mu usta, ale on nie przestawał. – „Proszę... powiedz mi-i-i-i-i, że pozwolisz mi być twoim mężczyzną...”.

W końcu jednak przestał, bo na wyciągniętej nucie Irene włożyła mu do ust większość swoich palców i już nie mógł wyśpiewać:

– „OKJEEE DOPFFSZE WYKHHALAŚ”.

Irene puściła go i rzuciła mu kolejne spojrzenie, którego William nie mógł rozszyfrować, nie widząc jej brwi. W drugim autobusie pachniało orzeźwiająco paloną kawą z Dunkin’ Donuts. Gdy już usiedli, Irene, zwracając się w stronę Williama, wyjaśniła:

– Ja widzę na to oko, więc nie wpadnę pod samochód.

– Wcale tak nie pomyślałem.

Z okiem wszystko było w porządku. Lekarze usunęli spod niego guza, nie uszkodzając nerwów. Wciąż jednak pozostawało opuchnięte i z grubymi czarnymi szwami działało na ludzi odstraszająco. Dlatego nosiła tę przepaskę, co też ich przerażało, ale już nie tak bardzo. Po usunięciu pierwszego guza

lekarze mieli już zająć się tym na jej łokciu, gdy jeden z nich zauważył jakąś opuchliznę pod pachą Irene. Sądząc, że może to być reakcja na znieczulenie, wykonali nowy skan, który wykazał podejrzenie wyglądającą zmianę na jednym z węzłów chłonnych. Kilka dni wcześniej zrobili jej kompletne badanie PET i wszystko było w porządku, ale teraz wyraźnie coś tam się pojawiło. Operacja więc zakończyła się, zanim jeszcze zaczęli zabieg na ramieniu.

Teraz Irene miała już „zaatakowane węzły chłonne”. Co, jak ujęła to doktor Zarrani, było „wielkim rozczarowaniem”. Rak przedarł się przez barierę szkieletu do gruczołów, skąd mógł już tkanką płynną swobodnie docierać do odległych organów. To oznaczało, że pierwsza seria chemioterapii nie działała zbyt wiele, możliwe, że nawet nic nie dała, i że teraz będą musieli „porządnie ją podrasować”. To oznaczało dorzucenie ifosfamid i etopozydu do trucizn, które wpuszczali jej w żyły każdego dnia na oddziale chemioterapii. Ale William nie myślał o tym w tej chwili. Teraz koncentrował się wyłącznie na kokosowym zapachu jej kremu do rąk i na tym, z jaką ulgą przyjęła wiadomość, że nie będzie musiała nosić gipsu przez całe lato – i wciąż będzie mogła pracować nad swoimi rzeźbami.

Autobus linii S62 zatrzymał się z piskiem przy centrum handlowym Staten Island Mall. William wysiadł i poszedł za Irene w kierunku parkingu. Reszta ludzi udała się do domu towarowego J.C. Penney i kompleksu Loews Cinemas. Irene ciągnęła Williama za rękę w przeciwną stronę. Mijali jeden wielki parking za drugim – każdy następny bardziej pusty niż poprzedni – aż wreszcie znaleźli się prawie kilometr od centrum handlowego. Irene tanecznym krokiem omijała szczeliny w chodniku, jakby nie chciała złamać pleców matki, która gdzieś tam pewnie była<sup>4</sup>. Stanowiło to kolejną zagadkę, która spędzała Williamowi sen z powiek. Gdzie w tym wszystkim była jej rodzina? Skupił wzrok na rozświetlonych słońcem nogach Irene, gdy ta skakała

po ziemi.

Daleko przed nimi majaczył czerwony pikap zaparkowany przy ogrodzeniu łańcuchowym. Za nim stała mała przyczepa na dwóch kołach firmy U-Haul z pomarańczowym ściągającym dachem. Jakiś mężczyzna – Skeevo, jak przypuszczał William – szukał czegoś wśród różnych zgromadzonych tam rzeczy.

Był wysoki i miał na sobie poplamioną smarem flanelową koszulę zapiętą pod szyją i na mankietach. Jego spodnie były podarte, a dziury na kolanach ujawniały opaleniznę w kolorze mokka, taką jak na szyi i rękach. Pomimo lipcowego upału miał na głowie rozpadającą się ręcznie dzierganą zimową czapkę.

Irene puściła rękę Williama. William poczuł się jeszcze bardziej rozczarowany, gdy go wyprzedziła. Rozczarowanie to narastało w nim jak odsetki od zaciągniętego niegdyś, skromnego na początku kredytu. Przyspieszył kroku, próbując zmniejszyć dzielący ich dystans. Z każdym krokiem czuł, jak ciężar ustępuje. Gdy ponownie znalazł się przy jej boku, był zdyszany, lecz znów szczęśliwy. Uścisnął rękę Skeevo, tak jakby oni też znali się od dawna. Nie przeszkadzało mu nawet to, że po uścisku miał wrażenie, jakby ktoś przytrzasnął mu palce drzwiami od samochodu.

– Co dla mnie masz? – spytała Irene, po czym weszła do przyczepy i zaczęła przeglądać złom. Rozległo się brzęczenie i szuranie.

Nie spuszczać oka z Irene, William podał rękę Skeevo i przedstawił się.

– Pracujesz na wysypisku? – spytał.

– W pewnym sensie – odpowiedział mu Skeevo. – To już nie jest wysypisko.

– Wysypisko na Staten Island nie jest już wysypiskiem?

Skeevo spojrzął za ogrodzenie po drugiej stronie ruchliwej autostrady, w kierunku kilku ogromnych zielonych wzgórz.

– Składowisko odpadów Fresh Kills zostało zamknięte na jakieś dziesięć lat. Miało działać tylko przez jakiś czas, dasz wiarę? Powstało w 1947 roku, a potem, no wiesz, od słowa do słowa nagle stało się największym wysypiskiem na świecie.

Irene zniknęła na dobre wewnątrz przyczepy, a William nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić. Po chwili wyłoniła się, taszcząc pod pachą jedną nartę. Obejrzała ją w świetle dziennym, upuściła na asfalt i znów wróciła do środka.

Skeevo wciąż rozprawiał o wysypisku nie wysypisku.

– Kiedy wreszcie je zamknęli, przewyższało jebaną Statuę Wolności. Jeszcze w latach sześćdziesiątych, kiedy astronauta wylecieli na orbitę, jedynymi konstrukcjami wzniesionymi przez człowieka i widocznymi gołym okiem z kosmosu były Wielki Mur Chiński i to składowisko.

– To... niepokojące – rzekł William, choć wcale nie czuł się tym faktem zaniepokojony, bo Irene wyciągała akurat z przyczepy pół wózka dziecięcego i rzuciła mu zagadkowe spojrzenie. Ułożyła je na stercie rzeczy, których, jak sądził William, zabranie rozważała.

– No to co teraz zamierzają z nim zrobić? Zamknęli je już na dobre?

– Zamieniają je w park – z dumą oznajmił Skeevo. – Będzie trzy razy większy od Central Parku.

William zamruczał.

– A Skeevo... czy to jest... polskie imię?

Wyjął portfel i pokazał Williamowi dowód.

– Skeevington Monkeylips McBalzac Trzeci – powiedział. – Zmieniłem nazwisko, gdy opuściłem dom. Właściwie to Reeny mi to podpowiedziała. Uważam, że każdy powinien móc sobie zmienić nazwisko, a ty?

William nerwowo rozglądał się za „Reeny”, ale na dobre zniknęła w przyczepie. Jak ona poznała tego nienormalnego chyba człowieka? I co miał

na myśli, mówiąc, że to ona podsunęła mu ten pomysł? Czy tak naprawdę nie nazywała się Irene Richmond?

Wtedy właśnie usłyszał wrzask Irene dobiegający z przyczepy. Ruszył w jej kierunku, spodziewając się, że zawałiła się na nią ściana ostrych przedmiotów i kawałków szkła. Zamiast tego zastał Irene siedzącą okrakiem na wielkiej stalowej belce dwuteowej i gładzącą ją rękami po krawędziach i odkształceniach. Coś ewidentnie jej się przydarzyło, bo wyglądała teraz zdaniem Williama raczej jak belka teowa. Dolna krawędź była niemal doszczętnie stopiona. Zastanawiał się, jak do tego doszło.

– Wiedziałem, że ci się spodoba – uśmiechnął się Skeevo.

– Pomóżcie mi to wynieść na światło dzienne! – krzyknęła Irene. Wszyscy troje z całych sił wypchnęli ją bliżej drzwi do przyczepy. Według Williama musiała ważyć jakieś dwieście kilo. Gdy powąchał swoje ręce, odrzucił go drażniący chemiczny smród spalenizny. Irene zachowywała się tak, jakby znalazła skarb Sierra Madre. Co ona w tym widziała? Była taka radosna; nie widział jej takiej, odkąd pocałowali się w szpitalu. Nawet gdy byli w łóżku, nie była tak szczęśliwa jak teraz. Zachowywała się jak oszalałe z radości dziecko.

William na moment zamknął oczy. Całe życie unikał alkoholu, palenia papierosów czy trawy ze strachu przed uzależnieniem. I oto teraz stał uzależniony od narkotyku, który był towarem bardzo deficytowym. Ponownie otworzył oczy, zobaczył Irene i nie miał już żadnych wątpliwości.

– Znaleźliśmy to w północno-zachodniej części starego wysypiska. Przeprojektowali to miejsce, próbując je jakoś zagospodarować. Jeden z buldożerów zgarnął tę belkę. Pozwolili mi ją zabrać, zanim ktoś ważny zorientowałby się, co to naprawdę jest.

– A co to jest? – spytał William.

– Mój człowiek stamtąd mi wyjawiał. To element konstrukcji jednej z Twin



Towers – wyszeptał Skeevo. – Część gruzów zabranych z tamtego miejsca zrzucono na tym wysypisku tuż przed jego zamknięciem.

William szybko cofnął się o jeden krok, Irene zaś nachyliła się jeszcze bardziej, żeby jeszcze lepiej przyjrzeć się znalezisku. Potem, bez ostrzeżenia, zdjęła przepaskę z oka, odsłaniając przy tym czerwony obrzęk. W mieszkaniu nigdy nie ściągała opatrunku, nawet gdy szli do łóżka, nawet gdy już spała. Zdejmowała go tylko w łazience, by przemyć czarną siatkę szwów. Biegły wokół jej oczodołu jak wąskie tory kolejowe.

– Jezu – powiedział Skeevo łamiącym się głosem i odwrócił wzrok. Ale Williamowi ten widok nie przeszkadzał. Był zbyt zajęty patrzeniem na brylantowoblękitną tęczę drgającą pod jej opuchniętą powieką. Patrzył, jak Irene bada krawędzie i załamania belki, gładząc je rękami w górę i w dół.

– Możemy zabrać ją do miasta? – spytała czule. Skeevo zgodził się podrzucić ich swoją furgonetką. Irene usiadła między nim a Williamem, kierując ich w stronę galerii, gdzie miała dostęp do narzędzi spawalniczych Abeby. Kiedy wyjeżdżali z parkingu i jechali wzdłuż Staten Island, Skeevo i Irene wspominali dawne czasy, paląc jointa. Nie pytał o jej oko. Chciał za to wiedzieć, jak ona i William się poznali, a Williamowi podobała się jej relacja ze spotkania na przyjęciu bożonarodzeniowym. Jak głaskała go po policzkach, opisując pierwszy raz, kiedy go ujrzała. Może na niego też zadziałał dym z trawki, ale miał wrażenie, że to było sto lat temu.

William gapił się w rozmarzeniu przez okno, podczas gdy Skeevo opowiadał im o swoim fantastycznie brzmiącym życiu. Ożenił się, miał dziecko. Przejeżdżając sławnym szarym mostem Verrazano-Narrows, razem z Irene narzekał na korki, globalne ocieplenie i kapitalizm. W końcu wyjął z kieszeni telefon i polubił filmik, który pokazał Irene. Pojawiała się w nim jego żona – piękna młoda Chinka – siedząca gdzieś w samolocie i trzymająca w ramionach małego chłopczyka z ogromną głową. Głowę miał tak dużą, że

kobieta wydawała się ją podtrzymywać obiema rękami. Skeevington Monkeylips McBalzac Czwarty – przynajmniej na razie.

– Skeevs! On jest uroczy! William, czy ty też tak wyglądałeś, będąc dzidziusiem?

– To mały Chińczyk – powiedział William. – Ja jestem Koreańczykiem.

– Formalnie rzecz ujmując, tylko w połowie jest Chińczykiem – powiedział Skeevo.

Irene pokiwała głową i William nie musiał nawet patrzeć na jej zwisającą drugą powiekę, by wiedzieć, że posmutniała.

– Takie małe dzieci jeszcze nie mają tożsamości – powiedziała. – Nie możesz być tym czy tamtym, dopóki nie dorośniesz na tyle, by sam stwierdzić, kim jesteś, a kim nie.

William chciał temu zaprzeczyć, ale Irene oparła się ciężko na jego ramieniu. Czuł, jak napina swe ciało, powstrzymując się od płaczu. Na szczęście Skeevo był zbyt zajęty przemykaniem między samochodami, by zauważyć łzę wypływającą spod przepaski. William otarł ją. Potem złapał tę spływającą z jej zdrowego oka i ją też otarł. Niepłodność, jak powiedziała doktor Zarrani, to potencjalny długotrwały skutek uboczny chemioterapii. Podobnie jak ototoksyczność (szumy w uszach), neuropatia (zaburzenia czucia palców), uszkodzenie serca i, o ironio!, mniejsza odporność na nowotwory w przyszłości. Irene nie przejmowała się żadnym z nich z wyjątkiem tego, że może nie będzie w stanie mieć dzieci.

– Jaki jest twój stosunek do adopcji, William? – spytała. – Zawsze chciałam adoptować dziecko. Wiesz, w zasadzie to sama jestem adoptowana.

– Jestem za – odparł William. Filmik kończył się w momencie, gdy syn Skeevo ochoczo zabierał się do zucia włosów swojej mamy. – Co dosłownie doprowadziłoby moją matkę do szaleństwa.

– Ona jest taka kochana. Powinieneś być dla niej miłszy.

William odwrócił głowę i spojrział na obskurny brookliński bulwar, którym jechali. Zaciągnął się świeżym powietrzem. To było trudne, ale przez chwilę znów chciał się poczuć zwyczajnie. Chciał się poczuć tak, jak się czuł, gdy późną nocą leżał obok niej w łóżku i nie mógł zasnąć. O zmroku, z przymkniętymi powiekami, wyliczał swoje rozczarowania na stu niewidzialnych palcach. Nie to, co go rozczarowało, lecz to, czym sam siebie rozczarował. Myślał o tym, że zarabiał więcej, niż na to zasługiwał, że doprowadzał do fuzji firmy, których postępowanie było dyskusyjne pod względem etycznym, że był okropnym synem – o tym wszystkim, za co wszechświat może go teraz karać, zsyłając chorobę na kobietę, którą tak bardzo kochał. Wiedział, że to egoistyczne z jego strony wierzyć, że wszystko to jego wina, ale na pewno bardziej sensowne, niż myśleć, że wina leży po jej stronie. Ona zawsze zamieniała rzeczy zwykłe w coś nadzwyczajnego. Czy leżał w łóżku u jej boku, czy też, jak teraz, siedział obok niej w furgonetce, wachając jej spalone włosy, czując jej chude ramiona, patrząc na jej czerwoną skórę i uszkodzone oko, nie potrafił sobie wyobrazić, że mogła zrobić cokolwiek, by na to zasłużyć.

## Sierpień

Siedząc na schodach Metropolitan Museum of Art, Jacob czuł, jak parzą go przez spodnie. Patrzył przed siebie w Piątą Aleję i czekał na Irene. Przyszedł wcześniej i wściekał się, bo nie wiedział dokładnie, o ile za wcześnie. Od dawna już nie nosił zegarka, a kiedy zepsuł mu się wyświetlacz w telefonie, postanowił, że nie sprawi sobie nowego, bo technicznie rzecz biorąc, wciąż mógł z niego dzwonić – pod warunkiem że pamiętał numer. Wiadomości tekstowe, rzecz jasna, również odpadały.

Cały ranek planował zadzwonić do Irene, żeby odwołać ich spotkanie, ale jedyną osobą, której numer pamiętał, był George, a George miał już dość tego,

że Jacob wydzwania do niego co dziesięć minut, prosząc go, by podał mu czyjś numer telefonu. To było bez znaczenia. Jacob wiedział, że Irene i tak będzie naciskać, by przyszedł. Gdyby odmówił, poszłaby sama, by udowodnić, że da radę.

To była ich tradycja. W każdą drugą niedzielę miesiąca ubierali się elegancko i szli do muzeum. Raz się wyłamali, z powodu huraganu, ale na miłość boską, Irene miała teraz na siebie uważać, a nie włóczyć się po mieście w czterdziestostopniowym upale albo spędzać cały tydzień w galerii na nauce spawania łukowego. Jak zamierzała utrzymać w rękach palnik, skoro ledwo mogła podnieść swoją torebkę? Któregoś dnia omal się nie podpaliła.

Podziw dla jej energii i oddania pracy, jakim darzył ją jeszcze w lipcu, ulotnił się wraz z nadejściem następnego miesiąca. Teraz wolałby, żeby po prostu wyluzowała. Podobno te lipcowe zabiegi były o wiele cięższe niż wcześniejsze chemie – podobno, bo oczywiście o poprzednich Jacob w ogóle nie został poinformowany. W końcu wprowadzono go jednak w szczegóły: w dni przyjmowania chemii Irene będzie odczuwać mdłości, ale poza tym nie będzie źle. A kiedy już kończyły się kłopotliwe wizyty w szpitalu i Irene zaczynała fantazjować o powrocie do normalnego życia, nagle dopadały ją zmasowane skutki uboczne chemii i naświetlań. Przez jakiś czas sprawiała wrażenie na wpół martwej, jakby zamiast wprowadzać coś do jej organizmu, wysysali z niego całą energię.

Jacob zerknął na zegarek na ręce mężczyzny siedzącego stopień niżej i zobaczył, że była dwunasta dziewiętnaście, co oznaczało, że Irene odrobinę się spóźniała – mieli się spotkać kwadrans po południu. Mężczyzna czytał tekst na plotkarskim portalu Gawker o jakimś przystojnym aktorze, którego Jacob rozpoznał, ale którego nazwiska nie pamiętał. Facet próbował się zabić, ale mu się nie udało. Siedzący na schodach mężczyzna spoglądał w górę, ostentacyjnie wzdychając, jakby chciał mieć pewność, że wszyscy dookoła

widzą, że jest w szoku.

Kilka stopni niżej w trzech równiutkich rzędach kucaly dzieciaki z podstawówki, podczas gdy ich nauczyciele leniwie krążyli wokół nich, wyglądając szkolnego autobusu. Uczniowie ożywili się, słysząc męski kwartet stojący na rogu ulicy, śpiewający a cappella dawne standardy jak *I Got a Gal in Kalamazoo* i *You Make Me Feel So Young*. W którymś momencie nauczyciele zareagowali: „Hej, dzieci. Zaśpiewajmy naszą piosenkę!”. Jacob cofnął się, ciekawy, czy zaśpiewają fragment *Frère Jacques* lub może *The Farmer in the Dell*, ale wsłuchując się w kakofonię wysokich dźwięków, zauważył, że to żaden z klasyków piosenki dziecięcej. *Baby, baby, baby, oh!*, śpiewały dzieci. *Baby, baby, baby, oh...* Jacob dostrzegł, że, o zgrozo, nauczyciele niejako zachęcają ich do tego okropieństwa, nagrywając występ telefonami. Pewnie zanim przyjedzie autobus, filmik będzie już na YouTube. Jacob nigdy nie sądził, że dożyje dnia, w którym zatęskni za dinozaurem z serialu *Barney i przyjaciele*. A jednak.

Tyłek go bolał od siedzenia na tych schodach i czuł, że cały jest zlany potem. Ludzie chamsko przepychali się po schodach tuż obok niego, choć wokół było sporo miejsca. Ciągłe ocierał czoło i czuł, że robi się cały czerwony. I kiedy już myślał, że eksploduje nagromadzonym w sobie jadem, zza rogu, mijając budki z hot dogami, wyłoniła się Irene. Miała na sobie długą zwiewną białą suknię i włosy upięte w elegancki kok, co miało ukryć, jak bardzo przzerzedziała je chemia. Nałożyła sobie na twarz pełny makijaż, który nosiła już teraz codziennie, odkąd zdjęła opaskę. Nauczyła się maskować blizny za pomocą podkładu i cienia do powiek. Użyła też różu, gdyż jej policzki, podobnie jak reszta ciała, pozbawione były kolorytu.

– Wyglądasz jak milion dolarów – powiedział.

– Dlaczego nie poczekałeś na mnie w środku? Wyglądasz potwornie.

Wspięli się po schodach i przez obrotowe drzwi weszli do zatłoczonego holu.

Gdy Irene odchyliła głowę do tyłu, by popatrzeć na sklepienia sufitów, Jacob zauważył, że lekko się zatacza. Szybko podszedł do niej, jakby chciał ją przytrzymać, ale odzyskała równowagę. Stanęli w kolejce.

– Jeden studencki – powiedział Jacob, pokazując wyblakłą legitymację.

– Musi pan ją podbić, żeby była ważna – odparł starszy pan.

– Podbić? – Jacob udawał, że nie pojmuje, o co chodzi. – Nie bardzo rozumiem.

Zwykle ciągnął tę grę jeszcze jakiś czas, ale tym razem Irene szybko zareagowała, nie pozwalając na zaognienie sytuacji.

– Dwadzieścia pięć dolarów to tylko stawka sugerowana. Powiedz po prostu, że zapłacisz dwanaście.

– Pomyślą, że mnie nie stać!

– No bo cię nie stać.

Starszy pan zaczął swoją gadkę:

– Proszę pana, każdy wydany przez pana dolar zostaje przekazany na rozbudowę kolekcji muzeum, która nie ma sobie równej w kraju pod względem różnorodności i poziomu dzieł, jakie wchodzi w jej...

– A gdzie są dinozaury? – spytał Jacob, rozglądając się dookoła i przesuwając dychę oraz dwie monety jednodolarowe po ladzie.

– Proszę pana, dinozaury są w Muzeum Historii Naturalnej po drugiej stronie...

– Misiaczkę – zwrócił się z jękiem do Irene. – Myślałem, że mieliśmy pójść obejrzeć dinozaury. Chyba nie po to przyjechaliśmy tu z Tacomy, żeby popatrzeć na jakieś obrazy.

– Cicho bądź – prychnęła Irene, biorąc od pana za ladą dwie błękitne plakietki. Chwyliła Jacoba za nadgarstek i przypięła jedną z nich do klapy jego marynarki. – *Ferme la bouche* <sup>5</sup> – powiedziała, po czym pomaszerowała w stronę skrzydła ze sztuką egipską. Jacob udawał, że zdejmuje niewidzialny

kapelusz.

– Mógłbym pochodzić z Tacomy – powiedział głównie do siebie, krocząc za nią. Zwykle Irene lubiła zaczynać zwiedzanie od mumii w sektorze sztuki starożytnej Bliskiego Wschodu, ale teraz, odwrócona do nich tyłem, szła wzdłuż długiej ściany przedstawiającej zwoje papirusów składających się na staroegipską *Księgę umarłych*.

– Umiesz to przeczytać? – spytała Jacoba, wskazując palcem na hieroglify. Na studiach przez dwa semestry uczył się klasycznego języka egipskiego. W szkole średniej miał łacinę i grekę, brakowało mu jedynie sześciu zaliczeń z języków starożytnych. Prawie nic już z tego nie pamiętał, ale Irene lubiła słuchać, jak improwizował.

– O tak – powiedział. – To jest scenariusz pilotażowego odcinka serialu o starożytnej policji egipskiej... zobaczmy tylko... tak. *CSI: Kryminalne zagadki Achetaton*.

Irene nie uśmiechnęła się, lecz przebiegła palcami po angielskim tekście na szkle, jakby była niewidoma, a on był napisany brajlem. „Zakęcie pozwalające utrzymać ciepło w ciele zmarłego aż do zmartwychwstania. Należy je wypowiedzieć nad figurką niebiańskiej krowy”.

Jacob podrapał się po niewidzialnej brodzie.

– Problem w tym, że akurat jak się jej potrzebuje, to nigdy nie ma się jej przy sobie.

Następny panel opisywał życie pozagrobowe. „Każdej z siedmiu bram Ozyrysa strzeże sługa, strażnik i odźwierny”.

– No pewnie. Według przepisów nie można służyć, strzec i anonsować w ramach jednej umowy.

Wciąż żadnego uśmiechu. „Egipcjanie wierzyli, że umarli żyją na Polach Trzciny, dokąd zabiera się ich łodzią albo słoneczną barką boga Ra”.

– Słoneczną barką?

– Tak tu jest napisane: „słoneczną barką”.

– Słoneczną w sensie pogodną czy zasilaną energią słoneczną?

– Nie wyjaśniono. A tu jest zaklęcie, hm, ciekawe: „Zaklęcie zamieniające w jaskółkę, która może latać swobodnie między światem żywych i umarłych”.

– Tak, tyle że wtedy jest się jaskółką – westchnął Jacob. – Fuj, piszą, że strażnik trzeciej bramy zjada swoje ekskrementy. Jemu to już powinni przynajmniej dobrze płacić.

Choć dał – jego zdaniem – najlepszy jak dotąd show, Irene w milczeniu przeszła do następnej sali. Przemknęła gładko przez grupę azjatyckich turystów, podczas gdy Jacob miotał się, przechodząc z prawej na lewą i znów na prawą stronę korytarza, i próbował nie zepchnąć przy tym dwóch chasydów na liczący pięć tysięcy lat posąg *Kłęczącego byka z wazą*. Złapał Irene dopiero wewnątrz ogromnej przeszklonej sali, w której znajdowała się świątynia Dendur.

– Czy my się ścigamy? – spytał ją, gdy przeszli przez fosę.

– Szukam czegoś – powiedziała. – Przepraszam, ale na nic zda się dziś to całe przedstawienie.

Zachowywała się tak, gdy była w trakcie tworzenia jakiegoś dzieła w swoim studiu. Lubił w niej to; sam tęsknił za tego typu uczuciem, ale jednocześnie ją rozumiał. Była jedyną osobą, jaką znał, która podobnie jak on miała zacięcie artystyczne. W takich chwilach chętnie radziła się go, podpytywała, szukała kontekstu, ale już od miesięcy ani słowem nie zająknęła się o swoich ostatnich projektach. Chwilę później stała pod sklepieniem bramy, na której jakiś dziewiętnastowieczny żołnierz wyrył swoje imię: „LEONARDO 1820 PS GORDE o”.

– Szukasz starożytnego graffiti?

– Szukam czegoś... – westchnęła, po czym raz jeszcze wzięła oddech i dokończyła: – ...rozczarowującego.



Rozłożywszy ramiona, udając dumnego, Jacob stanął przed nią.

– Spójrz! Oto on! Portret przedstawiający *Głębokie rozczarowanie*. Amerykańskożydowskiego pochodzenia. Z około 2009 roku. Olej na skórze. Mięso na kościach. Wełna na mięsie.

Ignorując go, weszła do chłodnego przedsionka wewnątrz świątyni, gdzie dwoje małych dzieci kłóciło się o karty z hieroglifami, próbując dopasować je do znaków na ścianie.

– Ostrożnie! Nie nadepnijcie na drut – ostrzegła Irene dzieciaki chcące przejść jednocześnie pod nim i nad nim. Dziewczynka tupnęła nogą o wykafelkowaną podłogę i spojrzała na Jacoba, wskazując oskarżycielskim palcem na swego brata.

– On zgarnia wszystkie karty!

– Gdzie są wasi rodzice? – spytał Jacob.

– Masz – powiedziała Irene, podnosząc z ziemi kartę, którą upuścił brat dziewczynki. – Co to jest, Jacob?

Dziewczynka spojrzała ponurym wzrokiem na zabawny złoty krzyż.

– To ankh – wyjaśnił Jacob.

– Hak! – krzyknęła dziewczynka.

– Ankh – powtórzył Jacob. – „H” na końcu, a nie z przodu.

– Ankh! – spróbowała raz jeszcze. Jej brat dołączył do nich, zaciekawiony tym, co się dzieje.

– Kiedyś był to symbol wiecznego życia.

– Co to jest symbol? – spytał chłopiec.

– To coś jak wielki mosiężny dysk.

– Cooooooo? – spytał nerwowo chłopiec.

– Idźcie poszukać swoich rodziców – powiedział Jacob, robiąc im miejsce, by mogli wyjść. – I nie zgubcie tej karty, a będziecie żyć wiecznie!

Mijając go, dzieciaki wybiegły do głównej sali, a gdy Jacob znów spojrzał

na Irene, po jej uśmiechniętej twarzy spływały dwie łzy. Jacyś ludzie próbowali wejść do świątyni, ale Jacob wysunął rękę do przodu i całym sobą zasłonił wejście, mówiąc:

– Przepraszam, impreza zamknięta.

Irene znów spojrzała na napisy wyryte na ścianie: „A L Corry RN 1817”. Przejechała ręką po wyżłobionych literach, ścierając cienką warstwę kurzu.

– Co się dzieje? – spytał, podchodząc do niej.

– Będziesz świetnym ojcem – powiedziała, pociągając nosem. – Chciałabym móc to zobaczyć.

„Nie bądź śmieszna”, chciał powiedzieć Jacob. „Za dziesięć lat będziemy siedzieć wszyscy w jakimś tandetnie urządzonej salonie u George’a i Sary, wasze szkraby będą robić w nim rozpiarduchę, a my będziemy wspominać ten rok i starszym dzieciakom opowiemy, że ciotka Irene kiedyś miała raka, a oni nie będą nam chcieli uwierzyć”. To właśnie chciał jej powiedzieć, a stwierdził tylko:

– No wiesz, seks w celach prokreacyjnych kłóci się z moją religią.

– Czy choć na chwilę mógłbyś przestać żartować?

Jacob stał spokojnie z otwartymi ustami, nic nie mówiąc. Wreszcie rzekł:

– Jeśli szukasz rozczarowania, to chodźmy zobaczyć obrazy Warhola.

Wyszli ze świątyni Dendur, obeszlą skrzydło amerykańskie i wędrując przez działy ze sztuką średniowieczną i grecką, udali się na drugie piętro ze sztuką współczesną. W trakcie tej przechadzki Jacob próbował opowiedzieć jej o filmie, na którym był z Oliverem tydzień wcześniej.

– Jaki to film?

– A głupi taki. Tytuł wzięty z piosenki Elvisa Presleya.

– *Can't Help Falling in Love*? Ze Stone'em Culliganem? – Oczy jej się zapaliły. – Wiesz, że wczoraj próbował się zabić?

– Kto? – spytał Jacob.

– Stone Culligan! Mówili o tym we wszystkich serwisach informacyjnych. On i ta modelka, Branca, zerwali ze sobą, no i przywalił swoim wodnym skuterem w most. Mówią, że poobijał sobie kręgosłup, ale ma szczęście, bo żyje!

– Ma szczęście... rzeczywiście, cholera, ten to ma szczęście, że żyje. Z twarzą Dawida, wartą pierdylion dolarów. Nie jest nawet zbyt utalentowany, co akurat w tym popieprzonym świecie ćwierćinteligentów nie ma większego znaczenia.

– Weź się ucisz, dobra? Straszysz ludzi.

Ale Jacob nie przejmował się gęganiem florydzkich kobiet udających, że podziwiają obraz Moneta, którego kopia z pewnością wisiała w ich pastelowych łazienkach.

– Jak on śmie? Jak śmie? Ma czelność targać się na swoje życie, kiedy inni... kiedy inni autentycznie...

Irene spojrzała na niego, unosząc brew.

– Umierają?

Jacob nerwowo drapał się po rękach.

– Nie to chciałem powiedzieć.

– Właśnie że chciałeś – wycedziła. – Tak, Jacob, i wiesz co? To... to najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałam.

– Nie to chciałem powiedzieć – wypierał się. Ale oczywiście kłamał. – Dobra, to właśnie zamierzałem powiedzieć, ale nie to miałem na myśli.

Irene skrzyżowała ramiona, a wzrok jej spochmurniał.

– Ty nie umierasz, Irene. Nie wierzę w to. Naprawdę, ja...

– Skończmy ten temat – fuknęła.

– Gdybyś tylko...

– Powiedziałam: SKOŃCZ TEN TEMAT!

Była tak wściekła, że od tej pory Jacob szedł kilka kroków za nią. Choć

było mu ciężko zachować milczenie, nie odezwał się ani słowem, gdy weszli do skrzydła ze sztuką współczesną. Potem podeszli do obrazów Warhola. Bywały czasy, gdy godzinami siedzieli na podłodze, jadąc równo po poparcie, antysztuce i anty-antysztuce, zastanawiając się, dlaczego, do cholery, nie można tworzyć prawdziwej sztuki. Teraz jednak Irene nie była zainteresowana Jacobem, który udawał, że nie widzi ogromnego zakamuflowanego autoportretu Warhola.

– Gdzie oni go dali? Czy nie powinien wisieć tutaj?

Stała porażona wielkim obrazem na drugim końcu korytarza – dziełem Anselma Kiefera *Bohemia Lies by the Sea*. Długi na sześć metrów i wysoki na dwa, przedstawiał dzikie pole różowych i pomarańczowych maków, a pośród nich dwie wyryte bruzdy polnej drogi. Był to jeden z ich ulubionych obrazów – jednak tym razem wydał im się znajomy w zupełnie inny sposób.

– Przypomina mi Shelter Island – powiedziała Irene, ścisząc głos. Gdy tylko wypowiedziała te słowa, Jacob poczuł, jak zaczyna go ścisnąć w gardle. I wiedział dlaczego. Gdy byli tam, na wyspie, w ogóle nie pomyślał o tym obrazie, ale teraz wiedział, że rzeczywiście przypomina on miejsce nad oceanem, gdzie powiedziała mu, że jest chora. Gdzie wypili butelkę wina. Gdzieś w środku czuł, że to był ostatni raz, gdy odczuwali szczęście, właśnie tam, zaraz po tym, jak mu powiedziała, ale zanim jeszcze zdążył w to uwierzyć.

– Muszę na chwilę usiąść – powiedziała Irene.

Jacob rozejrzał się, ale w pobliżu nie było żadnych ławek. Nie mógł patrzeć, jak osuwa się na podłogę w tej pięknej białej sukni – takiej, w której można by wziąć ślub, na pewno na plaży. Szukał wzrokiem kogoś z ochrony.

– Czekaj, może... może ktoś powinien ci przyprowadzić wózek inwalidzki albo coś w tym rodzaju?

– Daj mi tylko złapać oddech – powstrzymała go, wpatrując się we własne

odbicie w podłodze.

– Irene – nalegał. – Rany boskie, jesteś blada jak śmierć. Nie możesz...

Bez słowa dźwignęła się z podłogi. Po raz pierwszy pomyślał, że byłoby chyba lepiej, gdyby wciąż nosiła tamtą opaskę. Miała spojrzenie Gorgony, porażające i nie do zniesienia. Stał zamurowany, podczas gdy ona wstała i oddaliła się z godnością. W odbiciu białej marmurowej podłogi widział, jak gapi się na niego jakiś nieszczęsny dupek. Ależ z niego kawał pretensjonalnego chuja. Jak mógł nawet przez chwilę pomyśleć, że byłby w stanie kogoś przed czymś uchronić? Odwrócił się, spojrzał na ogromny autoportret i wtedy zrozumiał, że w głębi duszy jest takim właśnie Warholem.

Pobiegł za nią do ciemnego pomieszczenia pełnego kwadratów Josefa Albersa, oświetlonego jedynie denerwującymi instalacjami Roberta Irwina na przeciwległej ścianie, ale tam jej nie znalazł. Spodziewał się zastać ją siedzącą na schodach prowadzących do galerii sztuki nowoczesnej, ale tam też jej nie było. Ani przy obrazach Paula Klee, ani przy dziełach Miró, ani też, kurwa, przy Georgii O’Keeffe (do której czuła sentyment jeszcze od czasów gimnazjum). Splunął, zaklął, obrócił się na pięcie i cofnął się trochę – pewien, że musiał ją gdzieś przeoczyć i w tym stanie, w jakim była, nie mogła zbytnio się oddalić – jednak znikła bez śladu.

Pobiegł do działu ze sztuką Afryki, Oceanii i obu Ameryk, sprawdzając, czy nie chowa się za etiopskimi totemami, filipińskimi okrętami czy eskimoskimi całunami. Pomyślał, że może znajdzie ją studiującą figurkę korwar albo peruwiańską maskę pogrzebową – ale nie znalazł. Może była w damskiej toalecie? Może chowała się wśród mebli europejskich? Jacob wiedział, że te wszystkie dekoracyjne szafy nudzą ją na śmierć, ale jeśli chciała od niego uciec, to byłoby idealne miejsce. Szukał intensywnie pośród złożonych szkatulek i marmurowych portretów trumiennych. Dopiero teraz dotarło do niego, ile śmierci wystawia się w muzeach. Obrazy nieżyjących ludzi. Rzeźby

osób, które zmarły dawno, dawno temu. Ozdobne wazy, krzesła i lustra wykonane przez martwego już gościa, który kiedyś tam sprzedał je komuś, kto potem odszedł z tego świata i zostawił je komuś innemu, kto też potem zmarł i tak dalej, aż to wielkie, jak najbardziej żywe muzeum położyło łapę na tym, co po nich zostało. Każde skrzydło, każda ławka i każde okno zostały nazwane po jakiejś nieżyjącej już osobie. Kolekcja nieżyjącego Roberta Lehmana. Skrzydło martwego Sacklera. Audytorium zmarłej Grace Rainey Rogers. Biblioteka imienia nieżyjącego już Thomasa J. Watsona. Och, przekaśmy coś szybko w kawiarni imienia zmarłego Petriego, zanim zejdziemy do Centrum Szkoleniowego martwej Ruth i martwego Harolda Urisów. To było nie tyle muzeum, ile mauzoleum.

Pospiesznym krokiem udał się do Branch Bank, gdzie stały te nijakie amerykańskie meble, i z powrotem do witraży Tiffany'ego i znów na dół do wystawy broni i zbroi. Mijał ścianę za ścianą, na której wisiały narzędzia zbrodni – miecze, topory, kusze i arkebuzy. Nie było jej przy greckich wazach czerwonofigurowych z piątego wieku przed naszą erą ani przy grotach z brązu z wojny trojańskiej z dwunastego wieku przed naszą erą. Udał się z powrotem do skrzydła ze sztuką średniowieczną. Nie pozostawało mu nic innego, jak przejść się jeszcze raz po miejscach, które już zwiedził, na wypadek gdyby Irene zatoczyła koło. Ponieważ był już wszędzie indziej, wrócił do sali z obrazami Warhola, minął *Bohemia Lies by the Sea*, i tam, na samym dole, na schodach, którymi najpierw zbiegł, siedziała Irene.

Siedziała sobie po prostu, patrząc w głąb sali. Czyżby była tu cały czas? Czy przemknął tuż obok niej? Patrzyła na parę obrazów Paula Klee. Z lewej liliowo-różowa fantazja – rzędy małych domków z małymi okienkami i drzwiami. *Oriental Pleasure Garden*, taki był tytuł tego obrazu. Obok niego *Stricken City*. Brunatne, osmolone ohydztwo, z grotom wetkniętym w środek.

– Jezu – powiedział, siadając obok niej. – Szukałem cię po całym muzeum.

Zerknęła na niego zamglonymi oczami spod welonu rozpuszczonych włosów. Patrzyła jakby przez niego. Jej skóra była teraz tak biała, że już nawet makijaż nie potrafił ukryć tej bladości. Wyglądała jak ktoś, kto założył na twarz maskę Irene wyprodukowaną w fabryce podróbek.

– Kurwa – powiedział. – Trzeba cię stąd zabrać. Chodź, wesprzesz się na mnie, dobrze? Dasz radę?

Obejmując ramieniem Irene, Jacob pomógł jej stanąć na nogi. Szli powoli zatłoczonymi korytarzami, mijając eksponaty sztuki nowoczesnej, i wyszli przez przedsionek pełen marmurowych greckich posągów. Krok po kroku prowadził ją w kierunku lobby i drzwi wyjściowych – mając nadzieję, że wszyscy wezmą ich za kochanków, którzy nawet na centymetr nie mogą się od siebie oddalić. Tak bardzo chciał, by była w stanie wyjść o własnych siłach.

– Miło było – powiedziała, gdy zbliżyli się do drzwi obrotowych. – Naprawdę dobrze się bawiłam.

– Majaczysz. Było okropnie. Wszystko spieprzyłem. Ale nie szkodzi.

Jacob uśmiechnął się z udawaną nonszalancją, kiedy mijał ochronę. Gdy wyszli, uderzyła ich fala gorąca. Przed nimi kłębiło się mrowie ludzi, tłum napierał zza pleców. Samochody wlokły się po Piątej Alei. Musi ją wsadzić do taksówki. Musi ją jakoś znieść z tych schodów.

– Gorąco – powiedziała zaskoczona.

– Czekaj. Poniosę cię – powiedział.

– Tylko spróbuj – wyszeptała, ale już nie słuchał. Drugą ręką chwycił ją pod kolana i podniósł. Ważyła mniej niż studencka teczka. Idąc w kierunku postoju żółtych taksówek, czuł kości jej nóg pod białą sukienką, którą trzymał tak, by się nie podwinęła. Powoli, krok po kroku, zniósł ją na sam dół.

– Hej – krzyknął ktoś. – Tych dwoje właśnie wzięło ślub!

Jacob nie miał siły odpowiadać, a co dopiero się tłumaczyć.

– Patrzcie, niesie ją do samochodu! – rzucił ktoś kolejny.

Na początku kilku gapiów, a potem coraz więcej osób stawało na schodach i odwracało się, unosząc telefon, by cyknąć fotkę młodym nowożeńcom. Muzycy z kwartetu spojrzeli w górę i gładko przeszli do innej melodii. Starej piosenki Elvisa Presleya.

– „Mądrzy ludzie mówią... – zaśpiewała czwórka niezwykle harmonijnie – ...że tylko głupcy się spieszą...”.

Jacob spojrział na swoją niby-pannę młodą, z blond włosami opadającymi na twarz i wzrokiem wpatrzonym w niego. Był w nim strach, wycieńczenie, rezygnacja, oburzenie i zdezorientowanie. Odrzuciła do tyłu głowę i zaczęła się śmiać. Na chodniku tłum rozstępował się i bił brawo. Irene uniosła głowę i ucałowała spocony, szorstki policzek Jacoba. Taksówka zatrzymała się przy krawężniku, a kierowca wybiegł, by otworzyć im drzwi.

Jacob powoli opuścił rozpromienioną Irene na chłodne skórzane siedzenie samochodu, w którym cichutko i przyjemnie szumiała klimatyzacja. Irene złożyła ręce na swej spoconej klatce piersiowej.

– Dokąd, gołąbeczki? – spytał kierowca.

– Do szpitala Mount Sinai – powiedział Jacob. – Tylko szybko.

## Wrzesień

Sara pędziła środkowym pasażem sklepu Duane Reade. Pusta siatka z napisem „New York Journal” dyndała na jej prawej ręce, znoszone baletki skrzypiały na podłodze z taniego linoleum, w lewej ręce trzymała złożony kupon pobrany z internetu. „Wyroby pończosnicze”, „Przybory do golenia”, „Nietrzymanie moczu”. „Kartki okolicznościowe”, „Tandeta”, „Przebrane przybory szkolne”. „Wielkie torby słodczy za wcześnie jak na Halloween”. Jej buty, jak dwa pociski rakietowe, prowadziły ją w tę samą alejkę, do której przychodziła co drugi dzień, tuż po podaniu Irene popołudniowej dawki Prednicen-M, jak co dzień o szesnastej. To na godzinę zwałało Irene z nóg, dając Sarze okienko,



podczas którego mogła wyskoczyć i uzupełnić zapasy, do czego ani William, ani George czy Jacob się nie nadawali.

„Pieluchomajtki”, „Sprzęt ortopedyczny”, „Suplementy diety”. Wchodząc do alejki numer dwa, od razu zauważyła, że nie dowieźli wysokokalorycznych mlecznych shake'ów w proszku o nazwie Assure, odkąd była tam ostatnim razem. Doktor Zarrani powiedziała, że Irene musi przybrać na wadze albo zabiorą ją z powrotem do szpitala. Ostatnio ledwo zgodzili się ją wypisać. Kiedy Jacob dosłownie zaniósł ją na oddział ratunkowy, pielęgniarki potraktowały ją jak kogoś odwodnionego i niedożywionego, jakby była jeszcze jedną idiotką z ulicy, która zapomniała, że w czasie upału trzeba pić dużo wody.

– Nie powiedziałaś im, że jest ich pacjentką? – wypomniała Sara Jacobowi, gdy już tam dotarła. Kiedy wreszcie pojawiła się pielęgniarka, Sara spytała ją:

– Nie macie w systemie informacji, że ona ma raka?

Pielęgniarka gapiła się w kartę.

– Kto? Ona?

Dopiero po dwóch godzinach przysłano jej kartotekę z onkologii. Nikt nie mógł znaleźć dokumentów poświadczających, że Sara powinna być traktowana jak członek rodziny i ma prawo wiedzieć, co się dzieje z Irene. Co nie zmieniało faktu, że przynajmniej dwa razy dziennie prosiła Irene, by zadzwoniła do ojca. Minęły kolejne trzy godziny, zanim doktor Zarrani mogła przenieść ją na górę, na wschodnie skrzydło dwunastego piętra – nie do tego ładnego spokojnego ogrodu zen, gdzie dostawała chemię, ale na drugą stronę budynku, gdzie leżeli pacjenci czekający na przyjęcie. Przyjęcie. To był chyba jakiś żart.

Irene wciąż upierała się, że to nic poważnego.

– Sara, wyluzuj. Jacob zareagował zbyt nerwowo. Po prostu zapominam, że

muszę jeść.

Jakaś dyplomowana pielęgniarka przyszła powiedzieć im, że lekarze (najwyraźniej niewidzialni) chcą zrobić Irene całą listę badań. Przyszła też przełożona pielęgniarek, przez niecałe trzy minuty słuchała z powagą tego, co ma jej do powiedzenia zaniepokojona Sara, po czym zniknęła. Przez całą noc przychodziły do nich tylko pielęgniarki. Sara została na miejscu, by się upewnić, że Irene nie wstanie i nie opuści szpitala. Wreszcie, w okolicach godziny siódmej rano, gdy Sara był już na wpół przytomna, wpadło do pokoju jednocześnie pięciu lekarzy. Coś tam gadali o wynikach badań, poziomach potasu i konsultacjach z jakimiś naukowcami z Georgii.

– Kiedy przyjdzie doktor Zarrani? – spytała Sara.

– Pan doktor będzie o dziesiątej – rzekł jeden z nich, po czym wszyscy wyszli, zanim Sara zdążyła powiedzieć, że doktor Zarrani jest kobietą. Minęło dalszych pięć godzin, zanim dobiegła końca papierkowa robota, na podstawie której wypisano Irene do domu, pod warunkiem że przestanie dźwigać ciężary, chodzić na długie spacery i że będzie zjadać trzy pełne posiłki dziennie.

Irene schudła trzy kilo w dwa tygodnie od ostatniej chemii. A wcale nie miała z czego chudnąć. Mierzyła metr pięćdziesiąt pięć, a ważyła czterdzieści osiem kilo. Sara miała nadzieję, że na tyle się przeraziła, że nie będzie już chciała ryzykować. Myślała, że skoro Irene wprowadziła się do Williama, on dopilnuje, żeby zjadła coś od czasu do czasu, nawet jeśli od chemii robiło jej się niedobrze i nic nie smakowało już tak jak dawniej.

No cóż. Tych błędów Sara już nie popełni. Irene spędzała bowiem tydzień jak zwykle po swojemu. Obiecała Williamowi, że gdy ten będzie chodził na rozmowy o pracę, ona zostanie w domu, odpoczywając, oglądając filmy i jedząc coś, co sobie zamówi. Zamiast tego, gdy tylko William wyszedł, wyskakiwała z piżamy, wkładała koszulkę, dzinsy i szła do galerii. Tam rzeźbiła, kończąc na pół godziny przed planowanym powrotem Williama, po

czym biegła z powrotem do domu, przebierała się w piżamę i podgrzewała w kuchence mikrofalowej ten sam pojemnik z wieprzowiną moo shu, który co rano wyjmowała ze śmietnika. Czego się spodziewała? Któregoś dnia zemdląca w galerii. Oczywiście minęło jakieś dziesięć minut, zanim Abeba zorientowała się, że Irene wcale nie medytuje.

– Na stercie jakichś rzeczy na podłodze? – krzyknęła Sara, gdy znów dotarła na izbę przyjęć. – Błagam, powiedzcie mi, że tym razem ktoś im wyjaśnił, że Irene jest pod opieką tego szpitala?

Inna pielęgniarka, ta sama historia.

– Ta dziewczyna ma raka?

Irene schudła kolejne cztery kilogramy. Sara nie pamiętała, kiedy sama ważyła czterdzieści pięć kilo – w gimnazjum? Po badaniach przeprowadzonych przez doktor Zarrani okazało się, że usta i gardło Irene obsypane są bolesnymi wrzodami – częstym skutkiem ubocznym chemoterapii. Prawdopodobnie z tego powodu Irene nie chciała nic jeść. Sara nie mogła pojąć, dlaczego Irene nie wspomniała, że ma kłopoty z przełykaniem. Chyba że sto razy dziennie Sara pytała ją, jak się czuje, i za każdym razem Irene odpowiadała tylko jednym słowem: „Dobrze!”. Dlaczego musiała wszystko utrudniać?

Tego już było za wiele, stwierdziła Sara. Potrzebowali wsparcia. Co najmniej jeszcze jednego prawdziwie dorosłego człowieka oprócz niej. Irene utrzymywała, że próbuje skontaktować się z ojcem, ale nie może się do niego dodzwonić. Gdzie on, do cholery, był? W Mongolii? Zresztą tam też mają telefony. Ale oczywiście nie o to chodziło. Kiedy Irene przysnęła, Sara sprawdziła jej listę połączeń. Nie było tam żadnych połączeń wychodzących, ani do Mongolii, ani donikąd indziej.

Sara musiała więc sama podjąć decyzję, gdy doktor Zarrani nalegała, by umieścić w żołądku Irene „przezskórną gastrostomię endoskopową” – jedyny

sposób na to, by mieć pewność, że otrzymuje wszystkie składniki odżywcze. Tym razem cztery całe dni zajęły w szpitalu zabieg i rekonwalescencja, podczas których Sara nauczyła się, jak zamontować kroplówkę z mleczną odżywką Assure, żeby spływała sobie powoli przez rurkę PEG do żołądka Irene. A co miała zrobić? Chłopcy byli za tępi, żeby to obsłużyć, a Irene nie można było ufać, że sama tego dopilnuje.

Następnego dnia Sara pojawiła się w drzwiach mieszkania Williama z dwiema walizkami w rękach.

– Możesz się wprowadzić do George’a, jeśli chcesz – oznajmiła mu – ale ja tutaj zostaję.

William – mądrze z jego strony – nie protestował i w ciągu kilku minut nadmuchał dla niej materac w minijadalni. Sara miała do wykorzystania trzy tygodnie zaległego urlopu. Obiecała Lutherowi, że będzie pracować w domu, redagując dziennie pięć artykułów, i że będzie odbierać przekierowane telefony, gdy nowy stażysta wyjdzie z redakcji. Odwołała spotkania z obsługą przyjęć, zespołami muzycznymi i florystami. Wciąż jeszcze nie wybrali z George’em lokalu, nie mówiąc już o ustaleniu daty. O szukaniu mieszkania też już dawno zapomnieli. To wszystko nie miało teraz znaczenia. Jeśli będzie trzeba, zostanie tu nawet na święta, czy się to podoba Irene, czy nie. Będzie napełniać kroplówki odżywką Assure, po którą przysłała do Duane Reade.

Przeczesała półki w poszukiwaniu odżywki Double Boost, której zawsze było mało, gdyż jedno opakowanie dostarczało dwa razy tyle witamin i minerałów jak wersja regularna. Po co w ogóle robią tę podstawową wersję? Kto wolałby wypić dwie porcje tego proszku zamiast jednej?

Podczas drugiego pobytu Irene w szpitalu przyszły wyniki ostatnich badań. Guzy w dalszym ciągu się nie zmniejszały. Na razie nie rosły, ale to wszystko miało się zmienić, kiedy skończy się chemia i naświetlania. Lekarze nie mogli też w nieskończoność zwiększać dawek. Przyszła pora na leki i terapie

eksperymentalne. Sara starała się nie myśleć o szacowanych szansach na ich skuteczność.

22 procent.

16 procent.

9,2 procent.

Irene była jak dziecko. Gdy tylko mogła, odwlekała zażywanie leków – udawała, że drzemie albo że jest zajęta w łazience. Mówiła: „Za kilka minut, dobrze?”, i pięć minut zamieniało się w godzinę, dwie albo nawet pięć, choć leki trzeba było zażywać ściśle z rozkładem, który Sara opracowała w Excelu, wydrukowała i przykleiła w każdym pokoju.

Prednicen-M trzeba było podawać cztery razy dziennie razem z odżywką Assure. Irene musiała trzy razy dziennie smarować się jednoprocentowym roztworem hydrokortyzonu, gdyż zastrzyki denosumabu wywoływały na jej skórze wysypkę. Właściwie to Sara musiała podawać krem, gdyż Irene nie sięgała do krostek na środkowej części pleców. Oprócz tego co rano, na pół godziny przed pierwszym posiłkiem, Irene musiała zażyć jedną tabletkę fosimaxu, po której przez trzydzieści minut powinna utrzymywać pozycję pionową, by uniknąć zgagi. Na owrzodzenia w jamie ustnej Irene musiała pięć razy dziennie płukać usta mieszaniną mleka, magnezu i benadrylu, którą za każdym razem trzeba było na świeżo przygotować. Cztery razy dziennie musiała przyjmować amfoterycynę B przeciwko pleśniawkom. Zofran przeciwko nudnościom i przeciwbólowo – vicoprofen.

Ponieważ Irene miała problemy z przelknięciem, Sara każdego dnia ćwiartowała te tabletki, potem miażdżyła je moździerzem kuchennym jak jakaś aptekarka. Po tygodniu Sara miała wielkie czerwone odciski na całej dłoni, więc George poszedł do sklepu Sur la Table i kupił jej elektryczny młynek do przypraw, co bardzo uprościło sprawę. Odżywkę należało wlać do worka z kroplówką, którą można było zawiesić na stojącej lampie przy kanapie, na

uchwytach do szafek w kuchni, uchwycie do prysznicza w łazience i wieszaku na ubrania w sypialni. Jacob zamontował haczyki samoprzylepne za każdym krzesłem w każdym pomieszczeniu, z którego Irene mogłaby skorzystać. Szpital dał im tylko dwa worki do kroplówek, które trzeba było myć po każdym użyciu, żeby kredowobiały osad nie zatkał otworu.

William towarzyszył im przez większość czasu, ale w realizacji tych zadań okazał się beznadziejny. George i Jacob wpadali niemal codziennie na kilka godzin, żeby Sara mogła zredagować teksty, przespać się i pójść na niespokojny spacer wokół Madison Square Park – ale były rzeczy, których chłopcy w ogóle nie byli w stanie zrobić, na przykład zmierzyć objętości moczu Irene, by doktor Zarrani miała pewność, że Irene przyjmuje odpowiednią ilość płynów. Trzeba było nałożyć na sedes plastikową miarkę (o czym Sara musiała za każdym razem Irene przypominać), nasikać do niej, a potem podać wynik Sarze, która zapisywała go co do milimetra. Miała na wszystko ustawione „przypominajki”. Każde z nich dostało od niej laminowaną karteczkę z numerami telefonu do szpitala, które mieli trzymać w portfelu, na wypadek gdyby mieli jakieś wątpliwości. A i tak odnosiła wrażenie, że przegrywają w tej walce.

Biedny George akurat miał dyżur, kiedy Irene dostała okropnych skurczów jelit. Narobiła zamieszania, gdy próbował jej pomóc, nie budząc Sary. Bardzo ładnie z jego strony, ale przez to Irene musiała przez trzy godziny zwijać się z bólu, podczas gdy George szukał w internecie instrukcji masażu dolnej części pleców, by złagodzić jej skurcze. Kiedy Sara wreszcie się obudziła, dziesięć minut zajęło jej skontaktowanie się z trzema różnymi osobami, które ostatecznie doszły do wniosku, że to efekt jej diety, która składa się wyłącznie z płynów. Zalecono więc picie herbatki z senesu dwa razy dziennie, żeby uregulować pracę jelit. To była kolejna rzecz do zapisania w dzienniku i kolejna, której chłopcy nie mogli zapamiętać. Nie pamiętali na przykład

o dokładnym czyszczeniu antybiotykiem miejsca wokół rurki PEG, co skończyło się katastrofą, gdy podczas snu Irene poluzował się zacisk i cała zawartość zgłębnika wyciekła na kanapę.

– Dlaczego ona nie walczy? – zaliła się Sara doktor Zarrani.

– Może być przygnębiona – tłumaczyła doktor Zarrani. – Ale zależy jej na tym, żeby wyzdrowieć.

Sara nie była tego taka pewna. Irene wyglądała raczej na wkurzoną niż zdołowaną.

– To jest tak cholernie zniechęcające! – krzyczała Irene co najmniej raz dziennie, jakby to Sara była wszystkiemu winna. Wściekała się, że nie może już iść popracować w swoim studiu. Rysowała w łóżku i na kanapie, gdy oni oglądali niekończące się powtórki *¡Vámonos, Muchachos!* Jednak zasypiała po postawieniu zaledwie kilku kresek. Potem budziła się w jeszcze gorszym nastroju, jakby ktoś skradł jej cenny czas.

– To są, kurwa, jakieś tortury! – krzyczała, rzucając węglem po pokoju.

Sara chciała powiedzieć, że zaraz skontaktuje Irene z ONZ. Niech zgłosi łamanie konwencji genewskiej. Korzystając z okazji, ona też wskaże na jej naruszenie. Bo Sara też musiała znosić tortury. Dla niej torturą było to, że musiała patrzeć na swoją przyjaciółkę w tym stanie. To, że prawie w ogóle nie spała, że nie było jej w pracy, że rzadko kiedy sypiała w tym samym łóżku co George albo jadła jakiś domowy obiad. Jej jedyną towarzyską rozrywką, oprócz żalenia się chłopakom i wrzeszczenia przez telefon na stażystów, były te krótkie wypadki do apteki.

Ostatnio zaczęła je wydłużać, by mieć więcej czasu, żeby się od tego wszystkiego na chwilę oderwać. Patrzyła na karton z sześcioma butelkami odżywek Assure. Widniało na nim ładne zdjęcie starszej pani, pełnej wigoru, gotowej spędzić gorącą noc w sali balowej domu starców, tańcząc buffalo shuffle z jakimś na wpół ślepym weteranem wojny w Wietnamie, który

w komódce obok łóżka, oprócz leków na kataraktę, chowa też viagrę. Sara odkładała na bok paczkę za paczką, szukając double boost i mruczając pod nosem: „Brawo! Używaj sobie, młoda duchem babciu. Złote lata i te sprawy. Gdybyś jednak mogła zostawić trochę double boost dla mojej przyjaciółki, która jest młoda nie tylko duchem, ale i ciałem, to byłoby super”.

Przy aptecznym okienku stała tylko jedna osoba – starszy pan w śmiesznym zielonym kombinezonie, wsparty o rower. Wielkodusznie skinął na Sarę, by ta stanęła przed nim – farmaceutka była gdzieś na zapleczu.

– Ja już zostałem obsłużony – wyjaśnił, a Sara mu podziękowała. Kładąc ciężką torbę na ladzie, zerknęła na zegarek. Dobrze. Zdąży wrócić na wpół do piątej.

– Nie jest pani na to trochę za młoda? – powiedział, wskazując na odżywki.

Sara spojrzała na babcię na obrazku i z powrotem na niego. Sam wyglądał, jakby właśnie zszedł z planu telewizyjnej reklamy: *Assure: aktywni seniorzy!*

– To dla babuni – skłamała Sara. Nie bardzo wiedziała, dlaczego poczuła potrzebę ukrycia prawdy – nawet nie mówiła „babunia” do swej babci, która zresztą mieszkała w Marblehead, ponad trzysta kilometrów stąd. – Nie wiem dlaczego, ale uwielbia te koktajle.

Mężczyzna wzdrygnął się uroczo.

– Tuż obok jest kawiarnia, gdzie przyrządzają szejki z zielonych pędów pszenicy. Jestem od nich absolutnie uzależniony. Chodzę tam trzy razy dziennie. I piję trawę, na miłość boską!

Sara roześmiała się, bo jego zęby miały odcień golterii, a jego oddech pachniał świeżo skoszoną trawą.

– Po odbiór? – spytała farmaceutka, Polinezyjka o okrągłej twarzy i czarnych, nieruchomych oczach. Na identyfikatorze było napisane „Bettie”. Bettie, pomyślała Sara ze smutkiem.

– Bettie! – powiedziała ochoczo. – Czy mogłabyś mi je skasować?



Twarz Bettie nawet nie drgnęła, podobnie jak w zeszły czwartek i ten sprzed dwóch tygodni.

– Jeśli nie po odbiór recepty, to proszę zabrać zakupy i iść do głównej kasy.

Sara zdobyła się na uprzejmy ton, choć w duchu przeklinała wszystkie Bettie, jakie kiedykolwiek istniały.

– Tam jest teraz spora kolejka, a moja... moja babcia naprawdę tego potrzebuje.

Mogła wyjąć kartę pacjenta onkologii, co w tej sytuacji pewnie by pomogło – jak by nie było, to właśnie z powodu tej karty tu przyszła. Nie chciała jednak, by ten miły rowerzysta dowiedział się, że kłamała na temat tej babci.

– Doktorze Von Hatter. Płaci pan trzydzieści cztery dolary pięćdziesiąt centów ze zniżką na kartę rabatową Big Apple.

Jednak pan z rowerem nawet nie ruszył się, by odebrać z rąk Bettie swoją torbę.

– Może najpierw obsłużysz tę miłą młodą damę? Nikt inny nie czeka w kolejce.

Sara uśmiechnęła się, doceniając jego gest, ale Bettie tylko gapiła się na lekarza.

– Trzydzieści cztery dolary pięćdziesiąt centów.

– Charles zawsze mnie tutaj obsługuje – nie poddawała się Sara.

– Charles w czwartki nie pracuje.

– No tak, ale... słuchaj. Dwa razy w tygodniu odbieram tu recepty na nazwisko Irene Richmond. Pamiętasz mnie? Prednicen-M? Zofran? Vicoprofen? Jednoprocentowy hydrokortyzon?

Bettie wyciągnęła dłoń w jej kierunku.

– Jeśli ma pani upoważnienie na nazwisko Richmond, mogę sprawdzić, czy są już dla niej jakieś nowe recepty.

Sara wiedziała, że do niedzieli nie będzie dla niej żadnych recept.

– To niedorzeczne – powiedział starszy dżentelmen. – W kolejce nie ma nikogo oprócz mnie. Zofran i Prednicen? Może pomoże pani tej młodej damie, żeby mogła zająć się swoją babcią?

Bettie pokręciła głową.

– Nie jest nikim wyjątkowym. Może pójść i zapłacić przy kasie.

Te trzy słowa bardzo Sarę ubodły. Bo była wyjątkowa i od zawsze w to wierzyła. Była od innych bardziej punktualna, lepiej przygotowana. Z większymi i czystszyimi ambicjami. Milsza dla innych i bardziej lojalna. Zawsze segregująca, nigdy nieśmieca. Z lepszymi manierami i pozbawiona hipokryzji. W biurze bardziej od innych pracowita, a w restauracji bardziej szczodra. Gotowa zawsze wszystkim wszystko wybaczyć.

Ale nawet gdyby jeszcze bardziej się starała, gdyby była we wszystkim najlepsza, nie ocalałyby Irene. Bo nie ma ludzi odpornych na tragedię. Bez względu na to, jak godnie Sara żyła, śmierć nie darzyła jej tym samym szacunkiem. Ona, Irene, każde z nich było podatne na upadek, niezależnie od tego, jak bardzo byli przyzwoici, punktualni czy przygotowani. Żadne z nich nie było kimś szczególnym.

Pan doktor rowerzysta teraz był już wściekły. Wydawał się taki miły, a teraz kipiał ze złości. Był jeszcze jedną wściekłą osobą w tym pierdolonym klaustrofobicznym mieście – tak jak ona. Ostatnio cały czas się złościła. Na doktor Zarrani, która na początku wydawała się panować nad sytuacją, a teraz była coraz trudniej osiągalna i sprawiała wrażenie rozczarowanej niepowodzeniem standardowej terapii. Na Luthera, ponieważ pozwolił, by jedna z najlepszych gazet w mieście stała się dostawcą bzdetów, i na ludzi, których te bzdety interesowały bardziej niż prawdziwe wiadomości. Na siebie, bo wspomniane już bzdety redagowała, jakby to miało znaczenie, czy zdania w tym szmatławcu są przejrzyste, czy nie. Na Jacoba, bo nie chciał się

ustatkować i nie potrafił skupić się na pisaniu pięknej poezji, a przecież mógłby, gdyby tylko pozwolił sobie na choć mały przebłysk radości w swoim spojrzeniu na świat. Była zła nawet na Irene, za jej kompletnie niezrozumiałą, irracjonalny, pogardliwy, nonsensowny i obojętny stosunek do wszystkiego, co spotykało ją w życiu, włącznie ze śmiercią...

I właśnie tam, w supermarkecie Duane Reade, gdy odziany w elastyczny kombinezon siedemdziesięciolatek kłócił się z pucołowatą farmaceutką, Sara po raz pierwszy zdała sobie sprawę z faktu, że Irene umrze.

Jej stan się nie polepszał bez względu na to, ile tabletek Sara rozkruszyła, jak ściśle trzymała się kolorowego grafiku, jak skrupulatnie poukładała komórki w arkuszu kalkulacyjnym. Wszystko sprowadzało się do tego samego: Irene umierała – w szybkim tempie – a Sara patrzyła na to jak na zamknięcie rachunku. Należność, jaką trzeba było uiścić w całości, za wszystkie powyższe rozczarowania.

– Nieważne – powiedziała Sara, zdejmując torbę z lady. Lekarz cyklista zrobił minę, jakby chciał ją przekonać, by twardo sprzeciwiła się nadużyciu władzy, ale rozbroił go nad wyraz cierpliwy uśmiech Sary. – Naprawdę, nie ma problemu.

Bo nie jestem nikim wyjątkowym, pomyślała, odwracając się plecami do Bettie, która znów poprosiła doktora o dopłatę do leków na receptę. Sara minęła działę z akcesoriami do makijażu, miniszamponami, zabawkami dziecięcymi i przeszła w kierunku kas, gdzie nawet zamierzała, tak jak powiedziała, stanąć w kolejce jak każdy inny klient. Jednak jej stopy zawiodły ją w kierunku drzwi. Włożyła kupon promocyjny do torby i wyjęła okulary słoneczne. Chłopak sumiennie układający tubki z pastą do zębów na półkach nagle przystanął. Czyżby wiedział, co Sara zamierza zrobić? Uśmiechnęła się do niego, a on – to było takie proste – odwzajemnił jej uśmiech, schodząc jej z drogi. Wyszła prosto przez drzwi, nie zatrzymując się i nie oglądając, gdy

w bramce włączył się alarm. Kasjer, zajęty obsługiwaniem długiej kolejki klientów, nawet nie podniósł głowy. Chłopak z magazynu też nie zareagował. Serce biło jej jak oszalałe i nagle poczuła się cudownie beztrosko. Pod jej stopami znów był chodnik, a ona znów stała się sobą. Na rogu musiała przystanąć i poczekać na zielone światło. W życiu nie ukradła nic oprócz pomadki do ust. Uszy siatki na zakupy wcinały się w jej zaciśnięte dłonie, a mimo to zakupy zdawały się nic nie ważyć.

Jeszcze trzy przecznice i będzie w mieszkaniu Williama. Jednak coś przykuło jej uwagę: autobus linii M5 jadący do stacji South Street/Whitehall. Zanim się spostrzegła, jej stopy zboczyły z trasy i zaprowadziły ją aż pod drzwi autobusu, zanim te zdążyły się zamknąć. Zdjęła okulary, aby nie wydać się niegrzeczną kierowcy, gdy się do niego uśmiechała. Postawiła torbę na podłodze i wyjęła portfel, a on zamknął drzwi i ruszył wzdłuż Piątej Alei.

– Och! – powiedziała, spoglądając w niewłaściwą przegródkę w portfelu.  
– O nie! Zgubiłam bilet! – Spojrzała na kierowcę, a on w sekundę ją uspokoił, wyjmując ze schowka niewielką broszurkę.

– Nic nie szkodzi, proszę pani. Jeśli to miesięczny, proszę zadzwonić pod ten numer i z miejsca go wymienią.

– Bardzo panu dziękuję. – W gardle poczuła przytulne ciepło. Kierowca z przyjemnością pomógł pannie w potrzasku, a jej było miło, że mogła być dla niego uprzejma. Przyjemnie było też nie musieć zapłacić za przejazd.

Usiadła i przez swoje odbicie w szybie patrzyła na miasto. Okna wieżowców sięgających stratosfery. Tunele pod chodnikiem, przez które z zawrotną prędkością pędziły pociągi. A między tym wszystkim ludzie, rozchodzący się we wszystkie strony, chcący Bóg wie czego, żyjący i umierający w jakiś zagadkowy sposób. Sara zamknęła oczy, odcinając się od tego miasta. W kieszeni brzęczał telefon, ale nie odebrała go. To pewnie Irene albo George, którzy zastanawiali się, gdzie ona jest. Nie wiem, w myślach

odpowiedziała Sara. Kiedy wróci? Nie mam pojęcia. Gdzie są lekarstwa? Jak zmierzyć objętość moczu i jak usunąć gluty z rurki? Nie wiem. Telefon przestał dzwonić. Sara nie sprawdziła wiadomości. Odpuszczenie sobie w jedynej kwestii, nad którą, jak sądziła, ma jakąś kontrolę, było jak niezły odlot. Zrozumiała, że nigdy niczego nie kontrolowała. Że nikt nie ma nad niczym kontroli. Pojechała aż do Whitehall Station. Tam autobus zawrócił i zaczął wieźć ją z powrotem.

## Październik

George gapił się na kawę w białym gładkim kubku, pewien, że nim ją wypije, jego życie całkowicie się odmieni. Przed tą kawą w kawiarni Starbucks był George'em Murphym, radosnym pijaczkiem o nieco słabej woli, nie tylko co do alkoholu, ale też w wielu innych kwestiach. Nie wstawał od razu po usłyszeniu budzika, zajeżdżał do McDonalda, gdy się spieszył (i nie tylko), wydawał pieniądze na coś, czego nie potrzebował (tu spojrzał na wypchaną torbę z Barnes & Noble leżącą na siedzeniu obok), słuchał tych samych rockowych kawałków, co na studiach, mimo że wiedział, iż wprawiają go w zły nastrój. Przed tym kubkiem palonej kawy, owszem, miał utrwalone złe nawyki. I tak, to prawda, podobnie jak każde z nich zaczął ostatnio fiksować od tego wszystkiego.

Ale gdy wypije ten kubek kawy, będzie już całkiem innym George'em. Podobnym do krzepkich, kreatywnych ludzi, siedzących tu, w tej księgarnianej kawiarni! Będzie George'em, który słucha spokojnej, akustycznej, melodyjnej muzyki, jak ta, którą teraz tu grają – *Not Worth Fighting* zespołu Envoy. To będzie ścieżka dźwiękowa dla nowego, punktualnego, wysportowanego, płacącego podatki George'a.

Co najważniejsze, będzie trzeźwym George'em. Już więcej nie sięgnie po alkohol. Zresztą ostatnio wcale nie było mu po nim lżej. Coraz częściej czuł

się po nim jeszcze bardziej przytłoczony. Alkohol otępniał go i zamraczał. Trudno było mu się do tego przyznać, nawet przed sobą, ale przez niego utracił szansę pracy na Harvardzie. Sam fakt, że zaprosili go na rozmowę, uznał za szczęście. Ale teraz? Minęło już kilka tygodni i wciąż nie miał odpowiedzi. Kogo chciał oszukać? Przed rozmową był tak strasznie zdenerwowany, że po drodze wpadł do baru, by wypić coś na uspokojenie, sądząc, że pomoże mu parę chwil w otoczeniu innych ludzi. Wypił tylko jedno piwo. Pewny siebie, wszedł do pokoju, gdzie czekali na niego doktor McManus i doktor Schwartz z Wydziału Fizyki. I wtedy sparaliżował go lęk, że panowie mogą poczuć od niego alkohol. Spanikowany, z trudem odpowiadał na nawet najprostsze pytania dotyczące kolapsu 237 Lyrae V.

Koniec z tym. To był dawny George Murphy. Już zawsze będzie wspominał tę chwilę jako moment przełomowy, to znaczy jako moment, który doprowadził do innego przełomu – do tej filiżanki czarnej palonej kawy, po której już nic nie będzie takie jak dawniej.

Gdyż teraz miał powód, aby wszystko zmienić. Chrzanić starania o swój dobrostan i swoją przyszłość – okazuje się, że nie są warte zachodu. Dlatego właśnie znalazł się między młotem a kowadłem. Jak dobrze, że nie trafiło to na Sarę.

– Dziękuję – powiedział na głos. Nikt z kawiarnianych gości nawet nie zareagował na to, że mówi do siebie. Byli zajęci stukaniem w klawisze swoich laptopów, ze słuchawkami wciśniętymi w trąbki Eustachiusza. Nie słyszał stukania szklanek ani bulgoczących kranów, jedynie od czasu do czasu czknięcie spieniacza do mleka albo zgrzytanie maszyny do frappuccino. Nie licząc tych dźwięków, w kawiarni było wręcz przeraźliwie cicho. Gdybyś przy barze odmówił pacierz, mógłbyś liczyć, że gość siedzący dwa stołki dalej podniesie szklankę w górę i powie „Amen”. Tak pijacy okazywali sobie uprzejmość.

Matka George'a zawsze wierzyła, że modlitwę należy odmawiać na głos, bo tylko wtedy można zwrócić na siebie uwagę niebios. Jako mały chłopiec co wieczór zmawiał pacierz normalnym głosem, jakby mówił do kogoś po drugiej stronie łóżka. Ten zwyczaj utrzymał nawet w college'u. Mógł modlić się na głos, bo Jacob zawsze brał prysznic wieczorem i o niczym nie wiedział. Kiedyś wrócił jednak do pokoju po maszynkę do golenia i niemal go przyłapał.

– Gadasz do siebie, Georgie? Wiesz, niektórzy powiedzieliby, że to źle wróży, ale ja zachęcam cię, żebyś wsłuchał się w głosy w twojej głowie. To ważne, żeby ich posłuchać, bo tak naprawdę chcesz zrobić dokładnie to, co ci mówią.

Drań jeden! Ale George uwielbiał tego drania. Nikt nie potrafił go rozśmieszyć tak jak on. Jacob i Irene byli dla niego jak rodzeństwo, którego George nigdy nie miał. A teraz Bóg chciał mu ją zabrać, miał czelność odebrać ją im wszystkim i George Go za to nienawidził.

A jednak musiał to zrobić. Musiał dać Mu to, czego On chciał. Jacob wcale nie był powodem, dla którego George przestał się modlić. Nie zniechęcili go do tego nawet ci „źli, liberalni, niewierzący, komunistyczni profesorowie”, przed którymi ostrzegał go dziadek Earl. Ależ skąd! Ich opowieści o tym, że kosmos jest wielki, a on małe, tylko utwierdzały George'a w przekonaniu, że jest nikim wobec sił, których nigdy nie pojmie i nad którymi nigdy nie będzie miał kontroli. Nawet Darwin, a po nim Nietzsche polegli, próbując zabić swojego Boga.

Potem, w trakcie seminarium z teorii względności Einsteina, George doznał prawdziwego objawienia: na każde zauważalne zjawisko przypada milion niezauważalnych. Tak wiele z tego, co zmysły przedstawiały mu jako prawdziwe, było jedynie iluzją: linearność strzałki czasu, istnienie jedynie trzech wymiarów; stałość skał i płynność wody. Każde proste, racjonalne

zjawisko okazywało się ostatecznie niewytłumaczalne z powodu czegoś wielce problematycznego i skomplikowanego. Nie miał problemu z wiarą w to, że Bóg i niebo mogą istnieć w tym bezkresie, którego jego genialni profesorowie nie byli w stanie zdefiniować za pomocą wzorów i hipotez. A George wierzył w cuda, zbiegi okoliczności i tajemnicze zdarzenia. Jednocześnie wiedział, że bez względu na to, jak bardzo starał się być dobrym człowiekiem, Bóg nie okaże mu miłosierdzia, bo gdy wieczorem Jacob brał prysznic, George zamiast się modlić, popijał swoją whisky J&B.

Teraz nadszedł czas zawrzeć nowy układ. Teraz wziął wszystko na swoje barki. Irene go potrzebowała, a George od trzech dni był trzeźwy jak ametyst. Niby nie długo, ale to dopiero początek. Uderzył dłonią w kawiarniany stolik, po czym odmówił jedną zdrowaśkę, co skutecznie wystraszyło parę chińskich starszków siedzących przy stoliku obok. Dokończył kawę i zgniół biały papierowy kubek. Podniósł torbę, a plastikowa rączka wbijała mu się w dłoń, gdy niósł zakupy ulicą wśród ryczących klaksonów samochodów próbujących wjechać w Queens Boulevard. Nim zdążył przejść na drugą stronę, był już nowym człowiekiem.

Po drugiej stronie ulicy Irene i pani Cho prowadziły miłą rozmowę przed salonem Super-Wellness Spa & Nails!, który należał do jednej z ciotek Williama. George pomachał do nich, mając nadzieję, że nie czekały zbyt długo. Objawienia duchowe były ważne i tak dalej, ale Irene nie mogła ryzykować, że złapie grypę, a końcówka września przyniosła bezlitośnie chłodny front znad Kanady i każdy szukał w szafie pokrywy na klimatyzator i wełnianych swetrów. Wszyscy, których George spotykał, byli na coś chorzy, a Sara co pięć sekund dezynfekowała wszystkim ręce płynem Purell, żeby Irene nie zapadła na zapalenie płuc. Ona zaś cieszyła się przynajmniej, że będzie mogła nałożyć na siebie kilka dodatkowych warstw, bo tej jesieni luźne swetry były w modzie – w każdym razie tak powiedziała George'owi, gdy po sobotniej



wizycie zabrał ją do sklepu Anthropologie – no i doskonale ukrywały cewnik PEG, przyklejony do brzucha. Udało jej się utrzymać wagę i doktor Zarrani dostrzegła „pozytywne zmiany” na ostatnich zdjęciach. Wydawało się, że guzy zaczynają dobrze reagować na nowe leki eksperymentalne. Nikt nie wiedział, co zwiększa szanse dla jednych pacjentów, a dla innych nie. Badanie PET tylko tyle mogło im powiedzieć. Była więc jakaś nadzieja. George nie był zbyt dumny, by błagać Boga o pomoc. Lepszy od niego robili to przed nim, a wielu gorszych doznało miłosierdzia.

– Jak minęła sesja? – spytał Irene.

– Dobrze – odparła. – Naprawdę czuję różnicę. Wiem, że uważasz to za głupie.

– Wcale nie! – zaprotestował George. Irene puściła oko do pani Cho, która pokiwała głową, jakby chciała rzec, że na takich cyników jak on nie ma rady. George wbiegł po schodkach, starając się zachować spokój. Dlaczego wszyscy mieli go za sceptyka? A jednak gdy pani Cho objęła głowę Irene rękami i zaczęła kreślić koncentryczne koła na jej skroniach, George wzdrygnął się lekko. Pani Cho mruzczała coś po koreańsku, a jej dłonie krążyły teraz wokół szyi Irene.

– Dobrze dziś poszło. Pamiętaj, poczuj tę tajemniczą istotę. Nadprzyrodzonego ducha. Wszystko wokół ma siłę witalną: twoje ciało, twoje guzy, te mrówki na chodniku, drzewa, po których te mrówki wspinają się ku słońcu, które żyje, podobnie jak księżyc.

George wziął głęboki oddech. Od trzech tygodni, raz na tydzień, Irene przychodziła do tego magazynu, pełnego słoików z woskiem do depilacji bikini i karmazynowych butelek z lakierem do paznokci, by pani Cho mogła przeprowadzić na niej uzdrawiający rytuał za pomocą dotyku. Gdy Irene kładła się na rozkładanym stole, pani Cho zapalała różane świece, a następnie rozpylała w powietrzu jakiś proszek, mrużąc przy tym koreańskie zaklęcia.

Pani Cho zaprosiła go, by towarzyszył Irene podczas pierwszej sesji, pod warunkiem że zrobi coś ze swoją negatywną energią. Jak się jednak okazało, złe wibracje go nie opuszczały, więc w trakcie uzdrawiania George przesiadywał w barze po drugiej stronie ulicy. Przyjemne miejsce, miła atmosfera i... nieważne. Pobliska księgarnia też nie była taka zła.

Pani Cho trzymała ręce centymetr nad ciałem Irene, właściwie jej nie dotykając. Głos jej drżał, gdy mówiła:

– Wszystko, co żyje, promieniuje tą witalną siłą, która ożywia każdą rzecz we wszechświecie. To energia w twoich zakończeniach nerwowych. To magnetyzm twojej krwi, która krążąc w żyłach, dociera do organów w całym ciele i jest pompowana do serca.

George się skrzywił. Prawda, w ciele ludzkim jest słabe pole magnetyczne wytwarzane przez nanocząsteczki żelaza oraz rotację molekuł białka i wolnych rodników. Jest to jednak pole magnetyczne rzędu jednej dziesiątej militesli – co może i pozwala gołębiom pocztowym, nietoperzom i żółwiom morskim orientować się w terenie, ale nie wystarczy, by zabić komórki rakowe. Pani Cho twierdziła, że tę energię można jednak wykorzystać i dzięki jednostajnym mantróm wytworzyć lecznicze ciepło, które zmodyfikuje komórki Irene. Cóż, kto wie? Może i tak jest.

– Możemy mierzyć tę wielką potężną energię życiem, które w sobie mamy, za sprawą naszych rąk i naszego oddechu. Twoje ciało ma w sobie wszystko, co jest na Ziemi i co jest we wszechświecie. Powietrze, którym oddychasz, zawiera pył z gwiazd, które zapadają się gdzieś tam daleko. Pamiętaj o tym. Zwątpienie jest jedynie zaprzeczeniem szczęścia.

Czy George'owi się zdawało, że pani Cho gapiała się na niego?

– Szczęście trzeba do siebie zaprosić. Musisz pozwolić szczęściu w tobie zamieszkać, gdyż szczęście jest lekiem na wszystkie choroby.

George uważał, że trudno być szczęśliwym, kiedy choroba totalnie

upokarza tego, kto choruje. Nieznośne bóle głowy, ciągłe nudności, bolące stawy, nietrzymanie stolca, wypadanie włosów i paznokcie tak kruche, że Irene złamała dwa, temperując ołówek. Może jednak pani Cho miała rację, bo z paznokciami czy bez, Irene wciąż z radością oddawała się szkicowaniu – godzinami tworzyła piękne, zawile rysunki, które oglądał, gdy przysnęła. Czy to były skończone dzieła? Ścisnęło go w gardle, gdy myślał, że te wszystkie kartki ze szkicami mogą na zawsze pozostać jedynie projektami.

Pani Cho znów mu się przyglądała, więc wymusił na sobie wielki promienny uśmiech, na wypadek gdyby jego qi, czy jak jej tam, emanowała zwątpieniem i zablokowała przepływ uzdrowicielskiego szczęścia w kierunku Irene. Musiał jednak przyznać, że gdy Irene ścisnęła panią Cho na pożegnanie, wydawała się o wiele radośniejsza.

– Pamiętaj – powiedziała pani Cho, puszczając Irene – dzisiaj nie będziesz się denerwować. Nie będziesz się bać. Będziesz pełna wdzięczności, uwagi i miłości dla otaczających cię ludzi. Czy z zamkniętymi, czy z otwartymi oczami, złoż dłonie do modlitwy i kontempluj całym swoim sercem. Powiedz to głośno i uwierz w to, co mówisz. Tylko dzisiaj.

George bardzo starał się nie roześmiać. Pożegnali się z panią Cho i poszli w kierunku stacji metra.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Naprawdę dobrze – powiedziała Irene. Mówiła cicho, co ostatnio coraz częściej się zdarzało. George nastawiał uszu, by usłyszeć jej słowa pośród trąbiących samochodów stojących w korku. Z okolic dwupoziomowego ceglanego budynku w pobliskim kwartale dobiegało echo głosów jak z wypełnionego po brzegi stadionu. Przed sobą, na rogu ulicy, widział długi sznur ludzi przechodzących na drugą stronę i kierujących się ku stacji metra. George pomyślał, że może odbywa się otwarcie jakiegoś wielkiego sklepu albo akcja demonstracyjna. A może jakiś celebryta, z bliżej niewyjaśnionych

powodów, je akurat obiad w meksykańskiej restauracji na rogu. Nagle uświadomił sobie, że Irene wciąż do niego mówi.

– ...czuję niesamowite gorąco w tej części ciała, nad którą akurat trzyma ręce. Przez większość czasu odczuwam przyjemne kojące ciepło, jakbym brała kąpiel albo leżała na słońcu. To dziwne, ale przysięgam, że kiedy przesunie ręce nad moje oko albo nad łokieć, ciepło staje się bardziej intensywne. Do tego stopnia, że prawie czuję, że jestem rozpalona, jakbym miała gorączkę, czy coś w tym rodzaju.

Pięćdziesiąt lat temu dalibyśmy ci cukrową pigułkę placebo, pomyślał George, gdy schodzili za tłumem ludzi do stacji metra – gdzie oni wszyscy idą? Irene dalej cicho opowiadała o szamańskim rytuale – że lepiej po nim śpi, że jest bardziej energiczna i że rzadziej ma nudności. Dopiero gdy zeszli na sam dół, zobaczył, w czym problem.

Pracownicy MTA honorowali bilety Long Island Rail Road, bo linia LIRR chwilowo nie obsługiwała dojazdu na Manhattan – więc przy bramkach panował ogólny zgiełk i zamęt, gdyż ludzie, którzy zgubili swoje bilety, wykłócali się z pracownikami obsługi metra. Ale skąd tyle osób na trasie do centrum z Long Island w sobotnie październikowe popołudnie? Zwykle gdy pojawiały się jakieś zakłócenia w komunikacji, pasażerowie byli zniecierpliwieni, wściekli i w pośpiechu. Jednak tym razem większość tych ludzi wydawała się wręcz rozentuzjasmowana. Sprawiali wrażenie roztrzepanych, a nawet pijanych. Czy właśnie skończył się mecz New York Yankees albo Mets? Nie, żaden z tych stadionów nie znajdował się na trasie, a poza tym prawie wszyscy wokół nie mieli więcej niż trzydzieści lat – zdecydowana większość nie skończyła na oko dwudziestki. Nie widać też było żadnej piankowej łapy!

Gdy przeszli przez bramkę na zatłoczony peron, George zauważył, że wielu członków tej hordy miało na sobie koszulki z nazwami zespołów. George nie

znał żadnego z nich. Martwił się, bo kiedy pociąg wjechał na stację, Irene wyglądała już na bardzo zmęczoną. Wcisnęli się do środka, ale tam też było pełno fanów rocka. Starszy zdezorientowany dżentelmen w szarym garniturze i okularach ustąpił miejsca Irene. George podziękował mu, a sam stanął nad nią, trzymając się uchwytu.

– Daj torbę – nalegała.

– Nie, nie – pośpiesznie odmówił. – Jest bardzo ciężka.

Irene powiedziała coś, ale tak cicho, że George, szturchany przez jakichś głośnych fanów stojących za nim, w ogóle jej nie usłyszał.

– Co?

– Pytałam, co, u licha, kupiłeś? – Irene potarła dłonią gardło, które najwyraźniej ją bolało.

– Takie tam książki do pracy – skłamał George. Nie potrafił kłamać, a co więcej, zdawał sobie sprawę, że Irene o tym wie. Zerknęła na niego, unosząc swą cienką brew, ale odwrócił się i wymownie spojrzał na teraz jeszcze głośniejszych krzyczących gości w koszulkach. Pociąg włókł się przez tunel.

George patrzył na pomazaną sprejem czarną ścianę przesuwaną się wolno nad głową Irene jak antyczny elektrokardiograf. Dotarliby szybciej na Manhattan, gdyby szli piechotą!

Oglądając się przez ramię, George znów zmierzył wzrokiem najgłośniejszych pasażerów. Trzy dziewczyny w wieku licealnym uwieszone na tym samym drążku, co okazałych rozmiarów chłopak pijący jacka daniel'sa wprost z butelki. Za każdym razem, gdy pociągał łyk – Boże, George czuł zapach tej whisky – wydawał z siebie ryk jak Simba na końcu *Króla Lwa*, a gromadka dziewcząt zanosila się histerycznym śmiechem. George wpatrywał się w nich, ale oni nie zwracali uwagi na nikogo. Widział, że chłopak ma już w czubie – mocno w czubie, jak się domyślał, bo przecież coś o tym wiedział. Jest pijany do tego stopnia, że nie będzie pamiętał, co się działo od tego

momentu aż do następnego ranka.

Simba był ubrany w birkenstocki, modne skate'owskie szorty i polar z logo North Face. Miał dłuższe i bardziej pierzaste włosy niż otaczające go dziewczyny. Te zaś były chude jak szczapy i pomimo października wciąż opalone. Miały na sobie obcisłe dzinsy oraz swetry z głębokim dekoltem ukazujące starannie dobrane ramiączka biustonoszy (od lewej do prawej: w kolorze fuksji, jaskrawozielonym i aksamitnie czarnym). George się skrzywił. Irene, w swym białym swetrze i złotym szalu, wyglądała przy nich jak z innego świata. Próbował się do niej uśmiechnąć, ale zamknęła oczy na widok Simby, bekającego ku uciesze dziewcząt.

– Co te dupki wyprawiają? – wyszeptał George.

– Och, pewnie jadą na koncert Envoy w Madison Square Garden – powiedziała Irene. – Nie pamiętasz? Sara mówiła, że chce na niego iść.

George nie dowierzał.

– Koncert Envoy? Daj spokój. Poważnie? Przecież oni są pacyfistycznym zespołem grającym psychodeliczną hipisowską muzykę! Ten kutas zachowuje się, jakby jechał na koncert Megadeth!

Irene kątem ust wyszeptała:

– My też kiedyś byliśmy młodzi.

Jezu, co on wyprawia? Wywija butelką we wszystkie strony i prawie walnął nią w głowę przerażoną staruszkę! Rozwścieczony George spojrzał na resztę pasażerów – czy nikt nie zamierza nic zrobić? No oczywiście, że nie. Wszyscy tylko patrzyli na siebie, przewracając oczami. George zazgrzytał zębami.

– Nie zwracaj na niego uwagi, okej? Wkrótce będziemy na Pięćdziesiątej Dziewiątej i tam się przesiądziemy.

George spojrzał na Irene dławiącą się zieloną flegmą. Wiedział, że ma rację.

– Odchył głowę do tyłu – poradził jej łagodnie. – Obudzę cię, gdy dojedziemy na miejsce.

Pokręciła głową, wzdrygając się, gdy gość z łyskaczem wydał z siebie kolejny ryk.

– Ej! – powiedział. – Może trochę ciszej, co?

Chłopak zatoczył się i odbił od drążka. Trójka dziewcząt znów zaczęła się śmiać, a jedna z nich cofnęła się, wpadając na George'a.

– Mówię serio, uważaj co robisz! – podniósł głos. Dziewczyna zaśmiała się szyderczo i odwróciła wzrok.

– Daj spokój! – Irene kopnęła go delikatnie w kostkę. – Bo jeszcze ich wkurzysz.

George już miał zaciśnięte pięści, ale zacisnął je jeszcze mocniej, gdy Irene delikatnie zasugerowała, że gość może dołożyć łagodnie usposobionemu George'owi tak, że będzie to odczuwał przez cały następny tydzień.

– Chodzi o to, że ty tu próbujesz odpocząć, a te gnojki...

– George!

Irene rzuciła mu spojrzenie, które dobrze znał. Mówiło: „Weź się, kurwa, w garść”. Rozejrzał się w nadziei, że ktoś inny zareaguje – w takich momentach brakowało mu Jacoba. Gdyby tu był, już dawno wepchnąłby Simbie tę butelkę do gardła. Co więcej, Irene poklepałaby go za to po plecach! Dlaczego Jacob mógł wpadać w szal, grzmieć i wychodzić z siebie, ale gdy George choć trochę podniósł głos, Sara i Irene od razu na niego fukały?

Pociągiem nagle zarzuciło i George zobaczył, jak chłopak zatacza się, niechcący rozlewając swojego jacka daniel'sa. Kilka kropel spadło na rękaw George'a, a biały sweter Irene pokrył się konstelacją brązowych plamek. I wtedy George nie wytrzymał.

– CO SIĘ, KURWA, Z TOBĄ DZIEJE? – wrzasnął.

Nagle w wagonie zrobiło się cicho. Słyszać było, jak pociąg wolno sunie

po szynach.

– CZY TWÓJ JEBANY PTASI MÓŹDZEK NIE OGARNIA, ŻE NIE JESTEŚ TUTAJ, KURWA, SAM?

Zataczający się dzieciak gapił się na niego, lecz trudno było powiedzieć, czy dotarło do niego, co powiedział George.

– Ej, ej – powiedziała jedna z dziewcząt – nie wkurzaj się, okej? Po prostu dobrze się bawimy.

George nie mógł znieść widoku jej obrażonej twarzy, jakby nic złego nie zrobiła. Poczuł, jak oblewa go zimny pot.

– A co z tą starszą panią, o tam, którą twój kolega prawie uderzył w głowę butelką? To czyjaś babcia. Jakbyś się czuła, gdyby jakiś pajac, jak ten tu, podszedł do twojej babci i walnął ją w głowę? No ale wy się przecież dobrze bawicie, więc macie to gdzieś, co nie? Moja przyjaciółka ma raka, a ten dupek oblewa ją gorzałą. I to jest w porządku, tak? To nic, kurwa, takiego?

– Dobra, przepraszamy, okej? – powiedziała trzecia z dziewcząt. – Niech pan nie płacze.

– Ja nie płaczę! – wrzasnął George, choć wiedział, że tak właśnie jest. Wiedział, że to już koniec, i wiedział, że Irene także płacze, i to wcale nie z ich powodu. Dziewczęta znowu przestały zwracać na niego uwagę i Irene też już go zignorowała. Kiedy wreszcie wyszli na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i przesiedli się do linii numer sześć, Irene nie odezwała się do niego ani słowem. Gdy w końcu znaleźli się na wiejącym chłodem Madison Square, George szedł za nią do parku, gdzie nagle przystanęła.

– Przepraszam – powiedział George. – Przykro mi. – Było mu przykro, czuł żal i pocił się jak sznur. Było mu przykro i miał ochotę zamknąć się w łazience. Przepraszal i drżał jak liść. – Nie mów Sarze, dobrze? – Irene położyła swą dłoń na jego ręce, czekając, aż się uspokoi. Trochę to trwało, ale gdy wreszcie wziął się w garść, oboje byli zziębnięci i zbyt zakłopotani, by



dalej się spierać.

– Fajnie wiedzieć, że nie zawsze jesteś taki opanowany.

Zanim George zdążył się zorientować, Irene wyrwała mu z ręki wypchaną książkami torbę.

– To jest naprawdę ciężkie – próbował jej tłumaczyć, ale było już za późno. Irene usiłowała podnieść torbę i przewiesić ją sobie przez ramię, ale przewróciła się i torba upadła na chodnik.

– KURWA! – wrzasnął George tak głośno, że chwilę później usłyszał, jak jego głos odbija się echem po całym parku. Irene, leżąc na ziemi, próbowała coś powiedzieć, ale nie usłyszał, dopóki nie pochylił się, by pomóc jej się podnieść.

– Upadłam, George. To nie koniec świata. A tak w ogóle, to co ty tam masz?

Torba Barnes & Noble leżała otwarta na chodniku, a wokół niej rozsypane książki. Irene czytała na głos tytuł za tytułem:

– *Ilustrowane kompendium wiedzy z zakresu ziołolecznictwa* wydawnictwa Dorling Kindersley... *Uzdrowić duszę. Usprawnij swój mózg dzięki temu sprawdzonemu systemowi!... Kopnij raka w dupę. Pamiętnik.*

– To autoryzowany tekst mistrza wrestlingu Barbarzyńcy Bobby’ego Blake’a.

– Naprawdę? – zaśmiała się Irene i czytała dalej: – *Kwasy i zasady. Chemiczny przewodnik po leczeniu raka. Joga, jurty i jogurty, poważnie?* – Zaczęła czytać tekst z tyłu okładki: – „O tym, jak pewna kobieta pokonała raka piersi, podróżując po Tanzanii w poszukiwaniu miłości, wewnętrznego spokoju i bifidobakterii”. George, tu jest jakieś trzydzieści książek! Wykupiłeś cały dział z szarlatanerią?

To się nazywa medycyna alternatywna, ale tak, kupił je wszystkie. Poszedł tam po książkę o sokoterapii, o której wspominała Sara – żeby okazać swą

dobrą wolę, zaangażowanie i poparcie dla tego idiotycznego pomysłu z piciem koktajli z młodej trawy jęczmiennej, alg i granatów – a kiedy już ją znalazł, zaczął przeglądać inne pozycje i nie mógł przestać. A co, jeśli w której z nich tkwi sekret uzdrowienia Irene? A co, jeśli kupi dwadzieścia spośród tych książek, a odpowiedź znajdzie się w dwudziestej pierwszej? Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było wykupienie wszystkich pozycji. Dziewczyna przy kasie patrzyła na niego mocno zdziwiona.

Miał ochotę powiedzieć jej: „Słuchaj, gdybyś była na moim miejscu, też byś wszystkiego spróbowała”. Czym było te dwieście trzydzieści dziewięć dolarów pięćdziesiąt siedem centów w zamian za życie Irene? Wydałby nawet sto albo tysiąc razy więcej! Istnieje jakaś kwota, która nie jest tego warta? Płacąc, powiedział jednak: „To mi potrzebne do referatu”.

Irene pochyliła się i pomogła George’owi pozbierać książki. Chwytała po jednej, obiema rękami.

– To zabawne, że prosisz mnie, bym nic nie mówiła Sarze o tym, że wpadłeś w lekki szal. Sam jej to powiesz, gdy tylko zostaniecie sam na sam.

George wiedział, że Irene ma rację. Gdy już pozbierali wszystkie książki, powoli poszli w kierunku mieszkania Williama.

– Będę straszyć na waszym weselu? – spytała Irene.

– Przestań żartować w ten sposób – rzekł George.

– Nie żartuję! – powiedziała. – Koleś, możesz być tego pewien. Będę obsypywać was z góry ryżem, czy ci się to podoba, czy nie.

– Sara chyba woli płatki róż.

– Pewnie tak.

– Ryż szkodzi gołębiom!

– Ale teraz robią już taki bezpieczny dla gołębi.

– Ryż bezpieczny dla gołębi – mruczał George pod nosem. – Jak dobrze, że ktoś to wymyślił.

Rozmawiali, jadąc windą do góry, taszczyli pod pachami sterty bezużytecznych książek, a opróżniona do połowy butelka zielonego szlamu wystawała z torebki Irene tuż nad rączką z masy perłowej.

Sara musiała usłyszeć ich, gdy byli już na dole, bo otworzyła drzwi mieszkania, jeszcze zanim George zdążył zapukać.

– Gdzie byliście?

– Napadli nas jacyś brutalni bandyci! – oznajmiła Irene, chwiejnym krokiem wchodząc do środka, i wręczyła Sarze stos książek. Ruszyła prosto w kierunku szerokiej białej kanapy, na której William i Jacob popijali drinka.

– George musiał im przywalić z pięści!

– Ha ha ha – odparła beznamiętnie Sara, gdy George pocałował ją w policzek. Minał ją i upuścił swoją stertę książek na stół.

– Ma pan poważny problem, proszę pana! – krzyknął Jacob.

– Bo co? Bo kupił kupę bzdurnych książek? – spytał William, studiując tytuły.

– Pierdolić to. George ma do pogadania ze mną!

George spojrzał na niego pytającym wzrokiem, a ten wskazał na Sarę, by wszystko wyjaśniła.

– Co on...? Dlaczego wszyscy piją?

W oczach Sary szklily się łzy, choć uśmiechała się szeroko. George był pewien, że doktor Zarrani zadzwoniła z jakąś dobrą wiadomością dotyczącą Irene. Po tym wszystkim, co go dziś spotkało! Po tym, jak w księgarni doznał ataku paniki, a później olśnienia, po tym, jak wybuchnął w metrze... wreszcie przyszedł! Znak, na który czekał! I teraz już Irene wyzdrowieje. George poczuł, jak ogarnia go wdzięczność; już nigdy, przenigdy nie będzie wąpił.

– Dzwonili doktor mmmm i doktor hmmm – powiedziała. – Próbowali dodzwonić się na twoją komórkę. Zadzwonili do biura. Odebrał Allen, a kiedy przekazali mu wiadomość, on podał im mój numer telefonu, więc zadzwonili

do mnie, sądząc, że to nasz numer domowy.

– Ale dlaczego... czekaj, dlaczego ze szpitala dzwoniли do Allena?

Sara nie rozumiała.

– Doktor McManus i doktor Schwartz. Z Harvardu.

– KTÓRY JEST, KURWA, W BOSTONIE, JAKBYŚ ZAPOMNIAŁ! – wrzasnął Jacob.

– Cicho – uspokoiła go Irene, wtulając twarz w drapiący materiał jego płaszcza.

George nadal nie pojmował.

– Co?

– Stanowisko wykładowcy – oznajmiła z dumą Sara. – Proponują ci pracę.

George nie wiedział, czy ma płakać, śmiać się czy zemdleć. Zdecydował się na dziwną mieszankę wszystkich trzech reakcji i wydał z siebie dźwięk, który brzmiał – jak później opowiadał mu Jacob – jak odgłos delfina dławiącego się pomarańczą. Potem Sara zaczęła go ścisnąć, Irene z całych sił – czyli niezbyt głośno – klaskała w ręce, a William wstał z kanapy, wyciągając ku niemu ramiona. W jednej krótkiej chwili George zapomniał o tym, co zdarzyło się w metrze, o pani Cho i o wydaniu fortuny na książki. Zapomniał, kim jest i skąd przyszedł.

– Zdrowie! – William uniósł w górę kieliszek. – Za profesora Murphy'ego!

George instynktownie uniósł swą lewą dłoń – jego ręka wiedziała, co trzyma, zanim pojął to jego mózg. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, George stuknął swym kieliszkiem w kieliszek Williama i podniósł go do ust. Wziął głęboki łyk i przełknął. Czuł, jak centymetr po centymetrze palący trunek spływa po jego przełyku.

## Listopad

Irene podobało się, że doktor Zarrani sama przekazała jej złą wiadomość. Po

raz pierwszy od miesiący były same. Tylko ona i jej lekarz. Nie było wchodzących i wychodzących pielęgniarek ani przyjaciół kręcących się po korytarzu. Irene leżała na szpitalnym łóżku, jej ręce, nogi i klatka piersiowa podpięte do aparatury. Kroplówka cykała cicho jak metronom. Gdy doktor Zarrani weszła do pokoju, wyglądała na spiętą, ale po chwili rozmowy usiadła na różowym rozkładanym fotelu w rogu. Irene była jej za to wdzięczna. Cóż mogło być miłszego w obliczu zbliżającej się katastrofy niż to, że ktoś przysunie sobie krzesło i usiądzie obok ciebie?

Terapia eksperymentalna, owszem, przyniosła efekt, ale jedynie taki, że rak nie postępował. Zwiększenie dawki mogłoby dać pożądane rezultaty, ale Irene była zbyt słaba, by poradzić sobie ze skutkami ubocznymi przy zwiększeniu porcji leków, nawet będąc pod całodobową opieką. Doktor Zarrani wyjaśniła, że w tej sytuacji Irene i tak jest na straconej pozycji. Albo zabije ją rak, albo sama terapia.

Irene wiedziała, że lekarka ma rację. Już teraz potrzebowała pomocy, by wstać i położyć się na tym ogromnym szpitalnym łóżku. Jej długie chude ręce przypominały kuchenne szcypce. Jej włosy były cienkie jak pierze. Mimo przyjmowanej morfiny odczuwała ciągły ból w ustach i gardle. W reakcji obronnej jej organizm produkował ogromne ilości wydzieliny, którą Irene co dwie, trzy minuty musiała wypluwać do beżowej plastikowej tubki. Pielęgniarki musiały budzić ją co pół godziny, by nie zakrztusiła się we śnie.

Irene właściwie już wszędzie czuła guzy – zgrubienia na nogach i ramionach i jedno za uchem. Te na kościach osłabiały jej szkielet do tego stopnia, że zwykła wyprawa do łazienki mogła podobno grozić złamaniem kości udowej lub stopy. W jej ciele były też inne guzki, których nie czuła, ale tomograf je wyłapał: jeden na nerce i jeden na jelicie cienkim, i najgorszy, wielkości piłki do baseballa, na lewym płucu, co utrudniało Irene oddychanie pełną piersią. Przez większość czasu była podłączona do butli z tlenem.

Wszystko to zadziało się w ciągu niespełna jednego miesiąca.

Doktor Zarrani przeszła do dalszych szczegółów, ale Irene już jej nie słuchała. Patrzyła, jak lekarka opiera swą ciężką głowę na rękach. Patrzyła, jak zaczyna płakać. Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło. Słyszała jej przyspieszony oddech. Patrzyła, jak rumienią się jej policzki. Broda zaczyna dygotać, a kąciaki oczu powoli wypełniają się łzami, które po chwili nie mieszczą się już w oczodołach i zaczynają spływać po policzkach. Każda łza wydawała się generować dziesięć następnych. Chwilę później doktor Zarrani szlochała już na całego.

– Ciii – uspokajała ją Irene. – Jest dobrze. Naprawdę. Wszystko okej.

– Uśmiechasz się – powiedziała doktor Zarrani po chwili. Tusz spływał po jej policzkach jak dwie czarne błyskawice.

– Cieszę się, że pani płacze – wyznała Irene. – Cieszę się... nie wiem dlaczego, ale się cieszę.

– Nie ma nic złego w tym, że się płacze. – Doktor Zarrani pociągnęła nosem, wycierając twarz chusteczkami stojącymi na stoliku obok łóżka Irene. Tusz zostawił na nich długie cudne smugi.

Żadna z nich nie powiedziała nic przez kilka minut, aż wreszcie Irene wyznała:

– Czy to... czy to dziwne, że w pewnym sensie czuję ulgę? Wiedząc, co mnie czeka.

Doktor Zarrani potrząsnęła przecząco głową.

– Od dłuższego czasu bardzo cierpisz. To naturalne, że odczuwasz ulgę.

Irene spojrzała w górę na popękany sufit.

– Powinnam była uciec, kiedy miałam okazję.

– Chcielibyśmy cię trochę podleczyć, żebyś mogła na chwilę wrócić do domu przed...

Minęła kolejna minuta i Irene powiedziała:

– Może mi pani wyświadczyć przysługę?

– Oczywiście.

– Proszę powiedzieć Sarze, gdy będę spała.

Doktor Zarrani obiecała tak zrobić i poprosiła Irene, by pagerem wezwała pielęgniarkę, gdy przyjdzie Sara. Potem mocno przytuliła Irene, jakby była jej ciocią, i wyszła.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Irene sięgnęła do stolika i zgarnęła stamtąd poplamione tuszem chusteczki. Wsunęła je do woreczka i schowała głęboko w torbie.

Nie była rozczarowana. Przypomniało jej to sytuację z przeszłości – brała udział w półmaratonie i na szesnastym kilometrze, kulejąc i zataczając się w ulewnym deszczu, dowiedziała się nagle od jednego z organizatorów, że bieg został odwołany. Nie wiedziała, jak ma mu dziękować za to, że nie musi dokończyć tego biegu.

Kiedy godzinę później przyszła Sara, Irene przywołała pielęgniarkę, po czym udała, że zasnęła. W którymś momencie chyba rzeczywiście musiała przysnąć albo odlecieć po morfinie, gdyż obudził ją głos Sary domagającej się wyjaśnień. Co poszło nie tak? Jak można było tego uniknąć? Co mogli zrobić inaczej? Jakby już przeprowadzano sekcję zwłok. Irene sama doskonale wiedziała, że można by tak gdybać bez końca. Gdyby tak długo nie lekceważyła objawów. Gdyby nie ukryła drugiego guza przed wycieczką. Gdyby bardziej się starała oszczędzać siły. Gdyby, gdyby, gdyby...

Oczywiście Sara wciąż nie chciała się poddać.

– Skonsultujemy się z innym lekarzem. Dawno temu powinniśmy byli to zrobić. Ona to pokona. Wiem, pani myśli, że gadam głupoty, ale jesteśmy w trakcie bardzo obiecującej terapii alternatywnej.

Irene niemal prychnęła. Za cholerę nie weźmie już do ust tego soku z alg i pędów trawy pszenicznej. Tydzień wcześniej William przyniósł jej

przemyconą pod płaszczem butelkę szampana Bollinger Blanc (tym razem za nią zapłacił), ale nie była w stanie go spróbować. Tak samo jak tego makaronu, który przyniósł jej George, polanego sosem marinara autorstwa Mamy Murphy (specjalnie przetransportowanym w suchym lodzie). Wypalił chyba wszystkie krosty, jakie miała w przełyku. Wtedy pożałowała, że już w czerwcu nie zorientowała się, że to wszystko na nic. Cieszyłaby się przynajmniej tymi ostatnimi, rozczarowującymi miesiącami, zamiast tracić je na unikaniu tego, co nieuniknione.

Irene poczekała, aż Sara skończy serię łzawych rozmów telefonicznych z George'em, Jacobem i Williamem, zanim udała, że się budzi. Miała nadzieję, że przyjaciółka już się wypłakała. Ale oczywiście gdy tylko Sara zobaczyła, że Irene otworzyła oczy, zaczęła szlochać na nowo. Przynajmniej próbowałam, pomyślała Irene, siadając na łóżku i pocieszając przyjaciółkę, by nie przejmowała się jej śmiercią.

Potem przyszedł George i tak jak Sara ją przekonywał Irene, by się nie poddawała. Tak oto zaczęły się przygotowania do tego, aby chora mogła wrócić do domu, zanim zacznie już naprawdę umierać. Choć z każdym dniem Irene trudniej było chodzić i oddychać, George zachęcał ją, by o siódmej rano robiła kilka rundek po jedenastym piętrze. Jedna zajmowała jej dwadzieścia minut: około pięćdziesięciu metrów w jedną stronę i tyle samo z powrotem. Zwykle udawało im się zaliczyć dwie rundy, zanim George dał jej pożegnalnego całusa i odmeldował się do pracy. Kiedy jej organizm pozbył się resztek chemii, Irene poczuła się trochę lepiej, ale też coraz częściej brakowało jej tchu. Sara przychodziła każdego ranka o ósmej i siedziała przy łóżku Irene aż do wpół do dwunastej w nocy. Oglądały telewizję, a najczęściej Irene usiłowała zasnąć lub czytać *Iliadę* od Williama, którą wciąż miała nadzieję skończyć.

W ostatni chłodny środowy ranek przed Świętem Dziękczynienia William



przyniósł jej dyniową kawę latte. Wstał o piątej rano i poszedł po nią aż na Wschodnią Czwartą Ulicę do ulubionej kawiarni Irene – bo kiedyś wspomniała, że tak właśnie zaczynała jesienny sezon. Pierwszego chłodnego listopadowego dnia wkładała zimowy płaszcz, kupowała dyniową latte i chodziła po West Village, szukając prezentów świątecznych. Zawsze gubiła się na tych okropnych ukośnych skrzyżowaniach, gdzie Szósta Aleja jakoś dziwnie krzyżuje się z ulicami Bleecker, Downing i Minetta, czy też w pajęczynie Siódmej Alei oraz ulic Barrow i Commerce. To była jej ulubiona część miasta. Zagmatwana, bo oryginalna, poprzedzała tę uporządkowaną siatkę prostopadłych do siebie dróg. Trójkątne szaleństwo zaburzające doskonały kwadratowy porządek.

– Jakieś dziesięć minut błądziłem po Perry – powiedział William, kładąc papierowy kubek na tacy w zasięgu jej ręki. – Tam jest taki chaos. Istne pomieszanie z poplątaniem.

Ucałował ją w lepkie czoło i chwycił za rękę. Irene czuła, że ogarnia ją senność, tak silna, że żadne dyniowe latte nie da jej rady, gdyby w ogóle była w stanie cokolwiek przełknąć.

– Gdzie moja klatka na ptaki? – spytała nagle.

– Twoja... schowaliśmy ją w magazynie, pamiętasz?

Oczy miała prawie cały czas zamknięte. Musiała zastanawiać się, jak ułożyć usta, żeby sformułować wyrazy. Próbowała powiedzieć coś jeszcze, ale nadaremno. Chwilę później nie pamiętała już, co to było.

– Pielęgniarki mówią, że jeśli będziesz chciała, pozwolą ci wyjść na kilka godzin, żebyś mogła spędzić z nami Święto Dziękczynienia. Sara organizuje przyjęcie u mnie w domu.

Od kilku dni Sara przeglądała magazyn kulinarny „Cook’s Illustrated” oraz książki kucharskie *Martha Stewart* i *The Joy of Cooking*, opisując Irene apetyczne potrawy, by ją zmotywować: pieczona korona jagnięca z purée

ziemniaczanym i fasolką szparagową. A na deser ciasto zebra. Irene nie odmawiała Sarze tej przyjemności. Musiała znaleźć sobie jakieś zajęcie, teraz, gdy Irene zajmowały się pielęgniarki z Mount Sinai i gdy z George'em oficjalnie zarzucili organizację wesela, aż „sytuacja się ustabilizuje”. Sara złożyła w redakcji wypowiedzenie, planując poszukać nowej pracy w Bostonie, gdy rozpocznie się semestr letni i George zostanie prawdziwym profesorem Harvardu.

Tego ranka – na dzień przed Świętem Dziękczynienia – Sara zjawiała się o ósmej. Powiedziała Irene, że musi wyjść w południe.

– Ale nie martw się, George jak zwykle przyjdzie na całe popołudnie. I tak nie chcę, żeby mi przeszkadzał w kuchni.

– Nie potrzebuję niańczenia – powiedziała Irene. – Przynajmniej powinien ci pomóc z zakupami.

– Och nie. Będzie mnie tylko spowalniał. Zresztą wrócę tu przed dziewiątą i posiedzę aż do jedenastej, nie martw się.

Irene nie była zmartwiona. Prawdę mówiąc, wolałaby, żeby Sara nie wracała o dziewiątej ani nie zostawała do jedenastej. Wolałaby, żeby każde z nich żyło swoim życiem i nie marnowało cennego czasu na siedzenie przy niej i czekanie, aż umrze. To właśnie tego popołudnia, gdy czuwał przy niej George, Irene postanowiła, że zaoszczędzi im dalszych kłopotów. George czytał jej *Iliadę*, ożywiając się coraz bardziej, w miarę jak ze szpitalnego jednorazowego kubka sączył przemycanego bourbona. Irene obiecała, że nie powie Sarze, pod warunkiem że George pozwoli jej wziąć łyka. Choć piekielnie paliło ją potem w gardle, była to miła orzeźwiająca odmiana od słodkiego nieprzerwanego strumienia morfiny, po którym odpływała coraz bardziej.

Pocąc się i stopniowo podnosząc głos, George czytał o ostatniej walce Achillesa z Hektorem. Kiedy było już po wszystkim i Hektor leżał pokonany,

Irene zaczęła płakać. Pierwszy raz od dłuższego czasu. Ostatni raz płakała, jeszcze zanim doktor Zarrani powiedziała jej, że terapia okazała się klapą. Jakoś łatwiej było jej szlochać nad losem biednego Hektora i nad tym, że Achilles rydwanem ciągał jego zwłoki wokół obozu, porzucając je twarzą zwróconą do ziemi, by następnego dnia znów je bezcześcić. Ten opis doskonale pasował do tego, jak Irene czuła się przez ostatnie tygodnie.

George czytał o tym, jak przyszedł Apollo i owinął ciało Hektora złotym płaszczem, by nie uległo rozkładowi, a potem przeklinał innych bogów (tutaj George wstał z krzesła i zaczął wymachiwać ręką ku wyłożonemu kasetonami sufitowi): „Nielitośni bogowie, mszczący się bez miary! Czy was Hektor mnogimi nie błagał ofiary? Wy się jednak pastwicie nad nędznym po zgonie...” – i wtedy George upuścił książkę, bo przyszła siostra Darren i kazała mu się uciszyć albo iść w cholerę domu. Po chwili wrócił do czytania, ale już ściszym głosem.

„Pelid wam miły, człowiek bez czucia, bez duszy, którego twardych piersi żaden wzgląd nie ruszy. Lwa srogość nosi w sercu. Jako lew do stada, w swej sile dumnie ufny, zapalony wpada”. Potem Irene zgubiła wątek, zanurzając się na chwilę w rzece morfiny. „Gdy dziesiąta Jutrzenka z pięknym wstała włosem, wynieśli ciało z płaczem spółziomkowie mili i złożywszy na stosie, ogień podniecili. Ale gdy pierwsza zorza płomieniami błysnie, wielkie mnóstwo do stosu Hektora się ciśnie... Zebrali białe kości, łyzy lejąc potokiem... Którą kryją z purpury zasłony ozdobne... Wreszcie w rowie głębokim umieszczają zwłoki, toczą głązy i wznoszą grobowiec wysoki”. A potem George zamknął książkę, a Irene, choć na wpół we śnie, wiedziała, że dotarł do końca. Westchnął ciężko i popijając z kubka, powiedział: „Ten był obchód pogrzebny po wielkim Hektorze” <sup>6</sup>.

Irene chciała mu podziękować, ale wydała z siebie jedynie bełkotliwy szloch. George jednak chyba się domyślił i ucałował ją w czoło. Potem

odłożył książkę na szafce nocnej i poszedł skorzystać z toalety. Przysnęła, a gdy się obudziła, za oknem było już ciemno. Obok łóżka siedziała Sara, przeglądając artykuł o świątecznych dekoracjach na stół, które można zrobić z gałązek żółtej i pomarańczowej psianki.

– Pochowają mnie w grobie? – spytała Irene.

Sara spojrzała na nią krótko, a potem przeniosła wzrok za okno.

– Nie martwmy się tym w tej chwili – powiedział George.

– A kiedy mam się tym martwić?

– Po Święcie Dziękczynienia. Wtedy o tym porozmawiamy – rzekła Sara ze łzami w oczach.

Irene zostawiła ten temat. Odchrząknęła jeszcze trochę flegmy i odleciała. Obudziła się ponownie o dwudziestą trzecią trzydzieści, gdy Sara i George wychodzili.

– Przyjdziemy znowu o ósmej. Pielęgniarki powiedziały, że jeśli rano parametry będą dobre, załatwią ci przepustkę na jutrzejszy świąteczny obiad.

Irene skinęła potakująco głową, choć czuła, że rano parametry nie będą w porządku. Nie wiedziała, skąd to przeczucie – nic nie bolało ją bardziej niż poprzedniego dnia, ale było jej trochę trudniej wziąć oddech, nawet z pomocą maski tlenowej. Odrobinę ciężiej było jej też unieść się na poduszce, by dać się uściskać George'owi na pożegnanie. Czuła, że jej serce bije już nieco wolniej. Zamknęła na moment oczy, wiedząc, że za chwilę pojawi się Jacob. Wszystkim powiedział, że ma podwójne dyżury w ośrodku, ale Irene wiedziała, że był po prostu zły na George'a za to, że przynosi się do Bostonu. Był przy łóżku już kilka minut po tym, jak inni wyszli.

– Czaisz się tam na ulicy, czekając, aż wyjdą? – spytała.

Jacob przewrócił oczami, nic nie mówiąc.

– Pojedź z nimi do Bostonu. Nic cię tu przecież nie trzyma.

Jacob się wzdrygnął.

– Nie gadaj bzdur.

Dotarło do niej, że nie zobaczy, jak to wszystko się skończy.

– Skończył dziś czytać książkę – powiedziała. – Tę część o Hektorze.

– „Już boskiego nie ujdę wyroku!” – Jacob zamknął oczy i mówił ściszym głosem, żeby nie zwabić pielęgniarek: – „Nie masz żadnej ucieczki, już mi umrzeć trzeba. Lecz nie dokaże wyrok, bym nikczemnie zginął; spełnię czyn, którym będę w późne wieki słynął!” <sup>7</sup>.

– Czy wciąż grzebie się ludzi? – spytała Irene.

Jacob zastanowił się przez chwilę.

– Chyba trzeba sobie wcześniej wykupić parcelę. Nie wiem, czy można tak w ostatniej chwili. Tu w mieście raczej nie ma za dużo miejsca. Najbliższy cmentarz będzie pewnie gdzieś w Queens. Cmentarze zawsze są w jakiejś okropnej okolicy.

– Więc zostanę skremowana? – westchnęła.

– Ja bym tak chciał – powiedział cicho Jacob. – Oczyszczony przez ogień i tak dalej. Poza tym słyszałem, że to bardzo ekologiczne.

– A potem co? – spytała. – Sara postawi urnę z moimi prochami na kominku? W Bostonie?

Jacob lekko postukał palcem w oparcie krzesła.

– Nie dopuszczę do tego! Dopilnuję, żeby twoje prochy rozsypano.

– Nigdy nie byłam we Francji – mruknęła Irene.

Tyle rzeczy nie udało jej się zrobić ani zobaczyć. Nie mogła w to uwierzyć, nawet teraz, gdy już wiedziała, że umrze.

Jacob pogłaskał ją po rękę.

– W takim razie pojedziesz do Francji.

– Trzymam cię za słowo.

– No właśnie, to zawsze był twój podstawowy błąd. A teraz odpocznij, bo jak nie, to te siostry jutro cię nie wypuszczą i Sara dostanie załamania

nerwowego.

Jacob pochylił się i Irene ucałowała go na do widzenia. Patrzyła, jak jego sylwetka znika w szpitalnych drzwiach i oddala się korytarzem. On też się pomylił. Irene nie miała najmniejszej ochoty doczekać Święta Dziękczynienia, pieczonej korony jagnięcej, której nie byłaby w stanie przeżuć, ani deseru, którego nie mogłaby skosztować. Nie, ale miała jedno życzenie – nie umrzeć w sali szpitalnej z różowymi ścianami i plastikowymi turkusowymi wykończeniami. Jeśli ma odejść, to odejdzie. Opracowała plan, nad którym głowiła się cały tydzień.

Około drugiej nad ranem siostra Moira rozpoczęła obchód, począwszy od sal po drugiej stronie korytarza, a siostra Darren wprowadzała recepty do komputera przy biurku w dyżurce. Siostra Bethany pewnie jeszcze przebierała się w swój szpitalny fartuch. Irene cały dzień uważnie obserwowała, jak się włącza kroplówkę i aparaturę, żeby umieć je odłączyć bez uruchomienia alarmu. Potrzebowała trzydziestu sekund, żeby się uwolnić, włącznie z zatkaniem rurki PEG i przymocowaniem jej do brzucha plastrem. Potem nałożyła na siebie swój czerwony płaszcz i bambosze, które Sara zrobiła dla niej na drutach. Były schowane w szafce i przykrywały wielką stertę środków medycznych, które Irene zbierała przez cały tydzień, przygotowując się do dokończenia swojego ostatniego dzieła. Nie uda jej się go zamknąć, ale na samej górze leży szczegółowy projekt, więc kiedy jej już nie będzie, Juliette i Abeba poskładają go w całość. Irene przygładziła włosy, przeglądając się w drzwiach do windy. Winda przyjechała pusta. Drzwi zamknęły się i Irene zaczęła zjeżdżać na dół. Co najpierw przestaje działać? – zastanawiała się. Serce, płuca czy nogi? Nie miało to dla niej znaczenia, pod warunkiem że stanie się to, zanim znów ją zawłoką do tego plastikowego pokoju. Nie chce umierać na Jedenastej Ulicy. Nie umrze tam i już.

– ...branoc – powiedziała grzecznie, przemykając obok strażnika przy

wejściu. Gdy podniósł wzrok, już go minęła. Poczwała na twarzy zimne, rześkie powietrze, jak mroźny pocałunek. Przeszła na drugą stronę śliskiej ulicy, skąd pozostawało już tylko kilka kroków do Central Parku. Chwilę później znalazła się na ciemnej, otwartej polanie, a pojedyncze, lodowate źdźbła trawy przedzierały się przez luźną przędzę jej kapci i skrzypiały pod stopami. Po drugiej stronie łąki znajdował się owalny skrawek ziemi, której czerwieni nie zdołała zakryć cienka warstwa szronu. Podeszła kawałek dalej, po czym przysiadła pod drzewem i odpoczywając, przyglądała się cieniom tańczącym w ciemnościach tego nieoświetlonego serca miasta.

Człapiąc w kierunku zionącej chłodem doliny pomiędzy dwoma boiskami do baseballa, wróciła myślami do tych lat, gdy mieszkała z babcią Fioną – tylko tam tak naprawdę czwała się jak w domu. Babcia Fee, nałogowa palaczka, zachorowała na rozedmę (co nikogo zbytnio nie zdziwiło) tuż po tym, jak Irene skończyła piętnaście lat.

Przez rok Irene patrzyła, jak jej babcia umiera, wychudzona, z cienkimi jak siano włosami i rurką tlenową pod nosem. Podczas każdej wizyty lekarskiej przysięgała na Boga, że już nigdy nie weźmie do ust papierosa... ale już następnego dnia znowu ćmiła, ciągnąc za sobą zbiorniczek z tlenem na kółkach jak nieznośnego szczeniaka. Irene pamiętała tę ostrzegawczą naklejkę w kształcie diamentu na zbiorniku: „Uwaga: substancja łatwopalna. Unikać otwartego ognia”. Każdego dnia patrzyła, jak papieros powoli się dopala, aż zaledwie centymetr dzieli go od cienkiej rurki przyczepionej do babcinych nozdrzy. To tak jakby żyć obok bomby, która może lada moment wybuchnąć.

Dałaś mi niezłą szkołę, pomyślała Irene, przechodząc na drugą stronę doliny w kierunku ciemnego zagajnika, cały czas czując tuż obok obecność babci Fee. Niemal słyszała, jak skrzypią kółeczka u jej butli. Czwała ten słodki zapach zakazanego dymu. Widziała zarys siwych włosów i białej nocnej koszuli w ciemnościach.

Siostra Moira stała przy dyżurce, trzymając przed sobą kartotekę Irene Richmond. Osobą kontaktową w razie nagłych wypadków była Sara Sherman. Wystukała numer w telefonie i ponownie spojrzała na zegarek, mając nadzieję, że zakończy tę rozmowę na tyle szybko, by zdążyć jeszcze zrobić obchód, zanim przyjdzie po nią jej chłopak. Po drugiej stronie odebrał ktoś mocno zaspany.

– Pani Sherman? – spytała. – Przepraszam, że panią budzę, ale Irene weszła w fazę głębokiego snu. Oddycha teraz z pomocą respiratora. – Mogą ją na nim trzymać i ciągle będzie żyła, ale już się nie obudzi. – Radzę teraz wrócić do łóżka – dodała. – Do jutra jej stan się nie zmieni.

Sara odłożyła słuchawkę, nie pożegnawszy się z pielęgniarką. Położyć się spać? Drżała na całym ciele, gdy wstała i w pośpiechu zaczęła się ubierać. Zanim George się zorientował, co się dzieje, była już prawie gotowa do wyjścia.

– Czy to już? – spytał. Nie odpowiedziała, ale on wiedział, że tak. Wkładał buty, gdy wybiegła przez drzwi. Dopiero po chwili zorientował się, że wcale na niego nie czeka. Wyszedł na ulicę i zobaczył, że wsiada do taksówki. Nie wołał, bo i tak by nie usłyszała.

Irene wolnym krokiem szła przez park. Przez zimowy wiatr, który świstał obok uszu, docierały do niej jakieś szepty. Między podmuchami dobiegającymi z każdej strony poczuła mocny dotyk dłoni na plecach. W mieście wiatr zwykle wiał w kierunku wschodnim, do morza, ale jakieś dziwne przeciwprądy pchały ją ku zachodowi, na drugą stronę parku. Może umarli zamieniali się w wiatr, w strefy ciśnienia, wędrujące to tu, to tam. Czasem byli bryzą, czasem silnym kontynentalnym frontem albo potwornym sztormem. Czasem zaś wielkim lepkiem bezruchem. Podróżowali po świecie według niejasno określonych układów. Przedzierając się przez chmury i warstwę ozonową. Może niebo to właśnie powietrze, które nas otacza. Może ten zimny wiatr



wokół niej to jej babka. Albo jakiś inny duch. Może to Achilles, choć miała nadzieję, że to jednak Hektor. To miasto wręcz tętniło życiem. Już sama wędrówka po nim pozwalała podtrzymać życiowe funkcje. Pulsujące ulice miasta wypełniały jej żyły; jego aleje wypełniały jej tętnice; jego mieszkańcy przedzierali się wte i wewte jak zastawki w jej sercu. Po drugiej stronie Broadwayu ulica schodziła stromo w dół i jeszcze łatwiej jej się szło. Czuła się dokładnie tak, jak chciała się poczuć. Jakby powoli, stopniowo wpadała do wielkiej ciemnej rzeki.

George złapał drugą taksówkę, z której zadzwonił do Williama, a William zadzwonił do Jacoba. Potem, nie mając nic innego do roboty, gapił się przez okno na zacienione, spowite ciszą alejki i trawniki w Central Parku. I kiedy już miał zadzwonić do Sary, jego oczom ukazały się wystające zza drzew sylwetki Spidermana i – nie był pewien, czy nie śni – Ronalda McDonalda. Dopiero po kilku minutach skojarzył, że to, co ujrzał, ma chyba związek z przygotowaniami do jutrzejszej wielkiej parady. Przybyli do szpitala kilka minut po sobie, gdzieś około wpół do czwartej nad ranem. Siostra Moira skończyła już rozmawiać z Sarą, która wyjaśniła jej, że nie będą czekać do rana. Chcieli od razu pójść na oddział intensywnej terapii, dokąd zabrano Irene i gdzie znajdowała się teraz pod ścisłą obserwacją. Pielęgniarka powiedziała, że to załatwi, po czym zniknęła. Czekali. George przyniósł skądś kawę. William i Jacob oglądali film informacyjno-reklamowy o jakimś nowym urządzeniu, dzięki któremu skarpetki już nigdy nie rozdzielą się w praniu. Wreszcie siostra Moira wróciła, przynosząc Sarze do wypełnienia jakieś dokumenty, które jakiś doktor miał później zatwierdzić. I chociaż przechodzili przez to już sześć czy siedem razy, znów trzeba było wyjaśniać, dlaczego Sara, nie będąc krewną Irene, jest osobą upoważnioną na wszystkich formularzach.

W końcu niejaki doktor Ramos zaprowadził ich na OIOM do Irene. Spała głęboko, przykryta białym prześcieradłem. Jej szeroko otwarte usta

obejmowały plastikową rurkę o grubości piłki do tenisa. Sara od razu zaczęła płakać, a do George'a ledwo dotarły ciche wyjaśnienia lekarza, że będą musieli jeszcze trochę poczekać. Powiedział, że nie może odłączyć jej od respiratora, bo jest katolikiem i choć nikogo nie ocenia, odłączenie żyjącej kobiety od urządzenia podtrzymującego życie jest niezgodne z jego sumieniem. Sara, Jacob i George zaczęli jednocześnie drzeć się na niego, a William w milczeniu patrzył, jak ich podniesiony głos nie wywołuje na twarzy Irene żadnych reakcji. Doktor Ramos wyszedł i wszyscy się uspokoili. Czekali jeszcze prawie godzinę, aż znalazł się jakiś inny lekarz. Doktor Hanks przyszedł około piątej i rozpoczął procedurę.

Irene weszła do długiego wąskiego parku ciągnącego się wzdłuż rzeki, nie bardzo wiedząc, jak przejść na drugą stronę West Side Highway. W tym miejscu rzeka Hudson płynęła wartko, a w jej wodach fioletowym światłem odbijało się wybrzeże New Jersey. Nad rzeką wiatr powiewał we wszystkich kierunkach – ku strzelistemu szczytowi widocznej w dali katedry przy Uniwersytecie Columbia, z powrotem na Broadway i w głąb parku. Nagle coś zamajaczyło hen na wzgórzu. Wysokie, białe, greckie kolumny wznosiły się w mroku, podtrzymując wielką marmurową kopułę. Budowla wyglądała jak jakaś latarnia morska lub grobowiec. Chyba już tu kiedyś była? To musiało być dawno temu, inaczej zapamiętałaby to miejsce. Wysoka zaledwie na piętnaście metrów konstrukcja wyglądem przypominała Olimp ze stojącym na nim Panteonem. Teraz pchały ją tam wszystkie wiatry, jak gdyby one też chciały porozmawiać z bogami.

Nie była sama. Niedaleko, na jednej z ławek stojących wokół pomnika, pod stertą rozłożonych kartonów leżał mężczyzna. Nie ruszał się, a Irene doskonale wiedziała, że nie mógł przysnąć, bo tej nocy było za zimno na spoczynek, bez względu na to, z ilu kartonowych pudełek składał się twój koc. Jej czerwony płaszcz był już cały w błocie. Jeśli zaraz się nie ruszy, ona też zamarznie tu na

śmierć, zanim ta noc się skończy. I to by jej pasowało, pomyślała sobie. Umrzeć na mrozie jak bezdomna, którą w pewnym sensie zawsze była. Jedną z tysiąca osób, które były wszędzie, a jednocześnie nigdzie. Śmierć tutaj przypieczętowałaby jej życie. Polec w tym zaszczytnym miejscu, u stóp tego pięknego pomnika, w skradzionym płaszczu, w przemoczonych atrapach butów – to byłoby coś.

Siostra Moira była z nimi do końca. William nie dał rady. Pożegnał się i wyszedł, akurat gdy mieli wyjąć rurkę z tlenem. George i Sara podeszli do Irene, tuląc ją, ściskając i całując, ale ona ani drgnęła. Dopiero gdy Jacob podeszedł i szepnął jej coś do ucha, wszyscy dostrzegli, że lekko się uśmiechnęła. George i Sara chcieli wiedzieć, co takiego jej powiedział, ale Jacob im tego nie zdradził. W końcu pielęgniarka pomogła doktorowi Hanksowi wyjąć rurkę z gardła Irene. Patrzyli wszyscy w nadziei, że Irene znów otworzy oczy. Gdyby to zrobiła, zobaczyłaby, że są tam wszyscy, są przy niej.

Tylko że śmierć nie nadeszła. Irene próbowała spowolnić oddech i pozwolić, by to się stało. Na próżno. Wpatrywała się w zmatowiałą tablicę wbudowaną w kamienną ścianę, na której widniał napis:

POMNIK WZNIESIONY PRZEZ RADĘ MIASTA NOWY JORK DLA UCZCZENIA MĘSTWA  
ŻOŁNIERZY I ŻEGLARZY, KTÓRZY PODCZAS WOJNY SECESYJNEJ WALCZYLI W OBRONIE  
UNII

Nagle wszystko było nie tak. Nie była żeglarzem ani żołnierzem. Nie była Hektorem i nie stoczyła żadnej wojny. Z każdej strony otaczały ją marmurowe postumenty, z wygrawerowanymi nazwiskami ojców i synów, którzy zatonęli wraz ze statkami. Chłopców i mężczyzn, których z dala od domu pochłonięły lodowate wody oceanu. Miło tak skonać blisko swych braci. Jak to mówią?

Człowiek rodzi się i umiera w samotności? Czy ktoś jednak urodził się sam?  
I po co umierać samemu, jeśli się nie musi?

Złapała oddech, wstała i zaczęła iść z powrotem ulicą, mijając leniwą furgonetkę, z której wyładowywano paczki z jutrzejszymi gazetami. Niebo nad jej głową zaczynało jaśnieć. Rodzina, która towarzyszyła jej przy narodzinach, była teraz gdzieś bardzo daleko, ale jej druga rodzina, ta prawdziwa, była tutaj, w ciepłym sercu miasta. Jej członkowie spali jeszcze w mieszkaniu, które wyglądało jak z katalogu. Czekał tam stół nakryty do świątecznej kolacji.

Klatka piersiowa uniosła się, gdy próbowała wziąć oddech, lecz oczy pozostały zamknięte. Twarz Irene zmieniała się z każdą chwilą. Oddech stawał się coraz krótszy, aż w końcu trudno było stwierdzić, czy jeszcze istnieje. Jakby patrzyli na kogoś, kto idąc ulicą, zlewa się z horyzontem. Ostatecznie żadne z nich nie potrafiło dokładnie określić momentu, kiedy to się stało. Lecz wiedzieli, że byli w tym momencie razem.



*Lecz takim jest człek każdy, gdy życia dokona,  
Kiedy ciała i kości z sobą nic nie sprzęga;  
Wszystko strawi płomieni niszcząca potęga,  
Odkąd z białymi kośćmi życie się rozbrata,  
A dusza, jak sen lekka, w otchłanie ulata.*

Homer, *Odyseja*  
tłum. Lucjan Siemieński

*Wszystko trwa dłużej, niż myślisz.*

Drugie prawo Murphy'ego

## Dlaczego wyjechaliśmy z miasta

Wyjechaliśmy z miasta z właściwych pobudek, a przynajmniej tak nam się wtedy wydawało. Chcieliśmy przeżyć coś więcej i nie chcieliśmy już tracić czasu, czekając na stacjach metra. Mieliśmy już dość rosnącego czynszu za tych kilka metrów kwadratowych. Mieliśmy już dość proszenia się, by właściciel kolejny raz naprawił tę samą lodówkę. Nie mieliśmy ochoty przeprowadzać się po raz dwunasty. Przemierzając mosty i tunele, mieliśmy nadzieję, że jednak zwrócą nam kaucję. Żegnaj gościu grający na oboju w mieszkaniu obok! Żegnajcie staruszkowie po drugiej ulicy, co nie zasłaniacie okien ani swych ciał. Gdzie indziej będziemy mieć własny kąt. Gdzie indziej będziemy mieć swój samochód! Gdzie indziej będziemy kimś innym, a może utracona najlepsza część nas samych czeka na nas tuż za rogiem. Nocami leżeliśmy w łóżkach, zastanawiając się, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy nie byli tacy nerwowi i rozdrażnieni.

Niektórzy z nas próbowali z tym walczyć, rozpaczliwie domawiając kilka drinków przed zamknięciem baru. Dzieliliśmy, a potem znów przedzielaliśmy jeden pokój na dwa mniejsze ścianką gipsowo-kartonową. Pracowaliśmy na dwa, trzy etaty. Sięgaliśmy wyżej i dalej. Greenpoint stawał się nowym Lower East Side, a potem Bushwick stawał się nowym Greenpointem, a BedStuy nowym Bushwickiem. Ci, których tam zostawiliśmy, czekali, aż po nich wrócimy. „Kiedy to się skończy?” – pytali nas. „Przepraszam”, mówiliśmy.

„Nie potrafię przestać”. Potem oglądając się przez ramię, pytaliśmy: „To już?”. Świadomie mówiliśmy o oprocentowaniu, ale nikogo nie spytaliśmy, jaką wartość ma nasz czas. Wydawało się, że gdzie indziej dadzą nam jeszcze więcej. Inne miasta i miasteczka obiecywały nam dodatkowe korzyści, dawały lepsze oferty. Zawsze przecież możemy tu wrócić, czyż nie? Tutaj osiągnęliśmy już wszystko, co można było osiągnąć. Czyż nie mówiono nam, że skoro tu nam się udało, to uda nam się wszędzie? Tylko żadne z nas nie potrafiło powiedzieć, na czym tak naprawdę ten nasz sukces polega.

Chcieliśmy osiągnąć sukces – jak najszybciej i w pochopnych przedsięwzięciach! Kiedyś pracowało się w jednym miejscu dziewięć lat. Teraz w ciągu roku zmieniało się pracę dziewięć razy. Marzyliśmy o tym, by nas zwolnili. „Pozwólcie nam odejść!” – wołaliśmy. „Następnym razem wszystko zrobimy inaczej”. Zaczęliśmy ranić się nawzajem i obrażać wszystkich dokoła. Czarne chmury ciągnęły się za nami, gdziekolwiek szliśmy, a przyjaciele polecali nam nowe studio jogi, dietę bezglutenową i ogródki balkonowe. Lekarze przepisywali coś na sen, dawali nam leki, byśmy mogli się uśmiechać i normalnie funkcjonować. Baliśmy się wyjechać na urlop, bo nie wiedzieliśmy, czy będziemy potem w stanie wrócić do pracy.

Nadszedł wreszcie czas. Przyszła chwila, gdy barman znał imiona naszych żółwi. Czas, gdy dziewczyna na Franklin Avenue obrzygała nam buty wegańskimi tacos. Moment, gdy w barze kawałek blachy odpadł z sufitu i roztrzaskał dzbanek z negroni. Moment, gdy zorientowaliśmy się, że gitarzysta z zespołu otwierającego koncert to ten sam, który kiedyś grał przed sklepem Met Foods. Moment, gdy już po raz osiemnasty wózek zablokował nam wyjście z lokalu, gdzie jedliśmy brunch. W parku znajdowano zakrwawione owcze głowy. Cena burgera w Midtown sięgnęła dwudziestu dziewięciu dolarów. Znaliśmy już swoje strefy zalewowe. Nasz szef zapisał się na CrossFit. Pojawiło się nowe stare muzeum, wystawiano kolejny musical

Disneya i organizowano kolejny zjazd dla fanów przetworów i marynat. Zawieszono kurs pociągu L na następne dziewięć weekendów. Cena biletów na metro znowu wzrosła. Prawie już tego nie zauważaliśmy, a to przerażało nas najbardziej.

Niezwykłe było to, jak szybko i nieświadomie popadaliśmy w rutynę, kursując tą samą trasą od drzwi mieszkania do windy w biurowcu, wstępując po drodze po kawę i bułeczki z czekoladą do tej samej kawiarni, gdzie wiecznie zmieniali się pracownicy. Na lunch były te same sałatki na wagę i kanapki z lodówki. Teraz zamawialiśmy kolację jednym kliknięciem klawisza. Ten sam klawisz, ta sama kolacja. Nawet nie trzeba było nic mówić. Te same bary, te same napoje, nawet te nowe (szczególnie te nowe), a potem powrót taksówką do domu, bez patrzenia w okno.

W niektórych częściach miasta nie byliśmy od lat. Przypominały nam tych, którzy nas zostawili, a my wymazaliśmy te miejsca z naszych map. „To już nie to samo”, mówiliśmy, „to już po prostu nie to samo. Nie to co dawniej”. Nigdy nie sprecyzowaliśmy, co kryje się za słowem „dawniej”, ale każdy wiedział, o co chodzi. Czuliśmy niemal taką samą niechęć do tych, którzy odeszli, jak do tych, co zostali, bo ci nam nie wystarczali. Jak stare drewno, rozpadaliśmy się pod dotknięciem palca, aż staliśmy się małą drzazgą w koniuszkach palców.

Jakże zakurzone i sfatygowane były miejsca, których tak uporczywie się trzymaliśmy. Tkwiłyśmy w schematach, gdzie wszystko było ustalone. Chcieliśmy się stamtąd wydostać. Chcieliśmy zobaczyć światło księżyca pośród gór. Pooddychać suchym powietrzem i pić miękką wodę. Zaczęliśmy budować nasze zamki na piasku, mając nadzieję, że prędzej czy później się do nich wprowadzimy. Każdy nowy dzień przychodził mechanicznie, niczym nie różniąc się od poprzedniego. Coraz mniej spaliśmy, zanurzeni w ciemnościach w ciągu dnia i grzani sztucznym światłem w niekończące się wieczory. I dopiero gdy wreszcie zdobyliśmy się na to, by wstać i wyjść, dotarło do nas,



że tak naprawdę od lat nas już nie ma.

# Zugzwang, oddział trzeci, 2010

## Styczeń

Podczas pierwszego roku pracy w Anchorage House Jacob każdego dnia radośnie wysiadał z autobusu tuż przed stróżówką, w której siedział Winston, ochroniarz. Gdy inni jechali do tych swoich wysokich białych biurowców, on musiał jedynie pomachać Winstonowi, by ten otworzył mu okazałą bramę z kutego żelaza. Szedł żwirową drogą, mijając walące się stajnie i szare dęby. W poprzednim życiu posiadłość ta była siedzibą żeńskiego Zakonu Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia, przed którą stał wielki posąg Jezusa. Teraz mieścił się tu oddział psychiatryczny na sto dwadzieścia pięć łóżek, przyjmujący pacjentów z ubezpieczeniem Blue Cross/Blue Shield, United Healthcare i Medicaid. Był to ośrodek dla nastolatków cierpiących na szereg chorób psychicznych lub wymagających szybkiej stabilizacji w „bezpiecznej całodobowej przestrzeni terapeutycznej”. Monument przedstawiający Chrystusa przeniesiono na tyły budynku, obok miejsca, gdzie spoczywały siostry.

Pierwszego roku Jacob przychodził do pracy wcześniej, by móc spędzić godzinę pod wielką wierzbą przy stawie. Czując się jak Keats, gapił się na iglice na połatanych i ciekących dachach budynków, które, jak sobie wyobrażał, były domami garbusów i gargulców. W bezksiężycowe noce, na ostatniej zmianie, wymykał się z budynku i przechadzał się po ośnieżonym

cmentarzu, który wciąż rościł sobie prawo do ciał kilkudziesięciu poślubionych Chrystusowi. Czuł klucie pod żebrami, gdy ich cienie szeptały mu do zmarzniętych uszu wiersze.

Teraz jednak widok tej wielkiej szarej fortecy nie wzruszał już Jacoba powracającego do pracy. Wpatrywał się w pokryty breją podjazd, uważając, by się nie poślizgnąć i nie złamać sobie karku. Kaczki odleciały już na południe, a oblodzony staw stał się przezroczystym więzieniem dla zeszłorocznych liści i śmieci, które wiatr zwał tu z Chinese Boys Academy po drugiej stronie ulicy. Jacob przystanął przy nim na chwilę, próbując nie myśleć o tym, że doskwiera mu dojmujące zimno, i zastanowił się, jak do tego wszystkiego doszło – jak się tutaj znalazł.

Dostał tę pracę głównie z powodu swoich okazałych rozmiarów – tego był pewien – i przyjął ją, gdyż pisanie wierszy nie było zbyt dochodowym zajęciem. Pamiętał, jak pewien profesor, posiwiasty poeta Penn Hazelwood, powiedział im kiedyś: „Zatrzymajcie kogoś na ulicy i poproście, by wymienił nazwisko żyjącego poety. Dziewięć na dziesięć osób wymieni Roberta Frosta albo Szekspira albo innego poetę, który nie żyje od dziesiątek lub setek lat. Ktoś powie: Billy Collins. I pozamiatane, patałachy. Wybaczcie, że was w to wciągnąłem”.

Siedząc przy stawie, Jacob zamknął oczy i bez trudu przywołał obraz Irene tuż po tym, jak umarła. Nigdy wcześniej nie widział takiego odcienia bladości. Nie wiedział, jak wygląda ludzka skóra, gdy nie krąży pod nią krew. Łatwo sobie przypomnieć, lecz trudno o tym myśleć. W pamięci powrócił jednak do chwili tuż przed jej śmiercią, kiedy, jak to on, postanowił mieć ostatnie słowo. Gdy pielęgniarki zwiększały dawkę morfiny i przygotowały się do wyjęcia rurki respiratora, podszedł do niej i zdążył szepnąć jej coś do ucha, zanim go stamtąd przegoniono. Przysięgłby, że widział, jak kąciki jej ust drgnęły. Sarze powiedział, że szepnął Irene, iż w szpitalnej koszuli do złudzenia przypomina

Grace Kelly z *Okna na podwórze*. George'owi, że wreszcie przyznał się Irene, iż kompletnie zapomniał o podlewaniu kwiatków, gdy trzy lata temu wyjechała na północ. To jednak były kłamstwa. Bo jego zdaniem tylko dwie osoby powinny znać prawdziwą treść jego słów. Z tych dwóch osób żyje już tylko jedna.

Przynajmniej wewnątrz Anchorage House było ciepło. Poczł pod palcami znajomy kształt gałki z szyfrem do szafki: 3-8-25, w której od listopada wisały kitle sanitariuszy, wciąż lekko pachnące wybielaczem. W męskiej toalecie to samo stare graffiti – siedmiocentymetrowy włochaty penis, słowa piosenki Young Jeezy'ego (z błędami), adres e-mail dla zainteresowanych propozycją spędzenia czasu w miłej atmosferze: [bibguy4you@msn.com](mailto:bibguy4you@msn.com). W swoim czystym białym uniformie czuł się jak ktoś zupełnie inny, jak nowo narodzony, a nie ktoś, kto czterdzieści dni temu patrzył, jak umiera jego przyjaciółka.

Drzwi do oddziału trzeciego były zabezpieczone zamkiem na kartę magnetyczną, ale już za nimi drzwi do gabinetu Olivera stały otworem, zarówno dla pacjentów, jak i personelu. Ponieważ nikt nie wiedział, że się spotykają, Jacob rzucił zwykle „cześć”, lekko stukając we framugę. Oliver rozmawiał z Sissy Coltrane, szefową arteterapii, lecz zamiast odpowiedzieć, zastygł, jakby zobaczył ducha. Sissy odwróciła się, robiąc wielkie oczy. Jacob sam tyle razy obgadywał ludzi za ich plecami, że od razu się zorientował – musieli rozmawiać o nim.

– Wróciłeś! – zaszcebiotała Sissy, ruszając spiesznie w kierunku drzwi z szeroko otwartymi ramionami osłoniętymi drapiącym wełnianym bezrękawnikiem. Człł się, jakby przytulił ptasie gniazdo. – Brakowało nam ciebie! Oliver mówił, że jesteś z przyjaciółką w szpitalu! Biedactwo, musi być ci ciężko. Moja mama miała kiedyś operację stożka rotatorów i sześć tygodni spędziła w łóżku. Wciąż mam to przed oczami. Okropne. Tak czy inaczej, mam

nadzieję, że wszystko się udało...

Mówiła dalej, ale Jacob, zamiast słuchać, skupił swój wzrok na Oliverze. Było jasne, że powiedział Sissy o Irene. Tylko czemu nie powiedział jej, że Irene umarła? Oliver przeprosił go, bezgłośnie poruszając wargami za plecami Sissy i rzucając mu to swoje bezradne spojrzenie. No bo niby skąd miałyby wiedzieć o sprawie dla Jacoba tak osobistej?

Jacob nie wiedział, co powiedzieć. To Sara obdzwoniła ludzi, gdy było już po wszystkim. Potem zamieściła tego strasznego posta na Facebooku, na tablicy Irene, co wywołało komentarze zrozpaczonych „przyjaciół”, którzy tak naprawdę nie rozmawiali z nią od pięciu lat. Długie wiadomości. Długie pamiątkowe wpisy opatrzone smutnymi buźkami i serduszkami. Jacob czytał każdy wpis, czekając, aż któryś naprawdę go rozklei. A co? Wszyscy dookoła płakali. Nawet George pochlipywał, gdy pomagał mu wycinać nekrologi z wszystkich gazet, do których Sara wysłała wiadomość. Jacob jednak siedział tam z nożyczkami w ręku, nieludzko cichy i spokojny, tak jak teraz w drzwiach gabinetu Olivera. Z oczu Sissy już zaczęły płynąć łzy.

– No cóż, nie. Nie udało się... nie dała rady.

Sissy, przerażona, odwróciła się w stronę Olivera, uwalniając go ze swoich objęć.

Oliver patrzył strapiony, jakby Jacob był gmatwaniną drucików połączonych z substancją wybuchową, które celowo kopnął. Jednak Jacob już przywykł do tego spojrzenia. Wszyscy patrzyli na niego w ten sposób, odkąd to się stało. Oczekiwali, że komu jak komu, ale jemu zaraz puszczą nerwy. Jak by nie było, z tego zawsze słynął Jacob Blaumann. Jednak nie doczekali się – nie było już „zawsze”. Sara, George, Oliver, jego własna matka – wszyscy powtarzali mu nie raz: „Daj upust swoim emocjom. Wyrzuć z siebie tę złość! Wpadnij w szal, uderz pięścią w mur, a poczujesz się lepiej”. Jednak on był winien Irene coś więcej. I chciał spłacać dług aż do końca swych dni. Długo

po tym, jak wszyscy inni zapomną, on pozostanie zimnym kamiennym pomnikiem pamięci Irene. Więc jedynie grzecznie podziękował i zostawił ich samych, mając nadzieję, że nie wyszedł na wariata.

## Luty

Jacob miał za zadanie monitorować grupę doktora Feingolda, która spotykała się o ósmej trzydzieści w świetlicy – kilka kanap stojących naprzeciwko siebie, parę głębokich foteli ustawionych przodem do okna. Jacob siedział w kąciaku z grami planszowymi, podczas gdy zgromadzeni pacjenci mówili o tym, czego boją się najbardziej.

– Samotności – powiedziała Jane, z wzrokiem martwym po seconalu.

– Groszków – wyznała Annabeth, bulimiczka, która w pewnym momencie ważyła zaledwie trzydzieści dziewięć kilo.

Jamal chrząknął i rzekł:

– Spadania. W sensie: z bardzo wysokiego budynku.

Doktor Feingold przyjaźnie potakiwał głową, wysłuchując wszystkich wyznań, jakby każda z tych odpowiedzi była bystra, a jednocześnie pouczająca. Końcówką pióra wskazał na dziewczynę w okularach o szklach grubych jak dna butelek od piwa. Doktor Feingold zawsze zwracał się do pacjentów na terapii grupowej w kolejności przeciwnej do ruchu wskazówek zegara. Mimo to dziewczyna podniosła rękę – pięć obgryzionych paznokci odważnie celujących w sufit. Jacob nie rozpoznał jej, co nie oznaczało wcale, że była nowa.

Zgodnie z polityką ośrodka nie należało bratać się z pacjentami. Pacjenci mogli próbować wykorzystać osobiste informacje. Zawsze kombinowali, jak tu dostać lepsze jedzenie, osobny pokój, wyjście na zewnątrz pod opieką opiekuna. Nie mógł przecież w jednej chwili rozmawiać z nimi o ulubionych filmach, a w następnej powalać ich na podłogę, gdy wydawało im się, że

naślane przez ich ojczyma goryle przychodziły po ich nerki, by sprzedać je na czarnym rynku.

Jednak ta dziewczyna nie wyglądała na aż tak zwariowaną. Z powagą, w którą Jacob nie wątpił, wyznała:

– Najbardziej boję się, że umrę, nie osiągnąwszy niczego istotnego.

Pozostali członkowie grupy w milczeniu przewrócili oczami.

– Dziękuję, Ella. To było bardzo odważne wyznanie – powiedział uprzejmie doktor. Ella opuściła rękę i spokojnie złożyła ją na kolanach. Grzecznie przeniosła wzrok na siedzącego obok chłopca, który zaczął mówić o swoich lękach związanych ze skorpionami.

Coś w tej dziewczynie nie dawało Jacobowi spokoju. Zwykle z łatwością potrafił to nazwać, gdyż każdy, kto trafił do Anchorage House, miał jakieś tam odchyły: blizny na nadgarstkach, poślizgnięcia od wymiocin zęby, łysy placki na głowie po wyrwanych włosach. Jacob wiedział, kto ma zmęczone oczy po porannej dawce xanaxu, a kto się drapie po rękach w reakcji na ativan. Ale w tej dziewczynie nie dostrzegł nic, co wskazywałoby na to, że ewidentnie jest z nią coś nie tak. Ella Yorke, jak wynikało z jego listy, siedziała prosto, podczas gdy reszta była zgarbiona. Uśmiechała się cierpliwie, ale nie był to ten błogi uśmiech wywołany lekami przeciwlękowymi ani ten sarkastyczny uśmiech kogoś z manią wyższości. Gdy z empatią potakiwała głową, przysłuchując się chłopcu od skorpionów, do Jacoba zaczęło docierać, że jej uśmiech był prawdziwy. Chyba od lat nie widział drugiego tak szczerego.

Zanim ich oczy zdążyły się spotkać, Jacob spuścił wzrok, przyglądając się szachownicy z niedokończoną partyjką. Próbował określić, kto wygrywa. Czarny król był na zdecydowanie bezpieczniejszej pozycji, a biały oskrzydlał lewą stronę. Jacob jeszcze przez chwilę studiował planszę, usiłując przewidzieć następny ruch, ale utknął. Nie widział, do kogo należy. Jeśli do tego, który gra białymi, to białe mają problem, gdyż oba laufry są na pozycji

zagrożonej. A jeśli ruch należy do czarnych, to nawet jeśli zbiją któregoś z gońców, za każdym razem wystawią królową białemu skoczkowi... Jacob poczuł wibrację telefonu w kieszeni.

Sara wysyłała mu teraz wiadomości dwa, trzy razy w tygodniu. „Kiedy przyjedziesz do Bostonu? Napisz dla mnie jakiś wiersz! Czy wciąż spotykasz się z tym doktorkiem? Czemu nie rzucisz w cholerę tej roboty i nie przyjedziesz tutaj łapać homary?”. Odpowiadał jej bardzo zdawkowo. „Gdzie? Nie. Tak. Faj”. Bardzo ekscytowała się tym, że amerykańska drużyna ma szansę na złoto w Vancouver, a on? Już zaczął odpisywać, że bojkotuje olimpiady od 393 roku, gdy cesarz Teodozjusz I Wielki uznał je za relikty pogaństwa, ale skasował wiadomość. Jak ona mogła być tak radosna? Jak mogła oglądać sport w telewizji? Wciąż gniewał się na Sarę, że wściekła się na niego, gdy nie pojawił się na stypie w zeszłym miesiącu (choć kilka razy mówił jej, że nie przyjdzie). Jacob nie widział powodu, by przyjść i upić się w towarzystwie ludzi udających artystów, którzy nawet nie znali Irene. Była dla nich jedynie tą dziewczyną od płaszczy. Jacob wyobrażał sobie, jak stojąc z koktajlami w rękach, pocąc się pod warstwami wełny i zastanawiając się, gdzie, do cholery, podziła się ta dziewczyna od płaszczy? Kiedy następnego dnia na Facebooku pojawiły się zdjęcia, cieszył się, że go tam nie było. Jakim prawem oni się uśmiechali? Jak śmieli stać tam w tych swoich butach od Louboutina, trzymać w ręku kopertówki od Michaela Korsy i umazane szminką plastikowe kubki i słuchać piosenek puszcanych z iPody Irene?

Kim byli ci wszyscy ludzie? Jeśli uważali się za jej przyjaciół, to gdzie byli przez cały rok? Jak mogli bawić się, skoro to, co zostało po Irene, mieściło się w tej ohydnej tandetnej metalowej urnie, którą George wybrał z katalogu domu pogrzebowego i która stała tam z tyłu na półce? Tyłu artystów, a nikt nie mógł wyrzeźbić dla niej cholernej urny? Zresztą znając ich, może to i dobrze, bo jej prochy mogłyby teraz unosić się w butelce wypełnionej uryną.



Wielka strata czasu, pieniędzy, talentu i życia. Sara była w trakcie rozmów z Juliette i Abebą na temat otwarcia wielkiej wystawy dzieł, które Irene po sobie pozostawiła. Tego już Jacob nie potrafił zdzierżyć. Wiedział jednak, że nikt go nie zrozumie. Ona wykonała je wszystkie, bo uwielbiała to robić. Jej nigdy nie chodziło o zdobycie uznania ani o to, by coś sprzedać kolekcjonerom sztuki. Jej prace były własnością muzeum, jej własnego muzeum. Powinien sam się tym zająć. Powiesić je gdzieś w jakimś dobrym świetle, a potem zamknąć drzwi na kłódkę, zanim ktokolwiek je zobaczy.

Sara po prostu chciała to mieć za sobą. Wkleić do albumu z wycinkami, zamknąć go i rozpocząć nowy rozdział w swoim życiu. Zacząć nowe życie w Bostonie jako żona George'a Murphy'ego, kobieta niecierpiąca. Nalegała, by spotkał się z nią i przejrzał książki oraz inne rzeczy, które zostały po Irene, i żeby wspólnie zdecydowali, co zostawić, a co oddać w ramach darowizny. Prosiła go, by skontaktował się z Williamem, który nie odezwał się do niej od stypy. Przynajmniej on na zdjęciach wyglądał przyzwoicie, to znaczy jakby przez miesiąc nic nie jadł. Sara i George natomiast tryskali radością. I do tego ta nowa fryzura Sary! Cieniowany bob pasujący do jej nowego stanowiska – specjalistki ds. mediów społecznościowych w „The New Bostonian”.

George w tej swojej głupiej harwardzkiej muszce. Jacob nie mógł na to patrzeć. Przynajmniej oni powinni zrozumieć. Irene ścina nam włosy! – chciał napisać w komentarzu. George, co zrobiłeś z garniturem, który obrobiła ci Irene? Ale nie będzie tracił panowania nad sobą. Niech się zastanawiają dlaczego.

– Nie przypuszczałbym, że jesteś miłośnikiem szachów, Jacob – powiedział doktor Feingold. – Dobry jesteś?

Jacob podniósł głowę i zorientował się, że w świetlicy zostali już tylko on i doktor.

– Tak naprawdę to jestem Bobbym Fischerem w przebraniu – powiedział. –

Tylko proszę nikomu nie mówić.

– O ile pamiętam, Bobby Fischer nie żyje.

Jacob przyłożył palec do ust. Doktor Feingold przez chwilę gładził się po łysinie.

– Posłuchaj, jesteś Żydem, prawda?

– Jacob Blaumann? – zaśmiał się. – Zdeklarowany Irlandzki katolik.

Doktor uśmiechnął się.

– Wiesz, Sissy wspominała mi o tym, co stało się z twoją przyjaciółką.

– Ach tak?

– Wspomniała o tym na naszym ostatnim spotkaniu.

– Myślałem, że Sissy ma magistra z robótek ręcznych.

Doktor Feingold parsknął śmiechem.

– Słuchaj, zastanawiałem się, czy byłeś w synagodze. Pomyślałem, że może nie znasz żadnej dobrej w okolicy.

– Dzięki, ale ja nie z tych, co chodzą do świątyni.

Doktor Feingold wciąż jednak miał poważną minę.

– Powinieneś iść. Pobyć z innymi. Zmówić żałobny kadisz i tak dalej. Wiem, że to wszystko zalatuje stęchlizną, ale gdyby to nie działało, nie uciekalibyśmy się do tradycji. Kilka lat temu zmarł mój ojciec. Rak trzustki. Potwornie bolesny, ale przynajmniej postępuje szybko, bo nic nie da się zrobić.

– No tak – powiedział Jacob, wyjmując z kieszeni telefon, jakby właśnie poczuł, że dzwoni. I rzeczywiście, był tam SMS od Sary.

„Wysyłam zawiadomienia o naszym ślubie...”. Wepchnął telefon z powrotem do kieszeni. Ten znów zadzwieczał, ale Jacob już wiedział, że w następnej wiadomości będzie: „Podaj mi twój adres”. Od grudnia nie był w swoim mieszkaniu pod kościołem ani nawet w mieście. Nie miał tam już żadnych znajomych.

– Tak czy inaczej, kiedy zmarł mój ojciec, mój rabin powiedział mi, żebym zrobił sobie rok wolnego. Nie podejmował żadnych wielkich decyzji. Nie zmieniał pracy, nie wchodził w żaden nowy związek, nigdzie się nie przeprowadzał.

– No tak, bardzo mądrze. Poczekać, aż wszystko się ułoży. Pewnie, że tak.

Jednak ostatnią rzeczą, jakiej Jacob pragnął, było zostać tu w tej pracy bez szans na przyszłość. Najwyższy czas coś zmienić. Od śmierci Irene rozważał kilka tysięcy możliwości ucieczki. Pojedzie do Bostonu, by być bliżej George’a i Sary. Wybierze się na wędrowkę po Szlaku Appalachów. Dołączy do sekty w Costa Mesa. Odkurzy swoją pracę naukową i znów wróci na Yale. Wszystko to brzmiało dobrze w teorii – podobnie jak płacz. Z praktyką było już gorzej.

– No i? – spytał Jacob.

– Co?

– Jak to się skończyło?

Doktor Feingold zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie powiedział:

– No cóż. Wciąż tu jestem.

## Marzec

Na oddział trzeci trafiali pacjenci, którzy w ośrodku Anchorage House spędzili więcej niż trzydzieści dni. Większość dzieciaków wychodziła przed upływem tygodnia. Kierowali ich tu psycholodzy, specjaliści od zarządzania kryzysowego, pracownicy opieki społecznej albo po prostu sąd. Pacjenci często potrzebowali jedynie krótkiej przerwy: uporządkowanego rytmu dnia, zwięzłej porady, dowodów empatii podczas sesji grupowej i jakichś medykamentów. Część dzieciaków już była na lekach, gdy tu trafiła; wielu przestało brać to, co kazano im zażywać. Kilka dni, tydzień, i większość znów miała poukładane w głowach. Mogli zostać na oddziale drugim przez

kolejnych dwadzieścia jeden dni. Tam lekarze pomagali im, jak mogli, a potem albo wypuszczali ich do domu, albo kierowali ich do jakiejś innej kliniki, albo na oddział trzeci, do grupy doktora Boujedry. Na dłuższy postój.

Dzieciaki na oddziale trzecim nie były jeszcze na tyle zdrowe, by wypuścić je do domu, ani też na tyle chore, by wysłać je gdzieś indziej. Ospałe, zmęczone życiem, siedziały ponuro w psychiatrycznym czyścicu, gdy inni przychodzili i odchodzili. Kilkoro przebywało tam już od ponad roku – ich rodzice byli zadowoleni, że mają problem z głowy: oni płacą, a dzieciaki są bezpieczne. Niektórzy nawet czuli się tu jak w domu, czekali na swoich Godotów, podczas gdy wykwalifikowani specjaliści codziennie wysłuchiwali tego, co myślą i co czują. Bo w realnym świecie wcale nie było tak fantastycznie. Jacob w pewnym sensie ich rozumiał, bo któż nie chciałby otaczać się ludźmi, którzy mają nadzieję, że wkrótce wyzdrowiejesz?

Podejrzewał, że Ella Yorke jest w tym ostatnim obozie. Wydawała się niemal szczęśliwa z pobytu tamże, zgłaszając się podczas sesji grupowych, czekając w kolejce do prowizorycznej biblioteki, z ciekawością patrząc przez okno, uśmiechając się w ten irytująco szczery sposób. Jacob godzinami wyobrażał sobie, jak tu trafiła: przeżyła trudne rozstanie, na angielskim napisała jakąś dramatyczną odę do ostrych sztucców w stylu Sylvii Plath, trafiła na zakompleksionego nauczyciela, wpadła w histerię, zadzwonili po ochronę... i tak dalej, et cetera? A może jednak była typem bardziej skrytym? Wagarowała, oglądając w domu kanał z serialami, najpierw po kilka godzin dziennie, potem po osiem, potem dwanaście, dwadzieścia? Kto wie? Mogła być totalnie szurnięta, po kryjomu zbierając zawlecзки z puszek po napojach, by handlować nimi z przybyszami z Plutonu, którzy z ludzkich płatków usznych robili paliwo.

Jednak Jacob sam nie wierzył w to, że któryś z tych powodów może być prawdziwy. Największą aberracją w jej zachowaniu była szczerść do bólu

i prawdziwość. Ciągle miał nadzieję, że pewnego dnia przyjdzie i dowie się, że ją wypuszczono, ale gdy wracał, ona wciąż tu była. To przypominało mu tylko, że on też ciągle tu jest. Niby nie wziął sobie do serca rady doktora Feingolda, by przez rok nie decydować się na jakieś wielkie życiowe zmiany, ale za każdym razem, gdy pojawiał się pomysł, żeby się za coś wziąć, wymigiwał się od tego.

– Dlaczego nie wrócisz na studia i nie zrobisz magistra? – spytał Oliver, leżąc w łóżku obok Jacoba. – Nie sądzisz, że Irene tego właśnie by chciała?

Jacob gapił się na biały dywan nieba nad Connecticut. Czego Irene pragnęłaby dla niego? Na to pytanie mógł odpowiedzieć za każdym razem na dziesięć różnych sposobów.

– Albo spróbuj czegoś nowego, jeśli chcesz. Jacob Blaumann – rozmarzył się – magister prawa! Mógłbyś zrobić swoją własną operę mydlaną.

– Tu nazywamy je serialami – powiedział Jacob. – Opera to utwór muzyczny. – W rzeczywistości Jacob lubił, gdy Oliver wtrącał jakieś brytycyzmy z czasów, gdy chodził do szkoły w Anglii. Wyobrażał sobie go wtedy jako młodego ucznia w internacie, który w soboty oddaje się lenistwu w męskim towarzystwie. W tygodniu rzadko bywał w nastroju, ale w soboty zachowywał się jak chichotliwy nastolatek, który niedawno odkrył to sekretne zajęcie.

– Jacob Blaumann, pan i władca! – powiedział Jacob, robiąc z ramion ramy ekranu telewizyjnego.

– Majstersztyk! – przyklasnął Oliver, a Jacob wstał, by wziąć prysznic. Kilka minut później starał się nie usłyszeć, jak Oliver szepce do kogoś przez telefon: – Nie, wydaje mi się, że jest w lepszym stanie.

Pod koniec marca Jacob miał popołudniową zmianę, co oznaczało, że będzie nadzorował grupę Sissy Coltrane w laboratorium (jak sama nazywała to miejsce) arteterapii. Sissy prowadziła zajęcia, wykorzystując zadania na

poziomie gimnazjalnym: szkicowanie swoich butów, rzeźbienie miseczek, wystukiwanie piosenek harcerskich na tamburynach. Normalnie poprosiłby Olivera, by go stamtąd wypisał, ostatnio jednak nie narzekał. Przez chmurę glinianego pyłu unoszącego się nad nieudaną ceramiką Jacob co rusz spoglądał na Ellę Yorke.

Wcale nie szukał informacji na jej temat, notował jedynie, gdy jakaś się pojawiła. Paul, inny sanitariusz, powiedział mu, że Ella ma siedemnaście lat i że była już w Anchorage House czterokrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat. Tym razem przyjęto ją podczas bożonarodzeniowej gorączki i po trzydziestu dniach obserwacji zdecydowano, że zostaje. Podobno była tak bystra, że pomimo sporych nieobecności w szkole ukończyła ją z bardzo dobrym wynikiem, plasując się w czołówce klasy i uzyskując wstęp na Uniwersytet Columbia. Jednak po pierwszym semestrze znów była na zwolnieniu lekarskim.

W tym tygodniu Sissy kazała im namalować swoje autoportrety farbami akrylowymi. Każdy dostał płótno sześćdziesiąt centymetrów na dwadzieścia i kieszonkowe lusterko. Ella pracowała nad swoim autoportretem, przez dwa dni zmazując narysowane linie i nakładając je ponownie, robiąc kilka kroków w tył, by zobaczyć, jak rysunek wygląda z daleka, a następnie dokonując kilku poprawek. Kiedyś przez całą godzinę mieszała brązową farbę z odrobiną umbry, dodatkiem ochry i krztyną koloru czarnego jak smoła, by uzyskać właściwy odcień. Przystawiła pędzel do swoich włosów dla porównania.

Jane i Annabeth zachichotały. Na kaftany narzuciły plastikowe worki na śmieci, a pędzle trzymały z dala od siebie, jakby były agentkami z Centrali Kontroli i Prewencji Chorób, a ta farba była jakimś śmiertelnym patogenem. Jacob miał wielką ochotę namalować kilka kropek na obrazie Annabeth. Chłopcy nie postarali się, przedstawiając siebie jako postaci z kreskówki, z patykowatymi rękami trzymającymi kije do hokeja i za kierownicą

samochodów wyścigowych. Grali w piłkę papierowymi kulkami.

Kiedy wszyscy myli już pędzle w zlewie, Ella nadal siedziała przy stole, nakładając farbę na płótno, a potem mocząc ją w słoiku z brunatną wodą. W końcu ostatni raz z wyraźną dezaprobatą spojrzała na obraz i pochylając się do przodu, przywarła policzkami do chropowatej jak księżyc powierzchni poplamionego zeschniętą farbą stołu.

Sissy zajęta była dziewczętami przy zlewie, więc Jacob podszedł do Elli zobaczyć, czy nic jej nie jest.

– To nie musi zawisnąć w galerii sztuki – powiedział.

– Proporcje są zachwiane – odpowiedziała. – To wszystko przez te głupie lusterka. Ich obraz jest wykoślawiony.

Rzeczywiście, te tanie kieszonkowe lusterka ukazywały obraz tak pofałdowany jak odbicie świata w zmarszczonej wiatrem kałuży, która nagle by zamarzała.

– Szklanych nam nie dadzą – wymamrotała Ella. – Ktoś mógłby, no wie pan... – Jacob pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Spróbować dowiedzieć się, kto jest najpiękniejszy na świecie?

Ella roześmiała się tak głośno, że zaskoczyła chyba nawet samą siebie. Podniosła w górę głowę i zasłoniła usta ręką, ale Sissy nawet nie patrzyła w ich stronę. Jacob pochylił się, by lepiej przyjrzeć się portretowi. Nie tyle chodziło o koślawość, ile o pusty uśmiech – zaciśnięte zęby i usta w ciup, jakby dziewczyna na obrazie ssała kwaśnego cukierka.

– Tutaj leży problem. Uśmiech tak nie wygląda. Tak wygląda ktoś, kogo operują bez znieczulenia.

Ella uśmiechnęła się tak szeroko, że uniesione policzki niemal zasłoniły jej ciemnobrązowe oczy.

– Widzisz, o to chodzi. Narysuj to.

Ella zastygła, szybko podniosła lusterko i spojrzała na swoje w nim

odbicie.

– Wyglądam jak... jak...

– Jak co?

– Jak psychicznie chora.

Jacob roześmiał się tak nagle, że musiał zakryć usta. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz coś go tak rozbawiło w pracy albo nawet gdy był sam na sam z Oliverem.

Ale Ella najwyraźniej nie widziała w tym nic śmiesznego. Znow opuszcza głowę na stół.

– Nic dziwnego, że w moim życiu miłosnym wieje nudą.

– Wiesz, nie powinnaś oceniać uśmiechu na podstawie tego jednego uchwyczonego – powiedział Jacob. – Te na wolności są o wiele ładniejsze. Widzisz, o tak, właśnie tak.

Ella znow spojrzeła w lustro.

– To błędne koło. Patrę w lustro, nienawidzę tego, co się w nim ukazuje, potem to maluję, nienawidzę tego, co namalowałam, i znow patrzę na siebie w lustrze nienawidzącą tego, co namalowałam. Właściwie jest to doskonałą analogią ciężkiego zaburzenia depresyjnego.

– Ciężkiego zaburzenia depresyjnego? W twoich ustach to brzmi jak jednosemestrowe stypendium w Hiszpanii.

– Bo właściwie to ja teraz jestem na studiach za granicą.

Jacob spojrzeł na Sissy, która pokazywała komuś, jak poprawnie zabezpieczyć folią paletę z farbami, by nie wyschła do następnego dnia.

– Miałem koleżankę, która była malarką – powiedział i natychmiast zezłościł się na siebie za użycie czasu przeszłego – i ona powiedziała mi, że w autoportretach nie chodzi o twarz, lecz o to, co się za nią kryje.

Ella zastanowiła się nad tym, co powiedział.

– Gdybym to namalowała, oni porządnie by się wkurzyli.



– No i?

– No i pomyśleliby, że wciąż mam depresję i że nie będę w stanie wrócić na studia w letnim semestrze i nie nadrobię tego wszystkiego, co teraz tracę, siedząc tu i starając się zachowywać, kurwa, normalnie.

W tym momencie Ella chwyciła słoik z brudną od farby wodą i wylała jego brunatną zawartość wprost na swój autoportret. Mętna czarna woda rozlała się we wszystkich kierunkach, ściekając głównie na jej kolana. Ella podskoczyła zdziwiona, jakby to nie ona spowodowała to wszystko. Obraz na papierze rozmazywał się, gęste krople ściekały po autoportrecie i poza jego brzegi. Pod stołkiem na podłodze powstała już spora kałuża.

– Co się stało? – krzyknęła Sissy, spiesząc w ich kierunku.

Ella delikatnie chwyciła rozmokłe krawędzie portretu. Zza gęstej szarej mgły wyzierał zbolący uśmiech, ale ten na twarzy Elli był wręcz oszałamiający – policzki uniesione wysoko w pełni przysłaniały jej oczy.

– Kochanie, co się stało? – spytała ponownie Sissy.

– Niezdara ze mnie – spiesznie rzekł Jacob. – To moja wina.

I w pewnym sensie tak było.

## Kwiecień

Od tamtej pory Jacob zaczął zauważać Elle niemal wszędzie. Miała chyba tylko jedną przyjaciółkę – Maurę, zastraszoną dziewczynę z tłustymi włosami, która trzymała się jej blisko podczas posiłków. Ella wydawała się z grzeczności tolerować jej obecność, choć coś mówiło Jacobowi, że wolałaby siedzieć sama ze swoją książką, niż rozmawiać o pogodzie, o tym, co leci w telewizji ABC w godzinach największej oglądalności i na jaki kolor pomalują paznokcie, gdy wreszcie wrócą do domu. Z czasem Jacob zauważył, że Ella (a często również Maura) spogląda na niego, a potem szybko odwraca wzrok.

Podczas sesji grupowych z doktorem Feingoldem Ella siadała na krześle tuż przy szachownicy, gdzie zwykle sadowił się Jacob. Kiedy odprowadzał pacjentów po sesjach, ona niezmiennie szła na początku. W świetlicy co jakiś czas się przesiadała, by mieć na oku grupki najbardziej hałaśliwych pacjentów. Powoli się orientował, że za każdym razem, gdy zmieniał pozycję, ona też się przesiadała, krążąc wokół niego jak księżyc. Podczas posiłków Jacob siadał z innymi sanitariuszami przy długim stole przy ścianie i gdziekolwiek by usiadł, w którymkolwiek kierunku by spojrzał, Ella znajdowała się stolik obok, nie dalej niż metr od niego.

– Ktoś się w tobie zakochał – zauważył Paul.

– Co? – spytał Jacob.

– Jak to co? – uśmiechnął się Paul i wymachując rękami, zaczął rapować: – Małe zauroczenie, ty to masz powodzenie. Oddam tlen za twój zen. Szczery podziw, gościu, powiedz, jak ty to robisz. Szczęnięca miłość i pragnienie... – Jacob nie chciał wiedzieć, jaki będzie rym do tego wiersza.

– Obyś szczeł w piekle, Paul. – Wstał i wyszedł, pomimo zapewnień Paula, że to tylko żarty.

Za oknem lał deszcz, a Jacob i tak nie miał ochoty na spacer, więc spędził resztę przerwy w kabinie w przebieralni, gdzie ciszę zagłuszał jedynie odgłos żucia kanapki, którą jadł. Nie mógł zaprzeczyć, że od tamtego dnia, gdy porozmawiał z nią w pracowni, czuł się lepiej. Jej *Portret Elli w szarościach* wisiał teraz w świetlicy i wszyscy szczerze go podziwiali. No i nie zrobił nic złego. Nawet palcem jej nie tknął, nawet gdy odskoczyła po wylaniu zawartości słoika – a tego nie mogli powiedzieć o sobie niektórzy pracujący tu lekarze. Doktor Rutherford, ten kurdupel z obrzydliwym wąsem, podobno przez trzy lata miał romans z byłą pacjentką, utalentowaną puzonistką z problemem alkoholowym, a nadal pracuje na oddziale drugim, jak gdyby nigdy nic. Ta lekarka, doktor Parker, behawiorystka, mężatka, matka dzieciom,

w zeszłym roku zaczęła sypiać z dozorcą w rzadko uczęszczanej biblioteczce na czwartym piętrze. A doktor Harrison, który wciąż kierował oddziałem pierwszym, nawet ożenił się ze swoją byłą pacjentką z innego szpitala, w którym pracował na początku lat siedemdziesiątych. Wszyscy o tym wiedzieli. Co roku w ich domu w Greenwich odbywało się przyjęcie świąteczne; Oliver gościł tam wielokrotnie.

Jacobowi zawsze się wydawało, że Oliver z jednej strony odnajduje się w tych historiach, a z drugiej, że one wciąż budzą w nim strach – jedna sprawa w sądzie i ośrodek Anchorage House będzie skończony. W momentach szczerości Jacob zastanawiał się nawet, czy Olivera nie kręci właśnie to, że chodzi z nim do łóżka, nad którym wisi miecz Damoklesa. Po raz setny Jacob pomyślał, żeby rzucić tę robotę, odejść od Olivera, przestać żyć w ten sposób. A zanim odejdzie, przywalić w ryj Paulowi. Pomyślał o tym, żeby zadzwonić do Sary, tylko nie bardzo wiedział, od czego ma zacząć. Wciąż ściagała go o ten adres, by móc mu wysłać zawiadomienie o ślubie. Chciała wiedzieć, czy może wysłać je do skrzynki Olivera albo do ośrodka Anchorage House – czy miał tam swoją skrytkę pocztową? Jacob powiedział tylko, że właśnie się tym zajmuje.

Mijając pracownię, zajrzał do środka, żeby zobaczyć, czy nie ma tam Sissy. Obszedł pokój, zatrzymując się w kącie przy miseczkach z ołówkami i kubkach na kawę, które pacjenci wykonali w zeszłym miesiącu. Teraz, kiedy już je wypalono, nie mogli wziąć ich do pokoju, bo istniało ryzyko, że je potłuką i potną się kawałkami. Tak więc te wielce funkcjonalne dzieła sztuki spoczywały tu, bezużyteczne, dopóki ich twórcy nie zostaną wypuszczeni do domu. Jacob pobieżnie zbadał kubek Elli. Uśmiechnął się z dumą. Cóż za inteligentny kubek! Na górnej krawędzi wyrzeźbiono złoty wzór – nie, to nie był wzór, ale jakiś niespójny tekst. Najpierw pomyślał, że ona jednak jest wariatką, ale gdy przyjrzał się bliżej, dostrzegł, że to nie chińszczyzna. To było

greckie słowo Ὀδυσσεύς, powtórzone kilka razy dookoła.

Jacob nie czytał w tym języku od lat, ale gdy zobaczył te litery, od razu rozpoznał imię bohatera *Odysei*. Odyseusz. Był czas, gdy potrafił wyrecytować całe fragmenty z pamięci („Muzo! Męża wyśpiewaj, co święty gród Troi zburzywszy, długo błądził”), zwykle po pijaku na przyjęciach, których nikt już nie organizował. Cztery semestry dialektu attyckiego, studiowania zakurzonych ksiąg w zapomnianych zakątkach biblioteki, tłumaczenia słów, które przetłumaczono już z milion razy. Słowa, które dla wszystkich innych we wszechświecie nie znaczyły zupełnie nic, jakby poezja sama w sobie nie była już martwym, zapomnianym językiem. Czasami wydawało mu się, że spędził dwadzieścia lat z hakiem, zapieprzając tylko po to, by udowodnić, że z nikim nie ma nic wspólnego.

– Jacob? – Światła zapaliły się wraz z wtargnięciem Sissy Coltrane do pokoju.

– Cześć – powiedział sztucznie, w pełni świadomy tego, że w ręku trzyma niezdarnie kubek Elli.

– Szukasz czegoś?

– Ołówków – bąknął. – Skończyły się nam. Doktor Boujedra powiedział, żebym sprawdził, czy tu nie ma zapasowych.

Sissy poszperała w szufladzie i wyciągnęła garść ołówków.

– Oliver zwykle zamawia, zanim się skończą – powiedziała. – To kubek Elli. Ma dziewczyna oko. I niegłupia też. Oliver mówił mi, że w zeszłym roku dostała stypendium prezydenta miasta, chwilę zanim tu wróciła.

Dwukrotnie nazwała Olivera „Oliverem”.

– Co z nią jest nie tak? – spytał Jacob, podczas gdy Sissy przeszła do stojącej w rogu zamrażarki, gdzie trzymała otwarte słoje z farbą. Wyjęła brązową papierową torebkę poplamioną z boku. – Przez większość czasu się uśmiecha. Jesteś pewna, że nie jest tu kukułczym jajem?

Wyjęła z niej zimną tłustą sajgonkę.

– Jacob, wiesz, że nie mogę o tym mówić.

Jacob przewrócił oczami. Tak jakby ona, „Oliver”, Paul i wszyscy inni nie spędzili połowy swojego życia, plotkując o tym, który z pacjentów widzi słońce, którego aresztowano za to, że jadąc metrem, pociągnął za hamulec bezpieczeństwa, a kogo znaleziono na dachu, nagiego, pokrytego jedynie klejem i pierzem z poduszki, kiedy próbował polecieć na Marsa.

– Niezbyt ciężki przypadek. Próbowaliśmy różnego rodzaju leków, ale wciąż bardzo dziwne rzeczy wpędzają ją w ciężką depresję. Oliver kiedyś dobrze to podsumował... jak on to nazwał? O tak. On to nazywa nadwrażliwością. „Skrajne zaburzenie adaptacyjne”. Coś jak ostra reakcja na stres, tylko że stresory nie są czymś niezdefiniowanym lub nieracjonalnym.

– Więc to tylko stres? – Nie podobało mu się to, że mówiła w liczbie mnogiej, „my”.

– Tak, choć nie do tego stopnia, że te bodźce są wyczuwalne. Na przykład łapie głębokiego doła na kilka tygodni, bo, dajmy na to, zdechł jej kwiatek w doniczce. Albo zobaczyła w telewizji reklamę chrześcijańskiej fundacji dla dzieci. Tę z Sally Struthers, kojarzysz?

– Zobaczenie reklamy z Sally Struthers jest powodem do rehabilitacji?

Sissy popatrzyła na niego nieufnie.

– No cóż, tak. Jeśli potem przez trzy dni nie możesz wstać z łóżka. Ty czy ja przez minutę czy dwie poczulibyśmy się źle, a potem by nam przeszło. A Ella? Cóż, wiesz, z jakiego powodu ponownie tu trafiła, po tym jak przez pół roku radziła sobie wyśmienicie? Zobaczyła jeden z tych plakatów St. Jude’s w autobusie. Wiesz, z tymi małymi łysymi dziećmi po chemioterapii. No i się rozsypała. Zaczęła szlochać i przez dwa dni nie mogła przestać. Płakała nawet po tym, jak przywiózł ją tu jej chłopak.

Jacob miał nadzieję, że nie zrobił zbyt wielkich oczu w reakcji na słowo

„chłopak”.

– Więc kiedy będzie mogła wrócić do domu?

Sissy odłożyła swoją sajonkę i wyjęła białe pudełko z lo mein. Potem oderwała od siebie drewniane pałeczki i żeby pozbyć się ewentualnych drzazg, potarła jedną o drugą jak zuch, który próbuje rozpaścić ognisko.

– Wiesz, jak to działa. Może tu zostać, dopóki ktoś opłaca jej pobyt. Albo dopóki nie będzie gotowa zmierzyć się z życiem.

– A kto jest na to gotowy?

Sissy wyglądała na rozdrażnioną.

– A co ty się tak nią interesujesz?

– Wcale nie. Po prostu któregoś dnia ze mną rozmawiała i wydawała się, nie wiem, wydawała się normalna. Dlatego zastanawiałem się, co w ogóle tutaj robi. Skąd zamawiasz?

– Słucham?

– Z Szechuan Garden w Stamford?

Spojrzała na swojego niedojedzonego krokiet. Jacob rzucił okiem na kolorową mieszankę kapusty pekińskiej i marchewki oraz na gładkie brązowe ryżowe ciasto.

– Stamford? Nie. Oczywiście, że nie. Mieszkam w Katonah – powiedziała.

– Nie wiem. Po prostu zamawiam coś z menu na lodówce. Hunan Palace? Dynasty Pagoda? Nie pamiętam.

## Maj

Pewnego dnia Elli nie było. Nie było jej w grupie Feingolda ani na zajęciach z arteterapii. Nie ustawiła się w kolejce po bezkofeinową kawę punktualnie o siódmej. Jacob podsłuchał, jak przygnębiona Maura mamrotała coś do innej dziewczyny o tym, że rodzice Elli przyjechali w weekend, by zabrać ją na dwutygodniowy rejs, zanim wróci na semestr letni na Columbię. Na stojaku

nie było jej kubka, za to jej *Autoportret w szarościach* wciąż wisiał na ścianie w świetlicy – pewnie zapomniała o nim, pakując się w pośpiechu. On jednak wolał myśleć, że zostawiła go tam dla niego. W podziękowaniu albo jako prezent na pożegnanie.

– Już dobrze, dobrze – powiedział Paul, widząc nieszczęśliwego Jacoba pochylonego nad kanapką z pieczoną wołowiną – tego świrniętego kwiatu jest pół świata.

Jacob chciał mu przyłoić i powiedzieć, że po pierwsze jest gejem, a po drugie nie zawsze chodzi wyłącznie o seks, choć pewnie tak wynika z reality show typu *The Real World: San Diego* i *Vampire Hookups*. Nie wszyscy są tak samotni i zdesperowani, by iść do łóżka z pierwszym lepszym partnerem, który ma na to ochotę. Czasami cygaro oznacza po prostu cygaro, a wieżowiec to po prostu efektywna aranżacja biur na ograniczonej przestrzeni. W końcu jednak Jacob tylko znacząco przewrócił oczami i poszedł do łazienki, by znów zjeść tam swój lunch.

Nie miał zamiaru szukać Elli na Facebooku. Sam nawet nie założył tam konta, co jego zdaniem należało podkreślić. Kiedy musiał – kiedy naprawdę sytuacja go do tego zmuszała – korzystał z konta Irene, którego ona sama rzadko używała. Nie zamieściła na nim nawet swojego zdjęcia profilowego, więc teraz widniał na nim standardowy awatar przedstawiający zarys kobiecej głowy. Irene podała mu hasło, a on korzystał z niego jedynie w sytuacjach wyjątkowych. Gdy przeglądał nadesłane do niej wiadomości, zastanawiał się, kto jeszcze należy do tej społeczności. I wtedy pomyślał o Elli, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy miała na nazwisko York czy Yorke. Spróbował więc wyszukać ją, wpisując Ella York... nie, nie... Ella Yorke. Tak. Znalazł. I bez chwili zastanowienia śmiało kliknął w jej profil.

Oto i ona. Uśmiechnięta jak dziewczyna z reklamy pasty do zębów, w niebieskiej todzie w dniu ukończenia szkoły średniej. Na innym zdjęciu je

tacos w szkolnej kawiarence z kilkoma innymi dziewczętami. Na kolejnym rozpakowuje prezent przy sztucznej choince. Albo w parku przy Washington Square je paluszki z mozzarelli z koleżanką, obie w czapkach ze sklepu Armii Zbawienia. Dotarło do niego, jak wiele może się zmienić w ciągu zaledwie kilku lat. Facebook, internet, to wszystko było częścią jej młodości, a dla niego, teraz, prawie nie istniało. Zatrzymał się na zdjęciu, na którym ubrana w żurawinową suknię balową wpina bukiet do klapy smokingu poważnie wyglądającego młodzieńca – kiedy najechał kursorem na twarz chłopca, nieproszone pojawiło się jego imię i nazwisko: Francis U. Williams. Francis i Ella. Potem Jacob natychmiast się wylogował. To było tylko małe, krótkie przypadkowe odstępstwo od zasad profesjonalizmu.

To właśnie Jacob planował wyjaśnić Oliverowi, gdy szedł szybko korytarzem Anchorage House do gabinetu szefa, do którego został nagle wezwany przez megafon w trakcie dyżuru z grupą doktora Feingolda. Wiedział, że tkwi po same uszy w gównie, jeszcze zanim dojrzał, że drzwi do gabinetu Olivera są nietypowo zamknięte.

– Doktorze Boujedra? – powiedział, gdy po zapukaniu wszedł do środka. – Wzywał mnie pan. – W gabinecie zobaczył Olivera z łokciami na stole i łysiejącą głową wspartą na dłoniach. Niedaleko drzwi stał policjant i grzebał przy radiu nadawczym przypiętym do paska. Jacob zamarł. Chyba nie chodzi o niego?

– Dziękuję, że przyszedłeś. Niestety, mój ojciec właśnie doznał udaru za kierownicą samochodu. Nie żyje. Pan policjant chce, bym pojechał z nim zidentyfikować ciało.

Jacob nie rozumiał.

– Słucham? Aż do Indii?

Policjant wyglądał na zdezorientowanego.

– Jake... przecież wiesz. – Oliver zamilkł na chwilę, by wziąć się w garść.



– Mój ojciec od kilku miesięcy przebywał w domu seniora w Mount Kisco. Zanim tam trafił, mieszkał w New Jersey.

Jacob wiedział o tym. Tylko że Oliver zawsze mówił o swoim ojcu, jakby go wspominał, zawsze używał czasu przeszłego, jakby doktor Boujedra senior był gdzieś daleko. Ale tak, teraz przypominał sobie, że sześć lat temu ojciec Olivera owdowiał i na emeryturę przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Zaczął odgrzebywać w pamięci strzępy rozmów z Oliverem – anegdoty o niezrównoważonym zachowaniu doktora B. seniora. Zdiagnozowano u niego alzheimera, a Oliver pojechał po niego aż do Jersey i umieścił go w domu opieki w Glendale. Jacoba coś zastanowiło.

– A skąd miał samochód? – Oliver wydawał się zmieszany. Policjant zabrał głos.

– Zwędził pęk kluczy zastępcy dyrektora ośrodka. Ładne zgrabne niebieskie porsche. Chyba cayenne?

– Tak – rzekł z ubolewaniem Oliver. – Które doszczętnie skasował. Wjechał w przeszkodę wodną przy Sunningdale Country Club.

Jacob próbował ukryć parsknięcie śmiechem, udając, że kicha. Olivera to nie przekonało. Westchnął.

– Chyba powinienem się cieszyć, że nikt przy tym nie zginął. Nikt więcej.

Jacob pragnął jedynie wziąć Olivera w ramiona, ale postanowił nadal udawać, że jest jedynie sumiennym pracownikiem.

– Jak mógłbym pomóc?

Doktor Boujedra odchrząknął.

– Pan Himmel zawiezie mnie do kostnicy. Pomyślałem, że mógłbyś odstawić mój samochód pod moje mieszkanie dziś wieczorem, w drodze powrotnej do domu. Jeśli nie będzie to wymagało od ciebie zbytniego zboczenia z trasy. Chyba nie powinienem siadać za kierownicą. Zostawiłbym go tutaj, ale ludzie z ośrodka w Glendale poprosili mnie, bym jutro rano

odebrał jego rzeczy.

Jacob ledwo słyszał samego siebie, jak mówi:

– Pewnie. Oczywiście.

Oliver stał z założonymi rękami, nie patrząc w jego stronę. Mechanicznie posegregował papiery i włożył je do teczki. Potem podał Jacobowi kluczyki od samochodu i wyszedł z policjantem.

Jacob wszedł do łazienki, by włożyć głowę pod kran. Nerwowo chłęptał wodę, aż usta mu zdrętwiały i poczuł, że ma pełny żołądek. Zrobiło mu się niedobrze. Chwiejnym krokiem doszedł do przebieralni. Czuł się, jakby był na kacu – albo wciąż jeszcze pijany. Obraz rozmywał mu się przed oczami, a w uszach i ustach czuł ucisk, jakby w środku miał watę. Wcześniej nigdy nie doznał ataku paniki. Zawsze wydawało mu się, że wtedy człowiekowi brakuje tchu, ale on oddychał normalnie, choć w nozdrzach kłuło go, jakby zionął tajskim sosem sriracha. Nasadą dłoni potarł gałki oczne, które w dotyku przypominały teraz marmurki do gry. Kiedy poczuł, że znów jest w stanie chodzić, poszedł prosto na parking i wskoczył do auta Olivera.

Z początku zamierzał pojechać prosto do Olivera – może poleżeć przez chwilę i przewertować jeden z tych pretensjonalnych tomów klasyki poezji obitych zieloną skórą, które trzymał na górnej półce w swoim gabinecie, żeby nikt nie zauważył, że pochodzą z prenumeraty Time-Life jeszcze z lat osiemdziesiątych. Kiedy jednak wyjechał na drogę na Hutchinson River Parkway, sparaliżowała go myśl, że miałby leżeć sam w mieszkaniu, czekając na brzęk kluczy w zamku, wiedząc, że to Oliver, smutny i przygnębiony, albo wciąż jeszcze przybity i zdystansowany, tak jak w biurze.

Stopniowo Jacob zaczął przyspieszać. Drzewa wzdłuż parku miały cudownie zielony kolor i poruszały się lekko na delikatnym wietrze. Uchylił trochę okno i nastawił radio na automatyczne wyszukiwanie stacji. Nigdy nie poznał starszego pana B. Może Oliver wiedział, że to się może wydarzyć.

Może bardziej wkurzało go to, że będzie musiał zapłacić za porsche. Jacob zastanawiał się, co by zrobił, gdyby jego ojciec zmarł. Pewnie by się upił. A już na pewno byłby wyjątkowo wredny dla osób takich jak Oliver. A przecież nawet nie lubił swojego ojca – Oliver i jego tata byli sobie dość bliscy. Choć nie aż tak bliscy. Prawdziwy problem polegał na tym, że Jacob spotykał się z mężczyzną po pięćdziesiątce, który wciąż się ukrywał. Starszy pan poszedł do grobu, wierząc, że jego syn był hetero. Wciąż dopytywał, kiedy Oliver i jego była żona wreszcie się zejdą. Jacob zastanawiał się, czy gdzieś w środku Oliver nie odczuł teraz ulgi: oboje rodzice zmarli, nie dowiedziawszy się, że ich syn sypiał z mężczyznami.

Jacob pamiętał, jak w wieku piętnastu lat powiedział o swojej orientacji rodzicom, co wywołało histerię na miarę szekspirowskiej tragedii. Jego ojciec klął na czym świat stoi, a matka dosłownie biła się w pierś. Oliver nigdy nie przeżył takiej sceny. Co prawda potem było już lepiej – ojciec nawet zdobył się na przeprosiny. Jacob musiał później patrzeć, jak wielce zakłopotany czyta poradniki w stylu *Miłość niejedno ma imię. Jak zaakceptować syna homoseksualistę*. Bezcenne doświadczenie, bo książka była ilustrowana. Do tego po szkole na zakupach z matką przyglądali się mężczyznom i porównywali swoje gusta.

Teraz Jacob rzadko kiedy dzwonił do rodziców, a odwiedzał ich jedynie w swoje urodziny. Zastanawiał się, jak by się poczuł, gdyby został sierotą.

Radio wyszukało stację grającą klasycznego rocka, a Jacob nacisnął guzik, by ją zatrzymać i wysłuchać końcówki kawałka *Paradise City*. Nastawił odbiornik na maksymalną głośność, otwierając oba okna, a wiatr odbijał się od tylnej kanapy. „Och proszę zabierz mnie do domuuuuuuuu...”. Przypomniawszy sobie nocne imprezy w ciemnych suterrenach w Ithace, oślepiające stroboskopowe światło prowizorycznych lamp, a wokół niego głosy wykrzykujące ten hymn z dawnych czasów. Jacob przyspieszył, gładko

wchodził w zakręty, zmieniał pasy, mijając smutne małe hondy, kie i toyoty. Serce biło mu jak oszalałe, a podmuchy zimnego powietrza smagały jego twarz. Muzyka eksplodowała, by ostatecznie zamienić się w ciszę, a Jacob czuł się, jakby jego ciało miało zaraz eksplodować. I wtedy usłyszał zajawkę programu: „Two for. Two for. *Two for Tuesday*”. Jacob przypomniał sobie, że jako dziecko lubił tę audycję, w której grali dwie piosenki tego samego artysty z rzędu. W radiu powrócił głos Axla, tym razem łagodnie „pukającego do nieba bram”. Jacob uderzał do rytmu pięścią w kierownicę, czując radość, jakiej nie doznał od roku, uszczęśliwiony – nie pierwszą piosenką, lecz tą drugą, która przyszła, akurat gdy wydawało się, że jest po wszystkim.

Jak przy wielokrotnym orgazmie, o którym kiedyś zaciekle dyskutowali z George'em, spierając się o to, czy faceci mogą go mieć. Sting uważał, że tak. Jeszcze w szkole Jacob chciał się zapisać na kurs pt. „Orgazm doskonały” prowadzony przez doktor Koolhaus. Sara twierdziła, że wielokrotny orgazm u kobiet to prezent od Boga za to, że muszą rodzić dzieci. Potem Irene opowiadała historie o upojnych nocach spędzonych z jakąś laską z Detroit, która potrafiła owinać język wokół puszki coca-coli. Pamiętał, jak George aż się wił, starając się nie zwariować na samą myśl o tych umiejętnościach – nadaremno. Nawet Jacob musiał wziąć zimny prysznic.

Zauważył, że już dawno minął zjazd, który prowadził na drogę do Stamford. Wciąż jadąc na północ, widział znaki kierujące do Meriden.

To wydawało się tak proste, że nie wiedział, czemu wcześniej tego nie rozważył. Przewaletuje na kanapie u George'a przez tydzień lub dwa. Dobrze będzie znów ich zobaczyć. Zachował się małostkowo, co nie było żadnym zaskoczeniem, ale już wystarczy. George oczywiście powinien jechać do Bostonu i podjąć tę pracę na jebanym Harvardzie, skoro taka szansa mu się nadarzyła – a to, że na zdjęciach na Facebooku wyglądał na szczęśliwego, wcale nie znaczy, że naprawdę tak się czuje. George po prostu umiał

pozostawać niewzruszony – i za to właśnie wszyscy go lubili.

Jacob zastanawiał się, jak zwróci Oliverowi samochód. Niefajnie tak ukraść auto komuś, kto właśnie stracił ojca. Teraz w radiu grali jakiś gówniany kawałek Joni Mitchell. On potrzebował czegoś gniewnego. Mniej Boba Dylana, a więcej czegoś w stylu Dylana Thomasa. Za doktorka seniora – Jacob uniósł w górę niewidzialny kieliszek – który skradzionym porsche jeździ po polu golfowym! Tu musiał mu oddać szacunek. Doktor B. miał styl – przynajmniej odszedł na własnych warunkach. „Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy”. Może właśnie dlatego tak ciężko było mu patrzeć na Irene, już pod koniec, gdy leżała w łóżku, zamroczona morfiną, oddychała za pomocy maszyny, a na końcu odeszła tak łagodnie. Skoro starość potrafi się zbuntować i wypalić w ogniu, to młodość powinna wręcz wybuchnąć jak bomba atomowa. W promieniu kilku mil nie powinien wtedy ocaleć nikt. Swoją śmiercią Irene powinna była zdziesiątkować całe miasto.

Wkrótce zmęczyła go jazda, widok drzew i drugi utwór Joni Mitchell w radiu. Ten program to była broń obosieczna. Gnębiło go to, że nie wiedział, jak się za chwilę poczuje: czy ogarnie go panika, złość, ekstaza, rozpacz czy znużenie. Ruch na drodze zwolnił na prawym pasie. Lewym pasem auta wcale nie poruszały się szybciej. Posuwał się centymetr za centymetrem, za czerwonym wężem świateł hamulców wijącym się na zakrętach, aż wreszcie dojrzał przyczynę zatoru. Dziesięć samochodów z włączonym migaczem pojedynczo wjeżdżało na prawy pas, podczas gdy na lewym tłoczyli się jacyś ludzie. Jacob mijał auta stojące jedno za drugim na prawym pasie, aż wreszcie znalazł się na wysokości czarnego karawanu z fioletowymi cyniami ozdabiającymi maskę. Z boku widniał dyskretny napis: Zakład Pogrzebowy Paulson & Peterson. Już miał go minąć, gdy samochody przed nim zwolniły, a potem zatrzymały się.

Jacob starał się nie patrzeć na karawan przez okno pasażera. Wyobraził

sobie Olivera w jakichś szpitalnych podziemiach, takich samych jak te, w których pewnie trzymali Irene, gdy już odeszła. Jakiś upiorny łysiejący lekarz otwiera metalową szufladę w chłodni na ścianie. Wewnątrz najpierw sterta białych prześcieradeł, jak gdyby ktoś zapomniał zaścielić łóżko. Tylko rzucić okiem i będzie po wszystkim. Pod spodem lalka ludzkich rozmiarów udająca człowieka, który go wychował. Zrobiona z czegoś zimnego i białego, co nie jest skórą. Jak ciężko musi być w to uwierzyć – powiedzieć: „Tak, to mój ojciec” – gdy nie było się świadkiem jego śmierci.

Jacob zjechał pierwszym zjazdem i zatoczył pętlę na obwodnicy, wracając na autostradę ponad drzewami biegnącą w kierunku południa, tam skąd przyjechał. Wyłączył radio i zamknął okna. I znowu minął zjazd do Stamford. Od czasu, gdy wyjechał z ośrodka Anchorage House, do momentu, aż odstawił samochód dyrektora na to samo miejsce na parkingu, minęła godzina z hakiem. Na zmianie zostało już tylko dwóch lekarzy. Doktor Givens i doktor Berg stali przy małym zaśmieconym stawie, paląc papierosy. Z pewnością zauważyli Jacoba, jak wysiada z samochodu Olivera, ale on przestał się już tym przejmować. Życie było na to, kurwa, za krótkie. Chuj go obchodziło, co inni myślą na jego temat.

Już w budynku wrócił do łazienki i przysiadł na zamkniętej klapie toalety. Przyłożył kluczyki od samochodu do zimnej metalowej ściany kabiny i zaczął drapać, lekko zaskoczony tym, jak łatwo zostawić ślad. W szkole średniej często to robił. Zapisywał fragmenty zawiłej poezji, teraz jednak nie czuł się na siłach. Za kilka tygodni, kiedy Oliver poczuje się lepiej, pojedzie do Bostonu. Stopami twardo trzymał się wykafelkowanej podłogi. Jego nogi już nie drżały. Ręką zdrapywał farbę. Mały znak mniejszości, a obok cyferka trzy: <3. Razem tworzyły serduszko, jak te, które ludzie zostawiali na facebookowej tablicy Irene.

Potem wstał i wrócił do wypełniania swoich obowiązków w świetlicy.

Pacjenci grali w gry planszowe, rozwiązywali krzyżówki i oglądali program *Sędzia Judy* w telewizji. Paul postukał dłonią w ścianę, jakby chciał go do siebie przywołać.

– Ej, twoja dziewczyna wróciła. Właśnie przyłapałem Jorge’a z oddziału pierwszego, jak wymykał się na papierosa tylnymi drzwiami. Powiedział, że dziś rano ponownie przyjęli Ellę Yorke.

Jacob miał ochotę go udusić.

– Kurwa, nic jej nie jest?

– Mówił, że wyglądała na spaloną słońcem.

– Nie o to mi chodzi. Co się stało, że znów tu trafiła?

– Chyba będziesz musiał ją o to spytać. Są szanse, że znów spędzi tu kolejne trzydzieści dni.

– Cholera.

– Cóż – uśmiechnął się Paul – jak to mówią: do czterech razy sztuka.

## Czerwiec

Biblioteka na oddziale trzecim mieściła się w starej bieliźniarce przy świetlicy. Zamontowano tam kilka półek, na których poustawiano częściowo postrzępione książki w miękkich okładkach, zakupione gdzieś przed księgarnią za dolara albo znalezione w pralni. Kolekcja dzieł porzuconych, na którą składały się same mało interesujące pozycje. Była tam garstka literatury kobiecej dla nastolatek i kilka popularnopsychologicznych hitów: *Droga rzadziej przemierzana* oraz *W poszukiwaniu siebie*. Obszerne dzieła zebrane doktora Phila. Jacob zauważył, że Ella, podczas ostatniego pobytu, studiowała pojedyncze dzieła klasycznych autorów, Karola Dickensa i Jane Austen, ale w bibliotece znajdowała głównie te mniej znane. *Klub Pickwicka*. *Opactwo Northanger*. Pochłonęła je wszystkie w ciągu kilku dni. Na studiach Jacob potrzebował roku, żeby przebrnąć przez *Miasteczko Middlemarch*, a Ella

odłożyła je na półkę po niespełna tygodniu. Nie było tam zbyt wielu książek powstałych po 1890 roku, a kiedy spytał Olivera, dlaczego pominięto wszystko, co powstało po zakupieniu przez Freuda pierwszej kozetki, Oliver powiedział, że zbioru nie aktualizowano, odkąd zaczął tam pracować przed dziesięcioma laty. Rozmawiał o tym nawet raz z doktor Dorothy. Była w komisji nadzorującej zakup książek, gier, płyt DVD i tym podobnych. Zasadniczo wszystko musiało mieć gwarancję nieszkodliwości. Nie mogło ani przerażać, ani zbytnio zasmucać. To wiele wyjaśniało. Po epoce industrialnej nastąpiły niepewne czasy, no nie? A po przeczytaniu *Mansfield Park* żaden dzieciak żył sobie nie potnie. No, z tym Jacob mógłby polemizować, skoro trzeba było czytać w kółko to samo przez całe lato.

Nie było tam żadnej poezji z jakiegokolwiek epoki, co Jacob potraktował jako komplement. Niestandardowe odstępy między wierszami mogły wyglądać podejrzanie. Przerzutnia, asonanse, brak interpunkcji? To z łatwością mogłoby doprowadzić kogoś do ostateczności. Keats umarł młodo, Shelley utonął. Sylvia Plath, oczywiście, była surowo zabroniona. Ile dziewcząt, trafiając do nich, wyznało, że *Szklany klosz* (który w zasadzie można uznać za instrukcję samobójstwa!) to ich ulubiona książka? Jacob zawsze chciał im wręczyć egzemplarz *Kolosa*, mówiąc „już dobrze, już dobrze”. A stary dobry Frost nikogo jeszcze nie zabił, no nie? Czemu nie dać im choć tego, co pomogłoby im przetrwać tych kilka dni pobytu? W końcu zaproponował Oliverowi, że chętnie przewertuje antologię poezji i poszuka wierszy afirmujących życie, ale dostał na to odpowiedź, jakiej się spodziewał. Lepiej nie. Ośrodek Anchorage House nie mógł sobie pozwolić na procesowanie się tylko dlatego, że jakiś pacjent źle zareagował na *Kwiaty zła*.

Wydawało się, że Oliver radzi sobie dobrze, choć bywał roztargniony, czasami nerwowy. Bardziej niepokojące było to, że chętnie wykorzystywał swoją dopiero co rozpoczętą żalobę, by nawiązać do tej, którą przeżywał



Jacob.

„Teraz, gdy mój ojciec nie żyje,” powiedział którejś niedzieli, gdy byli razem pod prysznicem, „dociera do mnie wreszcie, ile dla siebie znaczyliśmy. Na pewno wiesz, o czym mówię”. Albo wieczorem następnego dnia, gdy pakowali czasopisma na makulaturę, Oliver, bawiąc się szpagatem, powiedział: „Takie małe, śmieszne rzeczy mi o nim przypominają. A tobie? Co ci przypomina Irene?”

Jacob mógł szczerze odpowiedzieć: dziewczyny w czerwonych płaszczach, telewizja hiszpańskojęzyczna, gorące kąpiele, rogaliki z migdałami, ta głupia piosenka zespołu Plain White T, całe Metropolitan Museum of Art (do którego już nie chodził). I jak to wszystko ma się do tego sznurka w ręku Olivera? To zrozumiałe, że tęsknił za swoim ojcem, ale to nie to samo. Podobnie jak wtedy, gdy Oliver wspominał o rasistowskich komentarzach jego ojca, które usłyszał, kiedy był mały. „Cóż, nie był ideałem! W pewnym sensie to chyba gorzej, że się pamięta te wszystkie wady. Wiesz, o co mi chodzi”.

Jacob pomyślał o Irene i jej uzależnieniu od dziewcząt, które traktowały ją jak szmatę. O tym, jak lubiła się upijać szampanem i wydawać szalone ilości pieniędzy na stare ciuchy i jak nie oddawała ludziom pożyczonych pieniędzy. Zażarcie strzegła swych tajemnic, jakby uważała, że bez nich okaże się nudna. Żadne z nich nie wiedziało nawet, skąd pochodzi i jak znalazła się w Ithace. Co sprowadzało się do tego, że chyba im do końca nie wierzyła. Przecież każdy z nas w wieku dwudziestu sześciu lat miał na swoim koncie coś głupiego. Ojciec Olivera potrzebował pięćdziesięciu lat, by wyrugować swoje dawne mankamenty. Dziesiątki lat żałował swoich decyzji i wyzywał się złych nawyków.

A czego żałowałyby Jacob, gdyby jutro jego autobus wyleciał przez barierkę? Z pewnością nie tego, że nie może już obserwować, jak Oliver „przeżywa żałobę”. Nie. Żałowałyby, że nie będzie go przy Elli, gdy skończy

się jej trzydziestodniowy pobyt w ośrodku. Oliverowi nie mógł pomóc, ale w sprawie Elli – cóż, miał pewien plan. Skoro nie mogła wrócić na semestr letni na studia, on zorganizuje jej studia tu, w zakładzie. Po pracy zamykał się w gabinecie Olivera, udając, że pracuje nad nowymi wierszami, a tak naprawdę po cichu wspinał się po eleganckiej bibliotecznej drabinie, szperając w zielonych tomach z kolekcji Time-Life. Ostrożnie, z pomocą linijki i nożyka, wycinał wiersz za wierszem.

Kiedyś wszedł na górę, by poszukać poezji Elizabeth Bishop. Utwór pod tytułem *Ryba* był jednym z tych mrozących krew w żyłach poematów, które czytał, kiedy był mniej więcej w wieku Elli. „Gdy skrzela ryby wdychały straszliwy tlen”<sup>8</sup>. Kto by pomyślał, że tak można pisać? Wyrwał kartkę i patrzył, jak powoli spada na podłogę. Potem dostrzegł Blake’a (książki Olivera były poukładane alfabetycznie co do joty). Domyślał się, że Ella w szkole średniej czytała *Tygrysa*, w antologii Nortona z cienkimi jak bibułka kartkami, ale pewnie nigdy w życiu nie trafiła na wiersz *Londyn*. Zastanawiał się, czy była kiedyś w tym mieście. Jacob zaliczył wycieczkę po Europie w szkole średniej. Z klasą zwiedził dzielnice żydowskie w Rzymie, Paryżu, Londynie, Madrycie, po drodze zatrzymali się w Oświęcimiu, Dachau i w Buchenwaldzie. Zawsze chciał tam wrócić już bez opiekunów, ale którego poetę stać dziś na podróż samolotem przez ocean? Och! Wordsworth. *Żonkile* to dobry wiersz, ale czy stosowny? Trudna sprawa.

Kiedy Ella wreszcie trafiła na oddział trzeci, Jacob był już gotowy. Gdy tylko zauważył jej obecność na sesjach grupowych lub w pracowni artystycznej, co rano przemykał do małej biblioteczki i wkładał jeden wiersz do książki, z którą widział ją poprzedniego dnia. Potem po południu, siedząc na parapecie, patrzył, jak sięga po nią i znajduje przemyconą przez niego poezję. Jednego dnia było to coś Anne Sexton, drugiego jakiś wiersz Keatsa. Starał się unikać jakiegokolwiek chronologii. „Czy tematem przewodnim jest

litera W?” – napisała na wewnętrznej stronie okładki po kilku dniach, otrzymawszy wiersze Williama Carlosa Williamsa, Wisławy Szymborskiej i Wallace’a Stevensa. Następnego dnia znalazła poemat Wanga Wei i karteczkę z dopiskiem: „Temat: Wiersze, które nie są do dupy”.

Z początku obawiał się dopisywania czegokolwiek na tych kartkach, bo gdyby ktoś je znalazł w jej pokoju, mógłby to niewłaściwie odczytać. Ale potem uświadomił sobie, że przecież nikt nie rozpozna charakteru jego pisma, no, może z wyjątkiem Olivera. A co on mógłby zrobić w tej sytuacji? Wszyscy inni pomyśleliby sobie, że jest to produkt uboczny jakiegoś romansu między pacjentami (co zawsze się zdarzało). Nastolatki to nastolatki, szczególnie te świrnięte.

Po tygodniu Ella odpisała wierszem. Znalazł go na poskładanej karteczce, którą wsunęła pod szachownicę podczas zajęć z grupą doktora Feingolda. Kiedy pacjenci chodzili po sali, rozmawiając o swoich relacjach z rodzicami, którzy mieli ich odwiedzić tego popołudnia, Jacob cichutko rozwinął kartkę zapisaną starannym pismem. Wiersz pod tytułem *Woskowy gniotek* opisywał dziesięcioletnią dziewczynkę, która zjada wszystkie kredki z pudełka z sześćdziesięcioma czterema odcieniami, barwnie i malowniczo opisując ich smaki: ceglana czerwień („o wiele za słona”), zieleń Karaibów („groszkowa zupa przesłodzona”) i błękit kosmosu, który „między zębami blednie /nie chcąc zostać we mnie”. Zjadłszy ostatnią kredkę, jasny pomarańcz, która „jelita rozpala” (nieźle jak na rym do słowa „pomarańcz”), dziewczynka dwoma palcami rozchyła pępek i wyjmuje z brzucha tytułowy woskowy gniotek – „bryłę /niestrawną i nieprzyswajalną /świecową kulę /pokrytą śluzem /rodzice krzyk podnoszą /wrzucają ją do kosza/wraz z dwiema łyżkami oliwy. //Włączają przycisk. /Kolory wirują w eterze /spadają jak płatki śniegu /na ich włosy i kołnierze”.

Czuł jej wzrok na sobie, czuł, że oczekuje aprobaty. Nie dając nic po sobie

poznać, wyjął pióro i zaczął przekreślać słabsze wyrazy i zaznaczać te niesamowicie dobrze dobrane. Tu brakowało jeszcze jednej sylaby, a tu było o jedną za dużo. Rymy już dawno wyszły z mody, ale można je było znieść, pod warunkiem że nie były to rymy częstochowskie. Skomentował to na marginesie, wetknął wiersz z powrotem pod szachownicę i znów zaczął przysłuchiwać się grupowej dyskusji.

– Moi rodzice są tak zakochani w sobie samych, że to jest wręcz odrażające – mówiła Anne Marie. – Kiedy na mnie patrzą, widzą siebie, i jeśli ich odbicie we mnie im nie pasuje, wściekają się.

– Moi są rozwiedzeni – wyznał John. – Więc każde z nich widzi we mnie to, czego nie może znieść w drugim.

Doktor Feingold pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tak, mamy tu do czynienia z zasadą lustra, ale ona działa w dwie strony. Rodzice widzą w nas swoje wady. My widzimy w nich swoje lęki.

Jacob uznał, że nie do końca tak jest, a przynajmniej nie w jego przypadku.

Zadbana dziewczyna, Karen, oświadczyła:

– Moi rodzice uważają, że prezydent urodził się w Kenii. – Doktor Feingold próbował ukryć uśmiech, gdy Karen ciągnęła dalej: – W zeszłym roku na Boże Narodzenie tato kupił każdemu w rodzinie pistolet. Mój i mojego brata będą trzymać na strychu, aż dorośniemy, ale on twierdzi, że nie będzie trzeba czekać tak długo, bo do tego czasu zniosą drugą poprawkę.

Jacob słuchał członków grupy opisujących swoje matki, które żyją w sklepach internetowych takich jak Bed Bath & Beyond, kupując na kredyt bezużyteczne gadziny: dekoracje okienne, luksusowe ekspresy do kawy i wolnowary, których potem nawet nie wyjmują z pudełek. Słuchał historii o ojcach, którzy co wieczór wypijają sześciopak piwa, oglądając powtórki programu *Three Stooges*. Jedni kochali za bardzo, inni za mało. Oni ich tu wsadzili, ale żadne z nich nie okazywało radości, że jest z dala od tych

rzekomych potworów, które robiły im obciach w towarzystwie, które ich nie rozumiały, które narażały ich na śmieszność przy ludziach i nie miały pojęcia, jak to jest być dzieckiem w dzisiejszych czasach. Byli apodyktyczni, zbyt liberalni, a na letnich przyjęciach zbyt skąpo ubrani. Sypiali z nauczycielkami, sekretarkami, sąsiadami i rodzicami przyjaciół. Tak czy siak, desperacko potrzebowali się z kimś przespać. Za szybko się rozwiedli albo byli ze sobą stanowczo za długo. Pobrali się zbyt wcześnie albo za późno. Mieli nieodpowiedzialnie dużą liczbę dzieci albo skupiali całą swoją energię i uwagę wyłącznie na jednym. Byli nieufni, niewspierający, maniakalni, podli, chorobliwie pedantyczni, despotyczni, łysiejący, z żylakami, nieszczęśliwi, popieprzeni, z obwisłymi ramionami lub po botoksie. Lista wydawała się nie mieć końca.

Jacob czekał na to, co powie Ella, jeśli w ogóle zdecyduje się zabrać głos. Co sprawiało, że jest taka, jaka jest? Dlaczego musi pozostać tu dla bezpieczeństwa, tak jak on? Czy była wychowywana pod kloszem? Czy jak jakieś zwierzątko urodzone w zoo nie była zdolna powrócić do dżungli? Słyszał, jak inne dzieciaki gadają o swoich wielkich planach. Każde z nich chętnie wyszłoby i podjęło pracę w jakimś start-upie, wypromowało linię torebek własnego projektu albo otworzyło sklep internetowy. Ella jednak nie wykazywała żadnego zainteresowania tą rozmową.

– Ella. Jesteś dziś taka milcząca – zachęcił ją doktor Feingold.

– Moi rodzice są... – Zdjęła okulary, jakby chciała je przetrzeć, po czym założyła je z powrotem. Jacob zdał sobie sprawę z tego, że obie stopy ma owinięte wokół nóg krzesła. – Moi rodzice są tak niedorzecznie... – zaczęła. Doktor Feingold gestem zachęcił ją, by kontynuowała. – Tak niedorzecznie szczęśliwi.

Jacob przyjrzał im się później podczas odwiedzin, które odbywały się co dwa tygodnie w byłej kaplicy. Witraże w oknach stanowiły jedyne

pozostałości po pierwotnej wersji budynku z czasów, gdy był klasztorem. Uznano je za zbyt piękne, by je zniszczyć, mimo że przedstawiały anioły dmące w rogi i świętych dzierżących w dłoniach miecze. Jacob nie mógł usłyszeć, jak przebiega wizyta, ale przyglądał się jej: matka podobna do Elli, ale z włosami upiętymi w dobiegający warkocz, z podwójnym podbródkiem i cerą naczyniową na policzkach; ojciec pyzaty, z sumiastym wąsem, w śmiesznych okularkach i z bransoletką organizacji Livestrong. No i? Jacob zastanawiał się, czy jego rodzice też są tak postrzegani przez innych ludzi. Jak lepsza wersja ich potomstwa. Wydawali się absurdalnie szczęśliwi. Nie chodziło o to, że wyglądają na nieinteligentnych, tylko o to, że ich entuzjazmu nie uzasadniały okoliczności.

Inni rodzice przynajmniej sprawiali wrażenie zmartwionych, skępowanych czy nawet przygaszonych. Większość z nich, zamiast skupić się na dziecku, rozglądała się na boki, próbując przyciągnąć uwagę Olivera, by móc przedyskutować z nim postęp, jaki robią ich pociechy podczas terapii. Pan Yorke też się rozglądał, to prawda, ale raczej nie szukał konsultacji, tylko podziwiał witraże – mrużąc oczy, przyglądał się Barankowi Bożemu na fioletowym stoku. Jacob wpierw pomyślał, że może jest jakimś fanatykiem religijnym, ale potem pan Yorke wykrzywił twarz i zabeczał, udając baranka i chcąc rozśmieszyć tym Ellę. Ona się nie zaśmiała, ale Jacob owszem.

Patrzył, jak się żegnają i obejmują przed rozstaniem.

– Co cię tak bawi? – spytał Paul.

– Twoja matka – powiedział Jacob. – Słuchaj, muszę iść się odlać.

Paul był zawsze gotów stać na straży świętego braterstwa przerwy na siku.

– Będę cię krył.

Korzystając z tego, że Oliver zajmuje się rodzicami Karen (którzy naprawdę mieli przypięte na koszulach plakietki z napisem PALADINO NA GUBERNATORA), Jacob wymknął się głównymi drzwiami tuż przed Ellą, po

czym udając, że właśnie wraca z łazienki, spytał:

– A ty dokąd?

– Do świetlicy.

– To chodźmy naokoło.

Nie zastanawiając się zbyt długo, otworzył drzwi na zewnątrz. Ella spojrzała na niego z rezerwą i gdy już miał ją przeprosić i wyjaśnić, że chciał tylko zaczerpnąć świeżego powietrza, minęła go i śmiało wyszła na świat. Szli szybko, nie komentując tego, że się spieszą, by nikt ich nie zauważył. Zwolnili dopiero przy przeniesionej figurze Chrystusa.

– Twoi starzy szybko wyszli.

– Chcieli mnie zabrać do kina, ale powiedziałam im, że nie mogę... – Spojrzała na niego z ukosa, wiedząc, że on wie, że otrzymałaby przepustkę na wyjście. Że on wie, co miała na myśli, mówiąc, że nie może. Jacob zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Na jaki film?

– Ten nowy ze Stone'em Culliganem.

Zauważyła, że zrzędała mu mina. Jacob żałował, że nie może jej wyjaśnić, dlaczego ten aktor go irytuje, ani opowiedzieć jej o kłótni, z którą zawsze mu się będzie kojarzył. Wspominanie o Irene było w tej sytuacji wysoce nie na miejscu. Stan Elli mógł się nawet przez to pogorszyć. On sam nie mógł się z tym pogodzić. Jak mógł wyjaśnić, o co chodzi, dziewczynie, która wpadała w przygnębienie, kiedy oglądała telewizyjne akcje charytatywne?

– Sprawdź w podręczniku do psychologii, ale brak ochoty na film ze Stone'em Culliganem świadczy chyba o jakimś zaburzeniu psychicznym.

– Byli tacy rozczarowani – westchnęła. – Nigdy tego nie okazują, ale wiem, że tak jest.

– To dlaczego nie chciałaś pójść?

– Wygląda na to, że to smutny film.

Jacob widział kilka zwiastunów, gdy Oliver oglądał telewizję, i czytał recenzję w ostatnim „New Yorkerze”. Culligan, prywatnie świeżo po rehabilitacji i związany z jakąś inną izraelską modelką, po raz pierwszy występuje w czymś istotnym. Gra jednego z czterech braci, którzy spotykają się na pogrzebie swojej matki. Culligan przybywa seksownie oszepecony po wypadku, któremu niedawno uległ, jadąc quadem. Okazuje się – podobnie jak w życiu – „że to wcale nie był wypadek. O Boże!”.

– Rozumiem, że nie jesteś jego fanem.

– Nie jest w moim typie. – Trudno było określić, czy Ella odczytała podtekst. Milczała przez dłuższą chwilę, gdy spacerowali pośród nagrobków.

– Nie pojmuję tego – powiedziała wreszcie. – Dlaczego ludzie płacą piętnaście dolarów za to, by móc posiedzieć w ciemnym pomieszczeniu z bandą nieznajomych i oglądać aktorów, którzy przez dwie godziny udają nieszczęśliwych, skoro mogą to mieć za darmo, jeśli tylko otworzą oczy? A poza tym jak oni mogą potem wstać, wejść do centrum handlowego i jak gdyby nigdy nic kupić sobie buty w Ann Taylor Loft?

– To dlaczego w takim razie lubisz poezję? W filmach przynajmniej czasem dochodzi do eksplozji.

– Poezja jest okej, bo w poezji ludzie wydają się piękniejsi.

Jacob spojrział na zegarek, ale ani myślał wracać. Minie kilka minut, zanim się zorientują, że Elli nie ma tam, gdzie powinna być.

– W głównianych filmach świat też może wydawać się piękniejszy. Gdyby Stone Culligan choć raz poczuł się tak jak ty i coś z tym zrobił, miałabyś o jedną rzecz mniej do trzymania w sobie.

Ella spojrzała na niego przez zamglone okulary, po czym zdjęła je, jakby chciała przetrzeć szkła. Nie zrobiła tego, lecz zaczęła nimi wymachiwać.

– Nie miałam zamiaru skoczyć. Z tego statku. Nie wiem, co słyszałeś, ale nie miałam takiego zamiaru.



Jacob pokręcił głową.

– Niczego nie słyszałem. A kto myślał, że skoczysz?

Skrzyżowała ramiona na klatce piersiowej i poszła dalej.

– Moi rodzice. Ten głupi marynarz pokładowy, który widział mnie na barierkach. Ten dupek, lekarz okrętowy... kto zostaje lekarzem, żeby pracować na jakimś cholernym statku rejsowym? Naprawdę chciałabym to wiedzieć. To przecież nie jest żaden prestiż. To nie jest żaden zaszczyt dla doktora spędzić życie na bandażowaniu otartych dziecięcych kolan i... i...

– Martwieniu się, że dopadnie go choroba legionistów.

– No właśnie. Kto się na coś takiego decyduje? Kto chce pracować na jednym z tych pływających więzień przez cały rok? Chodzi mi tylko o to, że kogoś takiego nie należy traktować poważnie.

Jacob nic na to nie powiedział, choć pomyślał sobie, że gdyby on przez rok pracował na statku rejsowym, mógłby od czasu do czasu ćwiczyć pływanie na plecach. Ella stawiała nogi szeroko, by uniknąć deptania ziemi przed nagrobkami zakonnic.

– „Tu spoczywa siostra Mary Sullivan”. „Tu spoczywa siostra Alice McNally” – czytała, przeskakując przez groby. Jacob też spróbował przeczytać jeden.

– „Tu leży *Siostra Jackie*, amerykański serial telewizyjny”. – Parsknęła śmiechem, a on zastanowił się, czy w ogóle rozumiała żart. Ale potem, żegnając się, powiedziała „Dzięki Bogu już piątek”, po czym przeszła do następnego grobu.

– Tu spoczywa Pokręcona Siostra, która już dłużej nie wytrzyma.

– Za młoda jesteś, żeby znać ten zespół.

– Mój ojciec wciąż ma ich stare płyty.

– I jak widać beznadziejny gust.

– Skoro już rozmawiamy o gustach, co tak naprawdę sądzisz o moim

wierszu?

Wcześniej Jacob zastanawiał się, czy Ella kiedykolwiek ośmieli się zapytać go o to twarzą w twarz. Ucieszył się, że to zrobiła.

– To, co napisałem.

– Pytam, co naprawdę o nim myślisz. Uważasz, że mam to coś, żeby zostać poetką?

Jacob przyjrzał się jej uważnie.

– Czegoś ci brakuje. Może dredów. Albo kucyka aż do łydek. Może powinnaś nosić dużo kolczyków. Ale tak odjechać dużo kolczyków.

Ella zmarszczyła brew.

– Zastanawiałam się nad tatuażem.

– Nie masz jeszcze tatuażu? O Boże. To nie wiem, czy w ogóle powinienem się z tobą pokazywać.

Ella rozejrzała się pobieżnie, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu.

– A ty masz?

– Mam chiński symbol miłości wytatuowany na lewej kostce.

– Nieprawda.

– Nie mogę ci pokazać, bo te skarpetki mają strasznie skomplikowany mechanizm.

– Bądź poważny.

Jacob cicho potarł butem o nagrobek, by usunąć przyklepione do podeszwy błoto. Na płycie wyryto wiersz, którego nigdy wcześniej nie widział, choć był na tym cmentarzu kilka razy i z nudów wielokrotnie przyglądał się tablicom. Jakimś cudem musiał go przeoczyć. Chyba czytał go wieki temu w jakiejś antologii, gdyż niektóre wersy brzmiały dla niego znajomo.

Strach miłować to,

czego dotknąć może śmierć

Strach miłować,

wierzyć i śnić, że się jest...

że można być...

i och!

utracić to.

Głupcem jest

i świętym

świętym

ten,

kto miłuje.

Gdy był w trakcie czytania inskrypcji, Ella podeszła i też zaczęła ją czytać. Czekala, aż coś powie. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej po prostu, że nie może ocenić, czy będzie z niej dobra poetka, czy nie, i że szanse są większe dla opcji „czy nie”, i że nawet jeśli uda jej się wybić, będzie ją czekało wiele pracy, za którą nie otrzyma prawie żadnego wynagrodzenia ani uznania. Ale stojąc tam i czytając te słowa na nagrobku, nie potrafił jej odpowiedzieć tak jak zwykle, w swoim stylu.

– Powiem ci, jeśli najpierw odpowiesz mi na jedno pytanie. I to zupełnie szczerze. Po co stałaś na tej barierce, skoro nie zamierzałaś skoczyć?

Ella nagle zainteresowała się gałązkami wokół jej stóp.

– To było tak, jakbym znów była dzieckiem. Jakbym w ogóle niczego się nie bała. Nie wiem, czy kiedyś płynęłaś po oceanie. Ja byłam na takim rejsie po raz pierwszy. To coś niesamowitego, gdy jest się tak daleko, że z żadnej strony nie widać lądu. Jakbyś był na innej planecie. Nie ma tam nic, co stworzył człowiek, tylko zachodzące słońce i te chmury, które płoną. Wszystkimi kolorami, jakie tylko potrafisz sobie wyobrazić. Jak wielkie pudełko kredek. A kiedy zerwał się wiatr, nie słyszałam nawet silników ani dzieci płaczących przy basenie, ani ptaków krzyczących przy barze... To wszystko znikło i czułam się, jakbym była w niebie. Niczego się nie bałam.

Jakbym była w stanie nieważkości. Ale przysięgam na Boga, nie chciałam skoczyć.

Jacob chciał ją przytulić albo chociaż poklepać po ramieniu, pogłaskać po głowie. Poprzestał jedynie na tym, że wyciągnął ku niej rękę i pomógł jej wstać.

– Czy próbowałaś powiedzieć o tym lekarzowi na statku? Albo komukolwiek innemu?

Ella wzruszyła ramionami.

– Nie wiedziałam, jak to opisać.

Jacob ruchem ręki dał jej znak, by wracali.

– Wiem z doświadczenia, że to jedna z najtrudniejszych rzeczy do opisanie.

– Co?

– Szczęście. Te wszystkie wiersze, które dla ciebie wyszukuję. To właśnie jest ich motywem przewodnim, o tym właśnie traktują.

Wolno, jakby bała się, że źle wymówi słowa, Ella rzekła:

– Byłam szczęśliwa.

Wracali, tym razem powoli, nie bojąc się, że ktoś ich zauważy. Weszli do środka bocznymi drzwiami. Jacob odstawił Ellę bezpiecznie do świetlicy. Nikt nawet nie okazał zdziwienia (z wyjątkiem Paula, który uniósł brew, ale kto by się nim przejmował?). Ella poszła zagrać w tryktraka z Maurą. Gdy we dwie rozmawiały o tym, co leciało w telewizji, i gdy Paul zajął się chłopcem, który próbował pomalować szyby akwarelą, Jacob podszedł do półki z książkami i zdjął z niej *Tessę d'Urberville*. Czuł na sobie wzrok Elli, gdy zapisywał pustą stronę z tyłu książki. „W porządku, wariatko, jesteś poetką. Napisz dla mnie wiersz. »Skórki z pomarańczy«. Pięć zwrotek. Wiersz wolny. Na piątek”.

Lipiec

Doktor Dorothy Zelig prowadziła w ośrodku Anchorage House nową, szeroko reklamowaną terapię z udziałem zwierząt. Pomagała wyjątkowo nerwowym pacjentom (jak Maura) zrelaksować się podczas zabawy z psami. Dzieci, które zostały dotknięte różnymi formami molestowania ze strony dorosłych, uczyły się, jak przyjmować miłość i jak zajmować się żywymi istotami. Choć Jacob nie był przekonany do programu, uznając go za bzdurny, nigdy nie miał żadnych osobistych zatargów z doktor Dorothy. Aż do dnia, gdy ponownie w środku dnia został wezwany do gabinetu Olivera – tym razem dokładnie z tego powodu, którego się obawiał. Jakim cudem jej nie zauważył? Chyba zaciąła się gdzieś w krzakach po drugiej stronie cmentarza i wcale nie wyprowadzała na spacer jednego z wykorzystywanych w terapii psów, jak twierdziła podczas rozmowy w gabinecie Olivera.

– Gosford musiał zrobić siku – zeznała doktor Dorothy – i wtedy właśnie dostrzegłam pana Blaumanna, jak podejrzanie rozmawia z pacjentką Ellą Yorke przy starym posągu. Mówiła tak, jakby była świadkiem w odcinku serialu *Prawo i porządek: Oddział pedantycznych pierdół*.

– Nie zdawałem sobie sprawy – powiedział Jacob – że rozmawiam w jakiś wyjątkowo podejrzany sposób.

Oliver, siedzący za biurkiem w pozie nieugiętego, poważnego doktora Boujedry, spojrział na Jacoba zmęczonym wzrokiem.

– Nie zaprzeczasz więc, że byłeś z pacjentką poza budynkiem?

Jacob uznał, że to będzie słowo doktor Dorothy przeciwko jego słowu i że Ella prawdopodobnie wszystkiemu zaprzeczy, kiedy tylko z nią o tym porozmawiają. A on nie chciał, żeby ją o to wypytywali. Mogłaby odnieść wrażenie, że prowadząc zwykłą konwersację, popełniła jakiś grzech. A poza tym – pieprzyć doktor Dorothy.

– Nie. Nie zaprzeczam. Ella była wyraźnie smutna, dzień był ładny, więc pomyślałem, że świeże powietrze dobrze jej zrobi. Legenda głosi, że ładna

pogoda ma kojący wpływ na człowieka, ale ja jestem jedynie sanitariuszem, więc mogłem się mylić. Oczywiście musiałbym przeprowadzić jakieś długoletnie badania z udziałem wielu grup placebo i napisać pracę naukową na siedemset stron, żeby móc się oficjalnie na ten temat wypowiadać.

Oliver już miał wybuchnąć, ale doktor Dorothy go uprzedziła.

– O tym właśnie mówię. Prawdziwy brak szacunku dla personelu za ciężką pracę, jaką wykonuje, i dla lekarzy za wiedzę, jaką posiadają. To podważanie naszego autorytetu w oczach pacjentów.

Jacob przewrócił oczami.

– Niech pani przestanie. Zrobiła pani specjalizację na uniwersytecie w Barbadosie, a uczy pani dzieci, jak zajmować się psem.

– Panie Blaumann, nie będę tolerował braku szacunku dla lekarzy tutaj pracujących – ostro zareagował Oliver. – Jest pan pewnie świadomy, że regulamin wyraźnie zabrania opuszczania budynku w towarzystwie pacjenta. Więc dlaczego uznał pan, że ma do tego prawo?

Jacob nigdy wcześniej nie słyszał, jak Oliver krzyczy – ciarki go przeszły, gdy uświadomił sobie, jak bardzo przypominał mu wtedy jego ojca.

Wiedział, że w tej sytuacji jest bez szans. Mimo że nie powiedział Elli niczego niestosownego i niczego złego nie zrobił, to rzeczywiście złamał regulamin, pozwalając jej wyjść na zewnątrz bez pozwolenia. Za to zdecydowanie można było wylecieć, a on wcale nie miał takiej czystej karty. Przez lata nie krył się z tym, że gardzi swoim miejscem pracy – pyskował lekarzom, dzwonił, że jest chory, chodził na skróty, spóźniał się i wychodził przed czasem. Odkąd się zatrudnił, daje im powody, by go wylali. Gdyby teraz stracił pracę, nie spędzałoby mu to snu z powiek, ale gdyby powiedział doktor Dorothy, żeby spadała na drzewo, wyleciałby i Ella zostałaby tu sama. Z drugiej strony jeśli obieca, że od teraz będzie omijać Ellę szerokim łukiem, to też będzie bez sensu.

– Ella Yorke – powiedział, rumieniąc się bardziej niż powinien – jest bardzo bystrą dziewczyną. Któregoś popołudnia odbyliśmy rozmowę w pracowni artystycznej Sissy Coltrane...

– Doktor Coltrane – poprawiła go doktor Dorothy.

– Okej, ale ona nie jest wcale doktorem, jest...

– Panie Blaumann, proszę – upomniał go Oliver.

– Muszę powiedzieć, że to całe gówniane doktorkowanie zaczyna przypominać drugie przykazanie. „Jam jest Pan, Doktor twój. Nie będziesz miał doktorów cudzych przede mną!”.

Doktor Dorothy niemal splunęła na dywan.

– Czy on jest poważny? On naprawdę oszalał. Oliver... ten dzieciak potrzebuje pomocy.

– On nie jest dzieckiem, Dorothy. Ma dwadzieścia osiem lat. I ja to widzę tak, że przechodzi teraz ciężki okres, ale Jacob, w imię szacunku dla tego miejsca pracy, będziesz zwracał się do lekarzy, używając ich tytułu, i to jest moje ostatnie słowo. Rozumiemy się?

– Czy to oznacza, że nie jestem zwolniony?

W oczach Olivera pojawił się zalotny błysk, gdy powiedział:

– Musisz mi obiecać, że nie będziesz już wychodził z panną Yorke bez opieki profesjonalistów. Lekarzy. Moje drzwi są zawsze otwarte.

Jacob niechętnie złożył obietnicę, a Oliver zakończył spotkanie. Gdy wszyscy już wstali, Jacob zwrócił się do nich dwojga.

– Czy mogę o coś spytać? Czy zauważyliście jakąkolwiek poprawę, w sensie terapeutycznym, u Elli Yorke, odkąd wróciła?

Doktor Dorothy spojrzała na niego z przekąsem.

– O takich rzeczach nie możemy z tobą rozmawiać.

– Och, dajcie spokój. Cały czas mówicie nam o pacjentach, których stan się pogarsza, żebyśmy mieli ich na oku. Co złego się stanie, jeśli powiecie, że

któremuś się poprawiło?

Ku zaskoczeniu Jacoba Oliver poparł tę logikę.

– Stan Elli rzeczywiście się poprawił, odkąd tu wróciła. Zmniejszyliśmy jej dawkę prozacu. Doktor Feingold zauważył, że chętniej angażuje się w pracę w grupie, a doktor Coltrane przy zdawaniu raportów mówi o niej same dobre rzeczy. Podczas naszych sesji wydaje się... optymistyczna. To spora poprawa. Jesteśmy zgodni co do tego, że jeśli tak dalej pójdzie, będzie mogła stąd wyjść przed końcem lata i znów rozpocząć naukę.

Na tę wieść Jacob uśmiechnął się szeroko, co zdumiało oboje psychiatrów – a nawet jego samego. Czy to był uśmiech zadowolenia z siebie? Uśmiech tajemniczy, sarkastyczny, przeraźliwy? Nie. To był prawdziwy uśmiech. Naturalna reakcja na to, co miał nadzieję usłyszeć.

– Czy jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć, Jacob?

„To jeszcze nie koniec”, pomyślał.

Karą za incydent było przejście na nocną zmianę do końca lipca, począwszy od następnego dnia. Po podróży autobusem wypełnionym ludźmi wracającymi do domu po długim dniu pracy Jacob przybył do Anchorage House akurat, gdy słońce zachodziło za bramą główną. Był na nogach od rana – spędził dzień samotnie w mieszkaniu Olivera, oglądając telewizję w bieliźnie. Nuda, ale na pewno nie kara. Kara raczej dla Olivera, gdyż teraz widywał Jacoba jedynie w weekendy.

Wciąż w dobrym humorze poszedł się przebrać do łazienki. Przyglądał się ostatnio kilku dłuższym powieściom w świetlicowej biblioteczce. *Anna Karenina*? Zakładali, że te dzieciaki nigdy nie doczytają jej do końca? Nie żeby w pobliżu były jakieś pociągi, ale mimo wszystko. Tak czy siak, on cieszył się na nadchodzący samotny wieczór. Gdy już miał wychodzić, zauważył coś na ścianie kabiny kilka centymetrów nad głową, w miejscu, gdzie miesiąc temu wydrapał serduszko.



Ktoś zamienił je w górną część litery R, tworzącej wyraz *pray*<sup>9</sup>. No cóż. Prawdopodobnie zrobił to ktoś z odwiedzających. Niech mu będzie. Wyszedł z łazienki. Po północy zarzucił Tolstoja, przeczytawszy ledwie dziesięć stron. W ośrodku panowała cisza. Wszyscy pacjenci byli już w łóżkach. Gdy minęła kolejna godzina, Jacob zapragnął, by coś się wydarzyło: pacjenci mieli koszmary i cierpieli na bezsenność, ale rzadko przeradzało się to w sytuację, która wymagałaby interwencji sanitariusza. Tego dnia dyżur pełnił Patrick Limon, ślamazarny siedemdziesięciolatek z włosami, które wystawały z czaszki jak kolce u jeża oraz wypływały z nozdrzy, przechodząc na wąsy i brodę. W białym kitlu prześlizgiwał się z pokoju do pokoju, aplikując pacjentom różne dawki odpowiednich leków.

Jacob przeszedł się po korytarzach. Potem przemierzył je ponownie, tym razem tyłem. Potem spróbował zejść tyłem po schodach i omal nie złamał sobie karku. W końcu wrócił do łazienki i spojrział ponownie na przerobione przez kogoś graffiti. Pomódl się. O tak, to takie istotne! Wyjął z kieszeni klucze i poniżej wyskrobał odpowiedź: „A po co?”. Ale nie poprawiło mu to humoru. Ponownie spojrzął na zegarek. Czwarta nad ranem i wciąż nic do roboty oprócz wezwania doktora Limona i spełnienia prośby o podanie leku uspokajającego. Niech wydarzy się coś – cokolwiek – co zatrzymałoby bieg kotłujących się myśli.

Kiedyś słyszał w głowie pięknie szepczące głosy, wiersze błagające go, by je zapisał. Teraz też słyszał szepty, ale już nie były przyjemne. „Niepotrzebnie dajesz jej nadzieję. Po co to robisz? Żeby wróciła do świata i przekonała się, że jest dokładnie tak pokręcony, mroczny, chory i popierdolony, jak myślała? Ona nie ma doła, ona po prostu, kurwa, trzeźwo myśli. Zajmij się swoimi sprawami. Niczego się nie nauczyłeś? Nie ocalisz jej. Nie jesteś wyjątkowy”.

Nie wytrzyma kolejnej godziny, a co dopiero kolejnego miesiąca w tej izolatce – bo tak to trzeba nazwać. Jak te dzieciaki dają radę? Zostały dwie

godziny do końca zmiany. Nie ma szans. Nie zdoła wytrzymać tak długo. Po dwudziestu minutach zdecydował, że wychodzi. I tak się zasiedziało. Za godzinę powinien dojść na dworzec, skąd pojedzie prosto do Bostonu. Tutaj już na pewno nie zostanie. Poszedł do szafki i zabrał stamtąd swoje ubrania – nawet się nie przebierając – a potem wrócił do świetlicy po egzemplarz *Anny Kareniny*, myśląc, że gdyby chciał go poderwać jakiś podejrzany typ, przynajmniej będzie miał mu czym przywalić.

Wkładając ją do torby, w ciemnościach dostrzegł szary portret Elli wciąż wiszący na ścianie. Ella wkrótce wróci do szkoły i nawet nie będzie miała aż tylu zaległości. Zmartwił się tylko, że znów może popaść w przygnębienie, gdy dowie się, że rzucił pracę. Pomyślawszy sobie, że zostawi jej jakiś pożegnalny liścik, wydarł stronę z książki Tołstoja i podszedł do stolika z szachownicą. Planował napisać coś dla Elli, sądząc, że znajdzie to następnego dnia, ale gdy usiadł, zobaczył, że spod planszy wystaje jakaś karteczka. Przysiągłby, że nie było jej, gdy wcześniej tam zaglądał, a przecież Ella nie wychodziła z pokoju. Jednak był tam – tym razem nie wiersz, lecz list, a w nim takie oto słowa:

*Mam nadzieję, że wkrótce wrócisz na swoją zmianę! Paul był tu dzisiaj jak zwykle, żeby pilnować grupy. Wiedziałaś, że dłubie w nosie? W zeszłym roku mieliśmy tu chłopca, który cierpiał na zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne i on tak mocno dłubał w nosie, że musieli mu zakładać rękawiczki z jednym palcem. Pytałam o to doktor Wilkins. Rhinotillexomania. Jest takie schorzenie! Naprawdę! Przed Maurą mieszkałam w pokoju z dziewczyną cierpiącą na OCD. Kiedy się denerwowała, zaczynała skubać brwi. Lekarze ostrzegali ją, że to nie jest tak jak z włosami na nogach, że te na brwiach nie odrastają, ale na nic się to zdało. Po tygodniu nie miała już brwi! Próbowала je sobie rysować eyelinerem, ale wyglądała jak jakaś nienormalna. Znalazłam jakąś kredkę i trochę je wycieniowałam. Wyglądało to trochę lepiej, ale za to schodziło po kilku dniach mycia pod prysznicem.*

Mówiłam jej, że możemy znowu powtórzyć ten zabieg... nie żeby mi jakoś strasznie zależało, ale ona twierdziła, że to bez sensu. Słyszałam, że wysłali ją gdzieś na Florydę, do jakiegoś ośrodka specjalizującego się w zaburzeniach obsesyjno-kompulsyjnych. Myślałam sobie: „Ma dziewczyna rację. To bez sensu”. Całe życie będzie sobie rysować brwi po kąpieli? Ktoś mi powiedział, że można je sobie wytatuować. No jasne, że można. A gdyby znowu jej odrosły, czy nie wyrwałaby ich znowu? Przecież skubiąc brwi, nie wyzbywała się swych lęków. Więc to było podwójnie bez sensu. Bezsens do kwadratu. Spirala bezsensowności, w którą mnie wciągnęła. Tak właśnie reaguję. Dlatego tutaj jestem. To jest właśnie to, czego nie widzą moi rodzice. Dla nich sprawa jest prosta. Oni pewnie powiedzieliby: „Cóż, mogło być gorzej! Mogła sobie wyskubać rzęsy!”, i tak naprawdę obśmialiby to i poszli jeść zupę. Hipotetycznie oczywiście. Oni nie jedzą jakichś dziwnych ilości zupy. Po prostu oddają się tak prozaicznym czynnościom jak jedzenie zupy. Zamiast okazać troskę, zainteresowanie, oni pójdą jeść zupę. Jesteś jedyną osobą, jaką spotkałam, nie tylko tutaj, ale w ogóle, która nie oddaje się po prostu jedzeniu zupy. Mam nadzieję, że to nie brzmi dziwnie. Tego dnia, kiedy porozmawiałeś ze mną o moim obrazku, pierwszy raz ktoś w tym miejscu zapytał mnie o coś takiego. Nikt nam się bliżej nie przygląda. Ani inne dzieciaki, ani nawet lekarze, których praca na tym właśnie ma polegać. Każdy po prostu siedzi z nosem w swojej zupie. Twierdzą, że im na mnie zależy, ale nie zostawiają dla mnie wierszy w książkach. Nie mówią, że mogę być poetką, ani nie nazywają mnie głuptasem. Mówią mi, żebym „dostosowała swoje oczekiwania do otaczającego mnie świata” i że powinnam być realistką i zaakceptować fakt, że życie nie jest sprawiedliwe i że niektórzy ludzie po prostu nie będą mieć brwi, co nie jest wcale najgorsze, bo gdzieś tam dzieci głodują albo rodzą się chore, albo jeszcze gorzej, gdzieś ktoś kogoś gwałci i morduje,

*i powinnam się cieszyć, że jestem mądra, że mam co jeść, że mam kochających rodziców, mam co na siebie włożyć i gdzie mieszkać. To wszystko oznacza, że nie powinnam się zajmować tym, nad czym i tak nie mam kontroli, i zacząć „nad sobą pracować”, przestać się zamartwiać, a wtedy mój stan się poprawi i będę mogła stąd wyjść i zrobić coś z moim życiem, które jest cennym darem, o jaki nigdy nie prosiłam. Tak, wiem, wiem, wiem. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że wkrótce wrócisz na swoją dawną zmianę, bo Paul jest beznadziejny.*

Jacob siedział tam jeszcze długo, czytając list w ciemnościach po kilka razy. Gapił się na pionki porozstawiane na szachownicy. Obie strony wciąż znajdowały się w zugzwangu, każda na straconej pozycji. A co jest takiego złego w tym, że się przegra? – zastanawiał się. Przynajmniej można rozpocząć nową partię. Gorzej ciągle stać w miejscu. Bezczyinnie. Tracić czas, którego i tak jest mało. Na kartce, którą wyrwał z książki, napisał wielkimi literami: „NIECH ŚWIAT DOSTOSUJE SWOJE OCZEKIWANIA DO CIEBIE”. Potem małymi literami dodał: „Zadanie: Napisz mi sestynę o zupie, na wtorek. I sonet o brwiach, na niedzielę”. Złożył kartkę i włożył ją pod szachownicę.

## Sierpień

Okazało się, że do samotności, jak do wszystkiego, można się przyzwyczaić. Jacob skończył *Annę Kareninę* w dwa tygodnie i miał już plan lekcji dla Elli. Wciąż komunikował się z nią przez szachownicę, dyskutując z nią o wierszach i o tym, co akurat wydarzyło się w ciągu dnia: Maura zakochała się w jednym z nowych pacjentów o imieniu Roy, Paul nadał dłubał w nosie, a Sissy uczyła ich szydełkowania. Musieli jednak używać nieporęcznych plastikowych szydełek, którymi nikt nie mógł sobie zrobić krzywdy, i nie było im wolno dzierać szalików ani niczego z długimi rękawami. Wiele osób robiło

rękawice kuchenne. Ella próbowała uszyć sobie beret. Musiało się wydać, że to doktor Dorothy nakablowała na Jacoba, bo ktoś (Maura) ukradł jej okulary podczas terapii z udziałem psów (wcale nie za namową Elli), a potem połamał i wrzucił do wywietrznika.

Oliver obiecał, że przywróci Jacoba na dzienną zmianę, gdy tylko sprawa ucichnie (czytaj: gdy Ella wróci do szkoły). Jacob nie miał mu tego za złe, ale martwił się, że ich rozstanie Oliverowi nie służy. Był coraz bardziej przygnębiony. Nawet w weekendy. Wciąż uprawiali seks w sobotnie poranki, ale potem interesowała go już tylko telewizja. Jacob słuchał politycznej paplaniny o ślubie Chelsea Clinton. Oliver rozkleił się na widok „słodkich” starych zdjęć rodzinnych: Bill, Chelsea i ich kot Socks oglądają jakiś film w Białym Domu, Chelsea z matką w jakiejś afrykańskiej wiosce, robiąca głupie miny do ojca.

– Tak słodko razem wyglądają – powiedział Oliver.

– No – odpowiedział Jacob. Nie patrzył zbyt uważnie, bo akurat przeglądał tomik poezji Keatsa, zastanawiając się, który wiersz wyciąć, kiedy Oliver znów pójdzie do łazienki.

– Zawsze chciałem mieć córkę – rzekł Oliver, patrząc w sufit.

– Hmmm – powiedział Jacob, bo przez chwilę jego uwagę odwróciła reklama filmu ze Stone'em Culliganem. Naprawdę zatytułowali go *Śmierci, próżno się pysznisz?* Powinien być na to jakiś paragraf.

Oliver zaczął przycinać sobie paznokcie u stóp, choć wiedział, że Jacob nie lubi, jak robi to przy nim. Potem zmienił kanał na BBC America, gdzie leciał akurat odcinek serialu *Każdy z każdym*. Jacob wytrzymał jedynie dziesięć minut poznawania niebezpiecznych szczegółów z życia współczesnych dziwacznych związków, aż wreszcie powiedział:

– Możemy obejrzeć coś innego?

– Ale ja lubię ten serial.

– Nawet się nie śmiejesz!

– Nie wszystko, co lubię, mnie śmieszy.

– To jest komedia sytuacyjna. Powinieneś się śmiać z tych niezwykle zabawnych sytuacji, w których znajdują się bohaterowie.

– Śmieję się, ale wewnętrznie.

– Ubaw nie wymaga wysiłku intelektualnego, Oliver. Rozbawienia nie da się przeżywać, nie okazując tego.

– A ja potrafię – powiedział.

Któryś z bohaterów serialu wyszedł z szafy nago.

– HA HA HA HA HA – powiedział Oliver.

Jacob rzucił w niego poduszką, a Oliver przycisnął go do materaca i znów zaczęli się kochać. Gdy skończyli, Oliver przełączył na kanał przyrodniczy. Ten pojednawczy gest zatrzymał Jacoba w łóżku aż do lunchu (płatki na zimno i pół banana), który zresztą właśnie w łóżku zjadł. Przez chwilę rozmawiali o oceanach i o zdumiewających, małych stworzonkach, które zamieszkują ich głębiny. Brytyjski dokumentalista tłumaczył, na czym polega cykl reprodukcyjny ośmiornicy zwyczajnej, nazywanej również mroczną. Na ekranie pojawiła się mała ośmiorniczka, wielkości ćwierćdolarówki. Przez jej delikatne półprzezroczyste różowe ciało widać było czerwony mózdzek dryfujący na wysokości oczu. Oliver zaczął pochlipywać.

– Wygląda jak jakiś Marsjanin z taniego filmu klasy B! Dlaczego, do cholery, płaczesz?

– Spójrz, jaka ona malutka. Dosłownie przeziera przez nią ta czarna głębia oceanu! Rodzice nie uczą młodych, jak przetrwać w tamtym świecie. One po prostu to wiedzą.

– To stawonóg, Oliver. Przypisujesz swoje cechy stawonogowi.

– Ośmiornice – chlipał Oliver – to głowonogi. To wysoce inteligentne stworzenia. Są jednym z niewielu gatunków zwierząt, który potrafi okazywać

emпатиę.

Jacob musiał się zgodzić, że według tej logiki ośmiornice przewyższały wielu znanych mu ludzi. Na przykład Paula. Mimo to uważał, że płakać nad nimi to już przesada.

– One mają coś, co nazywa się osobowością wybiórczą – dodał Oliver.

– Co to takiego?

– Zachowują się konsekwentnie przez kilka godzin, albo nawet dzień, a potem niekonsekwentnie przez dłuższy czas.

– Czy dlatego właśnie nazywają je mrocznymi ośmiornicami?

– Nie, ta nazwa wzięła się z tego, że gdy dojrzewają, robią się szare. Za chwilę będzie o tym mówił.

– Czekał. Ty już to widziałeś?

Oliver nie odpowiedział. Zawsze tak się zachowywał, gdy przyłapano go na płakaniu. Jacob wiedział, że mógł okazać trochę więcej zrozumienia albo przynajmniej ugryźć się w język, ale... ośmiornica?

– Będziemy tak leżeć w łóżku przez cały dzień?

– Możesz wyjść, jeśli chcesz.

Jacob wyszedł. Wziął kluczyki od samochodu i pojechał do Stamford, zdając sobie sprawę, że dobry partner zostałby i porozmawiał z Oliverem. Wysłuchałby jego perorowania na temat głowonogów, empatii, osobowości wybiórczej i mrocznych nastrojów, w które czasem popadał jego nieżyjący już ojciec. Dobry partner kochałby go za to wszystko. Jacob zastanawiał się, jak Oliver to robi – jak może tak siedzieć i słuchać ludzi, którzy przez cały czas są smutni. Jacob cholernie chciałby, żeby Oliver i inni rozwiali cudze złudzenia, tak jak on to zrobił z Ellą. Nie trzeba ograniczać się wyłącznie do poezji. Może świat nie byłby taki dołujący, gdyby ludzie z depresją stali się bardziej produktywni. Powinno się powołać Zarząd ds. Postępu Prac dla osób cierpiących na kliniczną depresję. Zarząd ds. Postępu Depresji! Wstańcie ci,

którzy jesteście w życiowym dołku! Zburzcie pordzewiałe mosty, wyrwijcie popękane drogi i zbudujcie na ich gruzach nowe miasta!

Jechał do księgarni Borders. Kiedy po piętnastu minutach dotarł na miejsce, przeszedł wolno między półkami prezentującymi nowości, minął dział z czasopismami i kawiarnię, aż wreszcie dotarł do sekcji z poezją, zajmującą połowę półki. Romanse paranormalne dla nastolatków zajmowały aż cztery. Nieważne. Przebiegł palcami po grzbietach książek, szukając tej, o której myślał, a która nie złamałaby jego zasady „zero prozy” – tej, z której Ella dowiedziałyby się wszystkiego, co powinna wiedzieć, a co on sam powinien jej przekazać, ale nie potrafił się na to zdobyć. Wcześniej zastanawiał się nad tym, które z tłumaczeń wybrać – licząc na to, że znajdzie też wersję dwujęzyczną, z greckim tekstem na przeciwległej stronie. Płonne jednak były jego nadzieje, gdyż sklep nie miał na stanie ani jednego egzemplarza *Odysei*.

– Przepraszam – spytał pracowniczkę punktu informacyjnego, nastolatkę sprawiającą wrażenie tak znużonej jak sześć pacjentek z Anchorage House.

– Szukam *Odysei*. Macie tu może dział z klasyką?

Pokiwała przecząco głową.

– Nazwisko autora?

– Homer – powiedział Jacob.

– Homer jaki?

– Po prostu Homer.

– Jak Madonna?

– Tak, dokładnie.

Pomalowanymi na czarno paznokciami postukała w klawiaturę, aż wreszcie spojrzała na niego zakłopotana.

– Nie mamy nic pod hasłem „Homer”. Jest pan pewien, że nie chodzi o tego gościa z *Simpsonów*?

– Nie, nie chodzi mi o gościa z *Simpsonów*.



– Bo mogłabym sprawdzić pod hasłem „Simpsonowie”.

Jacob westchnął – miał wielką ochotę zbroczyć z obranego kursu, ale po raz pierwszy w życiu nie miał pewności, czy potem będzie w stanie na niego wrócić. Wziął tylko głęboki oddech i powoli przeliterował jej tytuł. Po minucie pokręciła głową.

– Mogę ją zamówić, jeśli pan chce.

– Może jest dostępna w innym sklepie waszej sieci?

Sprawdziła i po rozmowie z kierownikiem powiedziała Jacobowi, jak dojechać do drugiego sklepu, który ma jeden egzemplarz. Kiedy jednak tam dotarł, okazało się, że nie mają ani jednego. Mężczyzna w średnim wieku, równie znudzony jak jego koleżanka z poprzedniej księgarni, z przyjemnością skierował Jacoba do trzeciego sklepu, gdzie wreszcie znalazł egzemplarz w tłumaczeniu Faglesa. Płacąc za niego, zażartował do kasjera, że spędził prawie cztery godziny, jeżdżąc za tą książką.

– Odbył pan niezłą odyseję – powiedział kasjer z uśmiechem.

Jacob miał ochotę ucałować go w usta. Poprzestał jedynie na prośbie, by wytłumaczył mu, jak dojechać z powrotem do Stamford.

Kiedy wreszcie wszedł do mieszkania, na zewnątrz robiło się już ciemno.

– Co się stało? – zawołał Oliver. – Kolację dowieźli pół godziny temu!

– Pozwól, że ci opowiem... – zaczął Jacob, dzierżąc ciężko zdobyty egzemplarz *Odysei* jak trofeum. Przerwał jednak w pół zdania, podchodząc do stolika. Oliver znów oglądał kanał BBC America. Na ekranie znajdowała się akurat Sally Struthers we własnej osobie, w materiale filmowym jakości kaset wideo z lat osiemdziesiątych. Otaczały ją małe, wychudzone afrykańskie dzieci, gryzące paznokcie swych kciuków i patrzące wielkimi oczami w kierunku kamery, na salon, w którym Oliver był bardziej zajęty zamówioną przez siebie chińszczyzną niż nimi.

Jacob przez chwilę miał wrażenie, że te blade małe chudzinki tak naprawdę

patrzają na to chińskie jedzenie – tylko czekają, by sięgnąć ręką przez szkło i zwędzić pierożka. Na chwilę zapomniał o książce, którą trzymał w ręce, patrząc na reklamę – na dole ekranu pojawił się numer telefonu rozpoczynający się od liczby osiemset. Powinienem zadzwonić? – zastanawiał się. Zawsze uważał, że tego typu rzeczy to przekręt albo pole do popisu dla organizacji religijnych. Najrozsądniej byłoby zmienić kanał. Zapisać się do drużyny kickballa. Przeczytać wszystkie komiksy w „New Yorkerze”, a resztę pominąć. Zasiąść do stołu i jedząc lo mein, opowiedzieć o swojej epickiej podróży. Innymi słowy, żyć.

– Wystygło już, ale możesz sobie odgrzać – powiedział Oliver, odwracając głowę w stronę ekranu jedynie po to, by sprawdzić, czy wrócił już jego ulubiony serial.

Jacob nosił tę książkę ze sobą wszędzie: miał ją pod pachą, gdy z Oliverem chodzili po targu staroci w Stamford, szukając nowych opraw oświetleniowych; miał ją przy sobie w autobusie, a czekając na czerwonym świetle, podkreślał fragmenty; była w jego worku marynarskim tuż obok słownika dialektu attyckiego, by późnym wieczorem w świetlicy mógł tłumaczyć na nowo poszczególne zwrotki. Pracował nad nią tak obsesyjnie, aż niemal zapomniał o obietnicy, jaką złożył rodzicom, że przyleci do nich na swe urodziny na tydzień przed wyjściem Elli z ośrodka. Spóźniłby się na samolot, gdyby Oliver nie zauważył zapisku w grafiku sprzed kilku miesięcy – załatwił sobie wolne w ten piątek, by Jacob mógł złapać mniej zatłoczony samolot i dolecieć na Florydę przed zmrokiem (rodzice Jacoba bali się już jeździć po ciemku).

– I tak muszę zrobić sobie dzień wolnego – powiedział Oliver. – Zawiozę cię na lotnisko.

Jacob nie musiał się pakować. Rodzice trzymali dla niego w szufladzie ubrania na ciepłą pogodę, a mama zawsze wkładała nową szczoteczkę do

zębów do kubka w gościnnej łazience. Zabrał więc ze sobą książkę, wsiadł do samochodu Olivera i od razu powrócił do zakreślania. Minęło kilka tygodni, a on był wciąż na pieśni piętnastej, gdzie bogini Atena namawia Telemacha, syna Odyseusza, by wrócił do domu, zanim jego matka, Penelopa, wyjdzie za mąż za jednego z licznych zalotników, a przed nim było jeszcze dziewięć ksiąg plus wiele wniosków, które chciał dopisać na końcu. Jeśli ma zdążyć przekazać wszystko Elli, zanim wyjdzie z ośrodka, będzie musiał porządnie do tego przysiąść.

– Miło jest widzieć, że znowu studiujesz literaturę – skomentował Oliver, gdy przejeżdżali przez most Whitestone. Przez okno pasażera Jacob widział Queens wznoszące się nad rzeką i wiedział, że dalej za nim jest Manhattan. Jego stare mieszkanie, stare notatki i dawne życie czekają, aż powróci.

– Myślisz, żeby zająć się doktoratem?

– Jest jakiś rodzaj arteterapii, ale z wykorzystaniem poezji i książek? Jest coś takiego?

Dawno nie widział Olivera tak pozytywnie zaskoczonego.

– Biblioterapia! Tak, czytałem na ten temat kilka dobrych artykułów. Mogę je dla ciebie znaleźć, jeśli chcesz.

– Dzięki. Zastanawiałem się, czy nie spróbować.

– Terapii? – Oliver właściwie wykrzyczał z radości to ostatnie słowo, zachwycony, jakby całe wieki czekał, aż Jacob to powie.

Zirytowany, Jacob wyjaśnił:

– Nie, ja chcę prowadzić terapię. Wiesz, na studiach drugi fakultet miałem z psychologii. Myślę, że byłbym w tym dobry. Skoro Sissy Coltrane może to robić, to ja też.

Mijali budynek redakcji „New York Timesa” i wkrótce oczom Jacoba ukazały się pozostałości po starym centrum wystawowym.

– Sissy ma dyplom z arteterapii – powiedział Oliver po chwili.

Jacob parsknął.

– Wszystko, co ma Sissy, to hawajska tunika z alpaki i poczucie wyższości.

Oliver jęknął.

– To ma związek z tą Ellą Yorke, prawda?

Jacob nie odpowiedział, tylko wrócił do kreślenia przypisów w książce. Po chwili krążyli już między terminalami lotniska JFK, szukając tego, który obsługuje linie lotnicze Delta. Wreszcie dotarli do miejsca z automatyczną odprawą, gdzie czekali już bagażowi. Oliver zdobył się na wymuszony uśmiech.

– Cóż – powiedział, wręczając Jacobowi małą srebrną szkatułkę – myślę, że to świetny pomysł, że chcesz zrobić dyplom z biblioterapii. Ale w międzyczasie możesz używać tych. – W srebrnym pudełeczku było jakieś dwadzieścia czy trzydzieści wizytówek, na których połączanymi literami napisano: „Jacob Blaumann. Pan i władca poezji. Specjalizacja: epika”. Jacob obrócił jedną w rękach raz i drugi, po czym włożył wizytownik do kieszeni w marynarce. Były piękne.

– Są doskonałe – powiedział. – Naprawdę ci dziękuję, Oliver.

Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kupił Oliverowi prezent. Na pewno nie zrobił tego bez okazji. Już miał zacząć przeproszać, kiedy uświadomił sobie, że Oliver próbuje zmienić temat.

– Jacob – zaczął – rozumiem, że miałeś ciężki rok, ale szczerze mówiąc, musimy spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że nie... chodzi o to, że może powinniśmy...

Ale Jacob pospiesznie pocałował go w usta i otworzył drzwi samochodu. Stojąc już na zewnątrz, próbował je zamknąć, ale coś je blokowało.

– Pas bezpieczeństwa – powiedział Oliver. – Zaklinował się. Wepchnij go do środka.

– Ja... – tu ugryzł się w język, po czym wrzucił pas do środka, zamknął

ponownie drzwi i pomachał Oliverowi na do widzenia. Oliver odjechał, mijając policjantów kierujących ruchem. Drzwi wciąż się chygotały. Zobaczył, że kawałek dalej Oliver zatrzymał się, wysiadł, obszedł samochód i pewnym ruchem ręki domknął drzwi.

W kolejce do kontroli bezpieczeństwa Jacob wciąż robił notatki. Kiedy przyszła jego kolej, umieścił książkę w małym szarym pojemniku, na górze położył notatnik i przekazał je do prześwietlenia przez maszynę rentgenowską. Wizytownik wraz z kluczami, paskiem, trzema piórami, butami i telefonem umieścił na osobnej tacy.

– Przepraszam pana. – Ochroniarz poprosił go na stronę, gdy Jacob wkładał wszystko z powrotem na miejsce. Strażnik spojrzał na książkę i przewertował notatnik zabazgrany pismem w obcym języku z mapkami oraz szkicami łodzi, jakby zawierał jakieś tajemnicze kody albo projekt bomby.

– Czy to wszystko?

– Tak – potwierdził Jacob. – To wszystko, co mam.

Osiągnął postęp – cała jedna pieśń skończona przed wejściem na pokład i kołowaniu. Telemach wreszcie spotkał się z ojcem. Po godzinie lotu pióro, którym Jacob nanosił notatki w książce, zaczęło zalewać. Klnąc, próbował zetrzeć plamę jedną z wizytówek, które dostał od Olivera.

– Pożyczyć panu coś do pisania? – spytała kobieta w fotelu obok. Jacob spojrzał na nią po raz pierwszy, odkąd przy nim usiadła. Dłonią z pomalowanymi na czerwono długimi paznokciami zagięła róg na stronie książki *Niebo istnieje... naprawdę!*, o chłopcu, który niby umarł i poszedł do nieba, a potem wrócił, by o tym opowiedzieć. Jacob podziękował kobiecie i przystał na propozycję. Przez chwilę szukała w torebce, aż wreszcie wyjęła długopis.

– Och – powiedział z wahaniem – niebieski.

– Słucham?

– To niebieski długopis. Robiłem notatki czarnym kolorem. To pewnie brzmi głupio, wiem.

Kobieta nic na to nie powiedziała, ale wyglądała na lekko zdenerwowaną, gdy chowała długopis z powrotem do torebki.

– O czym to? – spytał Jacob, wskazując palcem na jej książkę.

Strzeliła ewidentnego focha, po czym spytała:

– A to o czym?

– O gościu, który przez trzydzieści lat błądzi po morzu.

– Masz z tego jakieś zaliczenie? – wskazała na notatnik, który Jacob natychmiast zasłonił dłonią.

– Nie. To prezent dla pewnej osoby.

– Ten ktoś to ma szczęście – powiedziała.

Jacob wrócił do pracy. Zmieniając co pięć minut swoje ciekące pióra i ścierając kleksy tylną stroną wizytówek, dotarł do końca kolejnej pieśni tuż przed tym, jak samolot wylądował w Tampie.

## Wrzesień

Omam nie rozpoznał swoich rodziców. Czuł się, jakby grał w *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia*. Jakby kosmici wylądowali w Tampie i porwali tych znużonych, zrędlivych staruszków, którzy go wychowali, zostawiając w zamian zrewitalizowanych, na nowo zaprogramowanych emerytów. Dawniej przez pierwszą połowę dnia jego rodzice snuli się po domu jak duchy. Teraz wstawali codziennie o piątej rano i razem biegali pięć kilometrów. Na śniadanie jedli jednego grejpfruta na pół, a gdy chcieli się ochłodzić, pływali w basenie. I nie oni jedni wiedli taki tryb życia. Przed świtem w miasteczku Tampa pełno było osiemdziesięciolatków, którzy w kolorowych dresach maszerowali energicznie po uliczkach. Na tych ośmiu hektarach zamieszkałych przez emerycką społeczność czas stanął w miejscu.

Przed każdym domem stał wypolerowany cadillac albo oldsmobil. Mężczyźni w kapeluszach. Kobiety plotkujące na rogu. Popołudniami ojciec miał lekcje tenisa z instruktorem, który kiedyś trenował nastolatki z Tennessee do turnieju pro circuit.

– W salonie ma gablotkę pełną trofeów – oznajmiła entuzjastycznie mama Jacoba, gdy dołączył do niej, jak obierała ogórki w salonie. – Mówi o sobie Pan Mocny Strzał.

Matka zaprzyjaźniła się z jakąś mieszkającą po sąsiedzku kobietą o imieniu Lydia, która przez wiele lat była szefem kuchni w jednej z restauracji w Chicago i teraz uczyła ją, jak przyrządzać suflety serowe i jak wybierać wino.

– W przyszłym roku jedziemy na wycieczkę do Doliny Loary. Byłeś kiedyś w prawdziwej winnicy?

Jacob powiedział, że nie był, opłakując swe pozbawione sufletów dzieciństwo.

Najdziwniejsze było to, że teraz stali się jeszcze bardziej religijni, jeszcze bardziej żydowscy. Przestali chodzić do synagogi, kiedy był dzieckiem, gdyż Gene Blaumann w czasie szabatu wdawał się w dyskusję z rabinem, jeszcze zanim pobłogosławiono chleb. A jeśli byłeś zbyt kłótniwy nawet dla Żydów z Westchester, balansowałeś na granicy patologii.

Teraz Gene Blaumann w każdy sobotni poranek chodził na nabożeństwo. Matka natomiast zaangażowała się w jakąś kampanię informacyjną dotyczącą, jak to nazwała, „kryzysu przyszłego pokolenia”. Problemem nie było już to, że porządni żydowscy chłopcy (jak Gene Blaumann) żenili się z jakąś sziksą (nie-Żydówką), ale to, że nawet dzieci dwojga naturalnych Żydów nie były już tak pobożne i coraz rzadziej podchodziły do bar i bat micwy.

– To może lepiej, żeby nie poznali waszego syna, który jest gejem – powiedział Jacob. Matka jednak pokręciła głową.

– A kogo to obchodzi? Wszyscy oglądają teraz *Will and Grace*. Nikt nie przejmuje się tym, czy ktoś jest gejem, czy nie. Bądź tak dobry i powiedz im, że co sobota chodzisz do synagogi.

Na szczęście rodzice, zbyt zajęci uprawianiem sportu, lekcjami kulinarnymi i grą w karty, nie zwracali na niego większej uwagi. Dużą część dnia spędził przy basenie, umieszczając przypisy w *Odysei*, a potem rodzice zabrali go na obiad do lokalnej włoskiej restauracji Amici's, którą „wszyscy” polecali. Nikt nie zwrócił uwagi na jego komentarz, że dodawanie dopełniacza saksońskiego do włoskiego rzeczownika w liczbie mnogiej jest śmieszne.

– Kupiliśmy ci iPhone'a – powiedział ojciec, gdy podano antipasti. – Daj mu go, Anjelica.

Matka upuściła nóż na smażonego karczocha.

– Niech sam otworzy i zobaczy!

– Przecież to żadna niespodzianka – powiedział ojciec. – Wszyscy teraz takie dostają. Trener powiedział mi, że ten 3GS jest naprawdę dobry. Sobie też taki kupiłem.

I Jacob na własne oczy zobaczył, jak jego ojciec wyjmuje z kieszeni iPhone'a.

– Możesz tu wgrać wszystkie swoje ulubione piosenki. Książki też! Nie musisz za każdym razem taszczyć ze sobą tego tomiska. Kręgosłup sobie zrujnujesz. Proszę, to dla ciebie.

Jacob chwycił książkę leżącą na ławce obok niego, jakby to była kamizelka ratunkowa, a w rodzinną restaurację Amici's miała za chwilę uderzyć jakaś ogromna fala.

– Bardzo wam dziękuję – powiedział, przyjmując prezent i nie odpakowując go.

– I możesz sobie też zainstalować na nim Facebooka – powiedziała mama.  
– Masz konto na Facebooku?



– Nie, nie mam i błagam, powiedzcie mi, że wy też nie macie.

– Och, to musisz koniecznie zobaczyć. Gene, pokaż mu, jak się zaprasza znajomych.

I Jacob patrzył, jak jego ojciec nad talerzem kalmarów przesuwa powoli kciukiem po liście kontaktów. Przyglądał się, jak jego matka zapuszcza żurawia, by zobaczyć, kto jeszcze wybiera się do restauracji i czy jest wśród tych osób ktoś, z kim warto się przywitać. Może jednak to wciąż byli jego rodzice.

– Spotykasz się z jakimiś fajnymi mężczyznami? – spytała. Jacob i tak nie miał zamiaru odpowiadać na to pytanie, ale w obawie, że jego syn jednak odpowie, ojciec szybko zmienił temat.

– Może rzucisz tę głupią robotę i zadzwonisz do syna Phila Jalasko z Sony Records? Poezja jest w pewnym sensie jak muzyka i jestem pewien, że przydałby się im ktoś tak bystry do poprawiania tekstów piosenek. *You and me could write a bad romance* – czy to jest po angielsku?

– Proszę, powiedz mi, że nie masz tam piosenek Lady Gagi.

Ojciec westchnął i zaczął wciskać ikonki na ekranie telefonu.

– Syn Phila coś mi tu wgrał. Nie wiem... nie potrafię tego usunąć.

– Daj – powiedział Jacob – pokażę ci.

Następnego dnia rano odwieźli go na lotnisko i pożegnali się przed terminalem. Ojciec uśmiechnięty machał do niego komórką, a mama jak zwykle płakała.

– Kiedy już będziesz na miejscu, proszę cię, daj znać, że doleciałeś, dobrze? – spytała, ściskając go przy przejściu do samoobsługowej odprawy.

Jacob musiał niechętnie przyznać, że podczas powrotnego lotu miło było posłuchać musicalu *West Side Story* i w kółko puszczać sobie album *Rumours* Fleetwood Mac (jedyne nadające się do słuchania rzeczy, jakie znalazł u matki). Z nowym zestawem długopisów i paczką chusteczek higienicznych

udało mu się przebrnąć przez pieśń XIV, zanim wylądowali w Nowym Jorku. Tego wieczoru, gdy Oliver zasnął, oglądając kolejny film przyrodniczy, Jacob wstał i w gabinecie kończył swoje własne przypisy do poematu. Pracował całą noc, nie zmrużywszy oka, a jadąc do Anchorage House, kilkakrotnie przeczytał swe notatki. Tak ciężko nie pracował od czasu *Gównianego cyklonu* i nawet nie było mu przykro, że się z tym rozstaje.

Tego dnia, jeszcze przed porannym obchodem, Jacob włożył wypełniony przypisami egzemplarz *Odysei* do biblioteczki na oddziale trzecim. Gdy wrócił tam w porze lunchu, już go nie było. Patrolując zewnętrzny korytarz, zobaczył Ellę w kawiarence, pogrążoną w lekturze. Trajkotanie Maury siedzącej po drugiej stronie stolika ani trochę jej nie rozpraszało. Wzrok Elli krążył między książką a notesem. Na zajęciach z grupą Feingolda wszystko w jej zachowaniu wskazywało na to, że jest obecna na tym świecie jedynie ciałem. A gdy po południu Sissy próbowała zmusić ich do zrobienia pacynek z torebek papierowych, Ella bezmyślnie przyklejała oczy i kokardki, a jej uśmiech rozciągał się i kurczył jak miech akordeonu grającego niesłyszalne nuty.

W końcu po południu Jacob miał szansę, aby przez chwilę porozmawiać z nią w świetlicy. Widział, że Paul im się przygląda, podobnie zresztą jak doktor Dorothy i doktor Wilkens, którzy dyskutowali nad czymś w pokoju obok, ale Jacob nie widział już powodu, by się tym przejmować. Cokolwiek się stanie, to już jest jej. Ella ścisnęła książkę, jakby ta zaraz miała jej uciec.

– Ty to napisałeś?

– To? – Jacob przyjrzał się uważnie książce. – Wygląda na to, że jakiś gość imieniem „Ho-mer”.

Ella spojrzała na sufit, jakby szukała tam właściwych słów.

– Dziękuję. To znaczy nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Już to zrobiłaś. Dokładnie wtedy, gdy powiedziałaś... „dziękuję”.

Wyglądała, jakby zastanawiała się, co wybrać z wielu rzeczy, które tak bardzo chciała mu powiedzieć. Wreszcie poprzestała na:

– Okej. Teraz ty będziesz musiał się wytłumaczyć. Dlaczego?

– Żebyś miała co ze sobą zabrać, gdy już stąd wyjdiesz.

– Nie o to mi chodzi. Dlaczego akurat ta książka? Nie żeby mi się nie podobała. Bardzo mi się podoba.

Jacob chciał jej powiedzieć, że to było coś, co chciał odzyskać; coś, czego ktoś inny nie zdołał dokończyć; że to była podróż, którą musiał odbyć w czyimś imieniu. Chciał móc teraz usiąść z nią i spokojnie jej to wszystko wytłumaczyć. Ale zaraz mieli przyjechać po nią rodzice.

– Jakiś czas temu widziałem twój kubek w pracowni. Wokół jego brzegu napisałaś „Odyseusz”.

– Ach tak. Greką – powiedziała Ella. Ledwo powstrzymywała się od śmiechu. – Mój chłopak... Mój były chłopak – poprawiła się. – Nie wiem, jak mam o nim mówić. Tak czy siak, ma na drugie imię Ulisses.

Jacob poczuł, jak się rumieni, i zaczął się zastanawiać, czy to ten gość, którego widział na jej zdjęciach z balu maturalnego.

– Co? Ulisses? Mieszka na Brooklynie czy co?

Cofnęła się odrobinę.

– Nie, jego rodzice mają świra na punkcie wojny secesyjnej. Biorą udział w tych całych rekonstrukcjach bitew i tak dalej. On tego nienawidzi. A ja zawsze uważałam, że to jest w pewnym sensie urocze. Miałam sobie to imię wytatuować na nadgarstku. Tak czy inaczej, nauczyłam się pisać je po grecku, żeby nikt się nie zorientował, o co chodzi.

Następnie podeszła do okna i ścisząc głos, powiedziała:

– Kiedy pierwszy raz tu trafiłam, byliśmy jeszcze parą, a ja miałam na jego punkcie obsesję. I ciągle o nim gadałam i robiłam te głupoty. Wszywałam jego inicjały na tych indiańskich łapaczach snów, które Sissy kazała nam robić.

Mówiła mi, że muszę z tym skończyć. Że to niezdrowe.

Był pewien, że teraz jego twarz jest już w pełni czerwona.

– Przepraszam, myślałem, że to twoja ulubiona książka.

– Teraz już jest – powiedziała.

Jacob, który ostatni raz denerwował się rozmową z dziewczyną, kiedy chodził do trzeciej klasy podstawówki, teraz nie wiedział, co ma ze sobą zrobić.

– Tutaj zawsze we wszystko angażowałaś się całą sobą. Mądry z ciebie dzieciak i będziesz robić w życiu wielkie rzeczy, i to cholernie niesprawiedliwe, że będzie ci zawsze trochę trudniej niż innym, i że ciągle będziesz musiała brać leki, i że czasami widok bezdomnego na ulicy złamie ci serce, i będziesz miała ochotę wpełznąć gdzieś pod skałę i skryć przed światem te wszystkie dobre rzeczy, które masz do zaoferowania, bo uznasz, że świat na nie nie zasługuje, ale ja chcę cię zapewnić, że zasługuje...

Jacob mówił tak szybko i tak przy tym gestykulował, że zaczęła mu brakować tchu. Paul gapił się teraz na niego, jakby miał troje uszu. Cieszył się, że w pobliżu nie ma doktor Dorothy, i liczył, że go nie widzi. Poczł potężny ucisk w płucach. Miał wrażenie, że jakiś wielki rój pszczół konstruuje ogromny plaster miodu wewnątrz jego czaszki. Poczł, że cały pokój chybcze się jak te drzwi w samochodzie Olivera i wtedy Ella chwyciła coś, co wyglądało jak papierowa torebka, i kazała mu w nią dmuchać. Chwycił ją i przystawił do ust, robiąc głęboki wydech, który nadmuchał torebkę. Okazało się, że to papierowa pacynka, którą Ella zrobiła na zajęciach z arteterapii. Jej żelowe oczy grzechotały z każdym jego oddechem, a zielony pompon służący za nos opadł cicho na dywanik.

Ella pierwsza wybuchnęła uroczym perlistym śmiechem, którego nie potrafiła opanować. Jacob udał, że przestraszył się tej papierowej lalki, co jeszcze bardziej ją rozbawiło. Pozostali pacjenci też zaczęli rechotać,

a chwilę później Jacob poczuł na ramieniu dłoń doktor Wilkens zachęcającej go, by poszedł do pielęgniarki. Jacob próbował powiedzieć, że czuje się dobrze, ale nic to nie dało. Rzucił Elli pożegnalny gest, a ona znów przycisnęła do piersi swą książkę, poruszając ustami w niemym „dziękuję” i patrząc, jak Jacob chwiejnym krokiem wychodzi tyłem z pokoju. Napoiwszy go odrobiną soku pomarańczowego, pielęgniarka orzekła, że nic mu nie będzie, ale Oliver na wszelki wypadek kazał mu wcześniej wyjść z pracy. Dopiero w autobusie przypomniał sobie, że miał jeszcze coś napisać na początku książki. Chciał dodać, że dołączył do Facebooka z nowego telefonu. W pośpiechu zapomniał o nim i zostawił go w szafce. Może rano wyśle jej zaproszenie i zostaną znajomymi.

## Październik

Nadszedł październik, a wraz z nim złote liście zaczęły spadać do stawu przy Anchorage House, gdzie Jacob znowu odbywał swoje codzienne czuwanie. Stał pod wierzbą i myślał o tym, co powiedział Irene w szpitalu, o jej uśmiechu, o ich rozmowie na temat Hektora poprzedniego wieczoru, i o tym, co czuł, gdy niósł ją na rękach po schodach z muzeum. Przypomniało mu się, jak zasłabła przy piramidach i jak wyglądała na tle pola malowanych maków. Pomyślał o wycieczce na Shelter Island, gdzie ze wszystkich to właśnie on dowiedział się ostatni. Powiedziała mu na końcu, wiedząc, że jego najbardziej to dotknie. Zawsze sądził, że bycie cynikiem uczyni go gotowym na coś takiego, ale wiedział, że cynizm tylko pogarsza sprawę, bo każe ci myśleć, że nic cię nie ruszy, a potem jednak rusza. Przypomniał sobie jeszcze dawniejsze chwile. Pomyślał o tym, jak Irene wyglądała w gorącej kąpieli na dachu hotelu Waldorf Astoria, w nieprzejrzystym staniku na tle zasypanego śniegiem Manhattanu. Nie poszedł na stypę i nie miał zamiaru iść na tę całą szopkę, którą organizowała Sara. Miały być na niej wystawione wszystkie dzieła, nad

którymi Irene pracowała tamtego roku. Jacoba to nie interesowało – nie dlatego, że to one ją wyniszczyły, ale dlatego, że bez niej nie mają już żadnej mocy.

Czekał, aż rutynowe czynności w Anchorage House przywrócą mu dawny spokój, ale mijał tydzień za tygodniem, a on nie czuł tego odrętwienia, które znał z czasów, zanim przyszła Ella. Znow rzucał niedbałe „cześć” w kierunku otwartych drzwi gabinetu Olivera i wysłuchiwał tych samych złośliwych uwag ze strony Paula, tym razem na temat nowej terapeutki behawioralnej – doktor Patricii Cain, której biust zajmował myśli Paula bardziej niż wszystko inne. Jacob miał ochotę kupić mu smoczek do possania.

Tak naprawdę zmieniła się tylko Sissy Coltrane. Jej stosunek do niego ewoluował od zwykłej uprzejmości do spoufalenia – zachowywała się, jakby byli starymi przyjaciółmi. Wypytywała go, czy nie myśli o zmianie pracy. Co więcej, wręczyła mu nawet cały plik broszurek o programach kształcenia ustawicznego, na które to niby natknęła się pewnego dnia w jakiejś bibliotece publicznej. Było tam wszystko, począwszy od pielęgniarstwa, przez branżę wydawniczą, a skończywszy na technologiach informacyjnych.

– Oliver mówił mi, że myślałeś o powrocie na studia. Wiesz, uważam, że zmiana może przynieść czasem wiele korzyści. Po studiach przez jakiś czas mieszkałam w środkowo-zachodniej części Stanów. Pracowałam na ranczu. Uwierzyłbyś?

– W zasadzie to tak, uwierzyłbym – powiedział Jacob.

– Spodobałoby ci się tam.

– Nie sądzę.

– Och, daj spokój – powiedziała. – Pomyśl tylko, jaką poezję mógłbyś tworzyć tam w górach, na preriach. Wiesz, że w tym kraju są jeszcze miejsca, na których nie powstała nigdy ludzka stopa? Tęsknię za końmi. Za łapaniem ryb w lodowatym strumyku w letni dzień, za kosami, pasikonikami i tym

wszystkim. Mówię ci, tam wiersze same będą się pisać.

– To dobrze, bo ja na pewno nie chciałbym tego robić – zażartował Jacob.

Zamiast się zezłościć, pacnęła go tylko w ramię, jakby chciała w ten sposób powiedzieć: „Cały Jacob”. Rzeczywiście, było to typowe dla niego zachowanie, ale nie w relacjach z nią, bo między nimi nie było żadnej więzi, więc po co się tak zachowuje?

– Dokąd pojechałbyś, gdybyś mógł wybrać sobie dowolne miejsce na świecie? – spytała.

Po krótkiej chwili namysłu powiedział:

– Bardzo chciałbym być pastuchem.

– Wspaniale! – klasnęła w ręce Sissy, jakby był przedszkolakiem, który odgadł kształt figury.

– Mieszkałbym sobie gdzieś wysoko, na zboczu góry, z której w dół schodziłaby ścieżka. Byłaby tam rzeka pełna nimf, a w pobliskim lesie rozlegałyby się dźwięki fletni Pana. Ludzie z miasteczka po drugiej stronie doliny przemierzaliby rzekę i szli w górę szlaku, by kupić ode mnie kozy za każdym razem, gdy potrzebowaliby złożyć bogom ofiarę. Słyszałbym w całych górach z najlepszych kóz, dzięki którym można by było wkraść się w łaski bogów.

Widział, że Sissy w myślach już zakłada mu kaftan bezpieczeństwa. Miał to gdzieś.

– I tam, po drugiej stronie góry, na skraju tego świata, byłaby taka mała jaskinia, gdzie rzekomo mieszkałby straszny potwór. Taki, co to pluje kwasem i pożera dzieci w całości. I za każdym razem, gdy coś poszłoby nie tak, obarczalibyśmy za to winą tego właśnie potwora. Brzydka pogoda, słabe plony, choroba bliskich. Wyobrazasz to sobie? Jakby zło było właśnie tym czymś, co mieszka na końcu ulicy? Nie jakimś Napoleonem z Korei Północnej czy fanatycznym fundamentalistą z Afganistanu. Nie jakimś... jakimś

wszechogarniającym niepokojem. Nie jakąś złośliwą komórką z misją. Wyobraź sobie, że mogłabyś wskazać miejsce na mapie i powiedzieć: „O! To jest to miejsce, skąd bierze się całe zło”.

Zadzwoił telefon na biurku Sissy. Rzucając ołówki na stół, sięgnęła po słuchawkę.

– Sissy Coltrane?... O cześć, Oliver! Jesteś... Tak, jest tutaj. Mam go do ciebie przysłać?... Jasne. W porządku. Dobrze, do zobaczenia. Pogadamy później.

– Dokądże mam powędrować? – spytał Jacob, unosząc ręce w stronę sufitu.

– Mówi, że jakiś niespodziewany gość czeka na ciebie przy bramie!

Jacobowi nagle wydało się, jakby znalazł się w stanie nieważkości. Zniknęły wszystkie ściany, podłogi i stoły, poczuł powiew świeżego nowego świata jak na górnym pokładzie wielkiego wycieczkowego statku. Czyżby Ella naprawdę przyszła go odwiedzić? Nie tracąc czasu, pobiegł do swojej szafki, zarzucił marynarkę na służbowe ciuchy i szybkim krokiem pomaszerował w dół wysypanego żwirem podjazdu. Mały zielony prius czekał po drugiej stronie bramy. Kierowca w krótko przyciętych włosach skrywał się za modnymi wielkimi okularami słonecznymi w okrągłych pomarańczowych oprawkach. Zastanawiał się, co takiego Ella może mówić Winstonowi, że ten rechocze, że aż słyhać go przy starych, bezużytecznych stajniach. Ale potem dziewczyna zdjęła okulary i Jacob ujrzał jej twarz.

To była Sara. Nigdy wcześniej nie widział jej za kierownicą. Gdy byli na studiach, to George woził ich wszędzie swoim starym poobijanym kombikiem. Teraz rozpoznał fryzurę i okulary, które znał ze zdjęć na Facebooku, przedstawiających ją i George'a na luksusowych imprezach w Bostonie, w mahoniowych wnętrzach Harvard Faculty Club, we włoskiej restauracji Tresca w North End, w łoży „The New Bostonian” na stadionie Fenway Park.

Żałując, że zakonnice nie wykopały fosy wokół klasztoru, pomachał do niej,



a Winston otworzył bramę, by Sara mogła wjechać na teren ośrodka. Wskoczyła z klekoczącego samochodu i podbiegła do niego – co było nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę jej kremowe szpilki. Błoto opryskało kokardki ze starej koronki, gdy objęła go na powitanie swoim chudym ramieniem. Rozpoznał te buty. Kiedyś należały do Irene – wydała na nie prawie dwieście dolarów w sklepie Mel's.

– Jacob! – krzyknęła, wtulając się w jego ramiona. Potem, wyprostowawszy się, wyjęła wytłaczaną złotymi literami kopertę z pomarańczowej torebki ze strusiej skóry, w tym samym kolorze co okulary.

– Więc to tutaj pracujesz? Czekał. Przystawię samochód, żeby nie narobić kłopotów temu miłemu panu.

Poszedł i wsiadł z nią do zielonego priusa. Już miał ją spytać, co tu robi, ale wrzuciła wsteczny bieg. Czarno-biały ekran na desce rozdzielczej zamigał, dając znak, że droga za nimi jest wolna. Gdy zawracała na trzy, włączył się czujnik, bo podjechała zbyt blisko jednej ze ścian.

– Hm. Kończę zmianę dopiero za jakąś godzinę, wariatko.

Sara spojrzała na niego psotnym wzrokiem.

– Porywam cię! Przepraszam, ale to był jedyny sposób. Dziś rano zadzwoniłam do Olivera i on wielkodusznie zgodził się, bym zabrała cię do miasta opić twoje spóźnione urodziny.

– Naprawdę tak powiedział?

– No cóż, powiedział, że zrobił się z ciebie „straszliwy mruk”, a ja odparłam, że zawsze byłeś straszliwym mrukiem, ale jeśli ostatnio stałeś się wybitnie straszliwym mrukiem, to coś z tym trzeba zrobić.

Pędzili na południe Hutchinson River Parkway. Jacob wiedział, że im bardziej będzie się opierał, tym mocniej Sara będzie naciskać.

– Możemy po drodze wstąpić na chwilę do mieszkania Olivera? Wciąż mam na sobie roboczy strój.

Sara wyglądała na zachwyconą.

– Więc zobaczę to mieszkanie?

Po chwili Jacob przypomniał sobie, że w zeszłym roku opowiedział Irene o „tym mieszkaniu” ze szczegółami i że, jak wszystko w ich gronie, wkrótce to też poszło w obieg.

– A nie chciałabyś też zobaczyć Szechuan Garden, tej restauracji?

Nic się nie zmieniła od ich ostatniego spotkania.

Jakiś czas później siedzieli już naprzeciw siebie w stałym miejscu, z tyłu przy bocznym oknie. Jacob przebrał się u Olivera i teraz w pasiastej niebieskiej koszuli i czarnych spodniach wyglądał, zdaniem Sary, „pociągająco”. Po pierwszej kolejce piwa tsingtao Sara opowiedziała mu, jak sobie wyobraża ich wspólny wieczór: tu w Szechuan Garden nie zjedzą za dużo, bo na siódmą trzydzieści była umówiona z dostawcą kateringów w Seventeen Madison, co oznaczało, że urządzią sobie ucztę, próbując za darmo przystawek (włącznie ze słynnymi marynowanymi rzodkiewkami), kotlecików jagnięcych w sosie miętowym, krewetek podawanych na blokach z soli himalajskiej, no i oczywiście ich autorskich burgerów z delikatną wołowiną.

Potem pojedą do SoHo próbować ciast w Happy Puppy Wonder Cakes, gdzie mają najlepszy lawendowo-kremowy lukier do babeczek i to ciasto ze sławetnym „uzależniającym” nadzieniem, które zostało okrzyknięte najbardziej „uzależniającym” ciastem tego lata przez magazyn „New York”. Potem może pójść potańczyć, w zależności od tego, jak tłoczno będzie w klubie Niagara. Następnie pojedą na drinka do tajemniczego baru o nazwie Dorian Gray’s urządzonego w klimatach Oscara Wilde’a, do którego wiedzie „tajemnicze” przejście za wielkim portretem francuskiego kawalerzysty w skądinąd wyśmienitej naleśnikarni na Allen Street. Trzeba pociągnąć za którąś z lampek obok obrazu, a potem powiedzieć, w ile osób chce się wejść, i jeśli jest

miejsce, obraz przesunie się i wpuści cię do środka. Jeśli nie, trzeba na karteczce napisać numer telefonu komórkowego i włożyć ją w szczelinę w ścianie, i ktoś do ciebie napisze, kiedy zwolni się jakaś łóżka.

Jacob nie wiedział, od czego zacząć: może od tego, że w Irlandii, gdzie urodził się Oscar Wilde, nigdy nie było prohibicji. Nie wprowadzono jej też w Londynie czy we Francji, gdzie później mieszkał pisarz. Że zmarł dwadzieścia lat przed tym, gdy tu w Ameryce pojawiła się potrzeba, by takie tajemnicze bary powstały. Słuchał jednak Sary, która rozprawiała o miejscach, które tak bardzo chciała odwiedzić, odkąd wyjechała z miasta. Tak jakby dla niej nic się nie zmieniło. Myślała, że może tu wrócić i znów wszystko będzie tak samo. Zaproponowała, że tej nocy może przespać się w jej pokoju, w hotelu, gdzie George dołączy do nich jutro rano.

Jacob nie widział powodu, by się kłócić, skoro i tak nie miał ochoty na absolutnie żadną z tych rzeczy. Byli już po drugiej kolejce tsingtao, a nie minęła jeszcze siedemnasta. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Sara wypija więcej niż trzy piwa. Po trzech zwykle zwijała się w kłębek i musiała się gdzieś zdrzemnąć. Postanowił, że spróbuje przekonać ją, by wróciła z nim do Olivera. Słuchał tego, co mówiła, jednym uchem. Szkarłatne liście fruwały w powietrzu, gdy autobus za oknem zwalniał i zatrzymywał się na przystanku. Zupełnie bez powodu przebiegł wzrokiem po kolumnach ze znanymi mu, błędnie zapisanymi potrawami, i zdradził Sarze, które z nich to jego ulubione. Ona sięgnęła przez stół i objęła rękami jego dłonie.

– Tak miło widzieć, że masz się dobrze, Jake. Wszyscy się o ciebie martwiliśmy.

Grubsza niż zwykle warstwa tuszu skrywała jej zaczerwienione oczy. My wszyscy? Kogo miała na myśli, oprócz siebie i George'a? Czyżby wciąż utrzymywali kontakt z Williamem? Zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że w zeszłym miesiącu, gdy zmarł ojciec Olivera, omal do nich nie przyjechał,

ale zamiast tego zapytał:

– Jak się miewa Georgina?

Spuściła wzrok, jakby nie chciała mu patrzeć w oczy, mówiąc:

– Trzyma się jakoś. Jest... no wiesz. Myślę, że z nas wszystkich on był na to najmniej przygotowany.

Jacob zamilknął, zaskoczony tym, co powiedziała.

– Jest rozkojarzony – stwierdziła i zaczęła odwijać papierek z pałeczek, stukając czubkiem buta o podłogę i patrząc kilka centymetrów ponad jego głową. W przeciwieństwie do George'a Sara piła tym mniej, im bardziej była niespokojna. „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”<sup>10</sup>. Tolstoj ujął to cholernie dobrze. Wcześniej Jacob nie zgadzał się z tą zasadą, bo uważał, że jego własna rodzina była klasycznie nieszczęśliwa. Ale Gene i Anjelica Blaumann nie stanowili jego jedynej rodziny. Teraz dotarło do niego, że nawet jeśli jego nowojorska rodzina była kiedyś naprawdę szczęśliwa, tak jak szczęśliwi są wszyscy młodzi marzyciele, zanim swych marzeń nie porzucą, to teraz każde z nich stało się na swój sposób nieszczęśliwe. Co gorsza, nie mogli nawet sobie towarzyszyć w tym swoim nieszczęściu.

– Skoro mowa o ślubie! – powiedziała ni stąd, ni zowąd Sara, choć w ogóle o nim nie rozmawiali. Sięgnęła do torebki i wyjęła śliczną kremową kopertę. Przeczytała na głos to, co było na niej napisane: – „Pan Jacob A. Blaumann. Zamieszkały na ulicy znak zapytania. Mieszkanie numer znak zapytania. Nowy Jork w stanie Nowy Jork. Znak zapytania, znak zapytania, znak zapytania, znak zapytania, znak zapytania, znak zapytania, myślnik i jeszcze cztery znaki zapytania”. Mam bardzo poważny stosunek do kodów pocztowych – dodała. – No, otwieraj wreszcie!

Tak zrobił.

– „Uprzejmie zawiadamiamy, że 20 marca 2011 roku odbędzie się

uroczystość ślubna...” – tu przerwał, po czym wykrzyczał na całą restaurację jej imię i nazwisko: – „SARY SHERMAN i GEORGE’A MURPHY’EGO”. To nadzwyczaj gruba czcionka. „Nowy Jork w stanie Nowy Jork. Zaproszenie nadejdzie wkrótce”. Nie powinno tu być podane miejsce, gdzie odbędzie się wesele? – spytał Jacob, odwracając kartkę na drugą stronę. – Gdzie ten lokal, w którym odhaczę kurczaka lub rybę?

– Adres będzie podany na zaproszeniu.

– A to nie jest zaproszenie?

– Nie, to jest zawiadomienie. Zaproszenie nadejdzie... cóż, za niedługo. Jacob, chciałam ci je wysłać już w czerwcu.

– Byłem zawałony robotą.

– Wiem. Ciężko jest... wiem, że to nie to samo. Słuchaj. George i ja chcielibyśmy cię prosić... zastanawialiśmy się, czy nie mógłbyś przeczytać jakiegoś wiersza na naszym ślubie. Sam wybierz. Może być coś z *The Bridge*, jeśli chcesz. Oczywiście byłoby fantastycznie, gdybyś przeczytał coś swojego, ale...

Zanim Jacob zdążył odmówić, rozdzwoniły się dzwoneczki przy drzwiach wejściowych. Obejrzał się i zobaczył Sissy Coltrane wchodzącą do środka pod rękę z Oliverem. Śmiali się i zatrzymali na chwilę, by skwitować to swoje szczęście delikatnym pocałunkiem. Nawet obsługa zorientowała się, że coś jest nie tak, gdy nie przerywając rozmowy, Oliver podążył wprost do ich stolika, który widocznie był też ulubionym stolikiem jego i Sissy, a gdzie teraz siedzieli Jacob i Sara.

– Och! Jacob! – krzyknął Oliver, na tyle głośno, że wystraszył nawet rybę w akwariium stojącym pod ścianą. – To zabawne, że się tu spotykamy! Sissy i ja wracamy właśnie ze spotkania. Przepraszam, Sara? To z panią rozmawiałem przez telefon. Myślałem, że pojechaliście imprezować do Nowego Jorku.

Jacob patrzył, jak czerwony rumieniec wstydu oblewa obwisłe policzki Sissy. Wyglądała, jak gdyby miała ochotę uciec z Szechuan Garden i z całego Connecticut. Oliverowi natomiast znakomicie udawało się patrzeć przez okno i wyglądać, jak gdyby myślał, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Na szczęście Sara postąpiła w sposób zdecydowany.

Wzięła Jacoba za ramię i opuścili lokal, zanim ktokolwiek zorientował się, że nie zapłacili rachunku. Przypominało to scenę z filmu – tak ekscytującą, że zbyt nierealną jak na normalne życie. W każdym razie jak na jego życie. Im dłużej siedział oniemiały na miejscu pasażera obok Sary, tym bardziej czuł, że to wszystko ma sens. Jego tajemniczy starszy chłopak miał tajemniczą starszą kochankę. Sara z kolei aż kipiała ze złości. Pędziła autostradą, rzucając gromy, jak niegdyś Jacob. Jak on śmiał zrobić to. Jak on śmiał zrobić tamto. Jacob nie zaprzeczał. Miała rację. Ale najbardziej szokował go nie wiek, w którym była Sissy, nie to, że była kobietą, ani nawet nie to, że Oliver sypiał z kolejnym podwładnym. Zszokowało go to, że w ogóle się na to zdobył. Jak ktoś, kto zawsze jada w tej samej restauracji, może grać na dwa fronty? Jacob był nawet pod wrażeniem.

Gdy na horyzoncie pojawiły się już drapacze chmur, zgiełk wbijał się w jego uszy, a na zewnątrz było coraz więcej biegnących gdzieś ludzi, Jacob poczuł, że nie jest już częścią tego miasta. Nie mógł pozbyć się tego uczucia przez całą noc, gdy Sara, wciąż wzburzona i podejrzliwa, ciągała go po ulicach, od dostawcy kateringowego przez piekarnię (tańce sobie odpuścili) aż do tajemniczego baru, do którego rzeczywiście dostali się sekretnym wejściem i gdzie siedzieli przy wąskim barze, sącąc drinki za dwadzieścia dolarów z carpano antica, domowej roboty syropem imbirowym i żółtym likierem chartreuse. Pozwolił, by ta noc się mu przydarzyła, a on sunął przez nią jak duch. Nad ranem, przed ruchomymi schodami w hotelu, w którym zatrzymała się Sara, pocałował ją na pożegnanie w oba policzki, mówiąc, że musi wracać

do domu. Umówił się z nią i George'em na brunch, wiedząc, że na niego nie przyjdzie. Ona zapewniała go, że będzie lepiej i że wcale nie potrzebuje Olivera, a Jacob wiedział, że to prawda. Nie czuł się tak z powodu Olivera. Czuł się tak cały czas, a Oliver, Anchorage House czy nawet Ella tylko odwracali jego uwagę. Był kompletnie zagubiony.

Jacob szedł w stronę ronda Columbus Circle. Tak długo nie było go w mieście, że jego MetroCard straciła już ważność. Kupił nową i zszedł na dół, by złapać pociąg linii nr 1. Stał na końcu peronu, jak najdalej od skrzypka i tego gościa z tarką, którzy grali coś nieznośnie wesołego. Zamknął oczy i czekał, aż poczuje lekki podmuch wiatru sprzed czoła pociągu – pierwszy sygnał dla każdego nowojorczyka, że pociąg nadjeżdża, zanim jeszcze da się zobaczyć światła lub usłyszeć jakikolwiek hałas. Wciąż wiedział, gdzie trzeba stanąć, by drzwi znalazły się tuż przed nim. Gdy się otworzyły, wsiadł, poszedł na tył i po raz pierwszy w życiu znalazł się sam w zupełnie pustym wagonie. Serce biło mu jak oszalałe, gdy patrzył na puste żółto-pomarańczowe siedzenia. Stał na środku, gdy drzwi zamknęły się i pociąg zaczął sunąć nad ziemią. Zacisnął powieki i próbował wyobrazić sobie, że jest w stanie nieważkości, na jakiejś nowej planecie, zagubiony w dźwiękach tunelu. Zamiast tego poczuł się, jakby był pod wodą, jakby nie mógł oddychać, jakby wagon wypełniony był tysiącem ludzi.

A potem, gdy nikt nie patrzył, Jacob po raz pierwszy od śmierci Irene zapłakał. I szlochał wciąż, gdy przesiadał się na pociąg nr 2 przy Siedemdziesiątej Ulicy. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nikogo w tym mieście nie dziwił widok dorosłego mężczyzny płaczącego w tłumie ludzi. Wsiadł na Sto Dziesiątej Ulicy. Mając za plecami pusty Central Park, szedł przez Harlem w kierunku swojego starego mieszkania, mijając jakieś trzydzieści przecznic pełnych zgiełku i krzyków, dźwięku klaksonów i niekończących się zielonych świateł nad alejami. Wszyscy wydawali się

młodszy niż rok wcześniej; wszystko było jakby większe. To miasto było zawsze takie samo, tylko jeszcze bardziej „takie samo”. I dlatego on musiał stąd odejść. Nie mógł znieść tego, że czegoś mu nie ubyło: włóczągów i mostów, sklepików i butelek wysypujących się z kubłów stojących na rogach ulic. Tylko jej tam zabrakło i wydawało się niemożliwe, że bez niej wszystko toczyło się dalej.

## Listopad

Wyrzuty sumienia Olivera, czy też oziębły stosunek Jacoba do niego, spowodowały, że na początku listopada przygotowano odpowiednią dokumentację, dzięki której Jacob mógł dołączyć do personelu i zatrudnić się na pół etatu jako asystent arteterapii. To oznaczało, że będzie pracował dodatkowo jedną zmianę w tygodniu, co z ledwością pozwalało mu pokryć koszty podróży pociągami tam i z powrotem z Harlemu. To mu jednak nie przeszkadzało. W ramach tego „specjalnego programu pilotażowego” mógł nawet wychodzić z pacjentami na zewnątrz. Dostał pieniądze na zakup książek (jeden egzemplarz *Odysei* na wszystkich) i jedną godzinę w tygodniu na indywidualne spotkania z pacjentami, podczas których rozmawiali o lekturach. Najpierw zapisała się Maura, potem Roy (którzy obecnie „chodzili ze sobą”, cokolwiek to oznaczało, gdy obie strony związku były w ośrodku dla psychicznie chorych), a potem jeszcze Jane i Annabeth.

Z początku szło mu jak po grudzie. Wiele osób oprotestowało wybór materiałów. Sporo z nich miało nadzieję, że będą omawiać *Igrzyska śmierci*. Mimo to Jacob zachęcał ich, by czytali powoli i na głos, jeśli początkowo coś wydawało im się niezrozumiałe. Rozmawiali o historii i geografii, spacerując w rześkiej późnojesiennej mgle. Chodząc wokół porośniętych trawą fundamentów ziemskiego majątku, rozprawiali o Lotofagach, a przy cmentarzu analizowali postacie ludożerczych Lajstrygonów. Pod porośniętym mchem



wielkimi drzewami Jacob wspomniął, jak jakiś czas temu ujął go gotycki mrok tego miejsca. Chodzili do najbardziej na północ wysuniętego zakątka posiadłości, mijając stajnie z zapadłym dachem, gdzie stojąc pośród gruzów, czytali mit o Nauzykai, podczas gdy mężczyźni i kobiety z Discover Card w czystych garniturach i garsonkach czekali na autobus po drugiej stronie ulicy. Przy stawie przyglądali się, jak chłopcy ze szkoły Chinese Academy ćwiczą strzały na bramkę. Jacob i Maura rozmawiali o cyklopach.

– Odyseusz jest w pewnym sensie nieznośny – zauważyła Maura. – Udało mu się uciec od Polifema i zamiast, no nie wiem, odczuwać wdzięczność, on wchodzi na okręt i wyzywa go od „bezczelnych kanibali” i „tchórzy”. Nic dziwnego, że tamten cisnął w niego wielkim głazem. A potem Posejdon skazuje go na dziesięć lat tułaczki. I po co mu to było?

– Nieposkromiona pycha – rzekł Jacob. – Arogancja. Duma. Każdy z nas ma w sobie odrobinę z tych cech.

Maura spojrzała na niego, jakby zaraz miała wskoczyć do stawu. Jacob wcześniej nie zwracał na nią większej uwagi. Ten słodki dzieciak był jeszcze bardziej nieśmiały niż Ella i dwa razy bardziej załęczniony.

– Spójrz na to w ten sposób – powiedział. – Gdyby Odyseusz nie działał pod wpływem swej wybitnej inteligencji, wróciłby do domu, do Itaki, już po kilku tygodniach, a nie po latach. Nie mieszkałby u wróżbitki Kirke, nie zobaczyłby krainy zmarłych ani nie znalazł się między Scyllą i Charybdą. To tylko część historii i zarazem ta lepsza część. Literatura jest tak naprawdę dokumentacją ludzkich zmaganiań.

Te słowa chyba poprawiły jej nastrój. Jacob cieszył się, że mogą wychodzić na zewnątrz i rozmawiać o poezji. Kaczki jeszcze nie odleciały na południe, a za płotem chłopcy w podciągniętych pod kolana getrach zabawnie biegali w miejscu. Zbliżało się Święto Dziękczynienia. Nie mógł uwierzyć, że minął już rok.

– Szkoda, że nie ma już bogów – powiedziała wreszcie Maura.

– Sam nigdy nie byłem zbyt religijny – przyznał Jacob.

– Nie, miałam na myśli bogów, w liczbie mnogiej. Najbardziej w tej książce podoba mi się to, że tam są te wszystkie potwory, które czynią to całe swoje zło. A na górze Olimp jest dwanaścioro bogów, którzy ze sobą walczą, wchodzą sobie w drogę, zeskakują na ziemię, by ścierać się ze śmiertelnikami, kiedy przyjdzie im na to ochota. I to wydaje mi się bardziej sensowne. Żaden z nich nie jest wszechmocny, wszechwiedzący, nawet Zeus. Wiecznie coś im nie wychodzi. To wyjaśnia całe zło, które gdzieś tam się zaplącze, jak te potwory na wyspach. To ma większy sens niż to, że tam u góry jest tylko jeden Bóg, który podobno wszystko rozumie i wszystkim celowo nas obdarza, nawet gdy zsyła na nas plagi, głód, AIDS, daje nam broń, bezdomnych weteranów i zwyczajny smutek. – Jacob próbował wejść jej w słowo, ale Maura wcale nie zamierzała kończyć. – I wszystkim się wydaje, że to jest dowód na to, że Boga nie ma. Albo mówią, że nawet jeśli był tam kiedyś na górze ktoś, kto gromił grzeszników i zsyłał anioły, uświęcając wiernych, to już dawno spakował walizki i przeniósł się na bardziej zielone pastwiska. A co, jeśli Grecy mieli rację i tych bogów jest więcej, za dużo nawet? Potykają się tu i ówdzie, chcą dobrze, a nie zawsze im to wychodzi? Zapominają o potworach, upijają się, uciekają z cudzymi żonami, a od czasu do czasu uda im się sprawić jakiś ładny cud? Myślę, że potrzeba nam więcej bogów. Tak właśnie myślę. Jeden nie wystarczy.

Jacob klasnął w ręce. To była tyrada, której nie powstydziliby się nawet on sam. Maura uśmiechnęła się szeroko.

– A tak przy okazji, dostałam od Elli list w zeszłym tygodniu! Znalazła się na liście stypendystów i umawia się z jakimś gościem o imieniu Fred. Wydaje się fajny, jeśli ktoś lubi facetów o imieniu Fred. Wszystko chyba dobrze się układa. Pytała o pana.

Jacob spojrział w stronę jeziora. Zastanawiał się, jak tam trafiła dziecięca pielucha. Patrzył, jak brudna, osmolona i napęczniała dryfuje na powierzchni, a wiatr spycha ją to w jedną, to w drugą stronę.

– Wiedziałaś, że jeszcze przed swoją wyprawą, zanim rozpoczęła się wojna trojańska, Odyseusz wcale nie chciał nigdzie jechać?

Maura pokręciła głową.

– Nie chciał być bohaterem ani wdawać się w wielką wojnę o Helenę Trojańską, choć wcześniej złożył przysięgę Menelaosowi, że tak właśnie zrobi. Biedaczysko po prostu chciał zostać w domu. Udał więc, że postradał zmysły, myśląc, że w ten sposób wywinie się od służby. Dzień i noc orał pola, siejąc piasek z solą zamiast zboża, pewnie złorzecząc przy tym i mając jak jakiś wariat, żeby każdy widział jego obłąd. I wszyscy to kupili... prawie mu się udało. Ale potem pojawił się Agamemnon, który chciał wystawić go na próbę. Położył jego synka na polu przed pługiem, chcąc się przekonać, czy Odyseusz jest naprawdę szalony, czy też chce tylko pozostać bezpieczny w domu. Odyseusz oczywiście natychmiast poderwał ostrze.

– Co za kutas – powiedziała. – Ten drugi, oczywiście.

– No cóż, jego też potem zarąbią na śmierć – uśmiechnął się Jacob. To nie wydało się jej tak pocieszające jak jemu.

– Chodzi mi o to, że Odyseusz wiedział, że musi wybrać – tłumaczył. – Wiedział, że chociaż bogowie mu sprzyjają, nie wybawią go z opresji. Wiedział, że będzie musiał przestać udawać, będzie musiał wyjść i walczyć, nie dlatego, że kochał swojego syna, ale dlatego, że złożył przysięgę i musiał jej dotrzymać. Wyruszył więc na najdłuższą, najbardziej krwawą, najbardziej absurdalną wojnę, jaką kiedykolwiek stoczono. I to on sprytnie obmyślił konia trojańskiego i wreszcie doprowadził do jej końca. Gdyby nie poszedł... gdyby został w domu z synem, jak chciałby każdy rozsądny człowiek, to kto wie? Na pewno Homer nie napisałby o nim całej jednej książki, nie mówiąc już

o dwóch, no i nie byłoby połowy dzieł literatury Zachodu, które bazują na zgryzotach tego zmyślnego, aroganckiego gościa i na tym, co dobrego i co złego zobaczył. Gościa, który wygrał wojnę i rozmawiał z bogami. Gościa, który jadał w odległych krańcach świata i żeglował do miejsc, gdzie ludzka stopa nigdy nie powstała. Gościa, który przedostał się do krainy umarłych i powrócił stamtąd, by o tym opowiedzieć. Wtedy nie było na świecie człowieka, który zwiedziłby taki kawał świata, zobaczył tyle złego i dobrego co Odyseusz. To właśnie chciałem powiedzieć. Musisz zdać się na fale, trzymać się masztu, modlić się o wsparcie bogów i gdy trzeba, uciec się do sprytu i podstęp. Morza pełne są zapomnianych potworów, tak, ale pełno w nich też śladów zapomnianych bohaterskich czynów. A ci, którzy zostają w domu, by przesiedzieć wojnę, nigdy nie będą mieli szansy się o tym przekonać. Tak w każdym razie sędzę.

Maura z uśmiechem wpatrywała się w chmury pędzące po szarym niebie nad ich głowami. I przez krótką chwilę, zanim dał się we znaki listopadowy chłód, oboje wierzyli, że tam nad nimi jest niebo, gdzie bogowie i boginie od czasu do czasu starają się mieć na oku świat, który tylko się powiększył, odkąd ludzie przestali w nich wierzyć.

## Grudzień

Nie było jasne, jak wyszedł na jaw romans Olivera i Sissy. Jacob na pewno nikomu nie powiedział. Jednak plotka rozeszła się z dnia na dzień i teraz już wszyscy wiedzieli o ich związku. Podobno zarząd się wściekł. Sissy odpowiadała bezpośrednio przed Oliverem, więc jedno z nich musiało odejść. Mówiono, że Sissy wykorzysta szansę i wyjedzie na zachód, gdzie latem w strumykach woda jest zimna jak lód, gdzie są końskie muchy, wielkie równiny, kosy i Bóg wie co jeszcze. Tego popołudnia Oliver wezwał Jacoba do swojego gabinetu. Zamknął drzwi i mówił szeptem, jakby spodziewał się

jeszcze większych kłopotów.

– Jacob, nie wiem, co słyszałeś, ale oczywiście...

Jacob cofnął się i w dramatycznym geście uniósł ramiona.

– Jestem zszokowany... zszokowany, że w tym zakładzie uprawia się hazard.

– To miało być śmieszne?

– W *Casablance* było śmieszne – powiedział Jacob. – Słuchaj, nie obchodzi mnie to, że chcesz być hetero. Moim zdaniem to się nie uda, ale rozumiem. Po tym, jak zmarł twój ojciec i w ogóle.

– Jacob, nie o tym chcę rozmawiać. Próbuję... do cholery, próbuję cię przeprosić. Od miesiący próbowałem ci powiedzieć, że nasz związek nie ma szans.

– Do diabła, Oliver, wiedziałem o tym.

– Skoro wiedziałeś, to dlaczego ze mną po prostu nie skończyłeś? – Oliver wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Jacob poczuł się okropnie. Jak mógł tak potraktować swoją szarą ośmiorniczkę.

– Chyba zrobiłem sobie rok wolnego. Nie chciałem podejmować żadnych decyzji, których potem mógłbym żałować.

Oczy Olivera zaszły łzami.

– Myślałeś, że mógłbyś żałować rozstania ze mną?

Zabrzmiało to czulej niż to, co Jacob miał na myśli, ale niech mu będzie.

– To był głupi pomysł.

Oliver spojrział przez okno.

– Sissy zgodziła się odejść. Zarząd rozwiąże z nią umowę za porozumieniem stron. W zamian za to ona będzie siedzieć cicho. Zamierza przenieść się do Montany i rozpocząć tam program „Sztuka dla społeczności”.

Jacob gwizdnął.

– Cóż, gdybym wiedział, że to się opłaca... nie powinniśmy byli być tak

dyskretni.

Oliverowi jednak nie było do śmiechu.

– Ona ma córkę. Wiedziałeś o tym? W przyszłym miesiącu kończy jedenaście lat. Mamy ze sobą dobry kontakt. Ma na imię Virginia. Pomyślałem, że może jeszcze nie jest za późno, żebym został jej ojcem.

Jacob prychnął.

– Próbujesz odegrać pozytywną rolę w życiu młodej dziewczyny? No nie wiem, Oliver. To nie brzmi dobrze.

Jednak Oliver się nie śmiał.

– Masz mnie za głupca.

– Więc pojedź z nią. Zaganiajcie razem krowy na pastwisko, jeśli to wam odpowiada. Nic cię tu nie trzyma, Oliver. Naprawdę. Nic.

Oliver nie wydawał się przekonany, więc Jacob klasnął w ręce i przyjął triumfalną pozę: „Lecz trzeba mię przywiązać k’masztowemu drzewu i spętać powrozami za nogi i ręce, bym nie drgnął; lecz jeżeli owe więzy skręcę lub zawołam: Puszczajcie! – odmówcie posłuchu i mocniejszymi pęty skrępujcie co duchu” [11](#).

Oliver nie wiedział, czy ma się śmiać, czy przewrócić oczami. Ostatecznie pierwsza reakcja wzięła górę.

– Kochanie, ty poważnie potrzebujesz pomocy.

Jacob wzruszył ramionami.

– Nie chcę znać nikogo, kto jej nie potrzebuje.

Ostatni raz uściskali się jak za dawnych czasów.

## Styczeń

Minął rok, Jacob pojechał na Manhattan i wszedł do synagogi. Wziął jarmułkę z wiklinowego koszyka. Włożył ją na głowę, tak jak to robił dawniej, niezliczenie wiele razy jako chłopiec, w pełne cierpienia piątkowe

popołudnia, które odcisnęły piętno na jego wczesnym dzieciństwie. Wziął modlitewnik od kobiety i za kilka minut był znów w wielkiej niebieskiej izbie i śpiewał po hebrajsku te same pieśni, które wryły mu się w pamięć już za szkolnych lat. Wokół niego zgromadzili się Żydzi z Upper West Side – Jacob spodziewał się, że będą tam sami staruszkowie. Zaskoczyło go, jak wielu było tam ludzi w jego wieku i jak dużo dzieci – niektóre drzemały, inne się przeciągały, a jeszcze inne odwracały się i gapiły na niego swymi wielkimi jak spodki oczyma. Ale byli też starsi panowie i panie, którzy ledwo podnosili się z miejsca, gdy należało powstać.

Z początku Jacob jedynie niemo poruszał ustami, niepewny tego, czy w ogóle chce się modlić. Na pewno nie do tego Boga, który zabrał Irene i który przejął władzę po tamtych wszystkich bogach. Ale skoro kiedyś rządzą bogi słońca i bogini urodzaju, bogi wojny i bogini mądrości, to może oni wszyscy składali się teraz na tę Skonsolidowaną Jednostkę. Może w tym jednym pisanym wielką literą Bogu wciąż istnieli ci pomniejsi bogowie. Wciąż działali bogi podziemia i gwałtowny bogi grzmotu. Dziarski posłaniec bogów i wrzaskliwy bogi wina. Może On sam był ze Sobą skłócony, upijając się i zdradzając Siebie (z Sobą), i partacząc jedną czy drugą rzecz. Może nie zawsze udawało mu się nagradzać najlepszych i karać tych najgorszych. Może zdarzało mu się, że zabierał do siebie nie tych co trzeba, a ci, których powinien był zabrać, zostawali tu o wiele za długo. Jacob potrafił Mu to wybaczyć. Jak by nie patrzeć, świat był olbrzymi, a kiedyś zajmowało się nim ich dwanaścioro. A i wtedy nie wszystko układało się tak, jak powinno.

Rabin i kantor prowadzili nabożeństwo, podczas którego zgromadzeni śpiewali pieśni napisane niemal w tych samych czasach, gdy Homer tworzył swoje dzieła. Stali przy oświetlonej wnęce, w której mieściła się skrzynia ołtarzowa. Jacob przypominał sobie, jak bardzo podobało mu się centralne położenie tej najświętszej rzeczy w budynku, zdobionej złotem i czytelnej

jedynie dla tych, którzy opanowali umiejętność rozumienia dawno zapomnianych języków. Ona ich scalała i jednoczyła. Podczas odmawiania kadiszu wezwano tych, którzy znali kogoś, kto choruje, albo stracili kogoś bliskiego w zeszłym tygodniu. Kilka osób wstało i wymieniło imiona osób, które odeszły bądź odchodziły.

Rabin wymienił nazwiska członków kongregacji, którzy odeszli w minionych latach, a ich bliscy, słysząc ich imiona, wstawali na chwilę, po czym znów siadali. Było ich tak wielu.

– Czy są jakieś nazwiska, które ktoś chciałby dodać?

Jacob i kilka innych osób powstało z miejsc. Trzy osoby po lewej i cztery po prawej jego stronie. Wypowiedział imię Irene, a pozostali wymienili imiona swoich bliskich. Rabin poprosił, by znów usiedli. Jacob poczuł, jak ogarniają go strach i ciepło. Czuł jednocześnie pustkę i satysfakcję. Był zarazem bardziej i mniej samotny, jakby właśnie jednym tchem wypowiedział słowa żegnaj i witaj.

Nabożeństwo dobiegło końca i zaczęto wygłaszać ogłoszenia o zbiórce żywności oraz różnych akcjach pomocy potrzebującym. Jacobowi przypomniał się artykuł, który Ella ostatnio zamieściła na Facebooku. Jakiś naukowiec obmyślił dość absurdalną teorię, według której glina rzeźbiona na kole garncarskim absorbuje fale dźwiękowe wydawane przez ludzi i te wibracje zostają potem uchwycone przez trzy żywioły: ziemię, powietrze i wodę. I ten szaleniec twierdził, że wie, jak odtworzyć te dźwięki, nawet z antycznych ceramicznych waz i urn, by można było usłyszeć rozmowy ludzi, którzy odeszli nawet przed pięcioma tysiącami lat. Może mu się uda, pomyślał Jacob. Żałował, że w sali, w której leżała Irene, nie znalazł się wtedy garncarz. Gdyby tam był, echo ostatnich słów, jakie Jacob wyszeptał Irene, uwięzłoby w mokrej glinie. Pewnego dnia, z pomocą swego urządzenia, naukowiec odszyfrowałby zapis z małego wazonika i po latach ktoś inny usłyszałby, jak



Jacob szepce słowa, które wywołują uśmiech na twarzy Irene w ostatnich chwilach jej życia.

„Kiedy już tam będziesz, daj mi znać, że jesteś bezpieczna, dobrze?”.

# William na moście

## 1

Gdy William przekroczył drzwi galerii, jego oczom ukazał się most Brookliński: dwie ogromne podpory stojące okrakiem nad East River, a pod nimi woda czarniejsza niż niebo. Nad nią, w przeciwną stronę, płynęła druga, srebrna rzeka odbijających się w nurcie świateł. Białe żółte światła sunęły wzdłuż mostu, opuszczając Manhattan po długim zimnym wtorku, podczas gdy Brooklyn wysyłał swój czerwony łańcuch tylnych świateł w kierunku przeciwnym. Z miejsca, w którym stał, widział jedynie małe świecące punkciki, zmierzające do przyjaciół, posiłków, telewizorów, grzechów, samotności i snu.

Most przyćmiewał znajdujące się na drugim brzegu drapacze chmur. Jak pierścień aortalny, dwa wzniosłe bliźniacze łuki katedralne łączyły się ze sobą ażurową draperią lin. Wysokie i niskie załamki przypominały graficzny zapis pracy serca na monitorze. To prawda, William nie znał się na architekturze, nie odróżniał zwornika od wspornika. Wiedział jednak, że ten widok jest wyjątkowy. Szczególnie po tym, co zobaczył w galerii i gdy dopalił jointa, którego skręcił sobie przed przyjazdem.

Zwłaszcza teraz, gdy w kieszeni marynarki miał ze sobą tę małą część Irene. Minął rok od stypy, a on znów czuł jej bliskość, czuł, że ona unosi się gdzieś nad jego ramieniem, że jest dwa, trzy kroki za nim. Wszystko było

głośniejsze, jaśniejsze, jakby nagle podkrecono muzykę, która przez wiele miesięcy grała na niskich tonach. Mieszkał w domu, w swoim starym pokoju, palił w tej samej starej łazience, przy starym włączonym prysznicu, jadł te same stare obiady i słuchał tych samych starych kłótni. Ale teraz światła były jakby jaśniejsze, a on, mimo chłodu, poluzował swój ulubiony czerwony szalik.

Słyszając nagły świst, William obrócił się, by zobaczyć przejeżdżający autobus wycieczkowy. Zwiedzający wychylali się przez barierki, by sfotografować most, na próżno włączając lampy swych telefonów, których ekrany w ciemności oświetlały ich uśmiechnięte twarze. Cieszył się, że ma z kim dzielić tę chwilę, ale nawet gdy autobus już odjechał, William nie czuł się sam. Ktoś mu towarzyszył.

Sara, George i reszta wciąż byli na otwarciu wystawy. *Irene Richmond: Rozczarowania*. Okropny tytuł – sama nigdy na żaden się nie zdecydowała. Ale to nieważne. Magazyny „BOMB” i „Artforum” uznały wernisaż za jedno z największych wydarzeń 2011 roku (choć był dopiero luty) i dzięki temu przybyły na niego tłumy. Juliette i Abeba zorganizowały go wraz z Sarą, która potraktowała imprezę jako próbę generalną jej zbliżającego się wesela. Zatrudniła tych samych speców od oświetlenia, wydrukowała program imprezy w tej samej drukarni, skorzystała z usług tej samej firmy cateringowej, która właśnie podawała mus czekoladowy w jajeczkach udekorowanych marcepanem. Podano gatunek specjalnie palonej etiopskiej kawy. George wybrał pięć rodzajów win z North Fork.

Przyszli nowożeńcy byli jedynymi ludźmi, których William znał. Ale niczym gupiki ciągle kręcili się w kółko i trudno ich było złapać. George pytał wszystkich, czy nie widzieli Jacoba, niepewny, czy ten się spóźnia (jak zwykle), czy w ogóle się nie pojawi. Najśmieszniejsze było to, że William z początku wziął George’a za Jacoba. Nie wyglądał dobrze. Przytył

i przeredziły mu się włosy. To wszystko przez te całe przygotowania do ślubu, żartował George, w pełni świadomy, jak inni na niego patrzą. Sara też wydawała się zmieniona. Niecierpliwa. Zrzuciła dziesięć kilogramów, których w ogóle nie musiała zrzucić.

Wszyscy wznosili toasty i robili wielki show z patrzenia na show. William nie zauważył, by ktoś przyglądał się eksponatom, tak jak on na nie patrzył. Od dwóch godzin z zapalem studiował każdą rzeźbę, obraz i szkic, utrwalając każdy ich cal z pomocą swojego telefonu. Prywatni dilerzy już bocznymi kanałami przedstawiali swoje oferty (przynajmniej tak twierdziły Juliette i Abeba). Do końca tygodnia dzieła rozpierzchną się po całej Ameryce, a może nawet i po całym świecie. Zawisną w korytarzach, sypialniach i nad kominkami kolekcjonerów. Spajając ze sobą pomieszczenia. Tworząc atmosferę. Wszechobecne rozczarowania!

Dochód z nich zostanie przekazany na Richmond Memorial Fund – stypendium Akademii Sztuk Pięknych, które zorganizowała Sara. (Cóż z tego, że Irene zdobyła swoje wykształcenie gratis, siedząc na tyłach sal wykładowych). Sara mówiła, że zajmie się działalnością non profit na pełny etat, jeśli wystawa spotka się z zainteresowaniem odpowiednich ludzi. Było oczywiście kilku fotografów trzaskających zdjęciami. William celowo unikał ich fleszy i gdy tylko mógł, wymykał się, zanim Sara i George zdążyli go komukolwiek przedstawić. Przez cały ostatni rok zamienili z nim może parę słów, więc był zaskoczony zaproszeniem na wystawę. Kiedy zadzwonił do Sary, by potwierdzić swoje przybycie, zareagowała, jakby byli starymi przyjaciółmi, ale on wiedział, że nigdy nimi nie byli i już nie będą. Po cichu wypisywał się z ich historii.

Nienawidził wszystkiego, co było z nią związane. Nie mógł znieść tego, że Irene jest nieobecna na swojej własnej wystawie. Nienawidził ciągłego wrażenia, że ona gdzieś tam jest, udając, że nie przejmuje się przyszłymi

recenzjami. Oczywiście, że wystawa wywołała emocje – może nawet zbyt duże. Abeba obawiała się, że reakcje mogą być gwałtowne, gdyż ludzie zwykle uważają, że jeśli wokół czegoś jest dużo zamieszania, zwykle jest to przereklamowane. Lepiej być przegranym i powoli wychodzić z mroku. Juliette nie zgadzała się z nią. Uważała, że wtedy inni będą się zastanawiać, dlaczego to właśnie ciebie wydobyto z mroku, a nie ich, i jeszcze bardziej cię znienawidzą. Brzmiało to jak paragraf 22. Sytuacja, w której nie ma wygranych. Sprzedasz za mało i nikt się tobą nie zainteresuje. Sprzedasz za dużo i jesteś wyprzedany. Chyba że wyprzedaj uczynisz częścią swej sztuki. To jednak nie miało znaczenia, gdyż jak sądził William, wystawa dzieł Irene była jednorazową imprezą. Pierwszą i ostatnią zarazem. Wystawą o umieraniu, autorstwa nieżyjącej dziewczyny. Była jednocześnie niezwykła i niezrozumiała, czyli posiadała te dwie cechy, które zazwyczaj sprawiają, że nabywcy sięgają po swoje książeczki czekowe. Jednak Williama to nie obchodziło. Według niego te prace były doskonałe same w sobie.

Kto inny wymyśliłby *Pacjenta R5691414510*? Ostatnia rzeźba Irene była manekinem stworzonym z przezroczystych plastikowych worków, które szpital dawał pacjentom, by mogli w nich schować rzeczy osobiste. Irene powierzyła Sarze zbiór instrukcji i szkiców, które powstały podczas jej pobytu w Mount Sinai, gdy czuła się jeszcze w miarę dobrze. Przekazała jej też cały inwentarz rzeczy, które składowała w małej szafce pod swoim czerwonym płaszczem, żeby nie wyrzucił ich personel sprzątający: worki wypełnione zużytą gazą z opatrunków pooperacyjnych, chusteczki pokryte jakimś niezidentyfikowanym płynem, puste torebki po kroplówkach pozostawione przez pielęgniarki, zwinięte w kulkę broszurki z informacją, jak opatrywać rany – czego tam nie było. Ocaliła nawet starą rurkę PEG, którą można było teraz zobaczyć w galerii, biegnącą od tułowia manekina do stojaka z kroplówką, który Juliette i Abeba postawiły tuż obok. (Worek od kroplówki wypełniono

jaskraworóżową farbą akrylową, która miała przypominać odżywkę Assure o smaku truskawkowym).

Zgodnie z zaleceniami Irene Juliette i Abeba zawiesiły *Pacjenta R5691414510* w powietrzu na żyłkach wędkarskich, by sprawiał wrażenie lewitującego bądź leżącego na niewidzialnym szpitalnym łóżku. Lewa ręka manekina zwisała z boku, a na nadgarstku dmuchanej gumowej rękawiczki widniała prawdziwa opaska identyfikacyjna Irene. Abeba biegała wokół, opowiadając wszystkim, jak trudno było zakonserwować elementy pracy i ile kłopotów przysporzyła im Irene przez to, że musiały uzyskać pozwolenia na publiczne zaprezentowanie potencjalnie niehigienicznych rzeczy. William zastanawiał się, kto jest teraz nową asystentką, na którą spadły te wszystkie obowiązki, niegdyś wykonywane przez Irene. Cała ta gadka była oczywiście po to, by wzbudzić kontrowersje i dodać kolejne zero do metki z ceną. Irene nigdy na tym nie zależało, jego też by to nie obchodziło.

Obchodziło go jednak to, że w rok po diagnozie Irene wykonała kilkanaście intrygujących dzieł. To niesamowite, co potrafiła stworzyć, mając do dyspozycji taką garstkę materiałów. Rzeźby wykonane ze sklejonych ze sobą pomarańczowych buteleczek po lekach na receptę, pustych opakowań po odżywce Assure i pojemnikach po chińszczyźnie zdobionych kolorowymi pigułkami. Znalazło się tam też kilka szkiców, które Irene zrobiła, pomieszkując u Williama, gdy nie miała dostępu do swoich materiałów. Obraz *Stricken City II* przedstawiał widok z okna jego dawnego mieszkania. Wykonała go zwykłym węglem rysunkowym, przypominającym brykiety, które trzymał w worku w przedpokoju. „Surowy i spokojny”, tak o nim napisał krytyk magazynu „BOMB”. „The Times” bardziej spodobał się trójwymiarowy *Portret głębokiego rozczarowania* – wykonany z pałeczek kurczaka (dzięki uprzejmości lokalu Hill Country) i pokryty przez Irene lakierem – który rzeczywiście do złudzenia przypominał człowieka, gdy zarzuciło się na niego

tweed mający imitować marynarkę Jacoba (w rzeczywistości był to materiał ściągnięty ze starego kapelusza Williama). Magazyn „Artforum” uznał tę instalację za „niepokojąco zmurszałą”. Chwalił też „bogactwo i głębie nasyconych barw” odrealnionego pejzażu *Na zachód od Edenu*, przedstawiającego muszle, winnice i śmieci. Ktoś na łamach „Salonu” uznał ten obraz za „kojący, a zarazem dręczący”, a całą wystawę za „czysty wizualny rozgardiasz” pełen „banalnych rupieci” i „ekscentryczny aż do granic solipsyzmu”. Co kto lubi, pomyślał.

William przypomniał sobie, jak Irene i jej przyjaciele naśmiewali się z „tak zwanej sztuki” na przyjęciu świątecznym, na którym się poznali. Zastanawiał się, czy tamten spleśniały batat znaczył dla kogoś tyle, ile to wszystko tutaj znaczyło dla niego. Może. Chciał jednak wierzyć, że za sprawą tych dzieł ci nieudolni ludzie poznają drogę do serca Irene. Że one spowodują w nich – jak to ujął Jacob – pewną metamorfozę. I że nie zostaną potraktowane jak jakaś pieprzona telewizja.

Wokół *Ms. Daphne* zebrał się tłum. Był to obraz przedstawiający transwestytę leżącego na łóżku wodnym à la Modigliani, na tle zdumiewająco ohydnej tapety. Dzieło to wisiało obok *Mężczyzny z przekrzywionym krawatem*, portretu George’a w garniturze z waniliową babeczką w ręce. William rozpoznał oczywiście prezent, który dał jej na Boże Narodzenie (a który kiedyś wręczył swojej matce) – rozprute kimono teraz starannie uformowane w oszłamiający kokon.

Zdecydowanie najpopularniejszym eksponatem była belka dwuteowa z World Trade Center. *Żelazna Królowa*. Z samą stalą nic nie zrobiła, pozostawiając na niej ślady rdzy i nagromadzonego brudu, jednak za sprawą jakiejś alchemii, której William do końca nie rozumiał, umocowała na niej siedemdziesiąt siedem nagich lalek Barbie. Te beżowe plastikowe lalki czółgały się, wspinały po tym dźwigarze, w niektórych miejscach nachodząc

na siebie, tak że całkowicie zakrywały metal. Było coś niepokojącego w tym powtarzalnym sztucznym uśmiechu. Z jednej perspektywy instalacja ta przypominała Williamowi elizejską orgię. Z innej wyglądała jak piekło z obrazów Hieronima Boscha. To musiała być ta rzecz, nad którą pracowała zeszłego lata, wymykając się po kryjomu do galerii. Ta, która zmęczyła ją do tego stopnia, że wreszcie zasłała w muzeum. Jego zdaniem, i nie tylko jego, było to dzieło skończone. Każdy kosmyk sztucznych włosów koszmarnie współgrał z resztą pracy.

William wciąż myślał o tym ostatnim dniu. Dniu, zanim wszystko się skończyło. Była dość mocno odurzona lekami. Spytała jednak o tę klatkę. A potem próbowała jeszcze coś powiedzieć, ale nie rozumiał – nie rozumiał tych ostatnich słów, które do niego skierowała. Wmówił sobie, że to była jakaś bzdura, jakieś majaki pod wpływem działania leków. Nie mógł jednak opędzić się od myśli, że może prosiła go o jakąś przysługę. Z początku nie miał pewności, ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że powiedziała: „Powiedz mojemu ojcu”. William zastanawiał się, jak go odnaleźć, i teraz wreszcie wpadł na pomysł, jak to robi.

Zobaczył, że Sara zwołuje tłum w pobliżu *Pacjenta R5691414510*, by wraz z Juliette i Abebą podziękować gościom za przybycie. Wtedy on cichutko udał się w przeciwną stronę, w kierunku „dzieła”, na które zerkał cały wieczór. *Klatka dla ptaków, Szkatułka*. Wisiała w kącie sali, dokładnie tak samo jak w mieszkaniu Irene. Czy chciała, by sprzedano ją jako dzieło sztuki? Nie wiadomo, i teraz było to już raczej bez znaczenia. Gdy Sara zaczęła opowiadać, jak poznała Irene na stażu w wydawnictwie uniwersyteckim (miała sprawdzić, czy Irene kradnie toner – okazało się, że owszem, kradła), William wspiął się na palce i wetknął swoją szczupłą dłoń między kratki. Tym razem znalazł ukryte drzwiczki. Podejrzał Irene, jak wyjmowała naszyjnik tego dnia, gdy jadąc do niego, wstąpili do jej mieszkania. Otworzył klatkę



i chwycił czarną książeczkę adresową, tę samą, którą po raz pierwszy zobaczył ponad dwa lata temu. Włożył ją do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyszedł na zewnątrz, gdzie zapaliwszy drugą połowę jointa, spojrzał na most.

Wiedział, że najszybciej dotrze do domu metrem. Postanowił jednak przejść się po oblodzonych ścieżkach w kierunku mostu Brooklińskiego i przypomniał sobie ten ranek, gdy rok temu opuścił szpitalną salę, w której leżała Irene. Cały William. Jak zwykle wyszedł przed czasem. Nie potrafił dotrzeć do samego końca. Idąc korytarzem, chciał mieć pewność, że ona jeszcze żyje. Potem na ulicy, a jeszcze później w autobusie nie wiedział, czy już jest po wszystkim, czy nie. Gdy dotarł do mieszkania, pomyślał sobie, że Irene już prawdopodobnie odeszła. Wciąż jednak tego nie wiedział. Czuł się odrętwiały, ale jeszcze nie całkiem bez czucia.

Wtedy właśnie sięgnął do pudełka po butach, gdzie Irene schowała ostatnie pół uncji konopi indyjskich Northern Lights Premium, które kupiła od Skeevo. Wcześniej nigdy ich nie próbował, ale teraz postanowił, że to zrobi. Tak jak go uczyła, ostrożnie zrobił sobie skręta. Z każdą mijającą godziną uświadamiał sobie, że prawdopodobieństwo, że Irene jeszcze żyje, jest coraz mniejsze. Było bliskie zeru, ale nawet następnego dnia ani dzień później nie sięgnęło asymptoty. Czuł się jak wtedy, gdy zerwali ze sobą kontakt. Mijały tygodnie, a potem miesiące. Część substancji szarej jego mózgu odpowiedzialna za racjonalne myślenie podpowiadała mu, że Irene umarła, ale część nieracjonalna nie była o tym przekonana. Małe iskielki przeskakiwały z synapsy na synapsę, przenosząc słowa „Ona nie żyje” między szczelinami, które upierały się „Ona gdzieś tutaj jest”.

Chodnik nad mostem skąpany był w ciepłym złocistym świetle. Czuł obecność Irene, tak jak hazardzista czuje przypływ szczęścia, gdy zajmuje konkretne miejsce przy stole. Tak jak rzeźbiarz czuje, gdy coś mimowolnie

prowodzi jego rękę. Tak jakby miał drugą parę oczu i drugą parę uszu. Kroczył trzydzieści metrów nad wodą, między dwoma światami, które składały się zarazem na jeden. Gdyby miał opisać to wrażenie, rzekłby, że ona idzie o krok za nim.

## 2

O ósmej rano następnego dnia stał przed szklaną ścianą, a z piekarni znajdującej się za jego plecami dobiegał go zapach świeżego chleba. Z wnętrza Time Warner Center przyglądał się pojazdom krążącym po rondzie Columbus Circle. Spędził pół nocy przy stoliku na tyłach lokalu Veselka, studiując książkę adresową, w której znalazł nabazgrany numer do Skeevo. Wysłał mu wiadomość tekstową: „Cześć, tu William Cho, przyjaciel Irene. Poznaliśmy się kiedyś na Staten Island”. Ku jego zdziwieniu już po kilku chwilach dostał odpowiedź. „Siemanko. Co tam?”. Wymieniwszy uprzejmości, umówili się na spotkanie następnego dnia rano w piekarni, gdzie Skeevo pracował dorywczo na zmywaku i gdzie poznawał tajemniczą sztukę pieczenia chleba. William nie widział sensu, by wracać do domu. Nie chciał zasnąć w obawie, że się obudzi i to ogarniające go uczucie zniknie. Resztę nocy spędził, włócząc się po mieście, przez co strasznie zgłodniał, więc ucieszył go widok dwóch bochenków czegoś, co Skeevo nazywał *pan de horno*, a co smakowało niebiańsko.

– Ludzie myślą, że to wszystko kwestia zaczynu albo drożdży – wyjaśnił Skeevo. – Ale pieczenie chleba to pewnego rodzaju sztuka. Wyrabiając ciasto, wchodzisz z nim w pewien związek. Przedobrzysz albo wyrobisz za mało, i wyjdzie ci płaski, niewyrośnięty zakalec. Chleb potrzebuje powietrza. Chleb to coś, co żyje.

Nad bochenkiem, który skubał William, wciąż unosiła się para. Światło odbijało się od jadących w górę schodów ruchomych. W sklepie po drugiej

stronie wieszano materiał z motywem czerwonych promieni słońca. Nie mógł opędzić się od myśli, że zaraz w drzwiach hotelu Mandarin Oriental ujrzy Irene idącą pod rękę z jakimś mężczyzną w garniturze, jakiego on nigdy na sobie nie miał.

Skeevo był ubrany w koszulkę z napisem „Adventure time”, podarte dzinsy i trampki z sylwetką Questlove’a na językach. Policzki miał czerwone i szorstkie.

– Chyba wiesz o Irene – powiedział Skeevo.

William przytaknął.

– Byłem przy niej w szpitalu, gdy to się stało – skłamał.

Skeevo nic nie powiedział. Sącząc podwójne espresso, podrapał się w policzek.

– A ty skąd wiesz? – spytał William.

– Z Facebooka – odrzekł Skeevo. – Kurewsko szkoda dziewczyny.

William chrząknął.

– Dobrze ją znałeś?

Skeevo wzruszył ramionami.

– Lepiej niż innych klientów. Czyli można powiedzieć, że niezbyt dobrze. Ale gdy palisz z kimś trawkę, możesz się o nim wiele dowiedzieć.

– Czego na przykład?

Tu Skeevo spojrzał na niego podejrzliwie, a William, zarumieniony, przeniósł wzrok na swój chleb.

– Ja tylko... ja tylko próbuję odnaleźć jej ojca. Poprosiła mnie o to... chyba chciała, żebym mu przekazał, co się stało.

Skeevo roześmiał się, bawiąc się stójką swojej koszulki.

– No proszę. Widać umieranie naprawdę zmienia ludzi. Mnie mówiła, że nie chce więcej widzieć tego gnojka ani o nim słyszeć.

William zmarszczył brwi.

– A co z jej matką?

– Zostawiła ich, kiedy Reeny była mała. Uciekła z jakąś inną kobietą, zostawiając ją z ojcem i z przyszłą wredną macochą. Już samo to musiało być ciężkie, ale Irene uciekła, dopiero gdy ukochany tatuś przewalił pieniądze z jej funduszu na studia.

Po tych słowach znów pili kawę w milczeniu. William sprawdził telefon i zobaczył, że ma wiadomość głosową od matki, którą skasował bez odsłuchiwania, oraz SMS od Sary z zaproszeniem na brunch w hotelu Harbor Grand. William zobaczył, że Skeevo spogląda na pokryty śniegiem posąg Krzysztofa Kolumba w samym centrum ronda.

Przypomniawszy sobie coś, czego nauczył się kiedyś w szkole, powiedział:

– Wiedziałaś, że każda oficjalna odległość w Nowym Jorku mierzona jest od tego pomnika? To centrum centrum wszechświata.

Skeevo roześmiał się.

– Wiesz, William, moje podróże nauczyły mnie, że wszechświat nie ma centrum. Nie ma ani środka, ani żadnych granic. Żyjemy pośród nieskończoności.

William już miał się zgodzić i podziękować Skeevo za to, że znalazł dla niego czas, ale kątem oka dostrzegł coś – a raczej kogoś – znajomego. Blondynka w czerwonym płaszczu mignęła mu przed Sunglass Hut.

– Irene? – krzyknął William i zerwał się tak szybko, że przywalił kolanem w lichego stolik. Chcąc uniknąć katastrofy, próbował przytrzymać go, by się nie przewrócił, ale espresso oraz *pan de horno* rozpierzchły się na wszystkie strony, a on sam wylądował na podłodze, ze wzrokiem utkwionym w lampę wiszącą nad ich głowami.

– Hej, spokojnie. Spokojnie! – Skeevo podniósł się, by mu pomóc. – Nic ci się nie stało, chłopie?

Krew napłynęła z powrotem do policzków Williama, a on sam poczuł, jak

powietrze wypełnia mu płuca. Gdy spojrzął w górę, kobiety w czerwieni już nie było.

– Przepraszam – wydyszał William. – Ja... ja ciągle zapominam.

Skeevo wziął kilka serwetek i pomógł mu posprzątać bałagan.

– Nie przejmuj się. Mnie też się to zdarza. W zeszłym tygodniu widziałem ją, jak stoi na peronie i czeka na pociąg jadący na północ, gdy ja akurat jechałem w przeciwnym kierunku. W zeszłym tygodniu zdarzyło mi się to dwa razy tego samego dnia.

– Wiem, że to głupie – tłumaczył się William. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Słuchaj, to miłość. A ona ma dwa razy większą moc niż śmierć. Tak jak mówiłem. We wszechświecie bez granic, w nieskończonej ilości nieskończonych wszechświatów, wszystko istnieje symultanicznie. Wszystko, co może istnieć, istnieje.

William wstał i podszedł do okna.

– Chcesz mi powiedzieć, że wierzysz w duchy?

Skeevo splótł ze sobą dłonie.

– Kiedyś widziałem trzy duchy w jedno popołudnie.

Tłumiąc w sobie jęk, William przycisnął gorące czoło do chłodnej szyby okna. Poczul delikatne wibracje wywołane przez zwalniający autobus, który powoli objechał południową część ronda i podążył na północ wzdłuż parku. Wiecznie płynąca rzeka samochodów wirowała przeciwnie do ruchu wskazówek zegara po Columbus Circle, od którego wychodzą wszystkie drogi, przecinając się jak osie na papierze milimetrowym. To jest miłość. Na zaparowanej szybie napisał dwa zera oddzielone od siebie przecinkiem. 0, 0. A potem wokół tego narysował postać duszka jak z kreskówki.

– Nawet jej nie znałem – westchnął William. – To takie głupie.

Dwie jednorazowe przygody. Niezręczna kolacja świąteczna u jego rodziców. Kilka miesięcy milczenia. A potem co? Kilka okropnych letnich

tygodni, podczas których ona albo wymyślała się do pracowni, albo leżała w szpitalu, albo odbywała przymuszoną rekonwalescencję w jego mieszkaniu. Minął rok, a William wciąż nie miał najmniejszego pojęcia, co Irene z nim robiła.

### 3

Zanim wyszli z centrum handlowego, William pokazał Skeevo skorowidz, ale ten nie kojarzył żadnych nazwisk ani miejsc. Okazał jedynie lekkie zdziwienie, gdy na odchodne William niezdarnie spytał, czy może od niego kupić działkę tego samego, co dawał Irene. Coraz bardziej mu tego brakowało, szczególnie po trawce, którą kupił od nastoletniego syna swojego sąsiada.

Skeevo spotkał się z nim dziesięć minut później w męskiej toalecie i wręczył mu małą papierową torebkę, która pachniała znajomo. Powiedział Williamowi, że zawsze może do niego zadzwonić i jeśli namierzy ojca Irene, ma mu dać po głbie. Po czym wrócił do wyrabiania ciasta.

William zawiązał szalik i złapał pociąg linii E do hotelu Harbor Grand, który znajdował się przy Wall Street, ale nie tam, gdzie kiedyś pracował, lecz na drugim końcu ulicy. Nie znał dobrze tej części miasta. Musiał wrzucić adres do telefonu, nowego cobalta 7 z technologią TrueVoice (prezent od brata na święta Bożego Narodzenia), który na całe szczęście był naładowany. Gdy tylko zajął miejsce w pociągu, ponownie wyjął książkę i znów zaczął ją wertować. Każde nazwisko, ulica, stan i kod pocztowy dawały mu odrobinę więcej spokoju. Były jak elementy wielkiego równania, w którym  $x$  równało się Irene. To, kim była, zanim ktokolwiek ją poznał.

Nie było kontaktu zatytułowanego „mama i tata”, co nie znaczy, że ich tam nie było. Sto dwanaście kontaktów w piętnastu stanach. Całą noc wykluczał tych, których poznał, co zawężyło listę do zaledwie dwunastu osób. To mogli być klienci, przyjaciele albo jacyś dziwacy zapoznani w metrze. Ale może

któreś z tych nazwisk należało do kogoś z jej rodziny.

William wysiadł z pociągu na Church Street, gdzie zauważył, że ma nową wiadomość głosową od matki, ale postanowił ją zignorować do czasu, gdy będzie mógł zapalić. Tak było mu znacznie łatwiej znieść jej szaleństwo. Minął wieczny plac budowy w miejscu, gdzie kiedyś stały wieże World Trade Center, i poszedł do Harbor Grand: cudownego gmachu wybudowanego nad starym zajazdem z czasów kolonialnych, który pewnie stał tam, dopóki Indianie nie sprzedali Manhattanu Peterowi Minitowi za sześćdziesiąt guldenów i garść paciorków. Wewnątrz mieściła się nie tyle restauracja, ile tawerna z antycznymi krzesłami i srebrnymi lampami gazowymi. Nigdzie nie widział Sary, ale dojrzał George'a siedzącego na końcu długiego stołu – raczyli się przy nim ludzie, których widział poprzedniego wieczoru na otwarciu wystawy.

– Panie Cho! – krzyknął George i wstał, w obu rękach trzymając drinki mimoza. William zauważył, że on też nie zmrużył oka. Wymienili uściski i George znowu usiadł, nieco roztargniony, wciąż dzierżąc w dłoniach oba trunki.

– Sara musiała się wykręcić. Dzięki, że przyszedłeś wczoraj. Szkoda, że nie zostałeś dłużej! Ominęło cię niezłe przedstawienie.

– To było jakieś przedstawienie?

George oblizał wargi.

– Zaraz po toastach pojawiła się dawna miłość Irene.

William rozważał, czy nie przypomnieć George'owi, że on też był jednym z byłych partnerów Irene, ale nie miał szans wtrącić ani słowa.

– Tak. Chyba jej nie poznałeś. Przyjeżdżała w odwiedziny, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Ithace. Straszna jest. Kiedy Sara zobaczyła ją, jak wchodzi do galerii, omal nie zwariowała, przysięgam na Boga. Kiedy ostatni raz ją widzieliśmy, razem z Irene uciekły, jak się potem okazało, skradzionym

pikapem. Chwilę później robiły to na leżance współlokatorki Sary, a zaraz potem zadzwonili gliniarze z Pittsburgha, gdzie obie zniknęły razem z oksykodonem, który zostawiłem sobie po wyrwaniu zęba mądrości.

William starał się okazać jednocześnie podziw i zaniepokojenie.

– Jak się nazywa?

– Alisanne. Alisanne Des Rochers.

William zaczął nerwowo ciągnąć za koniec szalika. Nagle zrobiło mu się dziwnie gorąco. Szukał wczoraj adresu Alisanne w skorowidzu, ale go nie znalazł. Przypomniał sobie jednak, że w książeczce brakowało kilku kartek w sekcji z literką D.

– Czego chciała?

– Kto ją tam wie? To jakaś wariatka, mówię ci. Sara przyłapała ją, jak zerkała do klatki Irene, a potem wpadła w szal. Sara i Abeba kazały jej wyjść. Było ostro.

Po dwóch mimozach William przeprosił i udał się do łazienki, gdzie nad umywalką przemył twarz zimną wodą. Wyszedł i usiadł przy wejściu na starej ławce w stylu windsorskim, która zatrzeszczała nieszczęśliwa pod jego ciężarem. Wyjął skorowidz z kieszeni marynarki i przewertował go do końca, gdzie tkwiło kilka fotografii. Były tam oczywiście te frywolne zdjęcia robione polaroidem, ale też kilka zupełnie przyzwoitych fotek wykonanych w czasach studiów. George i Jacob tańczący z Irene na dyskotecę w klubie studenckim. Sara i Irene po zakupach zawałone torbami w jakimś punkcie gastronomicznym, z porcją piwa korzennego z lodami wielkości ich głów. Irene stojąca po kostki w jakimś strumyku, z rękami wyciągniętymi w stronę słońca, które nie zmieściło się w kadrze. Jej twarz w świetle dwudziestu świeczek na torcie w kształcie penisa, na przyjęciu urodzinowym Jacoba. Gdzie indziej Irene, Sara i George pomalowani białą farbą. Irene z wywalonym językiem i w koszulce z napisem „J got ripped at Van Winkle’s –



NYC, NY”. Wszyscy wyglądali na młodszych i bardziej szczęśliwych.

W tym momencie przystanął przy nim George wracający z toalety.

– Myślałem, że wyszedłeś – powiedział George i klapnął na ławce obok niego. Ta poskarżyła się, lecz nie załamała pod ich ciężarem. William próbował wetknąć zdjęcia do środka, lecz George już zdążył je zauważyć.

– Chyba drugi rok studiów. Habitat for Humanity.

– To ty powinieneś je mieć – powiedział William, podając je George’owi.

On odsunął je od siebie.

– Nie, zatrzymaj je. Za dużo wspomnień jak na jeden tydzień. Sara i ja wreszcie skończyliśmy porządkować jej rzeczy. Zdjęcia, naczynia, biżuterię, książki... te wszystkie jej ciuchy. Boże. Większość z nich zabraliśmy z powrotem do second handu, który tak bardzo lubiła. Tam gdzie kupowała te swoje buty w stylu vintage. Mel’s? Teraz będą to rzeczy „z trzeciej ręki”. – Chyba pożałował, że tak to ujął, ale William tego nie skomentował.

– Zastanawiałem się... tuż przed tym jak Irene... Chyba chciała, żebym się skontaktował z jej ojcem i macochą. Myślę, że ktoś powinien to zrobić. Nie muszę to być ja, ale... Ja tylko chciałbym wiedzieć, kim ona była. Skąd pochodziła. Rozumiesz? Nawet nie wiem dlaczego... dlaczego mnie lubiła.

George westchnął i uniósł ręce w górę, jakby chciał złożyć niebiosom ofiarę. Przez chwilę William zastanawiał się, czy jego rozmówca nie oblicza czasem w głowie pola grawitacyjnego, ale ten tylko przeciągnął się i ziewnął.

– Wśród fizyków krąży taka apokryficzna historia – powiedział wreszcie George. – Ktoś wygłasza wykład z kosmologii i mówi o tym, że Słońce jest jedną z trzystu miliardów gwiazd w naszej galaktyce, która jest jedną z dwustu miliardów galaktyk we wszechświecie, który jest jednym ze wszechświatów w czymkolwiek, co tam jest... I wtedy jakaś kobieta wstaje i mówi: „To bzdura! Wszyscy wiedzą, że Ziemia jest płaskim dyskiem położonym na grzbiecie wielkiego żółwia”. A wykładowca na to: „W takim razie, proszę

pani, na czym stoi ten żółw?”. A kobieta mu rzecze: „Na innym żółwiu, oczywiście!”. A on na to: „Dobrze, to na czym stoi ten inny żółw?”. A ona na to: „Na innym żółwiu, oczywiście!”. No więc on pyta znowu...

– George!

– Dobra. Przepraszam. Więc on mówi... on ją znowu pyta: „A na czym ten kolejny żółw stoi?”, i ona mu tłumaczy: „Panie, przecież panu mówię, tam są żółwie aż do samego dołu!”.

William zorientował się, że to była puenta, więc zaśmiał się od niechcenia, po czym przyznał, że nie rozumie.

– To właśnie Irene. Żółwie do samego dołu. Tajemnica na tajemnicy, jak głęboko w dół byś nie sięgnął.

William poczuł ucisk w klatce piersiowej. Próbował oddać George’owi pieniądze za mimozy, ale on oczywiście ich nie przyjął. Wyglądał, jakby miał zaraz zasnąć na ławce.

– Uściskaj ode mnie Sarę – powiedział William szybko, po czym udał się do toalety. Tam zamknął drzwi i na brzegu umywalki skręcił sobie jointa. Powoli, dokładnie, tak jak go uczyła. Następnie wyszedł i udał się do parku Battery, gdzie mógł sobie palić we względnej ciszy i spokoju. Patrzył na szare niebo nad Statuą Wolności, stojącą samotnie w zimnym otwartym porcie. Pomyślał, że zadzwoni do matki.

Ostatnio nie bardzo im się układało. Wkrótce po odejściu Irene poprosiła go, by poszedł z nią na *Seoul Jinogwigut* – ceremonię odprowadzającą ostatnią z siedmiu dusz Irene do rajów. Nie oczekiwał, że matka zrozumie, że on nie chce, by siedem dusz Irene zostało odprowadzonych do rajów, tak jak nie zamierzał słuchać jej teorii o tym, że raka Irene wywołały *jabkwi* – złośliwe błędzące duchy, gnieźdzące się w dziurze, która powstała w psychice Irene, gdy ta odwróciła się od swej rodziny. Wkurzyła tym swoich przodków, a na tych, co wkurzają swych przodków, musi spaść nieszczęście. Niech jej będzie.

Niech sobie stoi i potrząsa pałeczkami z jujuby i pali papierowe podobizny koni, wywołując duchy. Minął już jednak rok, a jego matka wciąż próbowała znaleźć sposób, aby pomóc duszy Irene przejść na tamten świat.

Kiedy wreszcie ucisk w klatce piersiowej zelżał do łagodnego pulsu i William poczuł senność, wyszedł na ulicę i zatrzymał taksówkę. Dopiero gdy usiadł na tylnej kanapie, dotarło do niego, że kompletnie nie wie, dokąd chce jechać.

– Zna pan bar o nazwie Van Winkle’s? – spytał William.

Kierowca przytaknął.

– Na Alei B?

William potwierdził, choć nie miał bladego pojęcia, gdzie to jest. W drodze na północ ścisnął w rękę skorowidz Irene jak jakąś świętą księgę. Przyciskając policzek do zimnego okna, słuchał innych samochodów. Ich dźwięki nachodziły na siebie, powtarzały się i mieszały ze sobą. Niewyraźny głos w radiu podawał wiadomości sportowe. Z przedniego siedzenia dobiegł go delikatny zapach palonej kawy. Drzwi stukotały, droga śpiewała i wkrótce wszystko zniknęło za ścianą białej mgły za oknem.

Lód zaczął szybko pokrywać szyby. Dziwne... jednak nie tak dziwne jak to, że poczuł nagle czyjś dotyk na swojej dłoni. Nie musiał odwracać głowy, by upewnić się, że to ręka Irene. Po prostu to wiedział. Siedziała obok niego, jakby była tam od zawsze. Nie jako duch, nie jako chłód, nic w rodzaju widma czy zjawy. Jej dłoń na jego ramieniu i z tyłu na szyi. Jej głowa wsparta na jego barku. Za oknem śnieg sypał wielkimi płatkami. William czuł, jak jej palce wślizgują się w jego dłoń, szukając wygodnego uścisku, gdy wzdychając lekko, pocałowała go w szyję. Poczuł troszkę mocniejszy uścisk, gdy ustami musnęła to miejsce, które zawsze lubiła. Bał się spojrzeć wprost na nią.

„Jesteś duchem?” – spytał.

„Nie”, zachichotała. „Jestem ptakiem. Wyjątkowo rzadkim gatunkiem

mewy”.

„Co czyni cię tak wyjątkową i rzadką, Pani Mewo?”.

„Nienawidzę morza”, powiedziała.

„To dość niedogodne”.

Jej długie westchnienie połaskotało go w szyję. „Przyznam, że to jest problem”.

„Gdzie w takim razie mieszkasz?”.

Dziobnęła go w szyję kilka razy, a on się zawstydził.

„Ćwiczę dziobanie w Williamie. Bym mogła w nim uwić sobie gniazdko”.

Na zewnątrz, wprost na pokryte szronem okno, błysnęła struga jasnego światła i William patrzył, jak milion drobnych, symetrycznych kryształków lodu topi się i zamienia w parę, wypełniając tylną część taksówki. Odwrócił się, by pocałować Irene, ale ona odepchnęła jego policzek w drugim kierunku. Kątem oka niemal widział jej gęste złociste włosy opadające na biały rękaw jego koszuli. Potem puścił jej rękę, odwrócił się – i obudził.

## 4

Van Winkle's okazał się obskurną speluną, wytapetowaną od podłogi po sufit naklejkami zespołów punkrockowych, z których połowa, jak sądził William, dawno temu przestała istnieć. Gdy siedział przy barze, popijając paloną kawę, próbował sobie wyobrazić, jak nastoletnia Irene z różowymi pasemkami we włosach skacze ze sceny znajdującej się na tyłach lokalu.

Wyobrażał sobie, że wraz z grupą zapomnianych przyjaciół, pielgrzymujących skądkolwiek pochodzili do anonimowego Lower East Side, robiła, co mogła, by zapomnieć o domu, z którego uciekła.

Bez specjalnej ochoty na powrót do domu (otrzymał już trzecią wiadomość od matki) William wyjął skorowidz i czując lekkie pobudzenie, zaczął dzwonić. Najpierw do jakiegoś Geoffreya Irvinga z Tarrytown, ale nie zastał

go. Według jego przyrodniego brata, który odebrał telefon, Geoffrey odbywał dziesięcioletnią odsiadkę w więzieniu Sing Sing. Może i kiedyś znał Irene, czy tam „Reeny”, ale by się upewnić, William musiałby tam pojechać i osobiście go o to spytać. William stwierdził, że chyba jednak nie jest to konieczne. Zamówił kolejną kawę i z pomocą cobalta 7 sprawdził kartotekę Geoffreya Irvinga. Był notowany za kradzież samochodów i trafił za kratki w 2002 roku, czyli co najmniej rok po tym, jak Irene wylądowała w Ithace. Tak czy inaczej, był w ich wieku, czyli za młody, by być ojcem Irene.

Następnie William wykręcił numer Eda Simpsona z St. Louis w Missouri, emerytowanego maszynisty, który z radością przerwał oglądanie teleturnieju *Dobra cena*, by chwilę z nim porozmawiać. Pan Simpson pamiętał dziewczynę imieniem Renee, z którą kiedyś umawiał się jego syn, Ed Simpson junior, teraz pułkownik Ed Simpson junior, obecnie na misji w Afganistanie. William podziękował mężczyźnie, prosząc, by ten z kolei przekazał swojemu synowi wyrazy wdzięczności za to, co robi dla kraju, a potem przeszedł do kolejnego nazwiska w notesie.

Nikt nie podnosił słuchawki w domu Sally Paulson w Rochester, ale gdy sprawdził ją w telefonie, znalazł jej zdjęcie na stronie pracowników Maquokeeta Farm w New Hope. Pamiętał, jak Irene kiedyś wspomniała, że pracowała tam na farmie. Sally była jednak Afroamerykanką, więc raczej nie mogła być matką Irene. Nie mógł się dodzwonić do nikogo pod numerem zapisanym przy nazwisku Anthony Lemon z Antwerp w stanie Ohio. Pod trzema kolejnymi numerami też nikt nie odpowiadał, ani u Evelyn Cross z Key West, ani u Mary Winter z Mary Winter's Garden Center w Houston, ani też u Poppy Daniels (płeć nieznana) z Wirginii Zachodniej.

William już miał się poddać i odebrać czwarty telefon od matki, ale spróbował jeszcze wykręcić do pana Bernarda Wyckoffa, właściciela sklepu Pruder Pools and Aquatic Center w pobliskim Brighton Beach, który odebrał

telefon i powiedział, że owszem, miał nietuzinkowe zamówienie od kogoś o nazwisku Irene Richmond, ale William musiałby sam po nie przyjechać.

Nie mając żadnego innego tropu, William bez wahania wsiadł do kolejnej taksówki przy parku Tompkins Square i pojechał na Brooklyn. Po drodze dosyć niechętnie, ale jednak zdecydował się oddzwonić do matki, by dać jej znać, że nie umarł, na wypadek gdyby chciała wysyłać jego duszę na tamten świat. Miała dziwny głos, gdy odebrała.

– William, właśnie wychodziłam. Coś się stało.

– Co jest? Chodzi o tatę?

– Z tatą wszystko w porządku. – Po krótkiej chwili milczenia spytała: – Pamiętasz Chongso Kima?

William jak przez mgłę pamiętał pызatego ośmiolatka ze zboru ojca, który zwymiotował chyba z pół tortu podczas składkowego lunchu z okazji Zwiastowania Pańskiego.

– Dziś rano wymknął się z domu, by kupić jakiś komiks, i zginął pod kołami samochodu na Northern Boulevard. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Ugotowałam sam gae tang i idę z nim do pani Kim.

William zamknął oczy. Poczuł, że jest mu niedobrze, i starał się nie wyobrazić sobie, jak by to było zderzyć się z taksówką, którą właśnie jechał.

– Boże, to okropne. Przykro mi. Proszę, przekaż jej moje wyrazy współczucia.

Wiedział, że jego matka spieszy się teraz, wybierając się do pokoju pełnego płaczących kobiet i niosąc wielką misę z potrawką z młodego kurczaka nadziewanego ryżem i kasztanami, w rosole z czosnkiem i żeń-szeniem. Złoży ją na stosie innych pojemników w kuchni, a potem zacznie robić to, co umie –

będzie przeprowadzać rytuały, które mogą przynieść ulgę pogrążonej w żałobie matce, starającej się dostrzec cień jej syna w oparach kadzidełek.

– Nie wróciłeś na noc do domu.

– Tak, przepraszam. Jestem u przyjaciół na Manhattanie. Pamiętasz George’a i Sarę?

I wtedy jego matka powiedziała łagodnym tonem:

– Błąka się między Tym a Tamtym Światem.

– Kto? Sara? Nie, ona jest w dzielnicy finansowej.

Ale matka powiedziała tylko:

– Zadzwoń do mnie później. – I odłożyła słuchawkę.

## 5

William był trochę zaskoczony, że Pruder Pools and Aquatic Center było otwarte w lutym. Połowa sklepów, które mijał na promenadzie przy plaży, była zamknięta. Wewnątrz zastał tylko trzech klientów wśród gęstego dymu papierosowego, którego nie maskował nawet zapach unoszącego się w powietrzu chloru. Podszedł do jedynej osoby, którą uznał za pracownika sklepu, mężczyzny z twarzą ukrytą za wielką, gęstą białą brodą. Siedział na leżaku na tyłach pomieszczenia, popijając coś z pomarańczowego plastikowego kubka z napisem „Life’s a beach” i czytał jakiś historyczny thriller o wojnie secesyjnej. Gdy William przedstawił się jako przyjaciel Irene Richmond, mężczyzna wyciągnął ku niemu dłoń, po czym warknął:

– Aqualad?

– Słucham?

Mężczyzna podźwignął się z leżaka – jego wielka ręka odłożyła książkę tak, by zaznaczyć miejsce, gdzie skończył czytać. Po jego twarzy przemknął uśmiech.

– Jest oryginalnie zapakowany. W stanie niemal idealnym. Już miałem go nadać, oddzielnie od reszty produktów, ale okazało się, że wysłała mi czek bez pokrycia, a potem nie miałem już od niej żadnej wiadomości.

Niewiele z tego rozumiejąc, William poszedł za mężczyzną w kierunku drzwi z napisem „Private”, przy których leżały stosy desek do nauki pływania. Wnętrze oświetlały jedynie słabe świetlówki wiszące w rzędzie nad gablotami. W nich równiutko poukładane stały figurki postaci z filmów i komiksów oraz lalki różnego rodzaju i wielkości, wciąż w oryginalnych opakowaniach. Było tam chyba z tysiąc umięśnionych superbohaterów w pelerynach. Giętkie lalki Barbie o brzoskwiniowej cerze. Oryginalne szmaciane lale Ania i Andy. Lalki z porcelanowymi twarzami i szklanymi oczyma pod mrugającymi powiekami. Sześć oryginalnych American Girls. „Wypuście nas”, zdawały się błagać, uwięzione w swych pudełkach.

Pan Wyckoff chwycił jedno z opakowań – figurkę chłopca w obcisłej pomarańczowej koszulce i niemożliwie małych zielonych kąpielówkach. Miał mocno fioletowe oczy, jak w komiksach, które William czytał jako dziecko. „Aqualad”, było napisane na opakowaniu, „książę Atlantydy”. W tle widniała szeroka biała plaża, na której stały futurystyczne kryształowe wieże i wielkie diamentowe klify. „Nie damy ci zniszczyć Ukrytej Doliny, Garn Daanuth!” – brzmiał tekst w dymku. „Obdarzony marsjańską mocą Metagenu!” – głosiło dodatkowo tandetne opakowanie z lat siedemdziesiątych. Co Marsjanie mieli zrobić z Atlantydą, William już nie pamiętał.

– Tak jak jej mówiłem, na rogu pudełka jest małe wgniecenie.

William zmrużył oczy, by się przyjrzeć, ale ledwo dostrzegł tę drobną niedoskonałość. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Bernard wyjął figurkę z opakowania i wręczył ją Williamowi. William przez chwilę obracał ją w rękach, zanim zorientował się, że Irene kupiła ją dla niego. Zaraz po tym, jak wrócili do siebie, opowiedział jej całą historię o kimono i Mi-cha.

Zauważył, że teraz, w świetle halogenów, twarz Bernarda płonęła. Policzki, nos, czoło – wszystko miał czerwone. Długie postrzępione naczynka krwionośne rozgałęziały się jak rzeki. Jak na to mówią? Nos alkoholika.



Przypomniał sobie, jak Irene czasem dostawała czerwonych plam i krost po długim pobycie na ostrym słońcu albo po drugim drinku bądź po zjedzeniu ostrego warzywnego curry. Reakcja nasiliła się po chemioterapii. „Trądzik różowaty”, powiedziała. „To u nas w rodzinie dziedziczne”.

William wziął głęboki oddech i nie odrywając wzroku od figurki, zdobył się na odwagę i spytał:

– A czego dotyczyła reszta zamówienia? Powiedział pan, że wysłał pan już resztę Irene.

– Tak – odparł. – Siedemdziesiąt siedem identycznych Barbie luzem. Na cholerę jej tyle tego było?

Serce Williama zaczęło bić mocniej. Doskonale wiedział, co ona z nimi zrobiła. Powoli zaczynał rozumieć. Na biurku mężczyzny stało zdjęcie w ramce. Był na nim wielki, uśmiechnięty Bernard obejmujący ramieniem drobną kobietę z krótkimi włosami. Stojąc na trybunach, wskazywali na zdjęcie kasztanowatego konia pokrytego derką z białych goździków. Wyglądało to na uczczenie jakiejś szczęśliwej chwili butelką szampana.

– To moja żona, Maggie – powiedział z dumą Bernard. – Zaraz po tym, jak wygrałem pięć patyków na wyścigach konnych Belmont Stakes w 2009 roku.

William próbował udawać, że jest pod wrażeniem. Niżej były dwie szkolne fotografie, każda z nich na niebieskim tle z logo Sears. Pan Wyckoff postukał w krawędź zdjęcia przedstawiającego krępa dziewczynkę, może dziesięcioletnią, z aparatem na zębach i włosami spiętymi w kucyk.

– To Lorraine, najmłodsza. A to Greg. Jest wybitnym zapaśnikiem, w 2010 roku zdobył mistrzostwo w zawodach indywidualnych wśród ósmoklasistów.

William doszukiwał się w Gregu jakiegoś podobieństwa do Irene. Jego krótko przystrzyżone włosy, owszem, były koloru blond, ale szeroka szczęka i wysokie czoło w niczym nie przypomniały mu jej twarzy.

– Ładne. Ma pan tylko dwójkę? – spytał William. Czyżby dostrzegł lekkie

zawahanie w postawie pana Wyckoffa, gdy ten odwrócił się, by zamknąć gablotkę?

– Cóż, Greg je za trzech, a Lorraine jest taka słodka, że wystarcza mi za tuzin córek.

– Musiały się tu dobrze bawić, dorastając wśród tych wszystkich zabawek. Teraz William dojrzał wyraźne niezadowolenie w oczach mężczyzny.

– To nie są żadne zabawki – powiedział. – One nie są do zabawy. To są figurki kolekcjonerskie, wyłącznie dla poważnych hobbystów.

William spojrzał z powrotem na faceta. Jeśli był ojcem Irene, to w ostatnich tygodniach życia okantowała go na siedemdziesiąt siedem lalek Barbie, które potem roztopiła na siedemdziesięciocentymetrowej belce pochodzącej z miejsca, gdzie kiedyś stało World Trade Center. William pomyślał, że z całym szacunkiem do Skeevo, ale raczej mu w gębę nie przywali.

– No dobra. Zaoszczędźmy sobie kłopotów. Zapłacisz mi całość teraz i będzie po sprawie. Tak jak powiedziałem, czek, który mi wypisała, nie miał pokrycia. Jestem o krok od tego, by dzwonić do prawnika.

Może i Irene rzeczywiście zadrwiła sobie z Wyckoffa. Może miała nadzieję, że on sam albo jego prawnik pewnego dnia dotrą do prawdy – że Irene była jego córką i że to ona śmiała się ostatnia. Na tę myśl William omal sam nie zachichotał. Niedokończony interes. Nic dziwnego, że jej dusza wciąż błąkała się, nie chcąc odejść! Potem przypomniał sobie, że to oczywiście niedorzeczne.

Mimo to poczuł nagle wewnętrzny przymus, by wypowiedzieć te słowa:

– Tak się składa, że ona nie żyje.

Oczy Bernarda się rozszerzyły.

– No to świetnie – jęknął.

William wziął kolejny głęboki oddech. Ogarnął go strach, ale jednocześnie

pewność, że to dlatego Irene prosiła, by odnalazł jej ojca. Jeszcze sekunda i będzie po wszystkim.

– Myślę, proszę pana... Pan wybaczy, ale sędzę, że ona mogła być pańską córką.

Bernard spojrział na fotografię Lorraine, a potem z powrotem na Williama, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Czy pan... przepraszam, ale czy miał pan jeszcze jedną córkę?

Zaczerwieniona twarz mężczyzny nagle zrobiła się blada, a usta zaczęły mu drgać.

– Carrie Ann?

– Carrie Ann? – odpowiedział pytaniem William.

Wówczas zobaczył, jak zacieśnia się każda czerwona żyłka na twarzy Bernarda. Ze strachu szeroko otworzył oczy i już miał skierować się do drzwi, gdy poczuł twardą jak kamień pięść na swojej skroni i jego ciało wykonało obrót. Najpierw jedna stopa straciła kontakt z podłożem, a potem druga. Otworzył zdrowe oko i zobaczył, że lalki w swoich szklanych więzieniach kołyszą się i wirują. Próbował dostać się do wyjścia. Nagle oślepiło go jaskrawe światło, a potem wszędzie zaległa ciemność, jakby znalazł się głęboko pod wodą.

## 6

William poczuł ból głowy tuż nad okiem. Ledwo też ruszał szczęką. Czy rzeczywiście został uderzony w twarz? Nigdy wcześniej nie brał udziału w żadnej bójce, ale powoli docierało do niego, że to właśnie się stało. A teraz leżał na wilgotnym piasku na bardzo zimnej plaży. Na wardze i na koszuli miał zaschniętą krew. Jak przez mgłę pamiętał, że chwiejnym krokiem wyszedł ze sklepu, próbując uciec przed panem Wyckoffem, a potem stracił przytomność.

Carrie Ann Wyckoff? Nie pasowało mu to. Nie mogła tak się nazywać. Dobiegł go słaby głos z telefonu w kieszeni. Gdy go wyjął, zobaczył, że ma roztrzaskany wyświetlacz.

„Witaj. Dokąd mogę cię dziś zaprowadzić?” – na okrągło pytał miły kobiecy głos. William płakał przez chwilę, nie wstając ani nie ruszając się z miejsca. Wszystko go bolało, a co gorsza, nie czuł już jej obecności. Nie pozostawało mu nic innego, jak wracać do domu. Pozwolić, by ta porażka stała się początkiem reszty jego pełnego porażek życia. Życia w samotności i bólu. Potem zauważył, że nie jest sam. Jak się okazało, wybiegając ze sklepu, zabrał ze sobą pudełko z Aqualadem, które teraz leżało nieopodal na wilgotnym piasku. Patrzył na jasne kolory z innej epoki, lekko homoerotyczny ubiór i tę tandetną postawę nastoletniego superbohatera – zaciśnięte dłonie na biodrach. Jednym gwałtownym ruchem sięgnął po niego, chwycił go i zerwał plastikową osłonkę na kartonie. Odklejenie jej sprawiło mu pewnego rodzaju przyjemność. Wyjął figurkę małego chłopca i przyjrzał mu się uważnie.

„Witaj. Dokąd mogę cię dziś zaprowadzić?” – spytał ponownie telefon. William gapił się na figurkę w pelerynie i nie odpowiadał. „Witaj. Dokąd mogę cię dziś zaprowadzić?”. Coś w nim pękło.

– GDZIE ONA JEST? – zawył. – GDZIE JEST IRENE?

Czuł, że oczy zachodzą mu krwią. Zebrało mu się na wymioty. I wtedy... wtedy telefon odpowiedział tym samym poważnym, lecz miłym tonem: „Szukam Irene”.

William odłożył lalkę i zaczął studiować ekran telefonu, który wyglądał teraz jak pokryty pajęczyną. Patrzył, jak za roztrzaskanym szkłem pojawia się mapa. Przez chwilę pomyślał, że może naprawdę uda mu się zlokalizować Irene. Ostatecznie na wyświetlaczu pojawił się obraz jej dawnego mieszkania na Wschodniej Czwartej Ulicy, wciąż miał ten adres gdzieś na liście kontaktów. Leżał tam, jedną ręką tuląc do siebie Aqualada, a w drugiej

trzymając telefon, i myślał o tym dniu, gdy włamał się do jej mieszkania. O tym, że czuł się w nim obco i dziwnie, otoczony jej rzeczami – durszlakiem zawieszonym na haku obok kuchni, przerośniętym kwiatkiem w doniczce na parapecie, stosie czasopism skradzionych z kubła na makulaturę, ręcznikiem z Metropolitan Museum z nadrukiem Moneta. Jej rzeczy bez niej. Z początku pomyślał, że to adrenalina wywołana tym, że znalazł się tam, gdzie nie powinien, ale wkrótce pojął, że to coś innego. Był z nią, choć jej tam nie było. Co to znaczyło? Że zawsze najbardziej czuł jej obecność, gdy jej przy nim nie było? Gdy był sam w jej mieszkaniu? U jej boku, gdy spała? W szpitalu, gdy pod wpływem morfiny dawała się ponieść zimnym wodom Styksu? Gdy patrzył na jej zdjęcie, zrobione przez kogoś innego...

Oczywiście, że tak. Powoli wstał i otrzepał się. Kiedy mroczy przed oczami zniknęły, zwrócił się do telefonu, tym razem z prośbą o wyszukanie osoby, którą znał i od której powinien był zacząć.

– Cobalt. Znajdź Alisanne Des Rochers.

Okazało się, że Alisanne Des Rochers, właścicielka firmy projektującej strony internetowe z siedzibą w Paryżu, była dostępna pod mailem. Zanim jeszcze William zdążył się pozbierać i wrzucił figurkę do kieszeni z trawką i skorowidzem, ona już odpowiedziała na jego zapytanie, pisząc, że wciąż jest w mieście i może się z nim spotkać w hotelu The Quaker w Long Island City.

Kierowca, który podwoził Williama, wyraził lekkie zaniepokojenie jego stanem, pytając niedbale: „Dobrze się pan czuje?”, po czym wrócił do rozmowy telefonicznej w jakimś zachodnioafrykańskim języku. William nic nie odpowiedział. Zamknął oczy i otworzył je, dopiero gdy przybyli na miejsce.

Kiedy William przekroczył drzwi zbudowanego ze szkła i stali lobby hotelu, wszyscy skupili na nim swój wzrok. Aż tak źle wyglądał? Na szczęście zanim dobiegli do niego bagażowi, od baru podeszła do niego jakaś kobieta.

– Ty jesteś William Cho?

Wyglądała zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Odkąd zobaczył jej imię na odwrocie sprośnych fotografii Irene, wyobrażał ją sobie jako francuskie piękno. Leslie Caron z *Amerykanina w Paryżu* lub María Casares z *Komediantów*. W jego głowie istniała w wersji czarno-białej.

Ale oto była Alisanne, we własnej – nieco pryszczatej – osobie. Gęste brwi. Przylizane ciemne włosy przycięte w dziecinny bob. Usta szerokie, płaskie i lekko rozchylone, jakby zaraz miała wziąć coś do ust. Dłonie sine i żyłaste, paznokcie pomalowane na czarno. Jej nos wyglądał, jakby został złamany i potem znów kilkakrotnie nastawiony. Na jej szyi widniała brodawka wielkości gumki do ołówka, z której wyrastały czarne włosy. Czarny kaptur, który miała na sobie, był częścią dzinsowego płaszcza, a jej czarne botki były zasznurowane aż po kolana.

Portierzy nie byli zadowoleni, widząc, jak William zostawia ślady piasku na ciemnym dywanie. Przeprosił, ale Alisanne nie wyglądała na przejętą. Hotel zbudowano z różnej wielkości szklanych paneli w stalowych kwadratowych ramach. Niektóre szyby zmrożono do kompletnej matowości, a inne były zupełnie przezroczyste. Za ladą znajdował się wodospad, płynący jakby w górę, a nie w dół. Ogród byłby całkiem ładny, gdyby nie stojąca na środku ogromna rzeźba osy zjadającej pająka. W pokoju korespondencyjnym stały ogromne krasnale. Czyżby należały do hotelowego wystroju? A może ktoś je zamówił? William starał się nie patrzeć na przyległą salę do jogi, gdzie praktykujący wyginaли swe ciała w precle. Bez słowa wjechali na szóste piętro, a Alisanne kartą magnetyczną otworzyła drzwi i zachęciła go do zdjęcia przemoczonego ubrania.

– Weź prysznic. Skombinuję jakieś suche ubrania. I herbatę.

William zawahał się, widząc, że prysznic był wydzielony od pokoju jedynie szybą z mrożonego szkła, która nie sięgała wyłożonej czarnymi kafelkami podłogi.

– Nie jesteś w moim typie – powiedziała oschle.

Niechętnie zdjął mokre spodnie i koszulę. Alisanne włożyła je do plastikowego worka i zamówiła herbatę, podczas gdy on brał prysznic i wypłukiwał ze swych włosów straszne ilości piasku. Wreszcie czysty i rozgrzany, owinięty w ręcznik wyszedł spod prysznic, a Alisanne podała mu czarne dzinsy i koszulkę z napisem „Maladroit”. Czuł się trochę zakłopotany faktem, że oboje noszą mniej więcej ten sam rozmiar.

Nalała mu herbaty. William wziął filiżankę i usiadł na brzegu łóżka, zostawiając dla niej krzesło. Ona jednak usiadła po turecku na podłodze.

– Do jutra będziesz miał śliwę nad okiem – powiedziała. William przytaknął. Bolało go jak cholera, ale nie chciał dać tego po sobie poznać.

– Więc mieszkasz w Paryżu?

– Pomieszkuję – sprecyzowała.

– I przeleciałaś taki kawał drogi, by przyjść na otwarcie wystawy?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Przyjechałam po coś, co do mnie należy.

– O! To tak jak ja – powiedział William.

Roześmiała się i splunęła na podłogę czymś, co było w szklance.

– Nie. Ty chcesz wiedzieć, kim była Irene.

William zmarszczył czoło.

– Chyba tak.

Alisanne uśmiechnęła się tajemniczo.

– Kto ci to zrobił?

– Jej ojciec.

Była niemal pod wrażeniem.

– Wstrętny mały człowiek.

– Nie taki mały – skrzywił się William. – Myślałem, że ona chciała, bym mu powiedział, co się stało. Prosiła mnie o to przed śmiercią. Tak mi się

wydaje.

Teraz zastanowił się jednak, czy nie chodziło jej o to, by William dopilnował, że jej ojciec nigdy się o tym nie dowie. Czy w ostatnich godzinach życia nie pożałowała tamtego planu. Jeśli w ogóle miała taki plan. William poczuł się jak skończony głupek. Co on sobie myślał? Dlaczego uznał, że cokolwiek o niej wie?

– Zadzwońeś do mnie, bo...?

– Bo znałaś Irene lepiej ode mnie. Pomyślałem, że mogłabyś mi naświetlić...?

Alisanne przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego miałabym ci coś naświetlać?

– Widzisz, bo my powinniśmy sobie pomóc. Ja... Chryste, widzisz moją twarz? Wiele już przeszedłem, więc proszę cię, powiedz mi.

– Co mam ci powiedzieć?

William uświadomił sobie, że sam nie ma pojęcia, czego chce się dowiedzieć. Kim była? Gdzie bywała? Co robiła?

– Na przykład jak się poznałyście? – rzekł w końcu.

– Poznałyśmy się w San Francisco.

– I?

– I ona była strasznie głupia. Tydzień po ucieczce z domu, a już bez grosza przy duszy. Spała w parku, sprzedawała wszystko, co zabrała swej dobrej babce. Chciała kupić kanapkę i zemdląła na chodniku przede mną. Więc zabrałam ją do domu i pozwoliłam u siebie pomieszkać. A ona co? Czyta wszystkie książki Camusa, niszczy prześcieradła, zabija mojego niecierpka i sprawia, że się w niej zakochuję. No i pewnego dnia wychodzę, potem wracam i jej nie zastaję. Ukradła cenne pierwsze wydanie książki, którą



dostałam od ojca. Czy to, jak się wyraziłeś, naświetla ci sytuację?

William podrapał się w głowę. Nie naświetlało.

– Wciąż myślę, że gdybym wiedział, kim była, mógłbym...

Ale teraz już nie wiedział, co by zrobił. Pozwoliłby jej odejść? Zatrzymałby ją przy sobie? Jakoś pogodziłby jedno z drugim. Wolny i prześladowany na zawsze. Gdyby tak mógł trzymać ją w pudełku, bezpiecznie przechowywaną w szafie bądź w szufladzie, z której by ją wyjmował, kiedy tylko zechce. W głębi serca czuł, że Irene by się to nie podobało.

– Po prostu chcę wiedzieć, czy ona naprawdę mnie kochała – powiedział.

– Ona kochała każdego – odrzekła Alisanne, wzruszając ramionami.

– Chcę wiedzieć, czy mnie kochała najbardziej.

– Ciebie kochała ostatniego.

– Ale nie celowo.

– Owszem, celowo.

William zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał.

– W końcu by mnie zostawiła, tak?

– Tak – przytaknęła mu Alisanne – prędzej czy później.

– Chciałem, by to zdarzyło się później – westchnął William.

– Myślisz, że później powiedziałbyś: „Dobra, fajnie było. Nacieszyłem się.

Teraz możesz umrzeć. Wspaniale było cię kochać”?

Chyba miała rację. Coś mu mówiło, że cokolwiek zdarzyłoby się między nim a Irene w dłuższej perspektywie – gdyby była jakaś długa perspektywa – to mając dziewięćdziesiąt dziewięć lat i widząc, jak ona umiera na szpitalnym łóżku, też w ostatniej chwili odwróciłby głowę. Wciąż łapałby się na tym, że leży obok zwiniętych prześcieradeł, marząc, by pod nimi była ona. Nadal czułby jej chłodny oddech na swoim pomarszczonym karku.

– Może są ludzie, którzy żyją ze sobą osiemdziesiąt lat, a nie kochali się tak

jak wy dwoje przez jeden rok. Może inni spędzają ze sobą jedną noc i kochają się bardziej, niż ty kiedykolwiek będziesz w stanie kogoś pokochać. Ale jakie to ma teraz znaczenie?

William spiorunował ją wzrokiem, po czym chwycił swój jeszcze wilgotny płaszcz i powiedział:

– Chodź, chyba wiem, co się stało z twoją książką.

## 7

Wypożyczonym samochodem Alisanne wiozła go z powrotem na Manhattan przez Midtown Tunnel. Po drodze zreferowała mu wszystko, co wiedziała o matce Irene. Miała na imię Mary i pochodziła z Teksasu, gdzie na szybie naftowym w Zatoce Meksykańskiej pracował jej pierwszy mąż. Zdarzył się jakiś wypadek – chyba pożar – i on zginął, a Mary dostała z tego tytułu jakieś pieniądze z ubezpieczenia. Bernarda Wyckoffa poznała poza Nowym Orleanem, zaliczyła wpadkę i wyszła za niego za mąż. Irene, czy Carrie Ann, urodziła się gdzieś na Florydzie, skąd pochodziła rodzina jej ojca. Wyckoffowie prowadzili kilka klubów nocnych, włącznie z tym, w którym na pół etatu kelnerowała Mary. W tym czasie Bernard przepuszczał na hazard wszystko, co zostało jej z ubezpieczenia, a małą Carrie Ann zajmowali się jego rodzice.

Tam właśnie Mary poznała tancerkę imieniem Izzy, która, jak się okazało, w rzeczywistości też miała na imię Mary. W którymś momencie jedna Mary uwiodła drugą i razem uciekły. Irene do końca nie dowiedziała się, dlaczego nie zabrały jej ze sobą. Może myślały, że lepiej jej będzie z babcią i dziadkiem Wyckoffami. Może obawiały się, że Bernard albo jego koledzy od obstawiania będą je ścigać, jeśli zabiorą ją ze sobą. Może zrobiły to z wyrachowania: w latach osiemdziesiątych żaden sędzia na florydzkim cyplu nie udzieliłby egzotycznej tancerce i jej kochance praw do opieki nad

dzieckiem. Alisanne nie miała pojęcia, jaki był dokładnie powód, gdyż Irene sama nigdy się tego nie dowiedziała. Bernard ostatecznie ożenił się z jakąś Maggie Pruder, koleżanką z pracy, i oboje przeprowadzili się na Brighton Beach, gdzie przejęli rodzinny sklep z akcesoriami do basenów. Mary i Mary wylądowały w Wirginii, gdzie obecnie, obie w średnim wieku, pracują w sektorze usług komunalnych w – Alisanne wydawała się zadowolona, że dowiedziała się tego przed Williamem – małym miasteczku o nazwie Irene.

Tkwiąc w korku gdzieś pod rzeką, gdy w zielonym blasku światełówek wszystko wyglądało blado, William poczuł, że odnalazł kolejny element układanki. Irene. No jasne. Mimo to puzzle wciąż nie były skończone. Nie pasowały do żadnego obrazka na żadnym pudełku. Ani do miejskiego pejzażu, ani do pola ze słonecznikami. Ani do kociaków z kłębkami przędzy. Kolejny żółw pod żółwiem i tak dalej.

William milczał, skupiony na skręcaniu kolejnego jointa – uważał, by nie rozsypać zioła po samochodzie. Alisanne przyglądała mu się bez słowa, gdy jechali w kierunku second handu Mel's, gdzie Sara kilka dni wcześniej zabrała resztę rzeczy Irene. Alisanne zaparkowała tuż przy parku Washington Square. Przeszli przezeń, paląc na spójkę skręta, unikając turystów niosących torby z zakupami oraz szybko mijając siedzących na ławkach studentów z dreadami.

Nagle uderzyło go to, że spędził w tym mieście cały dzień, a to była pierwsza jego część, którą rozpoznawał. Jakaś dziewczyna grała na skrzypcach, licząc na drobne. Dwóch brodaczy w średnim wieku paliło papierosa podczas gry w szachy. Trójka przysadzistych Niemców stała pod wielkim Łukiem Waszyngtona, pokazując palcami znak pokoju, podczas gdy metr od nich jakiś gość w pomarańczowej czapce zmieniał spodnie. William pod każdym kapturem czy czapką wypatrywał Irene. Jednak nigdzie nie czuł jej obecności.

– Skręcasz je tak jak ona – powiedziała Alisanne, podając mu końcówkę

jointa.

William wziął ostatniego macha i rzucił niedopałek na chodnik.

– Ona mnie nauczyła.

– Mnie też.

W Mel's było tłoczno i gorąco. Jakieś Australijki przemierzały wąskie alejki, przeglądając kurtki dzinsowe i wzorzyste sukienki. Zewsząd jak fajerwerki buchały tureckie wzory oraz kwiaty. Jaskrawe pasiaste suknie i kombinezony jednoczęściowe z rozszerzającymi się u dołu nogawkami. Zdjęcia Twiggy i Audrey Hepburn, wydarte ze starych wydań „Vogue'a” i oprawione w ramki, wisiały na ścianach. Dwóch mężczyzn prowadziło zaciekle spór nad jedwabną piżamą. Czternastoletnia dziewczyna przymierzała buty w kolorze jasnej mięty, drąc się na matkę, że ich potrzebuje. Kosztowały zaledwie trzysta dziewiętnaście dolarów. Były w stylu lat sześćdziesiątych! Matka, której wiek nie wskazywał na to, by w latach sześćdziesiątych posiadała swoje buty, ignorowała ją, sprawdzając maila w telefonie, podczas gdy dziewczę nadal odstawiało scenę.

– Przepraszam? – zagadnął William zabieganego mężczyznę w spodniach koloru różowej gumy balonowej, który wyglądał na pracownika sklepu. Miał wklęsłe policzki jak trup i wybałuszone oczy. – Szukamy starej książki, którą ktoś mógł wam ostatnio sprzedać.

Mężczyzna zaczął kręcić głową.

– Żadnych zwrotów rzeczy ani pieniędzy.

– To nie będzie problem. Zapłacimy za nią.

Mężczyzna westchnął i stuknął butami z krokodylej skóry, a jego ręce nie przestawały układać rzeczy w tymczasowym porządku, który wkrótce i tak zaburzą klienci. Spojrzał na Alisanne, potem znów na Williama, a na jego twarzy pojawiła się troska.

– Zanim przejdziemy do książek, mój drogi, musimy ci znaleźć jakiś

kapelusz. Bez niego się nie obejdzie.

William zamrugał oczami.

– Czyżby?

Mężczyzna zacisnął razem dłonie i spojrzał Williamowi w oczy.

– Twoje czoło przypomina bakłażana. Podejdź tutaj. Zanim skończę, ludzie pomyślą, że jesteś Don Draper.

Mężczyzna wspiął się po małej drabinie i ściągnął męski kapelusz z półki, znad wieszaka pełnego szerokich krawatów. Wybrał szaropopielaty i wskazał Williamowi lustro. Kapelusz nie tylko zakrywał śliwę nad okiem, ale też bardzo dobrze na nim leżał. William wyglądał w nim raczej jak Sam Spade, a nie Don Draper, ale podobał się sobie. I nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale miał dziwne uczucie, że Irene też by się podobał.

– Czy na ślub można przyjść w kapeluszu? – spytał Alisanne.

– Jest na zewnątrz? – spytała.

– Nie wiem – powiedział William.

– Po prostu zdejmij podczas ceremonii. Nie bądź prostakiem.

William obiecał, że tak zrobi, a mężczyzna zaprowadził ich na tył sklepu, gdzie składowano setki używanych książek. Leżały w stosach, nieuporządkowane. Alisanne zaczęła je przeglądać. William nawet nie wiedział, na co polują. Otwierał przypadkowe książki, szukając jej pisma lub gryzmołów, ale trudno było stwierdzić, czy Irene była ich autorką. Czy to jej siódemka w numerze telefonu nabazgranym na marginesie *Hrabiego Monte Christo*? Czy to jej spirala na ostatniej stronie *Domku na prerii*? Nagle palec Williama zatrzymał się na zielonym tomie, który wyglądał znajomo.

*Iliada* Homera. Wziął ją do ręki i powoli otworzył. Jej strony były pokryte znajomym charakterem pisma. Jego własnym. Ale zdarzały się tam również zapiski Irene. Całkiem zapomniał o tej książce. Ostatni raz widział ją w szpitalnej sali, zanim Irene została przewieziona na oddział intensywnej

terapii. Potem w ogóle o niej nie myślał. Sara musiała wziąć ją do domu i schować w składziku z resztą rzeczy Irene. A teraz znalazła się tutaj.

– Mam! – usłyszał wołanie Alisanne. Wyłoniła się zza regału, trzymając w ręku gładką, lekko podniszczoną książkę Alberta Camusa. Na białej okładce czerwonymi literami napisany był tytuł: *L'Étranger*, a pod spodem po prostu: *Roman*. Sklepowy, wyraźnie nieświadomy, że wszedł w posiadanie rzadkiego pierwszego wydania, chciał za książkę dolara i pięćdziesiąt centów, które Alisanne chętnie zapłaciła.

– Muszę już iść – powiedziała. – Dziękuję, William.

Gdy podszedł, by ją uściskać, próbowała odskoczyć. Ostatecznie jednak, nie zdoławszy się wymknąć, objęła go.

– Kto wie, co ona w nas widziała.

Teraz jednak, gdy poznał bliżej Alisanne, William sądził, że chyba wie, co Irene w nich lubiła. Alisanne miała w sobie coś znajomego. Kiedy on był zbyt uprzejmy, ona była zbyt dosadna. Gdzieś pod spodem jednak mieli w sobie dobroć tak dziwną, że w zasadzie oboje ją ukrywali. I to chyba było to. To, co tylko Irene była w stanie dostrzec. To, co w nich kochała.

Zapłaciwszy za nowy kapelusz i książkę, która niegdyś była jego własnością, wyszedł ze sklepu i wrócił do parku, gdzie usiadł na lodowatej ławce niedaleko nieczynnej fontanny. Ostrożnie otworzył książkę. Przypomniawszy sobie, jak tego wieczoru, gdy się poznali, w pewnym sensie broniła jego ulubionego przekładu, gdy Jacob próbował z niego szydzić. Lattimore. *Richmond* Lattimore. Irene podkreśliła imię autora niebieskim atramentem na stronie tytułowej. William się uśmiechnął. Zastanowił się, ile jeszcze podobnych chwil czeka go w życiu.

Nagle zapragnął nigdy nie odnaleźć pozostałych elementów tej układanki. Cieszył się, że napotyka na same żółwie, jednego pod drugim. W powietrzu unosił się zapach warzywnego curry, a nad jego głową falowały gałęzie drzew.

Wówczas spostrzegł, że wciąż ma na sobie ciuchy Alisanne. Ubrany w nie, w nowy kapelusz i w szalik od Irene, poczuł się jak ktoś zupełnie inny. Więc to takie uczucie. Tego właśnie nauczyła się Irene. Jak być kimś nowym.

I wtedy dostrzegł kolorową stronę z tyłu książki. Ostrożnie otworzył ją w tym miejscu i jego oczom ukazała się piękna scenka namalowana akwarelą. Szarości, fiolety, żółcie i błękity. Ruchliwa ulica. Samochody krążące po drodze i błyszczące w słońcu wysokie budynki. Białe wieże sięgające błękitnego nieba. Czerwony neon restauracji w Chinatown, wciąż świecący za dnia. Promienie słoneczne odbijające się od wieży ciśnień. Spokojna zieleń oplatająca brązowe szkielety miejskich drzew. Zakrzywione południki asfaltowych ulic. W dali zarysy wieżowców tworzące horyzont nad rzeką. A za tym wszystkim – most Brookliński. To z pewnością jej dzieło. Jej kolory, jej kreska, jej długość fali. Obrazek opatrzony był tytułem *Widok z 4R*, ale na stronie obok znajdowała się notatka sporządzona jej charakterem pisma.

*Williamie. Dziękuję za książkę. Mam nadzieję, że Sara ci ją odda! I mam nadzieję, że nie gniewasz się, że po tym, jak zerwaliśmy i myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę, na jednej ze stron coś namalowałam. Teraz, gdy masz ją z powrotem, chyba powinnam ci coś wyjaśnić. To widok z mojego pokoju w mieszkaniu mojej babci Fiony, przy 12 Spruce Street, gdzie mieszkałam jako dziewczynka i, trzeba przyznać, nie najlepsza wnuczka. Podobało mi się u niej, ale potem ona zachorowała i umarła. Wzięłam trochę pieniędzy i uciekłam, bo nie chciałam znów wracać do domu. Kiedyś ci już mówiłam, że przyszedłam na świat w niewłaściwej rodzinie. Przez całe życie szukałam tej prawdziwej i teraz wiem, że ją znalazłam. Przepraszam, że ukradłam kimono twojej mamy. Powinniśmy byli się zaprzyjaźnić dawno temu, Williamie. Chciałabym tego. Odkąd się poznaliśmy, zastanawiam się, czy to nie zrzędzenie losu, wiesz? Wiem, że to brzmi banalnie, ale co, jeśli bez względu na to, co robiłam przez te wszystkie lata, przyszłoby mi teraz umierać gdzie*

*indziej? Może jednak to, gdzie się umiera, ma znaczenie. Jeśli bogom na nas zależy, to człowiek musi mieć wolną wolę. Je suis toujours sur le point de te quitter. Z wyrazami miłości, Irene.*

William długo jeszcze siedział na ławce. Więc pochodziła z tego samego miejsca co on. Jeszcze raz przyjrzał się obrazkowi. Królestwo dzieciństwa Irene. Jak on patrzyła na ten sam nocny krajobraz i zasypiała kołysana do snu tym samym gwarem ulicy. Kto wie? Może mijali się na zajęciach w terenie albo przechodzili pod tymi samymi bramkami do metra. Pewnie gdy spadł śnieg, oboje wstawali wczesnym rankiem, by włączyć NY1 i sprawdzić, czy zamknęli szkoły, a czwartego lipca w Święto Niepodległości oboje oglądali z okna te same fajerwerki. Zdzierali sobie kolana na tych samych chodnikach i odpowiadali na te same łatwe pytania w czasie egzaminów końcowych w szkole średniej. I podczas gdy wszyscy opuszczali swe domy, by tu przyjechać, oni stąd wyjeżdżali, by wrócić do domu.

## 8

Po chwili William wyszedł z parku i udał się w kierunku najbliższej stacji, by złapać pociąg do domu. Po drodze zadzwonił do matki, ale nie odbierała. Dopiero potem przypomniał sobie, że pewnie wciąż jest z matką Chongso, w ich salonie przy zaciągniętych zasłonach i opuszczonych roletach, przy wszystkich przybyłych członkach rodziny Kim siedzących na kanapach, odziana w czerwoną szamańską szatę, wykonuje taniec, który zna z dziada pradziada. Towarzyszą mu wycie, krzyki i płacz. Duchy przodków, jako że nie potrafią mówić, komunikują się za pośrednictwem jej strun głosowych, języka i ust. A rodzina Kim stopniowo zaczyna wierzyć w to, w co ma uwierzyć. Że Chongso ma się dobrze. Że został zlokalizowany. Patrzy na nich z góry w towarzystwie setek pokoleń Kimów. William też chciał w to wierzyć; był



już zmęczony udawaniem, że tak nie jest.

Wyjął telefon i na popękany ekranie wystukał wiadomość tekstową do Sung-Lee, dziewczyny, z którą umówił się dwukrotnie po rozstaniu z Irene.

„Słyszałaś o Chongso?”.

„Wiem! To takie smutne! Co u ciebie?”.

„W porządku. A u ciebie?”.

„Bardzo dobrze. Może kiedyś wyskoczmy na drinka?”.

Jego kciuk zawisnął nad ekranem. Wpatrując się w zielone światło wyświetlacza, poczuł dziwne mrowienie w ręce. Delikatnie przycisnął kciuk do klawiatury i odpowiedział.

„Może teraz?”.

Spotkali się przy South Street Seaport, gdzie znała jakiś lokal, w którym serwowali dobre drinki i w którym nie było zbyt głośno. I już po chwili William szedł wzdłuż Fulton Street, znów patrząc na most Brookliński, który z tej strony wyglądał jak zrobiony ze świateł. Tuż za sobą poczuł jakiś cień. Minął ciemne okna wystaw pełne pozbawionych twarzy manekinów. Spod kościoła dobiegł go dźwięk saksofonu. Wszyscy dookoła byli pijani.

William przeciskał się przez tłum, wypatrując jej sylwetki. Gdy przeszedł pod FDR Drive, usłyszał, jak Sung-Lee woła jego imię z przeciwległego rogu ulicy. Zobaczył ją dopiero po chwili: wychodziła z taksówki w granatowym płaszczu z białym obszyciem. Zgrabnie stąpała po kocich łbach w swych botkach na wysokim obcasie. Gdy podszedł, pocałowała go delikatnie w policzek.

– Omal cię nie poznałam – powiedziała. – Podoba mi się, jak jesteś ubrany.

– Naprawdę? – William wiedział, że się czerwieni.

Sung-Lee wyglądała o wiele piękniej, niż zapamiętał – przynajmniej w delikatnym świetle ulicznych lamp. Miała na sobie błyszczący naszyjnik ze srebrnych zębów rekina. Na powieki nałożyła delikatny zielony cień.

– Podobno twoja matka cię szuka.

– Och. No cóż. Byłem... – próbował się tłumaczyć William.

– Niegrzeczny chłopiec – droczyła się z nim. – Zadzwoń do matki.

Czy ona puściła do niego oko? Tak. Próbował się zaśmiać, jakby to był jakiś żart, ale coś w jej tonie mu nie pasowało. Gdy widzieli się ostatnim razem, była taka nieśmiała. W płaskich butach. Nie całowała go w policzek ani nie mówiła niczego w stylu „niegrzeczny chłopiec”. Zastanawiał się, czy już nie jest wstawiona. Podczas ich ostatniego spotkania wypłała pół lampki wina i prawie zasnęła. Nic z tych rzeczy.

– Przechesują okolicę trzech sąsiednich stanów, by znaleźć tego gościa, który potrafił Chongso. Mam nadzieję, że gdy już go znajdą, to go przejadą. Tak czy inaczej, co u ciebie?

– U mnie... u mnie... – zawahał się. – A co u ciebie?

– Naprawdę dobrze – powiedziała. – Dobrze się bawię.

– Raz też się dobrze bawiłem – zażartował.

Śmiała się. Długo. A potem chwyciła go za rękę i powiedziała:

– Chodź. Przypomnę ci, jakie to uczucie.

Prowadziła go ulicą jak szczeniaka. Szli do Cutty Sark. U wejścia do lokalu dyndał mały kliper z kutego żelaza. Okna były przyozdobione grubymi linami i starymi płóciennymi żaglami. W samym środku pomieszczenia na porzewiałym krążku linowym wisiał żyrandol zrobiony ze steru. Przy licznych drewnianych stołach wzdłuż pokładu siedzieli mężczyźni i kobiety, pijąc piwo i racząc się rybą z frytkami. William i Sung-Lee zajęli miejsca przy stole obok mężczyzny w czerwonej wełnianej czapce, który jadł zupę z owoców morza na spólkę z innym gościem, z pejsami i w kapeluszu typu pork pie. Sung-Lee przywołała przechodzącą obok kelnerkę i zamówiła dwa manhattany, w tym jeden z pięcioma wiśniami moczonymi w brandy.

– Płuczą szklanki w absyncie – wyjaśniła. – To naprawdę podkreśla smak.

– No tak, ale czy nie wypala dziur w mózgu? – spytał William.

– Bzzzzzzzzz – przystawiła palec wskazujący do czoła Williama, po czym przejechała ręką po guzie.

– Więc jak, wdałeś się w bójkę? – spytała Williama.

– Właściwie to tak.

Była zaskoczona? Nie. Była pod wrażeniem. Rozglądał się wokół, jakby w obawie, że ktoś może go z nią zobaczyć. Niby nikogo nie zdradzał, ale tak właśnie się czuł.

– Nie mam dziś zbyt wiele czasu – oznajmiła mu, cofając dłoń. – O szóstej rano lecę do Sztambułu na konferencję.

Z głośników głośno wybrzmiała jakaś piosenka. Sung-Lee nuciła, kołysząc biodrami. Podczas refrenu wtórowała:

– O... oh... oh. *Dreams weave the rose...* Widziałeś teledysk? Jest po prostu okropny. Za to piosenkę uwielbiam. – Wzruszyła ramionami, jakby to była kolejna z nierozwiązywalnych życiowych tajemnic.

– Co to za konferencja? – spytał William. Podano drinki, a on zastanawiał się, jak tu szybko wypić swój i stamtąd wyjść.

Sung-Lee sięgnęła po jedną z wisienek i nadgryzła ją.

– Mifamurtide. To ten nowy lek, który właśnie przeszedł badania fazy trzeciej. Wkrótce będzie zatwierdzony w Europie. Tym razem musi się udać, bo w zeszłym miesiącu w Kopenhadze daliśmy dupy. Nie z mojej winy oczywiście. To przez tego idiotę, Parkera, któremu popieprzyły się strefy czasowe, albo włączył sobie drzemkę czy coś, i nie stawił się na spotkaniu, a to on oczywiście miał ze sobą wszystkie materiały. Stałam tam bez niczego i robiłam prezentację z pamięci. To chyba najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie.

William łaskawie pokiwał głową. Nie wiedział, czy jest uprzejmy, czy żaloszny. Tak czy inaczej, czuł, że będzie tego żałował.

– Wiesz, po prostu nienawidzę, kiedy ktoś marnuje mój czas.

Nie wiedział, czy ma to potraktować jako aluzję, czy ona jest po prostu na tyle tępa, że nie wie, jak to mogło zabrzmieć.

– Na szczęście udało się i mój szef był pod takim wrażeniem, że zabrał mnie prywatnym odrzutowcem do swojej willi w Panamie. Ma dom na szczycie należącej do niego góry, która kiedyś była wulkanem. Można się tam dostać tylko, no wiesz, helikopterem. I wszystko jest, kurczę, jakby ze szkła, więc siedzisz sobie jakby w kuchni, a z okna widzisz wieloryby pływające po oceanie, tryskające wodą trzydzieści metrów w górę. Z tych swoich nozdrzy, wiesz?

William bardzo się starał okazać, że jej zazdrości i jest pod wrażeniem, bo taki efekt miała chyba wywołać jej opowieść.

– *Atlantis ROSE* – śpiewała tę samą piosenkę. – *Drums wreathe...*

– Z tego, co mówisz, wszystko układa się świetnie – rzekł William.

– Jak najbardziej – odparła, znów tańcząc w miejscu w rytm kończącej się już piosenki.

– Czy ty i twój szef... jesteście ze sobą na poważnie?

Sung-Lee wybuchnęła śmiechem.

– Ja i on? Nie. On jest jakby żonaty czy coś. Nic nas nie łączy. Poza tym – i tu nachyliła się w jego stronę, jakby chciała mu zdradzić jakiś wielki sekret – ma obrzydliwe włosy na plecach. Kiedyś nawet musiałam mu powiedzieć, żeby nie zdejmował koszuli, czujesz?

Gdy ostatnim razem się umówili, była nieznośnie skromna. Teraz zachowywała się jak jej własna zła siostra, i wcale nie było lepiej. Tyle że teraz wydawała się o wiele bardziej szczęśliwa. Nie mógł oderwać wzroku od jej palców bawiących się brzegiem granatowej klapy płaszcza.

– Wydajesz się inna – przyznał w końcu. – To znaczy w pozytywnym sensie. Chodzi mi o to, że podziwiam ludzi, którzy potrafią tak szybko przyjąć

zupełnie inną postawę.

Sung-Lee ponownie się nachyliła.

– Wkręciłam się w *Entrance*. Słyszałeś o tym?

– Nie. To jakiś narkotyk?

Potrząsnęła przecząco głową i spojrzała w sufit, jakby szukała tam słów, które pomogą jej wyjaśnić, o co w tym chodzi.

– To jest... niesamowite. To jest totalne odrodzenie się struktury mózgu w trakcie hipnozy. Tylko że to nie jest hipnoza. To stan półświadomości wywołany przez rytmiczne ruchy i śpiew. Z początku przypomina to jogę, ale potem wchodzisz w stan pełnego transu. Stąd nazwa *En-Trance*. Rozumiesz? I kiedy już jesteś w tym transie, możesz się całkiem odblokować. Zaczynasz uświadamiać sobie, co tak naprawdę cię ogranicza. Czy jest to nienawiść, strach, nihilizm, a może gluten. Uświadamiasz sobie, czego naprawdę chcesz, i wreszcie zaczynasz się na to otwierać...

William nie dosłyszał końcówki tej diatryby, gdyż zagłuszyła ją zatrzymująca się na zewnątrz śmieciarka – huk, trzask, sygnał cofania, migające światła i mężczyźni w jaskrawożółtych kamizelkach zbierający czarne worki błyszczące w blasku latarni. Przeniósł wzrok z powrotem na Sung-Lee, nęcząco trzymającą między wargami ostatnią ze swoich wiśni. Czy to on był tym, na co ona chciała się otworzyć? A może był czymś, co ją ograniczało i blokowało? Jakimiś pętami – glutenem jej życia erotycznego. Patrzył na mężczyznę za oknem, który przerzucał worki ze śmieciami, jakby było w nich samo powietrze. Widział, jak Sung-Lee śledzi jego wzrok kierujący się ku drzwiom. Czego on chciał?

– Chodźmy na most – powiedział William.

Stali na skraju mostu skąpani złotym światłem, patrząc na statki kilkadziesiąt metrów pod nimi, jak sztylet przecinające ciemność. Jej włosy smagały go po twarzy, a jej ramię stykało się z jego barkiem, gdy podekscytowana

pokazywała mu dwa lecące blisko siebie helikoptery. Z pewnością nieprzypadkowo opierała się tyłkiem o jego udo. Gdy musnął jej plecy, jego dłonie zaczęły sobie przypominać, jakie jest w dotyku prawdziwe ludzkie ciało. Kiedy odwrócił się, by ją pocałować, nie zniknęła. W odpowiedzi jej usta otwały się szeroko, nieco łapczywie. Jego język powędrował za jej dzikie małe zęby. Jej klatka piersiowa uniosła się, a dłonie poczęły kluczyć nerwowo po jego grzbiecie. Otulił ich mocny wiatr wiejący w dół rzeki. Pachniała makami i earl greyem – czy właśnie ugryzła go w język? Tak. Poczł metaliczny smak w ustach. Jego ręce objęły jej talię i powędrowały w dół po spódnicy. Jej biodra zakołysały się lekko, jakby wciąż tańczyła do tej piosenki w barze. *O... oh... oh. Dreams weave the rose.* Jej policzki płonęły. Nagle przestał, niepewny siebie. Jej ciemne ciężkie rzęsy uniosły się, a schowane pod nimi jasnobrązowe źrenice, drgając, przyglądały mu się badawczo. Już prawie zapomniał, jak to jest naprawdę na kogoś patrzeć. Widzieć, że ten ktoś ci się przygląda. Przejechała palcem po jego nosie i linii warg. Starając się przekrzyczeć mijającą ich furgonetkę UPS, spytała:

– Gdzie, do cholery, nauczyłeś się tak całować?

William patrzył, jak kąciki jej ust unoszą się, sięgając policzków. Uśmiech jak doskonała parabola.

– Ona cię tego nauczyła? Ta dziewczyna, dla której mnie zostawiłeś? Ostatnim razem.

– Przepraszam. Wiem, powinienem był zadzwonić – odkrzyknął William.

Ona jednak przyciągnęła go do siebie i zaczęła jeszcze mocniej całować. Ruch na ulicy zamarł, gdy szeptała mu do ucha:

– Nie chowaj urazy. To lęk i nienawiść, Williamie. A poza tym nie chcę stawać na drodze prawdziwej, kurwa, miłości.

– Chodzi o to, że nie wiem, czy mógłbym...

Właśnie że by mógł. To była, tak, to była prawdziwa, kurwa, miłość.

Spojrzała mu w oczy.

– Wciąż jesteś w niej zakochany.

– Ona nie żyje – powiedział William. Zdawał sobie sprawę, że ona o tym wie; ich matki rozmawiały ze sobą.

– Jakby to miało jakieś znaczenie – rzekła. Ale potem poważnym tonem spytała go: – Całowałeś się z kimś, odkąd umarła?

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedział. Po czym dodał: – Nie.

To najwyraźniej była prawidłowa odpowiedź, bo Sung-Lee zaczęła całować jego szyję i znów poczuł na sobie jej dłonie. Odwrócił się i spojrzał na innych ludzi na kładce. Rodziny, pary. Twarze, talie, stopy. Włosy na ramionach. Żadna z tych osób nie była tą, której pragnął.

– Chodźmy do twojego mieszkania – zaproponowała.

– Nie mogę – rzekł.

– Dlaczego nie?

Zamilknął, zdecydowany nie przyznać się jej, że rok temu wprowadził się z powrotem do matki. Tak naprawdę był zdziwiony, że ona o tym nie wie, co oznaczało, że matka się tym nie chwaliła.

– Jest w trakcie dezynsekcji.

Znów go pocałowała, jakby ze złością.

– Więc chodźmy do mnie.

William wyszeptał „okej”, a ona przywarła do niego. Chwycił ją mocno, aż zbladły mu kłykcie. Nie wspomnieli już więcej o Irene ani gdy wracali na Manhattan, ani w taksówce, która wiozła ich na Upper East Side. Za to Sung-Lee opowiadała mu o swoich irytujących kolegach z pracy i o byłym chłopaku, Jeremym. William poczuł, że się poci. Zastanawiał się, dlaczego to robi. Czy dlatego, że się jej boi? Tak, ale było coś jeszcze. Im dłużej go dotykała i im dłużej on dotykał jej pleców, tym bardziej czuł coś innego. Kogoś innego.

Już w mieszkaniu Sung-Lee zdarła z Williama płaszcz, zanim jeszcze

zatrzasnęły się za nimi drzwi. Podobało mu się, jak chwyta jego obolałą szczękę. Jak kęsa go w ucho. Czuł mrowienie na języku, w miejscu, gdzie go ugryzła, jednak ból ten wraz ze znajomym pieczeniem nad okiem zlał się teraz z boleścią całego ciała. W pokoju panowała ciemność, a on nie widział jej dobrze. Widział jedynie jej cień i czuł dotyk jej ciepłej skóry na swoim ciele. Podciągnęła sukienkę, by ją zdjąć. Odsłoniła cynamonowe ciało i różowe majtki – żadnego biustonosza. Srebrne zęby rekina opadły między jej piersi. Zatopił w nich swą twarz i zaciągnął się. Maki i earl grey. Jej dłonie szarpały się z jego paskiem, a palce zaczepiały się o szlufki. Prowadziła go do pokoju, trzepiąc swymi czarnymi włosami jak opętana.

– Na kanapę – zażądała.

William z utęsknieniem spojrział na łóżko stojące po drugiej stronie pokoju, ale wydawało się poza zasięgiem. Niemal cisnęła nim o kanapę. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko czekać i robić to, co mu każe – głośno i wiele razy – rzucając przy tym „kurwami”, „cholerami” i tym podobnymi. Krzyczała zdecydowanie za głośno. Nie mógł być przecież tak dobry. Musiał jednak przyznać, że było niesamowicie. Mimo tego, że czuł się odrobinę wykorzystany. Mimo tego, że poczuł ulgę, że ma to już za sobą.

– Podobało mi się – powiedziała. Zastanawiał się, co takiego mogło jej się aż tak podobać.

Kilka godzin później obudził go hałas dobiegający z łazienki. Przez przymknięte powieki patrzył, jak Sung-Lee wychodzi z niej ubrana i po cichu opuszcza pokój. Szósta rano. Samolot do Stambułu. Klasa biznes. Bez przesiadek.

William nareszcie przeniósł się na łóżko i przytulił twarz do chłodnej poduszki. Już zasypiał, gdy na plecach poczuł ciepłą dłoń, a na szyi czubek nosa. Czyżby wróciła? Zmieniła zdanie? Postanowiła polecieć późniejszym



samolotem?

„Jak było?” – usłyszał szept. „Jak ci się podobało?”.

William poderwał się i chciał się odwrócić, ale tak jak kiedyś poczuł rękę na policzku, która próbowała go przed tym powstrzymać. Ogarnęło go poczucie winy i poczuł ścisk w żołądku. Czyżby wszystko widziała?

„Och, proszę cię. Nie bądź śmieszny. To tylko seks. Nawet gdybyś miał się zakochać w Sung-Lee i o mnie zapomnieć, powiedziałabym: Śmiało”.

William poczuł, że jego twarz robi się gorąca. Nie rozpłacze się przed nią, bez względu na to, czy tam naprawdę jest, czy nie.

Przez chwilę nic nie mówiła i pomyślał, że może sobie poszła.

„Muszę przyznać, że bardzo brakuje mi seksu”.

„Duchy nie mogą uprawiać seksu?”.

„Brak ciała, brak zakończeń nerwowych”.

„To niesprawiedliwe”.

„Nawet nie wiesz jak”.

William czuł, jak zdejmuje rękę z jego pleców, i już chciał ją chwycić, ale poczuł jedynie powietrze i dotyk swojej cieplej skóry.

„Znajdę cię”, obiecał. Gdy zasypiała, wydawało mu się, że słyszy jej głos: „Ja się przecież nie zgubiłam”.

## 9

Dom z numerem 12 przy Spruce Street był przedwojennym budynkiem z białej cegły. William odnalazł zakurzony domofon przy drzwiach i z wahaniem nacisnął guzik przy symbolu 4R. Wiedział, że to szalone, ale chciał spróbować. Jeśli nikogo nie było w domu, to trudno. Jednak ku jego zdziwieniu drzwi zatrzęsły się i otworzyły. Przeszedł ciemne lobby i wsiadł do trzeszczącej starej windy, która powoli zawiozła go na czwarte piętro. Tam wkrótce znalazł drzwi do mieszkania 4R, przed którymi leżała wycieraczka

z napisem „Welcome”. William zapukał i odczekał chwilę. Po jakimś czasie drzwi się otworzyły. Stała w nich starsza latynoska kobieta z głębokimi zmarszczkami wokół podkrążonych oczu. Przez krótką chwilę William wyobrażał sobie, że to babcia Fiona, choć wiedział przecież, że ona od dawna nie żyje. Z telewizora dobiegały go odgłosy strzelaniny i pokrzykiwań w języku arabskim, po których pojawiła się muzyka i komentarz prezentera wiadomości.

Zdjął kapelusz.

– Dzień dobry. Przepraszam, że panią nachodzę. Pani mnie nie zna, ale moja znajoma kiedyś tu mieszkała i zastanawiałem się, czy mógłbym na chwilę wejść?

Wiedział, że nie jest to dostateczny powód, by wpuścić do domu kompletnie obcą osobę w koszulce z niepokojącym logo francuskiej kapeli punkrockowej, ale ku jego zaskoczeniu kobieta bez słowa odsunęła się, robiąc mu miejsce, by wszedł.

– Mam na imię William. *Um... Mi nombre es William?*

Skinęła głową i z powrotem zasiadła na wielkiej białej kanapie przed telewizorem. Na podłodze leżały porozrzucone samochodziki, piłki i inne dziecięce zabawki. Na ścianie wisiały religijne obrazy, Madonna z Dzieciątkiem i kilka krucyfiksów. Wyglądało na to, że mieszkanie jest świeżo po remoncie. Panele były nowe i równiutko dopasowane. Ściany białe i nierówne, jak we wszystkich mieszkaniach w Nowym Jorku, gdzie każdy nowy najemca kładł nową warstwę farby. Gdyby tylko mógł ją zdrapać i zobaczyć, co kryje się pod spodem. Czy byłyby tam smugi i plamy po herbacie, odciski palców i pojedyncze kleksy farby olejnej pozostawione przez Irene? William poruszał się swobodnie po mieszkaniu, zastanawiając się, który z pokoi należał kiedyś do niej. Minał kredens służący za ołtarzyk. Stały na nim fotografie wnuków, w których intencji zapewne odmawiano

modlitwy, a przed nimi kompozycja świeczek i małych figurek. Miseczka na wodę święconą i mniejsze naczynie z jakąś ziarnistą substancją przypominającą sól. Ładny różaniec z koralików z czerwonego drewna leżał tuż obok niewielkiej kadzielnicy ze śladami popiołu.

William stał tam, myśląc o swojej matce, która już pewnie wróciła do domu i odkładała na miejsce swe narzędzia pracy: jabłka i ryżowe ciasteczka, pieniądze i maleńkie papierowe figurki. Żelazne łańcuchy i łódeczki, którymi machała w powietrzu. Bębny i kawałki papieru teraz pokryte literami i symbolami. Nauka i medycyna są dobre – mówiła mu matka, gdy dorastał – by leczyć choroby, składać kości, pielęgnować chorych, starszych i nowo narodzonych. Sprawdzają się w badaniach nad AIDS, które prowadził Charles, i przy rozpowszechnianiu leków i szczepionek, czym zajmowała się Sung-Lee. To wszystko było bardzo szlachetne. No i intratne, o czym nie należy zapominać.

*Mudang* jednak leczył co innego. Coś, do czego nie dało się dotrzeć za sprawą substancji chemicznych ani prześwietlić promieniami rentgenowskimi. Coś, co powodowało chorobę jeszcze przed wirusem, bakterią, a nawet DNA. *Uhwan*. Ona nazywała to nieszczęściem, a inni brali to po prostu za pech, choć konsekwencje *uhwan* były o wiele bardziej dotkliwe. Na początku zdarzało się kilka małych niepowodzeń, mieszczących się w granicach oczekiwań. Tu jakieś potknięcie, tam jakieś rozczarowanie, ale człowiek się nie poddaje. Złe rzeczy przecież czasem zdarzają się każdemu, prawda? Tylko że *uhwan* jak powierzchniowy prąd przeciwny spycha cię stopniowo w złym kierunku. Korygujesz ruchy, ale to nie pomaga. Miotasz się, ale to tylko pogarsza sprawę. Wszystko się sypie, a ty w pośpiechu próbujesz to posklejać, choć dobrze wiesz, że pęknięcia i tak pozostaną widoczne. Nic więcej nie możesz zrobić, bo już walą się inne, bardziej istotne rzeczy. Medycyna nie wyleczy problemu. Psychologia go nie rozwiąże. Pewnego dnia budzisz się

i odkrywasz, że tam, gdzie kiedyś jedna rzecz poszła nie tak, teraz są ich setki. O wiele więcej rzeczy idzie źle niż dobrze. Bo nieszczęście to plaga, która rodzi kolejne plagi. Coś, co zaczęło się od małego zachwiania, powoduje efekt domina, który burzy całe imperia.

Jaki łańcuch coraz to gorszych nieszczęść poprzedził wypadek Chongso? Co sprawiło, że tamtego ranka pani Kim postanowiła dać mu karę? Co kazało mu wymknąć się z domu po ten komiks? Co robił kierowca, zamiast patrzeć na drogę? Żadna katastrofa nie jest pojedynczym incydentem. To tsunami, które następuje po amplitudzie pływów. To stopień rdzenia reaktora jądrowego, gdy wszystkie zabezpieczenia zawiodły. Przed chemią, przed rakiem, przed mutacją komórek jest nieszczęście. *Uhwan*.

William sięgnął do kieszeni i spod skorowidza wyjął małą figurkę Aqualada. Przyjrzał się jej po raz ostatni. Lubił myśleć, że miała być częścią jakiegoś trzynastego dzieła, za które Irene nigdy się nie zabrała. Wyobrażał sobie, że miałyby coś wspólnego z jego osobą. Dopiero wtedy dotarło do niego, że te dzieła związane ze śmiercią, rozczarowaniem i przyjaciółmi miały też coś wspólnego z nim, z ostatnią miłością jej życia. Delikatnie postawił małego superbohatera na ołtarzu obok świeczek i zmówił cichą modlitwę w intencji Chongso Kima.

William chodził po mieszkaniu, jakby spodziewał się, że zaraz skądś wyskoczy jakiś pies albo mąż i go zabije. Wcześniej miał nadzieję, że gdy tam wejdzie, zastanie Irene siedzącą na kanapie obok babci Fiony, z książką na kolanach, z ramionami upačkanymi farbą, bawiącą się włosami. Że przytulą się do siebie, a ona będzie dotykać jego włosów. Że on nazwie ją Bezuszną i będą rozmawiać o tym, co zdarzyło się wczoraj i dzisiaj, słowem nie wspomniawszy o tym, co może przynieść nieproszone jutro. Gdyby było mu dane spędzić jeszcze jeden dzień jak ten ich pierwszy. Zanim lekarze powiedzieli jej, że umrze. Gdyby miał jeszcze jeden dzień, podczas którego

nic złego by się nie stało i mogliby razem marnować czas, bo przecież miało być go jeszcze tak wiele.

I wtedy przez okno pokoju pełnego starych pudeł ujrzał dokładnie ten sam widok, który namalowała z tyłu jego książki. Most Brookliński. Liny jak struny, naciągnięte ku zagiętej ramie wielkiej harfy, wibrujące od szeptu tajemnic tych, którzy go przemierzają. To przez to okno wyglądała każdego wieczoru przed zaśnięciem i każdego ranka tuż po przebudzeniu. Wyobrażał sobie, że słyszy głosy wędrujące po strunach i po stali, między samochodami i w dudnieniu rowerowych kół na drewnianej kładce. Widział, jak jezdnia unosi się i opada niczym fala na morzu.

Trwało chwilę, zanim przypomniał sobie, że tego dnia niczego nie palił. To nie było to. Te wszystkie dźwięki, odgłosy kół i stóp, poczęły łączyć się w estetyczną całość. Proszą, doskonałą nutę, która rezonowała z mostem i burzącą się pod nim rzeką. Wybrzmiewała w krzykach kapitanów drewnianych statków ruszających w morze z portu South Street, ku siedmiu oceanom, w podróż we śnie. William patrzył z podziwem, jak nuty poruszały się sinusoidalnie po pięciolinii, w oktawie, przez którą cegły jedna po drugiej odłączały się od wież, tworzących podpory po obu brzegach rzeki.

W stronę błękitnego nieba jak stado mew leciały samochody i ludzie, w górę, coraz wyżej, nigdy w dół. Ku białym puszystym chmurom. Światło odbijało się od ich zegarków, kołpaków i kierownic. Były jak płetwy wynurzające się z oceanu nieba. Cegła po cegle, most unosił się w górę, ciągnąc za sobą rzekę, kropla za kroplą. Atlantyda wznosiła się. Łąd przyszłych i minionych lat. Był sobie kontynent, który zatonął. „Żegnajcie!” – zawołał do znikających ludzi. Były ich tryliony, gdy most wtapiał się w niebo.

## Ślub Sary Sherman i George'a Murphy'ego

Sara Sherman biegała między pokojami apartamentu panny młodej, unosząc sukienkę, by nie zamiatać nią dywanów hotelu Waldorf. Sukienka wciąż była trzy milimetry za długa, mimo że wspominała o tym dwukrotnie stylistce w salonie podczas przymiarki, na sześć i cztery tygodnie przed ślubem. I teraz koronka wokół rąbka sukienki była już jasnoszara od biegania od drzwi – gdzie właśnie otrzymała wieści od Zacharie, koordynatorki imprez hotelowych, o tym, jak wygląda sytuacja z krzesłami – do sypialni, gdzie jej siostry Adeline i Eddy, skupione na matce George'a, postanowiły rozpiąć jej włosy, nad którymi stylistka, Erikah, spędziła dwie godziny, upinając kok.

Gdy tylko się z tym uporała, pojawił się kolejny problem, gdyż jej własna matka wyskubywała „nadmiar” gipsówki z bukietów. Sara kazała jej pójść sprawdzić, czy ułamany obcas babci George'a trzyma się mocno po dawce kleju Krazy Glue. I czy ktoś może namierzyć współrzedne Clarence'a, starszego brata George'a? Który pomimo wyraźnego zakazu opuszczania Midtown wymknął się dziś rano, by pozwiedzać muzeum Cloisters przy parku Fort Tryon, i utknął w taksówce na West Side Highway za jakimś gubernatorskim konwojem? Jeśli o nią chodzi, Clarence mógł sobie gnić na asfalcie z widokiem na Boat Basin. Tylko że ten, nomen omen, członek Mensy wspaniałomyślnie postanowił zabrać ze sobą ich dwie obrączki weselne.

Przerwała jej Beth, mała siostrzenica George'a, siedmioletnia córka jego

młodsze­go brata Franklina (któ­ry w wie­ku szesnastu lat uległ roztargnie­niu na jakiejś imprezie po balu maturalnym). Sara uwielbiała małą Beth, gdyż była drugą odpowiedzialną osobą w całym ślubnym apartamencie. Dziewczynka była gotowa już od dwóch godzin – wystrojona w uroczą sukienkę, z ładnie uczesany­mi włosami i w bucikach. Teraz, trzymając w ręku telefon Sary, spokojnie powiedziała: „Dzwoni”. Do obowiązków Beth należało odbieranie telefonów i przejście poziomu dwudziestego w *Plants vs Zombies*.

Sara spoj­rzała na telefon: dzwonił pastor Thaw, który rano zostawił już dwie wiadomości. Byli już przecież po obowiązkowych naukach przedślubnych, podczas których mieli sporo czasu na szczegółowe omówienie dogmatu Kościoła episkopalnego i tego, czym on się różni od katolicyzmu George’a. Omówili też kwestię potomstwa. Teraz chciał zmienić kolejność czytań, choć program nabożeństwa został już wydrukowany i odbyła się próba generalna. „Trzymaj się wyznaczonego kursu!” – miała ochotę wykrzy­czeć w jego małe śmieszne uszka. „Już za chwilę będzie po wszystkim!”. Zamiast tego odrzuciła połączenie, oddała komórkę Beth i rzuciła w kierunku pokoju:

– Czy ktoś ma kredę?

I znowu tylko Beth wiedziała, gdzie jest pudełko z kredkami, i zaczęła pobielać szary brzeg sukni ślubnej.

– Dziękuję ci kochanie. Wiesz może, gdzie się podziała Adeline?

Beth nie wiedziała. Nikt z obecnych tam osób nie wiedział. Doskonale. Nie dość, że ich matka niejako wymusiła na Sarze, by wybrała swą drażliwą starszą siostrę na dru­hnę, i nie dość, że potem Adeline urządziła wyjątkowo nudny wieczór panieński (owocowe koktajle i pierzaste boa), to teraz jeszcze zostawiła Sarę z tym wszystkim samą. Nie tylko Adeline była nieszczęśliwa, że opuszcza swoje bezpieczne gniazdko w Gloucester na jeden weekend – ich młodsza siostra Eddy (zdrobnienie od Edwiny) też nie okazywała zadowolenia, że musi porzucić swoją pustelnię. Eddy przyjechała

z nieproszonym gościem, który zwał się George-Harrison Zimmerman (nosił notarialnie potwierdzone imię George-Harrison), miał dłuższe i bardziej lśniące włosy niż Sara kiedykolwiek i wziął ze sobą gitarę, „tak na wszelki wypadek”.

Sara nie mogła się pozbyć myśli, że to wszystko byłoby prostsze, gdyby miała przy sobie Irene. Tylko jej ufała w kwestii biżuterii, dekoracji czy zaproszeń. Na każdym etapie planowania chciała zadzwonić do Irene, by poradzić się jej w kwestii szpilek w kolorze szampana czy papeterii i kaligrafii. Oczywiście miała na podorędziu dwie siostry, tylko że one dwie nawet razem nie były w stanie zastąpić jej nieobecnej przyjaciółki.

– Mam nadzieję, że nie zakładasz pereł babci. – Takie było wsparcie ze strony Adeline, podczas gdy Eddy przypomniła Sarze, że tuńczyk, który widnieje w menu, to gatunek nadmiernie eksploatowany. W trakcie przygotowań do ślubu Sara cały czas mówiła do siebie i po części do nieobecnej Irene. A teraz, gdy wszystko było już gotowe i wreszcie nadszedł ten dzień, wydawało jej się wręcz niewiarygodne, że Irene tu nie ma i nie może być jego świadkiem.

Estetyka Irene miała decydujący wpływ na oprawę całego wydarzenia. Przeglądając jej rzeczy, Sara znalazła kilka starych przewodników, które kupiły jeszcze w college’u, gdy po raz pierwszy planowały wycieczkę na Lazurowe Wybrzeże. Bum – już miała wybrane kolory: turkusowe wody St. Tropez i różowe dachy Monako. Bam – już miała czcionkę: starodawny druk z menu hotelu Negresco.

Sara nie mogła uwierzyć, że już za dwadzieścia cztery godziny będą tam z George’em naprawdę: czytając książki pod biało-niebieskimi parasolami w Cannes, wspinając się po kręconych schodach eleganckich bajecznych zamków w Antibes, grając w kasynie w Monte Carlo. Cała rodzina Shermanów złożyła się, żeby mogli tam polecieć pierwszą klasą. Sara starała



się o tym nie zapominać i pozwolić, by uczucie wdzięczności zrównoważyło jej tęsknotę za Irene. Zaplanowała już każdy szczegół tej podróży, począwszy od tego, co zje na obiad w Le Chantecler w Nicei, przez to, gdzie wypożyczy parasol w Théoule-sur-Mer, aż po zapoznanie się z zasadami bakarata, w którego zagrają w Monte Carlo. A na samym szczycie góry, w skąpanym słońcem miejscu zwanym Point Sublime, wraz z George'em rozrzucą prochy Irene, tak jak o to prosiła. Wreszcie to zrobią. Sara nie mogła przestać o tym marzyć.

Adeline zawołała z pokoju obok:

- Fotograf mówi, że czeka na ciebie!
- Czy George już tam jest? – zawołała Sara.
- Nie wiem, nie mówił!
- Czy ktoś ma z nim kontakt?

Cisza.

Sara zagarnęła suknię i wolnym krokiem udała się w kierunku drzwi. Jej siostry, matka i przyszła teściowa podbiegły, zegnając ją entuzjastycznie i mówiąc jej, że wygląda pięknie i że jest szczęściarą. Sara upewniła się, że Beth ma teczkę z kontraktem małżeńskim, i ruszyła w kierunku windy towarowej (tylko nią można było dostać się na dach). Była pewna, że siostry już wyjmują wsuwki z włosów pani Murphy, a matka znowu poprawia bukiety. Odwróciła się w stronę tłoczących się przy drzwiach drухen w sukienkach z turkusowej satyny.

– Reszta na górę za dziesięć minut. Mamy, ciotki, kuzynostwo, siostry i bracia. Z obu rodzin. Bukiety i kwiaty do butonierki. Buty na nogach. – Ta ostatnia uwaga skierowana była do Eddy, której chyba wydawało się, że noszenie czółenek uwłacza jej jako kobiecie.

– Tak jest, szefowo! – zaszalutowała Eddy. – No dalej, zmykaj już!

Sara po raz ostatni rzuciła okiem na fryzurę i makijaż w odbiciu

zamkniętych stalowych drzwi windy. Kim była ta dziewczyna z ustami pomalowanymi w łuk Kupidyna i brwiami jak Clara Bow? To nie tak miało wyglądać. Dlaczego dała się tak umalować? Drzwi do windy otworzyły się. Wewnątrz, za wózkiem pełnym czystych ręczników i środków czyszczących, kryła się niskiego wzrostu Latynoska. Małe radyjko nadawało z jakiejś niewielkiej hiszpańskiej stacji radiowej. *¿Dónde está, oh muerte, tu aguijón? ¿Dónde, oh sepulcro, tu victoria?*

– Och! – wykrzyknęła pokojówka, przykładając dłonie do ust w uniwersalnym języku wyrażającym zachwyt nad panną młodą. – *¡Eres tan bella!*

– *Gracias* – odpowiedziała Sara.

Już za godzinę Sara i George będą stali przed pastorem, trzymając się za ręce i słuchając, jak czyta im fragment Pierwszego Listu do Koryntian. „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest”. A ona za każdym razem skinie głową, gdy pastor Thaw będzie wymieniał z listy to, jaka MIŁOŚĆ BYĆ NIE POWINNA. Przeczyta, że miłość: nie zazdrości, nie szuka pokłasku, nie unosi się pychą. A ona będzie tam stała w najpiękniejszej sukni, jaką kiedykolwiek miała, wydawszy na ten dzień ogromne sumy pieniędzy. Kolejne słowa listu praktycznie opiszają, jak Sara czuła się przez ostatni rok. Miłość: nie jest bezwstydną, nie szuka swego, nie unosi się gniewem. Odhaczone. Miłość nie pamięta złego? Sara wszystko doskonale pamiętała. Kto nie przysłał prezentu, kto nieproszony przyszedł z osobą towarzyszącą, kto nalegał, by najpierw wzięli ślub w kościele, i która kuzynka nie przyjechała, choć mieszka niespełna trzy godziny drogi stąd, której ciotce nie wolno płać więcej niż dwa kieliszki... „Miłość nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje” <sup>12</sup>.

Kawałek w radiu się skończył i pojawiła się reklama. Sara rozpoznała ją

po pierwszych ponurych dźwiękach fortepianu. W zeszłym tygodniu słyszała ją wszędzie: w taksówkach, w gabinecie dentystycznym i w siłowni. Teraz znała ją już na pamięć. „W Szpitalu Onkologicznym Mount Sinai pacjent jest dla nas pępkiem świata. Jak Sue, która myślała, że to koniec, gdy miała nawrót raka wątroby. »Gdy trafiłam do Mount Sinai, od razu zaopiekował się mną zespół specjalistów zajmujących się tą konkretną odmianą nowotworu. Zastosowali najnowsze metody, włącznie ze spersonalizowaną terapią«. Dzięki specjalistom takim jak doktor Atoosa Zarrani Sue udało się pokonać raka. »Naszą misją jest pomaganie pacjentom takim jak Sue. Wraz z zespołem ciężko pracowaliśmy i razem... udało nam się ją wyleczyć«”.

„Cóż, Sue miała kurewskie szczęście”. Sara miała ochotę wyrwać z tego głównianego radia antenę i przekłuć nią głośniki. Nagle na swych rękach poczuła dotyk dłoni pokojówki.

– Nie płakać – powiedziała. – Wyglądasz pięknie! Szczęśliwego dnia.

Sara chrząknęła, gdy winda wreszcie zatrzymała się na dwudziestym piętrze. Pokojówka wypchnęła wózek na zewnątrz. Uśmiechając się i robiąc na piersi znak krzyża, życzyła jej po hiszpańsku wszystkiego najlepszego. Drzwi zamknęły się i Sara pojechała sama jeszcze kilka pięter w górę. Przeglądając się w gablotce z telefonem bezpieczeństwa, próbowała zetrzeć rozmazany tusz wokół oczu. Poczuła, jak stopniowo winda zwalnia, i spojrzała w górę, oczekując radosnego dźwięku dzwonka. Drzwi jeszcze przez chwilę pozostały zamknięte. Wstrzymała oddech. To zabawne, że po niemal dziesięciu latach związku jeden dzień rozstania z George'em sprawił, że była tak podekscytowana spotkaniem z nim jak wtedy, gdy na studiach czekała na niego, aż przyjdzie po nią i pierwszy raz zabierze ją do kina. Wreszcie drzwi otworzyły się na dachu hotelu Waldorf Astoria. Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się i spojrzawszy na błękitne bezchmurne niebo i dachy budynków centrum Manhattanu, rozejrzała się za George'em.

George wyobrażał sobie, że widzi, jak wirująca kula gazu o średnicy pięćdziesięciu miliardów kilometrów zaczyna zapadać się pod swoim ogromnym ciężarem. Choć wiruje już od ponad stu tysięcy lat, dziś nadszedł jej koniec. Fala uderzeniowa pustoszy zmrożony dysk, którego temperatura wynosi dziesięć stopni powyżej absolutnego zera. Patrzył, jak wypływają z niego mikrofały i wielkie strumienie plazmy – wiatr gwiazdowy oddziałuje jednocześnie we wszystkich kierunkach. Dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent tych promieni powędruje dalej w kosmos, nie przecinając się z żadną inną cząsteczką, nie odbijając żadnych innych planet, asteroid ani jakiegokolwiek innej materii, aż w końcu pochłonie je czarna dziura lub inne pola grawitacyjne. Gwałtowne fale przechodzą po obwodzie tej kuli z prędkością większą od dźwięku, gdy ta zwęża się jak wielka źrenica kosmosu. Lata mijają w parę chwil, jądro, kurcząc się, staje się coraz to gorętsze i jaśniejsze. Z coraz większą prędkością potężna orbita cząsteczek gazu, dziesięć razy większa od naszego Układu Słonecznego, zapada się stopniowo w siebie – aż nagle w jednym momencie wszystko ucicha, uspokaja się. Wszystko w kosmosie nieruchomieje wokół tej nowo powstałej, wspaniałej gwiazdy. I wtedy George obudził się sam na obcej kanapie, nie bardzo świadomy faktu, że jest zupełnie nagi.

Pióra różnych barw fruwały w powietrzu. Różowe, fioletowe i jaskrawozielone tańczyły leniwe *pas de trois* wokół szklanek z martini stojących na stoliku, lepkich od resztek zeschniętego już od poprzedniego dnia jabłkowego likieru. Telewizor grał, ale z wyciszonym dźwiękiem. George obejmował ramionami szarą lampę, która chyba stała wcześniej na stoliku obok. Słyszał już o przypadkach, gdy ktoś budził się z kloszem na głowie, ale żeby tulić do siebie całą lampę? Powoli uświadamiał sobie, że jest w hotelowym pokoju, w którym Sara i jej siostry zorganizowały wieczór paniński. Po dniu spędzonym w spa wróciły tutaj, włożyły obcisłe sukienki

i boa z piór i zaczęły wędrówkę po knajpach. Chłopcy urządzili sobie wieczór kawalerski tego samego dnia w Atlantic City i tak długo stamtąd wracali, że trafili wprost na próbę generalną i nawet nie zajrzeli do pokoju, którego, jak widać, nie posprzątano.

George odstawił lampę na podłogę i rozejrzał się po pokoju na tyle, ile umiał bez poruszania głową. Jego braci, Clarence'a i Franklina, nie było widać – pewnie spali na łóżku w pokoju obok. Chłopak siostry Sary, George-Harrison, autor pomysłu, by po próbnej kolacji wyskoczyć na kilka głębszych, miał pokój po drugiej stronie korytarza.

Pozostał więc tylko Jacob. Czyżby pojechał do domu? A może jednak gdzieś tu był? George wciąż nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Jacob tylko udawał, że nic się nie stało. Choć może naprawdę tak było. Podobno rozpoczął nowy rozdział życia – a nawet kilka rozdziałów. We wtorki i czwartki chodził na zajęcia w ramach kursu wieczorowego w Pratt, żeby zrobić magistra z arteterapii. Sara twierdziła, że znowu zaczął pisać; zadreczęła go, by przeczytał coś podczas uroczystości, ale on upierał się, że nic nowego nie ma.

Biorąc głęboki oddech, George poderwał się z kanapy – miał wrażenie, że zerwał z siebie wielki plaster. I tak jak po oderwaniu plastra, od razu poczuł palący ból. Za oczami, w uszach i w mózgu. Cały pokój począł pulsować i rozmywać mu się przed oczami. Wszystko w nim mówiło mu, by znów się położyć – ale nie, nie mógł tego zrobić. Musiał wstać. To był dzień jego ślubu. Wreszcie wszystko się zmieni. Sara wyluzuje z tym swoim treningiem interwałowym. On będzie mógł skupić całą swoją energię na przyszłości – na ich prawdziwej przyszłości – i sprawić, by poranki takie jak ten (czy to był poranek?) przeszły do historii. Jutro wyruszą w podróż poślubną, a minione dni, podobne do wczoraj, odejdą w zapomnienie.

Wczoraj. Cóż to był za piekielny powrót. Spocony, po trzech godzinach stania w korku na Garden State Parkway, pachnący jeszcze dziecięcym

podrem, którego striptizerki (najwidoczniej) używają, by uniknąć pocenia się podczas tańca na rurze, z brokatem, którym obsypany był sutek kobiety o imieniu Roxxy, a który jakimś cudem (on wiedział jak) znalazł się w jego lewym nozdrzu. Mężczyzna to naprawdę paskudne zwierzę. Nigdy nie czuł się bardziej obrzydliwie niż w tamto popołudnie, gdy przebrawszy się w samochodzie na oczach George'a-Harrisona, poszedł prosto do luksusowej restauracji, by zjeść kolację z rodzicami, którzy za pikantny wieczór uznają obejrzenie filmu z Robertem Redfordem w telewizji kablowej. Usiadł przy stole ze swoimi przyszłymi teściami i kobietą, którą kochał, i musiał spojrzeć jej prosto w te piękne ciemne oczy, gdy z tak dobrze znanym mu uśmiechem spytała go, co dokładnie porabiał. Kochana, nawet przez chwilę nie wątpiła, że ta rozpusta nic dla niego nie znaczyła. Wiedziała, że cokolwiek się zdarzyło, nie zmąci tego, co między nimi jest.

Patrzył, jak fioletowe piórko wędruje pod sufitem i złapane w dolny prąd powietrza z balkonu sunie po zaciągniętej zasłonie na podłogę. Wziął głęboki oddech i spróbował zrobić kilka kroków. Jakimś cudem się nie przewrócił. Wreszcie dostrzegł zegar wiszący w kuchence i dotarło do niego, że ma niecałe czterdzieści minut, by doprowadzić się do porządku i pójść na dach, gdzie miała się odbyć sesja zdjęciowa. Skrzywił się. Nie miał zbyt wiele czasu. Musi tylko działać małymi krokami. Wypije trochę imbirowego napoju z minibaru. Może zje jakiegoś krakersa, jeśli w ogóle uda mu się coś przełknąć. Zażyje kilka tabletek aspiryny i weźmie prysznic.

Gdy tak wyznaczał sobie te zadania, poczuł, że jest mu niedobrze i wszystko go boli. Oczywiście, że przyzwyczyił się już do tego, że miewa kaca, ale ostatnio bywało jakoś inaczej. Teraz kac rozpoczynał się już podczas zabawy. Kiedyś było tak, że dopiero z nadejściem ranka zaczynał żałować tego, co się stało. Jednak stopniowo różnica między „podczas” a „po” się zacierała. Teraz zaczynał żałować tego, co się zdarzyło, w momencie gdy to

się działo albo nawet wcześniej – wiedząc zarazem, że to i tak się wydarzy, bo nie ma wystarczająco silnej woli, by się przed tym powstrzymać.

George szukał pilota od telewizora, ale nie mógł go znaleźć, więc ostatecznie podszedł do telewizora i wyłączył go ręcznie. Nie zdziwiło go, że właśnie to postanowił oglądać w środku nocy, pijany i z gołym tyłkiem, tuląc do siebie lampę. Zostawił włączony kanał Televisión Española, na którym codziennie, od pierwszej w nocy, powtarzano trzy odcinki ;*Vámonos, Muchachos!* To dziewczyny odkryły ten serial wiele lat temu, choć wtedy naprawdę nie rozumiał, co im się w nim tak podobało. Był to kręcony kilkoma kamerami sitcom o grupie sześciorga dwudziestokilkuletnich przyjaciół ze stolicy Meksyku. Nikt z jego znajomych nigdy o nim nie słyszał. Nawet nie pokazywali go w wersji HD, co tylko utwierdziło George'a w przekonaniu, że oglądając go, cofa się w czasie. Do złudzenia przypominał seriale z lat dziewięćdziesiątych, klasyczne sitcomy z telewizji NBC. Większość jego bohaterów chyba nie pracowała, gdyż cały czas przesiadywała w przestronnej kawiarni Torrefacto, z nowoczesnymi różowo-niebieskimi kanapami i wzorzystymi pomarańczowymi ścianami.

Grupę *muchachos* tworzyli Santiago, zdziwaczały chirurg ortopeda, który miał problemy w kontaktach z kobietami, choć od urodzenia był romantykiem; jego przystojny współlokator, Tomás, który pracował w kawiarni Torrefacto (choć rzadko było widać, że rzeczywiście wypełnia swoje obowiązki); piękna Constanza, trudna w pożyciu pogodynka w burzliwym związku z Tomásem; Isidora, absolwentka architektury, która mieszkała razem z Constanzą na poddaszu, niezwykle czarująca, a zarazem pokręcona dziewczyna, wiecznie niezorganizowana i przytłoczona życiem; jej brat Aarón, gitarzysta grający w marnym zespole o nazwie La Palabra, w którego karierze wkrótce miał nastąpić przełom, ale jakoś nigdy nie następował; oraz Renata, zdecydowanie najbardziej odjechana ze wszystkich bohaterów, logopeda, sporadycznie

prowadząca własną praktykę, a przy tym tak infantylna, że George zastanawiał się, jak udaje jej się utrzymać w zawodzie. Między nią a Santiago istniało to napięcie w stylu „będą razem czy nie będą”, które raczej nie miało seksualnego podtekstu. Żarty były bardzo słabe i niewyszukane: gagi z gadającymi papugami, zagubione torebki i pozamieniane walizki, zatkałe zlewy i listy dostarczane pod zły adres. Ktoś wiecznie zatrząskiwał drzwi do mieszkania, stojąc nago na korytarzu. Zawsze w niewłaściwym momencie kończyły im się darmowe minuty w telefonie. Było tego chyba z kilkaset odcinków i jak przeczytał George w internecie, wciąż kręcono dalsze, które pojawiały się w Stanach rok po emisji w Meksyku.

George po raz pierwszy natknął się na ten serial, gdy czyścił dysk dekodera. Sara wrzuciła go na listę nagrywania i przez pierwsze pół roku zgromadziło się tam pięćdziesiąt godzin odcinków. Nie potrafiła zmusić się do ich obejrzenia i kazała mu je usunąć, ale George jakoś nie potrafił. Zaczął je oglądać sam, późną nocą. Spał chyba po trzy godziny na dobę. Dziwił się, że jeszcze żyje przy tak małej ilości snu, ale udawało mu się jakoś przetrwać dzień, po którym wyczerpany i z zapuchniętymi oczami kładł się do łóżka tylko po to, by przekonać się, że nie potrafi zasnąć. Leżał w ciemności, aż Sara zapadła w głęboki sen, po czym wstawał, zmywał naczynia, przyrządzał sobie Old Fashioned, układał książki i płyty, podlewał kwiatki i oglądał jeden odcinek ;*Vámonos, Muchachos!*, popijając przy tym drugiego drinka.

Próbując uspokoić swój żołądek, George zjadł kilka czerstwych krakersów znalezionych w hotelowej lodówce. Na blacie dzwonił telefon. Jakimś cudem po pijaku zdołał go podłączyć do ładowarki. Na ekranie pojawiła się twarz Allena, a George odrzucił połączenie. Nie wiedział, dlaczego Sara tak się uparła, by go zaprosić. I to nie tylko na ślub. Kazała Robowi zabrać go też na wieczór kawalerski! To właśnie tej nocy, gdy George po pijaku zrobił wszystko to, co można było uznać za wzmacnianie więzi – zagrali razem



w blackjacka, wstąpili do sklepu z alkoholem i kupili tyle piwa, że można było w tym utopić stado wołów – Allen spytał go prosto z mostu, czy kiedykolwiek był z inną kobietą niż Sara. (Gdzie się podziewał Jacob, gdy należało rozładować sytuację?). George był zbyt odurzony tanim piwem i pulsującym dźwiękiem syntezatorów, by kłamać. Wiedząc, że jego twarz mówi wszystko, pokręcił przecząco głową.

– Jesteś jak pięćdziesięciolatek, stary! – krzyknął Allen. – Cholera, jesteś, kurwa, jak moi dziadkowie.

I pewnie, kurwa, jak jego własni dziadkowie. Albo nawet jak jego rodzice, którzy od dwudziestu lat mieli oddzielne sypialnie.

Allen nie miał zamiaru zarzucać tematu.

– A co, jeśli tam na dole kryje się coś niesamowitego, a ty nawet o tym nie wiesz, bo żadnej innej nigdy nie widziałeś?

George skrzywił się.

– Miałem na studiach biologię, Allen. Mam też dostęp do internetu. – Po czym wskazał gestem na scenę, na której akurat tańczyła jakaś tancerka, zgodnie z reklamą lokalu, bez majtek. – Wiem, jak wygląda... wiem, jak to wygląda.

Złapawszy się przez chwilę za głowę, Allen objął George'a ramieniem.

– To szaleństwo. To znaczy ja bym tak nie umiał, po prostu nie mógłbym i koniec. To jest wbrew idei ewolucji!

– Teraz bawisz się w biologa?

– Słuchaj. Osobnik męski jest z natury poligamiczny, a żeński skłania się raczej ku rodzeniu dzieci i opiece nad nimi... – Dalej George już nie słuchał, częściowo dlatego, że słowa zagłuszał mu dźwięk basów dochodzący ze sceny, a częściowo dlatego, że już wcześniej słyszał ten wywód. Allen chętnie dzielił się opowieściami o swoich podbojach, gdy do późna siedzieli w pracy, poprawiając wnioski o stypendium, bądź ślęczeli w laboratorium nad

tysiącami danych. Czasem nawet zwierzał się mu w środku dnia na korytarzach instytutu. Był miłośnikiem nowych portali randkowych, takich jak Match.com, OKCupid, Chemistry.com czy ScienceConnect. Miał nawet aplikację w telefonie, dzięki której mógł przewinąć listę profili i zobaczyć, która z dostępnych kobiet jest akurat w pobliżu, a potem jednym kliknięciem dać jej znać, że go zainteresowała, jakby siedział przy jakimś seksbufecie. Sara mówiła, że nie pojmuje, co, do licha, te wszystkie kobiety w nim widzą, ale sądząc po tych jego sprośnych historyjkach, Allen pieprzył się na prawo i lewo. George nagle zapragnął dowiedzieć się, jak to jest:

– Sypianie z tymi wszystkimi ludźmi jest naprawdę takie fajne?

Allen zawahał się przez chwilę, jakby nie zrozumiał pytania. Potem, pełen niedowierzania, rzekł:

– Co za pytanie! Facet, to jest czadowe. George... zasmucasz mnie. Przepraszam, to twój wieczór i ciesz się, że ty i Sara i w ogóle, ale...

George przestał go słuchać. Wskoczenie do łóżka z dopiero co poznaną kobietą teoretycznie pewnie mogło być przyjemne, ale w praktyce wydawało się czymś okropnym. Nie chodziło mu wcale o obnażenie się w towarzystwie nieznaej osoby, nie o to, że nasza anatomia i wydajność mogą być oceniane przez kogoś, kogo standardów nie znamy, ani nawet o to, że nie wiadomo, co potem zrobić ze zużytą prezerwatywą. Miał na myśli głównie to, że jest się tak blisko z osobą, o której nie wiemy tylu istotnych rzeczy. Nie wiemy, jak ma na drugie imię, jak nazywa się najlepsza koleżanka ze szkolnych lat, w jakim hrabstwie się urodziła, ile ma rodzeństwa. Jaki jest jej stosunek do Elvisa. Czy woli brownie z orzechami czy bez. Czy umie jeździć na rowerze. Na co jest uczulona. Gdzie pochowała swoje zwierzaki w dzieciństwie. Jaka była najbardziej żenująca sytuacja w jej dorosłym życiu. Ile mniej więcej par butów posiada. Czy używa soczewek kontaktowych. Jaka piosenka ma wybrzmieć na jej pogrzebie.

George przypuszczał, że od zawsze był monogamistą. Nawet w przedszkolu miał w związku z tym problemy. Matka została wezwana przez panią Remington, gdyż młody George po kolei pytał każdą z dziewczynek w grupie, czy się z nim ożeni, wręczając im przy huśtawkach pierścionek zrobiony ze słomki do napojów. A teraz, już jako dorosły mężczyzna, gdy widział w nocnym pociągu jakąś piękną nieznajomą, nie wyobrażał sobie, że wskakuje z nią do pustej kabiny konduktora na jedenaście minut anonimowej rozkoszy. Wyobrażał sobie za to, że zaczyna jakąś drętwą rozmowę: ona by coś upuściła, on potknąłby się o czyjś parasol i rozmawialiby sobie miło przez kilka przystanków o czymś, co akurat jest w wiadomościach. Odkryliby, że mają jakieś wspólne zamiłowania – oboje uwielbiają crème brûlée ze świeżymi owocami leśnymi serwowany w Finale albo to, że w Gardner Museum wciąż są te puste miejsca po obrazach skradzionych w latach dziewięćdziesiątych, albo że podoba im się to sześciopiętrowe oceanarium w Nowej Anglii. I tu fantazje zaczynają przyspieszać. Mija kilka tygodni lub miesięcy i pewnego deszczowego popołudnia George przypadkowo dociera sam pod Finale albo w pobliże muzeum, albo oceanarium. I ona tam jest. Mijają się. Rozpoznają. Wybuchają śmiechem i zaczynają zachowywać się jak starzy przyjaciele. Idą razem na kawę. Ale to nie była ta najbardziej wymyślna część fantazji. Ależ skąd.

Najbardziej niesamowite było to, że w jego wyobraźni, gdzieś podczas tych tygodni i miesięcy przerwy między oboma spotkaniami, coś przydarzało się Sarze. Zostawiłaby go albo uległa jakiemuś poważnemu wypadkowi. Nic konkretnego, tylko tyle, że jej już nie ma, a on jest tym przygnębiony. Wstrętne – ale to był jedyny sposób na to, by móc z czystym sumieniem dalej fantazjować. Nawet w najśmielszych marzeniach nie dopuszczał do siebie myśli o zdradzie.

Wchodząc pod prysznic, George próbował o tym wszystkim zapomnieć.

Zostało piętnaście minut. Gorąca woda. Szampon. Odżywka. Nie mógł znaleźć szczoteczki, więc opuszkami palców zaczął pocierać zęby. Wiedział, że Sara kazałaby mu zwymiotować. Rozważał nawet, czy nie włożyć sobie głębiej palca i nie zobaczyć, co się stanie, ale samo myślenie o tym było gorsze niż to, że jego żołądek pozostanie wypełniony tequilą, na którą poszli po próbnej kolacji. Gdyby Sara tu była, zrobiłby to. By udowodnić jej, że mimo błędnych decyzji podjętych poprzedniego wieczoru rano był na sto procent zdecydowany wrócić na właściwy tor.

Bez niej jednak nie mógł się na to zdobyć. Było tyle rzeczy, których nie potrafił zrobić bez niej. Nachylił się pod strumień wody, modląc się, by już nigdy nie musiał borykać się z taką sytuacją. Umierający, dziękował Panu, że za kilka godzin poślubi Sarę. Przez mgłę w łazience ujrzał zegar. Zostało dziesięć minut. Zamknął oczy i pozwalając, by gorąca woda spływała po nim, przywołał w myślach obraz jej ciała – byli tak pochłonięci przygotowaniami do ślubu, że minęło kilka tygodni, odkąd ostatni raz ze sobą spali. Ćwiczyła tak intensywnie, by wcisnąć się w suknię ślubną, że niemal przestał ją poznawać.

Trzeba przyznać, że w tej dziedzinie przez ostatnie dwa lata sprawy znacznie zwolniły tempo. Co było jego winą, a nie jej. Nie tylko nie potrafił się zrelaksować, pijąc drinka, idąc na spacer albo wychodząc wieczorem na miasto. Nie potrafił się odprężyć, nawet gdy znajdował się w pokoju sam na sam z Sarą. Czy byli w ubraniu, czy bez, nie miało żadnego znaczenia. Kiedy jedli kolację lub oglądali coś w telewizji, wiedział, że ciągle odpływa gdzieś myślami. Kiedyś było odwrotnie – za każdym razem, gdy się rozstawali, myślał tylko o niej. Oczywiście miał świadomość, że w każdym związku z czasem wszystko się zmienia. Z biegiem lat partnerzy zamieniają się z kochanków w towarzyszy. Tylko nie wiedział, że to wydarzy się jeszcze przed trzydziestką, jeszcze zanim na ślubnym kobiercu zdąży powiedzieć

„Tak”.

Jednak po tym, przez co razem przeszli – prowadząc, jak by nie było, hospicjum w salonie Williama – miał wrażenie, jakby wczesne lata dorosłości już dawno temu minęły. Tym, co nadal odczuwał tak samo mocno, było poczucie straty. Nieobecność Irene. Nocą, gdy w przerwie *¡Vámonos, Muchachos!* puszczano reklamy, podchodził czasami do urny stojącej na kominku i stukał się z nią szklanką, jakby chciał się z nią przywitać. Zdarzało się, że zdejmował ją z kominka i sadzał obok siebie na kanapie, by oglądała serial razem z nim. Sara nie była zadowolona, kiedy przyłapała go na tym któregoś ranka.

Wkrótce po tym incydencie uznali, że nadszedł czas rozsypać prochy. Jacob wcześniej mówił Sarze, że Irene chciała, by rozrzuciono je we Francji, a ona zgodziła się zrobić to podczas ich miesiąca miodowego. Było takie miejsce w górach, tuż przy klifach, które wznosiły się sześćset metrów nad turkusową wodą. Jak wiedziała Sara, Irene bardzo żałowała, że nigdy nie była za granicą, i pozostała tylko jedna okazja, by to zmienić. George nie do końca był przekonany, czy to dobry pomysł, ale chciał uszczęśliwić Sarę i pragnął, by ich życie znów wróciło na właściwe tory. W apartamencie spędzą noc poślubną, a potem jeszcze kilka pięknych dni na francuskiej riwierze, gdzie będzie jak w raju i gdzie nic nie zmąci ich szczęścia.

Zakręcił kran i wyszedł spod prysznica. Gdy próbował odzyskać oddech, poczuł, że żołądek znów podchodzi mu do gardła. Owinięty ręcznikiem, zajrzał do sypialni, ale jego braci tam nie było. Łóżko zostało zaścielone. Zniknęły też ich smokingi, a na toaletce leżała kartka z wiadomością, że poszli na śniadanie i spotkają się z nim na dachu. Na końcu wiadomości było pytanie: „Gdzie jest Jacob?”. George wyjął smoking z pokrowca i zaczął się ubierać. Miał siedem minut. Włożył bokserki w serduszka, które zakupił specjalnie na tę okazję, potem cienkie czarne skarpetki, a na końcu wykrochmaloną białą koszulę.

Zapinając guziki, wędrował po hotelowym pokoju, patrząc, jak wszędzie wokół tańczą pstre piórka. Jakby zleciała się tu cała obsada *Ulicy Sezamkowej*. George machnął ręką w powietrzu i piórka znów zawirowały, po czym zaczęły opadać jak kolorowe konfetti.

Zarzucił marynarkę i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Wyglądał doskonale. Jak gdyby nic się nie stało. Podeszedł do drzwi balkonowych i podciągnął roletę, chcąc wpuścić do środka trochę światła. Nagły ruch powietrza wywołał eksplozję kolorów: czerwonego, fioletowego, żółtego, zielonego i niebieskiego. A po drugiej stronie okna, przy stoliku, siedział Jacob, ubrany w smoking. Wyglądał na nieco nieszczęśliwego, gdy końcówką pióra stukał nerwowo w hotelową papeterię jak jakiś szalony dzieciół. Spojrzał na George'a, a ten z ruchu jego ust wyczytał: „Która jest godzina?”.

George otworzył drzwi.

– Za pięć trzynasta.

– Powinieneś już iść na zdjęcia.

– Tak, wiem – powiedział George, odwracając się do niego tyłem i okręcając się, by ten mógł go podziwiać. Jacob znów postukał piórem.

– Miałem cię obudzić godzinę temu.

– W porządku. Sam się obudziłem.

– Przepraszam.

– Co? – George nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek słyszał, jak Jacob wypowiada to słowo.

– Przepraszam – powtórzył Jacob, opuszczając wzrok na kartkę leżącą na stole. – To mnie kompletnie pochłonęło.

Na kartce był wiersz – czy raczej jego zarys – pełen skreśleń, dopisków i strzałek przenoszących słowa z jednego miejsca w drugie. Jacob, zdenerwowany, spojrzał na to, co napisał.

– Jakie słowo rymuje się z fellatio?

George uśmiechnął się i zanim ruszył w kierunku windy, przypomniał Jacobowi, by za kwadrans stawiał się na dachu na zdjęcia grupowe. Miał jeszcze trzy minuty. Sara przyjdzie zaraz po nim. Od roku nie czuł się tak szczęśliwy, wiedząc, że jej nie zawiedzie.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Dach hotelu Waldorf był szeroki i przestronny, a widok na miasto, bez względu na kierunek, w jakim się patrzyło, sprawiał, że szczęka opadała na podłogę. Nie było ani zbyt zimno, ani zbyt wietrznie. Pierwsza tego roku ciepła bryza owiewała zgromadzonych członków rodzin Murphych i Shermanów. Wszyscy zachowywali się poprawnie. Bracia i siostry stanęli w rzędku, a mamy objęły się wespół; wszyscy ładnie się uśmiechali. Wcześniejsze problemy i dramaty odeszły w niepamięć.

Jak później można było zobaczyć na zdjęciach, George trzymał w objęciach rozpromienioną Sarę, a ona patrzyła na niego z absolutnie szczerym uwielbieniem. Pocałowali się na tle piętrzących się za nimi wieżowców. Tańczyli do muzyki rozlegającej się z niewiadomego źródła; ona kręciła się bezwiednie. Szli za rękę, uśmiechając się ponad swymi ramionami. Jej suknia była biała aż do samego rąbka i wydawała się unosić lekko nad ziemią, jak zaczarowana. Zanurzyła nos w bukietach białych róż, a cień na jej powiekach miał kolor turkusowych piwonii.

Na zdjęciach grupowych wszystkie muszki wyszły równo, każdy obcas miał odpowiednią wysokość, sukienka stosowną długość i nikomu nie zburzyła się fryzura. Fotograf opowiadał żarty w stylu: „Święty Piotrze, po ile ryb łowisz dziennie? A po sto łowie”, które były tak słabe, że aż śmieszne. A kiedy wszystko się skończyło, tłocząc się w windzie, zjechali na dół do lobby, przed którym czekały już na nich dwie białe limuzyny. Wszyscy: rodzice, ciotki, siostry, bracia, dziadkowie i przyjaciele, zostali przewiezieni do kościoła w niecałe dwie minuty.

Ogromne flagi trzepotały majestatycznie nad wejściem do świątyni, gdy wysiadali z samochodów i udawali się na swoje miejsca. Goście, którzy przybywali już od pół godziny, byli sukcesywnie wprowadzani do środka, a każdy z nich mnożył ochy i achy, zachwycając się programem, a w szczególności detalami z kwiecistych trejaży, które Sara obmyśliła wraz z projektantem w oparciu o wazę Heiligensteina z lat dwudziestych. Druk wewnątrz książeczek nie był, jak obawiał się George, nieczytelny w przyciemnionym świetle wewnątrz kościoła. Tak naprawdę doskonale pasował do ceglanego wnętrza świątyni – a czcionka Oldenburg sprawdziła się na tę okazję idealnie.

No i zjawił się Clarence! Dotarł dziesięć minut przed czasem. Gdy jego taksówka stała w korku na West Side Highway, on wysiadł i przeszedł przez pasy po przeciwległej stronie ulicy i wspiał się po dwumetrowej ścianie biegnącej wzdłuż parku, by móc złapać inną taryfę, która zawiezie go na południe wzdłuż Riverside Drive. Dotarł wraz z obrączkami bezpiecznie spoczywającymi w jego kieszeni i kiedy organy zaczęły grać marsza, kroczył dostojnie główną nawą u boku Adeline, a za nim szła reszta weselnego towarzystwa.

Dźwięk organów w kościele św. Bartłomieja – najstarszych w mieście – był zarazem majestatyczny i delikatny. George czuł ich wibrację w otaczającym go powietrzu. Jego matka wyglądała cudownie w koku à la Audrey Hepburn, gdy prowadziła go do ołtarza. George doświadczył czegoś nad sobą, czegoś, czego nie doświadczał już od dawna, a co trudno mu było opisać. Gdyby miał to określić, nazwałby to poczuciem nie-samotności. Tak jakby George, skrywany pod tym George'em, którego wszyscy widzą, znalazł się w jakimś dobrym towarzystwie. To było jak skosztowanie tego wina na Shelter Island albo jak ujrzenie trupa po raz pierwszy w życiu. Mgnienie czegoś, czego nie da się zbadać ani zmierzyć w tym świecie. Wkrótce jednak



przerwał snucie tej myśli, gdyż jego oczom ukazał się widok Sary idącej do ołtarza pod rękę z ojcem.

Ciepłe promienie słońca padały z góry na jej twarz przez witraże w oknach. Jej ojciec popłakiwał troszkę, nie mocno, tak w sam raz. Postanowiła na niego nie patrzeć, wiedząc, że zaraz sama się rozpłacze. Skupiła swój wzrok na George'u, który wyglądał wspaniale, stojąc przy ołtarzu i górując nad przygarbionym pastorem Thawem o zaspanych oczach.

Pastor Thaw miał coś do powiedzenia. Sara ledwie go słyszała. Wspominał coś o jakiejś małej wiosce we Włoszech, gdzie znajdowała się srebrna figurka świętego Bartłomieja. Mówił, że podczas jego święta procesja niosła tę figurkę przez całą wieś. Pewnego dnia w tajemniczy sposób figurka zrobiła się ciężka i mieszkańcy wioski musieli ją postawić na ziemi. I wtedy droga przed nimi zapadła się i skały osunęły się do doliny. Droga, którą mieli pójść, kompletnie zniknęła. Gdyby nie ten cud związany z ciężarem figurki, wszyscy we wsi by zginęli. Wiele lat później wioska została zajęta przez wrogich najeźdźców, którzy plądrowali okolice i zabierali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Kiedy podeszli do figurki, okazało się, że była lekka jak piórko. Myśląc, że nie ma żadnej wartości, zostawili ją. Ta opowieść, w opinii pastora, służyła za doskonałą metaforę cudu, jakim jest małżeństwo. Czasami może być zaskakującym ciężarem, który zdaje się uziemiać małżonków – kiedy indziej zaś może okazać się lekkie jak powietrze, niewidzialne wręcz, i dawać poczucie swobody, a nawet uniesienia. I tak jak Bóg ocalił wiernych mieszkańców wioski, tak będzie czuwał nad małżonkami.

Oczywiście wyobraźni Sara widziała, jak George kłóci się z pastorem o niektóre kwestie – jak mógł twierdzić, że Bóg, który jest konsekwentny, strzeże jedynie tych, którzy naprawdę wierzą? Nie można ot tak sobie wybierać cudów i układać z nich ładnego kazania. To była po prostu zła metodologia. Odpuścił jednak – przewrócił tylko oczami w kierunku Sary,

jakby chciał przez to powiedzieć, że przecież wiedzą swoje i nic innego się nie liczy. Ścisnęła go za rękę. To się naprawdę działo. To rzeczywiście trwało. Jej siostra wstała i przeczytała fragment *Aksamitnego Królika*: „Prawdziwym nie stajesz się w jednej chwili – odparł Zamszowy Koń. – Przemiana trwa długo. Właśnie dlatego nie przytrafia się tym, którzy się łatwo psują, ani tym, z którymi trzeba się delikatnie obchodzić. Prawdziwy stajesz się dopiero wtedy, gdy już wykochano z ciebie większość sierści, gdy oczy ci wypadają i puszczają szwy, kiedy wyglądasz zupełnie żałośnie. Ale to jest bez znaczenia, bo skoro już jesteś Prawdziwy, to w oczach tego, kto cię kocha, nie możesz być brzydki” [13](#).

Następny był Franklin, który odczytał stary dobry Psalm 121. „Wznoszę swe oczy ku góróm: Skądże nadejdzie mi pomoc? Pomoc mi przyjdzie od Pana, co stworzył niebo i ziemię. On nie pozwoli zachwiać się twej nodze ani się zdrzemnie Ten, który cię strzeże. Oto nie zdrzemnie się ani nie zaśnie Ten, który czuwa nad Izraelem. Pan cię strzeże, Pan twoim cieniem przy twym boku prawym...” [14](#).

Teraz pastor Thaw wspominał pierwszy cud, którego dokonał Chrystus podczas wesela w Kanie Galilejskiej. Słowo Galilea zawsze kojarzyło się George’owi z piosenką o magicznym smoku, który płąsał w jesiennej mgle w krainie zwanej Honah Lee [15](#). Jako mały chłopiec źle zrozumiał tekst piosenki i wydawało mu się, że ten smok pochodzi właśnie z północnej części Izraela. Spojrzał na Sarę i zobaczył, że bezgłośnie wypowiada tekst piosenki, która pojawiła się teraz w jego głowie, o czym ona doskonale wiedziała. Uśmiechnęli się do siebie, a Sara żałowała, że zamiast wymaganej przez Kościół przysięgi nie mogą po prostu wyrecytować tych słów. Miała nadzieję, że to nie było zbyt obrazoburcze życzenie. George przez chwilę patrzył na nią wielkimi oczyma, jakby chciał ją spytać, czy wierzy, że to wszystko dzieje się naprawdę. Ona spojrzała na niego w ten sam sposób, jakby chciała mu

powiedzieć, że sama nie dowierza, ale jednocześnie wie, że to prawda. Są tutaj dzięki temu, przez co razem przeszli w ciągu tych wszystkich lat.

Oczywiście nikt z gości tego wszystkiego nie widział. Wachlowali się programem ceremonii, wyteżali słuch i delikatnie poprawiali ubranie. Babcia Pertie w trakcie przysięgi rozpakowała dropsa, czym zirytowała sporą grupę osób siedzących w pobliżu, ale szybko o tym zapomniano. W pewnym momencie do Franklina Murphy'ego przyszła wiadomość tekstowa, w której przedsiębiorstwo American Express niepokoiło się, że dziś rano jego kartą zapłacono sto trzy dolary i dwadzieścia dwa centy za śniadanie – nie powiadomił ich, że wyjeżdża ze środkowej części Stanów. Beth zapomniała się na chwilę i zaczęła cichutko nucić motyw ze *SpongeBoba*. Jacob, stojący z boku z innymi друзbami, w myślach na nowo układał swój wiersz, zastanawiając się, dlaczego, do cholery, siedzący w ostatnim rzędzie William przyszedł do kościoła w kapeluszu.

Rozległ się głośny dźwięk organów, w ławkach nastąpiło radosne poruszenie, goście zerwali się na nogi, klaszcząc, gdyż pastor Thaw właśnie oznajmił George'owi, że może pocałować pannę młodą, co ten (z entuzjazmem) uczynił. Rozpromienieni i dumni, prężnie kroczyli ramię w ramię w stronę drzwi, machając i uśmiechając się do wszystkich. Wcześniej oboje sądzili, że skoro znają się już tak długo i mieszkają ze sobą od lat, ta chwila nie będzie się różnić od miliona innych chwil, które razem przeżyli. Mylili się jednak. Oboje byli tym zaskoczeni, ale naprawdę poczuli się inaczej. Ogarnęło ich dziwne uczucie rozprężenia. Jakby do tej pory mieszkali w dwóch oddzielnych apartamentach i wreszcie zburzyli dzielącą je ścianę.

Nie mieli żadnego oficjalnego powitania – strata czasu! Pierwsza kolejka szampana czekała na nich już na tylnej kanapie limuzyny. Sara zamówiła cztery butelki najdroższego Krug NV Grande Cuvée Brut tylko dla gości weselnych. Dla reszty był tańszy odpowiednik – Moët. Skręcili w róg ulicy i minęli trzy

przecznice, by znów znaleźć się w hotelu Waldorf Astoria, konkretnie w jego cudownej sali balowej Palm Ballroom, gdzie kremowe marmurowe podłogi lśniły, a mahoniowe drewno błyszczało w świetle żyrandoli. Zespół przygrywał jakiś lekki jazz, tak by każdy mógł ze sobą spokojnie porozmawiać podczas koktajlu.

Sala stopniowo wypełniała się ludźmi wracającymi z kościoła, między którymi stale krążyli służący, częstując ich przystawkami: kanapkami z confitem z kaczki i marmoladą z rabarbaru, zielonymi pomidorkami z octem balsamicznym i kruchą szynką serrano, eleganckimi babeczkami z serem brie, wymyślną francuską wersją „kiełbasek pod kołderką”, czyli maleńkimi rogalikami owiniętymi prawdziwą andouillette. Wreszcie *coup de grâce*: cudownie pomarańczowa łyżka wykonana z sera mimolette, a na niej kawior Prizybiejew z odrobiną francuskiej śmietany. Do tego wszystkiego francuska wódka Grey Goose, ale też dzin z tonikiem w wersji blood orange, burbon z lemoniadą i imbirem oraz ulubiony drink George’a z szałwią i jeżynami. Przy obu barach panował z początku duży tłok, prawdopodobnie z powodu ręcznie wycinanych kostek lodu. Nie minęło jednak więcej niż piętnaście minut i już każdy trzymał w ręku szklanę.

Młodym jest się tylko raz. Niech ten jeden wieczór, tylko ten jeden wieczór będzie wolny od zgagi, pośpiechu, pory na sen, korków, otarć i lęków. George i Sara chcieli stworzyć atmosferę, która nie utrzyma się jedynie przez chwilę, ale zapisze się w ich pamięci, a do tego zwykły koktajl z krewetek i schłodzone chardonnay nie wystarczą. Przed nimi jeszcze wiele wieczorów (a jakże), kiedy wszystko będzie szło nie tak i trzeba będzie przywołać piękne wspomnienie dekoracji z tulipanów i trawy morskiej na idealnie nakrytym stole. Przypomnieć sobie smak masła z kurkumą. Odtworzyć widok wiosennej sałatki i wspomnieć, jak dodany do niej sos doskonale przygotował język do tego, by rozkoszować się smakiem trufli w zupie grzybowej. Jak ten ziemisty

smak usunęła potem z podniebienia łyżeczka idealnie purpurowego sorbetu z buraka, po którym podano dymiące krokiety z ciasta filo nadziewane soczystą jagnięciną i posypane orzechami makadamia oraz purée ziemniaczane z serem roquefort...

Ojciec zatańczył z córką; matka zatańczyła z synem. Siostry wygłosiły ckliwe przemowy, podczas których obie mówiły prawdę, a potem kłamiąc w żywe oczy, życzyły młodej parze wszystkiego, co najlepsze. Bracia opowiadali historie o życiu miłosnym George'a, zanim jeszcze poznał Sarę (historia o seryjnych oświadczeniach w przedszkolu pojawiła się w obu przemówieniach). A potem Jacob rozwinął kartkę z hotelowej papeterii i wygładził ją o rękaw. Kaszlnął głośno, spojrzał w stronę George'a i porządnie chrząknął.

– To jest... Sara poprosiła mnie, abym przeczytał coś krótkiego. Jakiś wiersz. W każdym razie to jest pierwsza z trzech części czegoś, co opowiada o chyba najfajniejszej rzeczy, jaka mi się przydarzyła. Mam na myśli poznanie tych dwojga i przyjechanie tu za nimi. W każdym razie... – I Jacob zaczął czytać: – „Przybyliśmy do miasta, albowiem chcieliśmy żyć bezładnie, zaspokajając wyłącznie najbardziej nierealne z naszych pragnień, przekonać się, czy potrafimy przyswoić sobie to, czego mogą nas nauczyć niepowodzenia, abyśmy żyjąc, nie odkryli, że nigdy nie umarliśmy”.

Jacob czytał dalej. George nigdy wcześniej nie słyszał, by coś podobnego wyszło spod jego pióra. Czy technicznie rzecz biorąc, to była poezja? Tekst wcale nie był taki krótki. Jego matka rozglądała się wokół, jakby zaraz ktoś miał zapalić światła, inni się śmiali, a Sara po raz pierwszy tego wieczoru zaczęła płakać – no cóż, prawie się udało. Wiersz (jeśli w ogóle można to nazwać wierszem) traktował o nich (o każdym z nich), o tym, jacy kiedyś byli. Sara prawie już zapomniała, że tak kiedyś było.

Kiedy Jacob skończył, nikt nie wiedział, co ma zrobić, więc George wstał,

wydał z siebie głośny okrzyk wiwatu i zaczął bić brawo, a ponieważ to był jego wielki dzień, reszta gości uczyniła to samo. Jacob uklonił się nisko, a później podano deser i napoje.

Wniesiono sześciopiętrowy tort, na którego szczycie widniała klasyczna ozdoba w stylu lat dwudziestych zakupiona na eBayu w trakcie zacieklej licytacji, podczas której Sara położyła kilku użytkowników na wirtualne łopatki. Do tortu podano specjalnie paloną kawę z dodatkiem brandy, a potem zestaw innych słodkich dań: galaretkę z szampanem, suflet z wiśnią oraz magdalenki z wytłaczaną literą M.

Późnym wieczorem, gdy starsi powoli zegnali się i wracali do swoich pokoi, młodzi, tańcząc bez chwili wytchnienia, czuli się coraz bardziej swobodnie. Co było, minęło, i ci, którzy kiedyś byli parą i w jakichś dziwnych okolicznościach ze sobą zerwali, teraz znów bujali się do piosenki Sisco *Thong Song*, gwałcąc przy tym wszelkie zasady podejmowania działań przy użyciu siły. W pewnym momencie, tańcząc do *Take the A Train*, Jacob przerzucił Sarę między nogami, a potem razem z George'em udawali jak za dawnych lat, że grają na gitarach do *Paradise City*. A kiedy wreszcie zapalono światła, po tym jak Zacharie pięciokrotnie upomniała ich, że skończył się ich czas na użytkowanie lokalu, ze wszystkich stron rozległy się krzyki, by nie kończyć jeszcze imprezy, tylko zabrać prezenty dla gości (spersonalizowane kieliszki do wódki) i przenieść się do Turtle Bay Saloon na końcu ulicy lub do nowego nocnego klubu Midtown 3015.

Ale George i Sara wiedzieli, że dla nich impreza się skończyła. Niech inni bawią się dalej bez nich. Sara wyjęła z wazonu bukiet i wszystkie panny zebrały się, by spróbować go złapać, ale zręcznie rzuciła kwiaty idealnie tam, gdzie chciała: nad głową Eddy i wprost w ręce małej Beth. Bingo. Potem chwyciła George'a za rękę i wyszli z sali w atmosferze gwizdów, okrzyków, życzeń i uroczo sprośnych komentarzy. Ktoś (prawdopodobnie Jacob) rzucił

w George'a prezerwatywą. Nie trafił jednak i kondom utknął w żyrandolu. Był tam też kapelusz Williama, który podrzucił go podekscytowany kawałkiem *Under Pressure*. Zacharie już się tym zajmowała. Sara już wcześniej uzgodniła z Jacobem i Williamem, że spotkają się zaraz po ich powrocie z podróży poślubnej, by mogła wręczyć im pamiątki. Ktoś zaproponował wspólny brunch, a George wiedział, że tym razem do niego dojdzie, bo ona tego dopilnuje.

Potem, gdy byli już sami w windzie, George i Sara padli sobie w objęcia, całując się gwałtownie i namiętnie, z włosów i mankietów ściągali krępujące ich spinki i pragnęli, by ten wieczór nigdy się nie skończył. Po omacku trafili do swojego ślubnego apartamentu, który wysprzątało i ozdobiono koszami pełnymi owoców, kwiatów i czekoladek, a w wiaderku chłodziły się dwie butelki szampana. Minęli to wszystko i wreszcie znaleźli się na ogromnym łóżu; jeszcze ostatni haczyk sukni; jeszcze guzik kamizelki i wkrótce ślubna bielizna, tak starannie wybrana przez siostry Sary, została zdjęta i rzucona gdzieś na oślep. Tulili się do siebie łapczywie i zachłannie, jakby nie mogli się sobą nacieszyć. Na oceanie pikowanej narzuty, odurzeni zapachem bzu, na tle konstelacji światła miasta przy nieprzyzwoicie odsłoniętych zasłonach, George i Sara kochali się tak, jak nie robili tego od miesiący – a szczerze mówiąc, od lat. Żadne z nich nie mogło sobie przypomnieć od kiedy. Oboje jednak pamiętali, że kiedyś, na początku, była w nich podobna namiętność. A gdy już opadli na poduszkę i zamknęli powieki, po raz pierwszy od rana tracąc siebie z oczu, oboje poczuli, że wszystko jest tak, jak należy, że jest dobrze i że to, co razem przeżyli, doprowadziło ich właśnie tu.

Kiedy Sara się obudziła, w pokoju było nadal ciemno. Światła pobliskich budynków wpadały przez odsłonięte okno, rzucając cienie na łóżko. Łóżko, nie licząc jej, było puste. Powoli podniosła się i podeszła do drzwi, które przymknęto delikatnie, by się nie zatrzasnęły i jej nie obudziły. Otworzyła je

powoli. Migoczący blask oświetlił jej białe stopy i dywan, na którym stała. Podniosła wzrok, wiedząc, co zaraz ukaże się jej oczom, gdyż widziała to już wiele razy. Telewizor był włączony, dźwięk ściszony, a na ekranie pojawiła się akurat hiszpańska reklama płynu do mycia naczyń. Na kanapie, kompletnie nagi, spał jej mąż, George. W ręku trzymał butelkę darmowego szampana. A na kanapie, pod jego ramieniem, spoczywała metalowa urna z prochami Irene. Nie pierwszy raz Sara weszła do pokoju na paluszkach i starając się nie rozplakać, delikatnie uniosła ramię George'a znad urny. Rano nie będzie pamiętać, że wyjął ją z torby, tak jak wiele razy następnego dnia nie przypominał sobie, że zdjął ją z kominka i posadził na kanapie obok siebie, jakby rzeczywiście miała mu towarzyszyć w oglądaniu serialu.

Leżąc na niebieskim plażowym ręczniku, George godzinami patrzył na jachty i statki rejsowe płynące w jedną i w drugą stronę po szklistej powierzchni zatoki Napoule. Telefon Sary wibrował, a ona, na niebieskim ręczniku obok, co piętnaście minut zmieniała pozycję. Raz na godzinę siadała, by nałożyć świeżą warstwę emulsji na nogi i ramiona, bez słowa odwracając się w kierunku George'a, by ten nasmarował jej plecy. Tego ranka zrobiła sobie ośmiokilometrową przebieżkę po plaży, tylko że zapomniała się i przebiegła jedenaście. Po krótkiej kąpielii w morzu zjadła pół kanapki i padła na ręcznik, by odpocząć i nabrać koloru. George próbował nie gapić się na leżące obok Francuzki w stroju topless. Biały piasek wyglądał jak wykropkowany różowymi sutkami. Po chwili człowiek się do tego widoku przyzwyczajał. Sara zastanawiała się, ile jeszcze szprycerów z lemoniadą i gałązkami lawendy będzie musiała wypić, zanim zdejmie z siebie górną część stroju kąpielowego.

– Nie widzę problemu – powiedział jej George jedną czy dwie godziny temu, gdy nakładał nową warstwę kremu na jej plecy. – Osobiście podoba mi się ładna linia opalenizny.



– Ach tak?

– Tak – powiedział zdecydowanym tonem. – Jest jak rama wokół obrazu. Czyni opaleniznę bardziej oficjalną.

– Chyba zdejmę stanik – rzekła Sara.

– Okej. – George sięgnął za haczyk.

– Jeszcze nie teraz – powiedziała, odsuwając jego rękę. – Później.

– W porządku – rzekł George, wklepując emulsję i patrząc, jak Sara znów opada na piasek. Po obu stronach George widział inne odpoczywające pary. Jedni rozmawiali, inni siedzieli w milczeniu. Sezon dopiero się rozpoczynał i plaża nie była zatłoczona. Małe stoliki stały niezagospodarowane, a parasole rzucały cień na znajdującą się pod nimi pustkę. Panowała cisza, tylko czasami mijała ich jakaś większa grupa studentów rozmawiających głośno po czesku, szwedzku czy polsku. Sara pomyślała, że w Europie mają teraz pewnie jakąś przerwę w zajęciach – wieczorem było ich na mieście całkiem sporo. Nosili tanie bransoletki, okulary przeciwsłoneczne w jaskrawych oprawkach i trampki bez sznurowadeł wkładane na bose stopy. Nagle Sara usiadła wyprostowana w poważnej pozie na dobre dziesięć minut, zanim miał się odezwać alarm.

– Cześć – powiedział szybko George. – Ładnie tu, prawda?

– Uważam, że jutro powinniśmy pójść rozrzucić te prochy.

Zaskoczyła go.

– Sądziłem, że zaplanowaliśmy to na, hmm, koniec tygodnia, po Monte Carlo i w ogóle.

– Uważam, że powinniśmy się ich pozbyć. Nie sądzisz, że one w pewnym sensie nam ciążyą? Mimo że tu jest tak miło, ja nie potrafię się w pełni zrelaksować.

Widziała, że George jest poirytowany, może nawet lekko wściekły. Od początku podejrzewała, że nie chce rozrzucić prochów Irene. Może nawet po

cichu liczył na to, że pod koniec ich dziesięciodniowego pobytu we Francji będzie w stanie ją przekonać, by jednak zarzucili ten plan. Cały on – nurzał się po pas w płytkiej wodzie, a ona miała go zmusić, by poszedł dalej, głębiej i skoczył na bombę? Ale dłużej już nie potrafiła tego znieść – jego dąsów, przygnębienia i rozmyślań. Był stworzony do rozwiązywania problemów i różnego rodzaju łamigłówek. I ona w niego wierzyła. Wiedziała, że przedrze się przez te dane dotyczące 237 Lyrae V, właściwie określi zmienne i tak sformułuje swoją hipotezę, że zdobędzie dowody dla swych przypuszczeń. Dokona wielkich odkryć, ale tego problemu nie rozwiąże. Odpowiedzi na to, jak poradzić sobie z żałobą, nie ma w żadnym podręczniku do filozofii ani nawet w Księdze Koheleta. I żadne ilości szkockiej czy bezsenne noce na kanapie nie pomogą mu tego rozwikłać.  $x$  równało się nic. Nie zero – nic.  $x$  równało się stracie czasu. Co zrobić, by George to wreszcie zrozumiał? Co sprawiłoby, że da sobie z tym – z nią – spokój? Dzień po dniu próbowała z ich miłości uczynić ważniejszy problem do rozwiązania.

– Dobrze, zróbmy to. Jutro z samego rana – powiedział George. Sara oparła się o niego plecami i poczuła, jak ją obejmuje, opierając brodę na jej głowie. Nareszcie razem, spoglądali na fale uderzające o brzeg. Minęła ich jedna z tych grupek wędrownych studentów. Ktoś z zielonymi pasemkami we włosach zrobił gwiazdę i śmiejąc się, wpadł plecami do wody. Ktoś inny zabrał komuś papierosa i rozpoczęła się zabawa w głupiego jasia, w której żarzący się niedopałek fruwał wkoło jak sztuczny ogień. George zastanowił się, czy oni kiedykolwiek byli tacy młodzi; Sara pamiętała, że byli.

Włożyła rękę za plecy, w przestrzeń między nią a klatką piersiową George'a, i po raz pierwszy pomyślała, że nawet jeżeli małżeństwo ma polegać na tym, że z każdym dniem będzie patrzeć, jak George się starzeje (a on będzie świadkiem jej starzenia się), to i tak jest szczęściarą, bo poznali się, gdy jeszcze byli młodzi. Nieważne, jak bardzo od teraz się zmienią –

wciąż będą pamiętać siebie z młodości. Ona będzie umiała dostrzec za opuchniętymi powiekami ten znajomy błysk, który George miał w oku, gdy skończył dwadzieścia lat. Na zawsze zachowają te wspomnienia w pamięci. Ostrożnie rozpięła górną część bikini i pozwoliła, by ramiączka opadły na boki. George instynktownie osłonił ją rękami, ale ona je odtrąciła. Nigdy przedtem nie rozebrała się w miejscu publicznym. Czekają na nich jeszcze tyle pierwszych razy.

Wieczorem pojechali taksówką do Cannes, by zjeść obiad w sławnej restauracji La Palme d'Or, i między daniami godnymi gwiazdek Michelina opracowywali strategię pieszej wycieczki, w którą mieli się udać następnego dnia. Po drodze Sara skontaktowała się z biurem turystycznym i wszystko ustaliła. Grupa, z którą pierwotnie zamierzali wędrować, wybierała się w góry dopiero pod koniec tygodnia, a na następny dzień nie ustalono żadnych planów. Mogli jednak sami udać się do schroniska Chalet Castellane, skąd wzięliby jakiś mały prowiant i mapę parku narodowego. Podczas kolacji cały czas rozmawiali o tym, co po drodze zobaczą, i z każdym następnym daniem, z każdą następną lampką wina byli coraz bardziej tą wyprawą podekscytowani. Właśnie kończyli ostatni z trzech deserów, kiedy George dostrzegł kogoś znajomego siedzącego po drugiej stronie sali.

– To Santiago! – powiedział, trochę za głośno. – Santiago z ¡*Vámonos, Muchachos!*

Sara zmrużyła oczy i zobaczyła, że George ma rację.

– Wow! W rzeczywistości wygląda jeszcze przystojniej.

– Powinniśmy się przywitać – powiedział. – Powiedzieć mu, że jesteśmy jego fanami, prawda?

– Wiesz chociaż, jak się nazywa? Nie możesz do niego podejść, jeśli nie wiesz, jak się naprawdę nazywa.

– Victor. Jakiś tam.

I zanim zdążyła go powstrzymać, George przeszedł na drugi koniec restauracji w zatrważająco szybkim tempie. Patrzyła w obawie, że powie bądź zrobi coś ujawniającego wpływ alkoholu i że poproszą ich o opuszczenie lokalu. Jednak ku jej zaskoczeniu George z każdym krokiem dochodził do siebie. To był znów jej dawny George! Wytrawny i pewny siebie pan domu. Czy przez cały ten czas krył to w sobie? Santiago – Victor – okazał się uprzejmy i wyraźnie nie miał nic przeciwko temu, że go zaczepiano. Zwrócił się do cudownie pięknej kobiety siedzącej obok niego i przedstawił ją George'owi, który z kolei wskazał palcem na Sarę, a ona ochoczo im pomachała. Rozmawiali przez minutę czy dwie, po czym George znów uściskał mu rękę i wrócił do stolika.

– No i? – pisnęła. – Co powiedzieli?

George wpatrywał się w swój talerzyk deserowy, bawiąc się widelcem.

– Powiedział, że skończyli kręcić serial. Przyjechali tu z żoną świętować jego zakończenie.

– George! Cóż za wspaniała historia! Nie mogę...

Już miała powiedzieć, że nie może się doczekać, aż wszystkim o tym opowie, ale przypomniała sobie, że jedyna osoba, którą jeszcze by to obchodziło, jest teraz w hotelu, w urnie. To wyjaśniało pochmurny wyraz twarzy George'a.

– Ostatni odcinek nadano w Meksyku tydzień temu. W Stanach puszczą go dopiero w przyszłym roku.

– Powiedział ci, co dalej? Powiedział, jak się kończy? – próbowała go rozweselić.

– Tak. On i Renata zostają parą i wszystko kończy się wielkim ślubem.

– Wiedziałam! – powiedziała Sara, chwytając się za serce. Żadne z nich nie odezwało się słowem przez następną minutę, aż wreszcie Sara powiedziała: – Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę!

George wziął ją za rękę.

– Poprośmy o rachunek. Jutro wielki dzień.

Wychodząc z restauracji, pomachali radośnie w stronę stolika, przy którym siedział Santiago, a potem w ciszy wracali do hotelu, patrząc na migające światła miasta i bawiąc się swymi dłońmi. Byli tak najedzeni i zmęczeni, że od razu poszli spać. Sara zasnęła niemal natychmiast, ale George nie mógł zmrużyć oka. Nie wiedział, dlaczego informacja o zakończeniu serialu tak go zasmuciła. Renata i Santiago będą razem, wezmą ślub i pozostaną tam, w telewizyjnym świecie, nierozłączni na zawsze. To głupie. To tylko, kurwa, głupia telewizja. Jednak bolało go, że Irene, która śledziła ten serial od początku, nigdy nie pozna zakończenia.

Wyruszyli z samego rana z mapą, na której zaznaczyli, gdzie znajduje się Styx (nazwa okolicznego kompleksu cudownych naturalnych kąpielisk), a także miejsca, w których można popływać kajakiem, wędkować albo wspinać się po skałach. Musieli ściśle się trzymać planu, jeśli chcieli wrócić do hotelu przed zmrokiem, a potem wyruszyć do Nicei, tak jak zaplanowali. Przejdą czternaście kilometrów po wapiennych skałach wzdłuż brzegu turkusowej rzeki, aż dotrą do Point Sublime, położonego wysoko na drugim końcu kanionu, skąd rozpościera się zapierający dech w piersiach widok na urwiste klify i nieskazitelnie czystą wodę w otoczeniu dziewiczego lasu – idealne miejsce na to, by rozsypać prochy Irene. Niesione górskim wiatrem, rozproszą się po pięknej scenerii, którą zgodnie uznali za stosowną dla tej chwili.

Nazajutrz pogoda była piękna, a niebo bezchmurne. Gdy w schronisku kończyli pakować zapasy na drogę, właściciel, Raif, Flamandczyk w luźnym dresie, powiedział im, że wieczorem należy spodziewać się pogorszenia warunków. Niekorzystna aura utrzyma się prawdopodobnie do końca tygodnia, więc dobrze, że wyruszają wcześniej rano. George nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to było w pewnym sensie zrządzenie losu. Gdy wyszedł na

zewnątrz i zaciągnął się świeżym powietrzem, znów poczuł się młody, jakby na nowo odkrywał, do czego zdolne jest jego ciało. Kiedy ostatni raz miał na sobie buty do pieszej wędrówki? Jako harcerz, kiedyś, dawno temu, pojechał na biwak nad jeziorem Senecaville. Myślał o tym podczas dwóch pierwszych godzin wędrówki. Wspominał, jak kroił robaki, by łowić ryby spod lodu. Manierka u biodra. W jednej ręce kompas, a w drugiej kij do podpierania się. Tyle że teraz nie szedł obok ojca, lecz Sary, która niosła wino Côtes de Thongue i zestaw serów. W jego plecaku kryła się zaś butelka J&B, zabrana przez niego z hotelu, żeby uczcić moment rozsypania prochów z urny, którą także niósł. Z początku ciężar mu nie przeszkadzał, ale po dwóch godzinach wędrówki plecak robił się coraz cięższy. George nie mógł się już doczekać, gdy rozgrzany od whisky, z o cztery kilo lżejszym plecakiem wróci do schroniska.

Schodzili do wąwozu, zbliżając się do krawędzi przełomu rzeki płynącej w dole. W skałach dla bezpieczeństwa wędrujących porozmieszczano schodki, punkty oparcia dla stóp i łańcuchy, których można się było chwycić. Sara zwracała uwagę na co jakiś czas pojawiające się oznaczenia szlaku – na trasie panował taki ruch, że nawet nie zauważyła, kiedy przestała odróżniać kogokolwiek przed lub za sobą. George wziął mapę ze schroniska, ale nie spojrział na nią ani razu. Wystarczyło tylko iść wzdłuż szlaku i rzeki, której nurt robił się coraz szerszy i gwałtowniejszy, im bardziej się do niej zbliżali. Z początku, gdy szli w cieniu klifów, było im chłodno. Jednak im wyżej słońce wędrowało po niebie, tym bardziej rosła temperatura, aż wkrótce zrobiło się gorąco. Po czterech godzinach marszu dotarli wreszcie do niewielkiej kamienistej plaży i uznali, że zasłużyli na przerwę i lunch.

George chciał trochę schłodzić wino, więc odwiązał sznurówkę i jeden jej koniec okręcił wokół szyjki butelki, a drugi przywiązał do gałęzi leżącej przy brzegu. Gdy czekali, aż wino się schłodzi, brodzili boso po strumyku,

pozwalając, by lodowata woda złagodziła odciski na stopach. Promienie słońca tańczyły na liściach drzew. Było jak w bajce – po raz pierwszy George poczuł, że dobrze zrobili, że wybrali ten zakątek na miejsce spoczynku Irene. Miał atmosferę podobną do plaży na Shelter Island. Jak ona o niej mówiła? Mityczna.

– Czemu nigdy tego nie robimy? – spytała Sara.

– W Ithace ciągle chodziliśmy na wędrówki – odparł George.

Pamiętała, że zorganizowali tylko jedną, a po piętnastu minutach Jacob wpadł na pajęczynę i powiedział, że dalej nie pójdzie. Im więcej czasu mijało od tamtych lat, tym mniej je idealizowała, ale George – wręcz przeciwnie. Zapomniał już, jak często się kłócili i walczyli ze sobą.

– Wino powinno być już schłodzone – powiedział. Poszli trochę dalej, niż zamierzali. – Proponuję połowę wypić teraz, a drugą zachować na kolejny postój.

Sara zgodziła się i zawrócili w stronę miejsca, gdzie zostawili butelkę. Po kilku minutach zaczęli się zastanawiać, jak to się stało, że zaszli tak daleko, gdyż już dawno powinni być przy tej kamienistej plaży. George był pewien, że znajduje się ona kawałek stąd, więc szli dalej, ale wciąż jej nie dostrzegali.

– To dziwne. Jak mogliśmy ją przegapić? – spytała.

Postanowili cofnąć się i sprawdzić jeszcze raz. Gdy wracali, wszystko znów wydawało się całkiem inne od tego, co wcześniej widzieli.

– Kojarzysz jakieś rozwidlenie w tym strumyku? – spytał George po raz ósmy. Ani śladu plaży, butelki z winem przywiązanej do gałęzi, ich plecaków czy Irene. Sara nie przejmowała się tym zbytnio. Była przekonana, że nawet jeśli wkrótce nie znajdą plaży, to napotkają innych wędrowców, którzy wskażą im drogę. Jednak pomimo upływu kolejnych minut nikogo nie było widać ani słysać, a do niej zaczynało docierać coś jeszcze bardziej niepokojącego.

– Zaczyna się ściemniać.

– No tak – zgodził się George i w tym momencie oboje poczuli na twarzy krople wody. Spojrzeli na liście ponad nimi, sądząc, że to może resztki porannej rosy spadają na nich z drzew, ale dźwięk padającego deszczu nie pozostawiał złudzeń. Wkrótce zaczęło lać.

– Schowajmy się pod klifem – rzekł George, starając się, by jego głos nie zdradził, że się martwi. – To szybko przejdzie. W kanionach pogoda się często zmienia. Na takich wysokościach są częste wahania ciśnienia.

Sara usłyszała grzmot i usiłowała sobie przypomnieć, jak oblicza się odległość burzy na podstawie czasu, jaki upłynął między piorunem a grzmotem. Drzewa coraz mocniej kołysały się na wietrze. Martwiła się o ich plecaki i o leżącą tam gdzieś Irene. Włożyli buty i choć George bez jednej sznurówki poruszał się niezdarnie, szybko wdrapali się na skałę. We wnęce na tyle głębokiej, by pozwoliła im schronić się przed deszczem, zdjęli z siebie, co tylko mogli, i trzęsąc się z zimna, wyzimali z ubrań wodę, gniotąc się w wąskiej przestrzeni. Dla zabicia czasu żartowali – wspominali kolację minionego wieczoru i to, jak wylegiwali się na plaży; wyobrażali sobie, co powiedziałby Jacob, gdyby tu teraz z nimi był. Oczywiście wyobraźni George widział, jak wykrzykuje jakieś cytaty z *Burzy* albo coś w tym rodzaju.

Jednak minuty niepokojąco zamieniały się w godzinę, godzina w dwie, a deszcz tylko przybierał na intensywności. Nie mieli ani latarki, ani telefonu, żadnego koca, butów na zmianę czy jedzenia. George uświadomił sobie, że jego zegarek przestał chodzić i że nie zabrał ze sobą kompasu. Przypomniał sobie, jak w schronisku Raif zapewniał ich, że pogoda ma się popsuć dopiero w nocy, ale za to pogorszenie ma się utrzymać przez jakiś czas. George zaczął się modlić – by deszcz przestał padać, by odnaleźli drogę do kamienistej plaży, gdzie leżały ich rzeczy. Od dawna tego nie robił.

Z przeraźliwą prędkością piorun przeszedł po drzewie i jego gałęziach, rozbłyskując biało-niebieskim światłem. Z początku George pomyślał, że ten



niesamowity trzask to odgłos rozstępującej się pod ich stopami ziemi. Zanim zorientował się, co się stało, było już po wszystkim – w powietrzu i ciemnościach unosił się tylko zapach spalenizny. Sara była przerażona tym, że robi się coraz ciemniej i że są przemoczeni, więc ostatecznie George przyznał jej rację, że powinni iść wzdłuż brzegu strumyka. Stąpali ostrożnie, szukając krzaków, skał, korzeni i innych turystów, a wokół szalała burza.

Deszcz padał na nich wielkimi kroplami; gałęzie smagały ich ciała z obu stron; wiatr dął z wszystkich możliwych kierunków. Z początku George nie przestawał mówić, próbując zachować optymistyczne nastawienie, ale wkrótce Sara przestała go słyszeć. Prawdę mówiąc, sam siebie nie słyszał, więc oboje zamilkli. Ta cisza trwała długo. Może godzinę, a może i więcej. Trzymali się za ręce tak mocno, że zaczęły ich boleć kłykcie, a ich mokre dłonie były tak pomarszczone, że gdy na krótką chwilę musieli się rozdzielić – by przytrzymać się skały albo odgarnąć gałęzie – mieli wrażenie, że odrywają się od siebie jak rzepy.

W końcu deszcz zelżał i przeszedł w mżawkę. George podejrzewał, że jest późne popołudnie, jednak chmury nad drzewami wciąż były ciężkie i ciemne. Sara wiedziała, że muszą nadal szukać, póki jest jeszcze jasno, ale kompletnie wyczerpana legła na pierwszej napotkanej polanie, dziwiąc się, że jeszcze żyją.

– Będzie dobrze – powiedział George. – Najważniejsze, że nic nam się nie stało.

Sara próbowała się tym pocieszać, ale dla niej istotniejsze wydawało się to, że wciąż nie odnaleźli drogi. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby teraz wstać i zacząć szukać szlaku. Jeśli nie będzie ich wystarczająco długo, może powiedzą o tym w wiadomościach. Przynajmniej w tych lokalnych, nadawanych w pobliżu ich obecnego domu – czyli w 7News Boston, nie w NBC 4 New York. Spojrzała na George'a leżącego na mokrej ziemi obok

niej, wpatrującego się w wielką kulę słońca, które teraz próbowało przedrzeć się przez chmury. Widać było, że zaraz znów nadejdzie upał. George wyglądał na kompletnie przybitego. Była pewna, że zupełnie nie ma pojęcia, gdzie się teraz znajdują.

– Ożeż kurwa, Irene! – usłyszała.

Sara rozejrzała się, częściowo z nadzieją, że Irene rzeczywiście jest tuż obok, że pojawiła się w środku tego całego szaleństwa, by ich stamtąd wyprowadzić. Ale George nie wskazywał palcem na ducha, tylko na swój plecak. Wystawał zza krzaka, zupełnie nie tam, gdzie go zostawił. W pobliżu nie było żadnej kamienistej plaży ani żadnego strumienia. Ktoś go znalazł i próbował z nim iść, po czym się zorientował, że jest zbyt ciężki, i cisnął go w krzaki. Suche ubrania George'a, butelka z winem i inne zapasy zniknęły, ale Irene, a w każdym razie urna, wciąż tam była. Sara pogrzebała w plecaku i znalazła na dnie dwa zbożowe batony. Zjedli je w milczeniu. Złodziej zostawił też – dzięki Bogu – przewodnik, mały kompas i bardzo rozmokłą mapę ze schroniska. Gdy George wyjmował te rzeczy ostrożnie ze środka, by je wysuszyć, cmoknął, spojrzawszy na kompas, do którego dostała się woda – był cały zaparowany. Znajdująca się wewnątrz igła wydawała się kręcić swobodnie. Podreptał chwilę wkoło, jakby szukał zasięgu, po czym poddał się i zaczął studiować mapę.

– Masz jakiś pomysł, gdzie jesteśmy? – spytała.

George położył palec w miejscu oznaczonym jako „Bettes”, gdzie rzeka lekko się załamuje niedaleko wyznaczonego szlaku.

– To tutaj zostawiliśmy nasze rzeczy. Na tej kamienistej plaży. Potem poszliśmy tędy i wróciliśmy tędy... – mówił, przesuwając kciukiem po ścieżce.

– Która godzina? – spytała Sara.

– Nie mam pojęcia. Jak długo szliśmy?

– Nie mogliśmy iść tak długo – powtórzyła, ponownie spoglądając na mapę. Rozglądali się po otaczających ich klifach, mając nadzieję, że znajdą jedno z tych biało-czerwonych oznaczeń.

– Powiedzmy, że szliśmy co najwyżej godzinę. Biorąc pod uwagę warunki, pokonaliśmy może trzy, cztery kilometry?

Sara patrzyła, jak George powoli rozstawia palce, by odmierzyć cztery kilometry. Następnie położył kciuk w miejscu, gdzie była plaża, i obrócił ręką wokół tego punktu. Był to spory kawał przestrzeni, pełen różnych dziwnych zawijasów i kształtów, których nie mogła znaleźć w legendzie.

– Więc... teoretycznie to możemy być teraz naprawdę wszędzie – powiedziała Sara.

– Teoretycznie tak. – George wspiął się na pobliską skałę, by mieć lepszy widok, ale nie dojrzał niczego charakterystycznego. Słońce wyjrzało spoza chmur między dwoma nagimi klifami – na żadnym z nich nie było widać jakichkolwiek domów ani dróg, jedynie jakieś stare, wałące się drucziane ogrodzenia wzdłuż wapiennych skał i gdzieś kupkę spalonych słońcem śmieci.

– Uważam, że powinniśmy pójść tędy – zaproponował George. – Tam gdzie są śmieci, powinna być jakaś ścieżka albo ludzie.

Nie było jednak żadnych ludzi, nie zauważyli też żadnej ścieżki. Zanim dotarli do trzeciego klifu, Sara zaczęła wątpić, czy w ogóle odnajdą drogę do strumienia. Kolejna skała okazywała się przedłużeniem poprzedniej – w dalszym ciągu nie napotkali żadnych śladów cywilizacji.

– Nie pojmuję tego! – wrzasnęła Sara. – Rano były tu dziesiątki turystów. Teraz nie ma nikogo?

George znów wyjął mapę i przyjrzał się jej uważnie.

– To się kupy nie trzyma! – krzyknął. Zaczął kreślić małe kółka na mapie, próbując zaznaczyć odległość między horyzontem a najdalszymi widocznymi

elementami krajobrazu. Za każdym razem, gdy widział zwał kamieni, zaznaczał go kółkiem na mapie, aż wreszcie pokryła się ona gąszczem możliwości. Zaczął mieć zawroty głowy. Nie zjedli lunchu, a jak podejrzewał, ich sery, wino i plecak Sary przepadły. – Sara, została jakaś woda w menażce? – krzyknął ponownie.

– Jest do połowy pełna – powiedziała. – A niech to szlag. Powinniśmy byli uzupełnić ją przy strumieniu.

– Myślę, że ktoś rzucił na nas klątwę – powiedział George, kręcąc głową. Miał straszną ochotę się napić. Bynajmniej nie wody. Zwykle o tej porze nalewał już sobie pierwszego drinka, a to był zdecydowanie bardziej stresujący dzień niż zwykle. Pocałował Sarę w spalone słońcem czoło i wrócił do studiowania mapy.

Nie było legendy i nie wiedział, na co wskazują te różne oznaczenia. Małe fioletowe trójkąci, jak sądził, oznaczały góry: La Blache, Clau i Mandarom. Obok nich widniały liczby: 1725, 1549, 1667. Z początku myślał, że to daty, ale chodziło raczej o ich wysokości. Tylko że z miejsca, w którym stali, wszystkie wydawały się równie ogromne. A były ich tuziny! Niektóre wcale nie miały nazw, a jedynie przypisane im liczby.

– Co robisz? – zawołała Sara z miejsca, w którym odpoczywała.

– Ta cholerna mapa nie ma sensu! Nic nie jest tam, gdzie powinno być.

– Jak coś może nie być tam, gdzie powinno być?

– Nie może. Ale tak właśnie jest.

Nagle Sara zaczęła krzyczeć. Dojrzała w dole kogoś idącego w białej koszuli lasem. Był może półtora kilometra od nich. George dołączył do niej, gdy pognała w dół zboczem, próbując dotrzeć do jedynej osoby, jaką widziała od czasu, gdy wszyscy nagle jakimś cudem zniknęli. To był jakiś człowiek – tego była pewna – blady, groźny mężczyzna z wielką białą brodą, który zorientowawszy się, że biegną do niego, zaczął pospiesznie oddalać się

w przeciwnym kierunku. George wołał za nim: „Stój, zwolnij, zaczekaj!”. Kiedy wreszcie znaleźli się w odległości stu metrów od staruszka, Sara pomachała do niego swoim białym oklapłym kapeluszem.

– Proszę pana! Proszę pana! *S’il vous plaît*. Proszę! Czy mógłby pan nam pomóc? Pomóc... hmm. George, jak jest po francusku „pomóc”? Jak się mówi: „Jak dojść do... – zawahała się, niepewna tego, gdzie w ogóle chcą dojść – ... miasteczka”. *La ville!* Dobrze to wymawiam? Mówi się „wil” czy „wij”?

George nie miał pojęcia, a mały człowieczek nawijał po francusku w takim tempie, że trudno było odróżnić, gdzie dane słowo się kończy, a gdzie drugie zaczyna. Po wyrazie jego twarzy można się było domyślić, że wcale nie ma ochoty im pomóc. Dalej mknął między drzewami, patrząc gniewnie w ich kierunku.

– *Allez-vous en!* – krzyczał przerażony. – *Je veux être laissé seul.*

– Pomocy! – wrzeszczał George, machając obiema rękami. – My... MY SIĘ ZGUBILIŚMY!

– On nas nie rozumie – krzyczała Sara. – George! W przewodniku są jakieś rozmówki dla podróżnika. Z tyłu okładki. Z tyłu.

Gdy George grzebał w plecaku, szukając przewodnika, Sara próbowała ubłagać nieznanego, który krzyczał na nią po francusku, próbując od nich uciec.

– Proszę. Jesteśmy Amerykanami. Zgubiliśmy się! Amerykanie? Zabłądzić!

Mężczyzna podniósł kamień i cisnął nim w jej kierunku, a kamień upadł w połowie drogi między nimi. Wrzasnęła i schowała się za drzewo.

– Nie chcemy pana skrzywdzić! – zawołała. – Musimy znaleźć Point Sublime!

– Jak to jest po francusku? – krzyknął George.

– To jest po francusku! *Sublime* to francuskie słowo. Może *Pont*? *Sublime*? *Subliem*? *Suble-me*? George, jak jest „zabłądziliśmy”?

Sara ponownie zawołała w kierunku niskiego mężczyzny, ale na próżno. Uciekał, rzucając w nich kamieniami.

– George, pospiesz się! – wrzeszczała.

– Szukam! – odkrzyknął. Mężczyzna dotarł do zbocza klifu i zaczął się zwinnie wspinać po jego ścianie, co jakiś czas się odwracając, by coś krzyknąć albo skierować do nich jakiś agresywny gest. Sara, zrozpaczona, próbowała podążać za nim, ale nie miało to sensu. Malutki człowieczek wszedł na półkę skalną prowadzącą do wyższych partii kanionu.

– *Perdus! Perdus! Perdus!* – wołał George i biegł w stronę klifu, ściskając w rękę przewodnik. – *Nous sommes perdus!* – Lecz gdy tak biegł, wymachując w górze książką jak flagą, potknął się o kamień i przewodnik wylądował w błocie. Mężczyzna zniknął, a słońce świeciło prosto na nich, gdy tak siedzieli wycieńczeni i nieszczęśliwi, bardziej *perdus* niż kiedykolwiek.

– Jak mogłeś pozwolić mu odejść? – szlochała Sara.

– Ja? – krzyknął George. – To ty się darłaś tak, że go wystraszyłaś.

Nie mogli na siebie nawet patrzeć. Wciąż jeszcze dysząc po wspinaczce, trzęśli się od strachu i adrenaliny. George bez słowa wyjął kompas i rozpoczął swój rytuał stukania w niego i obracania się w kółko, czekając, aż igła gdzieś się zatrzyma. Sara wypatrywała w górze małego człowieczka, ale widziała tylko rozciągający się przed nimi las – żadnych ścieżek ani gór.

– Tam przecież musi coś być, no nie? – powiedział George po kilku kolejnych godzinach marszu. – W którymś momencie chyba wylądujemy we Włoszech albo w Hiszpanii.

Sara nie odpowiadała – zamilkła na dobre. W takich momentach George zaczynał gadać coś nieskładnie, roztrzęsiony, czym tylko dolewał oliwy do ognia i coraz bardziej ją irytował.

– Idziemy na północ, prawda? – spytał.

Nie odpowiedziała. Nie obchodziło ją, w jakim kierunku idą. George

spoglądał na swój tandetny kompasik.

– Mówi, że idziemy na północ – rzekł – w takim razie dlaczego słońce zachodzi za naszymi plecami?

Przez jakiś czas nie widzieli słońca za skałami, teraz jednak, wielkie i czerwone, zanurzało się w chmurach.

– Jak słońce może zachodzić na południu? – spytał, waląc ręką w kompas.

Sara nie wytrzymała.

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć?

– Nie obwiniaj mnie, dobrze? To ty się uparłaś, by zrobić to dzisiaj. Gdybyśmy zaczekali i poszli z grupą, to wszystko nigdy by się nie stało. Ja tu robię, co mogę!

Sara rzuciła mu zabójcze spojrzenie.

– Gdybyśmy poczekali, ty wymyśliłbyś jakąś wymówkę, żeby tego nie zrobić! Nie mam już ochoty budzić się i patrzeć, jak pijany śpiesz na kanapie, obejmując jej prochy.

– Cóż, przepraszam, że wolę sypiać z kimś, kto nie leci akurat na siłownię, gdy tylko się pojawię. Jesteś wszędzie, tylko nie ze mną!

Jeszcze raz mocno walnął w kompas, ale igła wciąż pokazywała, że zmiierzają na północ, podczas gdy logika i fizyka podpowiadały, że idą na wschód od zachodzącego słońca.

– Zaczyna mi schodzić skóra – załkała Sara. – Umieram z głodu. My tu umrzemy.

– Nie umrzemy – powiedział stanowczo George, choć w duchu też się tego obawiał.

– Zapomnij o tym, gdzie jest słońce, i pomyśl o tym, co zrobimy, kiedy zajdzie! – wrzasnęła. – Będziemy w lesie, bez latarki i bez jedzenia...

Przywalił ręką w kompas jeszcze mocniej, ale ten ani drgnął.

– Mógłbyś przestać? – wrzasnęła, wściekle łapiąc go za rękę. – Zepsujesz

go jeszcze i co potem?

– On już jest zepsuty! – krzyknął. – To nie południe!

– A kogo to, do cholery, obchodzi? – odpowiedziała krzykiem.

Nigdy przedtem tak się nie kłócili. Zwykle sprzeczali się o coś rozsądnego, o to, jaki film obejrzeć, albo o to, czy pojechać na święta do jego czy jej rodziców. Jedno z nich zawsze ustępowało (zazwyczaj George), szybko im przechodziło i nie odczuwali do siebie niechęci. On nie umiał chować urazy, a ona, nawet jeśli potrafiła, to nie do niego. Ale tutaj nie było jak ustąpić i pójść dalej. Brakowało wyjścia z tej sytuacji.

Wydawało jej się, że ta wściekłość, którą teraz do niego żywi, w pewnym sensie nie jest niczym nowym. Miała ją już w sobie od jakiegoś czasu, odkąd on przestał być tym George'em, którego znała. Zastanawiała się, czy on wie, jak bardzo się zmienił, i czy sądził, że ona też jest teraz inna. Byli ze sobą już tak długo i w pewnym sensie udało im się to dlatego, że nigdy zbyt wiele od siebie nie oczekiwali. Miłość, wierność, życzliwość: to wszystko przychodziło im z łatwością. Nigdy nie mieli trudności z ułatwianiem sobie nawzajem życia. Ale w ciągu ostatnich kilku lat zrobiło się jakoś ciężiej. Kiedy Irene zachorowała, zwiększyli oczekiwania wobec siebie. Oboje pomału zaczęli się zmieniać. Nie przejmowała się tym jednak, zakładając, że gdy to wszystko się skończy, wrócą do miejsca, w którym znajdowali się dawniej.

A co, jeśli nie ma powrotu do tego, co było? Teraz George zachowywał się tak, jakby nie umiał sam ustać na nogach i ona musiała go podpieścić. Pił i z nieszczęśliwą miną snuł się z kąta w kąt. A ona – czym byłaby bez niego? Czy dalej rezygnowałaby z siebie, próbując przekuć swoje życie w listę zadań do wykonania? Jednak najbardziej obawiała się nie o George'a i nie o siebie samą, ale o te wszystkie lata, które ich czekają. Myśl o nich przyprawiała ją o mdłości. Te lata, gdy będą się zmieniać, będą od siebie zależni, będą się rozczarowywać, będą tracić to, co kochają, i nad niczym nie będą już mieć



kontroli. To ją przerażało, przerażało do tego stopnia, że gdy o tym myślała, zbierało jej się na wymioty.

– Kogo to obchodzi? – wrzeszczała. – Kogo to obchodzi?

George zaczął krzyczeć i wycić jak oszalały. Położył plecak na ziemi i zaczął nerwowo grzebać przy urnie.

– Przestań! Co robisz? – krzyknęła. Jej słowa odbiły się od drzew i poszybowały w kierunku karmazynowego zachodu słońca. Pomarańczowe światło spływało kaskadą z chmur, które przez chwilę wyglądały jak unoszący się nad nimi wielki płaskowyż. Będąc małą dziewczynką, wierzyła, że właśnie tam po śmierci idą dusze, z harfami i w białych sukniach, trzepocąc małymi skrzydłami.

George w triumfalnym geście uniósł wielką żelazną urnę nad swoją głowę – i omal nie przewrócił się pod jej ciężarem.

– Co ty wyprawiasz? Połóż to z powrotem! – wrzeszczała.

– Irene! Irene! – darł się. Łzy strumieniami spływały z jego zaciśniętych oczu. – Kompas. Ona działa jak magnes!

Gotów był cisnąć urną w najbliższe drzewo. Nienawidził jej z całych sił. Chciał zobaczyć, jak roztrzaskuje się na pół. Pragnął patrzeć, jak siwa chmura sadzy i pyłu unosi się, a potem opada na leśne podłoże i przepada na zawsze. Utracona. *Perdu*. Ale nawet wtedy, gdy stał tam, gotów wreszcie pozbyć się Irene – która zesłała ich w tę szaleńczą, niemal zabójczą podróż, która (teraz to widział) zmarnowała trzy ostatnie lata ich życia – nie potrafił tego zrobić.

– Przestań – powiedziała łagodnie Sara. Powoli wyjęła z jego rąk urnę, położyła ją na ziemi i mocno go przytuliła. Wziął głęboki oddech i zaczął szlochać.

Siedzieli w ciszy i patrzyli, jak słońce powoli znika za horyzontem i jak zapada zmrok. Czuli, jak otaczający ich las zaczyna ożywać. Czuli bliskość swoich ciał. Chcieli, by Irene naprawdę z nimi była. Chcieli zamknąć oczy

i zasnąć, nie martwiąc się, co będzie, gdy obudzą się następnego ranka. Patrzyli, jak kilka pojedynczych gwiazd rozbłyska nad nimi – jedne świeciły jasnym światłem, inne ledwo się żarzyły – choć w ciemnościach było ich wiele milionów.

George spojrział na swoje blade, słabe i obolałe ciało. W sześćdziesięciu procentach niczym nie różniło się od tych kilku kropeł wody, które przywarły do ścian ich pustej menażki. W większości było mieszaniną tlenu i wodoru. Osiemnaście procent jego ciała stanowił węgiel. Trzy procent – azot. Było w nim też trochę wapnia, potasu i innych soli. To były te same pierwiastki, których stężenie mierzył codziennie w gwiazdach Mgławicy Pierścienia, te same, z których zbudowane jest Słońce, gwiazdy i wszechświat. Na poziomie atomów jego ciało składało się ze stopionych resztek, wyrzuconych w próżnię w momencie zapadania się tych gwiazd. W pewnym sensie to pocieszające, że dosłownie był związany z każdym i ze wszystkim – choć jednocześnie był pewien, że ma w sobie coś więcej niż tylko atomy. Widział, jak coś opuszczało Irene w ostatnich sekundach jej życia, i to nie była żadna energia ani materia.

Jeszcze w szkole średniej uczył się o cyklu rozkładu i odradzania się na przestrzeni tysiącleci i o tym, że ludzkość stanowi jedynie mały przypis do całości. Ale dopiero później dowiedział się, że przez tysiące lat te dostrzegalne ludzkim okiem gwiazdy uznawano za samotne, pojedyncze punkty światła, które dzielą miliardy kilometrów. Jednak w siedemnastym wieku, za sprawą lepszych teleskopów, astronomowie po raz pierwszy zauważyli, że te pojedyncze kropki to tak naprawdę dwie gwiazdy orbitujące wokół siebie lub wokół jakiegoś wspólnego punktu – tak czy inaczej, wirujące blisko siebie. A teraz naukowcy odkryli, że ogromna większość – ponad osiemdziesiąt procent gwiazd we wszechświecie – to binarne układy gwiazdne. Niektóre z nich były wręcz układami wielokrotnymi – zbiorami trzech, a nawet więcej

gwiazd związanych ze sobą grawitacyjnie.

Słyszał obok siebie oddech Sary i wziął ją za rękę. Jej dłoń była zaskakująco ciepła. Wiedział jednak, że nie powinno go to dziwić. Ona – ta kobieta, którą kochał – była wielkim morzem węgla, azotu i wody, orbitującym wokół jego ciała niebieskiego, podczas gdy on krążył wokół niej.

– Chyba nigdy w życiu nie widziałam tylu gwiazd – powiedziała, z takim samym podziwem jak on patrząc na szeroki jasny pas Drogi Mlecznej, rozpościerający się nad nimi od jednego końca doliny do drugiego. Cichutko wstali i wciąż patrząc w niebo, podnieśli urnę Irene z wilgotnej ziemi. On trzymał podstawę, a Sara odkręciła wieko. Razem przechylili ją, a jej zawartość uniósł delikatny wiatr, który pozostał po burzy. W ciemnościach ledwo widzieli siebie i wirujące w powietrzu prochy. Czuli jednak, jak urna robi się coraz lżejsza. George wierzył, że w mikroskopijnej skali to, co pozostało z Irene, zmieni to miejsce i nawet jeśli niedostrzegalnie, wpłynie na to, co może kiedyś tu wyrosnąć, tak samo jak ona na zawsze przeobraziła jego życie i życie ich wszystkich.

Sara zamknęła oczy i pożałowała, że nie ma z nimi teraz Jacoba i Williama. Zaczęła w głowie układać wydarzenia tego dnia w historię, którą wkrótce wraz z George'em będą wiele razy opowiadać. Otworzyła oczy i spojrzała na męża. Patrzył w górę na Mały i Wielki Wóz oraz na Gwiazdę Północną. Spoglądał w ciemne miejsce, w którym, choć światło jeszcze do nich nie docierało, dawno temu 237 Lyrae V zapadła się, tworząc nową jasną gwiazdę. I George, podobnie jak tamci badacze z minionych epok, poczuł, że pojmuje wielkość tego ogromu i wie, gdzie konkretnie kryje się w nim jego miejsce.

– Chodźmy – szepnął do Sary, biorąc ją za rękę. – Wiem, jak się stąd wydostać.

## To miasto, które jest

Widzisz te szare nitki ulic, znaczone po bokach zielonymi drzewami. Widzisz to wznoszące się ku górze i zlewające z niebem szkło. Widzisz te aluminiowe stada pędzące West Side Highway i mewy krążące nad Battery. Prom właśnie zwalnia. Widzisz, jak wybucha petarda w reklamie M&M's na Broadwayu, gdzie džinsy Levi's mają długość dziesięciu kondygnacji. Widzisz smołę drzewną na słupach telefonicznych i pokryty jasnym kurzem bruk. Widzisz miejsce, gdzie idealna siatka ulic zaczyna się rozregulowywać, gdyż część tego miejsca pochodzi z czasów, gdy to miasto nie było nawet miastem. Widzisz wszędzie jakieś dzieci. W ich oczach wszystko jest dwa, trzy razy większe. Widzisz papierową torebkę, którą wiatr porywa w kierunku świateł. Może tam przy krawężniku leży śnieg. Albo chwasty próbują urosnąć centymetr bądź dwa, zanim zdepcze je parada psów i ludzkich stóp. Niemal zawsze bliscy jesteśmy dotknięcia. Wjedzie w nas kurier rowerowy albo autobus. Zobacz, jak szybko giniemy. Widzisz sadzę na srebrze, napis „Zakaz plakatowania” i węże wagonów metra. Tunele pod tunelami, pod którymi znajdują się inne tunele. Widzisz ten miedziany szkielet miasta pod ziemią, te wszystkie druty i rury. Tyle mamy wspólnego. To należy do nas wszystkich, jak te połacie zielonych lasów, w których tkwią perłowe jeziora i rzeki kołyszące nas do snu, i wszystko, co rozciąga się dalej. Widzisz? To inne miasto od tego, które znaliśmy. Zmieniło się na naszych oczach i wtedy, gdy nie patrzyliśmy.

Nigdy tak naprawdę nie zrozumiemy, jak zmieniło się za sprawą nas samych. Nasze słowa i nasze gesty wprawiały w ruch jego powietrze i wdzierały się w jego pnącza. Mimo to moje miasto nie jest twoim miastem, a żadne z naszych miast nie jest podobne do tego, które należy do reszty. Do wszystkich tych ludzi, którzy je wspominają bądź go oczekują. Jest miasto, którego żadne z nas wcale nie zna. Dlaczego na ścianie tego budynku jest dinozaur? Skąd wzięły się te spodnie od jogi? Co zdarzyło się na rogu tej ulicy pięćdziesiąt lat przed naszym urodzeniem? Jak to się dzieje, że ten pusty pub sportowy na końcu ulicy jeszcze nie splajtował?

Kto jest właścicielem tego roweru, który od dziewięciu miesięcy stoi przypięty do znaku z ograniczeniem prędkości? Jest miasto, w którym się zakochujemy, i miasto, w którym tracimy wszelką nadzieję, oraz miasto, które nigdy nas nie zawodzi. Jest miasto, które atakuje nas zewsząd i powala nas w kałużę czegoś (nawet nie chcemy wiedzieć czego). Jest miasto pod powłoką, która je pokrywa. Jest miasto, w które wychodzimy w ciepły dzień, bez konkretnego celu. Zapomniałeś? Są miasta, w których wciąż jesteśmy młodzi, i miasta, gdzie się zestarzeliliśmy. Są miasta, gdzie jestem tylko ja, i miasta, w których jesteś tylko ty. Są miasta, które zniknęły na dobre. Są miasta, o których mówimy w samych superlatywach. Jest miasto, do którego nigdy nie wrócimy, i miasto, z którego nigdy nie wyjechaliśmy, miasto, którego nigdy nie zbudowano, a nawet jedno miasto, które – w co wszyscy wierzymy – nigdy nas nie zostawi.

## Podziękowania

Wielkie podziękowania należą się tym, którzy mnie wspierali i we mnie wierzyli, przyjaciółom, którzy pomogli mi napisać tę książkę: Chelsea Lindman i wszystkim w Sanford Greenburger; moim redaktorom w wydawnictwie Viking, Chrisowi Russellowi, Beenie Kamlani, a wcześniej Maggie Riggs; oraz mojej rzeczniczce Angie Messinie.

Dziękuję Leah, Joshui, rodzicom: Dennisowi i Deborah, Omie, Jonathanowi, Dennisowi i Susan, Hannie, Chrisowi, Theodore'owi i reszcie rodziny.

Dziękuję Elizabeth Perrelli, Andrew Carterowi Doddsowi, Neilowi Bardhanowi, Jerry'emu Wu, Jill Rafson, Robin Ganek, Rachel Panny, Emily Ethridge, Johnowi Proctorowi, Jordanowi Dollakowi, Michaelowi Levy'emu, Andrew Bodenraderowi, Dongwonowi Songowi, Yaronowi Kaverowi, doktorowi Aaronowi Prosnitzowi, doktorowi Joelowi Greenowi z Uniwersytetu Texas w Austin oraz Space Telescope Science Institute, Katie Peyton, Tomowi Mansellowi i Lenn Thompson z New York Cork Report – za pomoc i wielkie serce, które mi okazaliście. Podziękowania należą się również wszystkim dobrym ludziom z piekarni Bien Cuit za wiele pożywnych posiłków.

Jestem także wdzięczny za wsparcie i hojność Uniwersytetowi Columbia, Uniwersytetowi Sarah Lawrence, New York Public Library, moim wspomniałym

kolegom z SUNY New Paltz College, PEN/New England Organization, fundacji UCross oraz fundacji Sherwood Anderson.

Ta książka powstała ku pamięci mojej ukochanej siostry, Jennifer, która pierwsza namówiła mnie, bym ją napisał.

# Przypisy końcowe

1. W języku angielskim słowa *but* (ale) i *butt* (tyłek) wymawia się tak samo (jeżeli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. W Stanach Zjednoczonych półkotapczan określa się potocznie jako *Murphy bed* od nazwiska pomysłodawcy takiego rozwiązania, Williama Murphy’ego (przyp. red.). [\[wróć\]](#)
3. Karmiący cały świat (hebr.). [\[wróć\]](#)
4. Nawiązanie do zabawy w nienadeptywanie łączeń pomiędzy płytami chodnikowymi: *Step on a crack, break your mother’s back* („Nadepniesz na szczelinę, złamiesz plecy matczyne”). [\[wróć\]](#)
5. Zamknij buzię (fr.). [\[wróć\]](#)
6. Fragmenty księgi XXIV *Iliady* w przekładzie Franciszka Ksawerego Dmochowskiego. [\[wróć\]](#)
7. Fragmenty księgi XXII *Iliady* w tym samym przekładzie. [\[wróć\]](#)
8. Fragment wiersza *Ryba* Elisabeth Bishop w przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. red.). [\[wróć\]](#)
9. Pomódl się (ang.). [\[wróć\]](#)
10. Cytat z *Anny Kareniny* w przekładzie Kazimiery Iłakowiczówny. [\[wróć\]](#)
11. Fragment pieśni XII *Odysei* w przekładzie Lucjana Siemieńskiego. [\[wróć\]](#)
12. Fragment Pierwszego Listu do Koryntian według przekładu z Biblii Tysiąclecia. [\[wróć\]](#)
13. \*\* Fragment książki Margery Williams *Aksamitny Królik, czyli jak zabawki stają się prawdziwe* w przekładzie Barbary Grabowskiej. [\[wróć\]](#)
14. \* Fragment Psalmu 121 według przekładu z Biblii Tysiąclecia. [\[wróć\]](#)
15. Określenie to w języku angielskim brzmi podobnie do nazwy Galilea. [\[wróć\]](#)





# ODYSEJA NOWOJORSKA

KRISTOPHER JANSMA

Pean na cześć Nowego Jorku,  
pysznego młodzieńczego optymizmu  
i siły przyjaźni.